



Jussi Valtonen

Nie wiedzą, co czynią



Jussi Valtonen

NIE WIEDZĄ, CO CZYNIĄ

przełożył Sebastian Musielak





Książka ukazała się dzięki pomocy finansowej FILI – Finnish Literature Exchange

Tytuł oryginału: *He eivät tiedä mitä tekevät*

Copyright © Jussi Valtonen & Tammi Publishers, 2014

Original edition published by Tammi Publishers, 2014

Polish edition published by agreement with Jussi Valtonen and Elina Ahlback Literary Agency,
Helsinki, Finland

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Sebastian Musielak, MMXVII

Wydanie I

Warszawa, MMXVII

Spis treści

[Inna kobieta. Helsinki, Finlandia 1994](#)

[Magiccadas. Baltimore, MD, USA](#)

[Bo o trudnych sprawach trzeba milczeć jak grób. Helsinki, Finlandia](#)

[Dzieci to nasza przyszłość. Baltimore, MD, USA](#)

[Czyli właśnie ty możesz być tą szczęśliwą osobą. Helsinki, Finlandia](#)

[Rozmowa buduje mosty. Baltimore, MD, USA](#)

[Pieśń miłosna idących na śmierć. Baltimore, MD, USA](#)

[No biggie. Helsinki, Finlandia](#)

[Reszta pójdzie jak z płatka. Baltimore, MD, USA](#)

[Zupełnie jakbyś kogoś za coś przeproszała. Helsinki, Finlandia](#)

[Ja już po prostu widzę tego gościa. Baltimore, MD, USA](#)

[Homicide, BCPD. Baltimore, MD, USA](#)

[Special price just for you. Baltimore, MD, USA](#)

[This is Bawlmer, hon. Baltimore, MD, USA](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Wpatrywał się we włączony przez kogoś telewizor, zahipnotyzowany dobiegającym z niego dźwiękiem. Miał wrażenie, że owady są tu z nimi, bo stary dom skrzypiał i trzeszczał, chociaż byli daleko, na wybrzeżu drugiego oceanu.

One śpiewały.

Nawet o nich nie słyszał. Nikt o nich nie pamiętał, ale one przez cały ten czas siedziały tam w ziemi, żywiąc się sokami z korzeni drzew i czekając na właściwy rok.

Pokazywali je także w wiadomościach. Jeden z aktywistów z Portland przyczłapał z kuchni z kubkiem kombuczy, puścił w obieg skręta i powiedział, że to tylko kwestia czasu, kiedy zobaczymy je także tutaj. Oczywiście nie w tym roku, może nawet nie w następnym, ale podobno jest jakiś mechanizm, który umożliwia im migrację ze Wschodniego Wybrzeża. Reszta nie chciała wierzyć, bo przecież są jasno określone powody, dla których mogą występować tylko na wschodzie, ale tamten twierdził, że bardziej zdumiewające od tej możliwej migracji jest to, że jeszcze do niej nie doszło.

Potem spojrział znów w telewizor: skrzące się w słońcu skrzydła nimfy przycupniętej na klonie palmowym. Na tle jasnozielonych liści jej mleczny korpus przypominał glistę. Siedziała na drzewie, czekając na stwardnienie powłoki. Wypowiadał się właśnie jakiś entomolog – cykady nie żądają, nie gryzą i nie roznoszą chorób, nie stanowią żadnego zagrożenia dla ludzi, zwierząt ani nawet roślin. Wypadki z nimi związane biorą się stąd, odezwał się portlandczyk, zaciągając się głęboko jointem, że ludzie panikują: zamykają oczy, zamiast patrzeć na drogę, nagle odrywają ręce od kierownicy i zaczynają się opędzać na środku skrzyżowania albo na zjeździe z autostrady. Nic by się nie stało, potwierdził entomolog w telewizorze, gdybyśmy po prostu zachowywali spokój.

Coś w tym jest, pomyślał. Siedział w poprzek poprutego fotela, nogi przewiesił przez poręcz mebla. Czekają na to tak długo, niemal dwadzieścia lat, w doskonałym ukryciu.

Oglądali program w salonie. Część rozłożyła się na podłodze, reszta siedziała na sofie, kiedy nagle się zaczęło. Przez nieustanny szum cykad usłyszeli walenie w grube drzwi domu, jakby ktoś chciał wbić je do środka.

Spojrzeni po sobie. Może wcześniej pukano ciszej, ale z powodu włączonego telewizora nie usłyszeli? Dudnienie ciężkich buciorów na drewnianej werandzie mówiło wyraźnie, że gości jest więcej.

Jeden z eugeńczyków poszedł otworzyć. Już, kurwa, idę! Chaty nam nie rozwalcie! Zanim drzwi się otwarły i pierwszy zobaczył niedowierzanie w ich zdumionych twarzach, zdążył jeszcze usłyszeć głos entomologa: Proszę pomyśleć, że to prawdziwy cud, jesteśmy wszyscy dziećmi tej samej matki natury.

Inna kobieta

Helsinki, Finlandia 1994

To miało być tymczasowe, powoli wszystko miało wracać do normy.

W broszurze z poradni macierzyńskiej wyczytała, że dokładnego czasu nie da się określić. Parę zdań dalej autorka broszury napisała, zaprzeczając sobie samej: trzy miesiące, mniej więcej, u ponad połowy par. Należy jednak pamiętać, że są to sprawy bardzo indywidualne. I delikatne. Początek po tak ogromnej zmianie jest trudny, dla wszystkich.

Nie wolno obarczać winą żadnego z partnerów.

Alina odłożyła broszurę na stolik przy łóżku już tydzień temu. Sama nie była pewna, czy jej lektura coś zmieni. Widząc jednak, że ciągle tam leży, nietknięta, czuła, że coś się w niej zapada.

Kiedy przerwa przedłużyła się o następne trzy miesiące, Alina postanowiła o tym porozmawiać. Joe wydawał się zaskoczony.

– Sądziłem, że to jeszcze... – szukał właściwego słowa. – Takie trudne.

– Nie wydaje mi się.

– Naprawdę?

– Hm – mruknął. – Okej.

Pierwszy raz spróbowali trzy miesiące po przyjściu Samuela na świat. Zdumiewający powrót do świata nastolatki. Miała wrażenie, że wszystko trzeba rozpoczynać od nowa, skupiać się na technice, a nie na treści, domyślać się, jakie to czy tamto wywoła odczucie, czy się uda. Przyszło jej do głowy, że tak może czują się ludzie uczący się od nowa chodzić po wylewie.

Pisali o tym w kolorowej prasie. Naturalnie obniżony poziom estrogenu sprawia, że kobieta może nie mieć ochoty.

Czy ona chciała? Całe jej ciało zaczęło się nagle wydawać tworem obcym i nieprzewidywalnym. Trzeba znów spróbować, ale czy tym razem pójdzie im lepiej? A jeśli teraz też nic z tego nie będzie i próg jeszcze się podniesie?

Wieczorem, kiedy Samuel już zasnął, Joe w swojej flanelowej piżamie jak zwykle rozłożył się na swojej połowie łóżka ze swoimi arcymistrzami. Ostatnio czytał do poduszki książkę o mistrzach świata w szachach. Niekiedy na stoliku po swojej stronie rozstawiał na szachownicy pionki i figury, a potem przesuwając je powoli zgodnie z zapisem w książce i ścigając usta, wpatrywał się w nie usilnie, jakby spodziewał się od nich coś usłyszeć.

Dawniej przed zaśnięciem całowali się na dobranoc; czasem przeradzało się to w seks, a czasem nie.

Czekała. Joe wodził żywo wzrokiem po liniżkach tekstu. Wreszcie zdał sobie sprawę, że na niego patrzy.

– Co?

– No... rozmawialiśmy o tym.

W jego spojrzeniu ziała wielka pustka.

– W ciągu dnia – odpowiedziała.

– A, to – mruknął, chociaż widziała, że jeszcze sobie wszystkiego nie przypomniał. – Rzeczywiście.

Odłożył książkę. Odwrócili się ostrożnie do siebie i leżeli, jak gdyby czekając na jakiś sygnał z drugiej strony, jakby cała ta sytuacja ze wszystkim, co się z nią wiąże, stanowiła dla nich wielką niewiadomą. Joe dotknął delikatnie jej boku. Jakby się bał, że robi mi krzywdę, pomyślała Alina.

Usta Joego są znajome i realne, a jednak wszystko jest jakieś mechaniczne, przemknęło jej przez myśl. A może tak właśnie wygląda seks z kobietą, której się nie kocha? Ale poczuła już na skórze jego ciepłą dłoń, pozwoliła jej krążyć zwyczajową trasą po obłóściach i zagłębieniach.

Dłoń zatrzymała się na chwilę, nieznacznie drgnęła i ruszyła dalej, ale inaczej. Alina wsłuchiwała się w ruchy Joego i czuła wyraźnie, że czegoś tu brakuje. Widziała, że on też to czuje.

– Chcesz...?

Wiedziała, o co mu chodzi; tak, chciała.

– Tak. – Skinęła głową, nie otwierając oczu. – Chcę.

Ale nagle zobaczyła tę dziewczynę. Siedziała na brzegu łóżka i patrzyła na nich z obojętnym wyrazem twarzy, jakby towarzyszyła im od zawsze.

Alina jęknęła i odsunęła się od Joego.

– Zabolało? – zmartwił się.

– Nie.

– Ale...?

– Jakoś tak.

– Hm.

Miała wrażenie, że w jego głosie wybrzmiała nuta ulgi: nie będzie trzeba próbować.

– Może jednak jeszcze za wcześnie – powiedziała.

– Pewnie tak – zgodził się.

Spojrzeni na siebie. Zawsze podobały się jej jego oczy. Oczy sympatycznego mężczyzny. Joe pogładził ją po włosach.

- W końcu się uda, zobaczysz.
- Tak.
- Nie ma się co spieszyć.
- Nie.

Odwrócili się od siebie i po niedługim czasie usłyszała, że Joe już śpi.

Dziewczyna pojawiła się jesienią.

Zobaczyła ją wtedy przy stojącym tuż obok drzwi biurku, którego wcześniej nie było; dziewczyna gapiała się w monitor. Siedziała zgarbiona na podgiętej na krześle nodze. Pozycja wydawała się niewygodna, może dziewczyna nie umiała się zdecydować, czy przejść do tradycyjnego siadu biurowego, czy nagle wybić się z krzesła jak kot i przeskoczyć nad monitorem. Włosy miała czarne jak węgiel i przystrzyżone z podkreśloną ostrością, czoło pokryte zmarszczkami skupienia, usta rozchylone.

Czekając, aż dziewczyna przerwie pracę i zauważy ją, kobietę z wózkiem, Alina zapatrzyła się w szeroką srebrną bransoletę na jej szczupłym nadgarstku. Masz czas na to, żeby spędzać tu całe dni, pomyślała, a po pracy chodzisz sobie jeszcze do butików i wybierasz bransolety.

- Przepraszam... – odezwała się w końcu.

Dziewczyna obróciła się miękko, jakby cały czas zdawała sobie sprawę z jej obecności.

Alina sądziła, że na widok kobiety z wózkiem usiądzie normalnie, ale ona nadal siedziała na zgiętej nodze, niemal leżąc na biurku.

- Umówiliśmy się... – zaczęła. – Z Joem.

Tamta uniosła brwi, chyba z niedowierzaniem, jakby wspomnienie jego imienia było niewystarczające.

- Biurko Joego jest tam. – Kiwnęła głową w stronę okna.
- Wiem – odrzekła Alina trochę ostrzej, niż zamierzała.
- Na pewno zaraz wróci.

Alina nie była pewna, czy dziewczyna nie wie, gdzie jest Joe, czy tylko nie chce jej tego powiedzieć. Stała z wózkiem na korytarzu pod drzwiami, a dziewczyna siedziała w dziwnej pozycji w pokoiku jej męża.

- Jak Joe wróci, powiedz mu, że poszłam do toalety.

Odwróciła się i ruszyła z wózkiem korytarzem, do bólu świadoma, że wygląda jak zmokła kura domowa – może dlatego, że tak właśnie o sobie myślała – i że dziewczyna przez otwarte drzwi będzie mogła ją oglądać aż do końca korytarza. Gdyby wiedziała, ubrałaby się inaczej; dlaczego? – pomyślała natychmiast, zła na siebie za tę potrzebę pokazania się przed obcą

dziewczyną. Ale za kogo tamta ją wzięła? Oczywiście, że Alina wie, gdzie stoi biurko Joego, sama go tam przyprowadziła i pokazała mu wszystko, byli tam oboje już dawno, ona i Joe; to tamta powinna ją pytać, to ona jest obca, z zewnątrz.

Śpiący Samuel obrócił główkę i dziwnie pisnął, i nagle cała ta sytuacja z przyjściem tu z wózkiem wydała się jej żenująca. Dlaczego zachowuję się tak, jakbym powinna za coś przeproszać? – pomyślała. Z tego wszystkiego szła za szybko i zahaczyła wózkiem o stolik na korytarzu. Policzki ją zapiekły, próbowała zanucić coś wesołego, wyprostowała się. Zanim ruszyła dalej, zerknęła przez ramię, ale dziewczyna w pokoju Joego nadal wpatrywała się w skupieniu w monitor, jakby Aliny ani jej wózka nigdy nie było.

Nosiła się z zamiarem wspomnienia o dziewczynie w domu. Rzucenia mimochodem, że widziała w instytucie nową osobę, stworzono nawet dla niej specjalną niszę ekologiczną. W tak małym zespole ma pewnie znaczenie, kto kręci się codziennie po korytarzach. Może jeszcze będą się z nią spotykać, na przykład na organizowanych w domu imprezach?

Imprezy; zaraz pomyślała: coś, czego nigdy u nich nie będzie. Joe kilkakrotnie proponował jej, żeby kogoś zaprosić, lecz Alina się bała, nie chciała się czuć jak w oknie wystawowym. Przyjdą obcy ludzie i będą się na wszystko gapić, oceniać mieszkanie, jedzenie i picie, Samuela i jego ubranka, zabawki i łóżeczko, ich półkę z płytami i dywan w salonie. A więc tak to urządziła żona Joego.

Rozglądając się po domu, nie dostrzegła zbyt wielu przedmiotów, które wybrała, bo chciała je mieć. W salonie brakowało lampy – włącznik nawalił. Joe obiecał zanieść go do naprawy i zapomniał. Pewnie wciąż nosił w teczce przewód z włącznikiem, który odbywał razem z Joem codzienną wyprawę na uniwersytet i z powrotem. Alina zagadnęła go o lampę parę razy, ale zawsze w nieodpowiedniej chwili, a nie chciała robić wielkiego halo z powodu takiego drobiazgu. Część ciuszków Samuela na suszarce, która stała się teraz najbardziej wyeksponowanym elementem wystroju ich mieszkania, pochodziła z pakietu macierzyńskiego, część była po dzieciach siostry Julii, a resztę Alina kupiła na pchlim targu. Jakoś nie mogła się oswoić z myślą o ludziach z instytutu łąjących im po mieszkaniu, które przeszło zapachem mleka i poprzerastało stertami poplamionych śpioszków i rajtuzów.

– W Finlandii nie ma zwyczaju zapraszać koleżanek i kolegów z pracy do domu – powiedziała, kiedy Joe znów wspomniął o imprezie.

– W Stanach jest.

– Wiem – odparła. – Ale chodzi mi o to, że...

– Wiem, wiem – uciął Joe i poszedł przebrać się na squasha. I Alina nie miała już nigdy pewności, czy Joe rzeczywiście wie.

Przede wszystkim chciałyby pomalować na nowo salon, naprawić swój błąd. Ściany były zbyt białe. Na małej palecie kolorów odcień wydawał się świeży, jednak na dużej powierzchni okazał się tak jaskrawy, że na jego tle wszystkie inne kolory po prostu kłuły w oczy. Na ścianach było widać najmniejszą nawet plamkę.

Joe uznał jednak, że nie warto teraz malować, „dopóki sytuacja się nie wyklaruje”. Serce Aliny zamarło na moment.

– Jaka sytuacja? – spytała.

– No... Gdzie będziemy mieszkać i...

Czekała na dalszy ciąg, zaraz jednak zrozumiała, że to już koniec zdania. Po dłuższej chwili Joe dopowiedział, że chyba nie będą tu mieszkać przez całe życie.

– No, przez całe życie to na pewno nie. Ale na razie.

– Może jednak jeszcze zobaczymy...

– Zobaczymy co?

– Czy może mielibyśmy jeszcze... – Joe urwał na chwilę. – Jakieś szanse u nas.

Back home.

Dom. Stany. Jak łatwo przychodziło mu wypowiadać to słowo mimochodem – *home* – słowo o miękkich, naturalnie ciepłych głóskach, jakby we wszystkich językach świata brzmiało właśnie tak. Spojrzała przeciągle na Joego, przełknęła ślinę i odwróciła wzrok.

– Daj spokój – powiedział i ujął jej dłoń, lecz wyrwała ją natychmiast. Spróbował jeszcze raz: – *Come on, Alina.* – Wymawiając jej imię, akcentował i przeciągał drugą sylabę i początkowej samogłoski prawie nie było słyhać: Liina. Kiedy zaczęli się spotykać, nawet to lubiła; chciała być osobą, która ma drugą, międzynarodową wersję swojego imienia.

– „Mielibyśmy”? Naprawdę powiedziałeś „mielibyśmy”?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie wiem.

Wieczorem Joe zmienił Samuelowi pieluchę, dał mu kaszkę i przebrał w piżamkę, nie musiała go nawet prosić. Ale nie odezwał się do niej słowem.

Po karmieniu Alina leżała cicho na łóżku, zwrócona plecami do Joego, i nie wiedziała, czy widzi jej łzy.

– Myślałaś, że będziemy mieszkać w Finlandii do końca życia? – spytał

cicho, kierując słowa do trzymanej na kolanach otwartej książki.

Alina długo szukała dobrego pytania, które nadawałoby się na odpowiedź, równie oczywistego i niby neutralnego, lecz czuła tylko targające nią od wewnątrz fale. Po długiej chwili usłyszała, że Joe westchnął, odłożył okulary na stolik i pstryknął wyłącznik lampki.

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć? – spytała.

– Powiedzieć?

Milczała.

– Zdawało mi się, że moglibyśmy o tym porozmawiać – powiedział. – Czy to za wiele?

Głos mu chrypiał. Źle używasz głosu, pomyślała Alina. Miała przyjaciółkę, logopedkę, która wszystkim mówiła, że się garbią i źle artykułują, tak więc Alina sama zaczęła w końcu zwracać na to uwagę.

– Przecież rozmawialiśmy kiedyś o różnych innych opcjach – powiedział Joe.

To też miałam brać poważnie? – zdziwiła się Alina. Rzeczywiście, kiedyś rozmawiali – bardzo niezobowiązująco – o krajach, do których mogliby razem wyjechać. Było to w małym pokoju hotelowym przy Piccadilly Circus, nim jeszcze wszystko stało się rzeczywiste. Na liście znalazły się między innymi Polska i Ghana.

– Czy to ma jakiś związek z tym, że nie dostałeś tamtej pracy? – spytała. – Mówiłeś, że nawet jej nie chciałeś.

Joe od razu się skrzywił. Wyczuła jego irytację głęboko w trzewiach. Potrzebowała teraz właściwych słów.

– Powiedz mi – poprosiła, dotykając jego twarzy.

Joe patrzył w sufit, jakby nie poczuł dotyku.

– Czuję się tak, jakby ze wszystkich stron otaczał mnie niewidzialny mur.

– Towarzystwo czy zawodowo? – spytała.

– Tu i tu.

Joe uważał, że Finowie nie dopuszczają nieznajomych do swoich kręgów. W Finlandii nikt go nie zaprasza na kawę ani do domu. Można odnieść wrażenie, że Finowie mają już wszystko tak poukładane w życiu zawodowym i prywatnym, że osoby z zewnątrz nie mają szans w tej układance zaistnieć. Zwłaszcza gdy nawet nie można wyjść wieczorem z domu, dodał.

Zwłaszcza gdy nawet nie można wyjść wieczorem z domu. Przecież ja cię w domu nie trzymam, pomyślała zaraz. Było od razu mówić, że nie chcesz dziecka.

W każdym razie drugiego już nie. A ona chciała mieć trójkę. Parę razy

próbowali podjąć temat dzieci, lecz atmosfera natychmiast się psuła i Alina czuła się tak, jakby żądała od niego rzeczy niemożliwych.

– O czym myślisz? – spytał. – Powiedziałaś coś.

Myślała o ojcu, który potrzebował jej pomocy niemal każdego tygodnia w najróżniejszych sprawach. Wciąż nie umiał obsługiwać bankomatu, choć już z dziesięć razy podchodziła z nim do maszyny i pokazywała, jak się pobiera pieniądze. W jaki sposób będzie mu pomagać ze Stanów? A jeśli coś mu się stanie? Jeśli zachoruje i ktoś będzie musiał przynosić mu jedzenie ze sklepu, czytać ulotki leków? Po śmierci żony ojciec stał się apatyczny i roztargniony. Alina do tej pory nie mogła uwierzyć, że kobieta, która przez całe życie tryskała energią i zdrowiem, mogła umrzeć w zaledwie kilka miesięcy po wykryciu raka.

– Czułeś się tak od samego początku? – spytała. – Mogłeś mi powiedzieć.

– Nie chciałem cię martwić – odpowiedział Joe.

Głaskał ją po dłoni i mówił cichym, spokojnym głosem. Jeżeli coś się znajdzie, wyjaśniał, mogliby oboje rozważyć sprawę w myślach, bez pośpiechu, zastanowić się, co sądzić o krótkim wyjeździe do Stanów. Może powinien mieć oczy szeroko otwarte, tak na wszelki wypadek, w razie gdyby się nadarzyła jakaś dobra okazja?

– Ale tylko jeśli się zgodzisz – dodał.

Alina pomyślała o ojcu – z kim będzie spędzał Boże Narodzenie? – i poczuła ucisk w gardle. Odwróciła głowę i przełknęła ślinę, nie chciała, żeby widział jej łzy, choć nie wiedziała w zasadzie dlaczego.

– Czy „krótki wyjazd do Stanów” oznacza po prostu krótki wyjazd czy krótki wyjazd, który z czasem zacznie się wydłużać? – spytała w końcu.

– Nie wszystko da się zawsze z góry skalkulować – odpowiedział Joe takim tonem, że Alina się poczuła jak rozkapryszone dziecko.

– Przenosimy się do Stanów – oznajmiła Julii.

Ich pociechy raczkowały przed nimi na dywanie. W salonie Julii paliły się światła i cicho grał telewizor. Jadły ciastka i w ogóle nie patrzyły na puszczone z magnetowidu film, w którym singielka i samotny facet nie mogli pojąć, że zostali dla siebie stworzeni.

– Kiedy? – Julia wszystko chciała wiedzieć. – Gdzie? Na stałe? Czy ty też będziesz tam pracować? Do jakiej szkoły pójdzie Samuel?

– Nie wiem – powiedziała Alina.

Julia spojrzała na nią i zrobiło się jej głupio.

Teraz każdego dnia czekała na to, że po przyjściu z pracy Joe

zakomunikuje jej od progu, że znalazło się dla niego miejsce w San Diego czy w Austin, w Santa Barbara albo w Albuquerque, i teraz ona musi się wypowiedzieć. „Tak” albo „nie”. Bała się dyskusji, która niechybnie wywiązałyby się po tej drugiej odpowiedzi, bała się argumentów, które musiałaby przedstawić, i kontrargumentów, jakimi zasypałby ją Joe; bała się wojny nerwów i negocjacji, od których będzie zależał los ich małżeństwa i wspólnego życia, ale także to, gdzie Samuel będzie chodził do szkoły, którego języka się nauczy i jak to się wszystko ostatecznie ułoży.

– To jeszcze ciągle kwestia otwarta – dodała i odwróciła wzrok.

Alina ufała, że wszystko się jakoś ułoży, tak potem powiedziała.

Julia kiwnęła głową. Zmieniała właśnie pieluchę swojemu małemu Jimiemu, już trzecią podczas tego filmu. Jimi przypominał Alinie Alfreda Hitchcocka.

– Wszystko się zawsze jakoś układa – powiedziała Julia.

– W zasadzie wszystko zależy od pracy Joego – rzekła Alina.

Julia powiedziała, że ją podziwia. Że pojedzie do obcego kraju, że nie będzie się bała zaczynać wszystkiego od zera. Słuchając jej, Alina zobaczyła siebie oczami przyjaciółki i nagle się ucieszyła, że wyjeżdża – tak, jest kobietą, która lubi przygody i samodzielność. Powiedziała Julii, że żal jej ojca, który byłby zdany wyłącznie na siebie. Miała wrażenie, że staje się coraz bardziej bierny i coraz bardziej uzależnia się od niej, że nie stara się już znaleźć w życiu czegoś dla siebie, a przecież ona nie może wiecznie żyć na warunkach starzejącego się człowieka. Coś w tym wszystkim nie do końca ją zadowalało, ale nowa, awanturnicza orientacja życiowa wydawała się ekscytująca i mogła nawet imponować innym, a kiedy Julia tak kiwała tylko głową, przyjmując jej słowa bez żadnych zastrzeżeń, Alina zaczęła powoli nabierać przekonania, że tak właśnie wygląda teraz jej sytuacja i nawet jeśli nie jest to sytuacja najlepsza z możliwych, to nie jest też znowu taka zła. To jej życie, które sama sobie wybrała, a za swoje wybory trzeba płacić – także wtedy, kiedy wybiera się bezczynność, dreptanie w miejscu i odrzucanie wszystkich propozycji. Za co często przychodziło zapłacić akurat najwyższą cenę.

Ale gdy po południu w domu patrzyła na pulchną, roześmianą buzię swojego Samuela, rozplakała się. Mała, kochana buźka. Płakała jeszcze, kiedy wrócił Joe. Sam pozmywał naczynia, nie musiała go nawet prosić, ale wydawał się smutny. Alina wiedziała, że ciężko znosi jej huśtawki nastrojów i obsesję na punkcie pozostania w Finlandii do końca życia.

Kiedy znowu się spotkały, Julia spytała, czy plany wyjazdu już się

skryzalizowały. Trzeba jeszcze dopracować szczegóły, odpowiedziała Alina i przez chwilę rozmawiały o przenosinach na inny kontynent, czego żadna jeszcze nigdy nie doświadczyła, o Amerykanach, których oprócz Joego żadna nie znała, i o życiu, które w Stanach z pewnością jest zupełnie inne niż w Finlandii, ale koniec końców na pewno takie samo jak wszędzie na świecie.

Potem pod zmyślonym pretekstem wymówiła się od obiadu z Julią. Nie chciała się przyznać, że plany wyjazdowe nie posunęły się o krok, a ona nawet nie wie dlaczego. Zaczęła podejrzewać, że te przenosiny do Ameryki sama wymyśliła.

Alina i Julia spotykały się na obiedzie co dwa tygodnie od czasu, gdy urodziły się im dzieci. Zmówiły się jeszcze w ciąży. Ale teraz było inaczej. Kiedy po jakimś czasie Julia ponownie zadzwoniła w sprawie obiadu, Alina zgodnie z prawdą powiedziała, że akurat tego dnia jej nie pasuje, no i tak przestały się spotykać.

Ćwierkały sikorki. W lutowym słońcu pachniał topniejący śnieg. Alina stała na balkonie i kołysała Samuela w wózku.

Zastanawiała się, czy Joe nie dostał dobrej propozycji, czy może zrobił się wybredny i przebierał w ofertach, żeby nie powtórzyć życiowego błędu z Aliną i Finlandią. A może sprawa cały czas posuwa się do przodu bez jej wiedzy i pewnego dnia Joe oznajmi jej po prostu, dokąd i kiedy się przenoszą? Może właśnie w tej chwili gdzieś w Buffalo NY jakiś dyrektor generalny czyta CV Joego? Albo Joe dostał za dużo dobrych propozycji i ciągle się zastanawia, próbuje odpowiedzieć sobie na pytanie, jakich wyzwań najbardziej potrzebuje, nie chce się deklarować, zanim nie nabierze całkowitej pewności?

Jak szybko będą musieli się przenieść? Próbowała sobie przypomnieć propozycję Joego i wynikłą z niej rozmowę. Czy się wtedy zgodziła albo dała do zrozumienia, że raczej się zgodzi? A co, gdyby jednak nie chciała wyjechać? Czy musieliby się rozwieść i zostałyby samotną matką z dzieckiem? Czy zniosłaby to?

Miała wrażenie, że Joe wzięłby niemal każdą pracę, byle tylko wydostać się z Finlandii. Ale od tamtej rozmowy nie wspomniał o wyjeździe już ani słowem. Czy to znaczy, że może jednak nic z tego nie będzie?

Co wieczór, gdy Joe wracał do domu z instytutu, Alina otwierała usta, żeby go o to spytać, w końcu jednak nie pytała. Bała się, że wszystko zepsuje, bo może Joe zapomniał już o całej sprawie albo po cichu pogrzebał ją w myślach. Przypominając mu o trudach życia w zimnym, nieprzyjaznym

kraju i o perspektywach świetlanej przyszłości za oceanem, mogłaby wywołać tylko ciąg nieodwracalnych zdarzeń – jak motyl, który wahał skrzydełkami w nieodpowiednim momencie.

Trudno było wjechać wózkiem do toalety. Kiedy wreszcie zdołała już jakoś wmanewrować go do środka, stała chwilę bez ruchu pod jarzeniówką. Umyła ręce i zastygła w oczekiwaniu. Gdy jakiś czas potem zdawało się jej, że słyszy na korytarzu kroki tamtej, z trudem wyjechała wózkiem z powrotem na korytarz.

Joe był w pokoju sam. Objęli się niepewnie – miała wrażenie, że Joe nie lubi jej przytulać w pracy, nawet kiedy są sam na sam; w instytucie odgrywał inną rolę niż w domu. Budynek trwał w głębokiej ciszy jak zamknięta fabryka.

Rozejrzała się. Jeśli nie liczyć biurka dziewczyny, pokój Joego wyglądał tak samo jak zawsze, co nagle wydało się Alinie zupełnie niepojęte. Ich mieszkanie zmieniło się całkowicie. Łóżeczko opanowało jedyną pustą ścianę sypialni, musieli przesunąć swoje łóżko, a w łazience zrobić dziury w ścianie i w miejscu, gdzie kiedyś stała szafka, zamontować przewijak. Na podłodze salonu stanął – najwyraźniej na stałe – obóz złożony z kosza zabawek i maty z pałakami. Choć dziewczyna zawłaszczyła połowę pokoju Joego, a dziecko całe mieszkanie, biurko Joego, tablica informacyjna i regał nie zmieniły się ani trochę.

– Co tak patrzysz? – spytał Joe.

– Po prostu zapomniałam, jak tu jest – odpowiedziała.

Joe poprawił spodnie i zaczął układać długopisy na biurku, jak gdyby nie mógł ścierpieć najmniejszych oznak nieładu. Nagle Alina poczuła się tak, jakby przyszła do niego obgadać jakieś bardzo nieprzyjemne, lecz konieczne sprawy.

Ona też tu kiedyś studiowała. Aż nie mogła teraz w to uwierzyć. Próbowała przypomnieć sobie zagadnienia, które autorzy podręczników uważali za ważne, szczegóły, o które w stołówce spierali się głośno i namiętnie chłopcy z kitkami, a które później straciły wszelkie znaczenie.

– No? – zagadnął Joe po chwili obopólnego milczenia i spojrzał na nią z uśmiechem: o co chodzi?

– Czy... nie ma już nikogo?

Jest, ta dziewczyna. Alina zerknęła na puste krzesło, na którym tamta przed chwilą siedziała. Przemknęło jej przez myśl, ile miesięcy czy może nawet lat wytrzyma w tej niewygodnej pozycji z podkurczoną nogą, jakich

zwyrodnien się nabawi, w których kręgach.

– Spokojnie dziś – przyznał Joe i przeciągnął się z wymuszoną swobodą.

Samuel stęknął w wózku, ale po chwili oddech znów mu się wyrównał. Ubrała go grubo, był mróz. Tutaj jest mu za ciepło i zaraz się obudzi, trzeba będzie zmienić pieluchę i dać pierś, i tak się skończy jej pięć minut z Joem.

– Więc... jesteśmy tutaj tylko we dwoje? – spytała Alina, myśląc o pokoju Joego.

– Gdzie chciałabyś pójść? – odpowiedział pytaniem.

– Pójść?

Wlepiała w niego spojrzenie. Sądziła, że Joe będzie chciał pokazać Samuela ludziom z wydziału, niektórzy byli także jej znajomymi, a przynajmniej kiedyś się znali. Czy nie dlatego właśnie tu przyszła? Czy on naprawdę uważał, że przyszłaby bez powodu do pracy męża w środku dnia? A może czekał, aż Samuel się obudzi? Alina zaczęła się zastanawiać, czy nie za często zapomina powiedzieć choćby w paru słowach, o co jej chodzi.

Nagle poczuła, jakby coś na nią spadło. Nie potrafiła tego nazwać, ale ciężar przygniatał ją do ziemi; czuła, że nie ustoi na nogach, musiała usiąść, lecz jedyne wolne krzesło stało przy biurku dziewczyny.

– Co ci jest?

– Zrobiło mi się trochę słabo.

Na pewno odwodnienie, to od karmienia, miała już powiedzieć, gdy nagle otworzyły się drzwi.

W progu stała tamta. Między wskazującym i środkowym palcem trzymała niezapalony papierosa, którym wahała parę razy, jakby dawała Joemu jakiś sygnał. Alinie przemknęło przez myśl: chyba nie będzie palić w pokoju przy dziecku?

– O, przepraszam – odezwała się dziewczyna po angielsku, papieros znieruchomiał. – Nie wiedziałam, że jeszcze tu jesteś – dopowiedziała po fińsku, nie patrząc Alinie w oczy.

– Idę tylko na fajkę – poinformowała Joego i zerknęła na papierosa, jakby to on był źródłem pomysłu. Miała świeżo umalowane usta, poprawiła małe rozmazanie, które Alina spostrzegła, kiedy z nią wcześniej rozmawiała.

– Przecież ty nie palisz – wymusnęło się Alinie, nim zdążyła pomyśleć.

Dziewczyna uniosła poczerwione brwi i spojrzała na Joego – *oho?* Alina miała nieodparte wrażenie, że tamta zaraz wybuchnie śmiechem.

– Dla towarzystwa – wyjaśniła jej dziewczyna. Jakby to był jakiś żart, pomyślała Alina.

– Dzisiaj nie mam za bardzo czasu – odezwał się Joe oficjalnym tonem.

Tamta uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć Joemu: wrócimy do sprawy, jak ta sobie pójdzie, po czym obróciła się na pięcie i zniknęła. Alina słyszała przez drzwi oddalający się stukot jej czarnych butów.

Odwróciła się do Joego.

– Wychodzę czasem rozprostować kości – powiedział i odchrząknął. – W wolnej chwili.

– Możesz sobie palić, jeśli o mnie chodzi – rzekła Alina. – Jestem tylko trochę zaskoczona.

– Nie palę.

– Chciałam powiedzieć, że nawet gdybyś palił, mnie by to nie przeszkadzało.

Starła się rozjaśnić słowa uśmiechem, ale twarz Joego pozostała pochmurna.

– Jak ona ma na imię? – spytała.

– Aleksandra.

Do Włoch Alina pojechała dlatego, że gryzło ją sumienie. Na samo wspomnienie serce znów zaczynało jej walić w piersi. Myślała o tamtym wyjeździe zawsze, kiedy miała wrażenie, że nigdy w życiu niczego nie przeżyła.

Była wtedy taka młoda. Od tamtego wyjazdu minęło zaledwie półtora roku, ale... była jeszcze taka młoda.

Nie miała najmniejszej ochoty zdradzać nikomu szczegółów swojej skopanej magisterki, nie mówiąc już o opowiadaniu o tym publicznie, ale Wallenberg machnął tylko ręką i dał jej do zrozumienia, że wyjazd należy do sprawy.

Widziałbym panią chętnie w swojej drużynie, powiedział Wallenberg, mając na myśli doktorat. Wallenberg mówił literacką fińszczyzną nawet w najbardziej swobodnych chwilach. Podkreślona oficjalność miała być zabawna i wzruszyła Alinę: sześćdziesięcioletni profesor, a taki bezradny. Drużyna Wallenberga liczyła dokładnie zero zawodników. Studenci wiedzieli, że profesor co rok ponawia próby namówienia kogoś do kontynuowania swojego dzieła, które nie miało żadnej przyszłości; wyjątkowej tematyce badawczej groziła śmierć naturalna.

Wyjechała do tych Włoch w ramach przeprosin za to, że nie zdobyła się na powiedzenie mu, że nie będzie pisać doktoratu i nie uratuje dzieła jego życia, choć między wierszami dała mu do zrozumienia, że nadal poważnie się nad tym zastanawia.

Kiedy w wielkiej hali wystawowej stłoczyły się setki uczestników konferencji i zaczęły się sesje plakatowe, Alina stała samotnie przed swoim posterem i modliła się, żeby nikt się przy niej nie zatrzymał, bo od razu zobaczy, że jest zwykłą oszustką. Wstydziła się swojej pracy, jej wyników i pośpiesznie rozrysowanego na plakacie schematu. Poster, którego wymiary w oficjalnej broszurze określono z dokładnością do jednego centymetra, wydawał się jej wręcz arogancki. Nadal nie mogła uwierzyć, że tę ogromną czarno-białą płachtę drukarnia uniwersytecka wyprodukowała specjalnie dla niej, by mogła ją pokazać właśnie tutaj. Musiało to kosztować setki marek. Alina robiła, co mogła, żeby wyglądać na nieobecną i pogrążoną w myślach, i z ulgą stwierdziła, że to działa – ludzie szybko ją mijali. Dokoła dyskutowano o jakichś badaniach i ich wynikach, a ona wtopiła się w swój nijaki plakat i puls powoli zaczął wracać do normy.

Jeszcze tylko kwadrans, pomyślała, starając się nie patrzeć co chwila na zegarek. Słyszała, jak Hiszpanka przy sąsiednim plakacie po raz trzydziesty opowiada o swoich badaniach. Za każdym razem mówiła to samo, powtarzała słowo w słowo te same dowcipy, które Alina знаła już na pamięć. *Ty, mogę cię zastąpić, jakbyś chciała wyskoczyć do toalety*, przemknęło jej przez myśl, kiedy patrzyła w jasną twarz dziewczyny. Ludzie słuchali jej chętnie, śmiejąc się uprzejmie we właściwych momentach.

Nagle pozazdrościła jej wszystkiego: projektu, jeszcze bardziej prymitywnego niż jej, wniosków, zbyt śmiałych w świetle uzyskanych wyników, angielskiego, znacznie gorszego niż jej, i sympatycznego sposobu prezentowania swojej pracy. Wokół Hiszpanki gromadziły się tabuny słuchaczy. Zwłaszcza mężczyźni słuchali jej z wyraźną przyjemnością, jak gdyby czekali na to spotkanie przez całe życie.

Wzdrygnęła się, bo zdała sobie sprawę, że ktoś przystanął przy jej posterze i uważnie mu się przygląda – sympatyczny cudzoziemiec o brązowych oczach. Mężczyzna spytał ją, czy mogłaby mu coś powiedzieć o swoich badaniach. Śmiało, jakoś to przeżyję, zażartował. Było w tym coś wzruszającego i nagle Alina poczuła, że ma już dosyć tych swoich zahamowań i kompleksów, tego śmiertelnie poważnego traktowania śmiesznej pracy magisterskiej i siebie samej, opowiedziała mu więc krótko, co zrobiła i co o tym sądzi, jak gdyby nie miało dla niej żadnego znaczenia ani to, co mężczyzna o niej pomyśli, ani to, że przekreśla właśnie swoją ostatnią szansę na zachowanie resztek naukowej wiarygodności – i najlepsze w tym wszystkim, że naprawdę nie miało to dla niej już żadnego znaczenia. Chcąc uprzedzić słuszną uwagę, że pod wieloma względami jej badania

zostały przeprowadzone błędnie i dlatego nie można z nich wyciągać żadnych wniosków, zakończyła pospieszonym stwierdzeniem, że cała sprawa była źle pomyślana od początku do końca.

Mężczyzna jednak zmarszczył czoło i rzekł: bynajmniej. *But listen* – tego wyrażenia użył. I nagle wszystko stanęło na głowie, bo wyobrażała sobie tę sesję dokładnie odwrotnie: krytykowała swoją pracę przed poważnym, liczącym się na arenie międzynarodowej badaczem – *prawdziwym naukowcem* – a ten jej bronił, twierdząc, że to ma sens.

Pierwsza i najważniejsza rzecz to postawić właściwe pytania, powiedział jej z takim przekonaniem, że miała wielką ochotę uwierzyć mu na słowo. Za nimi stała grupa poważnie wyglądających naukowców, starszych już panów w garniturach, i śmiała się z dowcipu Hiszpanki, który Alina usłyszała właśnie po raz trzydziesty pierwszy, a jej cudzoziemiec po raz drugi; spojrzeli po sobie i wyczytali w swoich oczach, że oboje zdali sobie z tego sprawę. Jednocześnie powstrzymali śmiech, a mężczyzna spojrział w sufit, dając jej do zrozumienia, że dowcip jest raczej kiepski, i nagle Alina zapragnęła, by jeszcze nie odchodził.

Mężczyzna podziękował i podszedł do następnej osoby, pucułowatego, zasapanego chłopaka w tak beznadziejnym ubraniu, jakie mogą nosić tylko młodociani geniusze. Po jego odejściu Alina spostrzegła, że stoi przed swoim posterem już inaczej niż wcześniej: teraz z uśmiechem patrzyła wszystkim w oczy i ludzie przystawali, żeby zerknąć na jej plakat, a ten i ów zostawał na dłużej; wtedy Alina referowała mu wyniki, jak gdyby jej badania należało potraktować bardzo poważnie, a ona sama była dumną ze swoich wyników badaczką, i ze zdumieniem stwierdzała, że żadna z osób, które się przy niej zatrzymywały, wcale nie miała zamiaru podważać jej kompetencji. *Interesting* – słyszała, i potem jeszcze: *thank you*. I: Zamierza pani opublikować te wyniki? Mogłabym prosić o przesłanie mi artykułu? Pożałowała, że nie ma mniejszych odbitek plakatu do rozdawania – inni mieli – nagle ludzie zaczęli ją o to ksero pytać. I nagle zapragnęła też, by czas przeznaczony na sesję plakatową – w sumie bardzo krótki – jeszcze się nie kończył: przecież dopiero zaczęła. Oferta wstąpienia do zespołu Wallenberga wracała czasem w myślach w zupełnie nowym świetle i Alina przyłapała się na tym, że rozważa ją prawie na poważnie: a więc tak mogłoby wyglądać moje życie.

Kiedy po sesji wyciągała pinezki z tablicy, myślała o Amerykaninie o brązowych oczach i o tym jego sympatycznym spojrzeniu. Pamiętała słowa, jakimi opisał jej badania: *methodologically sound*, metodologicznie bez zarzutu. Zastanawiała się, czy mówił poważnie, czy to tylko ten słynny

amerykański sposób na rozmowę – powiedzieć każdemu coś miłego, lecz niekoniecznie prawdziwego. Powtarzała w myślach jego imię – Joe – i nazwę uniwersytetu w Stanach, gdzie pracował; знаła ją z prasy i filmów. Próbowwała sobie wyobrazić, jak może wyglądać jego życie, przypominała sobie własne – i przez chwilę bardzo żałowała, że nie zrobi doktoratu i już nigdy nie przyjedzie na podobną konferencję, gdzie spotyka się podobnych do Joego uprzejmych, inteligentnych cudzoziemców.

Po sesji zwinęła swój poster w rulon, wsunęła go do tuby, którą kupiła specjalnie w sklepie dla plastyków, i zarzuciła pasek na ramię. Wtedy zobaczyła wchodzącego do hali Joego: wydawał się zagubiony, lecz po chwili ją dostrzegł i widocznie się ucieszył.

Nigdy się nie dowiedziała, czy wrócił tam dla niej, czy też miał inną sprawę do załatwienia, ale gdy zaprosił ją na kolację, chętnie się zgodziła.

Trzeba by znów o tym porozmawiać, pomyślała, gdy mijały dwa tygodnie od ostatniej próby. Może teraz będzie lepiej. Tak czy owak, musi jeszcze raz spróbować, niech się dzieje, co chce.

Wieczorami jednak, kiedy przypominała sobie o tym, bo okoliczności wydawały się sprzyjające, dziewczyna już leżała w pościeli – na plecach, z papierosem w ustach – i częstowała Joego, który odkładał na bok swoich arcymistrzów i sięgał do paczki. Tamta odsuwała kołdrę na bok, przewracała się na brzuch i wspierając się łokciami na poduszce, unosiła w górę tyłek, oddawała się mu.

Alina zamykała wtedy oczy i usiłowała zasnąć. Nie mogła nie słyszeć, jak z każdym jęknięciem srebrna bransoleta uderza rytmicznie w deskę u szczytu łóżka, o który zapierała się tamta. Jęczała też pod Joem w jakiejś kawalerce w centrum, gdzie na stołach nie walały się ubranka i zabawki, tylko leżały zagraniczne czasopisma z architekturą wewnątrz; Joe trzymał ją za jędrne pośladki i dopychał do ściany w brudnej toalecie na stacji benzynowej albo w pustej sali wykładowej późnym wieczorem, kiedy wszyscy już poszli do domów. Naga dziewczyna siadała na nim okrakiem w zatechłym pokoju hotelowym i w ciemnym pokoju w instytucie, pojękiwała i poruszała się tak, jak Joe zawsze chciał, tylko że jej, Alinie, nigdy tego nie powiedział – jak dzika kocica.

Czasami dziewczyna przychodziła też za dnia, a raz zjawiła się w stroju wieczorowym i jakby prosto od fryzjerki – w kostiumie bez rękawów, który miał na plecach rozcięcie sięgające prawie do pasa; nad łopatką Alina zobaczyła mały, dobrze dopasowany tatuaż. Do tamtej pory tatuaże widywała

tylko u marynarzy i zakapiorów po więzieniu, nigdy u młodej kobiety. Tamta siadła w fotelu obok niej podczas południowej drzemki Samuela, kiedy Alina oglądała dramat obyczajowy rozgrywający się w angielskim szpitalu, gdzie lekarze nie zajmowali się pacjentami, tylko spragnionymi miłości pielęgniarkami. Zerknęła na telewizor, potem na Alinę. Dobrze? – spytała spojrzeniem i Alina wyczuła jej złośliwą satysfakcję.

Wiedziała, co tamta sobie pomyślała.

Mamy z Joem tyle wspólnych tematów, mówiła jej tamta każdym aroganckim, triumfującym gestem. Z jej spojrzenia i zachowania emanowała pewność, że sprawa jest już przesądzona. Zostały tylko kwestie praktyczne, a te jak zawsze nie nadążają za uczuciami.

Alina poczuła ukłucie w sercu.

Dziewczyna już teraz pozowała na rzeczywistą partnerkę Joego, wyobrażała sobie, że wybawiła go od kosmicznej samotności. Widać to było po jej opanowaniu, po emanującym naturalną i bezsprzeczną seksualnością języku ciała. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, jak przy mnie wyglądasz? – pytały jej uniesione brwi już wtedy, gdy Alina pierwszy raz wybrała się z dzieckiem do instytutu. Tylko ze mną Joe może myśleć o tym, co dla niego ważne – mówił Alinie jej grymas – tylko ze mną może się sprawdzać w *dorosłym życiu*.

I dlatego Joe nie chce już wyjeżdżać z Finlandii, powiedziały Alinie drżące rzęsy tamtej, choć z początku nie potrafiła tego drżenia właściwie zinterpretować.

Jest nam ze sobą tak dobrze.

Niekiedy dziewczyna przychodziła zupełnie bez makijażu i biżuterii, a raz paradowała po dużym pokoju w długiej czarnej sukni z lat dwudziestych i w kapeluszu z woalką, trzymając w palcach długą cygarniczkę z papierosem bez filtra. Przyglądała się uważnie zasłonom, potarła tkaninę między palcami, spojrzała na Alinę i kiwnęła jej głową z aprobatą: całkiem okej – *zważywszy*. Albo uśmiechała się do niej jak do dziecka, które potknęło się o własne nogi. Raz czekała na Alinę w korytarzu, kiedy ta zziajana i spocona wróciła do domu z ciężkimi torbami zakupów, pchając wózek z płaczącym Samuelem. Alina udała, że jej nie widzi, czuła jednak, że tamta przygląda się jej z pogardą i politowaniem. Raz, gdy Joe był w domu, Alina weszła do sypialni i zobaczyła ją na kolanach, w samych kabaretkach. W pozie zamyślenia trzymała palec między wilgotnymi wargami, przymknięte oczy patrzyły sennie spod grubo wymalowanych rzęs.

Kiedy Alina nie potrafiła sobie od razu przypomnieć nazwiska polityka czy

celebryty, dziewczyna patrzyła na nią z boku ze złośliwą satysfakcją. Kiedy nie wiedziała, co myśleć o ważnej kwestii społecznej, czuła na karku palące, kpiące spojrzenie tamtej. Kiedy Joe tracił cierpliwość do jej powolnej, pozbawionej niuansów angielszczyzny, tamta stała już przy nim, młoda i szybka, gotowa wieść z nim uczoną dyskusję z nieporównywalnie większą swadą i poczuciem humoru na poziomie nieosiągalnym dla jego wiecznie niewyspanej, ociekającej mlekiem żony. Kiedy między Aliną i Joem zaczynało iskrzyć, dziewczyna zjawiała się i przysłuchiwała się rozmowie, a kiedy Alina złościła się na niego, dziewczyna siadała mu na kolanach i pocieszała go. Z zakurzonego archiwum biblioteki wydziałowej dziewczyna wygrzebała jej pracę magisterską i wieczorami czytała Joemu na głos co głępsze fragmenty. Śmiali się do rozpuku, aż dziewczyna przerywała i musiała ocierać łzy. Joe nie był w stanie usiedzieć na krześle i tarzał się po ziemi, trzymając się za brzuch.

Wkrótce Alina zaczęła widywać dziewczynę nie tylko w domu, ale także na spacerze z wózkiem, w modnej restauracji, gdzie tamta siedziała ze swoją jak ona bezdzietną i beztroską przyjaciółką. „Nie umiem sobie nawet wyobrazić ciebie jako blondyna, bo zawsze miałeś takie ciemne włosy – ale w sumie czemu nie. A on mi na to... No mówię ci, myślałam po prostu, że nie wiem, co zrobić! No, ja też w sumie nie miałam już siły iść nigdzie w sobotę, byłam zupełnie wypompowana”.

Dlaczego ona musi się zawsze pojawiać, dlaczego? Alina zrobiłaby wszystko, żeby się jej pozbyć, po prostu wszystko.

To śmieszne, pomyślała, gdy ruszyła z wózkiem przed siebie, a dziewczyna w oknie restauracji pomachała jej z uśmiechem, rozwierając doskonale, zmysłowe wargi i odsłaniając piękne, idealnie równe zęby. Powinnam iść na terapię, pomyślała Alina, na psychoanalizę, jak najdłuższą i do bólu nudną. „Tobie też przynieść?” – usłyszała Alina pytanie przyjaciółki i tamta odwróciła się od okna. „No, przynieś, dzięki”.

To jest po prostu absurdalne.

We Włoszech najpierw się zawahała. Powinna była odmówić, przynajmniej na początku. I tak też zrobiła – w myślach, zanim kelner uzupełnił jej kieliszek i spytał, czy życzą sobie deser. Im dłużej siedzieli w restauracji, tym trudniej znosiła przyciemnione oświetlenie sali, ciepłe wino i pełne szacunku pytania Joego.

Wbrew dobremu mniemaniu, jakie miała o sobie, oddała mu się w myślach już w taksówce. Doskonale wiedziała, co robi, gdy po jeszcze jednym

kieliszku calvadosu na dobranoc mimo walącego jak szalone serca wysiliła się na niewinność i w cichym hotelowym korytarzu spytała, czy Joe nie miałby ochoty na jeszcze jeden, u niej w pokoju.

Kiedy rano z rozpalonymi policzkami opowiedziała Julii przez telefon o Joem i dodała, że ona na pewno nie zgodzi się na nic – zaledwie parę godzin po tym, jak zmiękczona winem z niepojętą dla siebie naturalnością nakładała Joemu prezerwatywę – przyjaciółka odpowiedziała: „Ten jeden romans na wyjeździe kobieta musi w życiu mieć”.

Dwie ostatnie noce konferencji Alina spędziła w łóżku Joego. Wrzesień we Włoszech był tak gorący, że spali przy otwartym oknie. Świerszcze cykały miękko i obco. Nad ranem przemykała się chyłkiem do swojego pokoju, na wypadek gdyby Wallenberg przed śniadaniem zapukał do jej drzwi.

W samolocie profesor spytał ją, czy cieszy się z wyjazdu do Włoch. Poczuli, że się czerwieni; wróciła myślami do tego wszystkiego, co jej się tam przydarzyło: a więc to się przydarzyło właśnie jej, a więc tym razem to ona będzie opowiadać, a nie tylko słuchać.

Nigdy nie miała facetów na jedną noc, umiała się jednak znaleźć w nowej sytuacji. Była dumna z siebie – stanęła na wysokości zadania. I zachowa odpowiedni dystans, nie będzie tego wyolbrzymiać, powstrzyma pokusę, by wypełnić niejasności własnymi sensami. Wiedziała, że już nigdy Joego nie spotka, więc trzeba mu pozwolić odejść, zniknąć z jej życia. Gra była taka podniecająca po części dlatego, że właśnie tego oczekiwali mężczyźni.

Mimo to przystała na propozycję Joego i jeszcze tej samej jesieni spędziła z nim długi weekend w Londynie, gdzie on był na konferencji. Co, znowu? – zdziwiła się, gdy zadzwonił do niej, a on roześmiał się serdecznie, jak gdyby usłyszał dobry żart. A przecież ona spytała poważnie.

Na ten londyński weekend wzięła studencką pożyczkę – pierwszą i jedyną w swoim życiu – i to bez zastanowienia, co bardzo ją samą zdziwiło. Z początku nie chciała o tym powiedzieć nawet Julii, której mówiła wszystko, bo przyjmując propozycję Joego, pokazała swoją prawdziwą twarz: tylko udaje niewinną, a w rzeczywistości daje dupy na lewo i prawo. Później się zdziwiła, że Julia nie jest oburzona i nie zamierza wygłosić umoralniającego kazania. W głosie przyjaciółki usłyszała raczej zaskoczenie i radość matki, której strachliwy maluch wreszcie się odważył zamoczyć palec w morzu. Na ulotną chwilę Alina się zdziwiła – to z własnym życiem naprawdę można robić, co się tylko chce? – lecz zbudzona myślą radość wyrodziła się szybko w pytanie, czy Julia od zawsze nie uważała jej za kobietę zahamowaną, która wyparła swoją kobiecość. Ale w Londynie Joe był tak troskliwy i ciepły, że

Alina aż sobie zazdrościła – kobiecie, która nie pytając nikogo o zgodę, pojechała na cztery dni do Londynu tylko po to, żeby uprawiać seks z praktycznie nieznanym Amerykaninem, bo miała na to ochotę. I z Joem była w łóżku dużo śmielsza niż ze swoim byłym chłopakiem Jonim Hakalaininem, którego zachcianki odbierały jej dobre samopoczucie, odzierały z kobiecości i z porażającą jaskrawością obnażały każdy nieerotyczny szczegół ich intymnych sytuacji. A przecież w Londynie robiła z własnej inicjatywy to samo – i z Joem nie było to wcale żenujące, lecz po prostu cudowne, i to jeszcze bardziej utwierdzało ją w narastającym od pewnego czasu podejrzeniu, że przez całe dotychczasowe życie wlokła się jak głupia po bocznym torze. Kiedy Joe wspomniał nieśmiało o Finlandii, myślała, że się przesłyszała, ale kiedy tuż przed Bożym Narodzeniem rozsunęły się drzwi w hali przylotów lotniska Helsinki-Vantaa, Joe podszedł do niej z dwiema walizkami i pocałował ją długo i zachłannie – wszystko wydało się jej tak naturalne i oczywiste, jak gdyby oboje doskonale wiedzieli, co robią. Wszystko wydawało się naturalne i oczywiste także w tamte ostatnie grudniowe popołudnia, leniwe i senne, kiedy w mroku za oknem jej kawalerki padał śnieg i kiedy począł się Samuel. Cięża ją zaskoczyła – a więc to takie łatwe? I choć w tamte grudniowe noce może nie mieli w pełni przemyślanych rozwiązań i nie przypuszczali, że jeden weekend czystego szaleństwa tak właśnie może się skończyć, ostatecznie zrobili to razem i jeżeli tak to się skończyło, to znaczy, że tak właśnie miało być.

Nie przeszkadzała jej także długa i samotna wiosna, kiedy po Nowym Roku Joe wrócił do Stanów. Z radością obserwowała zmiany zachodzące w jej ciele – urosły jej piersi i brzuch, który niby był jej, a jednak obcy. Po raz pierwszy w życiu wsiadała do tramwaju i całym swoim promiennym ciałem wołała: patrzcie na mnie! I co dziwne, ani trochę jej to nie krępowało – jej, która nigdy nie pchała się na afisz; osobliwym zrzędzeniem losu tym razem nie chodziło o nią samą, lecz o coś większego, jak gdyby jej ciało było emanacją jakiejś ponadczasowej, transcendentalnej prawdy. I rozkoszowała się tym po trosze awansem; większość radości była ulokowana w nadchodzącym spełnieniu, we wspólnym, cudownym lecie, które z tygodnia na tydzień stawało się coraz bardziej realne. To dlatego w poradni mogła ze spokojem, a nawet rozbawieniem przyjmować podszyte troską pytania lekarki o partnera i spojrzenia znajomych, którzy znacząco patrzyli na jej rosnący paniński brzuch, bo wiedziała, że latem po przyjeździe Joego wszystko się wreszcie raz na zawsze ułoży – i będzie miała życie, o jakim kiedyś nawet nie śniła.

Alina chciałyby wrócić na sam początek i zrobić wszystko inaczej. Wszystko odkręcić: wspomnienia z Włoch i Londynu, cykające za oknem świerszcze, swoją prezentację i silny akcent Hiszpanki, hotelowy pokój na Piccadilly Circus, siebie i Joego; to, jak wszystko się zaczęło.

O ich rozmytych, nierzeczywistych początkach i sprawach, które wtedy przyspieszały jej oddech i nagle zmieniły jej życie w kulę wysokiego napięcia, Alina najchętniej już by nie myślała w ogóle. Kiedy przypominała sobie pokój w hotelu i świerszcze, serce już jej nie waliło jak szalone, tylko robiło jej się słabo, jak gdyby rano zapomniała zjeść.

Oto ona: kobieta, która w pierwszy wieczór na zagranicznej konferencji wskoczyła do łóżka z nieznanym, oddała się mu, zgodziła na wszystko, zaczęła romans na odległość, który nie miał żadnych szans. Weszła w relację, która gdzieś daleko, na innym kontynencie, doprowadziła do rozpadu innego związku.

Alina nie była taka.

Teraz najchętniej zmieniałaby wszystko tak, by okoliczności pasowały do niej i do Joego, pasowały do nich, do małżeństwa, do rodziny z dzieckiem. Do ludzi prawdziwych i godnych zaufania, którzy mają serce po właściwej stronie. I duszę.

Nocą, kiedy tuliła do piersi płaczącego Samuela, patrzyła na śpiącego Joego. To nie jest mężczyzna, który byłby do tego zdolny, pomyślała, on nie poszedłby do łóżka z inną, dopiero co poznaną, nie zaryzykowałby wszystkiego, nie zostawił żony i nie przewrócił swojego życia do góry nogami dla kobiety, o której nie wie absolutnie nic. Joe taki nie był.

Ale właśnie taki był.

Taka była prawda: właśnie tak Joe postąpił z nią, nie mówiąc o niczym swojej dziewczynie, nieznannej Alinie Amerykance. Jakiejś Hannah, o której ona nie wiedziała i którą zepchnęła z łóżka na podłogę, kiedy ta zjawiała się w pokoju hotelowym pełna goryczy i urazy, wcisnęła między nich, nabrała powietrza w płuca, by krzyknąć, że ona i Joe są zaręczeni – nie rozumiesz?! *zaręczeni!* – i pociągnęła Alinę za włosy, lecz ona zatkała dłonią usta amerykańskiej dziewczynie Joego i wykopała ją za okno – i dlatego są teraz tutaj we dwoje, i są właśnie takimi ludźmi, jakimi się przez to stali. I czy dlatego teraz, kiedy w ciemnym mieszkaniu Alina trzyma przy piersi Samuela, dziewczyna z instytutu śpi obok Joego na jej miejscu?

Alina przyglądała się twarzy dziewczyny. Bez grubego makijażu wydawała się jej bardziej miękka, serdeczniejsza.

Nagle, kiedy Alina odkładała Samuela z powrotem do łóżeczka, tamta

otworzyła oczy.

W jej oczach Alina dostrzegła pytanie: obudził się?

Udała, że jej nie widzi. Wiedziała, co tamta myśli: każdy jest kowalem własnego losu. Dziewczyna przystosowała się do wymagań, jakie świat stawia dzisiaj wszystkim. Nauczyła się czerpać przyjemność z najróżniejszych źródeł. Nikt nie jest nikomu nic winien, każdy odpowiada tylko za siebie. Nic nie jest pewne, nikomu nie można ufać i dlatego najważniejsze w życiu to dobrze się bawić. Co nie jest zresztą trudne, kiedy jest się młodą, pewną siebie panienką o jędrnej pupci. Jak nie masz dzieci, to możesz robić, na co masz ochotę: zamówić sobie truskawkowego drinka w południe, ostrzyć się kanciasto, odbić żonie męża.

Alina wzdrygnęła się, bo nagle dziewczyna usiadła na łóżku i pokręciła głową z wyraźną dezaprobatą. Zrozumiała tamtą bez słów: co ty możesz o mnie wiedzieć. Z mroku wybijały się jej mlecznobiałe, idealne piersi. Alina poczuła ukłucie zazdrości, ale zaraz przez głowę przemknęła jej triumfalna myśl: pogadamy później, jak zaczniesz karmić. Tak ludzie stają się zgorzkniali, zaczynają bezwiednie życzyć innym źle, pomyślała zaraz i posmutniała; miała wyrzuty sumienia.

Widzę, jaka jesteś, powiedziała jej Alina w myślach. Widzę to po twoim zachowaniu.

Tamta uniosła brwi, udając rozbawienie. Pofarbowała je na czarno, więc widać je było dobrze nawet w mroku.

Tamta pokręciła głową: nigdy nie zaczęłabym kręcić z facetem, który jest zajęty, mam swoje zasady.

Serio mówię, powiedziała Alinie spojrzeniem. I wskazała na nią palcem: ty też byś nie zaczęła.

To prawda, pomyślała Alina i chrząknęła. Nie chciała wierzyć, że mogłaby podrywać zajętego mężczyznę. Ale natychmiast przypomniała sobie Włochy i świerszcze – i zapiekły ją policzki.

Dziewczyna zmarszczyła czoło. Tym razem jej mina mówiła: Do czego by to doszło, gdybyśmy nie myślały o sobie? My, dziewczyny?

Prawda była taka, że Alina nie wiedziała. Joe wcześniej słowem nie wspomniał o swojej amerykańskiej dziewczynie, dopiero w Londynie. Skąd mogła wiedzieć? Z tej jego szczególnej intonacji, od razu odpowiedział jakiś głos w jej głowie. Z tego sekundowego milczenia, które zapadło, kiedy spytała Joego o poprzednie relacje. I to była prawda, przypomniała sobie, z jaką swobodą w głosie jej się oświadczał, z jaką pewnością; wołała interpretować to jako ufność we własne siły, a przecież inna od razu

przejrzała by go na wskroś. Później go o to spytała i w końcu – mimochodem, konstatuując jakby fakt bez znaczenia – przyznał, że rzeczywiście miał dziewczynę, a w zasadzie to był zaręczony, ale tamten związek się rozpadł po weekendzie spędzonym z Aliną w Londynie.

Przez całe cztery dni wypełnione tym wszystkim, co robili w londyńskim hotelu, tamta dziewczyna – jakaś Hannah po drugiej stronie Atlantyku – była z nim jeszcze zaręczona.

Skąd człowiek ma wiedzieć, jak powinien się zachować w każdej sytuacji? Chyba nie warto odmawiać sobie wszystkiego, czego się naprawdę pragnie?

Alina zerknęła na Samuela. Chłopiec posapywał spokojnie przez sen. Ona też była spokojna i ufnie patrzyła w przyszłość, po raz pierwszy od długiego czasu.

Próbowała sobie wyobrazić tamtą jako koleżankę Joego z pracy, która siedzi z nim w instytucie do wieczora i staje się jego dobrą znajomą. Może nie interesowała się Joem w takim sensie? Czy mogło tak być?

Z początku nie chciała dopuścić tej myśli do siebie, ponieważ miała wrażenie, że takim nastawieniem da dziewczynie zupełnie wolną rękę – mimo że wszystko rozgrywało się wyłącznie w jej głowie. Zaraz jej jednak ulżyło, bo tamta pokiwała głową: Masz rację.

A więc Joe jej nie interesował.

Alina długo się jej przyglądała. Potem położyła się obok niej. Czuła, że stopniowo puls się uspokaja. Ulżyło jej, ale zarazem poczuła zawód. Czyżby, mimo wszystko, miała nadzieję, że dziewczyna chce Joego mieć? Tak, chyba właśnie o to naprawdę jej chodziło: żeby tamta go pragnęła, lecz nie mogła mieć. Najchętniej przytuliłaby tamtą na zgodę. Wyobrażała sobie jej drobne, ciepłe ciało w swoich ramionach, przyjemnie byłoby to zrobić, życząc jej jak najlepiej.

Zamknęła oczy, gotowa wreszcie zasnąć. Zdąży przespać jeszcze parę godzin do szóstej, kiedy Samuel się obudzi i zacznie wołać o kaszkę. Alina zapadała się już w ciepłą, czarną otchłań, gdy nagle zbudził ją słaby szelest i znów poczuła znajomy ucisk w gardle.

Otworzyła oczy i obróciła się. Joe nie spał, tamta wróciła. Mówili cicho, żeby ich nie słyszała, wargi dziewczyny musnęły jego ucho. Potem Joe całował tamtą długo i zachłannie, tak jak ją całował na lotnisku, a dziewczyna zaczęła powoli ściągać z niego kołdrę i całować jego pierś wilgotnymi wargami. Schodząc coraz niżej, wsunęła szczupłą, dziewczęcą dłoń w spodnie jego piżamy, Joe westchnął głęboko i zamknął oczy – i Alina wiedziała, że już do rana nie zmruży oka.

W wietnamskiej restauracji, gdzie poszli na kolację po sesji plakatowej, Joe spytał Alinę, na którym jest roku studiów doktoranckich. Zacięła się na moment, ale odpowiedziała, że na pierwszym; nie odważyła się przyznać, że nie zaczęła nawet pisać doktoratu i jest zwykłym magistrem, który wcisnął się od zakrystii na konferencję dla prawdziwych naukowców.

Nie wiedziała nawet, czy w jej instytucie w ogóle jest jakiś program studiów podyplomowych, jak gdzieniegdzie za granicą. Ludzie pisali prace magisterskie, bronili i znikali na zawsze. W rewirze Wallenberga był pokój jakiegoś pracownika naukowego, ale Alina widziała go tylko raz: facet targał cztery wymięte reklamówki i wyglądał, jakby się nie mył od paru miesięcy. Czy ktoś taki mógł pisać doktorat? Nie była tego pewna.

– Na pierwszym? – Joe spojrzał na nią z podziwem. – Jesteście w Europie lata świetlne przed nami. U nas żaden doktorant na pierwszym roku nie byłby w stanie poprowadzić samodzielnie projektu badawczego. Nikt nie umiałby zrobić czegoś takiego. O *undergrade*'ach nie ma nawet co mówić, bo w Stanach to praktycznie ciągle jeszcze dzieci.

Alinie było wstyd, że go okłamała. Amerykanin zarzucał ją komplementami, na które wcale nie zasłużyła. Poczula, że pieką ją policzki, i musiała pójść do toalety i nałożyć sobie więcej pudru na twarz. Pochlebiało jej, że Joe widzi w niej Europejkę, kobietę z kontynentu, który wyprzedził Amerykę. Po powrocie do stolika musiała się skupić na grubym makaronie Cao Lau i od tego wszystkiego rozboleła ją głowa. Nigdy wcześniej nie jadła pałeczkami, choć z niewytłumaczalnego powodu powiedziała co innego, kiedy ją o to spytał. Świeża mięta i jakaś inna przyprawa, której nie rozpoznała, trochę podobna do cynamonu, dawały razem cierpko-słodki smak i serce zabiło jej mocniej na myśl o tym, gdzie jest i z kim – i ile można dostać od życia, jeśli tylko ma się odwagę brać.

Joe mówił o europejskiej mentalności i o tym, że Amerykanie w latach sześćdziesiątych na własne życzenie stracili charakter. Alina słuchała go i modliła się w duszy, żeby się nie zorientował, jak niewiele jego rozmówczyni wie o tym wszystkim, o czym jej opowiada. Próbowwała zapamiętywać używane przez niego wyrażenia, żeby się później nie zbłąźnić, bo mogą się jeszcze przydać: monitorować rynek pracy, robić *postdoc*, robić *undergrade*.

Joe powiedział, że wcześniej chciał robić *postdoc* gdzieś w Europie – no, chyba żeby mu ktoś od razu zaproponował profesurę – bo sądził, że to świetny sposób na poszerzenie horyzontów, kiedy jednak Harvard zaoferował mu *postdoc*, uznał, że to propozycja nie do odrzucenia.

– Idiota – mruknął pod nosem i roześmiał się, choć Alina nie wiedziała, o co mu chodzi.

Nic go w zasadzie nie trzyma na Wschodnim Wybrzeżu, podjął po chwili, zwłaszcza teraz, bo tak czy owak chyba będzie musiał wynieść się z Bostonu. Wyobrażał sobie, że nie miałby kłopotów z przeniesieniem się do Europy na jakiś czas.

Z jakąś piękną i inteligentną kobietą, pomyślała Alina i zaraz posmutniała; Joe wybierze sobie inną, bardziej pociągającą partnerkę, przeniesie się do ciekawszego kraju, do Holandii albo Hiszpanii. Szwecja na pewno też by go interesowała.

Postdoc na Harvardzie dobiegał końca i Joe rozglądał się właśnie za pracą. Za pracą? – zdziwiła się. Joe też był zaskoczony; dopiero po chwili Alina się domyśliła, że on przez „pracę” rozumie profesurę. W wieku dwudziestu ośmiu lat? Czegoś w tym wszystkim nie rozumiała, lecz wstydziła się zapytać.

Joe powiedział, że szuka wakatów w zasadzie wszędzie. Alina znów nie od razu pojęła, że to jego *wszędzie* oznacza oba wybrzeża Stanów, Wschodnie i Zachodnie. Rodzice i prawie wszyscy bracia i siostry Joego mieszkali w Bostonie lub Nowym Jorku. Z Europy miałby kawał drogi do domu na Święto Dziękczynienia.

– Choć w sumie aplikowałem też w Kalifornii – powiedział. – Z Bostonu do LA jest dwa i pół tysiąca mil. Helsinki nie są wiele dalej.

Alina potrzebowała nowej recepty, innej niż przed dzieckiem, bo teraz karmiła. W końcu jednak się umówiła.

Już sama myśl o wizycie u lekarza z Samuelem była przytłaczająca. Rozbieranie się i ubieranie, badanie, z natury trochę nieprzyjemne. Wszystko to wydawało się jej tak uciążliwe, że w końcu nie zadzwoniła do przychodni. Poza tym pigułki nie były potrzebne już od wielu miesięcy.

Ale kiedy delikatnie zaproponowała, żeby znowu spróbowali, Joe od razu spytał o receptę. Pamiętał, co mu powiedziała na samym początku – że nie lubi prezerwatyw. Ona byłaby skłonna zaryzykować, Joe jednak uważał, że to nie jest dobry pomysł. Nie chciał mieć więcej dzieci, w żadnym wypadku, a już szczególnie w takiej sytuacji.

W takiej sytuacji.

I dlatego Joe znowu był z dziewczyną, bo ona miała w nosie ryzyko i Joe razem z nią. I nocą kochał się z nią długo i namiętnie, jeszcze odważniej niż z Aliną w Londynie, aż raz musiała wstać z łóżka i pójść do łazienki, żeby przyrzeć się sobie w lustrze i w żółtawym świetle jarzeniówki porównać

najbrzydsze miejsca swojego ciała z tamtą, która zawsze będzie od niej młodsza, świeższa i bardziej napalona.

Po przeprowadzce do Finlandii Joe długo żył w innej strefie czasowej. Kładł się spać o czwartej nad ranem i budził w południe z chłopięcą radością, że przez całą noc było tak jasno. I ledwo wstał, już zabierał się do pracy. O leniwej kawce rano z mężem, na którą Alina tak czekała, nie było mowy nawet w weekend, bo Joe miał zawsze coś pilnego do zrobienia.

Wieczorami na początku lata spacerowali brzegiem morza wśród skrzeku strzegących gniazd mew – „Jak się nazywa ta rzeka?“, spytał Joe – a po powrocie do domu kochali się i wtedy Alina myślała: mam męża Amerykanina. Kiedy szli ulicą, trzymała go za rękę, dziecko w brzuchu pod cienką sukienką wierciło się niemiłosiernie i Alina widziała w spojrzeniu Joego pączkującą dumę. Ludzie na nich patrzyli i Alina czuła, że wszyscy to wiedzą: ma męża cudzoziemca.

Dopiero później się dowiedziała, że wcześniej Joemu zaproponowano profesurę na UCLA w Los Angeles – być może na stałe, gdyby współpraca układała się zgodnie z oczekiwaniami władz uczelni. Joe wyliczył Alinie naukowców, którzy tam pracują, wiedział, czym się każdy zajmuje i na której konferencji go spotkał, nie zapominając o tym, gdzie zrobił swój doktorat. Alina nie mogła wyjść ze zdumienia i podziwu. Sama umiałaby wymienić co najwyżej kilku badaczy oprócz Wallenberga, a i tych wyłącznie z nazwiska zapamiętanego z bibliografii swojej magisterki; nie miała pojęcia, kim ci ludzie są, w jakim kraju prowadzą swoje badania i czy w ogóle jeszcze żyją; w zasadzie nigdy nie pomyślała, że za przewijającymi się w tekstach naukowych nazwiskami mogą kryć się prawdziwi, żywi ludzie, którzy gdzieś żyją i pracują, i mają osobiste relacje z innymi ludźmi, nie mówiąc już nawet o tym, że mogliby być jej kolegami i koleżankami z pracy.

Spytała Joego, czy nie żałuje tamtej propozycji z UCLA. Zaczynało się właśnie lato i w Helsinkach było cudownie ciepło; siedzieli w parkowej kawiarence i jedli lody, popatrując na zatokę Töölö. Bujne pokrzywy za drewnianym płotem tworzyły sympatyczny zagajnik, pod stolikami wróble dziobały okruszki.

W głosie Joego usłyszała zupełnie nową nutkę i poczuła ukłucie nad swoim nowym, wielkim brzuchem.

– E tam. – Machnął ręką. – Praca jak każda inna.

Później usłyszała, jak rozmawiając przez telefon, gorączkował się do słuchawki: ile takich propozycji człowiek może w życiu dostać?

I przypomniała sobie, jak na własnym weselu brat Joego David spojrzął na niego poważnie i ścisząc głos, żeby Alina nie usłyszała, spytał: *What are you doing? Co ty robisz?*

Co miało znaczyć: popełniasz życiowy błąd.

Poczuła się urażona. David był dla niej serdeczny, ale za plecami mówił takie rzeczy. Dopiero później pojęła, że nie krytykował jej osobiście, lecz wybory brata: miejsca pracy i zamieszkania, środowiska; jego słowa nie były wymierzone w nią. Ona była w amerykańskim życiu Joego zmienną dodatkową.

Po tamtej rozmowie telefonicznej Joe zamyślił się na długo i w końcu zagadnął ją jakby od niechcenia, czy potrafiłaby sobie wyobrazić przeprowadzkę do Stanów.

– Sama nie wiem – odparła i więcej jej o to nie pytał.

W niedzielne wieczory Joe rozmawiał ze Stanami. Śmiał się wtedy inaczej niż normalnie, używał wyrażeń, których Alina nie rozumiała, rozmawiał o sprawach i osobach, których ona nie знаła. A potem, po skończonej rozmowie, także do niej mówił szybciej, tonem ostrzejszym i surowszym niż zwykle.

– Matt dostał grant NIH.

Albo:

– Jean-Marie dostał profesurę w Northwestern.

Albo:

– Maurę Tumulty poproszono o *keynote* na BU.

I:

– Danny musiał wziąć godziny.

A ona powinna rozumieć, o jak ważnym czy – w wypadku Danny’ego – jak tragicznym wydarzeniu mowa.

Potem sprawdziła: Joe się pomylił. Z Bostonu do Helsinek było znacznie dalej niż do Los Angeles. Niemal cztery tysiące mil, ponad sześć tysięcy kilometrów.

Joe chciał pójść do instytutu zaraz pierwszego dnia po przyjeździe do Finlandii, ledwo rano otworzył oczy. Alinę cieszył jego zapach. Joe już myślał o zapisaniu się na kurs językowy i pytał, czy w sekretariacie wydziału mówią po angielsku. Na uniwersytecie zatrzymywał się przy marmurowych ścianach i wypytywał o takie szczegóły historii budynków, o jakich Alina nie miała najmniejszego pojęcia.

Joe na każdym kroku pozdrawiał osoby, które nie miały nic wspólnego

z ich instytutem i dlatego patrzyły na niego dziwnie. Kiedy mu kogoś przedstawiano, natychmiast powtarzał imię jak papuga. Potem powtarzał je jeszcze Alinie, żeby sprawdzić, czy dobrze zapamiętał: Jaakhou? Heikhii? Su-ZAAna?

Sekretarka, która miała przynieść Joemu klucze do pokoju, nie zjawiała się do końca dnia. Czekali na kiepsko oświetlonym, wyludnionym korytarzu.

– Czy dzisiaj jest jakieś święto? – spytał Joe, używając słowa *bank holiday*; wtedy Alina zdała sobie sprawę, że on wyobrażał sobie ich instytut i cały uniwersytet zupełnie inaczej.

Nawet Wallenberg nie wiedział, gdzie jest pokój Joego. Kiedy w następnym tygodniu po długim śledztwie udało się to wreszcie ustalić, ich oczom ukazał się ciasny kantorek bez biurka i komputera na innym piętrze niż reszta instytutu. W jasnym słońcu lata okno wyglądało tak, jakby ktoś chlusnął na szyby wiadrem brudnej wody. W zakurzonym kącie wałała się sterta brudnych kser z czarnymi odciskami butów.

Joe musiał dokonać kilku poprawek w swoim artykule, który został niedawno przyjęty do publikacji, nie znalazł jednak w bibliotece żadnej z trzech prac, które recenzenci polecieli mu zacytować. Jedną musiał zamówić ze Stanów przez Księgarnię Akademicką, która zażądała stu marek za przesyłkę i kazała czekać na książkę dwa miesiące. Drugą przejrzał kolega Joego ze studiów i podyktował mu przez telefon najważniejsze fragmenty: Joe cały wieczór zapisywał je pracowicie ołówkiem w zeszycie. Kiedy odłożył słuchawkę, wyglądał na zrozpaczonego, a kiedy Alina spytała, czy wszystko w porządku, uśmiechnął się krzywo, jakby go bolał brzuch, i powiedział: *Yeah! Course.*

– Tylko że Bob zmarnował przede mnie tyle czasu. Głupio by mi było tak co tydzień go męczyć – dodał jednak, a jego krótki śmiech zakłuł ją w brzuch jak kolec.

Trzecią zasugerowaną przez recenzentów pracę Joe musiał zupełnie pominąć, co nie zaważyło na publikacji, ale Alina widziała, że Joe nie przywykł odpuszczać nawet w takich drobiazgach.

– Początki są zawsze trudne – powiedział i dodał po chwili: – Sama praca jest wszędzie taka sama.

Wieczorami, kiedy Alina mówiła, że idzie do łóżka, Joe odpowiadał wesoło „okej” i odwracał spojrzenie z powrotem na swój przenośny komputer. Alina pojęła, że czeka na coś, co się nigdy nie ziści. Gdy budziła się w nocy od kopnięć dziecka w brzuchu, słyszała stuk klawiatury i widziała tańczącą w dużym pokoju błękitną zorzę.

Zanim poznała Joego, nie spotkała na uniwerku nikogo, kto miałby własny notebook. Jej ojciec był posiadaczem komputera MikroMikko, który przypominał telewizor z migoczącymi na ekranie literkami z zielonych punkcików – innych nie znała. Telefonu komórkowego Joe na szczęście sobie nie sprawił. Spaliłaby się ze wstydu.

Próbowała ignorować uczucie, że Joe ma w sobie coś z amerykańskiego pyszałka. Coś z jej kolegi z klasy, Karriego, na którego wpadła kiedyś na ulicy. Zaaferowany powiedział jej, że założył firmę i będzie drukował przewodniki po internecie – grube spisy adresów internetowych przypominające papierowe książki telefoniczne – i już zacierał ręce, bo za kilka lat cały świat będzie używał internetu i takie spisy staną się czymś równie oczywistym i niezbędnym, jak zwyczajne książki telefoniczne. Może będą je nawet dostarczać ludziom do skrzynek pocztowych zupełnie automatycznie! Takim to sposobem Karri dorobi się fortuny.

Alina nie odważyła się powiedzieć mu, co o tym myśli. Idea spisu adresów może nawet byłaby niezła, gdyby tylko ludzie mieli z tego całego internetu jakikolwiek pożytek. Kilka razy słyszała na uniwerku peany na cześć tej nowinki, które maniacy nowoczesnej techniki wygłaszali takim tonem, by niewtajemniczeni nie mieli najmniejszych wątpliwości, jak bezdenne jest ich zacofanie. Kiedy także ich instytut dosięgnął szal nowocześnieści i na wydziale pojawił się nowiusieńki komputer PC/AT 386, w którym był także internet – widocznie można go było kupić w sklepie komputerowym – Alina poprosiła jednego przystojniaka, który znał się na technice, żeby jej go pokazał, choć trzeba przyznać, że bardziej chciała zapoznać się z chłopakiem niż z tym całym internetem. Nigdy nie zapomni tamtego poczucia totalnej klęski: chłopak nie był nią wcale zainteresowany, a w słynnym internecie nie dostrzegła absolutnie niczego, co mogło kogokolwiek zaciekać. Przypominał zbudowane pośrodku pustkowiecia komunistyczne miasto, wyludnioną i sztuczną technohybrydę pozbawioną wszelkich znamion życia, do której nie zapędzi się nikogo nawet batem.

Natomiast poczta elektroniczna mogłaby być nawet pożytecznym wynalazkiem – gdyby ktokolwiek chciał z niej korzystać. Ale skrzynka pocztowa, którą bez pytania założył jej nadgorliwy dział komputerowy uniwersytetu, była zawsze pusta – Alina nie potrafiła wymienić ani jednej osoby, od której mogłaby dostawać elektroniczne listy. Mogłaby sama wysyłać pocztę do koleżanek z roku, ale musiałaby znów specjalnie dzwonić do każdej z osobna z informacją o każdym liście, a tamta musiałaby znów specjalnie jechać na uniwersytet, żeby go przeczytać. Bez sensu.

Czerwiec tamtego roku był ciepły i słoneczny. Pachniało piaskiem i w zielonkawych listkach brzoź szeleścił wiatr. Joe był zachwycony parkiem Topeliusa, chciał siadać na tarasach kawiarenek i jeść wędzone śledzie („jeżeli Finowie właśnie to zamawiają w takim miejscu”).

Śmiał się i cmokał z zachwytu, że projektanci sedesu dla oszczędności wody przewidzieli dwa przyciski do spłukiwania. Opowiadał to potem wszystkim znajomym, którzy też się z tego śmiali. Podczas niedzielnych rozmów telefonicznych ze Stanami wyliczał matce najważniejsze fakty o Europie: nawet w najbardziej paskudnych barach nie wyrzuca się butelek po piwie do śmieci, w stołówce uniwersyteckiej wszyscy jedzą z prawdziwych talerzy, nawet studenci! Wędzony łosoś i sałatka za kilka dolarów. Państwo subwencjonuje posiłki studentów, rozumiecie to?! Klimat też nie jest taki zły, jak można by sądzić, zdumiewająco podobny do Nowej Anglii, mają tu nawet swoje jabłka.

Zwłaszcza w te jabłka chyba nikt mu nie uwierzył.

Alina z początku nie chciała przyznać się do tego przed sobą, ale coś w postawie Joego mocno ją irytowało. I trochę czasu upłynęło, nim wreszcie sobie uzmysłowiła, że to ten jego propagandowy ton: kiedy rozmowa schodziła na Finlandię, zaczynał mówić jak agent z biura sprzedaży nieruchomości. Było to na weselu Davida i Marnie na Long Island, na które poleciała z zaświadczeniem lekarskim, bo była już w zaawansowanej ciąży. Joe opowiadał właśnie wszystkim o bibliotekach miejskich, z których można wypożyczać do domu płyty, a nawet płyty kompaktowe, kiedy ją olśniło: będzie im wciskał tę Finlandię jak agent, każdemu z osobna.

Alina miała nadzieję, że na weselu dojdzie do ocieplenia jej relacji z teściową. Słuchając jednak słów hebrajskiej ceremonii, miała wrażenie, że zaczyna rozumieć, dlaczego kobieta utrzymuje dystans. Za każdym razem, kiedy Alina składała zmęczone ręce na swym dużym brzuchu, matka Joego odwracała szybko surowe spojrzenie. Widząc Davida i Marnie pod chupą, gości w jarmułkach i promienny uśmiech teściowej, gdy David zdeptał odłamki kieliszka i goście wykrzyknęli: *Mazeł tow!* – przyglądając się młodej parze, którą uniesiono na krzesłach nad głowy zgromadzonych, i słuchając rzewnych hebrajskich piosenek, Alina zrozumiała. Joe nie da matce tego wszystkiego, choćby nawet Alina się nawróciła (jeżeli jej przejście na judaizm zostałyby w ogóle uznane), choćby zorganizowali z Joem podobną ceremonię (co nie było już możliwe) i choćby żyli tak samo jak David i Marnie (co również nie wchodziło już w rachubę). W najlepszym wypadku Alina pozostanie dla matki Joego dzielną i ambitną, ale obcą namiastką.

Czy to, że jest chrześcijanką, polepsza cały układ czy właśnie go pogarsza, tego nie wiedziała. Kiedy przy stole teściowa spytała ją nieoczekiwanie, w co wierzy, Alina musiała przyznać, że sama tego nie wie. Później próbowała się przekonywać, że nie musiała wcale interpretować pytania jako krytyki pod swoim adresem. Była zła na siebie za to, że nie umie kłamać, ale i tak z powodu głośno grającej muzyki miała spore kłopoty ze zrozumieniem angielskiego teściowej, a na domiar złego dziecko tak mocno uciskało jej pęcherz, że od dłuższego czasu czekała tylko na przerwę w rozmowie, by wstać i pójść do toalety. Po tamtej żenującej wymianie zdań przy stole wymyśliła sobie wiarę, do której potrafiłaby się teraz publicznie przyznać: tak, istnieje coś potężniejszego od nas, jakaś niepojęta siła, którą przedstawiciele różnych wyznań nazywają po swojemu. Pod tym mogłaby się podpisać. Tylko że nikt już ją o to drugi raz nie spytał.

Matka Joego wyraziła życzenie, by Samuel chodził do żydowskiej szkoły i dorastał pośród Żydów, żeby potem – jeśli tego zechce – zostać bar micwą i pełnoprawnym członkiem społeczności żydowskiej. Alina nie miała nic przeciwko, owszem – sprawa wydawała się jej ważna i zupełnie naturalna. Później jednak zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna była mieć w tej sprawie coś do powiedzenia, czy nie powinna jednak być bardziej zasadnicza; może gdyby twardo opowiedziała się za czymkolwiek, choćby nawet wojującym ateizmem, zyskałaby cień uznania w oczach teściowej i rodziny Joego.

– Daj spokój – skwitował Joe, kiedy zwierzyła mu się z własnego nieuświadomienia. – Tradycje są oczywiście całkiem okej, ale...

Joe żałował, że po urodzeniu Samuela w rubryce „wyznanie ojca” nie wpisał *scientist*, a pod „grupą wyznaniową” – „zamknięty układ praw fizyki”. Alina była jednak pewna, że w rzeczywistości Joe nie potrafiłby całkowicie się wyprzeć tradycji swoich rodziców i całej rodziny. Czy naprawdę warto zapominać o sprawach duchowych?

Natomiast dziewczyna przystosowała się do obyczajów żydowskich tak naturalnie, jakby sama była Żydówką, i tańcząc na weselu, radośnie klaskała w dłonie matki Joego. Chrześcijanie i żydzi mają wspólne korzenie – dziewczyna świetnie to rozumiała i dlatego czuła, że jej religia nie oddziela jej wcale od Joego i jego rodziny, wręcz przeciwnie, łączy ją z nimi, co teściowa uznała za ważną, godną uwagi wypowiedź. W święto Paschy dziewczyna zasiadła z Joem do sederu i pijąc wino, pochyliła się od razu we właściwą stronę; wiedziała, że trzeba nalać prorokowi Eliaszkowi do osobnego kieliszka i już nie mogła się doczekać, kiedy Samuel trochę podrośnie i będzie

szukał ukrytego gdzieś afikomanu.

Dziewczyna rozumiała nawet Steve'a Earle'a i choć jego muzyki Joe w zasadzie nadal *nie lubił*, to jednak po zamieszkaniu w Finlandii zaczął ją chyba rozumieć. A tamta kiwała głową przystrojoną kowbojskim kapeluszem i mówiła z rozwlekłym południowym akcentem – to dlatego Alina nie chciała się odzywać, by jeszcze wyraźniej nie oddzielać się od Joego i dziewczyny.

I choć tamta była tak wyrozumiała, to przecież umiała wyznaczyć czytelne, zdrowe granice, bo wiedziała, co ją różni od rodziny Joego – i za to on i jego matka jeszcze bardziej ją szanowali.

Na weselu Davida i Marnie ktoś powiedział to na głos. Że Joe ma HS, syndrom harwardzki. Ludziom zbyt dobrze wykształconym życie wydaje się wielkim pasmem rozczarowań i dostarcza ciągle nowych dowodów na to, że nie układa się właściwie, że cały świat ciągle jest im coś winien.

Alina nie wiedziała, co obecnie Joe opowiada rodzinie o Finlandii, ale w domu nie mówił już o dziewięciomiesięcznym urlopie macierzyńskim, tylko o pogodzie: tutaj słońce nie grzeje nawet latem. Nie emocjonował się już, tak jak na początku, że studia magisterskie można robić przez siedem lat i w tym czasie dostaje się *pensję*, a jeśli zmieni się kierunek, to licznik się zeruje! Alina mu przypomniała, że system finansowania studiów został właśnie zmieniony z powodu kryzysu, pieniądze za studia dostaje się teraz tylko przez pięćdziesiąt pięć miesięcy i licznik już się nie zeruje, ale to nie przygasiło entuzjazmu Joego. *Kasa za darmo, od państwa!*

Teraz Joe krytykował fińskich badaczy, którzy są powierzchowni i leniwi, i fińskich studentów, którzy przychodzą na egzaminy, chociaż niczego nie przeczytali, i nigdy nie kończą studiów. Jak taki kraj ma się kiedykolwiek wydzwignąć z dołka? Granty i w ogóle cały system ich przyznawania były rodem z Rumunii Ceaușescu. Dlaczego Joe nie może się ubiegać o stypendium fundacji dla szwedzkojęzycznych Finów? Alina próbowała mu wytłumaczyć, że w ten sposób Finlandia stara się zagwarantować prawa mniejszości narodowych, może trochę tak, jak w Stanach dba się o prawa rdzennej ludności, lecz sama zaraz zdała sobie sprawę, że to porównanie kuleje. Szwedzkojęzyczni Finowie tworzyli historycznie raczej warstwę uprzywilejowaną niż uciśnioną, prawda? – spytał Joe. Albo prywatna fundacja, która przyznaje granty badawcze *tylko osobom urodzonym w Sawonii*? Taki mały kraj, a badaczy finansuje się na podstawie miejsca urodzenia, a nie zdolności albo osiągnięć?

Wszystko na pewno potoczyłoby się inaczej, pomyślała Alina, gdyby

badania Joego nie okazały się tak problematyczne. Joe miał rozpocząć serię doświadczeń na małpach Instytutu Fizjologii Zwierząt uniwersytetu w Helsinkach i tym właśnie tłumaczył sobie konieczność przeniesienia się do Finlandii. Na fizjologii mieli makaki, z których po długich bojach udało się wyhodować linię bardzo podatną na uzależnienie od alkoholu. Badanie alkoholizmu nie miało żadnego związku z ówczesnymi zainteresowaniami naukowymi Joego, ale gdyby eksperymenty z alkoholem jako tako mu wyszły, potrafiłby jeszcze jakoś się z nich wytłumaczyć przed sobą i przyszłymi pracodawcami.

Kiedy będę szukał prawdziwej pracy, jak zaczął mówić. Co znaczyło oczywiście: w innym kraju.

Jednakże z dwóch doktorantek, które zobowiązały się do wykonania eksperymentów Joego, jedna była w ciąży, miała gdzieś etatową pracę i przed końcem jesienno-zimowego semestru całkowicie się wycofała z udziału w badaniach. Druga zaczęła, potem jednak przestała nawet informować, że nie będzie jej na spotkaniach. Na lab meetingach, jak je nazywał Joe, chociaż Alina nieraz mu mówiła, że dla Finów brzmi to śmiesznie. Joe stawał na głowie, lecz nie zdołał się skontaktować ze swoją drugą doktorantką. W końcu ktoś mu powiedział, że dziewczyna wylądowała w szpitalu psychiatrycznym.

Jak w takim kraju człowiek może cokolwiek osiągnąć? – pytał Joe, kiedy ziemia stwardniała na kamień i w instytucie dyskutowano wyłącznie o szczegółach imprezy opłatkowej. Alina siedziała na sofie z małym Samuelem podpartym na poduszce do karmienia, otoczona fałdą materiału. Małpy już od miesięcy piły roztwór cukru i etanolu, ale ponieważ Joe nie był w stanie sam wykonać eksperymentów rozpisanych na trzech pełnoetatowych badaczy, samotne zwierzęta upijały się w klatkach zupełnie na próżno i Joe wyliczał Alinie na głos, ile tysięcy marek łąduje codziennie w błocie, i wściekał się, że wszyscy mają to gdzieś.

– Może nie trzeba było planować tak ambitnego projektu badawczego – chlapanęła nieopatrznie Alina. Irytowało ją, że winę za wszystkie niepowodzenia Joego ponosi cała Finlandia, choć to przecież jego praca. I mimo że we wrześniu urodziło im się dziecko, Joe sprawiał wrażenie, jak gdyby było to co najwyżej marginalnym przypisem do jego życia, chociaż wieczorami potrafił okazywać Samuelowi dużo czułości i miłości.

– *Ambitnego?* – Joe spojrzał na nią jak na idiotkę. – To najmniej znaczący, najprostszy i najbardziej śmieszny eksperyment, jaki w życiu wymyśliłem. Bo sądziłem, że coś takiego da się zrobić nawet w Afryce. Ale okazuje się, że w Finlandii nie da się zrobić nawet tego. *Nawet tego!*

– Może po prostu wyobrażałeś sobie, że pójdzie łatwiej, niż to w rzeczywistości możliwe.

– Wszystko już szlag trafił! Nie dam już rady pomierzyć *baselines*! Cały ten projekt nadaje się teraz wyłącznie na śmietnik!

– Trzeba było samemu pomierzyć! Chyba nie masz o to *do mnie* pretensji?!

– I pomierzyłbym, kurwa, możesz być pewna, że bym to zrobił, gdybym tylko wiedział, że w końcu przyjdzie mi robić wszystko samemu! Dlaczego w tym kraju nikt niczego od nikogo nie wymaga i nikt tu za nic nie odpowiada?!

Joe chodził podminowany przez tydzień. Powiedział, że życie w Finlandii jest jak demencja starcza: zagłada szarych komórek postępuje nieubłaganie, z każdym miesiącem człowiek coraz bardziej głupieje. Brakowało mu środowiska, które motywuje badacza do jeszcze większego wysiłku umysłowego, które wymusza na nim jeszcze bardziej intensywną, jeszcze lepszą pracę; powinien być tam, gdzie człowiek bezustannie uczy się czegoś nowego. A nie gnije samotnie w jakimś kącie i zapomina powoli wszystko, czego się kiedyś nauczył, bo przywykł już do tego, że nikt od niego niczego nie wymaga i z każdym dniem coraz bardziej odstaje od reszty świata. Joe się bał, że już nigdy niczego nie opublikuje, nie wystąpi więcej na żadnej konferencji. I jak on ma teraz szukać pracy?

I znów: Joe myślał o *prawdziwej* pracy, w Ameryce.

– Nie żartuj – odpowiedziała Alina. – Kariera naukowca nie może się zawalić w parę lat.

Joe spojrzał na nią przekrwionymi oczami.

– Ty akurat najlepiej to wiesz – wycedził.

I mimo że poczuła się nieco obrażona, musiała przyznać, że rzeczywiście nie ma o tym zielonego pojęcia.

– Po *undergrade* nie byłem nigdy w takiej sytuacji. Kiedy nie mam przynajmniej dwóch nowych rzeczy na tapecie. A tu nie mogę mieć nawet jednej, bo na załatwienie najgłupszej sprawy potrzebuję miesiąca.

„To nie jest Harvard”, powiedział mu Wallenberg pod koniec pierwszego semestru, kiedy Joe nawet nie zdążył zacząć żadnego z dwóch planowanych projektów badawczych.

„To widać”, odparł Joe. Wallenberg zamilkł i od tamtej pory nie przychodził na kawę do kuchenki instytutu, gdy siedział tam Joe.

– Nie macie tu w ogóle żadnej konkurencji? – spytał raz Joe w domu i Alina od razu poczuła się tak, jakby osobiście ponosiła odpowiedzialność za wszystkie problemy instytutu i niewielkiego obszaru językowego. – Dlaczego

zdolni studenci nie żądają wyższego poziomu nauczania albo nie przenoszą się gdzie indziej? Dlaczego po Finlandii nie krąży fama, że tu nie warto studiować? Dlaczego nie ma tu nikogo, kto nie bałby się chociaż spróbować?

– No, jest Wallenberg – odrzekła nieśmiało Alina.

– Który zgłębił w życiu jedno jedyne zagadnienie! Wszystkie jego wykłady i referaty są tylko o tym! O doświadczeniach, które robił w latach siedemdziesiątych! Czy naprawdę nikt nie widzi w tym nic dziwnego? Temat nie interesuje nikogo na świecie, ale wy tworzycie dla niego cały instytut! I nikomu nie przeszkadza, że studentom się nie mówi, że na świecie jest po prostu multum szalenie ciekawych zagadnień? I masa niewyobrażalnie łebskich uczonych, którzy cały czas robią niewiarygodne rzeczy?

– Temat chyba nie jest gorszy od innych – odpowiedziała Alina, urażona z powodu ataku na swojego promotora. I natychmiast sobie uzmysłowiła, jak wiele straciła w oczach Joego.

Miała powiedzieć coś o Stanach Zjednoczonych Ameryki, o tym raj, gdzie wszystko jest po prostu idealne, gdzie wszystkim biednym i chorym jest tak dobrze, jak u Pana Boga za piecem, w końcu jednak ugryzła się w język.

Kiedy Joe krytykował Finlandię, Alina wróciła myślami do zmęczonego Wallenberga, który spojrzał na nią tak serdecznie i dał jej zaliczenie, chociaż powinien ją oblać. Na seminarium trzeba było wybrać sobie temat i zaprezentować go przed resztą grupy, która miała spełniać rolę oponenta; prezentacja była pomyślana jako zaczątek pracy magisterskiej. Alina jednak nagle stwierdziła, że wybrała sobie zupełnie bezsensowny i nieważny temat, a co gorsza, że sama jest dokładnie taka, jak ów temat: tak nieważna jako człowiek, że ludzie jej nawet nie zauważają. I rozpłakała się, próbując wyjaśnić profesorowi, dlaczego zrezygnowała w końcu z obowiązkowego seminarium.

Wallenberg wysłuchał jej w milczeniu, skubiąc wąsy, a potem bez słowa wpisał jej do indeksu zaliczenie. Rzuciła mu się na szyję, czym zupełnie zbiła go z tropu. I czuła wobec niego tak wielki dług wdzięczności, że prawie nie wychodziła z nowej sali komputerowej na uniwerku, gdzie dniami i nocami pisała magisterkę, tak że trzy miesiące później, gdy reszta seminarzystów Wallenberga nie zdążyła jeszcze na dobre zabrać się do pracy, ona była już gotowa się bronić.

Wysiadając z tramwaju, Alina próbowała nazwać swoje odczucia. Podobno wrażenie jest takie, jakby się nagle straciło kończynę albo wyszło z domu bez ubrania.

Skute lutowym mrozem miasto rzeczywiście wyglądało inaczej bez Samuela. Alina przyglądała się kobietom w pikowanych kurtkach i łapała się na tym, że zgaduje, czy są matkami, a jeśli tak, to gdzie się podziały ich dzieci. A może nie chciały ich mieć? Albo chciały, tylko nie znalazły sobie mężów? Bezwiednie uśmiechała się do pchających wózki kobiet i czuła się trochę urażona, gdy te nie patrzyły na nią tak samo jak wtedy, kiedy była jedną z nich.

Po chwili zdała sobie sprawę, że zapomniała o Samuelu i myśli o rzeczach, które nie mają żadnego związku z dzieckiem i macierzyństwem. I najpierw się przestraszyła – czy nie zostawiła gdzieś Samuela? – a potem jeszcze przez jakiś czas miała dziwne wyrzuty sumienia, chociaż dobrze pamiętała, że jej syn został pod opieką Julii i jest z nią bezpieczny.

Chodnik posypano porządnie piaskiem, mimo to na nierównościach można się było poślizgnąć. Dzień wcześniej było ciepło, śnieg topniał na dachach i przy jezdniach, ale w nocy znowu zamarzał. Na rogu, skąd widziała już wejście na wydział, spojrzała na zegarek. Dopiero za dwadzieścia. Przystanęła i rozejrzała się. Przez to ciągle ubieranie i przewijanie Samuela wszędzie wychodziła wcześniej niż kiedyś i tak też stało się teraz, chociaż nie wzięła go ze sobą. A Joe pewnie jeszcze musi skończyć coś pilnego przed wyjściem.

Ruszyła wolno przed siebie; musiała jakoś zabić ten czas. Niebo wisiało nad budynkiem nieruchomą szarą masą. Przechodnie ukryci w czarnych zimowych płaszczach omijali zimny strumień samochodów. Chyba zaczynała rozumieć Joego – Finlandia nie była najłatwiejszym miejscem do życia na ziemi. Tylko że tak naprawdę jak bardzo życie ludzi w innej części świata może się różnić od ich życia? Poza tym niedługo znów przyjdzie wiosna, a zaraz potem krótkie, ale cudowne lato, które spodoba się nawet Joemu.

Powinni wyjechać gdzieś na parę dni, odpocząć. Wyprawa do Nuuksio, przyszło jej na myśl, może to by pomogło? Las, niezmacony spokój dzikiej przyrody, świeże powietrze. Na pewno by nie zaszkodziło. Zaplanowałiby trasę, pożyczili od kogoś porządne nosidełko, żeby Samuel zmieścił się nawet w grubym ubranku. Nad jeziorem upiekliby sobie kiełbaski i Joe nie mógłby się nadziwić, że na wędrowców czeka przygotowane drewno na opał, że nie trzeba go pilnować, nie trzeba sprzedawać, bo władze parku ufają, że obywatele nie ukradną, tylko użyją drewna do rozpalenia ogniska.

Alina weszła po schodach na piętro instytutu i skierowała się do pokoju Joego. Ucieszy się, że myśli o nim, że próbuje mu jakoś poprawić humor. Mogliby zaraz uzgodnić jakiś termin, żeby od razu wcielić pomysł w życie – dlaczego nie już w przyszły weekend? Wyprawa mogłaby im również pomóc

w podjęciu kolejnej próby, co ciągle odkładali na później. Alina zapukała do drzwi pokoiku Joego i dopiero wtedy przypomniało jej się, że ledwie przed chwilą sobie przyrzekła, że nie będzie mu przeszkadzać przed końcem pracy.

Przez głowę przemknęła jej myśl, że zdążyłaby szybko ulotnić się spod drzwi, zanim Joe jej otworzy, ale drzwi właśnie się uchyliły. Joe wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby jej nie poznawał.

– Przepraszam. Chyba przyszedłam trochę za wcześnie.

– Cześć.

– Przyszedł mi do głowy taki pomysł – zaczęła – że może... pomyślałam sobie, że... może i tobie by się spodobał.

Joe patrzył na nią, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Ale możemy wrócić do tego za chwilę – dodała.

– Okej – odburknął wyraźnie poirytowany Joe. – Jeszcze nie skończyłem.

– Spokojnie. Zejdź, jak skończysz. Ja w tym czasie pójdę na spacer.

Nie chce nawet posłuchać, uprzytomniła sobie Alina, schodząc na parter. Znowu pomyślała o Nuuksio i przypomniała sobie parki narodowe w Stanach: gigantyczne sekwoje, których nasiona Joe przysłał jej kiedyś z San Francisco, i orły, które fotografował ze skał nad brzegiem Potomacu i Shenandoah. Czy Nuuksio nie byłoby dla niego kolejnym rozczarowaniem, małą i nudną dziurą, jak cały ten dziwny kraj?

Szybko obeszła gmach i zatrzymała się ponownie przed wejściem. Upłynęło dopiero kilka minut.

Trzeba jeszcze jakoś zabić ten kwadrans.

Zamyślona weszła do środka. Za windą znajdowały się dwa stopnie, po których schodziło się do oszklonych drzwi wiodących z klatki schodowej na dziedziniec wewnętrzny. Alina bezwiednie spojrzała w tamtą stronę i ze zdumienia aż przystanąła – najpierw się ucieszyła, ale zaraz potem jej serce zamarło.

Po drugiej stronie dziedzińca stał Joe. I dziewczyna. Oboje w samych koszulach, przy prawie dziesięciostopniowym mrozie. Ona paliła papierosa i coś opowiadała, stali trochę pochyleni ku sobie. Joe wydawał się beztroski i był wyraźnie w dobrym humorze; Alina uzmysłowiła sobie, że już dawno go takim nie widziała. Ostatnie słowa dziewczyny utonęły w ich wesołym śmiechu, stłumionym przez odległość i oszklone drzwi.

Alina sądziła, że wejdą już do środka, ale tamta zapaliła drugiego papierosa. Joe zaczął podskakiwać w miejscu jak rozgrzewający się lekkoatleta. Rozmawiali dalej.

Przyglądała się im z pustej klatki schodowej i słyszała w ciemności echo

swojego oddechu.

Joe wyszedł na ulicę piętnaście minut spóźniony.

– Dokończyłeś sprawę? – spytała Alina, a Joe odpowiedział:

– Tak, dokończyłem.

W teatrze śmierdziało dymem. Na scenie palono w piecyku, najwyraźniej prawdziwym.

Alina nie mogła już dłużej wysiedzieć. Obiecała sobie, że nie będzie podsłuchiwać rozmowy Joego z dziewczyną, bo inaczej przepadnie jej cała sztuka. Tak rzadko ma dwie godziny tylko dla siebie, bez żadnych obowiązków, kiedy może być znowu dorosłym człowiekiem, wrócić na chwilę do dawnego życia, bez dziecka, do życia, którego częścią był, między innymi, teatr.

Strzępy rozmowy słyszała już w taksówce. Siedzieli z Joem obok siebie bez słowa i dziewczyna natychmiast wcisnęła się między nich. Alina nie słyszała wszystkiego, bo grało głośno radio i szumiał silnik.

– ...jawienie się dziecka... związek? – spytała tamta.

Rozbawione prychnięcie Joego, które miało znaczyć: jeszcze pytasz.

– W jakim sensie?

Alina nadstawiła uszu. O mały włos nie poprosiła Joego o powtórzenie, chciała włączyć się do rozmowy. Na samą myśl serce zabiło jej mocniej, a czoło zrosiło się potem.

– No oczywiście to, że... ze wszystkiego robi... w tym sensie... komplikowane... mąż i żona. Nie mamy już... zasadzie... matów.

– O takich rzeczach trzeba rozmawiać, to ważne.

Dziewczyna chciała wysłuchać i zrozumieć obie strony, poznać różne punkty widzenia. Potrafiła się kontrolować, hamować, żeby nie przytłoczyć nieśmiało kielkujących uczuć Joego, nie spłoszyć go. Mówił do niej cichym, konfidenicznym tonem.

– W sumie to nie rozmawiałem o tym z nikim tak od początku do końca. Ty jesteś pierwsza.

– Przecież to... prawdę ciężko. A twoja żona nie chce rozmawiać... ważne?

– Nasze relacje... jak to się zaczęło i... na tyle zmieniło... także pod tym względem, że już nawet teraz nie myślę o tym tak często.

Usłyszała jego westchnięcie. Kiedy na nich zerknęła, dziewczyna gładziła go czule po policzku. Joe złożył ciężką od trosk głowę na jej ramieniu.

Z zamyślenia wyrwał Alinę nagły potok przekleństw i głośne huki.

Przypomniała sobie, że siedzi na widowni w teatrze: aktorzy w wojskowych płaszczach biegali po scenie i wrzeszczeli, tocząc pianę z ust; jeden walił kijem hokejowym w drewnianą podłogę.

Joe wydawał się rozbawiony sztuką, co zdziwiło Alinę, bo przecież nie rozumiał słów. Dziewczyna siedziała obok niego po drugiej stronie i ścisnęła jego dłoń. Pokazała na scenę i szepnęła mu coś na ucho. Joe skinął głową, cicho rozmawiali, uśmiechając się i kiwając głowami; było widać, że dobrze im ze sobą. Dziewczyna miała proste spodnie z obniżonym pasem i rozciągliwy sweterek, który zapewne celowo opinał zachłannie jej piękne piersi.

Tobie to dobrze, pomyślała Alina, nie musisz wybierać między jedynymi dwoma kostiumami, w których mieścisz się jeszcze po ciąży. Chodzisz też na pewno do siłowni i spa, paradujesz tam w wytwornym płaszczu kąpielowym i pijesz sobie herbatę. Pomyślała o następnym dniu i muzycznych zabawach w parku, na które znowu zaprowadzi Samuela – chyba że przestali je już organizować z powodu kryzysu – chociaż jej syn był jeszcze za mały, żeby w nich uczestniczyć, i tylko siedział jej na kolanach. Alina będzie śpiewać z innymi mamami piosenki, jakby naprawdę nie było lepszego sposobu na spędzanie czasu: trzy kaczuski poszły się bawić, hen daleko, za góry i lasy. I nie chciały wracać, choć mama się o nie bała i wołała kwa, kwa, kwa, aż tata musiał wyjść ze stawu i zawołać KWA!

Dopiero wtedy trzy małe kacuszki wróciły do domu.

Alina wierciła się w fotelu, w końcu głośno westchnęła. Siedzący obok mężczyzna spojrzał na nią, Joe jednak patrzył na scenę jak zahipnotyzowany. Chrząknęła, ale on nadal śledził rozwój wypadków na scenie, trzymając dziewczynę za rękę. Alina spojrzała na zegarek, jeszcze godzina. Nie, dosyć tego.

Chwyciła torebkę i wstała.

Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. Nie odwróciła się nawet, żeby ocenić wyraz twarzy Joego; przeciskała się z trudem przez wąskie przejście, lawirując pośród nóg siedzących.

Joe dogonił ją w szatni.

– Co się stało?

– Nie mam ochoty na taki rynsztokowy humor.

– Co ty mówisz? Przecież to bardzo zabawne.

Ruszyła do wyjścia, nie czekając, aż on odbierze swój płaszcz. Za szybko schodziła po schodach i boleśnie wykręciła nogę w kostce. Dziewczyna na pewno jeszcze pamięta, jak się chodzi w butach na wysokim obcasie. Alina

miała ochotę wyrwać z muru cegłę i cisnąć nią w okno secesyjnej kamienicy.

Była już na rogu, kiedy Joe dopiero wychodził z teatru. Krzyknął za nią. Nie zatrzymała się, szła dalej najszybciej, jak mogła, w szpilkach po oblodzonym chodniku.

Dogonił ją.

– Co to ma znaczyć? Wychodzisz i nawet słowa nie mówisz?

– Jeśli tak mają wyglądać te dwie godziny, jakie będę miała dla siebie w ciągu najbliższych sześciu miesięcy, to na pewno nie stracę ich na coś takiego.

– *Baby* – powiedział cicho Joe i objął ją. Stali tak przez chwilę. – To miał być nasz wspólny wieczór.

Spojrzał jej w oczy. Poczula łzy i dopiero gdy pociekły jej po policzkach, trochę ochłonęła. Jestem dla niego niesprawiedliwa, pomyślała. Dlaczego tak się zachowałam?

– Przepraszam – szepnęła i wytarła oczy. – Byłam już tym po prostu zmęczona.

– Nic się nie stało – powiedział Joe. – Miałaś ostatnio przejścia z małym.

Rzeczywiście tak było: Samuel źle spał od tygodnia, a może już od miesiąca, Alina dawno straciła rachubę.

– Pójdziemy się czegoś napić? – spytał i już ją ciągnął do pobliskiego baru.

Zamówił dla niej kieliszek czerwonego wina, a dla siebie piwo, usiadł obok niej i zaczął mówić. Słuchała cichego, spokojnego głosu Joego niczym hipnotyzera. Czuła, jak po jej ciele rozchodzi się błogie ciepło, i patrzyła przez okno na ludzi, którzy bez wahania szli przed siebie, do wyznaczonego celu.

Zauważyła, że coraz częściej zastanawia się nad tym, o co ją spytała teściowa na weselu. Pytanie nie dawało jej spokoju z kilku powodów: bo była niesprawiedliwa dla Joego, bo nie umiała się z nim porozumieć i miewała huśtawki nastrojów; swój udział miał z pewnością także stosunek rodziny jej męża do swoich korzeni. W każdym razie, kiedy karmiła Samuela w domu z nieodłączną butelką wody i obowiązkowym czasopismem dla kobiet, miała poczucie, że brakuje jej czegoś ważnego. Może do tego właśnie piła matka Joego i może dlatego Alina jest teraz tak wściekła na męża. A może, mimo wszystko, wciąż tak się gniewa na teściową, że nie potrafi wybić sobie z głowy jej pytania? Może jedno i drugie.

W co ona wierzy? Zauważyła, że po urodzeniu Samuela zaczęła myśleć o Bogu dość często jak na kobietę, która nigdy nie uważała się za osobę

wierzącą. To jej myślenie nie było jednak systematycznym poszukiwaniem absolutu przez człowieka skłonnego do refleksji religijnej czy filozoficznej, lecz rozpaczliwym dobijaniem się pijaka do drzwi, szukaniem kogoś, kto mu otworzy i na dzień dobry nie napluje w twarz.

Znowu poczuła ukłucie zazdrości o tę żydowskość Joego. Od katechezy była w kościele zaledwie parę razy; chyba na Boże Narodzenie.

Przypomniała sobie, że pastor na obozie mówił o tęsknocie. Rozpoznała ją w sobie, ale nie wiedziała, czy o to mu chodziło. Jej serce trawił bezustanny palący ból bez widocznego powodu – trochę tak, jakby ją ktoś uraził albo straciła na zawsze coś bardzo dla siebie ważnego. Czy to o tym uczuciu mówił wtedy pastor?

Próbowała sobie przypomnieć jego nazwisko, lecz wypadło jej z pamięci. Zapamiętała za to dobrze jego mroczną powierzchowność, czarną brodę i dziwną aurę tajemniczości; było w nim coś takiego, co na próżno starała się nazwać, kiedy wieczorem kładła się do łóżka i snuła rozmyślenia. Przypomniała sobie, że raz na obozie ona i inne dziewczyny dyskutowały o Lassem Virénie, że sława uderzyła mu do głowy i dlatego już nie chce mu się biegać. Pastor długo się im przysłuchiwał, w końcu spojrzął na nie i powiedział:

„Wy, dziewczyny, naprawdę nie wiecie, o czym mówicie”.

To samo mówił na katechezie: sami nie rozumiecie własnych słów. W jego głosie brzmiała powaga, której nie sposób było nie odczuć. Po obozie na zakończenie katechezy Alina nie odważyła się już powiedzieć nic ani o Lassem Virénie, ani o bieganiu.

Przypomniała też sobie, jak pastor stanął po stronie dziewczyny, która trzeciego dnia została odesłana do domu. Wychowawczynie, Katja Juutilainen – z jakiegoś powodu Alina ją akurat zapamiętała – pojechała z nią do wsi, a kiedy wróciły, dziewczyna płakała i wychowawczynie patrzyła na księdza z poważną miną.

Soczysta wiadomość obiegła pokoje lotem błyskawicy. Pół godziny później już wszyscy wiedzieli.

Któraś widziała kiedyś reklamówkę z apteki i zaraz skojarzyła. Innej Miia sama coś powiedziała, jeszcze inna znów wiedziała, z kim dziewczynę często widywano zimą.

Miia, nastolatka, która wpadła z jakimś osiemnastolatkiem.

Cały obóz zebrał się na wieczorną modlitwę w obozowej kaplicy – Miia też tam była, bo miała autobus dopiero następnego dnia. Alina słyszała tłumione parsknięcia śmiechem; Miia płakała. Czerwiec był chłodny, cały tydzień

padało; Alina włożyła sweter, a marzła i tak. Ktoś musiał powiedzieć coś bardzo zabawnego, bo dziewczyny powtarzały to sobie szeptem, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

Oczy pastora błysnęły i w jednej chwili już stał nad żartownisiami; dziewczyny aż podskoczyły ze strachu i Alina pamiętała, że też się stropiła – co teraz będzie, pobije je? – on jednak tylko upomniął je cicho: „Nie wypowiadajcie się na temat, o którym nie macie zielonego pojęcia”.

W jego głosie i spojrzeniu było coś takiego, że tamta ciężka chwila zapadła Alinie głęboko w pamięć jako ważne zdarzenie. Takie jak wtedy, kiedy miała pięć lat: sprzedawca przyłapał ją na kradzieży lizaka i mama przykazała jej surowo: „Nigdy więcej tego nie rób”.

Pastor zmusił dziewczyny, żeby przeprosiły Mii, i one, z oczami okrągłymi ze strachu, posłusznie to zrobiły – nawet te, które potem zeszły na złą drogę; Alina dowiedziała się dużo później, że najroślejsza z nich i najbardziej złośliwa trafiła w końcu do poprawczaka – a potem w umywalni słyszała ich pełne szacunku głosy: niezły szajbus z tego klechy, ja cie pierdole.

Dopiero następnego dnia Alina się dowiedziała, co je tak rozbawiło podczas wieczornej modlitwy: „Zapukaj więc do Mii drzwi, a ona dupy chętnie da ci”. Dziewczyna wyjechała bez słowa, kiedy one w stołówce jadły zupę. Alina widziała przez okno, jak pastor i wychowawczynie obejmują Mii, która już nie płacze; podnosi z ziemi torbę i wsiada do samochodu woźnego, który miał ją zawieźć na przystanek autobusowy. Ciągle padało, brzozy na szarym podwórzu trzęsły się jak z zimna.

Alina przypominała sobie, że w ostatni dzień obozu, już po odpytaniu z katechizmu, pastor powiedział o Bogu: „Do Niego można zwrócić się zawsze”.

Zwłaszcza w te cicho siniejące zimowe popołudnia, kiedy marudne dziecko było już nie do zniesienia, a ona czuła się tak porażająco samotna, że całe życie wydawało się jednym zdławionym szlochem, zwłaszcza w takie dni Alina łapała się na tym, że myśli o pastorze, katechezie i o tym, co jej wtedy powiedział.

Raz chwyciła już nawet za telefon; w książce telefonicznej znalazła numery parafii i na podstawie płci i brzmienia nazwiska wybrała już osobę, do której zadzwoni. Co za radykalizm – i jaka niewiarygodna pociecha: parafia podaje nie tylko nazwiska swoich pracowników, lecz także ich domowe numery! Tylko po to, by ktoś taki jak ona mógł do nich zadzwonić, kiedy poczuje taką potrzebę! Ale czy na pewno po to? Raczej nie – przecież nic jej z parafią nie łączyło. Odłożyła słuchawkę i już tamtego dnia nie zatelefonowała, dobrze

wiedząc, że później też tego nie zrobi.

Zaraz potem przypomniała sobie, że na zakończenie katechezy chciała porozmawiać z pastorem o Bogu. Chciała być jedną z tych osób, które po obozie pójdą na szkolenie dla liderów i będą potem pomagać wybierać piosenki na wieczornice. Ale kiedy wysiadła z autobusu przed kościołem i podeszła do pastora, żeby go spytać o to szkolenie, powiedział szybko: „Wszystkiego dobrego, Alino”, a ona nie potrafiła wydusić z siebie nic poza: „Dziękuję, wzajemnie”.

Mię widziała potem raz w mieście, wiele lat później. Była uśmiechnięta i wyglądała bardzo świeżo w białej letniej spódnicy w jasnofioletowe kwiaty, która pięknie opinała jej ciało. Trzymała za rękę wysokiego, przystojnego blondyna o wyglądzie sportowca; był wyraźnie od niej starszy. Alina pozdrowiła ją wesoło i szykowała się na wymianę zdawkowych uprzejmości, jak to podczas spotkania po latach, zaraz się jednak zorientowała, że Miia zupełnie jej nie kojarzy.

Wcale nie chciała patrzeć.

Ale gruby notebook Joego stał w tym samym pokoju co szafa z deską do prasowania. Tylko tam było wolne gniazdko telefoniczne, do którego Joe podłączał modem – skrzeczący i kwiczący jak złowróżbny robot. Alina uważała, że bez sensu jest płacić większe rachunki za telefon z powodu komputera – komu potrzebna poczta elektroniczna w domu? do czego? – ale po przyjściu na świat Samuela nie kochali się ani razu i Alina nie chciała, żeby ich relacja popsuka się jeszcze bardziej przez jakiś modem. Ona też miała jeszcze swoją elektroniczną skrzynkę pocztową – chyba? – ale nie pamiętała już, jak się do niej dostać. Zresztą, nikt jej nigdy nic tam nie przysłał.

Kiedy szła po deskę do szafy, myślała o zbliżającym się wieczorze: znów położą się każde na swojej połowie łóżka, Joe zamyśli się nad swoimi arcymistrzami, a ona zgasi swoją lampkę i powie sobie w duchu, że jeszcze za wcześnie i że nie może ciągle o tym myśleć, bo tylko wyolbrzymia tym problem.

Wtedy spojrzała bezwiednie na ekran komputera.

Najpierw dostrzegła nad ramieniem Joego listę z mnóstwem identycznych elementów – co to mogło być? Obudziła się w niej ciekawość. W tej samej chwili poczuła w sercu obrzydliwe ukłucie. Joe nie przerywał pracy, odwrócony do niej plecami.

„Aleksandra Viitasalo” – przeczytała na ekranie. I dopiero po chwili

połączyła w myślach nazwisko z kanciastą czarną fryzurą i komiksowymi brwiami.

Aleksandra Viitasalo Re: thingies

Aleksandra Viitasalo Re: Vs: Re: thingies

Niekiedy pojedynczy David Chayefski albo Arto Wallenberg, a potem znów:

Aleksandra Viitasalo Re: Vs: Re: Vs: Re: thingies

Aleksandra Viitasalo Re: Vs: Re: Vs: Re: Vs: Re: thingies

Aleksandra Viitasalo Re: Vs: Re: Vs: Re: Vs: Re: Vs: Re: thingies

Aleksandra Viitasalo Re: Vs: Re: Vs: Re: Vs: Re: Vs: Re: Vs: Re: thingies

Thingies, takie tam; sprawy, sprawki.

Schylając się po owiniętą miękkim przewodem deskę, Alina poczuła pulsowanie krwi w tętnicy szyjnej. Mnóstwo wiadomości elektronicznych, może kilkadziesiąt. Z kilku dni? A może tylko z jednego?

Karmiła i przebierała dziecko, usypiała je w ciągu dnia, zmywała, odkurzała, prasowała – *bo Joe musi pracować*.

Czy nie miał czasu na rozmowy z dziewczyną w pracy? Co było tak ważne, że trzeba było pisać o tym aż w tylu listach? Dlaczego nie chciał spędzać czasu wolnego z nimi – żoną i synem?

Joe nigdy nie wspomniał o tamtej nawet słowem.

Mówił, że musi pracować.

A tu się nagle okazuje, że musi załatwiać sprawki – *thingies*.

Zaskrzeczała elektroniczna niania, płacz Samuela dobiegał z głośniczka przez trzaski, jak gdyby ich dziecko znajdowało się gdzieś w przestrzeni kosmicznej. Alina pobiegła na balkon, wniosła gondolkę do pokoju i zaczęła rozbierać małego. Od komputera niósł się nieprzerwany stukot klawiatury.

Nie czytała jego listów. Widziała tylko fragment jednej wiadomości. Najwyżej dwóch.

Nie będzie czytać korespondencji męża.

Samuel darł się na całe gardło. Pomarszczona buźka była cała czerwona, Alina słyszała, że dziecko nie ma już siły krzyczeć. Od dawna tak płacze? Nie usłyszała go wcześniej czy niania nie zadziałała od razu?

Joe wystukuje na klawiaturze swoje elektroniczne listy, a więc to tak

wygląda ta jego praca. Lewy bucik, uaaa! – już dobrze, Samuel, już dobrze – stuk, stuk, stuk – prawa rączka z kombinezonu, uaaa! – stuk, stuk, stuk, lewa rączka, uaaa!

Rozebrała w końcu Samuela i kiedy brała go na ręce, usłyszała, że Joe idzie do kuchni i otwiera lodówkę.

– Mamy coś w sobotę? – spytał.

– Nie wiem.

Joe stanął w drzwiach sypialni, starając się złapać jej wzrok.

– Coś nie tak?

– Ty mi powiedz.

Joe wyglądał, jakby nie rozumiał.

– Coś się stało?

– Ty mi powiedz.

– Hej – powiedział i obrócił Alinę do siebie, tak że nie mogła już dłużej nie patrzeć mu w oczy.

– Kurwa, mógłbyś mi czasem chociaż trochę pomóc! – wybuchnęła.

Za bardzo jestem podminowana, pomyślała, rzucając na podłogę buciki Samuela, wpadam w histerię z byle powodu. Hormony, huczało jej w głowie, karmienie, ja naprawdę taka nie jestem: ciągle jakiś kryzys. Samuel, który przed chwilą w końcu się uspokoił, teraz znowu zaczął się drzeć i wykręcać, jakby chciał się jej wyrwać.

Joe patrzył na nią z niedowierzaniem. Bez słowa wziął od niej małego, położył na łóżku i zaczął ściągać rzeczy, których Alina nie zdążyła mu jeszcze zdjąć.

– *It's all right* – przemawiał do syna miękkim, cichym głosem. – *Everything's all right*, wszystko dobrze, nic się nie dzieje.

Kiedy już go rozebrał, wyjął z szuflady nową pieluchę, podniósł Samuela i ruszył z nim do łazienki. Alina poszła za nim, wycierając mokre policzki, i patrzyła, jak Joe myje małemu pupę i delikatnie osusza ją ręcznikiem.

Sprawiał wrażenie urażonego i miał oczywiście ku temu powody. Jestem niesprawiedliwą, histeryczną idiotką, pomyślała Alina. Dlaczego nie mogę być żoną zwyczajną, rozsądną i zrównoważoną psychicznie? Dlaczego muszę zawsze wyolbrzymiać drobiazgi? Ale w tym samym czasie drugi głos odwoływał wszystkie jej poprzednie argumenty – jesteś aż nazbyt cierpliwa, szeptał jej, nazbyt bierna, w ogóle nie walczysz o swoje.

Jesteś zerem, dlatego inni ciągle po tobie depczą.

– Przepraszam – powiedziała cicho.

– Mogłaś mi powiedzieć, że potrzebujesz pomocy – odrzekł Joe. – To chyba

oczywiste, że ci pomogę. Ale skąd mogłem wiedzieć.

– A ty mogłeś mi powiedzieć, że musisz jeszcze wysłać do tej dziewczyny dwadzieścia wiadomości.

Joe zamarł. Alina nie była już zła, głos też miała zupełnie spokojny. Czy ja to naprawdę przed chwilą powiedziałam? – pomyślała z niedowierzaniem, ale Joe ciągle nic nie mówił i nagle poczuła w sobie siłę.

Odwrócił się do niej.

– Co powiedziałaś?

– Ta dziewczyna.

– O kim ty mówisz?

– Przestań żartować.

Nadal głupio udaje, że nie wie, o co chodzi!

– Przypadkiem zobaczyłam. Przed chwilą, jak przyszłam po deskę do prasowania. Masz otwartą skrzynkę pocztową.

– Czytasz moje maile?

– Oczywiście, że nie! Ale spędzasz z tą dziewczyną więcej czasu niż z nami! Mówisz, że masz tyle pracy, a tak naprawdę wysyłasz do niej wiadomości!

Joe popatrzył jej przeciągle w oczy. Potem bez słowa odwrócił się do Samuela.

– Wszystko dobrze – powiedział do niego.

Joe leżał w łóżku na plecach i wpatrywał się w sufit. Nie ruszył swoich arcymistrzów i dlatego Alina wiedziała, że coś się szykuje.

– Nie podoba mi się to – odezwał się w końcu, uważnie dobierając słowa – że czytasz moje wiadomości.

– Nie czytałam.

– Gdybyś otworzyła list zaadresowany do kogoś innego i zajrzała do środka, żeby zobaczyć, od kogo przyszedł, czy byłoby to w porządku?

Uzmysłowiła sobie, że myślał o tym przez cały wieczór: w czasie złudnie spokojnej kolacji, w czasie wiadomości, planowania zajęć w następnym tygodniu, igraszek z Samuelem.

– Joe – powiedziała, ale on nadal wpatrywał się w ścianę; napięte ścięgna szyi zdawały się zupełnie sztywne.

– Chodzi o zasadę.

– Wchodząc do pokoju, nie można nie zobaczyć ekranu twojego komputera – powiedziała cicho.

– Co dalej? – ciągnął. – Zacznesz czytać tylko trochę z początku wiadomości? Tak tylko przypadkiem zacznesz zaglądać mi do kieszeni

marynarki, jakie tam mam rachunki?

– Rachunki? – zdziwiła się Alina.

Za pokój w hotelu, oczywiście, z tamtą; w przerwie obiadowej, może w już ustalone dni tygodnia.

Aleksandra, I want you so bad.

A może Sandra? Ona była Liiną, to może tamta została Sandra?

Sandra, take me in your mouth.

Sandra, baby, oh, I want you so bad.

– Nie o to mi chodziło – odparł coraz bardziej poirytowany Joe.

– Jakie rachunki masz w kieszeni marynarki?

– Nie mam żadnych rachunków! – ryknął.

Teraz całe mieszkanie zamarło ze zdumienia. Nigdy wcześniej nie krzyczeli na siebie.

– Posłuchaj mnie – zaczęła Alina i uzmysłowiła sobie, że dopiero teraz o tym pomyślała, kiedy zaczęła o tym mówić. Z trudem przegnała dziewczynę z pokoju. – Coś mi się zdaje, że powinniśmy mówić sobie o wszystkim.

Joe spojrział na nią takim wzrokiem, jakby usłyszał bardzo złą wiadomość.

– O czym?

– O niczym szczególnym, właśnie nie zawsze musi być to coś szczególnego. W zasadzie to myślałam, że wręcz odwrotnie, że może powinniśmy mówić sobie także o tych sprawach, które nie mają wielkiego znaczenia. I może przede wszystkim o tym, co się jeszcze nie wydarzyło, przynajmniej na razie.

Joe chyba nadal jej nie rozumiał, ale nie przerywał.

– Na przykład ta dziewczyna – podjęła Alina i powiedziała mu, że myśli o niej ostatnio zdecydowanie za często, zupełnie bez sensu. – Cały czas sobie wyobrażam, że masz inną kobietę. Więc jeśli rzeczywiście masz, to teraz byłaby dobra chwila, żeby mi o tym powiedzieć.

Alina próbowała mu wytłumaczyć, że doprowadziła się tymi wyobrażeniami na skraj szaleństwa, może dlatego, że nie spytała o nią wprost, kiedy pierwszy raz przyszło jej to do głowy.

Po chwili poruszyła też sprawę przenosin do Stanów. A także zwyczajów i tradycji. Ona, Joe i dziewczyna, wyjazd do Ameryki, country, chrześcijaństwo oraz wielki przebój Eppu Normaali – dla niej szalenie ważny, dla niego bez znaczenia – wszystko to nagle stanęło jej przed oczami jasno i wyraźnie, wskoczyło na właściwe miejsca, i miała wrażenie, że doskonale rozumie całą sytuację. I chciała wiedzieć o dziewczynie, ale ku swojemu zdumieniu nie była zła ani zazdrosna, a w każdym razie nie w tamtej chwili, choćby nawet Joe rzeczywiście z nią sypiał.

I powiedziała Joemu, że myślała o przeprowadzce do Ameryki i starała się do tego przygotować, nadal jednak nie wie, co on zamierza, co robi, czego pragnie. Powiedziała, że chce razem z nim decydować o ważnych dla nich sprawach, takich jak wyjazd za ocean czy wychowanie dziecka w duchu religijnym. Że bardzo by chciała, by mówił jej nawet o tych pierwszych, niewinnych krokach w stronę duchowości, o zachodzących w jego myśleniu zmianach, które mogą mieć wpływ na ich wspólne plany, żeby nie zapominał też o błahostkach, bo ją to wszystko ciekawi, bo ona chciałaby wiedzieć – w końcu, do licha, są mężem i żoną!

Na początku tej tyrady nie zdawała sobie jeszcze sprawy z tego, co się dzieje, ale nagle poczuła się pełniej sobą: wyraźniej poczuła granice swojego ciała i obecność Joego, i to olśnienie było wręcz podniecające.

Bo oto nagle uprzytomniła sobie, że jest gotowa z nim wyjechać, że była gotowa od samego początku – przeniesie się za ocean choćby i na zawsze, jeśli on tego chce. Ale powinien spytać ją o zdanie! Dlaczego tego nie zrobił? Z zażenowaniem stwierdziła, że ojciec był dla niej wygodną wymówką. Teraz jednak, gdy nagle uświadomiła sobie wyraźnie swoje granice i własną pełnię, była gotowa przyznać się nawet do tego. I chciała powiedzieć o tym Joemu, by poczuł, że znów wie o niej trochę więcej niż przedtem.

I wtedy zorientowała się, że dziewczyna jest z nimi: siedzi na podłodze przy łóżku i słucha w milczeniu. Jadła loda i kiedy zdała sobie sprawę, że Alina skończyła, ku jej zdumieniu skinęła głową z aprobatą. Potem kiwnęła jej ręką na pożegnanie i wyszła – najpierw z sypialni, potem z mieszkania.

Ale Joe tylko westchnął. Zamknął oczy i przyciskając powieki kciukiem i palcem wskazującym, powiedział:

– Zmieniłaś się.

Poczuła ucisk w gardle, zanim jeszcze zaczął wyliczać, w jaki sposób zmieniła się po ślubie i po urodzeniu dziecka: stała się niecierpliwa, płaczliwa, oziębła, nieuprzejma.

– Tak, masz rację, taka właśnie jestem! – krzyknęła ze łzami w oczach, bo gdzieś miał jej olśnienie i guzik go obchodziło, jak wielki krok do przodu zrobiła. Jego zacięta mina i twarde słowa wywołały z jej pamięci wszystkie te razy, kiedy nie dostrzegł, nie odgadł albo nie chciał zrozumieć, czego ona sobie życzy, i choć obiecywała sobie zawsze, że nie będzie mu tego nigdy wypominać, to teraz wylała na niego całą tę żołąć.

Nie ogarniała wszystkich wątków długiej i ciężkiej dyskusji, która się z tego wywiązała, i nie miała pojęcia, jakim cudem zeszli na te męczące, nieważne szczegóły. Kiedy skończyli, nie była pewna, czy Joe w ogóle

zrozumiał, że doznała olśnienia.

Później z całej tej rozmowy jasne dla niej było już tylko to, że wcześniej Joe chciał wyjechać z nią z Finlandii, lecz teraz patrzy na wszystko zupełnie inaczej.

Wróciła do tematu poczty elektronicznej jeszcze raz po czterech dniach; przemyślała sprawę i doszła do wniosku, że rzeczywiście postąpiła niewłaściwie. To nie jej sprawa, od kogo przychodzą wiadomości, które Joe ma w swojej skrzynce odbiorczej, i to też chciała mu powiedzieć.

– Czytać cudze maile – powiedział. – Przecież to tak samo, jak grzebać komuś w kieszeniach, ryć w śmieciach, szukać rachunków.

Przepraszając, myślała o jego zaciśniętych zębach i twardym spojrzeniu, którego cztery dni temu tak się przestraszyła: mój mąż nie może patrzeć tak twardo. Miała nadzieję, że Joe w końcu złagodnieje i poczuje się lepiej. Twarde spojrzenie rzeczywiście zmiało, ale na Alinę patrzył już nie ten sam Joe co kiedyś, tylko ktoś inny.

Wysłuchał jej przeprosin, ale miała wrażenie, że jest daleko. Skinął szybko głową ze zmarszczonym czołem.

– *Don't worry about it* – powiedział.

Nie przejmuj się tym.

Alina zmywała, kiedy nagle obok niej stanęła dziewczyna i pokazała palcem na salon. Odłożyła szczotkę do zlewu.

Patrz, mówiły oczy tamtej. Alina dostrzegła w nich sympatię.

Podążyła wzrokiem za spojrzeniem dziewczyny. Joe siedział na sofie i przeglądał swój *yearbook* ze studenckich czasów na uniwersytecie Browna. Pokazywał go kiedyś Alinie. Strony księgi wypełniały portrety bardzo podobnych do siebie młodych ludzi w śmiesznych czapeczkach, z amerykańskim uśmiechem na twarzy i niewiarygodnie barwną historią rodzinną. Ujęcia z meczów futbolu amerykańskiego i zupełnie niezrozumiałej dla niej gry, lacrosse.

Joe nie zdawał sobie sprawy, że ktoś na niego patrzy. Alina uświadomiła sobie, jak mały, smutny i bezbronny wydaje się jej mąż, kiedy wertuje kartki wyklejone czarno-białymi fotografiami. Paru kolegów ze zdjęć Joego Alina nawet poznała. Byli teraz profesorami na amerykańskich uniwersytetach; dawniej opowiadał jej o nich, jak się opowiada o pierwszej miłości, teraz już o nich milczał – byli pionierami nauki i zakładali ośrodki badawcze.

Przez chwilę Alina miała wrażenie, że Joe się rozpłacze. Jest teraz taki

mały i rozbity, pomyślała. Zerknęła na dziewczynę, ona także wyglądała na smutną.

Alina pojęła, co się stało. Joe ubiegał się o pracę, ale nic nie dostał. Poczula, że wzbiera w niej jakaś ciepła fala.

– Joe – odezwała się cicho.

Joe popatrzył na nią. Alina weszła do pokoju, usiadła obok męża i dotknęła jego ramienia. W jego oczach coś rozbłysło – i zaraz zgasło.

– Chodź tu do mnie – powiedziała i rozłożyła ramiona.

Ale on zamknął księgę, wolno wstał i zmęczonym krokiem podszedł do biurka i schował ją do szuflady; tam ją trzymał, bo Alina uważała, że kształtem i rozmiarem nie pasuje do regału. Wrócił do sofy i stanął przed żoną, jak gdyby nie wiedział, co ma dalej z sobą począć.

Objęła go. Po chwili wahania odpowiedział tym samym. W jej ramionach wydawał się ciepły, czuła pod palcami jego łopatki, wszystkie jego duże i małe mięśnie – oto jej samotny amerykański mąż.

– Joe – odezwała się. – Przepraszam cię, że tak to się wszystko ułożyło.

– Nie, to ja cię przepraszam – powiedział i znowu była pewna, że zaraz się rozplacze. Nigdy nie widziała jego łez. Przy porodzie podobno płakał, ale była tak wyczerpana pchaniem i utratą krwi, że chyba sobie nawet nie uświadamiała obecności położnej i Joego.

Poczula, że ostrożnie gładzi ją po włosach i wymawia jej imię: a-Liina.

– Rozmawiałem z Jackiem.

Imię wybrzmiało jak trzask bicza, choć mówił bardzo cicho i ledwo słyszała jego słowa.

Alina zamarła: to nie będzie prawda, nie może tylko dopuścić tej myśli do siebie.

O Jacku Demekisie z MIT Joe mówił zawsze z takim samym serdecznym szacunkiem, z jakim opowiadał o swoim dziadku.

Rozmawiałem z Jackiem.

A więc teraz to nastąpi: będzie musiała wysłuchać, co Joe uzgodnił z Jackiem, gdzie zostaną z Samuelem przeniesieni, jakie role zostaną im przypisane. *Don't worry about it*: przed nami dużo większe zmartwienia.

Don't worry about it: I tak nic z tym nie zrobisz.

Oddech Joego był krótki i urywany i nagle Alina przypomniała sobie, że już go słyszała: kiedy urodził się Samuel, zaraz po przecięciu pępowiny. A więc jednak widziała.

Tego wieczoru Joe nie wziął do łóżka książki, tylko leżał na plecach ze

smutną miną. Alina czuła ucisk w piersiach, ale obiecała sobie, że się nie rozpłacze.

Przez cały tamten dzień miała wrażenie, jak gdyby ktoś ich owinął niewidzialnym kocem. Niesamowite uczucie: przemarzłaś i teraz zbliżasz się wreszcie do ciepłego pokoju, gdzie w kominku buzuje ogień. Być może podobną pociechę znajduje tonący, gdy na koniec przestaje się szamotać i dopuszcza do siebie słodką, ciepłą senność. Parę razy łzy zaczynały jej cieknąć po policzkach ni stąd, ni zowąd – sama nie wiedziała, z jakiego powodu.

Joe położył jej dłoń na ramieniu, Alina zamknęła oczy i poczuła, że unosi się ramiączko jej koszuli nocnej i zaraz opada, i Joe ją całuje. *Baby*, szepnął, dobrze nam idzie. Ale głos miał przeproszający, jak gdyby doskonale wiedział, że wcale nie idzie dobrze. Poczowała, że jest wielki i twardy, a więc teraz to się stanie, teraz ma ochotę. Żebra ugięły się jej pod ciężarem jego ciała i ledwie mogła oddychać.

Parę dni wcześniej wreszcie zadzwoniła do ginekologa, dostała receptę i poszła kupić pigułki. Wzięła ze sobą Samuela. Wszystko poszło tak gładko, że nie mogła się nadziwić, dlaczego zrobiła to dopiero teraz.

W piersiach czuła ból, kiedy ją całował. Pałaca krew nabiegła jej do twarzy, do czubków palców u rąk i nóg. Dobrze nam idzie, *baby*. Wyglądało na to, że Joe nie żartuje, czuła jego dłonie tam, gdzie powinna je czuć, tam, gdzie tylko one umiały trafiać. Powtarzała sobie w myślach: Nie płacz, tylko nie płacz.

Uniosła nad głowę wyprostowane ramiona, nie miała już koszuli, Joe ściągał z niej majtki, nie miała już majtek, coś jednak było nie tak, choć czuła smak Joego. Musiała zebrać całą swoją siłę psychiczną, by nie dopuścić do siebie ciągle wzbierającej fali uczucia, i zrozumiała, że tym razem wszystko się uda, że nieważne, gdzie było źródło problemu, bo nie musi się już bać.

– Zaczekaj. – Powstrzymała dłoń Joego.

– Co jest? – spytał Joe.

Spojrzała w róg pokoju, pod łóżeczko Samuela, w okno, na zimny blask latarni obok parkingu i śmietnika. Nadstawiła uszu, czy nie słychać odgłosu gołych stóp w kuchni albo w salonie.

– Co się stało? – zapytał znowu Joe i spojrzał w tym samym kierunku.

Ale przy Joem nie było dziewczyny, nie było jej między nimi, nie było za zasłonami ani za oknem. Nie było jej w mieszkaniu i nigdzie nie było słychać jej głosu. Alina długo wodziła bezradnie wzrokiem po ciemnym pokoju, po sypialni, nim wreszcie przyjęła do wiadomości, że tamta nie przyjdzie jej na

pomoc.

– Nie wiem, czy chcę – powiedziała w końcu.

Serce waliło jej szybko i ciężko. Dłonie miała lodowato zimne i pomyślała, że są tu we trójkę: ona, Samuel i Joe.

– Nie chcę. – Tym razem już tylko do siebie, pod nosem.

Miała powiedzieć to jeszcze raz, najpierw do siebie, a potem na głos: „Nie chcę”, zanim będzie pewna, że to prawda. W ciemności nie widziała twarzy Joego i nie mogła z niej wyczytać jego myśli. W głębokiej ciszy mieszkania wyraźnie słyszała, że coś ostatecznie i nieodwołalnie pęka.

Magicicadas Baltimore, MD, USA

Z daleka przypominały osy. Czarny, stwardniały korpus i żółtawe niby-skrzydełka jak paznokcie u stóp starca.

Wychodząc z bibliotecznej kawiarenki na słońce, Joe próbował czytać artykuł. Zmierzał do swojego gabinetu, z tekturowego kubka ciekła mu na palce nikaraguańska freetrade'owa kawa. Czyżby od poprzedniego razu rzeczywiście minęło już prawie dwadzieścia lat? „New York Times” poświęcił im na pierwszej stronie trzy kolumny, w których profesor UCLA z Berkeley spekulował, jak zmiany klimatu mogą wpłynąć na ich zasięg.

Magicicadas, magiczne cykady. Wkrótce pokryją grubą warstwą wszystkie trawniki i chodniki; podrygując skrzydełkami, obsiądą drzewa, chodniki i dachy domów. Niemal dwadzieścia lat dojrzewały w ziemi – i teraz zaczynają wychodzić na powierzchnię. Zaraz po wykluciu wyglądają jak fantomowe ćmy o przenikliwych czerwonych oczach i przezroczystych, nierealnie bladych odwłokach; później jak świerszcze. Joe przypomniał sobie tanto uczucie: człowiek chodzi po żywym dywanie i przy każdym kroku rozlega się grzechot miażdżonych podeszwą skorup po nimfach.

Pozostałe informacje na pierwszej stronie to długo oczekiwana, ustalona w końcu na wrzesień premiera hitu nadchodzącego sezonu, czyli urządzenia iAm: mesjanistyczne oczekiwania technoblogerów, nerwowe poruszenia na rynkach. No i cóż: dzień bez rozpromienionej gęby Teda Browna z Freedom Media byłby dniem straconym; tym razem miliarder wypowiadał się o pensjach prezesów koncernów, które znowu pobiły wszelkie rekordy.

W nocy padało. Rano niebo było czyste, powietrze przyjemne. Joe ominął kałużę na chodniku i skracając sobie drogę przez trawnik, skierował się w stronę Bloomberg Hall; przed budynkiem siedziało w wiosennym słońcu paru studentów z książkami. Pod klinkierowymi ścianami kampusu ogrodnik podsypywał czerwoną korą sadzonki drzew. W powietrzu unosił się słodki, gryzący zapach chemicznego nawozu.

Wiosna to w Maryland najlepsza pora roku: ciepła, słoneczna pogoda przed dusznym, szklarniowym latem. Joe zszedł po schodach do instytutu i skierował się do toalety; był już spóźniony parę minut. Mył ręce, kiedy w kieszeni zabrzczał mu telefon.

Oczywiście Daniella; od pewnego czasu córka dzwoniła do niego ze szkoły pod byle pretekstem. Było w tym coś rozczulającego – nastolatka, która w każdej wypowiedzi podkreśla swoją niezależność, w przerwach między lekcjami musi dzwonić do ojca. Piętnastoletnia Rebecca nie zrobiłaby już tego nawet w obliczu zagrożenia życia.

Oddzwoni do niej, jak tylko wysuszy ręce. Ledwo telefon umilkł, Joemu przemknęło nagle przez myśl, że o czymś zapomniał.

Shit.

Lisa.

Joe znieruchomiał z namydlonymi dłońmi nad umywalką. Miał poprosić, żeby Lisie przedłużono status doktorantki na kolejny rok. Była jego najlepszą studentką, ale nie dostała żadnej propozycji *tenure track*, przynajmniej na razie. Nie chciało mu się wierzyć, żeby robiła coś nie tak. Chociaż może za bardzo się zgrywa na grzeczną dziewczynkę, przeprasza za to, że żyje. Jej rewelacyjna praca doktorska czekała praktycznie gotowa, nawet jeśli nie najłatwiejsza do sprzedania na rynku. Joe był jednak pewny, że Lisa od razu po obronie dostanie propozycję z jakiegoś uniwersytetu.

Ale w takiej sytuacji bronienie pracy nie było najlepszym rozwiązaniem.

Obiecał jej, że potwierdzi to najdalej poprzedniego dnia, jednak ktoś w instytucie mógłby zacząć kręcić nosem, bo każda odroczone obrona pogarsza statystyki uczelni – a już od czterech minut miał być w sali seminaryjnej i przedstawiać gościa wydziału Stana Lippmana, który oczywiście czekał już z prezentacją, gładząc bujne wąsy.

Lisa była bardzo sumienna i obowiązkowa i Joe bał się, że przystanie na pracę na godziny, choć to gra niewarta świeczki, bo nieetatowi wykładowcy pracują za głodowe stawki. Regułą były też kilkusetmilowe dojazdy do college'ów i osiemnastogodzinny dzień pracy bez urlopu. I ubezpieczenia zdrowotnego.

Oczywiście nic się jej nie stanie. Tylko że codziennie ktoś łamie nogę i trzeba nagle pójść do szpitala na wycięcie guza.

Z zamyślenia wytrącił go dzwoniący znowu telefon, *twinkle twinkle little star*, ktoś go wyraźnie potrzebuje. Szybko splukał i osuszył dłonie, *twinkle twinkle little star*, zatrzyma Lisę przy sobie jako TA, asystentkę do spraw nauczania, poprze jej wniosek o odroczenie obrony, niech sobie Barb mówi, co chce. Żeby dziewczyna miała chociaż ubezpieczenie. I za rok na początku kolejnego cyklu rekrutacji Lisa będzie świeżo upieczoną panią doktor, a nie ubiegłoroczną luzerką.

– Halo? – powiedział, kiedy wyjął telefon z kieszeni.

Najgorsze w uczeniu na godziny – i tego Lisa nie rozumie – jest to, że po roku czy dwóch przylgnie do niej opinia babki, która nie dostała się nigdzie na etat. A każdego roku na rynek wpada nowa banda młodszych od niej doktorów, jeszcze bardziej spragnionych sukcesu, urodzonych wyłącznie po to, żeby podbić świat.

Nie powinno się młodych ludzi bez potrzeby straszyć, ale z roku na rok rynek staje się coraz bardziej bezwzględny. Po kilku latach pracy na godziny można już nigdy nie zostać adiunktem na dobrym uniwersytecie.

Oczywiście jeśli nie zawieszają poprzeczki zbyt wysoko... Ale Lisa zapowiadała się tak obiecująco.

– Joseph? – usłyszał w słuchawce. – Cześć.

Serce zamarło mu na chwilę. Lisa i Barb Fleischmann znieruchomiały nagle na drugim pasie, jakby wjechały w ścianę. Z początku ze zdumienia nie mógł wykrztusić słowa.

– Alina?

Musiał odsunąć się od suszarki, która choć wyła jak syrena okrętowa, jakoś nie mogła wysuszyć porządnie rąk.

– Przepraszam, że dzwonię tak bez zapowiedzi.

Jej akcent był jak zapach: przeniósł go całe lata wstecz niczym ta nora w bajce, przez którą wpada się do innego, lustrzanego świata.

Zaczął się nieporadne przebijanie pozdrowień i ogólnikowych odpowiedzi na pytanie: „Co tam u ciebie?”. Alina długo szukała słów. Sytuacja jest niezręczna po części przez język, uprzytomnił sobie Joe. Alina zawsze mówiła po angielsku tak dobrze jak po fińsku, jeśli nie brać pod uwagę jej rozczulającego akcentu. Teraz słyszał, że od dawna nie mówi po angielsku na co dzień.

Wyczuł, że Alina zbliża się do sedna sprawy, bo nagle głos zaczął się jej łamać.

– Dzwonię tylko po to, żeby... To znaczy... pomyślałam, że powinieneś wiedzieć.

– Co się stało?

Alina odpowiedziała:

– Samuel jest chyba gdzieś tam.

Joe zamarł.

– Tu? W Baltimore?

– Nie. Nie wiem... W Stanach. Szczegółów nie znam.

– Bardzo się cieszę! Wybiera się do nas? Czy ma tu jakichś znajomych?

– Nie... nie sędzę. W zasadzie to nie wiem, czym on się teraz tak naprawdę

zajmuje. To znaczy, mówił mi różne rzeczy, ale...

Alina nie dokończyła, więc Joe spytał:

– Dałaś mu na pewno mój numer telefonu i nasz adres? Masz nasz nowy adres, ten na West Chestnut Parkway, prawda?

Wytarł dłonie w spodnie, przyciskając niezdarnie telefon barkiem do ucha, schylił się po plecak i szybko wyszedł z toalety. Było prawie dziesięć po; wiedział, że w sali wszyscy się już dziwią, dlaczego go jeszcze nie ma.

– Nie, bo... – Alina się zawahała. – On może nawet nie zamierza... Ja po prostu nie wiem, gdzie on teraz jest. Pierwotnie wybierał się na Zachodnie Wybrzeże, do Eugene, ale... No tak.

Joe dostrzegł w drugim końcu korytarza Kathy Liebgott, rozglądała się bezradnie – pewnie już go szukała. Ruszyła właśnie w stronę schodów. Joe zakrył dłonią telefon i krzyknął:

– Kathy! Już idę!

Odsłonił telefon.

– Posłuchaj, w zasadzie to muszę lecieć – powiedział. – Już jestem spóźniony. Muszę iść przedstawić jednego naszego prelegenta.

– Oczywiście – odrzekła Alina. – Przepraszam, że zadzwoniłam. W sumie to trochę tak... głupio z mojej strony. Ale... Nie chciałam cię martwić.

– Bardzo się cieszę, że zadzwoniłaś. Będę miał więcej czasu jutro, wtedy możemy się spokojnie rozmówić. Oddzwonię do ciebie – powiedział.

Przypomniał sobie, że Alina zawsze się dziwiła, jak można tak zakończyć rozmowę: *I'll call you back*. Jej zdaniem brzmiało to tak, że już zaraz, gdy tylko będzie to możliwe. Tłumaczył jej wtedy, że w Stanach wyrażenie to nie ma tego znaczenia, lecz jest zapowiedzią, że wrócimy do sprawy przy najbliższej okazji, z inicjatywy jednej albo drugiej strony. Trochę jak z *What's up?* – Alina sądziła, że używa się go do zagajenia rozmowy, i zaczynała opowiadać, co u niej, nieodmiennie rozbawiając swoich rozmówców.

Joe pospieszył do sali. Kathy czekała na niego w drzwiach, wyraźnie niezadowolona. Wszedł do środka, przeprosił za spóźnienie i przedstawił Stana Lippmana, który czekał na swoją kolej z szerokim uśmiechem na twarzy.

Martwić? – przypomniał sobie nagle, zanim zaczął mówić. Czy Alina rzeczywiście tak właśnie się wyraziła? Czy próbowała mu coś powiedzieć, ale przez ten cholerny pośpiech po prostu nie zdążyła? Kiedy Lippman rozpoczął swoją prezentację, Joe jeszcze kilka razy wrócił myślami do sprawy Lisy; dziewczyna dostanie za rok propozycję pracy i wszystko się ułoży, nie może być inaczej.

Helsinki sprzed dwudziestu lat pachniały śniegiem i wstydem.

Joe uznał, że chyba wie, jak się czuła Monica Lewinsky, kiedy na lotnisku odmawiała ludziom autografu. *I'm kind of known for something that's not so great to be known for.* „W sumie to jestem znana z czegoś, co wcale nie przynosi aż takiej chwały”.

Jego syn musi mieć dla niego tylko jedno określenie: ojciec, który go porzucił.

Joe przypomniał sobie mieszkanie rodziców w Nowym Jorku i widelec w ręku ojca, który zatrzymał się w pół drogi, kiedy im oznajmił, że jedzie robić postdoc do Finlandii. W zwojach jego mózgu na zawsze wypalił się ten obraz: ojciec spogląda mu prosto w oczy i pyta:

Do Finlandii?

Ton nie pozostawiał wątpliwości: Joe zamierzał z pełną świadomością wyrzucić do śmietnika swoje wykształcenie i przyszłość oraz wartości swojej rodziny.

Trzeba jednak ojcu przyznać, że zaczął wypytywać i uważnie słuchał odpowiedzi, marszcząc brwi i usiłując czytać z twarzy syna, dostrzec w jego decyzji chociaż krztynę sensu. Joe dał rodzicom oględnie do zrozumienia, że zasklepili się w swoich elitarystycznych wyobrażeniach i dlatego myślą, że nigdzie poza Stanami – a konkretnie poza uniwersytetami Ligi Bluszczowej – ludzie niczego nie umieją.

Finlandia jest może rozwiązaniem zaskakującym, lecz uratuje mu życie: wyjazd do Skandynawii uchroni go przed wyścigiem szczurów na elitarnym amerykańskim uniwersytecie, który jego ojciec uważa za oczywisty przepis na życie.

Tylko Hannah... Jakby niewidzialna pięść zacisnęła się na jego sercu. Będzie musiał powiedzieć im także to, że nie ożeni się z dziewczyną, z którą się zaręczył. Wiedział, że zwłaszcza ojciec bardzo się ucieszył – a może kamień spadł mu z serca? – kiedy jego syn zaczął się z kimś spotykać.

– Ale czego ty chcesz? – spytał ojciec. – Czego ty *naprawdę* chcesz?

Chciał Aliny; chciał wyjechać do Europy, do Starego Świata; chciał wieść życie, którego nie znali już przyjaciele ich rodziny: życie, które nie jest z góry zdeterminowane ani przez wolę jego matki, ani decyzje, jakie wcześniej podjął. Chciał świata, gdzie do pracy jeździ się w garniturze, pedałując z olimpijskim spokojem na starej holenderce bez przerzutek, gdzie nie trzeba wsiadać do sportowej wersji czołgu, żeby przejechać głupie sto jardów. Chciał wyskoczyć z torów, których każdy milimetr i najmniejszy nawet łuk był z góry zaprojektowany – także na tych odcinkach, które sam sobie wybrał.

Chciał się wydostać z imperium George'a Busha seniora, kolosa na glinianych nogach ropy, armii i show-businessu, do wyzwolonej, oświeconej i eleganckiej Europy, gdzie mur berliński i Związek Radziecki legły już w gruzach, gdzie na bulwarowych tarasach pod lipami pije się wino, w kawiarniach swobodnie pali haszysz, a rano je się croissanty z dżemem. Gdzie Europejczyków o afrykańskich korzeniach nie zamyka się w oddzielnych szkołach i gettach, gdzie turbobankierom i superkoncernom nie daje się w zastaw państwa i nie ratuje prywatnych banków pieniędzmi podatników, gdzie kobietom samotnie wychowującym dziecko funduje się długie, tłuste urlopy macierzyńskie, żeby nie musiały się martwić o pieniądze na życie. Do Europy, gdzie ludzie nie są debilnie naiwni, gdzie Żydów broniących Palestyńczyków nie stygmatyzuje się jako odszczepieńców ziejących nienawiścią do własnej rasy, którzy kalają własne gniazdo. Gdzie ewolucja gatunków nie jest kwestią opinii i gdzie lekarzom, którzy w świetnie wyposażonych szpitalach dokonują całkowicie legalnych aborcji, nie grozi się śmiercią.

Tego chciał.

Ale tak *naprawdę*? Czego chciał *naprawdę*? Poczul ukłucie w sercu.

„Oczywiście będziesz szukał pracy tam, gdzie uważasz za stosowne”, rzekł ojciec. „Matka i ja mamy tylko nadzieję, że będziesz szczęśliwy”.

„Ale...”, powiedział Joe.

Ojciec spojrzał na niego pytająco.

„Ale”, powtórzył Joe. „Mówisz, że *oczywiście będziesz szukał i oczywiście mamy nadzieję*, lecz tak *naprawdę* mówisz: ale”.

„To twoje życie”, rzekł ojciec i spojrzał na niego poważnie. „Rozumiesz? To twoja decyzja”.

„Pytanie brzmi, czy ty to rozumiesz”, odparł Joe i zmusił się do spojrzenia ojcu w oczy. Sam się przestraszył własnego pytania i natychmiast dostrzegł, że go zranił. Ojciec wyglądał staro, jeszcze starzej niż przed chwilą.

Miał ochotę go przeprosić i spytać, co o tym myśli – *tak naprawdę* – bo bardzo by mu się teraz przydała uczciwa rada. Ale wiedział, co ojciec o tym myśli, a to właśnie postanowił zignorować – i tak rzeczywiście zrobił, ponieważ tego właśnie zamierzał dowieść: że jego rodzice są w błędzie, że świat jest inny, niż im się zdaje.

Ojciec odwrócił wzrok i powiedział na próbę: „Finlandia”. Ściągnął usta, smakował tę „Finlandię” w myślach.

„W Helsinkach powstała *specjalistyczna jednostka badawcza*”, powiedział Joe i dopiero wtedy usłyszał, jak to brzmi.

„Joe...”, rzekł ojciec i spojrzał na niego. „W Europie mogą czasem tak mówić, ale...”.

„Tam też robi się badania”, przerwał mu Joe. „Możesz nie wierzyć, ale tam też są uniwersytety”.

„Joe”, odezwała się matka. Co miało znaczyć: Nie mów do ojca takim tonem.

Ten spojrzał Joemu w oczy i otworzył usta, ale nic nie powiedział, jakby toczył wewnętrzną walkę. W końcu pokręcił głową i zaczął od początku:

„żebyśmy się teraz dobrze zrozumieli. *Let me get this straight.* Zaproponowano ci etat – *tenure track* – na University of California Los Angeles, jednym z najlepszych uniwersytetów na świecie, a ty postanawiasz zrobić *roczny postdoc w Finlandii?*”.

Joe poczuł, że pieką go policzki.

„W Helsinkach współpracują ze Stanfordem, Berkeley i Oxfordem. Mówią o innowacyjności i networkingu znacznie więcej niż my”.

„Joe – ojciec wyglądał teraz na rozbawionego – słyszałeś kiedyś, żeby ludzie ze Stanforda musieli kogokolwiek przekonywać o swojej innowacyjności i powiązaniach?”.

„Pewnie nie wiesz, tato – odpowiedział Joe – że w niektórych, nawet małych, krajach europejskich mają dziś bardzo wysoki poziom, a to za sprawą dobrej jakości edukacji podstawowej i darmowych studiów. Oni tam nie pozwalają na to, żeby połowa ludności wychodziła ze szkół bez umiejętności pisania i czytania prosto na ulice, żeby handlować narkotykami i strzelać do siebie z uzi. No i praca nie jest w życiu najważniejsza”.

„Za młodu może się człowiekowi wydawać – powiedział ojciec powoli – że w życiu wszystko jest możliwe. Ale później się przekonuje, że niektóre decyzje życiowe miały jednak rozstrzygające znaczenie”.

„Otóż to”, przyznał Joe.

Zmusił się do spojrzenia ojcu w oczy.

Ten spuścił wzrok, starał się najwyraźniej to wszystko przetrwać. A więc nie jest zły, pomyślał Joe, próbując oddychać głęboko. Serce biło mu bardzo szybko.

Wreszcie ojciec spojrzał na niego i odezwał się cicho: „Joseph. Jeśli do nich zadzwonisz – dzisiaj, *zaraz* – myślę, że mógłbyś jeszcze...”.

„Nie będę dzwonić do UCLA. Już im powiedziałem, że idę gdzie indziej”.

Dwadzieścia lat później Joe był zaskoczony, jak trudno mu się teraz utożsamić z tamtym sobą. Czy człowiek za młodu rzeczywiście nie widzi nic zdrożnego w *wishful thinking*? W naiwnym myśleniu, że wystarczy wierzyć,

a losy świata same się potoczą w lepszą stronę?

Dwadzieścia lat później Joe z przerażeniem przyznał, że to całkiem możliwe, że wyjechał do Finlandii tylko po to, by udowodnić ojcu, że nie ma racji. Był na ostatnim roku studiów, kiedy ojciec zabronił mu porzucać świat akademii. On chciał założyć z przyjacielem Zachem firmę informatyczną, ale do ojca nie przemawiała idea produkowania coraz mniejszych komputerów, które wkrótce staną się obowiązkowym wyposażeniem każdego domu. Joe nie chciał iść w ślady ojca, który wydawał mu się zjawą tonącą w oparach teorii. Podniecała go myśl, że mógłby sam decydować o swoich godzinach pracy i sposobie jej wykonywania, że mógłby robić rzeczy, które zmieniają świat i do tego jeszcze dadzą mu pieniądze. Poza tym wszyscy wiedzą, że *academia* to świat zasuszonych mumii, duchowych trupów.

Ale ojciec mu zapowiedział: Nic z tego nie będzie. *You'll go to graduate school*. Pójdiesz robić doktorat. W wieku pięćdziesięciu jeden lat Joe nadal nie miał pojęcia, czy ojciec miał całkowitą rację, czy też popełnił kardynalny błąd, jednak odpowiedź ojca i jednoznaczny ton obezwładniły go wtedy. Natomiast sześć lat później mógł już myśleć o rewanżu i odbił sobie tamtą porażkę w sposób niemający z pozoru nic wspólnego z ową kłótnią, toteż ojciec niczego się nie domyślił. A nawet gdyby spytał syna o związek tych dwóch wydarzeń, Joe stanowczo by zaprzeczył; prawda była jednak taka, że zamierzał wyjechać do Europy właśnie dlatego, że zdaniem ojca nie miało to żadnego sensu.

„Co w Finlandii będzie robić Hannah? – spytał ojciec po długiej chwili milczenia. – Ona też tak szybko znajdzie tam sobie pracę? Wydawała się przecież bardzo zadowolona z Columbii?”

I gdy Joe nie odpowiadał, matka przyszła z kuchni z szeroko rozwartymi oczami – na pewno sądziła, że dobrze się domyśla.

„Czy Hannah jest w ciąży?”

Joe odchrząknął. Spuścił głowę, ale czuł na sobie ciężkie spojrzenia rodziców.

Nie zdołał podnieść wzroku, wiedział jednak dobrze, że matka zamarła i patrzy na niego z otwartymi ustami. Miał wrażenie, że milczenie trwało całą wieczność. Już dawno chciał im powiedzieć o Alinie: o tym, że ożeni się z Finką, która jest z nim w ciąży, która jest czuła, inteligentna, życzliwa i po prostu cudowna. Zachodzące słońce zabarwiło już okna na różowo, matka poszła do kuchni po kawę i Joe zdał sobie sprawę, że rodzice będą musieli poznać Alinę i zobaczyć ich razem, żeby go zrozumieć, więc nic im wtedy nie powiedział.

„Bardzo lubiłem Hannah”, powiedział w końcu ojciec. Przypomniawszy sobie teraz tamtą rozmowę, Joe musiał nagle zdjąć okulary i obetrzeć oczy.

Niemal słyszał, jak babcia, matka jego ojca, mówi: *Mensz tracht, Got lacht*. Człowiek planuje, Bóg się śmieje.

Czy zachowało się cokolwiek z tamtych nocy, kiedy uspokajał płaczące dziecko, nosząc je po ciemnym mieszkaniu w fińskim bloku, żeby Alina mogła się chociaż trochę zdrzemnąć? Z fińskich piure, które miksowała wieczorami blenderem, a którymi on karmił Samuela łyżeczką?

Uprzytomnił sobie, że zapatrzył się w szare linoleum sali seminaryjnej, kiedy poczuł sójkę Kathy i napotkał jej współczujące spojrzenie: Wszystko w porządku? Uśmiechnął się szybko, starając się otrząsnąć z tamtego uczucia.

Znany ze swoich turboreferatów Stan Lippman zdążył już wejść na takie obroty, że zawstydziliby nawet komentatorów NBA z kanału sportowego ESPN. Był to najciekawszy gość ich instytutu w całym semestrze jesiennym i choć Joe wiedział, że Lippman bardzo liczy na jego opinię, musiał się zмагаć ze sobą, żeby nie wyjść z sali. Stan omawiał integrację lateralną obszarów V2 i V3 kory mózgu kota i właśnie spytał słuchaczy o najgorszą rzecz, jaką zrobili swoim rodzicom. Jak by to było, minąć na ulicy własnego syna i nawet o tym nie wiedzieć? Rodzonego syna, który mówi po angielsku z tym samym rozczulającym akcentem co Alina, stawia śmiesznie *the* przed *nature* i mówi o kobietach, używając zamiennie obu zaimków osobowych: *he* i *she*?

Warczące niebieskozielone iskry na zamarzniętych przewodach helsińskiej kolei podmiejskiej. Sine zimowe poranki, olbrzymie płatki opadające dostojnie na ziemię w szarej ciszy. Styropianowy chrząst zmrożonego śniegu pod podeszwami.

Ciepłe światło słońca, w którym kąpał się ogród zoologiczny pod koniec sierpnia. Zgrzyt szyn tramwajowych. Milczące, jakby zmarłe miasto na drugim końcu świata.

Przypomniał sobie pierwszy wieczór w ich nowym domu. Chłód skandynawskiej letniej nocy, oddychająca cisza fińskiego mieszkania. Czuł, że coś go pali od środka: a więc tak pachną miasta w tym kraju. Rozejrzał się po ciemnych pomieszczeniach, drzwi nie miały gałek, lecz te dziwaczne europejskie klamki, a z betonowego balkonu w nocy będzie wionąć arktyczny chłód, mimo że właśnie zaczynało się lato. Czy chociaż w wakacje będzie dosyć ciepło, żeby na niego wychodzić?

Ćwierćgalonowe kartoniki mleka w europejskiej lodówce, smukłe i dziwne.

Osobliwa bateria prysznicowa. Śpiąca obok niego fińska żona, ostrożna i uprzejma. Rosyjskie centrum miasta, wyczuwalny wszędzie egzotyczny zapach bloku wschodniego.

Helsinki wydawały mu się takie piękne. Tutaj, teraz.

Moment na lotnisku: na ramieniu torba ciężka jak z ołowiu, twarz Aliny, chuda od zgryzoty i rozczarowania. Ich spojrzenia, przeprosiny, pozbawione słów, jednocześnie: wybaczyć, nie wiedziałam, że nie dam rady być lepsza. Nie wiedziałem tego o sobie, nie wiedziałem, że jestem taki.

Wskrzyszony na sam koniec żal – może jednak znalazłby się jeszcze jakiś sposób?

Chłopczyk, który ledwo nauczył się chodzić, chwiejnie przemierza parkiety terminalu Helsinki-Vantaa i piszczy z radości. Policzki ma rozpalone, ile tu miejsca, ile swobody! Samuel, chodź tu, chodź pożegnać się z ojcem... Samuel, chodź jeszcze, przytul się do taty. Samuel! Samuel. Tata zaraz odleci i... Nie będziesz już mógł... Samuel!

Roześmiany jednolatek o niewiarygodnie pulchnej buzi. Wyrywa się ze złością, „nie cie, tam cie”.

I ten niezręczny ostatni moment. Weźmie jeszcze dziecko na rękę, porządnie uściska, powie, że kocha, Alinę też weźmie jeszcze raz w ramiona i powie na głos, że nikt tu nie jest winny, cieszymy się, że mieliśmy odwagę spróbować, cieszymy się, że mamy Samuela.

Ale wtedy – przed tym rozstrzygającym ostatnim momentem, przed ostatnimi słowami, które ze ściśniętym gardłem próbował w myślach poskładać i które miały zostać ostatnim wspomnieniem Aliny i Samuela po nim – właśnie wtedy odwrócił się w stronę kolejki, żeby zobaczyć, czy nie musi już iść. Chciał tylko spojrzeć.

Alina źle to zinterpretowała. Kiedy chwilę później odwrócił się z powrotem, była już daleko: spiętym, zdławionym krokiem szła do drzwi wyjściowych z dzieckiem na rękach, ich dzieckiem, wspólnym życiem.

Joe jak przez pancerną szybę patrzył na Stana Lippmana, który niczym doświadczony przewodnik oprowadzał słuchaczy po swoich ulubionych zakamarkach obszaru V5, nie zapominając o tych, którzy wybrali się z nim na tę wycieczkę po raz pierwszy – oni również muszą sobie uzmysłowić walory miejscowych atrakcji.

Joe zdał sobie sprawę, że właśnie rozważa, czy nie wyjść z sali i natychmiast nie zadzwonić do Aliny. Powiedzieć, że już od dawna ma

wyrzuty sumienia, że nie zadbał należycie o lepszy kontakt z Samuelem. Że ta sprawa bardzo mu ciąży, ale najzwyczajniej w świecie przerosło go to wszystko. Wy tłumaczyć, że odległość wydawała się zbyt duża i że to jego wina, nie wiedział jednak nigdy, czy jego syn w ogóle życzy sobie kontaktów z ojcem i czy próby zbliżenia z jego strony tylko by go nie rozdrażniły. Powiedzieć, że żywi naprawdę szczerą nadzieję, że Samuel przyjedzie spotkać się z nimi najszybciej, jak to możliwe. Pozna swoją amerykańską rodzinę i zostanie u nich tak długo, jak będzie mógł.

Nagle sobie przypomniał, że Alina zawsze chciała zabrać go w Finlandii na wyprawę do lasu. Może wizyta Samuela byłaby dobrym pretekstem, żeby wyjechać gdzieś na parę dni całą rodziną? Do Nevady, na pustynię? Zabraliby Samuela do Doliny Śmierci albo pokazali mu Great Basin. Czy choćby mecz baseballa.

Ta myśl trochę go uspokoiła. Dopiero przy ostatnim przezroczu po raz pierwszy usłyszał, co Lippman mówi – reasumując, komórki obszaru V5 mózgu kota są jak kierowcy autobusów na Brooklynie: generalnie mają w dupie wszystko i wszystkich, ale w naprawdę trudnej sytuacji pomogą każdemu – i to tak zaciekało Joego, że zaczął żałować, iż nie zarejestrował ani jednego słowa z całej prezentacji.

X

Telefon zadzwonił w niedzielę rano, kiedy Joe pisał recenzję bardzo kiepskiego badania wysłanego do dobrego czasopisma.

Był w domu sam. Miriam poszła do szkoły na zebranie rady rodziców, Daniella na pływalnię. Rebekki też nie było, ale Joe nie wiedział dokładnie, gdzie się podziewa jego starsza córka. Kiedy próbował ją o to wypytywać, dostawała białej gorączki.

Irytowało go, że tyle czasu musi poświęcić na napisanie nawet ogólnikowej odmowy publikacji. Nie miał teraz czasu na takie bzdury, nawarstwiło mu się mnóstwo pracy. I oczywiście jak zawsze, kiedy miał urwanie głowy, wołał tracić swój cenny czas na zapoznawanie się z beznadziejnymi badaniami, których jego zdaniem nie należało w ogóle zaczynać.

Pisał recenzję, ale myślami wracał co rusz do Teda Browna i jego koncernu Freedom Media: zastanawiał się, czy bojkot coś da. Po opublikowaniu oświadczenia, że Freedom Media będzie rozwijał „akademicką działalność wydawniczą”, Joe wraz z paroma osobami zaczął organizować bojkot wszystkich czasopism naukowych koncernu. W ręku Freedom Media

znajdowała się zdecydowana większość naukowych wydawnictw ciągłych i Ted Brown mógł bezkarnie dyktować warunki dostępu do wiedzy naukowej; miał prawo pobierać od czytelników opłaty za już wykonaną przez badaczy pracę.

Problem nie był oczywiście nowy. Cena subskrypcji wydawnictw ciągłych w zasadzie od zawsze stanowiła bezwstydną haracz, mimo że treść czasopism tworzyli badacze akademicki – i to w dużej mierze za pieniądze podatników. Nawet za recenzje naukowe, które gwarantowały wiarygodność publikowanych artykułów, badacze nie pobierali honorariów, również w wydawnictwach należących do koncernu Browna. Ale kiedy podatnik chciał zapoznać się z wynikami współfinansowanych przez siebie badań, musiał zapłacić wydawcy za udostępnienie artykułu, niekiedy nawet pięćdziesiąt dolarów. Gdyby przeciętny Amerykanin chciał zgromadzić choćby podstawową wiedzę o interesującej go specjalności, musiałby przewertować dziesiątki, jeśli nie setki artykułów, ponieważ w jednej pracy mógł przeczytać wszystko i nic.

Problem się jednak zaostrzył, kiedy jedno z największych amerykańskich wydawnictw odsprzedało koncernowi Freedom Media swój dział naukowy. Brown już od pewnego czasu przejmował pojedyncze wydawnictwa naukowe; po tej transakcji przejął kontrolę nad zdecydowaną większością rynku publikacji naukowych, i to praktycznie w każdej dziedzinie. Owoce pracy badaczy należały teraz do niego. Joe sam opublikował dziesiątki artykułów w czasopismach, które obecnie były własnością koncernu Freedom Media.

I teraz biblioteki uniwersyteckie dostały ultimatum: albo będą kupowały cały pakiet czasopism Freedom Media, albo nie będą dostawały nic. Żaden uniwersytet nie mógł sobie pozwolić na wstrzymanie subskrypcji, jeśli chciał, by robiono na nim badania czy choćby o nich czytano. Artykuły stanowiły nagromadzony kapitał całej społeczności naukowej i każdy powinien mieć do niego dostęp, inaczej już nikt nigdzie nie posunie się ani o krok naprzód: żaden naukowiec czy redaktor naukowy, żaden lekarz, dietetyk, architekt miejski, konstruktor mostów ani toksykolog – po prostu nikt.

Joe podniósł się zza biurka. Był zły i dziwił się w myślach, jak można napisać taki artykuł i nie stracić przy tym szacunku do siebie. Czytał już raz ten artykuł spółki Hartikainen, Kumpulainen i Österman, kiedy zaproponowali go innemu czasopismu, jeszcze lepszemu.

Wszystko w tym badaniu zostało zrobione źle. Reguły randomizacji zwierząt były bardzo osobliwe, a analizę statystyczną wykonano w zupełnym oderwaniu od projektu eksperymentu. I dlatego badacze zdecydowali się na

świnki morskie? Takie eksperymenty robi się zazwyczaj na kotach, są ku temu dobre powody. Najpierw niewłaściwie oceniono zachowanie zwierząt doświadczalnych, a potem wnioski o stopniu uszkodzenia wzroku formułowano w oparciu o zmiany w komórkach nerwowych. Badanie nie było „interesujące mimo pewnych braków” ani nie „otwierało nowych dróg postrzegania układu wzrokowego mimo określonych ograniczeń metodologicznych”, jak twierdzili Hartikainen, Kumpula i Österman. Artykuł spółki Hartikainen *et al.* nie otworzył żadnych nowych dróg, był bowiem od początku do końca niepotrzebny – napisał Joe w swojej recenzji – i dlatego nie może zostać opublikowany. Zwierzęta rzeczywiście oślepy i ich mózgi zostały uszkodzone, ale doświadczenia przeprowadzono tak nieprofesjonalnie, że z tych zmian nie można wyciągać absolutnie żadnych wniosków.

I choć zmarnował całą niedzielę na tę recenzję, a redaktor naczelny czasopisma, człowiek rozsądny, przychylił się do jego opinii, że badanie jest nieudane, ten sam beznadziejny artykuł z niepodważalnymi wnioskami spółki Hartikainen *et al.* zostanie wkrótce opublikowany w jakimś „Journal of Neuroscience and Experimental Biology” albo innym głównianym pseudoczasopiśmie. Przeczyta go tam potem jakiś oszołom na pierwszym roku studiów doktoranckich i zupełnie niepotrzebnie zainwestuje swój czas i siły, bo weźmie wyniki badań tej trójki na poważnie, a jakiś prawdziwy naukowiec zacytuje ich nieopatrznie i ktoś nieświadomy, bez sprawdzenia u źródeł, popełni wielki błąd, wyobrażając sobie, że wnioski Hartikainena, Kumpuli i Östermana mają jakiś sens.

Część wydawnictw naukowych Freedom Media prezentowała – jak ów „Journal of Neuroscience and Experimental Biology” – tak beznadziejnie niski poziom, że ich istnienie traktowano jak kiepski żart. Żadna biblioteka naukowa nie zapłaciłaby za nie z własnej woli złamanego centa. Czasopisma te wyrządzały tylko szkody w środowisku naukowym, ponieważ publikowane w nich badania często prezentowały się formalnie bez zarzutu, nie zostały jednak przed publikacją poddane krytycznej ocenie naukowej i zweryfikowane negatywnie, co czekałoby je nieuchronnie w cenionych czasopismach. Dlatego też wynikom tych badań nie można było ufać. Każdy może się pomylić, nawet najlepszy, i dlatego wydawnictwa naukowe musiały dbać o należyty poziom recenzji. Z tego powodu Joe, tak jak wielu jego kolegów i koleżanek po fachu, regularnie poświęcał czas na nieodpłatne recenzowanie oraz proponowanie poprawek w artykułach przeznaczonych do druku. Gromadzenie rzetelnej wiedzy nie było możliwe bez społeczności

naukowców dbających o przestrzeganie podstawowych zasad.

Teraz jednak, po przejęciu przez Freedom Media najbardziej szanowanych czasopism naukowych, biblioteki musiały zamawiać po cenach dyktowanych przez Teda Browna również cały ten chłam, który stanowił realne zagrożenie dla ludzi, nauki, a może nawet przyszłości całej planety.

– Halo? – warknął Joe, naciskając zieloną ikonkę słuchawki. Dopiero wtedy sobie uzmysłowił, jak bardzo jest zdenerwowany.

Alina! – przypomniał sobie nagle. Miał zadzwonić do Aliny. Po prezentacji Stana Lippmana udali się z prelegentem siłami całego instytutu do restauracji Sushi Hana i Joe na śmierć zapomniał o rozmowie z Aliną.

A może to Samuel dzwoni z pytaniem, dlaczego Joe zrejterował z jego życia? Niedługo Wielkanoc – czy święto Paschy nie jest właśnie, jak mawiała matka, czasem szczególnym, kiedy gości należy przyjmować z otwartymi ramionami?

Ale to nie był Samuel. Lisa.

A niech to szlag – i tej sprawy nie zdążył jeszcze załatwić. Jego doba od najdawniejszych czasów powinna mieć cztery godziny więcej, co najmniej cztery.

– Joe – odezwała się Lisa dziwnie ciężkim głosem. – Lepiej tu przyjeżdż.

– Bardzo cię przepraszam. Starość nie radość, ciągle jeszcze nie zadzwoniłem do Barb.

– Ja nie...

– Ale posłuchaj, umówmy się tak, że w przyszłym roku będziesz moją TA, okej? A za rok na pewno coś dla ciebie znajdziemy. Obiecuję.

– Słuchaj, co do ciebie mówię! – Głos Lisy aż go zmroził. – Masz natychmiast tu przyjechać!

Nigdy nie słyszał, żeby Lisa mówiła takim tonem.

– Co się stało?

– Przyjeżdż tu zaraz!

W drodze do kampusu serce waliło mu jak szalone. Skreślił na parking i zobaczył radiowóz. Co tu jest grane, do cholery? Przed laboratorium stał uzbrojony policjant i rozmawiał z asystentką Joego. Rose, zawsze sympatyczna i pomocna, teraz wyglądała bardzo poważnie i Joe od razu się domyślił...

Nie, dobry Boże, tylko nie to...

Ktoś ze studentów, undergraduate'ów? Kto?

Chip Zukowski?

Kiedy Joe biegł w stronę budynku – a wydawał się sobie spokojniejszy niż

kiedykolwiek – przez jego głowę zdążyło przemknąć mnóstwo zupełnie klarownych myśli, choć trwało to zapewne sekundę, a może nawet tylko jej ułamek: zabito kogoś z twojego teamu i *właśnie o tym myślisz*. A więc tak się czuje człowiek w chwili katastrofy, zanim nastąpi szok: mózg pracuje racjonalnie, każda sekunda wydłuża się dziesięciokrotnie.

Ktoś urządził nam tu drugie Columbine, *gone postal* – wszedł do budynku w długim płaszczu z czarnej skóry i z dwoma półautomatami w rękach, ludzie zaczęli wrzeszczeć i chować się pod pulpitemi, posypały się drzazgi, kule przebijały z trzaskiem meble z Ikei. Joe wbiegł do Bloomberg Hall, gdzie przy drzwiach policjanci rozwijali swoje filmowe żółte taśmy. Boże święty, kto?

A więc teraz zdarzyło się to u nas, oczywiście, dlaczego nie tym razem u nas.

Żeby tylko to nie był Chip.

Żeby tylko nikt z mojej ekipy.

Niech to będzie ktoś inny, kogo nie znam, oby zdołał zastrzelić jedynie siebie. Jesteśmy psychicznie chorzy, przemknęło mu przez głowę, i zbudowaliśmy psychicznie chore społeczeństwo: ani w Finlandii, ani nigdzie indziej w cywilizowanym świecie dzieci nie zabijają co chwila swoich kolegów i koleżanek w szkole. To właśnie jest szok: człowiek zaprzecza, nie pojmuje znaczenia tego, co się stało, ponieważ katastrofa balansuje na granicy zaspokojenia – Joe był przerażony, gdy dostrzegł w myślach konkluzję własnego wyводу – zupełnie jakby właśnie teraz życie stało się nagle rzeczywiste, świat przebudził się do życia.

A więc tak wygląda szok.

Obecna sekunda trwała już kilka godzin, cały dzień do tej pory nie miał więcej niż sekunda.

Próbował złapać gałkę drzwi. Wysoki wąsaty policjant uniósł dłoń i spytał o dokumenty. Joe jak przez sen usłyszał, że ktoś mówi, że to kierownik laboratorium. *Sorry, professor*. Joe wszedł do środka i zobaczył śmietankowe obicia sof w małej kuchence z automatem do kawy, ciągle czyste, stylowy, lecz kiepski stół, nowe komputery o opływowych formach. Wszystko trwało w przerażającym, nietkniętym stanie bez plam krwi, tak jak zawsze, co wydawało mu się straszne, ponieważ to, co się wydarzyło, ciągle jeszcze na niego czeka, za narożnikiem, a on widzi tylko ten zatrzymany obraz, *still life*, nierzeczywistą kompozycję.

Z onirycznego przeżycia wyträcił go dopiero widok Lisy. Zatrzymany czas ponownie ruszył. Z jej miny Joe wyczytał, że nikt nie zginął. Lisa wyglądała raczej na znudzoną.

Dopiero teraz Joe sobie uprzytomnił, jak mocno bije mu serce. Musiał się wesprzeć na blacie stołu przy kuchence.

– Jeśli mam być szczerą – odezwała się Lisa – to od dawna uważałam, że to tylko kwestia czasu. Że prędzej czy później coś takiego musi się wydarzyć.

– Co się stało?

Lisa skinęła głową. Joe ruszył za nią korytarzem, który prowadził do jego pokoju. Drzwi były otwarte na oścież.

Najpierw zobaczył szefa ochrony kampusu, przywitali się. Obok niego stał policjant i zapisywał coś w notesie. Gdyby kogoś zabito, mężczyźni mieliby zupełnie inne miny.

Policjant uniósł głowę.

– Profesor Chayefski?

Joe ciągle stał w progu. Na wykładzinie leżały zmasakrowane części jego komputera: twardy dysk, wiatraczek, płyta główna, monitor. Na niektórych było wyraźnie widać czarne ślady butów.

W regipsowej ścianie oddzielającej jego pokój od sąsiedniego widniały ostre nacięcia, niektóre dość głębokie. Szef ochrony podejrzewał, że włamywacze musieli rzucać o ścianę starymi, nieużywanymi już dyskami zewnętrznymi, które najwyraźniej uznali za dyski archiwizacyjne. Oprócz tego wewnątrz zbryzgano atramentem albo farbą, a krzesło Joego czymś czerwonym i lepkiem.

– Czy komuś coś się stało? – spytał Joe.

– Nic nam o tym nie wiadomo – odrzekł policjant i Joe miał dziwne wrażenie, że tamten uważnie mu się przygląda.

– Nie wydaje mi się, żeby rano był tu ktoś poza Rose i mną – rzekła Lisa.

– Kiedy to się stało, w nocy? – zapytał Joe.

– Wyjaśni się – odparł szef ochrony tym samym co policjant, beznamiętnym tonem zawodowca, którego nic już nie jest w stanie zaskoczyć. Zgrywa się przed tamtym czy co? Nagle zrobił się ważny, jego praca i życie nabrały niespodziewanie kolosalnego znaczenia, jakby wcale nie siedział na ciepłej posadce z widokiem na emeryturę w elitarnej prywatnej uczelni, gdzie najgorsze ekscesy to drobne kradzieże.

Joe spojrział z zaciekawieniem na lśniącą rdzawą kałużę na swoim krześle. Już miał jej dotknąć palcem, ale się powstrzymał.

– Co to jest?

– Zaraz się zbada.

– Musztarda, barwnik naturalny i woda? Też wam się tak wydaje?

– Wie pan, kogo mogłoby korcić, żeby coś takiego zrobić? – spytał

policjant.

Joe zmarszczył czoło. Wpatrywał się w ziemię. Kupki szarych płatków to pewnie popiół. Co oni tu palili?

– Jak się dostali do środka? – spytał Joe.

I dopiero wtedy przyjrzał się uważniej drzwiom. W futrynie szczyrzyła zęby dziura po łomie.

– Z wyszukaną elegancją – mruknął policjant, gładząc się po wąsach.

Ochroniarz zarechotał. Popisuje się, przemknęło Joemu przez myśl.

Cała podłoga usiana była drzazgami. Wystarczy odpowiednie narzędzie i takie zwyczajne biurowe drzwi, nawet zamknięte na klucz, wyważa się bez trudu.

Joe zauważył, że Lisa patrzy na niego wyczekująco.

– Laborkę widziałeś?

Pospieszył za Lisą do drugiego korytarza, gdzie na białej ceglanej ścianie ktoś nabazgrał czarną farbą:

VIVISECTION IS SCIENTIFIC FRAUD

Doświadczenia na zwierzętach to naukowe oszustwo.

Naukowe oszustwo?

Joe poczuł przyspieszone bicie serca i pobiegłby do klatek, gdyby Lisa nie zdążyła chwycić go za ramię.

– Wszystko tam okej.

– Wszystko?

– Tak.

– B-klatki też?

– Wszystkie.

– Nic?

– Nic.

– Sprawdziłaś logi?

– Tak. Nawet do korytarza nie weszli.

Musiał jednak pójść się upewnić. Już samo zapalenie światła mogłoby zakłócić rytm dobowy zwierząt i w konsekwencji zepsuć komuś cały eksperyment. Systemy zabezpieczeń w laboratoriach, gdzie trzymano szczury, koty i mały, były tak skomplikowane – zwłaszcza przy naczelnym – że włamywacze nie zdołali się tam wedrzeć. Nikt z zewnątrz nie mógł też wiedzieć, gdzie dokładnie trzymano zwierzęta.

Grube stalowe drzwi próbowano wyważyć, też chyba łomem. Zachodzący

na futrynę metalowy kołnierz był podgięty, lakier w tym miejscu popękany.

– Amatorzy – prychnął szef ochrony do policjanta. Wyraźnie przygasł, kiedy tamten go zignorował, gładząc swoje wąsy.

Włamano się tylko do pokoju Joego, nigdzie indziej. Popiół okazał się pozostałością po raportach z badań wyjętych z jego archiwum. Włamywacze spalili wszystkie dokumenty z segregatorów Komisji Etyki, której Joe z poczucia obowiązku przewodniczył przez ostatnich pięć lat.

Drukowane kopie tych dokumentów nie miały żadnej wartości, Joe przechowywał je wyłącznie ze względu na wymogi formalne. Może wandale sądzili, że w ten sposób spowolnią jego badania? Jeśli w ogóle rozumieli, co niszczą. Może wyobrażali sobie, że zespół Joego będzie musiał teraz ponownie wystąpić o pozwolenia na planowane i już rozpoczęte badania przed przystąpieniem do eksperymentów czy zgłoszeniem wyników do publikacji. Ale pozwolenia zostały już wydane i wysłane okólnikiem do kilku odbiorców, nie tylko do nich.

Joe nie trzymał nawet wyników badań na swoim komputerze, a poza tym wszystkie materiały miały dwie kopie bezpieczeństwa. Niemniej kilka niedokończonych analiz, wstępne wersje artykułów, szkice z komentarzami kolegów i potrzebną do badań literaturę będzie musiał teraz ponownie ściągać. Na to potrzeba czasu, który mógłby wykorzystać z większym pożytkiem.

Nieodwracalnie przepadły jedynie zdjęcia, które przerzucił z aparatu na komputer. Daniella i Rebecca przebrane na Halloween. Torty urodzinowe, jego doktoranci po obronie pracy. Niemiecki postdoc Hans obejmujący Lisę na pożegnanie, impreza Chada z okazji objęcia profesury.

Chuligańskie wybryki notowano już od jakiegoś czasu. Te wcześniejsze wypadki – *incidents*, jak je określił szef ochrony uniwersytetu – były stosunkowo nieszkodliwe; sprawiały raczej wrażenie wygłupów nastolatków.

Kilkakrotnie zewnętrzne mury i okna skrzydła laboratoryjnego zostały zabazgrane w czasie weekendu. Kobięce narządy płciowe i wulgarne słowa wymalowane czarnym sprayem. Mimo że wybryk się powtórzył, nie dopatrzono się w nim żadnej konsekwencji ani tym bardziej ataku wymierzonego w konkretną osobę.

Szef ochrony przypuszczał wtedy, że to sprawka kilku członków męskiej korporacji studenckiej, którzy po pijaku rozbijali się po całym kampusie. Młodych samców, co to lubią przeżyć muskuły przed samicami. Wyglądało na to, że szefa ochrony cała ta sprawa specjalnie nie interesuje. Joe przypomniiał

sobie, że odnosił się on do tych wygłupów lekceważąco i protekcyjnym tonem starego wiarusa rozwodził się nad *prawdziwymi zagrożeniami, islamskimi radykałami i tym, co tak naprawdę znaczy terroryzm.*

Nawet kiedy w skrzynce pocztowej Joego w instytucie pojawiła się pierwsza karteczka, trudno było stwierdzić, czy ma to jakiś związek z tamtymi bazgrołami. Tekst na karteczce, krótki i zwięzły, nie pozostawiał zbyt wiele miejsca na interpretację:

Torturujesz za pieniądze –
myślisz, że jesteś bezpieczny?

Do karteczki dział ochrony uniwersytetu odniósł się jednak zupełnie inaczej niż do przekleństw, które sprzątaczkę zmyły z murów i okien wodą z mydłem. Joe musiał się pofatygować do nich i odpowiedzieć szefowi działu na parę pytań: czy ma jakichś wrogów (nic mi o tym nie wiadomo), kto jego zdaniem mógł napisać taką groźbę (jakiś fanatyk?) i dlaczego została ona skierowana akurat do niego (może dlatego, że moja skrzynka pocztowa jest na samym środku ściany? Może moje nazwisko pojawiło się niedawno w jakimś czasopiśmie?). Joe musiał go zapewnić, że natychmiast zgłosi zaistnienie czegoś dziwnego albo odbiegającego od normy (oczywiście, dziękuję za pomoc).

Nie potrafił się jakoś przejąć tą karteczką. Jednak teraz, po włamaniu do laboratorium, szef działu ochrony poradził mu, żeby nie chodził po kampusie sam po zmroku. Joe aż się wzdrygnął.

– Mówi pan poważnie?

I co, ma sobie teraz sprawić ochroniarza? Napakowanego ekspolicjanta w czarnych okularach i ze słuchaweczką z cienkim kabelkiem w uchu? Jak w jakimś kiepskim kryminale?

Joe nie chciał nikomu przysparzać roboty z powodu jakichś karteczek czy bazgrołów na murach. Poza tym czuł się zażenowany, jakby to on był winien całemu zamieszaniu. Teraz jednak nie chodziło już tylko o niego, lecz także o innych. Gdyby włamywacze dobrali się do klatek ze zwierzętami, mogłoby to się skończyć nawet zawaleniem dysertacji i zrujnowaniem obiecującej kariery jakiegoś doktoranta. A na pewno jej znaczącym opóźnieniem.

Joe wybrał numer do Barbary Fleischmann. Barb była właśnie na konferencji w Seattle i odebrała bardzo zdziwiona. Ona i Joe nie mieli w zwyczaju telefonować do siebie w weekendy.

Wydawała się spięta i Joe wywnioskował, że zaraz będzie przemawiać.

Barb zaliczała się do tych badaczy, których wygłoszenie keynote'u nawet przed gigantyczną publicznością nie stresuje w najmniejszym stopniu. Wręcz przeciwnie, Barb mogła przemawiać co tydzień! Nawet przed swoimi najślawniejszymi i najbardziej krytycznymi kolegami po fachu. Tylko dziwnym zbiegiem okoliczności akurat w tygodniach poprzedzających kolejną konferencję wszystko ją złościło – te cholerne drzwi! Dlaczego wszyscy tu mają w dupie nasze wspólne sprawy?!

Ale kiedy usłyszała, co się stało, z przerażenia zapomniała na chwilę o swojej konferencji.

– Boże święty.

– Z ust mi to wyjęłaś.

– I to u *nas*?! Ja rozumiem, że gdzieś... no wiesz... w jakimś Parkingfield Inc. czy w innej firmie, która testuje chemikalia i... no te... proszki do prania...

– To samo przyszło mi do głowy.

– Ale badaczom laboratoryjnym?

– Moja pierwsza myśl.

– Co to za ludzie? – spytała Barb. – Co z nich wyrośnie?

– Teraz się dowiaduję, że podobne ekscesy były już gdzie indziej.

– Chodzi ci o tego gościa z UCLA? Jak mu było?

– Sipowitz.

– Tak się nazywał?

– Podobno zrezygnował. W końcu. Zmienił branżę.

Barb przez chwilę milczała. I znów:

– *Naukowe oszustwo?*

– Otóż to.

– I co to niby znaczy?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Joe. – Ale chyba rozumiem, dlaczego nie napisali na ścianach sztuczną krewią, że „ludzie mają bardzo rozbieżne poglądy na temat słuszności przeprowadzania eksperymentów na zwierzętach i dlatego powinniśmy razem spokojnie usiąść i gruntownie tę sprawę przedyskutować, tak aby nikt nie miał poczucia, że nie został wysłuchany”.

Barb się roześmiała i to wydało się Joemu ważne.

W domu Miriam okazała mu swoją cudowną empatię, przytuliła go długo i czule, naląła winą. Może nie trzeba z tym robić nic więcej, pomyślał Joe. Co zrobili nowojorczyki po jedenastym wrześniu, co londyńczyki po ataku na metro? Wrócili do pracy. Z przesadną może obojętnością, ale wrócili do dawnego, szybkiego życia. No, niech będzie, że nie w Nowym Jorku. Ale

w Londynie tak.

– To musi być jakiś student, któremu dałem D z egzaminu – uznał wieczorem Joe. – Złość mu przejdzie i będzie po sprawie.

Miriam siedziała w swoim gabinecie. Pisała na komputerze coś, co nie mogło poczekać do następnego dnia. Jak wszystko w ostatnich czasach. Joe patrzył na jej skupioną twarz w błękitnej poświacie monitora, na jej szczupłe, piękne palce, których nagle zapragnął dotknąć.

– A minus – odezwała się do swojego laptopa. – To tacy wpadają w szal.

Szuranie paznokci po klawiaturze nie ustało ani na sekundę.

Miriam nawet przez myśl nie przeszło, by się przejąć tą sprawą, i było w tym coś uspokajającego. Miała szczególny dar: nie traciła głowy nawet wtedy, kiedy kto inny dawno wyszedłby z siebie. Zresztą zdążyła już na swoim podwórku przerobić rozmaite sytuacje. Ledwo dostała *tenure* – profesurę na uczelni – została dziekanem wydziału językoznawstwa i psychologii i to ona musiała załatwiać rzadkie wypadki wydalenia z uniwersytetu, wzywać na dywanik młodych wykładowców, którzy niezbyt dobrze się orientowali w subtelnej naturze relacji nauczyciel – uczeń. Miriam świetnie sprawdzała się też w roli głównego redaktora naukowego najlepszego czasopisma w swojej branży, która to rola obejmowała podpisywanie cotygodniowej sterty listów zaczynających się od formułki „Z przykrością zawiadamiam, że niestety jednak nie”. Do roli należało również czytanie adresowanych do niej obelg, które czasem przychodziły po tych odmowach.

To właśnie inteligencja i umiejętność podchodzenia do wszystkiego racjonalnie pociągały go w niej. Filigranowa i zgrabna, ubrana zawsze bardzo kobieco Miriam już na pierwszym spotkaniu okazała się wyborną dyskutantką, która potrafi przebić każdy jego argument, i osobą niezwykle praktyczną, która w obliczu przeciwności losu nie traci głowy, lecz działa sprawnie i skutecznie. Joe był przygotowany na totalne rozczarowanie, kiedy po ich trzeciej randce w Waszyngtonie Miriam zgodziła się wstąpić do niego jeszcze na wieczornego drinka: seks będzie chłodny i beznamiętny, w najlepszym razie najzupełniej średni. Umysłowo nadawali na zbyt zbliżonych częstotliwościach i dlatego ich ciała będą musiały to skompensować obopólnym odrzuceniem. A jednak już po pierwszym dotyku Joe nie miał wątpliwości, że niepotrzebnie się martwił. To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Z jakiegoś powodu wolałby mimo wszystko, żeby akurat tego wieczoru

Miriam nie pracowała. Trudno mu było jednak wymagać tego od niej. Nie ubędzie jej obowiązków od tego, że on nagle poczuł potrzebę spędzenia wieczoru we dwoje.

Życie toczy się dalej. Wiadomo.

Zauważył, że idzie w stronę schodów prowadzących na dół, chociaż sam nie bardzo wiedział po co. Miękki, ciemny zapach piwnicy zawsze wywoływał z pamięci jakieś drobiazgi z czasów dzieciństwa: piłkarzyki, ceglane ściany, wykładzinę.

Na dole Saara wkładała ubrania do pralki. Na jego widok uniosła wzrok i Joe poczuł się nagle tak, jakby we własnym domu wdarł się do zakazanej strefy.

Spytał, czy już wie.

– Tak – odrzekła Saara i obrzuciwszy go zatroskanym spojrzeniem, nasypała do szufladki proszku. – Miriam mi mówiła. Straszne.

Saara była jego nieporadną próbą podtrzymania więzi z Finlandią. Przepytał przez telefon kilka kandydatek na *au pair* i Miriam chciała wybrać Kanadyjkę, ale na prośbę Joego zgodziła się na Saarę.

Tylko że żadnej szczególnej więzi ani z Saarą, ani za jej pośrednictwem z Finlandią nie udało się nawiązać. Z początku często dziewczynę zapraszali, żeby została z nimi na obiedzie albo na przyjęciu, kiedy ktoś do nich przychodził, Saara jednak nie przejawiała ochoty na prywatne kontakty z nimi poza godzinami pracy. Miała pewnie swoje zasady. Nigdy też nie ucięła sobie pogawędki z nim czy z Miriam, nie okazała najmniejszego zainteresowania tym, w jaki sposób zarabiają na życie. Pomagała przy dzieciach, gotowała i sprzątała zgodnie z umową, lecz poza tym żyła w swoim świecie. Wszystkich to dziwiło, bo nie miała chyba w mieście żadnych znajomych, chociaż mijał już rok, odkąd u nich zamieszkała.

Joe patrzył na rzeczy swoich córek, które Saara przekładała z kosza do pralki: różowe topy ze srebrnymi napisami, czarne dżinsy z przemyślanym układem plam i rozdarć imitujących ślady znoszenia, majtki, trykoty i elementy garderoby, których nie potrafił nawet nazwać. Wiele z nich widział w ogóle po raz pierwszy. Kosze zawsze pękały w szwach od rzeczy Rebekki – zawsze nowych i wyglądających na zupełnie czyste. Z Danielli za to Saara musiała niemal ściągać rzeczy do prania – zawsze te same do następnego przymusowego wyjścia z matką do sklepu.

Joe uznał, że będzie musiał spytać doktorantów, czy ktoś z *undergrade'ów* nie wyklócał się u nich o połówkę punktu z egzaminu. Czy nie było takiego, co chciał podnieść sobie wynik z 86 na 86,5. Znał takie przypadki; instytut

był pełen malkontentów marzących o karierze lekarskiej i zachowujących się tak, jakby przyjęcie na medycynę i całe ich przyszłe życie zależało akurat od tej ćwiartki punktu akurat z tego egzaminu. Bo i zależało.

Kierunkowy do Finlandii wystukał automatycznie, z pamięci. Numer pozostał niezmienny przez te wszystkie lata, co dawało pewne podstawy, by patrzeć w przyszłość z ufnością. Joe nawet nie przypuszczał, że tak go ucieszy znajomy jasny dźwięk skandynawskiego sygnału wywołania – człowiek od razu wiedział, że dzwoni za granicę. W pewnym sensie dźwięk był podobny do osobliwej melodii fińszczyzny, czystej i obcej, pozbawionej typowo europejskich zbitek napastliwych głosek.

Joe czasem tęsknił za Finlandią, za ludźmi w szarych i czarnych płaszczach czekającymi rano na autobus z takimi minami, jakby właśnie stracili dorobek całego życia.

– Alina?

Przeprosił ją, że nie zadzwonił wcześniej. Wziął głęboki wdech i opowiedział, co się wydarzyło.

Nie widział jej twarzy, ale z przedłużającego się milczenia i westchnień wywnioskował, że jest przerażona. Zauważył też, że relacjonując zajście, próbuje je zbagatelizować i pomija niektóre fakty, między innymi ten, że wandalę zdemastrowali tylko jego pokój. I bez tej informacji Alina sprawiała wrażenie mocno przybitej.

Spytał ją, w którym rejonie Stanów przebywa obecnie Samuel. Nie umiała powiedzieć, chyba w Oregonie.

– Czym on się teraz zajmuje? – zapytał.

Maturę Samuela pamiętał, musiały od niej minąć dwa, może trzy lata. Chłopak ukończył liceum z wyróżnieniem. Alina powiedziała mu wtedy, że jego syn interesuje się biologią, co bardzo go ucieszyło.

Alina zaśmiała się krótko, nerwowo – pamiętał ten jej śmiech jeszcze sprzed dwudziestu lat.

– W jego życiu... zaszły wielkie zmiany – powiedziała. – Nawet się trochę pokłóciliśmy przed jego wyjazdem. A w zasadzie to poszło na ostre.

– Tak?

– No bo... Nie chcę cię tym obciążać, tak rzadko rozmawiamy. Byłoby trochę głupio dzwonić z samymi złymi wieściami. Ale tak, Samuel po maturze miał bardzo trudny okres.

– O?

„Tak rzadko rozmawiamy”. Joe poczuł wyrzuty sumienia. Nie rozmawiał

z nią ani Samuelem od paru dobrych lat.

– Tak. A teraz przyłączył się do takiego... albo raczej ci ludzie, z którymi się obecnie zadaje... Ach! Też nie rozmawialiśmy ze sobą o wszystkim, a trzeba było.

– Ale teraz jest już dobrze?

– No... tego właśnie nie wiem. Zawsze bierze na siebie największe wyzwania... W wielu sprawach jest taki... Nie potrafi o siebie zadbać.

I ten sam śmiech.

– Co teraz robi? Studiuje?

– Pracował trochę w takiej jednej firmie.

– Pracował?

– Tak. Był tam na takim... stażu jakby. Chyba mu nawet normalnie płacili. Ale potem... No, to długa historia, ale teraz ma przez to trochę kłopotów. Skoro już o tym mowa. Z prawem i w ogóle.

– Co on takiego zrobił?

Długa, niezręczna cisza. Nie był pewny, czy Alina chce, żeby drążyć ten temat. Ale potem:

– Tu się o tym trochę mówiło ostatnio, w telewizji nawet był wczoraj taki, taki... nieszczerze przyjemny... Ale moim zdaniem oni w wielu sprawach nie mówią nam już całej prawdy.

– Jakiego rodzaju kłopoty? – spytał Joe. – Mógłbym jakoś pomóc?

Alina westchnęła i powiedziała, jak gdyby nie usłyszała w ogóle poprzedniego pytania:

– Mam wrażenie, że życie młodych ludzi jest dzisiaj jakieś takie strasznie trudne. On jakby dźwigał na barkach problemy całego świata. A może to bardziej ja je dźwigam. On ma wszystko w nosie. Nie byłam chyba... może powinnam być dla niego lepszą matką. Bo... zawsze mówiłam mu tylko o tym, co się może nie udać i czego nie wolno mu robić i... To wszystko było złe. Mój mąż, Henri... Z nim Samuel też się pokłócił.

– Pokłócił? – spytał Joe, gdy Alina umilkła.

– Tak – powiedziała. – Kiedy naszemu młodszemu synowi Ukko... postawili mu taką diagnozę... no, stwierdzili, że ma zaburzenia rozwoju... Sama nie wiem. Powinnam chyba... ale nie umiałam...

Joe czekał na dalszy ciąg, który już nie nastąpił.

– Nie chcesz więcej powiedzieć?

– Ja... Pogadamy o tym może kiedy indziej, przy innej okazji, dobrze? Teraz... mówiąc szczerze, teraz po prostu nie mogę.

Usłyszał, że głos jej drży. Zalała go ciepła fala troski. Bardzo chciałby być

teraz w Finlandii, żeby móc spojrzeć Alinie w oczy i powiedzieć jej, że wszystko się ułoży.

– Chętnie pomogę – powiedział i usłyszał bezradność w swoim głosie. – Jeśli tylko mogę cokolwiek w tej sprawie zrobić.

Szloch. Długie milczenie. I potem cichutkie:

– Tak.

– I przekaz mu, że jest tu zawsze mile widziany – dodał. – Daj mu mój numer telefonu i adres. No i moja matka mieszka ciągle w Nowym Jorku. Jeśli będzie w tamtych stronach, to jestem pewny, że babcia z największą przyjemnością weźmie Samuela do siebie. A jeżeli będę mógł coś jeszcze zrobić, to...

– Dziękuję.

Coś w głosie Aliny powiedziało mu, że do tego nie dojdzie.

Kiedy skończył rozmawiać, zegar pokazywał parę minut po ósmej. Powinien być już w instytucie. Pracy miał ciągle za dużo. Trudna trzecia część książki, którą obiecał wydawcy na jesień, czekała na swój czas przez cały semestr. Robota czeka, a on nadal siedzi w kuchni.

Obca istota z innego świata: tak musi go postrzegać jego syn. *Alien*, który z niepojętych przyczyn każdej jesieni przysyła mu kartkę z czymś takim:

שנה טובה

Szana towa! Szczęśliwego nowego roku!

Wybranie kartki nie było łatwe. *Szana towa* trąciło hipokryzją.

Kiedy urodziła się Daniella i Joe w szpitalu wypełniał dokumenty, w rubryce „wyznanie” wpisał *quantum theory, for now*, tymczasem: teoria kwantowa. Ze szkoły hebrajskiej, do której chodził w dzieciństwie, pamiętał najlepiej Amy Davidson, z którą próbował na dziedzińcu dotykać się językami.

Dla pokolenia jego rodziców stosunek do religii był jeszcze prosty i oczywisty. Tak się złożyło. Ale już Danielli słowo *survivor* z pewnością kojarzyło się w pierwszej kolejności z *reality show*.

Z drugiej strony – o czym matka bez przerwy mu przypominała – Joe stanowił jedyne ogniwo łączące Samuela z jego korzeniami. Poza tym, jaka kartka nie trąciłaby hipokryzją? Uśmiechnięty prezydent na tle amerykańskiej flagi? *Greetings From The United States* ze zdjęciem niewiarygodnie grubej pary?

Nic nie jest naturalnym prezentem od ojca, który nie zna swojego dziecka. Joe nie miał pojęcia, co chłopak myśli o nim i o swojej drugiej ojczyźnie – i czy w ogóle chce, żeby ojciec podtrzymywał z nim kontakt?

Każdej jesieni po wysłaniu kartki Joe przypominał sobie, że dla Finów miał tylko jeden wymiar: obywatelstwo. Wszystko, co mówił i robił, postrzegano właśnie przez ten pryzmat. Mityczna amerykańskość raz na zawsze zdefiniowana w platońskim niebie Finów wydawała się całkowicie sprzeczna z jego własnymi wyobrażeniami. No i to fińskie rozgrzeszenie, które raniło go jeszcze bardziej niż stereotypy: *Ale ty nie jesteś takim typowym Amerykaninem.*

Finowie pojmowali amerykańskość tak samo, jak ewangelicy z pasa biblijnego i farmerzy ze Środkowego Zachodu. Oczywiście w Stanach też nie brakowało ludzi, dla których Joe oraz jego przyjaciele, rodzina i współpracownicy z uniwersytetu nie byli *prawdziwymi Amerykanami*, bo nie oglądali telewizji Fox, nie popierali prawa do swobodnego dostępu do broni palnej i sprzeciwiali się interwencjom militarnym na Bliskim Wschodzie oraz polityce Izraela. W Finlandii Joe czuł się trochę jak w Teksasie: osamotniony w swoich przekonaniach.

Pod pewnymi względami w Finlandii było mu łatwo. Miał jednak wrażenie, że w tym kraju na wiele spraw można mieć tylko jeden pogląd. Ale może tak mu się tylko zdawało, bo jako człowiek z zewnątrz nie dostrzegał niuansów. Sam był zaskoczony, jak bardzo chciałby, żeby Finowie nie zakładali z góry, że obchodzi Boże Narodzenie. Dziwił się własnym reakcjom – przecież nawet w domu w powtarzającej się co roku dyskusji Gwiazdka niemal zawsze zwyciężała i Joe nie miał nic przeciwko temu chrześcijańskiemu świętu. W zasadzie to nawet je lubił. Chodziło jednak o wybór. W Nowym Jorku nawet jego kuzyni dbali o bożonarodzeniowe tradycje: najpierw kino, potem chińska restauracja. Joe był zdziwiony, że tak bardzo mu zależy na tym, by ktoś zauważył – chociaż jedna osoba, ktokolwiek! – że sprawa z Bożym Narodzeniem *bynajmniej* nie jest tak oczywista, jak mogłoby się zdawać. Lecz co kraj, to obyczaj – i przybysze muszą się do niego dostosować.

W Stanach w życiu nie przytwierdził mezuzy do futryny, chociaż matka go o to wielokrotnie prosiła. W Europie chętnie opowiadał o swoich korzeniach i rodzinie, jeśli ktoś go o te sprawy pytał, ale w kraju, gdzie rodzice każdego Fina są miejscowi z dziada pradziada, dziwnie by się czuł, demonstrując swoją odmienność. Przecież i tak nikt by nie zrozumiał, o czym on mówi. Musiałby raz za razem wyjaśniać, że mezuzą to taka ozdoba, która ma w środku kawałek pergaminu z zapisanymi fragmentami Tory, mającymi

przypominać człowiekowi o tym, co w życiu najważniejsze. Tak przynajmniej sam rozumiał sens mezuzy.

Coś w tej religijnej tradycji mu doskwierało, wyglądało jednak na to, że powody są znacznie bardziej złożone, niż z początku przypuszczał. W Finlandii, gdzie by mu nawet przez myśl nie przeszło, żeby zawiesić przy drzwiach mezuzę, uderzyło go nagle to, że puste miejsce na ścianie kłuje go w oczy bardziej niż w jego domu w Stanach. Jak gdyby żądało od niego zdecydowanego opowiedzenia się po jednej ze stron: albo zawieszasz mezuzę zawsze i wszędzie, albo nigdzie. Nie możesz jej ukazywać z takiej a takiej perspektywy, pod takim a takim warunkiem, choć tak ci każe twoje rozumienie „prawdziwości”: opatrzeć ją stosownym przypisem.

A więc między innymi po to się ją zawiesza? – olśniło go nagle.

Poznawanie Finów okazało się dużym wyzwaniem. Jeśli w sali seminaryjnej było jasno jak w szklarni, to w korytarzach instytutu panował półmrok. I nie bez powodu – po ciemku łatwiej niezauważenie przemykać się do pokojów i wymykać z nich do domów.

Przez pierwszy miesiąc pobytu w Finlandii Joe był przekonany, że uniwersytet jest zamknięty. Macie tu wakacje już od końca maja? Czy ciągle strajkujecie, jak Francuzi?

Po wyjściu ze swojego kantorka kilkakrotnie natrafił na korytarzu na osobnika o wyglądzie włóczęgi, który na jego widok zamierał, po czym z prędkością światła znikał w swojej norze. Joe próbował się przedstawić, ale postać rozpływała się w mroku, nim zdążył coś powiedzieć. Nazwisko osoby odpowiedzialnej za promocję i kontakty międzynarodowe uniwersytetu poznał dopiero rok po przyjeździe.

Z czasem nauczył się Finów nie płoszyć: jeśli znieruchomieje na dłuższą chwilę w absolutnej ciszy, to czasem mu się poszczęści i kogoś tam kątem oka przypadkiem zobaczy. Zimą, najczęściej w porze szarego świtu i sinego zmierzchu, Finowie pojawiali się na chodnikach i kroczyli samotnie, pogrążeni w smutnym milczeniu. Latem znów zamykali się na długie miesiące w swoich domkach letniskowych i nawet by nie spostrzegli, gdyby w tym czasie ich kraj najechano albo komuś sprzedano.

W kuchence instytutu udawało się czasem nakryć jakiegoś Fina w porze lunchu i zagonić go do kąta, zanim zdążył uciec. Ale wtedy też trudno było odbyć z nim sensowną rozmowę. Przez te dwie czy nawet trzy minuty, na które można go było jeszcze zatrzymać, odpowiadał zazwyczaj monosylabami – sztywny ze strachu, na bezdechu, strzelając na boki szeroko rozwartymi

oczami w poszukiwaniu drogi ucieczki.

No – przynajmniej nie musiał się bać, że za bardzo się tutaj do kogoś przywiąże, zanim przyjdzie czas wyjazdu. Pisaniu prac ta klasztorna atmosfera Finlandii przyjała wprost idealnie.

Na szczęście z Wallenbergiem Joe nie miał podobnych problemów i mógł z nim rozmawiać bez obawy, że mu gdzieś ucieknie. Spytał go raz, gdzie się spotykają pracownicy instytutu. Przecież muszą gdzieś fizycznie ze sobą przebywać, w końcu współpracują. Czy gdzieś w instytucie jest sekretny pokój, o którym on jeszcze nie wie? Gdzie się odbywają lab meetingi, sympozja i gościnne wykłady badaczy z innych ośrodków? Gdzie pracownicy dyskutują o swoich wynikach, organizują burze mózgów?

– W saunie – padła odpowiedź.

Wallenberg miał tak nieprzenikniony wyraz twarzy, że Joe nie potrafił rozstrzygnąć, czy mówi poważnie, czy robi sobie jaja.

Później z rozbawieniem spostrzegł, że przeszedł wszystkie fazy szoku kulturowego po prostu podręcznikowo.

Po miesiącu miodowym przyszedł kryzys. Drobiazgi, które z początku wydawały się zabawne, nagle zaczynają drażnić. Dlaczego nigdzie nie ma meksykańskiej restauracji? Dlaczego nikt go nie pozdrawia? Dlaczego nikt się nie przedstawia i nie przedstawia innych, zwłaszcza mężczyźni, tylko wszyscy zachowują się tak, jakby nie dzielili z sobą jednego pomieszczenia? Czy to nie trudne, tak dzień po dniu unikać kontaktu wzrokowego tylko po to, by nie musieć się odzywać? Dlaczego podtrzymywaniem rozmowy w Finlandii zajmują się wyłącznie kobiety? Dlaczego nikogo nie interesuje, co robią koledzy i koleżanki z tego samego instytutu? Dlaczego nikt nie podchwycił pomysłu wydziałowego seminarium badawczego, które Joe chciał zapoczątkować? Wszędzie, gdzie wcześniej pracował, uchylanie się od wymiany poglądów naukowych uznano by za zwiastun rychłego upadku placówki na płaszczyźnie zawodowej i społecznej, za bezwarunkową kapitulację.

Czy ci ludzie naprawdę aż tak bardzo się bali? I dlatego woleli robić wszystko byle jak samemu niż dobrze w grupie? Czy naprawdę nie warto mówić innym o swoich pomysłach, żeby je potem wspólnie dopracować? Jeśli łączenie sił ma sens w Dolinie Krzemowej, to dlaczego nie miałyby mieć sensu w małej dziurze pośrodku lasu gdzieś na obrzeżach świata? Ale co poradzić – Finowie najwyraźniej chcą wszystko robić po swojemu, sami, bez pomocy z zewnątrz, w gronie starych kumpli, tak jak zawsze. Szczególnie

mężczyźni w tym kraju muszą robić wszystko sami, muszą być niezależni, twardzi i genialni; dlatego ich pracy nie wolno komentować i nie wolno zadawać im pytań – nawet takich, dzięki którym mogliby się naprawdę wspiąć na wyżyny geniuszu. Z tego samego powodu nie wtajemniczają kobiet w swoje zabawy – z wyjątkiem tych najgrzeczniejszych, do prac pomocniczych – chociaż są bardzo inteligentne i mają zdecydowanie za wysokie wykształcenie, żeby wykonywać tak nieskomplikowane zadania, jakie się im wyznacza. Na ziemi obiecanej sufrażystek kobiety są wypychane na aut: po urodzeniu dziecka zamyka się je w domu na trzy, cztery lata, ale na cały świat się trąbi, że fińskie matki mają wolny wybór! To dlatego mimo wielkiej pracowitości i niemałych zdolności Finowie nie mogą się przebić na świecie ze swoimi firmami, myślał Joe, oni sobie nie pomagają, tylko robią wszystko w pojedynkę, a jak im się nie udaje, to ze wstydu się upijają, jak głupie nastolatki.

Ale może to tylko z zewnątrz tak wyglądało. Trudno było powiedzieć coś na pewno, bo Joe nie za dobrze rozumiał, jak ten system działa. W każdym razie Finki nie rozstawały się na zawsze z pracą, tak jak kobiety w Stanach, gdzie pojęcie *work-life balance* było interesującą utopią, zagadnieniem w rodzaju ewentualności życia na innych planetach, egzotycznym i skłaniającym do fantastycznych wizji i marzeń, ale zbyt odległym od życia na Ziemi. I choć brzmiało to nieprawdopodobnie, wszystko wskazywało na to, że w Finlandii kobieta rzeczywiście może porzucić pracę na sześć lat, by po tym czasie wrócić do życia zawodowego jak gdyby nigdy nic, a nawet objąć kierownicze stanowisko! Ale może to tylko taka miejska legenda – Joe nie był pewny, czy warto wierzyć we wszystko, co Finowie mu mówią.

Na początku powiedział też sobie, że nie będzie się mieszał do spraw, które na amerykańskich uniwersytetach określa się mianem polityki. Ale czy Finowie naprawdę uważają, że alkoholik, który od piętnastu lat pisze w Helsinkach pracę doktorską sobie a muzom, ma lepsze kwalifikacje do objęcia asystentury niż kobieta, która rok wcześniej doktoryzowała się w Cambridge?

Joe próbował interweniować w tej sprawie i z późniejszej perspektywy to właśnie ona stała się jakby punktem zwrotnym – potem nie umiał już patrzeć na Finlandię tak samo jak przedtem. Kobieta zrobiła *undergrade* na uniwersytecie w Nowym Jorku i po obronieniu doktoratu w Cambridge chciała wrócić do Finlandii, żeby wychowywać dziecko w ojczyźnie. Joe ją znał, spotkali się kiedyś na konferencji; sprawiała wrażenie sympatycznej, miała poczucie humoru i w ostatnich latach przedstawiała referaty, które

wzbudzały zainteresowanie nawet w Stanach. Miała świeże pomysły i umiała je świetnie zaprezentować, czym z pewnością zapewniła sobie tak dobre przyjęcie w Wielkiej Brytanii.

Joe był przekonany, że Finowie przyjmą taką osobę jak Mesjasza. Urodzona w Finlandii, jeśli to już takie dla nich ważne, a do tego biała luteranka z fińskim jako pierwszym językiem – jak Pan Bóg przykazał! Mówiła nawet płynnie po szwedzku – drugim językiem urzędowym w Finlandii wcale nie jest rosyjski – a to w tym kraju konieczność, jeśli się myśli o dobrej posadzie.

Na trzyletnie stanowisko asystenta w ich instytucie nie wybrano jednak jej, lecz tego gościa o wyglądzie włóczęgi, który nie umiał zadbać o higienę osobistą i od dziesięciu lat przemykał się chyłkiem w kapciach pod ścianami instytutu. Facet od lat nie opublikował niczego, a debiut w prasie zagranicznej był ciągle jeszcze przed nim. Ostatecznie może i na to Joe machnąłby w końcu ręką – Finowie mieli kilka własnych czasopism naukowych, których nie mógł czytać nikt na świecie – ale potem wyszło na jaw, że opis stanowiska w ostatniej chwili zmieniono tak, iż jedynym kandydatem mógł być tylko tamten.

Kiedy Joe ochłonął z pierwszego szoku i powiedział, że chyba nie można rozmyślnie pozbawiać szans osobę wyraźnie lepiej wykwalifikowaną, jego rozmówca wzruszył ramionami: kwalifikacje to rzecz subiektywna. Tak to już jest. Nikt za to nie odpowiada i tym bardziej nie można już nic w tej sprawie zrobić. Finlandia to mały kraj.

Joe uważał, że decyzję należy zaskarżyć, bo przecież brak profesjonalizmu gościa w kapciach aż bije po oczach. Jego propozycja wywołała przerażenie: podobne posunięcia nie są ani w interesie tej kobiety, ani jego własnym.

Nie mógł pojąć, dlaczego nikt nie zaprotestował, dlaczego o całej sytuacji nie wolno było nawet *rozmawiać* – aż wreszcie go olśniło, kiedy usłyszał słowo rzucone przez kogoś mimochodem w rozmowie o kim innym: Ta obca.

Kiedy tylko ktoś się do nich zbliżał, Finowie natychmiast się okopywali i wyciągali broń – i od swoich sprzymierzeńców oczekiwali takiej samej postawy. Instytut nie był częścią świata, międzynarodowej społeczności naukowej, w której badacze łączą siły dla wspólnego dobra, lecz prywatną i niezależną *helsinkińską* wysepką. Zamiast więc szukać sprzymierzeńców pośród lepszych od siebie i partnerów do współpracy, Finowie bardzo pracowicie wznosili mury wokół siebie, jak gdyby się bali skażenia środowiska.

Kobieta nie złożyła odwołania od decyzji władz uczelni. Powiedziała Joemu, że nie chciałaby pracować w miejscu, gdzie nie jest mile widziana.

– W końcu jestem dla nich obca – przyznała ze zrozumieniem w głosie, choć Joemu cała ta sprawa nie mieściła się w głowie. Przecież wszyscy na tym stracą!

W Stanach pretendent miał naturalną przewagę. Na uczelniach zawsze robił się szum, kiedy na *job talk* – gościnny wykład kandydata na wakujący etat – przyjeżdżał naukowiec z innego miasta czy kraju, który dokonał czegoś wyjątkowego albo wyróżniał się szczególnym wykształceniem. To też nie było do końca racjonalne, ale żeby uważać *inbred* za jakąś cnotę absolutną?

Z upływem czasu Finlandia stawiała się dla Joego coraz mniej zrozumiała. Dlaczego Finowie bezustannie gładzą o podnoszeniu poziomu swoich uczelni, skoro stają na głowie, żeby do tego nie dopuścić? Dlaczego nie zatrudniają ludzi ambitnych z lepszych uniwersytetów i nie fundują im porządnych laboratoriów, nie dają prawdziwych etatów zamiast tych żalonych profesur podwórkowych na trzy lata? Oni jednak tego nie robią i nie chcą nawet słuchać, kiedy im się to proponuje. Co dwa lata *przemianowują* swoje stare uczelnie, zakładają kolejne *nowe ośrodki specjalistyczne, centra najnowszych technologii i specjalne wydziały eksperckie*, w których siedzą wiecznie ci sami ludzie i robią to samo, co do tej pory, sami i po swojemu, tylko za coraz gorsze pieniądze. Co najwyżej zatrudnia się jakiegoś dyrektora projektu, którego nazwiska i obowiązków nikt nie potrafi podać i który przez rok produkuje opis własnego stanowiska, po czym kończy się grant na projekt i dyrektor staje się zbędny.

Kontakty międzynarodowe, którymi chwalił się wcześniej instytut helsiński, okazały się samym Arto Wallenbergiem, który dwadzieścia lat wcześniej był w Stanfordzie na trzymiesięcznym stypendium. Z Berkeley natomiast instytut miał podpisaną umowę na wymianę magistrantów. Ktoś tam kiedyś był, na pewno, zapewnił Joego Wallenberg, nie potrafił sobie jednak przypomnieć, kto i w którym roku. No i Oxford: przed laty jeden z absolwentów instytutu pojechał tam robić postdoc. Nikt nie znał jego dalszych losów. Po wyjeździe za granicę kontakt z nim się urwał.

„Specjalistyczna jednostka badawcza współpracuje ściśle z grupami badaczy między innymi ze Stanforda, Berkeley i Oxfordu”.

Każdy kraj ma swoje osobliwości. Finowie z pewnością funkcjonowali w sposób, który dla nich miał sens. Dopóki Joe mógł bez przeszkód robić swoje, mógł te dziwne obyczaje fińskie traktować jak zabawne kurioza. Trudno było nie podziwiać wytrwałości Finów, mimo że nie interesowało ich nic poza własnym pępkiem. I dopóki odwiedzało się Finlandię sporadycznie, można było zbierać anegdoty o Finach i zawozić do domu jak kamyczki

z morza, układać z nich w myślach opowieści o nocnych eskapadach i budować po powrocie do kraju swoją sławę globtrotera.

Specjalistyczna jednostka badawcza.

Gdyby mieli w Helsinkach adiunkturę i choćby małą grupę ludzi, z którymi dałoby się coś sensownego zrobić, może nawet by został. Finlandia miała tyle dobrych stron, że mógłby dla nich zrezygnować nawet z własnych ambicji; poświęciłby się rodzinie i po prostu cieszył z możliwości wykonywania swojej pracy. I w oślepiającym świetle słońca na lutowym śniegu przemierzałby na nartach piękne fińskie lasy.

Gdyby: gdyby dali mu tam etat i choćby mały zespół.

Poznał w Finlandii wspaniałych ludzi, którzy zostali jego dobrymi przyjaciółmi. I generalnie Finowie świetnie dawali sobie radę – państewko nie większe od Wisconsin. Zdołali na przykład stworzyć system opieki zdrowotnej dla wszystkich obywateli.

X

Referował Raj Chakravarthi, jego postdoc. Joe siorbnał kawy, próbował się skupić. Wiedział, że Raj wiele sobie obiecuje po tych wynikach i dlatego najbardziej mu zależy właśnie na jego uwagach.

Założenia eksperymentu były ciekawe. Grupie kotów zniszczono prądem połączenia nerwowe w korze wzrokowej, które przekazują bodźce na wyższy poziom. Dzięki zastosowaniu nowych metod można to było zrobić bardziej precyzyjnie niż dotychczas. I wszystko wskazywało na to, że odłączone komórki u pierwszego kota zreorganizowały się w mózgu zupełnie inaczej, niż zakładano – i ta informacja podziałała na całą grupę jak nagłe wybudzenie z letargu. Praca badacza laboratoryjnego to nudna jak flaki z olejem codzienna rutyna, od czasu do czasu jednak przydarza się takie olśnienie, które wynagradza z nawiązką całą tę monotonię.

Jednak u następnych zwierząt nie uzyskano już równie dobrych reakcji i gdy pod koniec eksperymentu koty uśpiono, także wyniki badań komórkowych były tak chaotyczne, że nie można było ich uznać za wiarygodne.

I znów to samo: mnóstwo roboty na próżno. Tylko czy cokolwiek może być na próżno? Przecież nic tak nie uczy jak błędy i ślepe zaułki.

Im dłużej Raj mówił, tym mniej jego prezentacja trzymała się kupy. Joe zauważył, że błędzi już myślami gdzie indziej. Zorganizowanie bojkotu Freedom Media okazało się trudnym wyzwaniem. Wiadomo, każdy chce się

skupić na swojej pracy i ludzie unikają wszelkich dodatkowych zajęć, zwłaszcza tych czasochłonnych. Najpierw Joe porzysłał maile i wiadomości za pośrednictwem mediów społecznościowych, większość jednak pozostała bez odpowiedzi i musiał w końcu chwycić za telefon. Miał wrażenie, że wielu jego rozmówców słyszy o całej sprawie po raz pierwszy. Każdy przyznał mu rację, że sytuacja jest nienormalna i niemoralna, niewiele osób jednak zgodziło się na umieszczenie swojego nazwiska na oficjalnej liście uczestników bojkotu.

„Tak się tylko zastanawiam, czy nie przyłgnie do mnie opinia... może nie zaraz człowieka niewygodnego, ale... No i nazwisko w internecie, tego już się potem chyba nie da usunąć? To naprawdę obrzydliwa i nieuczciwa sytuacja i mam nadzieję, że szybko się wyjaśni! Powodzenia! Dzięki, Joe, robisz ważną rzecz! Przykro mi, że tym razem nie mogłam ci pomóc!”

Tym bardziej nie było chętnych do rezygnacji z członkostwa w kolegiach wydawniczych czasopism Freedom Media, co w wypadku tych najlepszych stanowiło wyróżnienie w świecie akademii. Dopóki badacze nadsyłają artykuły do czasopism Freedom Media i zgadzają się pracować w kolegiach wydawniczych oraz recenzować prace swoich kolegów po fachu, dopóty czasopisma pozostają na najwyższym poziomie. A dopóki pozostają na najwyższym poziomie, dopóty badacze proponują im publikację swoich artykułów.

Joe miał nadzieję, że zdołają z czasem przekonać społeczność naukową do postawienia na czasopisma otwarte: wszystkie wyniki badań będą zamieszczane w internecie i udostępniane za darmo każdemu zainteresowanemu; już dawno należało to zrobić. Po co komu dzisiaj wydawcy, skoro czasopism nie drukuje się na papierze i nie rozwozi ciężarówkami po bibliotekach? Joe był sfrustrowany powolnym tempem wprowadzania zmian nawet w takiej sprawie, co do której wszyscy się zgadzają i wystarczy jedynie podjąć wspólną decyzję.

Tymczasem jednak musi zapomnieć o bojkocie, dopóki administracja nie usunie śladów tego ostatniego aktu wandalizmu. Trzeba dokładnie sprawdzić, co zniszczono, sprawdzić skrzynki nadawcze, może tam się uda znaleźć część utraconych danych. Sporządzić listę zawalonych prac i zacząć łątać dziury. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej frustrującego? Joe i bez tego był w globalnym niedoczasiu.

Będą musieli naprawić im drzwi i zainstalować lepsze systemy alarmowe. Kamery pojawią się we wszystkich pokojach, nie tylko w laboratoriach. Do tej pory będzie musiał jakoś sobie radzić bez pokoju do pracy. Super.

– Joe?

Wzdrygnął się: wszyscy patrzyli na niego, jakby czekali na słowa komentarza. Tylko o czym była mowa?

Odpowiedział coś ogólnie, bez większego związku z czymkolwiek, próbując sobie przypomnieć, o czym myślał na początku referatu, zanim stracił wątek. Ale do głowy przyszły mu tylko słowa Roddy'ego do naburmuszonych studentów szturmujących jego pokój: Chcecie mieć zaliczenia, a nic nie robicie.

Po lab meetingu Raj zatrzymał go na korytarzu. Joe przeprosił go za swoje roztargnienie i obiecał skomentować jego eksperymenty bardziej szczegółowo w najbliższym czasie.

– Nie poddawaj się – powiedział. – Niedługo znów staniemy na pewniejszym gruncie.

– Ja nie o tym... – odpowiedział Raj. – Chcieliśmy tylko powiedzieć, że... Może moglibyśmy coś zrobić.

Za Rajem stanęli doktoranci Joego: Lisa, Sarah, Chen, Megan, Thando, Chih-Han. Poważni, milczący, młodzieńczo naiwni.

– Wszyscy moglibyśmy pomóc – przytaknęła Sarah. – W analizach czy choćby nawet... Na przykład przy remoncie twojego pokoju. Możemy coś naprawić.

Solidarna postawa zespołu podziałała na niego jak promień słońca w środku mrocznej zimy. Nagle uświadomił sobie, że przejął się tym włamaniem bardziej, niż to przed sobą przyznawał. Czyżbyśmy rozpoznawali swoje uczucia, dopiero widząc ich odbicie w twarzy drugiego człowieka?

Joe nie miał w zwyczaju chodzić ze swoimi doktorantami po pracy na piwo, jak niektórzy młodszy adiunkci, ale tego dnia zabrał cały swój zespół do PJ-a w suterenie i postawił całej kompanii piwo i tacos. Zdziwiony był wzruszeniem, z jakim patrzył na tych młodych ludzi grających w bilard i pomstujących na skrajny odłam republikanów; byli nie tylko inteligentni, ale także towarzyscy i niepozbawieni poczucia humoru. Życzył im w duchu wszystkiego dobrego – z uczuciem, którego mimo usilnych prób nie potrafił nazwać.

Ze swojej skrzynki pocztowej w instytucie wyciągał kolejne groźby. Z początku znajdował je tam rzadko, potem już co tydzień. Nazywano go w nich nazistą, komendantem obozu koncentracyjnego, Goebbelsem, doktorem Mengele, aniołem śmierci, *Todesengel*. W niektórych pojawiały się także imiona Miriam i ich dzieci.

On – nazistą.

Chciałby traktować te bluzgi poważnie, ale wydawały mu się takie nierzeczywiste. I co mu to pomoże, że będzie się przejmował? Kiedy człowiek chce się zdołować, powód się zawsze znajdzie: na drugim końcu miasta codziennie się kogoś morduje i reguluje narkotykowe długi butelkami z benzyną, a na Bliskim Wschodzie znowu jest wojna. Przeróżające, ale co zwykły człowiek może na to poradzić? Kiedy patrzył na te chuligańskie wybryki z tej perspektywy, widział jedynie dziecięce psoty.

Przesłał karteczki wewnętrzną pocztą do działu ochrony, zawiadomił też policję. Więcej nie umiał zrobić – i nawet nie miałby czasu. Nie mógł zostawić swoich doktorantów na lodzie. Pod jego drzwiami ustawiały się kolejki wyszczekanych studentów, którzy zrobiliby absolutnie wszystko, byle tylko dostać się na medycynę i prawo, kłócących się o każdy egzamin i o punktację każdej odpowiedzi. Oprócz tego miał na głowie pisanie referatów na konferencje i szlifowanie artykułów. I nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby w tym roku nie skończył wreszcie książki, a codziennie musiał być w domu o ósmej wieczór, żeby zwolnić Saarę. W kwestii godzin pracy Finka była nieugięta.

Ale po tamtej sobotniej nocy, kiedy do jego pokoju wrzucono przez okno cegłę, Joe zaczął inaczej to wszystko postrzegać. Kamera monitoringu nagrała ubraną w ciemny strój postać mężczyzny średniego wzrostu, który zbiegł ze stopni prowadzących do wyższego kwartału kampusu prosto na podwórze, cisnął cegłę w okno i uciekł. Miał czapkę nasuniętą na oczy i nie było szans na ustalenie jego tożsamości.

Joe czuł się sfrustrowany. Żeby policja nie potrafiła złapać głupiego wandala?

Wydział zwołał zebranie kadry, żeby się zastanowić, co robić w zaistniałej sytuacji. Decyzja zapadła jednomyślnie: nic. Sprawą zajmuje się policja. Mówicie serio? – chciał spytać Joe. Mijał miesiąc od włamania, a policja nie ustaliła niczego.

W głębi duszy żywił jednak nadzieję, że ktoś coś zrobi – choćby głupi, pusty gest, który nie będzie miał żadnego praktycznego znaczenia. Ale będzie komunikatem, że ta sprawa leży na sercu nie tylko samemu zainteresowanemu. Że ktoś się jednak przejął tym, że Joemu Chayefskiemu i członkom jego rodziny ktoś grozi śmiercią, nawet jeśli są to tylko idiotyczne żarty.

Czy zechciałby pan/zechciałaby pani zrobić coś zupełnie niepotrzebnego, wręcz symbolicznego – przepraszam, ale w tej chwili nie przychodzi mi do

głowy, co by to mogło być – abym się z tym poczuł trochę lepiej?

Po zebraniu Joe wyraził na głos zdziwienie, dlaczego właśnie on stał się obiektem ataków. Co takiego szczególnego zrobił? Dziesiątki, jeśli nie setki osób na tym samym uniwersytecie robiły bardzo podobne badania, w całym kraju tysiące, na całym świecie dziesiątki tysięcy.

Barb Fleischmann miała zawsze gotową odpowiedź na wszystko:

– Za dobrze ci szło.

Państwowa nagroda naukowa.

Rok wcześniej jego nazwisko przewijało się we wszystkich mediach. W każdej gazecie powtarzano to samo o jego badaniach. Profesor Joseph Chayefski, nagroda w wysokości pięciuset tysięcy dolarów i *extrastriatal refractive amblyopia*, jednostronne zaburzenie wzroku spowodowane wadą rozwojową drugorzędowej okolicy wzrokowej, do tej pory nieznane, ale teraz – właśnie dzięki badaniom profesora Chayefskiego – diagnozowane już u dzieci, którym można przywrócić wzrok. Niewykluczone, że dzięki tym samym badaniom w przyszłości będzie można leczyć inne wady wzroku – również te, które dziś prowadzą do całkowitej ślepoty.

Joemu nawet nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby sobie upatrzeć akurat jego. Był zażenowany wysokością nagrody: przecież tylu innych badaczy bezustannie robi równie dobre, a nawet lepsze badania niż on. I powtarzanie, że połowę sumy oddał na UNICEF, wydawało mu się równie pretensjonalne, jak konsekwentne przemilczanie tego faktu. Pamiętał rozbawienie aluzjami dziennikarzy, jakoby dokonał – i co najlepsze: jednym eksperymentem! – jakiegoś heroicznego wyczynu, chociaż należałoby mówić o zwykłej, rutynowej robocie, jakiej oddają się codziennie dziesiątki tysięcy badaczy na całym świecie. Nikt w nauce nie dochodzi do niczego sam, nie byłoby to nawet możliwe. Pojedynczy eksperyment nie ma żadnego znaczenia; wszyscy korzystają z ogółu dobrze skonstruowanych i przeprowadzonych doświadczeń. I choć Joe starał się podkreślać ogromne znaczenie badań innych naukowców, bez których nigdy by nie było jego pomysłu, media konsekwentnie to ignorowały. No, ale kolumny w gazetach nie są przecież z gumy.

Dziennikarze natychmiast podchwycili temat niewidomych dzieci – jak szybko będzie można zacząć je leczyć? Za ile lat? Czy można napisać, że za trzy? Hm, a kogo jeszcze można by o to zapytać? Reporterzy szukali historii jednej choroby i osamotnionego bohatera, któremu w tym przypadku chcieli przypisać jego twarz. Wszystko od początku do końca było profesjonalnie wykreowaną dziennikarską fikcją.

Ale właśnie przez nią teraz musiał cierpieć: za to, że coś osiągnął. Uderzyli w niego, bo jego badania na coś się przydały; bo dziennikarze zrobili z nim, co chcieli; bo nie zmarnował życia swoich zwierząt i nie robił badań, z których nikt nigdy nie miał i nie będzie mieć pożytku.

Dlaczego nie prześladowają tych, których badania są do dupy? Dlaczego nie rzucają się na tych patałachów, którzy fundują swoim psom bolesne wstrząsy elektryczne, ale knocą cały projekt i wyniki ich eksperymentów nie prowadzą do żadnych wniosków? Albo tych, co bezdusznie topią swoje szczury w szklanym basenie tylko po to, żeby ktoś mógł wypuścić na rynek pięćdziesiątą wersję tego samego leku? Co uśmiercają swoje zwierzęta absolutnie bez sensu? Co tydzień dostawał takie badania do recenzji; publikowano je w nowych czasopismach, których przybywało z każdym miesiącem, produkowano je na całym świecie tak szybko, że nikt nie nadążał ich czytać, zamieszczano je w coraz gorszych wydawnictwach, które już się nawet nie siliły na zachowanie pozorów naukowości, zachęcano do nich badaczy na całym Zachodzie, podzwaniając pieniędzmi podatników – bo przecież trzeba robić badania! No i robiono ich tyle, że brodzenie w tym bagnie przysparzało prawdziwym naukowcom wyłącznie kłopotów.

Joe miałby ochotę wykrzyknąć w twarz tych skurwieli, którzy zniszczyli jego pokój w laboratorium: Czy nie to właśnie jest złym traktowaniem zwierząt?!

X

Nikt nie lubi znaleźć się pod ścianą, ale najgorsza jest świadomość, że człowiek znalazł się tam na własną prośbę.

Wciąż pamiętał wieczór, kiedy wspomniął o wolnym miejscu w Berlinie. Nie wyobrażał sobie, że mrok może się tak przeciągać. Tamtej zimy śnieg spadł w Helsinkach późno i nawet dla Finów był to wyjątkowo posępny początek roku. A kiedy zdawało się, że zima zaczyna jakby powoli ustępować, na pierwsze oznaki wiosny trzeba było czekać jeszcze strasznie długo.

Nie umiał ocenić, w jakim stopniu na oszołomienie Aliny wpłynął poród, karmienie i brak snu, a w jakim na przykład poziom hormonów. Niemniej w przyniesionym z poradni informatorze dla ojców sporo było o huśtawce nastrojów kobiety w ciąży i po porodzie. Czy to ciągłe siedzenie z dzieckiem w domu na pewno jest dla niej dobre? Alina chciała jednak zostać z Samuelem, dopóki nie skończy trzech lat. To był chyba taki fiński standard

odpowiedzialnego macierzyństwa. Jego bratowa Marnie po urodzeniu Bena została w domu miesiąc, bez pensji. Ale już samo wspomnienie tego faktu Alina odbierała jako krytykę pod swoim adresem.

I te jego ciągle nadgodziny... Czy naprawdę wszyscy ojcowie w Finlandii wychodzą z pracy o czwartej po południu? Chyba jednak nie wszędzie jest to możliwe, co? Premier też wychodzi o czwartej? Z obrad szczytu Europy? Finowie tyle opowiadali, jacy to są pracowici i jak to w ich kraju się docenia ciężką pracę. Tylko w jakim stopniu te twierdzenia przystawały do rzeczywistości, skoro oddanie dziecka do żłobka uważano w Finlandii za czyn niemoralny? Joe uważał, że i tak był wyjątkowo elastyczny, kiedy się zaofiarował, że po narodzinach Samuela weźmie dwudniowy urlop, chociaż dopiero zaczął pracę, i nie bardzo rozumiał, dlaczego Alina zaczyna przełykać łyzy. Cierpliwie jej tłumaczył, dlaczego tych parę godzin między ósmą a jedenastą wieczorem ma dla niego tak wielkie znaczenie, ona jednak ciągle rzucała mu gniewne spojrzenia, kiedy włączał swój komputer, ledwo Samuel zasnął.

Był zaskoczony trudnością, z jaką odczytuje jej oczekiwania. Przyjście na świat dziecka zmienia życie każdego ojca, ale czy Joe mógł się porównywać do swoich amerykańskich kolegów po fachu, którzy zostali ojcami? Którzy naprawdę pracowali po dziesięć, dwanaście godzin dziennie, także w weekendy, ale za to resztę swojego czasu poświęcali całkowicie rodzinie? Czyżby w Finlandii obowiązywały inne reguły? Jakim cudem fińscy naukowcy osiągnęli wyżyny w swojej profesji?

A co będzie potem, kiedy wyjadą z Finlandii? O to chciał bardzo delikatnie zapytać Alinę w tamto ciemne zimowe popołudnie, kiedy poruszył temat Berlina, ale jeżeli z jej spojrzenia można było cokolwiek wyczytać, to raczej tyle, że nigdzie nie wyjadą; Joe czuł się tak, jakby powiedział właśnie swojej żonie nie o pracy w Niemczech, tylko o drugiej kobiecie.

Później żałował tamtej reakcji. Trzeba było się powstrzymać, załagodzić sytuację. Tylko że nie przyszło mu nawet do głowy, że ich oczekiwania wobec przyszłości mogą być aż tak odmienne. Finlandia, jego skromne roczne stypendium, dwa uniwersytety na krzyż z paroma posadami, trzymanymi zazdrośnie dla pięćdziesięcioletnich *swoich*; czy naprawdę sądziła, że on zostanie w takim kraju *na zawsze*? Żeby zbierać spod stołu ochłapy, które *być może* kiedyś mu rzuca? Chyba już na początku ich znajomości Alina musiała mieć pełną jasność, jakie życie Joe dla siebie wybrał.

To po jaką cholere wprowadzaliśmy się w ogóle do tego mieszkania? Jeśli już zaraz trzeba będzie lecieć na drugi koniec świata?!

Na drugi koniec świata? Przecież Niemcy są niedaleko.

Niedaleko?! Tam trzeba *lecieć samolotem!*

No, ale...

To po jaką cholere kompletowałam w pocie czoła te wszystkie pieprzone zasłony i bordiury, i dywany, i przewijaki? Dlaczego wtedy nic nie mówiłeś?!

Nie sądziłem, że myślisz, że...

No to jedź, kurwa, leć sobie do tych twoich Niemiec! Tam na pewno wszystko jest lepsze! A za rok przeniesiemy się do Irlandii!

W końcu i jego cierpliwość się skończyła.

Przecież ja bym z tego rajy w życiu dobrowolnie nie wyjeżdżał! Przecież tu wszystko jest po prostu jak w bajce, w każdym parku piękna banda szczających meneli i od nikogo nawet „dzień dobry”! Chyba że po pijaku, wtedy to co innego: będziemy sobie padać w ramiona jak zakochani nastolatkwie! Ale może gdzieś indziej znajdzie się dla mnie *praca!*

Na pewno się znajdzie! Tam się przenieś!

Muszę mieć chyba jakieś cholernie wygórowane oczekiwania, skoro chciałbym po prostu znaleźć pracę! Tę jedyną, jaką potrafię wykonywać! I w której jestem nawet całkiem dobry!

Co ty powiesz! To czemu tyle narzekasz?!

Szybko tu zapomnę wszystko, co kiedyś umiałem! Bo niczego nie mogę porządnie zrobić!

Świetnie! No to postanowione! Za jednym zamachem uwolnisz się od potwornej żony i dziecka!

Następny poranek, zimne światło helsińskiej wiosny. Zapłakane oczy Aliny, pojednawcza przedśniadaniowa krzątanina w kuchni. Jej ciche pytanie, czy napije się kawy.

Pojednanie, na dziś, na trochę.

Nie mógłby.

Rozstał się już z Hannah, nie oszczędził matce łez, ożenił się z Aliną, przeniósł się na inny kontynent i założył rodzinę; nie mógłby zostawić żony i jedyne dziecko, nie mógłby znowu wszystkiego zepsuć.

Ta czułość, z jaką Alina patrzyła na buzię marszczącego się noworodka przy swojej piersi. Joe żałował wielu rzeczy, a najbardziej swojego oślego uporu, ale nigdy Aliny ani Samuela.

Ale że nawet Szwecja była za daleko.

Prosząc matkę przez telefon o pieniądze, zdał sobie sprawę, że na dłuższą metę nie będzie umiał tak żyć. Słuchał swoich kłamstw o remoncie, którego

wcale nie było, o samochodzie, którego nigdy nie będą tu potrzebowali.

Nie zniesie tego. To poniżej jego godności, nie jest aż taki twardy, zwłaszcza w stanach przedłużającego się osamotnienia. Ostatnio musiał prosić rodziców o pomoc na początku studiów. A przecież teraz *miał* finansowanie.

Wiosna przyniosła ze sobą słońce, które wschodziło zdumiewająco wcześnie, ale niczego nie mogło ogrzać. Każdy następny dzień był jaśniejszy, ale zimny i wietrzny, a jesień i koniec jego rocznego stypendium zbliżały się wielkimi krokami. I kiedy wyszło najbardziej prawdopodobne źródło dalszego finansowania projektu – to, na które bardzo liczył – w ręku została mu już tylko jedna zapalka.

Dostał dużo rad od życzliwych Finów. Nie mógłbyś uczyć angielskiego w szkole? Polecano mu ośrodek kultury, gdzie można spotkać „innych imigrantów”: niepiśmiennych Somalijszczyków, którzy uciekli z Mogadiszu przed wojną, albo Bośniaków, którym snajperzy w Sarajewie wystrzelali rodziny.

Joe zdał sobie sprawę, że nie będzie umiał tak żyć z roku na rok ze świadomością, że cała jego przyszłość znów wisi na włosku, bo zależy tylko od tego, czy jakiś bezosobowy fiński fundusz w następnym cyklu naboru być może przyzna mu pieniądze na kolejne pół roku albo na rok pracy. Bez kosztów badań, urzędzeń i zwierząt. Pieniądze, które zawsze mogą zostać przyznane komu innemu dlatego, że urodził się w Sawonii albo jego badania mają jakiś związek z regionem Satakunta, czego Joe nie może powiedzieć o sobie. A jeśli marzył o powrocie na amerykański rynek pracy, nawet kilkumiesięczna luka w CV niosła poważne ryzyko.

Na uczelni dano mu do zrozumienia, że jego praca oceniana jest bardzo wysoko i studenci go uwielbiają, lecz jego cele lokują się na zupełnie innym poziomie niż cele reszty pracowników.

„Są nierealnie ambitne”, skwitowała Aleksandra krążące po instytucie pogłoski.

Tak na przykład powiedział ów gość, który od dziesięciu lat zupełnie sam pisał dysertację, ten, który przemykał się wieczorami po korytarzach w kapciach, nie mył się i do nikogo nie odzywał słowem. Fundacje nie uzasadniały decyzji odmownych. Joe nie mógł się nawet dowiedzieć, kto decydował o jego przyszłości. Wiedział natomiast, *kto* dostał właśnie grant na kolejne trzy lata nieróbstwa: niechluj w kapciach. Pieniądze przyznała mu fundacja, w której Joe nie mógł nawet aplikować, bo finansowała jedynie osoby urodzone w Karelii Północnej.

Pozostawało tylko jedno rozwiązanie.

Sell out!

Bolało go, że praca, która jeszcze rok czy dwa lata temu była czymś oczywistym, teraz staje się przedmiotem marzeń. Był jednak gotów dla dziecka i żony zostać kimś zupełnie innym, wyrzec się marzeń i poszukać sobie normalnej pracy. Akademickiej nie ma, ale chyba inna się znajdzie, myślał Joe, patrząc na okrągłą główkę synka, który próbował pełzać, ale zdołał jedynie cofnąć się pod sofę. W kaskadach jaskrawych promieni letniego słońca, które lały się z okien dużego pokoju, lewitowały drobinki kurzu.

Z pomocą Aliny, podejrzliwie nastawionej do pomysłu, Joe oddał swój pognieciony garnitur do pralni, sporządził listę odpowiednich miejsc – instytucji państwowych i samorządowych oraz prywatnych przedsiębiorstw – i obszedł je wszystkie, żeby się osobiście zaprezentować. Nie podda się, *goddamnit!* Kiedy człowiek ma dobre wykształcenie i jest gotów harować jak wół, zawsze się znajdzie ktoś, kto go zatrudni! Jeśli Amerykanie coś potrafią, to właśnie to: idą przed siebie jak taran i wycisną dolca choćby z kija w tundrze.

Wszędzie przyjmowano go ze zdumieniem, a w niektórych miejscach nawet z pewnym strachem. Jak gdyby jego rozmówcy po raz pierwszy w życiu stanęli w obliczu tak niebezpiecznej sytuacji.

Ale co w ogóle robisz w Finlandii?

Co tu robisz, skoro nie masz pracy?

Nie znasz fińskiego, ale... *szukasz etatu?*

Trudno mu było do tego się odnieść. Chyba nie każdy cudzoziemiec jest w Finlandii kuriozum z latającego spodka? W latach dziewięćdziesiątych? Joe *nie mógł* być jedynym człowiekiem, który przyjechał do Finlandii z zagranicy i próbuje znaleźć pracę, po prostu nie mógł!

Czuł się, jak gdyby machał rękami i myślał, że takim sposobem nauczy się latać: nic dziwnego, że Finowie patrzą na niego jak na wariata.

Po tych niepowodzeniach od razu zarejestrował się jako bezrobotny, żeby dostać pracę już w sierpniu, kiedy skończy się grant. Okazało się jednak, że zasiłek mu nie przysługuje, bo pracownicy naukowci są na samozatrudnieniu nawet wtedy, kiedy nie pracują. Za radą urzędniczki poszedł na kurs języka, gdzie razem z Afrykańczykami i mieszkańcami byłego Związku Radzieckiego próbował opanować to niemożliwe *consonant gradation* i w ten sposób zagwarantować sobie przepustkę do etatu. Niestety, państwo fińskie właśnie ogłosiło historyczne bankructwo: upadły banki i na bruk poszli także ci,

którzy nawet bez kursów językowych świetnie znali fiński, szwedzki, angielski i niemiecki. Ale on się nie podda, *goddamnit*, nie on; to pewne, że gdzieś dostanie jakąś pracę na poziomie *entry-level*, w jakiejś firmie międzynarodowej, gdzie będzie mógł powoli pięć się w hierarchii na ciekawsze stanowiska.

Jednak amerykański paszport i doktorat z Massachusetts Institute of Technology nie miały żadnego znaczenia dla firmy serowerskiej Veikkolan Perinnejuusto Oy. Nie zapewniły mu wstępu na rozmowę kwalifikacyjną w domu towarowym Stockmann ani stanowiska dyrektora centrum badań biologicznych – bo nie miał doświadczenia zawodowego z *Finlandii*. Panią z biura pośrednictwa pracy guzik obchodziło, kto może napisać Joemu referencje i jakie ma koneksje w Bostonie i Nowym Jorku; ona chciała wiedzieć, czy Joe będzie w stanie obsługiwać klientów w języku szwedzkim i czy ma jakieś doświadczenie z pracy w tym kraju.

You're insane, powiedział mu David przez telefon tonem, jakiego jeszcze u brata nie słyszał: Zupełnie ci odbiło.

Joe poczuł ścisk w gardle, kiedy pomyślał o synku, który właśnie nauczył się wstawać, chwytając się mebli; chwilę trwało, nim mógł mówić dalej. Samuel uparcie dźwigał się przy sofie, choć raz za razem upadał na pupę, postawszy chwilę niepewnie na rozchybotanych kolanach, ale Joe czuł, że nigdy mu się to nie znudzi.

Käsi – ręka. *Käsit? käseitä?* Nie: *kädet, käsiä*. *Ihmiset* – ludzie. *Ihmiseitten?* Nie: *ihmisten*. Na upokarzającym, zupełnie mu niepotrzebnym kursie językowym Joe poznał przede wszystkim zasady gry obowiązujące w tym kraju: ma zawiesić swoje życie na kołku, dopóki nie będzie mógł udawać rodzzonego Fina. Do tego czasu – czyli do usranej śmierci – jego wykształcenie, doświadczenie zawodowe i kariera przeleżą na półce w dziale rzeczy zbędnych, ponieważ Joe nie potrafi powiedzieć do słuchawki bez śladu zagranicznego akcentu: „Przedsiębiorstwo budowlane Ahlström, dzień dobry. Proszę chwilę zaczekać, łączę”.

Co tydzień dzwoniła do niego zatroskana matka. Unikała starannie tematu pieniędzy i pytała go ostrożnie o zdrowie, jakby był starcem, który zaczął ostatnio podupadać na umyśle. Wyliczała mu wakaty w Hiszpanii, Szwajcarii i Francji. Czy wiesz, że we Włoszech też mają taki instytut? Czy Austriacy nie robią tego samego, o czym pisałeś w swojej dysertacji? Ile godzin się jedzie z Helsinek do Austrii? Twój ojciec na pewno chętnie by się wybrał w Alpy! Joe czuł pieczenie w gardle, kiedy odpowiadał jej z wymuszonym spokojem: u nas wszystko w porządku, mamó. Nie trzeba.

Najbardziej zabolął go list, który dostał tuż przed Rosz ha-Szaną. Ojciec pisał w nim, że pogodził się z tym, że marzenia jego syna nie zbiegły się z jego nadziejami; że jego syn ma teraz rodzinę w Finlandii i wcale nie chce zostać światowej sławy naukowcem, profesorem na jednym z najlepszych uniwersytetów na tej planecie. Mimo że ma ku temu wszelkie predyspozycje. I jeśli Joe odniósł wrażenie, że nie otrzymał od ojca spodziewanego błogosławieństwa, wynikało to jedynie z jego, ojca, nieumiejętności pogodzenia się z tym, że syn może mieć inne wyobrażenie o spełnionym życiu niż on. Ale teraz ojciec zrozumiał: Joe wybrał własną drogę. I ojciec ma nadzieję, że jego syn jest na tej drodze szczęśliwy i wie, że jego ojciec bardzo go kocha. I szanuje za to, że odważył się pójść swoją drogą.

*Much love from home,
Dad*

Kiedy Alina weszła, siedział na brzegu łóżka ze łzami w oczach.

Uratowało go to cholerne *consonant gradation*. Zamknięto mu drogę do sukcesu, co w ostatecznym rozrachunku wyszło mu chyba na dobre. W przeciwnym razie, z jego wytrwałością, osiągnąłby jeszcze coś w rodzaju namiastki powodzenia w życiu: dostałby jakieś stanowisko bez perspektyw w placówce badawczej i nauczył się mówić kiepsko po fińsku; odniósłby moralne zwycięstwo i pozostał do końca życia skwaszonym cudzoziemcem.

Consonant gradation, wymiana stóp – nawet ten kilometrowy fiński termin zapamiętał do końca życia. Z błędem.

Asttevahtelu.

Omiał się nie popłakać, kiedy usłyszał w słuchawce propozycję Jacka. Samuel chodził jeszcze chwiejnie, ale już bez podparcia, a kolejny semestr zdążył się rozkręcić na dobre bez Joego. I nagle, kiedy już porzucił wszelką nadzieję, Jack Demekis, jego mentor z MIT, załatwił mu pracę w Waszyngtonie. Warunki upokarzające, jak sam się wyraził o umowie; pamiętał jeszcze ofertę, którą Joe dostał niecałe dwa lata wcześniej z UCLA, i przeproszał, że nie może mu zaoferować niczego choćby w połowie tak dobrego.

Nowa szansa! Prawdziwe laboratorium! *W pełni wyposażone!* Gdzie ludzie się pozdrawiają, *rozmawiają ze sobą!* Nawet o *swojej pracy!* Żartują i się śmieją! Gdzie słowo „Amerykanin” nie jest obelgą. Gdzie nie słyhać żartów, w których cały naród określa ta jedna jedyna cecha – jakie to zabawne! – że

w czasie drugiej wojny światowej dał się żywcem spalić w piecu. Dowcipy o Zagładzie faktycznie bywały śmieszne, szczególnie jednak bawiły ludzi na kontynencie, także w sprzymierzonej z Trzecią Rzeszą Finlandii, gdzie całkiem niedawno pobito amerykańskiego koszykarza i grożono mu śmiercią z powodu jego pochodzenia.

Kiedy Joe przyjechał do rodziców, matka zarzuciła go przysmakami, jakby chciała mu coś wynagrodzić, i w ogóle stawiała na głowie, żeby tylko znowu nie zrobił czegoś głupiego i wszystkiego nie zepsuł, żeby nie zbałamucił kolejnej piękności gdzieś na antypodach i nie spłodził z nią następnego dziecka.

Na ojca prawie nie mógł patrzeć: w jego spojrzeniu było tyle serdeczności i ciepła.

Welcome back, powiedział ojciec, zagładając mu w oczy. Witaj w domu.

Jak cudownie było wrócić do kraju, gdzie poczucie humoru nie jest żenującą, haniebną przypadłością. W Finlandii humor jest dozwolony jedynie w urzędowo wyznaczonych strefach, takich jak teatry letnie. W życiu powszednim trzeba przywyknąć do ludzi o kamiennych twarzach, którzy unikają niepotrzebnych kontaktów i są nieprzyjemnie zaskoczeni, kiedy wykracza się poza protokół – na przykład podczas zakupu biletu u kierowcy autobusu. Klubów stand-upowych w Finlandii nie ma, a telewizja puszcza programy pod tytułem *Zadbaj o szkielec*.

Teraz, z perspektywy czasu, Joe widział to wszystko zupełnie inaczej – ech, ci rozczulający Finowie, te sympatyczne Muminki.

Przez trzy następne lata Joe harował od świtu do nocy, świątek, piątek i niedziela – i jaką miał z tego satysfakcję! I nikt mu niczego nie zabraniał, nikt nie przeszkadzał w pracy! – i tak zdołał nadrobić stracony czas i zacząć od początku.

Łatwo być miłym, kiedy wszystko idzie dobrze. Tej prawdy nauczyła go Finlandia. Joe miał nadzieję, że w przyszłości będzie miał więcej zrozumienia dla ludzi, którym wiedzie się gorzej niż jemu, i będzie pamiętał, jak szybko przelewa się czara goryczy, kiedy pole manewru zawęży się do ślepego zaułka. Nie mógł ścierpieć tego swojego oślego uporu, tej bezkompromisowości we wszystkim – jakże był wtedy młody.

Stany miały oczywiście własne problemy, niektóre były może poważniejsze, bardziej fundamentalne niż te europejskie. Ale po tej nieudanej wyprawie na kontynent Joe przejrzał na oczy: jednak nie potrafi żyć bez swojej pracy i bez tego nieludzkiego turbosystemu, w którym się wychował i dla którego człowiek jest zwykłym zwierzęciem, hodowanym w jednym

tylko celu, zredukowanym do tego, co jest w stanie wytworzyć. Hokeistą NHL, jak powiedziała by z zazdrością Fin z niższej ligi.

Dziadek Joego mawiał, że profesor amerykańskiej uczelni to umysłowy odpowiednik ciężarowca, który trenuje tylko jeden mięsień. I miał rację. To był sport zawodowy na światowym poziomie – i Joe go uwielbiał. Zawodowstwo zamieniało życie człowieka w kierat, a jego samego w brojlera z przerośniętym mózgiem, który z racji zaburzonej symetrii ciała z ledwością utrzymywał się na nogach. Dlatego Roddy miał już czwartą żonę. Dlatego Joe doskonale rozumiał studentów, którzy chcieli wyjechać – i mieli ku temu dobre powody – do Anglii, Australii, Japonii, Nowej Zelandii i Holandii, gdzie będą we wszystkim lata świetlne do przodu czy też, jak chcieli niektórzy, daleko w tyle. I teraz wiedział, dlaczego sam nie może wyjechać, chociaż czuł chwilami w sercu ukłucie tęsknoty.

Może było tak, jak *zejde* – dziadek – lubił im powtarzać: gdybyście wytrząsnęli z sąsiadami wszystkie swoje kłopoty na plac i obejrzeliby je sobie dokładnie, każdy w końcu wolałby swoje.

X

Samuel miał do nich przylecieć, kiedy mieszkali jeszcze w Waszyngtonie.

Miał wtedy sześć lat. Miriam z początku odnosiła się do pomysłu z kurtuazją, a nawet pozytywnie; wyraźnie nie chciała sprawiać wrażenia, że ma coś przeciwko. Sytuacja zmieniła się jednak radykalnie, kiedy się okazało, że jest w ciąży. Joe dopiero później sobie uzmysłowił, jak niezręczna musiała być dla niej sama myśl o przyjeździe do ich domu całkiem obcego chłopca, syna jej męża z poprzedniego małżeństwa, który wychował się w innym kraju. I choć tego nie planowali, to teraz będą mieć pod jednym dachem także płaczące niemowlę, które trzeba przecież ciągle karmić i przy którym zarwą na pewno niejedną noc. Joe nie chciał jednak odwoływać przyjazdu Samuela, tym bardziej że Miriam otwarcie tego nie zażądała.

Kiedy wreszcie doszedł z Aliną do porozumienia w sprawie podróży i jej szczegółów, przez wiele wieczorów zastanawiał się, czym zająć Samuelowi czas, na jakie filmy z nim pójść, gdzie pojechać. Miał nadzieję, że ten przyjazd stanie się ich nowym początkiem i od tej pory będą utrzymywać już regularny kontakt. Wszystko się jeszcze ułoży, niech tylko chłopak przyjedzie.

Alina mówiła mu wcześniej, że Samuel zna tylko parę słów po angielsku. Zdążyła go nauczyć najważniejszych wyrażeń – *yes, no, thank you, may I, telephone*. Joe chciał z góry zaproponować chłopakowi przez telefon kilka

wycieczek i za pośrednictwem Aliny coś z nim ustalić. Ale kiedy zamierzał powiedzieć mu o muzeum Air and Space, usłyszał od jego matki, że Samuel nie chce przerywać zabawy. Wyobraził sobie wtedy nieznanego sześciolatka, który siedzi bez słowa ze wzrokiem wbitym w blat stołu i odpowiada apatycznie na wszystkie pytania: *yes, no, thank you, telephone*, który z powodu różnicy czasu budzi się o czwartej nad ranem i snuje po mieszkaniu jak zjawa, szurając w ciemności kapciami, który prowadzi niekończące się rozmowy telefoniczne z matką w Finlandii. A pod koniec każdego dnia on i Miriam słyszą, jak mały pochlipuje cicho w pokoju gościnnym.

Nie jest źle, powiedziała mu wieczorem Miriam, widząc, że wpatruje się w ścianę sypialni. Początki bywają trudne, musicie się po prostu trochę lepiej poznać.

Podobno Samuel zacina się nie tylko na początku słów. Alina powiedziała, że czasem, gdy jest zdenerwowany, blokuje się nawet w połowie wyrazu i sprawia wrażenie, jakby musiał napiąć wszystkie mięśnie, żeby się przemóc i mówić dalej.

W jej głosie słyszał wyrzut. Powiedział jej, że jeśli tylko będzie mógł mu jakoś pomóc w przewyciężeniu zaburzeń mowy, bardzo chętnie to zrobi. Czy w ogóle wiadomo, z czego ta wada wynika? Może i tak by się jąkał, nawet gdyby on został w Finlandii?

Nie odważył się spytać Aliny, kto leczy Samuela w Finlandii. Podobne pytania interpretowała zawsze jako krytykę. W Waszyngtonie Joe od razu by wiedział, do kogo się zwrócić, żeby zapewnić chłopakowi najlepszą opiekę.

Przypomniał sobie, jak robiła się ważna i sypała przez telefon mądrymi psychologicznymi terminami, *tikami, ruchami mimowolnymi, blokadami*. I jak mu powiedziała, że kiedy Samuel mówi, ludzie rzucają jej szybkie, pełne troski spojrzenia.

To jej strojenie się w piórka specjalisty irytowało go i nie miał ochoty jej potakiwać, chociaż powinien. Wyczuwała to i czuła się urażona. Pewnie dzięki temu quasi-medycznemu żargonowi nie traciła głowy, co na szczęście uświadomił sobie, nim zdążył chlapnąć coś głupiego.

Na długo przed planowanym przyjazdem Samuela Joe ustalił wszystko, co wiadomo o jąkaniu. Wada pojawia się przeważnie w obliczu dużych zmian w życiu i pod wpływem stresu, ale najczęściej ustępuje sama. W rzadkich przypadkach – kiedy dziecko zacina się pośrodku słowa, czemu towarzyszą skurcze mięśni – prognozy są jednak niepomyślne.

Samuel był jednym z takich rzadkich przypadków.

Stanoło na tym, że mały przyleci w grudniu. W sam raz na Chanukę.

Matka Joego oświadczyła, że też chce koniecznie do nich przyjechać, żeby poznać swojego wnuka, zapalić z nim świece w menorze i zaśpiewać *Ma'oz Tzur*. Joe zaczął się wykręcać. Czy to właściwe, żeby na dzień dobry zmuszać chłopca do uczestnictwa w czymś z pewnością mu obcym? No dobrze, śpiewanie to już tradycja, szczególnie dla matki, ale czy trzeba Samuela zaraz tym wszystkim przygniatać? Joe miał nadzieję, że babcine instynkty jego matki rozłożą się harmonijnie na większą liczbę ofiar, bo Miriam urodzi jeszcze przed przyjazdem chłopaka.

Matka zdążyła już zakupić drejdel, małego drewnianego bąka, którego chciała dać Samuelowi i wyjaśnić mu, co znaczą wymalowane na jego bokach hebrajskie litery. Będzie mógł się nim potem bawić w Chanukę w domu. Kiedy tłumaczyła mu to wszystko przez telefon miesiąc przed planowanym przylotem Samuela, Joe zdał sobie sprawę, że babcia zamierza nafaszerować tradycją każdą sekundę pobytu swojego cichego skandynawskiego wnuka w Stanach, by nasiąknął nią porządnie przed powrotem do Finlandii.

Joe ciągle pamiętał, jak go wtedy złościła ta gorliwość matki. Z czasem jednak wspomnienie zaczęło wywoływać w nim niejasne poczucie winy, że kiepsko mu idzie zaszczepianie tradycji u swoich dzieci. Na szczęście w wypadku Rebekki i Danielli wyrzuty sumienia mógł dzielić na pół z Miriam i razem z nią bezradnie rozkładać ręce: w nowym tysiącleciu nie ma już chyba miejsca na żadne tradycje oprócz tych, które wiążą się z towarami i ich gromadzeniem i nie są obciążone zbyt dużym historyczno-kulturowym balastem.

Pamiętał też, jak bardzo Alina się bała długiego przelotu przez Atlantyki. Taki mały chłopiec sam w samolocie! Odbił z nią wiele długich, praktycznie identycznych rozmów o samolotach i podróżach lotniczych jako najbezpieczniejszej formie komunikacji. Automatycznie wychodził z naturalnego dla siebie założenia, że wszystko będzie dobrze. Dziwiło go to po każdej rozmowie; musiało mieć związek z emanującą z Aliny konsekwentną fińską nieufnością i przekonaniem, że nic się nigdy nie uda, że nie warto nawet próbować, że wszystko się zawsze kończy katastrofą, a zwłaszcza już coś tak skomplikowanego i ryzykownego, jak transoceaniczny lot samolotem linii reklamującej się jako najbezpieczniejsza na świecie, do którego dziecko zostanie zaprowadzone za rękę i w którym będzie w każdej sekundzie podróży sto razy bardziej bezpieczne niż na swojej codziennej trasie z domu do przedszkola.

Poza tym przelot samolotem będzie pewnie dla Samuela najlepszym

elementem całej wyprawy.

Dzień wylotu zbliżał się wielkimi krokami i Joe celowo przestał Alinie płażać. Klamka zapadła i zrobimy tak, jak się umówiliśmy: bilety zostały już kupione i nie komplikujmy jeszcze bardziej sytuacji Samuela. Joe był nawet gotów obiecać, że odstawi chłopaka osobiście do Finlandii, jeśli ten zechce wrócić do domu przed czasem: widać bardzo był wtedy pewny, że wszystko będzie dobrze. Miriam ma rację, powtarzał sobie w duchu po każdej rozmowie z Aliną, dzieci szybko się przystosowują do nowych warunków.

Przypomniał sobie znowu tamto popołudnie, kiedy miał odebrać Samuela z lotniska, blade zimowe słońce na bezchmurnym niebie. Samotny drejdel leżący bez życia na biurku, gdzie zostawiła go matka.

Decyzję podjęła oczywiście Alina. Trudno było lecieć po chłopaka na drugi kontynent.

Powiedziała mu, że pozwoliła Samuelowi samemu zdecydować. I choć syn był pozytywnie nastawiony, rzekomo nawet cieszył się na wyjazd, to w ostatniej chwili się rozmyślił. Nie chciał lecieć. I Alina nie potrafiła tego lepiej Joemu wytłumaczyć.

Nie chce, rozumiesz? Słyszał jeszcze w głowie jej fiński akcent, kiedy wychodził z Bloomberg Hall. Był wiosenny wieczór. Joe zszedł po stopniach na niższy kwartał i ruszył w stronę zaparkowanego za gmachem samochodu.

To upieranie się, że historyczna postawa matki nie mogła w żaden sposób wpłynąć na świadomość sześciolatka, było po prostu śmieszne. Które dziecko poleci samo za ocean, jeśli matka każdą miną i każdym gestem daje mu do zrozumienia, że lepiej tego nie robić, że może to być nawet niebezpieczne? Joe przypomniał sobie, z jakim trudem powstrzymał cisnące się na usta słowa i że mimo tych wysiłków niektóre z nich musiały jednak pozawerbalnie jakoś do niej dotrzeć; z jakim trudem nie rozpoczął kolejnej rozmowy o tym, jaka jest bezkompromisowa, jak absurdalnie ograniczona i że patrząc z tej perspektywy, absolutnie się nie dziwi, że ich małżeństwo się rozpadło.

Co tej kobiecie chodziło po tym głupim łbie?! – miał ochotę krzyknąć po skończonej rozmowie. Po jaką cholere zaczęła kręcić z *Amerikaninem*, skoro postanowiła, że przez całe życie nie wyściubi nosa poza obręb tych swoich trzech kilometrów kwadratowych na przedmieściach Helsinek? Aż dziw, że ta myśl wciąż potrafiła wytrącić go z równowagi, po tylu latach.

Nie chce, rozumiesz? Te słowa pogrzebały jego szanse na spotkanie z synem tamtej zimy.

Miriam podeszła do sprawy ze zrozumieniem, pocieszała go nawet, choć gryzło ją sumienie, bo w duchu jej ulżyło.

Dopiero później Joe zrozumiał, że Alina powinna była lecieć z Samuelem. Jedynie wtedy byłaby wystarczająco spokojna, żeby nie spłoszyć chłopaka. To jednak nie wchodziło w rachubę ze względu na Miriam. A jeśli Samuel rzeczywiście nie chciał lecieć? Sześciolatek jako pionek w rozgrywkach rodziców – na samą myśl Joemu robiło się niedobrze.

Zrozumiał to już w lutym. Jeżeli myśli o drugim podejściu i chłopak ma przylecieć latem, to musi już teraz zacząć pertraktacje. Przypomniał sobie jednak zaraz jej napięty, piskliwy głos: – *Nie chce, rozumiesz?* – i swój bezsilny gniew i gorycz, która zadomowiła się w ich mieszkaniu na długi czas. A jeśli chłopak rzeczywiście nie chciał?

Joe nie miał serca wracać do sprawy. Przeszła wiosna, przyszło lato. Zobaczmy za rok – pamiętał, że tak wtedy myślał. Kiedy chłopak trochę podrośnie. A może on wybierze się do Finlandii?

Za rok.

Szana towa.

Podobno jąkanie Samuela z czasem samo ustąpiło. Dzieci to twarde sztuki. Na szczęście.

Winą za rozwód nie obarczał wyłącznie siebie. Na koniec Alina nie chciała już ustąpić ani na jotę w kwestii zmiany miejsca zamieszkania, choć wcześniej wyglądało na to, że jednak się zgodzi. Dokładnie tak samo, jak w ich rozmowach o podróży Samuela do Stanów: na początku sprawiała wrażenie znacznie bardziej gotowej do ustępstw, niż była w rzeczywistości. I kiedy trzeba było wreszcie podjąć ostateczną decyzję, spanikowała i dała po hamulcach.

W Stanach może byliby jeszcze razem.

Niejakim zadośćuczynieniem był list z Helsinek, który dostał po otrzymaniu amerykańskiej nagrody naukowej i kilku mniejszych nagród europejskich, które posypały się automatycznie po tamtej; była to oficjalna nominacja do tytułu doktora honoris causa uniwersytetu w Helsinkach. Nadawcą był ów niedbający o higienę wieczny doktorant Wallenberga, którego kapcie Joe ciągle dobrze pamiętał. A więc w końcu został chyba dyrektorem instytutu. Joe na zaproszenie odpowiedział, lecz zapomniał list wysłać, co z przykrością stwierdził, kiedy było już zdecydowanie za późno.

Chcąc jakoś tę niezręczność naprawić, pod wpływem chwili zaprosił instytut helsiński do wspólnego projektu, który rozkręcał właśnie z ludźmi z Princeton. Uczestniczył też Oxford, ten sam Oxford, z którym helsińska „specjalistyczna jednostka badawcza” już od dawna przecież „ściśle

współpracuje”. Joe znów oddychał pełną piersią, praca szła jak po maśle, nietrudno mu więc było zdobyć się na wielkoduszność. Drodzy Finowie – przepraszam, że przeszkadzam, ale nie chcielibyście może przyłączyć się do globalnej społeczności naukowej? Chociaż tyle mógł dla nich zrobić. Co z tego, że cała reszta trochę na tym straci, a ten i ów może być zdziwiony jego propozycją; Joe czuł, że mimo wszystko jest Finom coś winien. Co im ubędzie, jeśli wezmą do zespołu paru rozkosznych mruków? Helsińczycy nie są przecież głupi ani złośliwi, brakuje im tylko kontaktów i możliwości. To utalentowane dzieci, które oblały egzamin wstępny do szkoły.

Propozycja Joego wzbudziła w Helsinkach konsternację. Finowie rozpatrywali ją na zebraniach instytutu i radach wydziału, zwołali w końcu komisję: poprosili Amerykanów o przedłużenie terminu deklaracji przystąpienia do projektu, wystosowali pismo do senatu uniwersytetu i zwrócili się do studentów o opinię w tej sprawie. Po sześciu miesiącach – gdy projekt dawno już ruszył i właśnie gorączkowo rozdzielano *workshop roles* na letni zjazd – Finowie zdecydowali się „priorytetować wspieranie własnych badań” w kraju. Bo: „nasza specjalistyczna jednostka badawcza w Helsinkach – jak napisał mu w mailu wieczny doktorant w kapciach – to międzynarodowa grupa wysokiej klasy uczonych, która współpracuje ściśle z uniwersytetami Stanforda, Oxford, UCLA i Berkeley”.

X

Miał wyjść z instytutu wcześniej, o piątej, bo obiecał Danielli pomoc w przygotowaniu prezentacji.

Spierali się z Miriam, które z nich powinno jeszcze raz porozmawiać z córkami o tym, co się stało.

Sexting: tak to się teraz podobno nazywało w języku młodzieży. Ostry flirt przez telefon przy udziale rozbieranых zdjęć i filmów.

To było dwa tygodnie wcześniej. Daniella najwyraźniej nie usłyszała, że wrócił do domu: drzwi łazienki były otwarte, kiedy niczego nie przeczuwając, wszedł na piętro. Stała przed lustrem z mokrymi po kąpieli włosami; jedenastoletnie mlecznobiałe ciało spowijała jeszcze ciepła para. Była dokładnie w połowie dojrzewania, na etapie, kiedy drobne łopatki i okrągła buzia należą jeszcze bez wątplenia do dziecka, ale powiększające się piersi mówią już o rychłej kobiecości.

Na widok ojca Daniella zamarła. Błyskawicznie ukryła coś za plecami i w pierwszej chwili Joemu przemknęło przez myśl: a więc stało się, jego

córka zaczęła palić trawkę, w wieku jedenastu lat. Stał przed kłopotliwą alternatywą: albo będzie musiał jej skłamać, że sam tego nigdy nie robił, albo dobrze wyjaśnić, dlaczego dorosłym wolno, a dzieciom nie.

Ale tu nie mogło chodzić o marihuanę. Joe podszedł krok bliżej i zobaczył, że Daniella chowa za plecami smartfon. Kiedy wchodził do łazienki, telefon był z pewnością wymierzony w stronę lustra.

– Co robisz? – spytał.

– Nic? – odpowiedziała szybko beztróskim pytaniem, ale głos jej zadrżał.

Joe wpatrywał się w córkę i wtedy go olśniło. A więc dlatego przez ułamek sekundy miał złudzenie, że w łazience jest ktoś inny. Daniella miała wyraz twarzy, jakiego jeszcze u niej nie widział; nie swój, lecz jakiś obcy.

Kiedy on i Miriam rozmawiali z nią wieczorem, dziewczynka płakała, mówiła, że nie chciała zrobić nic złego. Wysyłała tylko zdjęcie swojemu chłopakowi!

– *Chłopakowi?* – zdziwiła się Miriam.

– Dlaczego chciałaś mu wysłać swoje zdjęcie *nago*? – spytał Joe.

Daniella szlochała i nie mogła wydusić z siebie słowa. Miriam rzuciła Joemu przelotne spojrzenie.

– Czyli masz... masz jakiegoś... *chłopaka*? – powtórzyła pytanie z taką miną, jakby usłyszała właśnie, że jej dziecko zjadło na obiad dżdżownicę. – Kto to jest?

– Nie znacie go.

– Jak ma na imię?

– Brock.

– Od jak dawna... chodzicie ze sobą?

– Mamo, proszę cię. – Daniella przewróciła oczami.

– Co znowu?

– *Chodzicie ze sobą...*

– To jak trzeba powiedzieć? Od kiedy... jesteście razem?

– Dwa tygodnie.

– Ile lat ma ten twój Brock?

– Trzydzieści.

– Czym się zajmują jego rodzice?

– Skąd mam wiedzieć? Mają chyba jakiś biznes. Ojciec na pewno. Ale nie wiem.

– Pokaż no to zdjęcie.

Miriam podała telefon Joemu. Spojrzał na nie po raz kolejny, chociaż doskonale pamiętał, co przedstawia. Ta mina, ta poza – u jedenastolatki?

Danielli nawet nie przyszło do głowy, że nagie zdjęcie może stanowić jakiś problem. A przecież z szybkości, z jaką schowała telefon za plecy, kiedy Joe wszedł do łazienki, można było wnioskować, że to nie do końca prawda.

Ale on też przysłał jej swoje zdjęcie bez koszuli!

– Ona ma *jedenaste lat* – powiedziała Miriam już w sypialni, ściągając narzutę z łóżka. Joe odniósł wrażenie, że żona czegoś się od niego domaga, nie miał jednak pewności, o co jej chodzi.

– Robią po prostu to samo, co dorośli, przecież ich obserwują.

– Znasz kogoś dorosłego, kto tak robi?

– Włączymy telewizję? Zajrzymy do internetu?

– Okej.

– Zobaczymy, jakie klipy Rebecca ogląda na swoim telefonie?

– Okej, okej, już rozumiem.

– Słyszałeś kiedyś, jak rozmawiają ze sobą o zdjęciach innych dziewczyn w sieci? Z Joanną i Kyndrą?

– Nie.

Miriam opowiedziała, że raz przypadkowo była przy tym, jak dziewczęta oglądały zdjęcia profilowe na jakimś portalu. „Jak dla mnie to trochę za mało odważne. Nie ma tego czegoś”. „No przykro mi bardzo, ale to twoje niby ma to coś? Ładna buzia, okej i w ogóle, ale... sorry, że będę z tobą szczerą, ale z takim nosem to lepiej się nie lansuj”.

Na razie postanowili skonfiskować smartfon Dani, czym wywołali burzę protestów i płaczu.

Joe nie znał strony, na której Daniella spędzała chyba prawie cały swój czas wolny. O kilku najważniejszych portalach dla nastolatków słyszał – SocialU, Connect-ome, 4TeenZ – nie wiedział tylko, czy w ogóle jeszcze istnieją. W trakcie rozmowy z Miriam wyjaśniło się jednak, że obie ich córki bywają na *dziesiątkach* portali, o których nigdy nie słyszał. Na jednych się gra, na innych ściąga aplikacje mobilne, a reszta służy do zupełnie innych celów. Ale należało pewnie mówić w czasie przeszłym – zapewne wszystkie zostaną porzucone najpóźniej teraz, kiedy rodzice się o nich dowiedzieli.

Pomoc była na wyciągnięcie ręki, w księgarni w najbliższym mallu. Oto rady pani doktor psychologii Marianne Roberts dla rodziców *tweensów*: *Szczęśliwe prenastolatki – jak zapobiec facebookowej depresji u Twojego dziecka*. Facebook: fala nostalgii. Jeszcze przed chwilą wszyscy go używali, był nawet na giełdzie. Jakiś czas temu Joe przeczytał niepokojącą książkę Colina Connora, PhD, MD – poradnik nosił tytuł *Jak internet trwale zmienia funkcjonowanie mózgu twojego nastoletniego dziecka i co Ty możesz z tym zrobić*

– i postanowił ograniczyć czas, jaki jego córki spędzają w internecie. Connor twierdził, że dzieci nie uczą się koncentracji, kiedy mają bez przerwy otwarte okna komunikatorów i portali społecznościowych, a ponieważ serwisy internetowe coraz częściej starają się przewidywać, czego chcą ich użytkownicy, pojawiają się luki i bańki informacyjne oraz deficyt uwagi. Eksperyment z ograniczeniem dostępu do sieci nie trwał jednak długo: już po paru dniach obie córki Joego zaczęły mieć objawy zaburzeń psychicznych. Poza tym – jak się wtedy dowiedział – odrabianie lekcji wymaga w dzisiejszych czasach dostępu do internetu. Jakiś czas później Joe przeczytał książkę Andrew Muira, PhD, zatytułowaną *Nastoletni geniusze: w jaki sposób nowoczesne technologie poszerzają naszym dzieciom horyzonty społeczne, kognitywne i językowe* – i zaraz zaczęło go gryźć sumienie, że odbiera dzieciom szansę na rozwijanie umiejętności, które są najważniejsze dla ich przyszłości. Nie wszystkie argumenty Muira miały naukową siłę przekonywania Connora i Joe nie potrafił orzec, ile jest w nich prawdy, ponieważ jednak nie miał też pojęcia, jak to w praktyce rozstrzygnąć, w ich domu znów można było korzystać z internetu bez żadnych ograniczeń – co oznacza, że korzystano z niego praktycznie bez przerwy.

Problem z Daniellą – przynajmniej na razie – wydawał się raczej błahy. Joe miał nadzieję, że dzięki tej sprawie dzieci na długo zapamiętają, jakich materiałów o sobie nie wolno umieszczać w wirtualnej przestrzeni. I może dlatego, że chciał jeszcze o parę minut odwlec czekającą go rozmowę z młodszą córką o sextingu, wstąpił po drodze do Eddiego, żeby kupić bajgle z makiem. Czuł ścisk w gardle na samą myśl o Danielli i Rebecce, o stronach, które dziewczynki zdążyły już być może odwiedzić, i o tym, co on i Miriam mogą zrobić jako ich rodzice. W bezsenne noce pod powiekami wyświetlał mu się horror z pierwszą stroną „Baltimore Sun”, wytapetowaną dziecięcą pornografią; zdjęcia rozniosły się po sieci tak daleko, że policja początkowo bała się nawet do tego przyznać, ale teraz już w całym stanie huczy o jedenastolatce, którą teraz wszyscy mogą zobaczyć nago. Śniły mu się koszmary, w których córka jeszcze wiele miesięcy później przychodzi do domu zapłakana, nawet po zmianie szkoły. Dawniej twarz traciło się tylko w swojej szkole i wśród dawnych znajomych, ale w czasach mediów społecznościowych traci się ją wszędzie – i na zawsze. Nikt nie wie, gdzie i kiedy wróci jego rozebrane zdjęcie wysłane w młodości zwykłą komórką, czy znajdzie je nowy chłopak, jakiś dziennikarz, czy może wypłynie na rozmowie kwalifikacyjnej – *skandal pornograficzny w ministerstwie obrony!* Już teraz podobno automatyczne *web crawlery* przeczesują sieć w poszukiwaniu

zdjęć. Część pracuje dla portali z pornografią dziecięcą, z których już nikt nigdy nie zdoła ich usunąć.

Serce go bolało na myśl o jakimś nieznanym chłopaku, który zobaczy rozebrane zdjęcie Danielli i roześle je swoim kolegom, *check out this horny little bitch*; o dorosłych mężczyznach, którzy będą się zaspokajać przed zdjęciem jego córki. Która ma jedenaście lat i ciągle śpi przytulona do różowego pluszaka.

– Idiotka! – Joe podsłuchiwał wieczorem rozmowę Rebekki z młodszą siostrą; nie wiedziały, że je słyszy. – W takich fotkach pikseluje się twarz.

Kiedy wszedł do domu, zastał Daniellę zapłakaną na sofie. Obok niej siedziała Saara z bezradną miną, w dłoni trzymała tablet, który pokazywał zdjęcie owada o wielkich skrzydłach.

– Mówi, że już tego nie robi.

Saara podała tablet Joemu. Dani płakała żałośnie z twarzą w poduszce.

– To jest dla mnie za trudne!

Saara zerknęła na niego. Spojrzenie dziewczyny mówiło wszystko: jak ktoś się wróblem urodził, to orłem nie umrze. Joe usiadł. Saara wstała i poszła cicho na górę.

Przytulił córkę i zaczął ją uspokajać. Miał ochotę jej przypomnieć, że już dawno kazał jej zabrać się do tego, ale w porę ugryzł się w język. Od dwóch tygodni trąbił o zbliżającej się prezentacji i dodawał, że nie warto z tym czekać do ostatniej chwili. „Tak, tak – burczała tylko w odpowiedzi. – Jutro to zrobię”.

No i stało się: to rzeczywiście już jutro.

Daniella powoli się uspokoiła. Wytarła łzy, spojrzała ponuro na jarzącą się na tablecie stronę o owadach i na swoje notatki.

– Masz opisać wszystkie cykady czy tylko wybrany gatunek?

– Nie wiem. – Daniella pociągnęła nosem.

– Czy tylko cykady wieloletnie?

– Nie wiem! – Znowu wybuchnęła płaczem.

– Masz jakieś instrukcje do tego zadania?

– Nic nie pomagają!

Joe namówił ją, żeby znalazła kartkę z instrukcjami. Pomógł jej wybrać i zawęzić temat, a potem przystąpili razem do poszukiwania w sieci odpowiednich zdjęć i tekstów.

O dziewiątej Daniella aż sapała z przejęcia. Zgromadzili tyle materiału, że starczyłoby na połowę cyklu wykładów. Joe obiecał, że przyjdzie posłuchać,

kiedy Dani będzie ćwiczyć prezentację.

Był zaskoczony jej oficjalnym, nauczycielskim tonem. Zabawy w księżniczkę, różne fazy zainteresowania sportem i śpiewem, chichoty z koleżankami – w tym już swoją córkę widział, widział też brokatowe paznokcie i błyszczyki do ust, ale tego dziwnego belferskiego wcielenia jeszcze nie. Skąd jej się to wzięło? Podpatrzyła to u nich, u Miriam? U niego? U kogoś ze szkoły?

– Cykady wieloletnie całe swoje życie, czyli niemal dwadzieścia lat – mówiła poważnym tonem jedenastoletnia Daniella – spędzają pod ziemią i czekają na ten czas, gdy nagle będą musiały szybko, z dnia na dzień dorosnąć i wydostać się na parę tygodni na powierzchnię ziemi.

Może teraz już w szkole uczy się dzieci wyraźnie artykułować i patrzeć słuchaczom w oczy, pomyślał Joe. Słuchając Danielli, mimowolnie zaczął myśleć o tych naprawdę magicznych cykadach; jak one to robią, jak synchronizują swój rozwój, że na ziemię wydostaje się jednocześnie całe pokolenie? U większości gatunków osobniki dojrzewają w różnym tempie i każdego lata tylko niektóre budzą się do życia; reszta zostaje pod ziemią.

I tych cykad w ogóle nie widać.

– Masa całego pokolenia, które ożyje tego lata – mówiła dalej Daniella – niemal dwukrotnie przewyższy masę wszystkich mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Co jak na owady jest całkiem niezłym wyczynem. Zwłaszcza że mamy w tym kraju problem z nadwagą.

Joe się roześmiał, zgodnie zresztą z oczekiwaniami prelegentki, która zadowolona kontynuowała prezentację. Jego mała córeczka wygłasza referat. Joe się wzruszył i musiał na chwilę odwrócić wzrok. Przypomniał sobie, co pomyślał, kiedy prowadził Dani pierwszy raz na noc do rodziców Miriam, a ona, roczny zaledwie berbec, z taką łatwością i ufnością zgodziła się zostać u dziadków ze starszą siostrą; życie wypełniają chwile, które mają nas nauczyć rozstania z dzieckiem. Każde jego zaśnięcie, odprowadzenie do przedszkola, każdy dzień w szkole, skaleczone kolano, letni obóz, trzydniówka, chłopak.

Daniella patrzyła na niego z zatroskaną miną. Czy wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście – odpowiedział Joe swoim najbardziej rzeczowym tonem i wyprostował się. – Przepraszam. Mów dalej.

– Kilka tygodni po wygrzebaniu się na powierzchnię ziemi cykady giną – kontynuowała Daniella. – Pozostawiają po sobie ponad pięćset bilionów jaj, to więcej niż jest gwiazd w naszej galaktyce. Dziękuję za uwagę. Więcej informacji znajdziecie na stronie [www](#) coś tam coś tam.

– Bravo! – Joe zaklaskał. – Mogłabyś zabrać się ze mną w przyszłym tygodniu do San Francisco i wygłosić na naszej konferencji taki bonusowy referat.

Daniella się zmartwiła. Joe się uśmiechnął:

– Tylko żartowałem.

– Aaa.

Dziewczynka podrapała się po plecach.

– Co tam jeszcze?

– Ta uwaga o masie. Na końcu.

– No i?

– Naprawdę może tak być? O tej nadwadze.

– Tak. Dobry konkret nadaje prezentacji wagę. Słuchacze rozumieją wtedy, ile ich tak naprawdę wyłazi. Tych cykad.

– A co z Sethem? On jest naprawdę gruby.

– Kolega z klasy?

– Tak. Jego rodzice też są otyli.

– Nie obrazi się.

– Inne sugestie?

– To naprawdę dobra prezentacja, pod każdym względem – powiedział Joe. – W zasadzie przyszła mi do głowy tylko jedna uwaga: ja bym nie powiedział, że dwudziestoletni cykl rozwoju chroni cykady przed drapieżnikami.

– Tylko?

– Że się tak uważa.

– Czyli jak?

– Uważa się, że dwudziestoletni cykl chroni cykady przed drapieżnikami.

– Przecież tak powiedziałam.

– Ty powiedziałaś, że *chroni*.

– Nie jarzę.

– „Chroni” to co innego niż „uważa się, że chroni”.

Daniella zrobiła taką minę, jakby oczy miały jej zaraz wyskoczyć z oczodołów.

– No, *pliiiz*.

– Jeszcze nie wiemy, czy tak rzeczywiście jest. Dlatego tylko *uważamy, że chroni*.

Dziewczynka przewróciła oczami, żeby mu pokazać, jak absurdalnie się czepia.

– Jesteś upierdliwy.

– Naukowiec musi.

– *Whatev.*

– Tak mi tylko przyszło do głowy. W końcu pytałaś.

Daniella westchnęła. Wzięła do ręki długopis.

– Czyli jak?

– *Uważa się, że dwudziestoletni cykl chroni cykady przed drapieżnikami.*

Daniella zapisała to w notesie.

Joe poczuł ukłucie w sercu. Zwłaszcza gdy myślał o Danielli, trudno mu było zapomnieć, że ktoś gdzieś bezustannie życzy mu źle.

X

Alina była przekonana, że Joe ma romans. Że zdradza ją z tą dziewczyną, która robiła u niego doktorat. Aleksandra miała duże oczy i rzeczywiście była empatyczna, zawsze miała dla niego czas i brała sobie jego sprawy do serca, tak jak się bierze na ręce małe psiaki. Czasem Joe się zastanawiał, co u niej teraz słychać.

Dziewczyna się popłakała, kiedy jej powiedział, że wyjeżdża z Finlandii. Przytulili się na opustoszałym korytarzu fińskiego uniwersytetu, w tym wiecznym półmroku hospicjum, gdzie Joe już nie miał swojego pokoju. Aleksandra dotykała jego karku palcami i choć było to przyjemne, posunęła się nieznacznie, ale bezsprzecznie za daleko.

Tamtego roku Joe miał wrażenie, że od zimy kłóćą się z Aliną bez przerwy. Dopiero gdy spojrział na siebie i na nią z perspektywy czasu, zrozumiał, że coś się niepostrzeżenie zmieniło i sytuacja była już wtedy nie do naprawienia. Codziennie myślał, że dzisiaj spokojnie usiądą i wszystko sobie dokładnie wyjaśnią. Tylko do czego by taka rozmowa doprowadziła? Alina i tak dalej by uważała, że on za dużo pracuje, chociaż Joe powtarzał, że nie robi nawet połowy tego, co powinien. Jej zdaniem bardziej się troszczył o swoją karierę niż o własną żonę, co nie było prawdą. Krytykowała go za to, że jest nieszczęśliwy w kraju, do którego się przeprowadził. I nie tylko nieszczęśliwy: naumyślnie nieszczęśliwy, ostentacyjnie, żeby pokazać, jak bardzo chce się wreszcie z tej Finlandii wynieść.

Jedna kłótnia szczególnie głęboko wryła mu się w pamięć. Poszło o maile do Aleksandry. Joemu został po niej paskudny posmak w ustach. Do czego Alina piła – chciała mu udowodnić, że powinni się rozwieść? Jeżeli chciała go zostawić, to dlaczego tego po prostu nie zrobiła? Jeżeli chciała mieszkać w Finlandii do końca życia, to dlaczego nie powiedziała mu tego od razu,

dłaczego nie wyszła za jakiegoś Fina?

Kiedy się w końcu poddał i zaczął rozglądać za pracą w Stanach, ale nie dostał ani jednego zaproszenia na rozmowę kwalifikacyjną, nagle do niego dotarło, że zrujnował sobie karierę, paląc za sobą wszystkie mosty. Wydawało mu się, że wszystko stracił; dlatego skończyło się tak, jak się skończyło.

Mimo pozorów zdecydowania w Aleksandrze od razu się wyczuwało jakąś niepewność – miał wrażenie, że szuka kogoś, na kim mogłaby się zawiesić. Poznali się w październiku, kiedy klony wyglądały w słońcu, jakby stały w płomieniach.

Poprzedniego dnia Joe przedstawił się studentom na inauguracji nowego roku akademickiego. Na tle innych pracowników wydziału jego autoprezentacja wypadła bardzo zabawnie. Był to na poły improwizowany protest przeciwko fińskiej sztywności i świadomy wybór roli wyluzowanego Amerykanina. Nie mniejszy wpływ na jego zachowanie miało to, że wskutek ciągłego niewyspania czuł się jak na lekkim gazie. Samuel skończył właśnie trzy tygodnie i od jego powrotu do domu z kliniki Joe sypiał w najlepszym razie w godzinnych ratach. I choć początek pracy w Finlandii mógł być łatwiejszy, Joe był pełen optymizmu: akumulatory naładowane sukcesami poprzedniego życia dawały mu jeszcze wrażenie pełnej mocy.

Aleksandra zmaterializowała się w drzwiach jego pokoju i nie przedstawivszy się nawet, spytała od razu, co trzeba zrobić, jak się chce pisać doktorat.

„Z czego?”, spytał.

Obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem spod oka – Joe nie potrafił powiedzieć, czy to próba flirtu, czy raczej zażenowanie – po czym odpowiedziała przeproszającym tonem: „Z tego co ty”.

Z początku nie traktował jej poważnie. Aleksandra jednak wgryzła się w zadane artykuły z zaciekłością teriera. Joe miał wrażenie, że krytyka tylko ją hartuje i zagrzewa do tego, żeby robić więcej, niż się od niej wymaga.

To pobudzało w nim ciepłe wspomnienia z przeszłości: tak właśnie się pracuje z najbardziej inteligentnymi studentami, których interesuje wyjaśnianie zjawisk. Aleksandra nigdy nie dała się zbyć kiepskim argumentem i Joe musiał przy niej unikać stwierdzeń, które mimo atrakcyjnej oprawy nie były prawdziwe.

Kiedy przeżył to pierwszy raz, czuł się tak, jakby dostał pięścią w twarz. Tak narkoman czuje się po heroinie, tak znajoma substancja uderza mu do głowy. Później, po latach, tak samo będzie z Miriam. Podczas ich pierwszego spotkania na święcie kwitnącej wiśni w Waszyngtonie starli się o to, czy

pojęcie „zbrodni nienawiści” nie kłóci się z wolnością sumienia. I po szesnastu latach małżeństwa nadal mają w tej kwestii odmienne zdanie.

Alina nie znosiła Aleksandry. Raz przyjechała z wózkiem do instytutu, kiedy dziewczyna siedziała w pokoju. I to wcielenie dobroci i słodczy w obecności jego żony stało się nagle osobliwie zimne i twarde. Miał ochotę zostawić kobiety same, żeby mogły się do woli wytargać za włosy; wszystkim by od tego zrobiło się lepiej.

W domu zamierzał porozmawiać z Aliną o dziewczynie i układał sobie w głowie odpowiednie zdania, w których Aleksandra wypadłaby wystarczająco – lecz nie za bardzo – korzystnie. Każde jednak brzmiało mu fałszywie, każdy sposób poruszenia tematu z Aliną wydawał się automatycznie dowodzić, że Joe chce mieć romans ze swoją studentką. Jego żona zawsze dziwnie się spinała w środku, kiedy zaczynał mówić o instytucie, pracownikach i studentach, o czymkolwiek, co miało jakikolwiek związek z Aleksandrą czy jego pracą.

Unikanie tematu wydawało się absurdalne. Przecież nawet nie był nią zainteresowany! Dlaczego ukrywał jej istnienie?

Joe opowiedział Aleksandrze o Sandym Koufaksie i o tym, jak wielkie wrażenie wywarł na jego ojcu, który ciągle powtarzał, że nikt inny nie miałby jaj, żeby zrobić coś takiego. Nawet dziadek kiwał wtedy głową.

Ojciec wracał do Koufaksa zawsze, kiedy wychodziła na jaw jakaś śmierdząca sprawa, kiedy senatora przyłapano na niejasnych operacjach finansowych, kiedy Nixon się pogrążył w aferze Watergate. Ojciec nie dożył już Enronu i kryzysu kredytów *subprime*, nie dożył Lehman Brothers ani Katriny, ale Joe nie miał wątpliwości: gdyby żył, to na mur-beton wspomniałby o Sandym Koufaksie.

Aleksandra weszła do pokoju i od razu się domyśliła, że coś mu ciąży.

„Co jest?”, spytała.

„Nic”, odpowiedział.

„Powiedz”, poprosiła go cicho.

Z początku nie chciał mówić. Nie chciał wyolbrzymiać drobnego incydentu. Był gościem w tym spokojnym skandynawskim kraju, gdzie kobiety mają takie same prawa jak mężczyźni, w szkołach nie trzeba instalować bramek do wykrywania metalu, a ludzie nie są wyrzucani z mieszkań, kiedy muszą się nieoczekiwanie poddać operacji kręgosłupa. Tyle spraw rozwiązano tu lepiej niż u niego w Stanach.

Ponieważ Alina ostatnio już każde pytanie o Finlandię odbierała jako

krytykę, Joe nie wspomniał jej o tamtym dowcipie. Opowiedziała go jedna z pracujących w instytucie kobiet, sympatyczna i energiczna Finka, która w każdy wtorek i czwartek w sali seminaryjnej prowadziła gimnastykę w przerwie między zajęciami. Zebrali się w piątek wieczór niewielką grupą i klimat się zrobił dosyć swobodny. Zaczęli się przerzucać kawałami, których nie odważyliby się opowiedzieć w większym gronie, głośno się śmiali z polityków. Było naprawdę śmiesznie. Aż jeden młody, rzutki asystent, zadeklarowany homoseksualista, opowiedział kawał o gejach, którym zdecydowanie przekroczył granice dobrego smaku. Wszyscy jednak ryknęli śmiechem – zapewne z powodu rażącej niestosowności dowcipu – i atmosfera była przez chwilę euforyczna.

Dowcip Finki wydał mu się z początku pusty, jakby zabrakło w nim spodziewanej puenty. Pamiętał nawet, że zamyślił się wtedy z roztargnionym uśmiechem na twarzy. Ale po powrocie do domu złapał się na tym, że myśli o Sandym Koufaksie. Zignorowałby kawał, bo na nic innego nie zasługiwał, ale drugi cudzoziemiec w ich grupie, goszczący w Helsinkach Niemiec, Stefan, odciągnął go potem na stronę.

Jesus. Unbelievable. To niewiarygodne, po prostu nie do wiary.

I wtedy, w poniedziałek po weekendzie, Joe niemal mimowolnie zaczął opowiadać Aleksandrze, że Sandy Koufax odmówił gry w pierwszym meczu finałów World Series w 1965 roku, ponieważ akurat w ten dzień wypadało święto Jom Kippur, jedno z dwóch najważniejszych świąt żydowskiego kalendarza. Bez Koufaksa jego Dodgersi przegrali 8:2.

– Nikt inny nie miałby jaj... – zaczął Joe i uprzytomnił sobie, że mówi słowo w słowo to samo co jego ojciec. – To była naprawdę... wyjątkowa decyzja – poprawił się.

I zaraz też opowiedział dziewczynie legendarną już historię Sandy'ego Koufaksa: jak mimo kontuzji miotał dalej, chociaż ramię zupełnie mu zsiniało, jak lekarz zagroził mu amputacją i Koufax przyrzekł, że nie będzie nawet dotykał piłki między meczami, a i tak trenował: znieczulał się kodeiną, butazolidem i kapsaicyną, a po meczach musiał zanurzać ramię w wannie z lodowatą wodą.

Powiedział jej też o tym, że po Jom Kippur Koufax wrócił na boisko mimo ogromnego bólu i Dodgersi po tamtym pierwszym przegranym meczu zaliczyli dwa shutouty. W siódmym meczu play-offów Koufax zapewnił swojej drużynie zwycięstwo w World Series, dostał nagrodę dla najlepszego zawodnika i jeszcze w tym samym roku rozegrał *perfect game* – *shutout* i *no-hitter* w jednym meczu.

Kto potrafiłby się zdobyć na coś takiego?

Aleksandra jakby się zawahała; czekała może na ciąg dalszy. Joe musiałby zacząć od samego początku: czym jest World Series, czym *shutout*, czym *no-hitter* – i jaką niemożliwością jest *perfect game*. A i tak dziewczyna nie usłyszy, jak jego ojcu drży głos, kiedy wspomina Sandy'ego Koufaksa. I nie będzie wiedziała, że nikomu z jego pokolenia nie trzeba było mówić, że Sandy Koufax jako najmłodszy gracz w historii trafił do Baseball Hall of Fame.

– I mówisz mi to wszystko, bo...?

Aleksandra patrzyła na niego pytająco. Stali na pięknym dziedzińcu secesyjnego gmachu uniwersytetu w przedwiosennych podmuchach lodowatego wiatru.

– Sam nie wiem.

Joe wpatrywał się w asfalt przy swoich butach. Aleksandra spodziewała się chyba, że będzie jeszcze mówił. Senna Finlandia była krajem spokojnym, pięknym i uczciwym, ale wyczerpującym jak zbuntowany przedszkolak.

– Może jakoś tak... Żeby chociaż ktoś inny wiedział. Ale oczywiście nikt tego nie zrozumie.

I pewnie, z Holokaustu też można żartować, dowcipy o Zagładzie słyssało się także w ich rodzinie. Tylko czy opowiadało się je również przy obcych? Hmm. Nagle Joe nie potrafił powiedzieć.

Przypomniał sobie, że z pewnym niedowierzaniem zdał sobie sprawę, że uśmiechnął się po dowcipie Finki. A potem tylko poczuł lekki ucisk w brzuchu.

Przeżycie było tak zaskakujące, że do tej pory nie potrafił poczuć się urażony. W Stanach coś takiego uznano by oczywiście za obelgę. Ale tutaj? Czyżby nieopatrznie czymś jej podpadł? Zastanawiał się długo, o co Finka mogła mieć do niego żal, za co mogłaby chcieć się na nim zemścić, ale nic nie przyszło mu do głowy; w zasadzie nawet się nie znali.

Olśniło go dopiero, kiedy relacjonował zdarzenie Aleksandrze: tamtej nawet nie przeszło przez myśl, że jej dowcip może mieć jakikolwiek związek z kimkolwiek, a już tym bardziej z kimś obecnym *tu i teraz*. Finka oczywiście założyła, że Joe jest takim samym chrześcijaninem jak wszyscy inni ludzie w tej części świata. Że ma korzenie – gdzie? – w Teksasie, Iowa, w założonym przez brytyjskich purytanów w 1620 roku Massachusetts. Na pewno nie chciała go świadomie urazić. Wydawało się to jedynym logicznym wyjaśnieniem.

Była to z pewnością najdziwniejsza forma antysemityzmu, z jaką się zetknął: wyobrażenie, że cały naród przestał istnieć.

Uzmysłowił sobie, że tak muszą czuć się geje: twoje otoczenie beztrąsko przyjmuje za pewnik, że jesteś inny, niż jesteś.

Ale żeby wszyscy mieli mieć identyczne pochodzenie, identyczne korzenie, identyczne wykształcenie, identyczne doświadczenia i na dodatek jeszcze dokładnie takie same poglądy? Jak dziwnie, jak osobliwie musiał się czuć człowiek żyjący w *aż tak* zamkniętym środowisku, na tak małej powierzchni.

Z żartu Finki o Zagładzie można się było śmiać bez skrępowania, bo mówił o istotach baśniowych, równie rzeczywistych jak Myszka Miki. Joe i jego rodzice, dziadkowie i krewni byli dla Finów ludźmi tak obcymi i odległymi, że łatwopalność stanowiła ich jedyną, bardzo zabawną cechę.

Smerfy też się nie obrażają za dowcipy o sobie.

W Finlandii nigdy się nie mówiło o fińskich powiązaniach z nazistami i wyglądało na to, że nikogo w tym kraju nie gryzie sumienie z powodu dawnych układów z Hitlerem, a poza tym Finowie jako byli naziści nigdy nie mieli problemów z głośną krytyką Izraela, ponieważ umieścili siebie w zupełnie innej narracji. Zrobili z siebie bohaterów z historii o Dawidzie i Goliacie, która nie miała żadnego związku z Holocaustem i w której nie występował ani jeden Żyd. W tej fińskiej historii pokolenie ojców i dziadków dzisiejszych Finów zostało niemal pożarte żywcem przez Sowietów, ówczesne Imperium Zła, ale mały dzielny naród heroicznie przetrwał, złożony w ofierze najlepszych synów ojczyzny, aby ich dzieci mogły się cieszyć wolnością we własnym kraju.

To była piękna historia.

Pewnie każdy naród musi taką mieć.

A Joe chyba wolał, by ludzie opowiadali jedną, wspólną historię, a nie każdy swoją. Może byłaby chaotyczna i trudna, nierówna i niekonsekwentna, ale taka sama dla wszystkich. Aleksandra słuchała go bez słowa, pozwoliła mu zapaść się w jej cudowne, ogromne i ciepłe oczy, których tak nienawidziła jego żona.

W Finlandii nie ma Sandy'ego Koufaksa, tak jak nie ma *perfect game*. W Finlandii jaja mają tylko Finowie, a ciężka praca jest fińskim sportem narodowym, którego mistrzami są nawet ci, co od rana do nocy przesiadują w barze nad kuflem piwa; Finowie są uczciwsi od innych nacji, nawet jeśli kłamią na temat współpracy z uniwersytetem Stanforda. W fińskich jabłkach jest mniej trucizn niż w jabłkach z innych krajów, nawet jeśli jest ich więcej; fińska przyroda jest nieskażona – nawet w Zatoce Fińskiej, która jest tak zanieczyszczona, że poławianych tam śledzi nie kupią nawet Stany Zjednoczone.

W zasadzie to jednak *poczuł się* urażony, pojął Joe w milczącym, kojącym współczuciu Aleksandry: wtedy, kiedy Finka po swoim dowcipie – który koniec końców był jedynie niesmacznym, kiepskim kawałem niezasługującym nawet na to, by go brać do siebie – próbowała ratować twarz *wolnością słowa*. Nie mogła nie zobaczyć zdumionej miny Stefana i nie zauważyć, że wszyscy nagle umilkli – wtedy zapewne zdała sobie sprawę, że powiedziała coś niestosownego.

Wolnością słowa?

Czyli co? Delikatność jest zagrożeniem dla wolności słowa? Przez wzgląd na wolność słowa *nie wolno* okazać szacunku dla narodowości drugiego człowieka? W imię wolności słowa wręcz *należy* obrażać innych ludzi, by zademonstrować, że *w granicach prawa* można powiedzieć nawet coś takiego?

Nagle sobie uświadomił, jak może czuć się człowiek, który przyjechał do Finlandii z *zupełnie* innego świata. Jego łączyły jednak z Finami wspólny język, zbliżone dziedzictwo kulturowe i nawet częściowo tożsama tradycja religijna, włącznie z częścią świętych ksiąg. Mimo to przez chwilę miał wrażenie – odczuł to wręcz fizycznie – że wszyscy Finowie drwią sobie z ludobójstwa jego krewnych i nie mieliby nic przeciwko, gdyby i jego ktoś wrzucił żywcem do krematorium – dzisiaj, właśnie teraz.

I kiedy mówił o tym Aleksandrze, zdał sobie sprawę, że nie czułby się tak po tamtym dowcipie, gdyby nie usłyszał go w obcym kraju, w takiej części świata, gdzie przybysz nigdy nie potrafi odczytać całego kontekstu. Uprzytomnił sobie wtedy, że zawsze wyobrażał sobie Europę jako miejsce bardziej serdeczne od Stanów, bardziej lewicowe, humanitarne, ekologiczne, ostrożniejsze, bo boleśniej doświadczone, bardziej miłujące pokój i prawdę, głębsze, mądrzejsze.

I poczuł, że to wyobrażenie nieodwołalnie blaknie, i było to przeżycie zupełnie nieoczekiwane.

Aleksandra wysłuchiwała jego wynurzeń do końca bez mrugnięcia okiem. Widział jednak w jej spojrzeniu, że zarejestrowała każde jego słowo i każdy podtekst, wzięła sobie do serca najmniejszy okrucuch emocji.

Już po chwili Joe miał ochotę ją pocieszać. W końcu mówimy tylko o jednej, dziwnej osobie. I o jednym naprawdę kiepskim dowcipie.

Jednej osobie. I jednym dowcipie.

X

Napiwek był za mały: zapomniał wyciągnąć pieniądze z bankomatu.

Taksówkarz spojrział na banknoty i rzucił Joemu urażone spojrzenie, po czym wszedł do auta i odjechał, gazując ostentacyjnie. Joe musiałby szukać karty gdzieś w bocznej kieszeni torby – dla dwóch, może trzech dolarów.

W myślach przeprosił taksówkarza i pociągnął walizkę za sobą do drzwi. Przez różnicę czasu wszystko widział jak przez mgłę, choć wieczór był jeszcze jasny. Nie zdążył się porządnie przestawić na czas europejski i ostatnie trzy doby w Szwajcarii spał kiepsko. A teraz czeka go zapewne bezsenna noc w domu. Wracał ze spotkania grupy roboczej projektu badawczego międzynarodowego instytutu nauk neurobiologicznych – jednego z tych przedsięwzięć, w których zaczął się udzielać w ostatnich latach z powodów niejasnych nawet dla niego samego.

Współtworzenie polityki naukowej i zarządzanie nauką na metapoziomie wiązało się oczywiście z prestiżem: w końcu to zaproszenie do ścisłego kręgu wtajemniczonych. Dawniej nie miał ochoty brać w tym udziału. I nie tyle z powodu plotek, zabiegów o władzę i wpływy czy specjalnych umów – co tutaj było równie powszechne jak w Finlandii, tylko skala inna – ile dlatego, że pachniało mu to kapitulacją. Członkowie takich gremiów byli bez wyjątku naukowcami, którzy zasłynęli już w młodym wieku. I robili potem świetne rzeczy, niekiedy nawet rewelacyjne, z czasem jednak jakby zaczęli tracić rozmach. I czy to nie dlatego właśnie zasiadali w tych wszystkich komisjach, organizowali projekty, poświęcali się networkingowi i koordynowaniu działań różnych instytucji? Żeby uciec od swoich laboratoriów, frustracji i błędów, od głębokiego bagna codziennej, żmudnej pracy? Laboratorium nie zna litości: stawia noblistę w jednym szeregu z nowicjuszem, poniża, karze i nagradza według własnego widzimisie. Koordynatorzy projektów zawsze przywodzili Joemu na myśl morskiego bezkręgowca z porównania Daniela Dennetta, który po znalezieniu sobie odpowiedniej niszy zjada swój niepotrzebny mu już mózg.

Po powrocie z Finlandii Joe zaczął jednak doceniać pracę wykonywaną na rzecz wspólnego dobra. Kto jak nie oni, starzy, którzy kroczą już spokojniej, ma zapewnić młodym gniewnym możliwość rozpoczęcia kariery, kiedy nadejdzie stosowna pora? Przecież młodzi sami tego nie zrobią. Może dlatego Joe zaczął się angażować w podobne projekty, chociaż pochłaniały mnóstwo czasu.

I powiedzmy sobie szczerze: także dlatego, że mózg nie pracuje już tak szybko jak wtedy, kiedy się ma dwadzieścia lat – co Joe odczuwał niestety na własnej skórze. Lubił sobie zrobić dzień przerwy od pracy i pogryzając ciasteczka, rozważać zagadnienia, które nie są tak nieznośnie skomplikowane

i niemożliwie trudne, jak każdy sensowny problem badawczy.

Po powrocie z Finlandii dotarło do niego – przynajmniej na jakiś czas – także to, że praca nie powinna wypełniać człowiekowi całego życia. Nie pracował już w soboty, tylko w dni powszednie i w niedziele, a i wtedy kończył wcześniej, żeby zdążyć do domu przed pójściem dzieci do łóżek. Miriam nawet powiedziała kiedyś, jak bardzo docenia to, że Joe mimo zapracowania nie uchyla się od pomagania w domu. Słowa uznania żony były dla niego bardzo ważne i nie miał wątpliwości, że gdyby nie ten nieszczęsny epizod fiński, byłby teraz znacznie gorszym mężem.

Joe postawił walizkę na stopniu, wyjął z kieszeni klucze i otworzył drzwi. Z wnętrza domu wionął znajomy zapach.

– Cześć! – krzyknął.

Z gabinetu Miriam dobiegło stłumione „cześć”. Joe zdusił pączkujące rozczarowanie, że żona nie przerwała pracy i nie wyszła mu naprzeciw. No, nie było go w końcu tylko kilka dni, a te krótkie podróże zdarzały mu się często.

W piwnicy pulsował stłumiony pogłos plastikowej muzyki tanecznej; Rebecca wykonywała swój cwieczorny program ćwiczeń. Była środa, Daniella nie wróciła jeszcze z tańca. Joe złożył płaszcz na walizce, wyjął z lodówki puszkę *root beer* i wypił zawartość kilkoma łykami. Zawsze go suszyło po paru godzinach spędzonych w klimatyzowanej atmosferze portów lotniczych.

Może warto by powiedzieć coś Rebecce o tym jej codziennym programie ćwiczeń na brzuch, uda i pośladki? Ale jeśli tylko pogorszy sprawę? Zdecydowanie za często widział córkę przed lustrem: stała z niezadowoloną miną i mierzyła się wzrokiem od stóp do głów, podszczypując chude boki i parszkając z rezygnacją. Kiedy spostrzegą, że na nią patrzy, zaciskała gniewnie zęby i wybałuszała na niego oczy: *No i czego??!*

A przecież jego starsza córka balansowała na dolnej granicy prawidłowej wagi. Czy ona w ogóle jada w szkole?

– Becca! – krzyknął.

Bez odpowiedzi.

Otworzył walizkę, ale zmęczyła go już sama myśl o rozpakowywaniu rzeczy. Na samym wierzchu leżał cyfrowy odtwarzacz muzyki, który kupił dla Rebekki na lotnisku w Genewie. Miriam przywiózł chustę. Mało oryginalny prezent, ale koloru na szczęście mógł być pewny.

Bądź tak dobry i spodobaj się mojej córce, dobrze? Nie miał czasu szukać ani porównywać modeli, nie zadzwonił nawet do żony, żeby o to spytać, choć

pewnie powinien. Odtwarzacz umożliwiał praktycznie nieograniczone odsłuchiwanie muzyki, i to zupełnie za darmo. Brzmiało to niewiarygodnie i trąciło Joemu piractwem, ale sprzedawca mu wytłumaczył, że to nowy system i nawet stowarzyszenia pilnujące praw autorskich jeszcze go nie ogarniają, ponieważ omija on całkowicie dotychczasowe kanały dystrybucji.

Joe wyjął odtwarzacz, zamknął walizkę i skierował się w stronę schodów, kiedy dostrzegł między poduszkami na sofie różowy, mocno poobijany smartfon Rebekki. Przy okazji zanieś go do jej pokoju, skoro już idzie na górę.

Zamyślony wszedł na stopnie. Aż dziw, że córka jeszcze nie szuka swojego telefonu. Nie słyszał też, żeby dostała nowy, w każdym razie nie za pieniądze z jego karty kredytowej. Joe nawet zwrócił jej kiedyś uwagę, bo Becca miała bez przerwy włączony jakiś *instant-message-chat*. Najlepsza przyjaciółka musiała być ciągle wirtualnie przy niej obecna, nawet kiedy rozmawiała z rodzicami albo siadała w domu do kolacji. Oczywiście najgłupsze wypowiedzi i epickie wpadki starych córka rozsyłała w czasie rzeczywistym wszystkim znajomym i w ciągu sekundy niewyobrazalny rodzicielski konserwatyzm Joego i Miriam Chayefskich stawał się przyczyną zbiorowego rechotu, a kto wie, czy także ich zdjęcia nie trafiły do internetu, gdzie już do końca świata każdy będzie mógł je sobie w sekundę wygooglować.

Bezustannie stukanie towarzyszyło im dzień w dzień, w każdej chwili; Rebecca prędzej dałaby sobie rękę odciąć niż odebrać telefon. I oto smartfon leży zapomniany na sofie i nic nie wskazuje na to, że nadszedł koniec świata.

Joe stanął w drzwiach jej pokoju.

W oczy rzuciła mu się leżąca na stole torebka z przezroczystego plastiku i jej zawartość, wyraźnie widoczna, jak na wystawie w sklepie. Joe rozpoznał design znanego projektanta. Jego nazwisko znali nawet tacy wyobcowani z życia akademicy jak on.

I dopiero wtedy spostrzegł urządzenie.

Leżało w torebce: opływowy, owalny kształt o jasnym metalicznym połysku, bezczelnie wystylizowany na wibrator. Nigdzie na gładkiej powierzchni wrzeczona nie dało się wypatrzeć żadnego przycisku – przynajmniej nie od razu – niczego, na czym można by choćby zaczepić paznokiec. Potem zobaczył małe bezprzewodowe słuchawki i choć nie były połączone z urządzeniem, identyczny kształt i kolor wskazywały na to, że tworzą z nim komplet. To tak wyglądają teraz telefony? To oczywiście tłumaczyłoby porzucenie przez Rebeccę starego smartfona.

Za czyje pieniądze zostało kupione to cudo?

Już na pierwszy rzut oka było widać, że turbowibrator musiał kosztować wielokrotnie więcej niż zwyczajny telefon. Ile? Kilkaset dolarów, a może i tysiąc byłoby mało? I skąd jego córka wytrzasnęła pieniądze na tak drogą torebkę?

Z piwnicy nadal dobiegał zwiastujący anoreksję rytmiczny łomot. W torebce obok podręcznika, kosmetyków, wypełniacza do koka i nowego srebrnego telefonu wyraźnie wyróżniała się niewielka plastikowa ampułka. Krzykliwe prążkowane logo biło po oczach niczym świetlik.

ALTIUS!®

Aż coś się w nim zacisnęło w pięść. Czyżby jego córka zażywała jakieś leki bez jego wiedzy? Na tabletki od bólu głowy opakowanie było zbyt stylowe. O ile wiedział, Rebecca nie cierpiała na żadną z chorób, które wymagałyby stałych leków.

Wreszcie go olśniło.

Pigułki antykoncepcyjne.

Rebecca miała piętnaście lat. I nie rozmawiała o tej sprawie z matką. Miriam na pewno by mu powiedziała.

– Becca! – krzyknął w stronę schodów. – Rebecca!

Dudnienie nie ustawało. Nie mogła go słyszeć z piętra. Joe rozejrzał się po pokoju. Nie będzie grzebał w rzeczach swojej córki, a już na pewno nie potajemnie. Ale ten jej *zumbaefrobic* potrafił trwać godzinę, a czasem nawet dłużej. Poza tym Becca celowo wybrała sobie *przezroczystą* torebkę – żeby wszyscy widzieli, co w niej nosi, bez konieczności zagłądania do środka.

I zanim jeszcze otrzymał zgodę z najbardziej krytycznych obszarów swojego mózgu, już otworzył torebkę i wyjął z niej ampułkę. Czy to możliwe, żeby jego córka uprawiała regularnie seks? Z kim? Może trzeba poprosić Miriam, żeby z nią porozmawiała i powiedziała jej, że prezerwatywa to konieczność nie tylko ze względu na antykoncepcję. Ale dlaczego pigułki nazwano Altius?

Raz dziennie na napięcia związane z problemami interakcyjnymi, stres sytuacyjny i społeczne objawy towarzyszące:

ALTIUS!®

Wydaje się z przepisu lekarza

DO CELÓW NAUKOWYCH

Joe wpatrywał się w ampułkę. Napięciowe problemy interakcyjne? Stres sytuacyjny? Społeczne objawy towarzyszące? Czyżby jego córka trafiła do psychiatry, który wymyślił jej problemy, żeby wcisnąć leki?

Do celów naukowych?

Wyszukał w ulotce informację o substancji czynnej. Związek chemiczny, o którym nigdy nie słyszał.

Muzyka ciągle dudniła. Joe zamknął ampułkę w garści i szedł na dół do gabinetu Miriam. Już pod drzwiami słyszał tętent pędzących po klawiaturze laptopa palców. Chyba nawet nie spostrzegła, że stanął w drzwiach.

– Jak było w Szwajcarii? – odezwała się w końcu do monitora, marszcząc brwi. Pędzące po klawiszach gazele nie zwolniły ani na jotę.

– Całkiem okej.

– To dobrze.

Po chwili zastanowienia Joe spytał:

– Skąd Rebecca ma tysiące dolarów ekstra na drobne wydatki?

Miriam uniosła brwi, by mu pokazać, że zarejestrowała pytanie, nadal jednak wpatrywała się w ekran laptopa z nieprzeniknioną miną; nie dotarło do niej ani jedno jego słowo. Patrząc z progu na zimne refleksy światła na twarzy żony, Joe poczuł się nagle zmęczony i bezsilny wobec całego tego cyfrowego trybu życia – i uprzytomnił sobie, jak się czują jego córki i żona, kiedy on sam spędza niemal każdą chwilę od świtu do nocy z nosem w monitorze, by ostatnie pół godziny przed pójściem do łóżka „zrelaksować się” przeglądaniem – oczywiście w sieci – kolejnych ważnych statusów swoich dalekich znajomych: „**Samantha Ericsson** zaczyna nowy tydzień; **PhuongUyen**: Cudownie się udały ciastka z czekoladą: pies sąsiadów wsadził nam nos w okienko na listy!”.

– Słyszałaś? – spytał cicho Joe.

– Mhm – mruknęła Miriam bez cienia zainteresowania. – Muszę to skończyć na jutro.

– Od kogo Becca dostaje leki psychotropowe?

Wreszcie Miriam oderwała spojrzenie od komputera. Wyglądała na poirytowaną. Rozpędzone palce jeszcze przez chwilę biegły po klawiaturze.

– *Co takiego?*

– Czy Becca zażywa leki, o których ja nie wiem?

Pokazał jej ampułkę. Był znużony tym, że ostatnio wszystko trzeba wszystkim mówić dwukrotnie: najpierw, żeby oderwać kogoś od ekranu komputera czy smartfona i zmusić do słuchania, a potem, żeby wreszcie dotarło, co ma do powiedzenia.

Altius? Miriam nic na ten temat nie wiedziała. Spytał, czy dała Rebecce pieniądze na plastikową torebkę sygnowaną nazwiskiem słynnego włoskiego projektanta mody, która musiała kosztować kilkaset dolarów. Nie. Czy pożyczyła córce kartę kredytową? Nie. Czy słyszała, żeby Becca zażywała leki na receptę? Nie. Czy wie, że Becca ma nowy telefon, który może być jednocześnie elektronicznym wibratorem? Nie.

– Ale pamiętasz – odezwała się nagle Miriam, przeciągając słowa – jak się zastanawiałam nad nagłą zmianą uczesania u Rebekki? Jakiś miesiąc temu?

Tamtego wieczoru Rebecca wróciła do domu jako nieudana kopia słynnej hollywoodzkiej gwiazdy. Tej, która wiele lat grała w popularnym sitcomie najbardziej atrakcyjną kobietę z całej paczki i która rozwiodła się właśnie z drugim mężem i miała trójkę dzieci z adopcji, każde z innego kraju. Becca wydała się raptem starsza o dziesięć lat, bezosobowa; nagle trudno było orzec, czy to młodo wyglądająca dwudziestopięciolatka, czy nastolatka, która pozuje na dorosłą kobietę.

Joe pamiętał komentarz zdziwionej Miriam, że chociaż styl Rebekki nie zmienił się jakoś dramatycznie – zwłaszcza w zestawieniu ze smolistoczną fryzurą gotycką, którą sprawiła sobie ubiegłej wiosny – to teraz w image’u piętnastolatki pojawił się obcy u niej rys kalkulacji. Nie odpowiedział jej wtedy, ale przyszło mu do głowy, że może Miriam trudno się pogodzić z tym, że jej córka staje się kobietą. Inna rzecz, że nie mógł wiedzieć, jak wygląda dzisiaj typowa nastolatka – style i zachowania zmieniają się z tygodnia na tydzień i nic nie jest takie, jakie było kiedyś.

– I wiesz, co widziałam? – powiedziała Miriam wolno. – Przez okno? Jakiś czas temu, kiedy Becca wyszła z domu wieczorem?

Ich córka otworzyła drzwi czekającego pod domem samochodu kolegi, usiadła bokiem na siedzeniu i przed odjazdem zmieniła swoje stare dżinsy na nowe, markowe, które musiały kosztować sześć albo siedem razy więcej od tych, które Miriam pozwoliła jej kupić na swoją kartę. Rebecca wstała jeszcze na chwilę i zakręciła biodrami na pokaz – i była w tym czysta radość ze spożycia zakazanego owocu. Becca miała więc jakąś tajemnicę i przez pewien czas Miriam śledziła rozwój sytuacji, ale markowe dżinsy nie pojawiły się w koszu z brudami, chociaż zazwyczaj córka wyrzucała rzeczy do prania po jednym czy dwóch noszeniach. Miała z nią o tym porozmawiać, lecz w końcu zapomniała.

Nadstawili uszu: w piwnicy ciągle grała przytłumiona muzyka. Po chwili zastanowienia Miriam położyła palce z powrotem na klawiaturze.

– Jak się nazywa ten lek?

Nieznana im substancja czynna okazała się chemiczną pochodną związku, który wprowadzono niedawno na rynek i stosowano w leczeniu poważnych zaburzeń funkcjonowania społecznego, takich jak ekstremalna nieśmiałość. Po krótkich poszukiwaniach znaleźli również wątek na forum korporacji studenckiej z Yale; autorzy wpisów twierdzili, że dzięki leкови poprawiła się ich pozycja towarzyska. Ktoś napisał, że bez Altiusa może dałby sobie radę z *final exams* na Princeton, ale nigdy w grupie rówieśniczej; teraz jest duszą towarzystwa i ma dziewczynę, która jest modelką. Pierwsze linki wyszukiwarki odsyłały do wymuskanych profili na popularnym ostatnio wśród młodzieży serwisie społecznościowym, gdzie pływak z ekipy olimpijskiej przyznał, że wygrał mistrzostwa okręgu dopiero wtedy, gdy sięgnął po Altius, bo czuł się psychicznie zablokowany. Bez akceptacji koleżanek i kolegów prawdziwy sukces nie jest możliwy. Jego ciało było gotowe na medal, ale umysł nie.

Joe i Miriam spojrzeli po sobie i bez słowa ruszyli do piwnicy, gdzie nadal dudniła plastikowa muzyka, obiecująca perfekcyjne ciało i wieczną sprawność.

Rebecca przysięgała, że nie wzięła do ust ani jednej tabletki z opakowania ALTIUS!®. Jak w ogóle mogą ją o coś takiego podejrzewać? Poza tym nic im do tego, choćby nawet wzięła! Ale swoim zachowaniem chyba po prostu zmuszą ją do tego, żeby to zrobić. Tak, zacznie łykać te pigułki od razu, jeszcze dzisiaj, w ramach protestu przeciwko urządzaniu jej takich przesłuchań. Plastikowa torebka jest jej osobistą własnością i nie mają prawa w niej grzebać ani włączyć bez pytania do jej pokoju.

Nie zrobiła niczego niezgodnego z prawem i nie mają prawa jej o coś takiego oskarżać, nie mając na dodatek żadnych na to dowodów!

– Becca! W twoim posiadaniu znalazły się nie wiadomo kiedy rzeczy, akcesoria i sprzęt elektroniczny wart tysiące dolarów – powiedział Joe. – Więc mam wrażenie, że o dowodach akurat możemy już mówić.

– Które zdobyliście całkowicie bezprawnie!

– To co trzeba mieć, żeby wejść do twojego pokoju? Nakaz rewizji?

W oczach Rebekki zaszklily się łzy bezsilnej złości. Akurat mu wierzy, że niby z dobrego serca poszedł zanieść do jej pokoju to stare, tysiącletnie truchło, *które jest do niczego!* Nie wierzyła, że wielki pan profesor z wielkiego uniwersytetu nie potrafiłby się domyślić, że dwuletni smartfon to praktycznie złom, którego jego córka od dawna już nie używa. Poza tym to jego kłamstwo w niczym nie zmienia faktu, że wtargnął bezprawnie na teren prywatny.

A skąd ma nowy, drogi i opływowy telefon, który nawet nie pojawił się jeszcze na rynku, to ich akurat nie powinno obchodzić.

Poza tym – *tak na marginesie* – to nie jest żaden *telefon*.

Urażone prychnięcie.

– Wobec tego co to jest?

Córka popatrzyła na nich spod oka, zastanawiając się pewnie, czy warto podejmować walkę z wiatrakami. W końcu wydała z siebie jęk apokaliptycznej rozpacz.

– *Eksplorator przeżyć*. Jeśli już musicie koniecznie to wiedzieć.

– Eksplorator przeżyć? To ma być jakiś żart?

– Uuu, firma już się trzęsie ze strachu! – Rebecca wyrzuciła ramiona w górę i wytrzeszczyła oczy. – Wielki technoguru Joseph Chayefski nie jest przekonany!

– Becca.

– Nazywa się iAm. *Jestem*.

– Jestem?

– Uuu, wielki technoguru Chayefski kwestionuje także wybór nazwy! Akcje firmy lecą na pysk! Słyszać aż tutaj!

– Becca. Mogłabyś łaskawie odpowiedzieć na pytanie? – odezwała się Miriam.

– Jak tylko przyjdzie mój prawnik.

Rebecca wycofała się do swojej skorupy. Joe był bezradny. Nie potrafił wymyślić nic innego poza zagrożeniem córce zawieszeniem kieszonkowego („łaski mi nie robisz”) i konfiskatą karty kredytowej. („Wielka mi strata, z tymi twoimi żalonymi limitami i tak była do niczego”). Pełne pogardy spojrzenia). Ani on, ani matka nie chcieli tego robić („no to nie róbcie”), ale są jej rodzicami i dlatego muszą wiedzieć, skąd w jej torebce wzięły się leki oraz drogie gadżety i w jaki sposób zdobyła na to pieniądze.

– A co z *mirandą*? – spytała Rebecca, przewracając oczami.

Z salonu dobiegło ich parsknięcie Danielli: *miranda*. Zgodnie z konstytucją Stanów Zjednoczonych policja ma obowiązek poinformowania aresztowanego przed przesłuchaniem o przysługujących mu „prawach Mirandy”.

– Dani, idź do swojego pokoju – powiedział Joe. – Rozmawiamy teraz z Rebecą.

– Bekki – zaczęła Miriam – mówisz do nas takim tonem, że...

– Nie mam ochoty cię słuchać.

– Nie mów tak do swojej matki.

– Ale wy możecie grzebać bez pytania w moich rzeczach, tak?

Rebecca wstała i ruszyła w stronę schodów z miną męczenniczki słusznej sprawy.

– Wiesz, Becca, co ja myślę? – odezwał się Joe innym tonem.

Pod grubą warstwą lodu dostrzegł jakby ciemniejsze miejsce, jeszcze nie do końca ścięte mrozem. I widząc, że się nie pomylił, mówił dalej, ale inaczej niż do tej pory. Może to jednak nadal ta sama, niepewna siebie nastolatka, która – kamień spadł mu z serca – chciała jakoś zakomunikować rodzicom, co się dzieje w jej życiu. Choćby już tylko po to, żeby z ich reakcji wyczytać, co sama o tym sądzi.

– Tak sobie myślę – strzelił zupełnie w ciemno – że weszłaś w coś, ale sama do końca jeszcze nie wiesz, co to takiego.

Rebecca obrzuciła go długim, podejrzliwym spojrzeniem. Joe i Miriam czekali. Dziewczynka przełknęła ślinę i starła palcem niewidzialny pyłek z grzbietu dłoni. W końcu, kawałek po kawałku, wyjawiała im w grubszych zarysach, co się wydarzyło.

W szkole pojawili się mężczyzna i kobieta z dużej firmy – tej samej, która sfinansowała budowę nowego skrzydła sali gimnastycznej. Nosiło ono teraz nazwę firmy. W takich chwilach Joe tęsknił za Finlandią, gdzie społeczeństwa nie rzucono jeszcze na pożarcie rynek. W Helsinkach nie do pomyslenia było boisko mające w nazwie producenta napojów orzeźwiających ani hala hokejowa upamiętniająca operatora telefonii. Finowie zdawali sobie sprawę, do czego to w końcu doprowadzi. Joe kiwał z uznaniem głową: wiele dużych fińskich przedsiębiorstw nadal należało do państwa, przynajmniej częściowo. W Finlandii państwowe przedsiębiorstwo energetyczne nigdy nie wywoła protestów społecznych wypłaceniem kilkudziesięciomilionowych opcji swojemu dyrektorowi, tak jak Freedom Media Tedowi Brownowi. Fińskie państwowe przedsiębiorstwo leśne nie wypłaci swojemu dyrektorowi milionów dolarów odprawy i nie wyrzuci na bruk tysięcy pracowników, żeby obrzydliwie bogaty bankier mógł się wymądrzać w gazecie, że społeczeństwo tylko zyskuje na likwidacji najbardziej nierentownych podmiotów gospodarczych. A tutaj tak się robi – i to widać. Stany Zjednoczone są na prostej drodze do Trzeciego Świata, gdzie bogaci muszą się zamykać w pałacach otoczonych drutem kolczastym. Na ulicach Baltimore już trwa otwarta wojna, ludzie strzelają do siebie z półautomatów, a nawet z karabinów maszynowych, i miasto codziennie zbiera gorzkie owoce nierówności społecznej. W tym względzie Europa jest mądrzejsza, ale dla nich jest już za późno. Joe chciałby, żeby każdy Amerykanin spędził rok

w Finlandii: wyszłoby to na dobre całym Stanom, po takim doświadczeniu stałyby się zdrowsze. I może słowo „socjalista” przestałoby być obelgą.

W zamian za współpracę mężczyzna i kobieta obiecali uczniom drobne upominki reklamowe. Wystarczyło polubić Fanpage firmy na portalu społecznościowym, na który tego roku przerzucili się wszyscy rówieśnicy Rebekki. Becca została ich fanką i otrzymała pocztą próbki szamponów, kosmetyków i lakierów do włosów.

– No, i co dalej? – spytał Joe. Czuł, że córka pomija najważniejsze fakty.

– Nic.

– To oni przysłali ci tę torebkę? I ten lek?

Nagabywana Rebecca znów zaczynała się wycofywać. Joe się bał, że dojdzie do wojny pozycyjnej, która w najgorszym razie potrwa nawet kilka tygodni.

– Czy ta firma każdej swojej fance wysłała torebkę, która kosztuje w sklepie ponad czterysta dolarów?

– Oczywiście, że nie! – zaperzyła się Rebecca. – Kto by ją wtedy chciał mieć? Gdyby wszystkie ją nosiły.

– Czyli tylko tobie?

Rebecca nie odpowiedziała.

– Musiałś coś zrobić, żeby ją dostać?

Joe szukał jakichś pęknięć w tym murze, ale na próżno.

– Becca, odpowiedz szczerze. Czy wzięłaś bez pozwolenia którąś z naszych kart kredytowych?

– Nie! Kurwa, jeszcze mi teraz kradzież zarzucacie?! Jakże się cieszę, że nasze stosunki cechuje tak wielkie zaufanie! Sprawdźcie swoje wyciągi.

– A więc co? Sprzedajesz narkotyki?

Rebecca zrobiła oczy jak spodki, żeby im pokazać, jak niepojęte i niewymownie zniesławiające są dla niej podobne oskarżenia. Teraz Joe już wiedział, od kogo Daniella nauczyła się tak wybałuszać oczy.

– Becca, jeżeli nam nie powiesz, zaczniemy sobie wyobrazać nie wiadomo co.

Ale ich córka nie chciała już powiedzieć nic więcej. Wobec tego Joe i Miriam zapowiedzieli, że skonfiskują jej torebkę razem z fiolką z lekarstwem i jej nowym smartfonem, a do tego jeszcze jej markowe dżinsy, czyli wszystko, co pochodzi z niewyjaśnionych źródeł.

Konfiskujcie sobie. Mam to gdzieś.

Spojrzenia w sufit, drżenia zamkniętych powiek. Niewzruszony spokój moralnego zwycięstwa.

Było już po jedenastej, kiedy Joe i Miriam usłyszeli w swojej sypialni, jak Rebecca płacze u siebie na górze. Spojrzeli po sobie.

– Odgrywa taką twardą sztukę, a potem zaczyna płakać? – zdziwił się Joe.

– Nie pamiętasz, jak to było, kiedy miałaś piętnaście lat.

– Byliśmy dla niej zbyt surowi?

– Pogadamy z nią jutro rano – odrzekła Miriam i wyłączyła światło.

Joe nie mógł jednak zasnąć. Wiercił się w wilgotnej pościeli i myślał o listach z pogrózkami, o cegle wrzuconej przez okno do jego pokoju, o nagim zdjęciu Danielli, które może właśnie w tej chwili rozsiewa się po całej sieci i już nikt nigdy nie zdoła go stamtąd usunąć. Co jeszcze robią ich córki bez ich wiedzy, co po latach wypłynie z odmętów internetu? Przewrócił się na drugi bok. Wieczorem odszukali urządzenie Rebekki w internecie. Strona producenta o nazwie MInDesign była jedną wielką reklamą „bezinterfejsowego eksploratora przeżyć”, który zrewolucjonizuje znany nam świat. Pod napisem widniał licznik odliczający sekundy do premiery urządzenia za pół roku.

iAm.

Zanim się położył, spróbował załagodzić trochę sytuację, dając Rebecce kupiony w Genewie odtwarzacz. Córka uznała jednak, że ten tysiącletni szajs, *na którym nie da się zrobić nic sensownego*, w niczym nie zmienia faktu, że bezprawnie wtargnął do jej pokoju, naruszył jej prywatną przestrzeń. Poza tym nie chciało jej się wierzyć, że wielki pan profesor wielkiego uniwersytetu może nie wiedzieć, że urządzenie sprzed dwóch lat jest całkowicie niekompatybilne z komputerem Rebekki, jej telefonem i stosowanym w nim formatem plików. To, że można na nim słuchać za darmo muzyki bez ograniczeń, jest zupełnie nieprzydatne, bo ona ma w telefonie zainstalowaną płatną aplikację z identyczną funkcją. Poza tym ten złom ma debilny interfejs, który nie odczytuje statusów jej znajomych na profilach społecznościowych, a żaden normalny człowiek od setek lat nie używa urządzeń, na których nie można zobaczyć, czego słuchają inni. Specjalnie, kurwa, jej kupił zupełnie nieprzydatne urządzenie!

Noc nieprzespana nie z własnej woli jest bardzo długa.

Może klimatyzacja coś da? Nie, ta bezsenność nie wzięła się stąd. Na razie w Marylandzie nie jest jeszcze aż tak gorąco.

Po półtorej godziny wiercenia się w łóżku wstał i po chwili namysłu włączył komputer.

Długo się opierał, zanim jako jeden z ostatnich założył w końcu profil na najbardziej popularnym serwisie społecznościowym początku drugiej dekady wieku. Chwilę później jego szalona popularność była już historią – może właśnie dlatego, że pojawili się na nim nawet tacy jak on. Imperium medialne, które zaledwie rok wcześniej kupiło serwis za kosmiczną sumę, praktycznie wyrzuciło pieniądze w błoto; użytkownicy zaczęli go porzucać niemalże z dnia na dzień. Portal stał się wirtualnym odpowiednikiem fabrycznego miasteczka opuszczonego przez ludzi, wzgardzonego przez sklepy i banki, gdzie puste hale i garstka szaleńców ciągle przypominają o tym, jak dawniej wyglądało życie przy fabryce.

W nowym serwisie, z którego teraz wszyscy korzystali, Joe założył profil na prośbę uniwersyteckiego działu *public relations*. Uczelnia miała własny portal, lecz nikt go nie używał i przestano też wymagać, by pracownicy z niego korzystali. Teraz piarowcy chcieli, żeby na tym najpopularniejszym komercyjnym portalu każdy badacz przynajmniej raz w tygodniu napisał „coś lekkiego o życiu w laboratorium”, o zabawnych drobiazgach, które „pokażą ludziom pracę naukowca od kuchni”. W ten sposób mieli budować własną markę. Bo mimo lekceważenia, jakie okazują jej badacze, komunikacja wielokanałowa zadomowiła się już na dobre także w nauce. Tak im mówił nowy szef działu, dwudziestopięcioletni chłopaczek o gęstej czuprynie, który zapewne rok czy dwa lata wcześniej bił jeszcze rekord picia piwa pod ciśnieniem na *keg party* w swojej korporacji studenckiej.

Prawda jest taka – referował im chłopaczek na obowiązkowym spotkaniu informacyjnym – że każdy buduje sobie własną medialną personę, własny wizerunek; nie tylko uniwersytety, ale także naukowcy. Różnica jest tylko jedna: ci drudzy robią to słabo i bez głowy, korzystając z przestarzałych i nieefektywnych kanałów komunikacji.

– Epoka zatajania informacji niestety już minęła, także tutaj – obwieścił chłopaczek z pewnością siebie, jaką odczuwa się wyłącznie na pierwszym w karierze stanowisku kierowniczym. – Dziś sukces zapewniają tylko autentyczność i otwartość; tylko one pozwalają rozkwitać.

Thrive: tego słowa chłopaczek użył – „rozkwitać”. Ci, którzy skąpią informacji o sobie, znikną z powierzchni ziemi – *will perish* – jeden po drugim; proces jest powolny, lecz nieodwracalny. Ze szczególnym entuzjazmem chłopak mówił o zbliżającej się premierze urządzenia iAm, które zniesie wiele istniejących jeszcze sztucznych ograniczeń i wywinduje informację naukową na zupełnie nowy poziom.

Joe zauważył, że młodzi badacze natychmiast przystąpili do budowania

własnej marki z wielkim entuzjazmem. Tylko czy naukowcy będą mieli z tego jakieś długofalowe korzyści? Kto z nich potrafi opowiadać o połączeniach nerwowych okolicy MT makaka „autentycznie, bezpośrednio, z poczuciem humoru i osobiście”, zbudować za ich pomocą „własny wizerunek”? Na przykład ta dwudziestoletnia doktorantka, o której dyrektor działu *public relations* opowiadał z takim podziwem: ma już trzydzieści tysięcy fanów „na Twitterze nowego pokolenia, tylko lepszym”; dziewczyna była dobrym badaczem, tylko że tego nie było na jej profilu widać. Owszem, zajmowała się czymś, co ma jakiś tam związek z synapsami, ale najważniejsze było to, że ma piękny uśmiech i talię osy, a do tego codziennie nowe, markowe rzeczy i naprawdę niezłe poczucie humoru. Nie martwiło jej, że kiedyś potencjalny pracodawca może mieć uzasadnione wątpliwości, czy dobieranie oprawek w stylu retro – bez wątpienia bardzo eleganckich – do kolejnego *selfie* nie interesuje jej bardziej od poprawiania czasów ISI między bodźcami albo powtarzania od początku nieudanego eksperymentu.

Joe pomyślał, że pewnie tylko tak mu się zdaje, bo jest już na to za stary, i cała ta emocjonalna, spontanicznie personalna, autentyczna komunikacja wielokanałowa irytuje go dlatego, że jako człowiek ceniący sobie intelekt jest jednak zwolennikiem kontrolowanej, rzeczowej i nieautentycznej komunikacji jednokanałowej. W istocie Joe nie był zwolennikiem tego czy innego kanału – chciał po prostu jak najszybciej wrócić do laboratorium, co oczywiście już samo w sobie było staromodne, antybrandowe i nieautentyczne. Czyżby życie pod ciągłą obserwacją stało się dla młodszego pokolenia czymś naturalnym? A może było dla nich już bardziej realne od długich dni w laboratorium, gdzie człowiek zawsze jest sam, z dala od spojrzeń innych, bo nawet gdyby ktoś mógł tam zajrzeć, nie byłby w stanie długo na to patrzeć.

I dopiero teraz, siedząc w nocy przed komputerem, Joe uświadomił sobie ze zgrozą, że w nowych mediach społecznościowych on i jemu podobni naukowcy bezustannie przypominają światu o sobie i swojej pracy – opowiadają o niej także tym, którzy wcale nie życzą im dobrze.

Tym, którzy ich śledzą z bardzo złym zamiarem.

Oni widzą każdy mój ruch, uzmysłowił sobie, i z pewnością czytali już także te dwa żalotne wpisy, które na żądanie piarowców zamieściłem na swoim profilu. W pierwszym wspomniał o Freedom Media i ich nieczystych zagrywkach, które bardziej przypominały działania mafii niż wydawnictwa naukowego.

Na tym nowym portalu społecznościowym Joe był także „znajomym”

swojej córki Rebekki. Zawsze miał ochotę ująć tę wirtualną relację w cudzysłów, podobnie jak nowy, ukuty na jej potrzeby czasownik *to friend*, „zaprzyjaźnić się”. Jego prośba o dodanie do grona „przyjaciół” Danielli już od miesiący czekała na zaakceptowanie, bo młodsza córka miała czas wyłącznie na odwiedzanie czterech, pięciu najważniejszych portali społecznościowych, czyli tych, na których w danym momencie pojawił się na chwilę jeden z jej idoli.

Joe z zażenowaniem przypomniał sobie, jakich głupstw narobił, kiedy przestał się opierać wirtualnej rzeczywistości.

Wstydlive potknięcie. Zaraz po założeniu profilu na nowym portalu, kiedy trzeba było pojedynczo wynajdywać kolegów i sąsiadów, dalszych znajomych i przyjaciół Miriam: „Joe Chayefski chce zostać Twoim znajomym”. Serwis sam mu ich zresztą podsuwał, a niektórzy zgłaszali się sami: „Czy znasz Barbara Fleischmann? Barbara Fleischmann chce zostać Twoim znajomym”. Zdarzały się sugestie zaskakujące. Portal zaproponował mu znajomość z jakimś internistą z Kanady, którego w ogóle nie znał. I chyba nie miał z nim nic wspólnego poza jednym jedynym wysłanym dawno temu mailem, kiedy Joe potrzebował opinii fachowca w kwestii uporczywego kataru Rebekki. Czyżby serwis miał dostęp do jego skrzynki pocztowej? Czy mógł nieopatrznie wyrazić zgodę na coś takiego, gdy jednym kliknięciem potwierdził, że niby przeczytał i zrozumiał „warunki świadczenia usług i ich następstwa prawne”? Może gdzieś w 426-stronicowym elaboracie było jedno zdanie o tym? Niedawno ktoś spytał go w pracy o płaszcz i nagle się dowiedział, że ostatnimi czasy Joe rekomenduje ten właśnie model płaszcza wszystkim swoim znajomym na portalu, na co z pewnością świadomie nie wyraził zgody. Kolega przypuszczał, że ktoś mógł bez wiedzy Joego załadować zdjęcie, na którym roboty internetowe rozpoznały twarz Joego i markę używanej przez niego odzieży. Podobno trzeba ręcznie zaznaczyć, że nie chce się ujawniać takich informacji dla celów marketingowych. Tylko że warunki korzystania z serwisu zmieniały się co tydzień.

Żenujący błąd w ocenie sytuacji wynikał pewnie z oszołomienia: w ciągu kilku zaledwie dni wysłał i zaakceptował kilkadziesiąt zaproszeń do grona znajomych. Próg wirtualnej „przyjaźni” bezustannie się obniżał. Z początku Joe założył, że przyjmie do grona znajomych jedynie najbliższych współpracowników – miał przecież korzystać z serwisu w pracy i nie chciał zdradzać konkurencji, czym się właśnie zajmuje ze swoim zespołem w laboratorium. Przeczytają o tym w już opublikowanym artykule, tak jak wszyscy inni. Ale już następnego dnia dostał zaproszenie od pewnej

sympatycznej kobiety, którą poznał kiedyś w sytuacji okołozawodowej, i choć nie spełniała pierwotnych kryteriów, oczywiście zaproszenie zaakceptował, bo odmowa wydała mu się niczym nieusprawiedliwionym grubiaństwem. Prościej było dostosować ramy i funkcje portalu do sytuacji – wobec tego może nie będę publikował nic osobistego, tak jak początkowo planowałem? – niż dać do zrozumienia osobom, które przecież dobrze znał, że nie chce mieć z nimi do czynienia. Na każde jedno zaproszenie od sympatycznego znajomego czy znajomej z szeroko pojętej branży przychodziło jedno od człowieka spoza świata nauki i Joe czułby się jak cham, gdyby nie przyjął do grona wirtualnych znajomych matki najlepszej przyjaciółki Rebekki, całkiem miłej zresztą kobiety. Z czasem zaczął otrzymywać i akceptować zaproszenia nie tylko od lubianych znajomych, ale także tych mniej sympatycznych, ale skoro już raz wszedł na tę ścieżkę, nie mógł przecież powiedzieć żadnej z tych osób – tej jednej konkretnej, całkiem dobrze mu znanej i regularnie spotykanej – że z największą przyjemnością zaprzyjaźnił się na portalu ze *wszystkimi pozostałymi* rodzicami dzieci z klasy Rebekki, ale nie z *tobą, ty głupia krowo*; zdecydowanie łatwiej było zaakceptować każde przychodzące zaproszenie. Po tym wszystkim wydało mu się oczywistością, że musi się uaktywnić, by nie zostać samemu w wirtualnym gronie tych wszystkich niewiele lub wręcz nic dla niego nieznaczących osób, że dla przeciwwagi musi poszerzyć swój krąg wirtualnych przyjaciół także o ludzi, których znał naprawdę dobrze – albo jeszcze nie znał, lecz bardzo chciał poznać. Wtedy bezwiednie zaczął obniżać poprzeczkę w zaproszeniach, które sam wysyłał do innych – być może dlatego, że nagle nie potrafił już wymienić naprawdę najbliższych sobie osób, z którymi jeszcze się nie zaprzyjaźnił. A skoro już się do tego wziął, to w logicznej konsekwencji – którą dział *public relations* jego uczelni przyjąłby pewnie z zadowoleniem – należałoby się zaprzyjaźnić również z tym fińskim historykiem, z którym zgadał się kiedyś na jakiejś konferencji, tylko że za nic nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska i ustalenie go zamieniło się w wielką operację. Pewnego wieczoru uzmysłowił sobie, że przez pół dnia w osobliwym, psychodelicznym stuporze wygarniał znajomych z wirtualnej przestrzeni jak żetony z planszy.

I to się stało właśnie w tym dziwnym stanie. Pod wpływem chwili wstukał do wyszukiwarki: Samuel Chayefski. Znalazł się jeden z Seattle, lat trzydzieści pięć. Na widok zdjęcia tego niewłaściwego Samuela Joe poczuł, że czerwieni się ze wstydu – zanim jeszcze uprzytomnił sobie, jak się nazywa jego syn.

Pod nazwiskiem Aliny znalazł się od razu.

Klik.

Wyślij zaproszenie do grona znajomych.

Klik.

Twoje zaproszenie zostało wysłane.

Czy to będzie początek nowej przyjaźni? – przypomniał sobie, że właśnie to pytanie przyszło mu wtedy do głowy. Czy nawet tylko „przyjaźni”?

Nigdy nie otrzymał od syna żadnej odpowiedzi. Zinterpretował to jako oczywisty sygnał.

Z zadumy wytrącił go znajomy odgłos, nieomylny znak, że w Baltimore zaczęła się noc: obok ich domu przejechał wóz policyjny na sygnale.

Otrząsnął się z myśli o Samuelu. Każdy może popełnić błąd. Przecież syn mógł mu sam powiedzieć, że nie życzy sobie żadnych z nim kontaktów. Ale było też możliwe, że chłopak po prostu nie korzystał z tego portalu i nawet nie zauważył jego zaproszenia.

Joe wstukał login i hasło na stronie domowej portalu i komputer przeniósł go w wirtualny świat jego znajomej – córki Rebekki. I ledwo jej konto rozpostarło się na całym ekranie, wszystkie myśli Joego nagle zniknęły, a serce mu zamarło.

„jest mega! nigdy nie poszlo mi tak zajebiscie na testach! pewnie moj nowy przyjaciel A... :) jak jest chemia z ekipa, to cala reszta idzie jak po masle... no nie, spoko... troche sie uczylam, nie powiem... super zabawy w weekend, kochani!!! widzimy sie!! duuza buzka :)”

I wczoraj:

„hcialam tylko wejsc na chwile przed lekcja zeby sie pochwalic taka torebeczka!!! cena oczywiscie juz nie taka mega IMHO ale... AUTENTYK TRENTINO!!! NO PO PROSTU ODLOT!! ^^”

I przedwczoraj:

„nie wierze ze to sie dzieje naprawde!! juz wiecie ze ja i A...?? moze sobie wlewam ale na przerwie mialam wrazenie ze sypie dobrymi tekstami jak z rekawa, jak nigdy... a niby A bezposrednio na to nie wplywa... :-)
whatev ale rezultat jest mega mowie Wam! moze jednak bylo nam pisane zostac BFF, i kto by pomyslal!! buzka, Kochani!!!”

Teraz Joe zobaczył na profilu Rebekki całą masę rzeczy, na które powinien był zwrócić uwagę wcześniej. Która piętnastolatka może mieć ponad cztery tysiące znajomych? Kim są ci ludzie wyglądający zupełnie jak dorośli, kobiety i mężczyźni? I te firmy?

Wszystkie statusy córki kręciły się wokół tych samych tematów: jedzenie i kalorie, ciuchy, producenci szamponów, designerskie buty, markowe dżinsy, wygląd hollywoodzkich gwiazd.

Joe mimowolnie wrócił myślami do zejdego – co jego dziadek powiedziałby na to wszystko, gdyby zobaczył, jak wygląda dzisiaj ich życie. Słowa: „Jestem, który jestem” nie mówiły dzieciom Joego już nic, teraz „jestem” to nazwa najnowszego gadżetu.

W regularnych odstępach na profilu Rebekki pojawiały się również nawiązania do „małego przyjaciela” albo „A.”; jego córka pisała też o pozytywnych zmianach w gronie rówieśników, o chłopakach, którzy teraz zaczynają patrzeć na nią inaczej niż wcześniej, o spojrzeniach koleżanek, bardziej aprobujących niż do tej pory, o lepszych wynikach w szkole i o tym, że szybciej dostrzega, kiedy ktoś potrzebuje pomocy.

Dopiero gdy Joe wpadł na pomysł, żeby wyszukać wśród znajomych Rebekki producenta leku Altius, rozsypane puzzle zaczęły wreszcie do siebie pasować.

Bał się, że nie wytrzyma do rana. Żonę jednak obudził natychmiast i razem długo jeszcze oglądali życie ich córki w sieci. Zdaniem Miriam nie było sensu budzić Rebekki w środku nocy.

Punktualnie o szóstej posadzili Rebeccę do śniadania i usiedli po jej obu stronach. Daniella wyczuła, że zapowiada się na ekstra awanturę i ewentualne represje, więc wzięła talerz z płatkami i zwinnie jak wiewiórka wślizgnęła się na swoje krzesło.

Rebecca była przestraszona i odpowiadała na pytania zaskakująco potulnie, po części może dlatego, że nie była pewna, co rodzice już wiedzą.

Sympatyczna para eleganckich przedstawicieli firmy, która odwiedziła ich szkołę, zaprosiła Rebeccę na obiad. Mężczyzna i kobieta powiedzieli jej, że ponieważ jest bardzo zdolną młodą kobietą, ma świetne wyniki w szkole i jest lubiana w gronie rówieśników, mogłaby zostać osobą wspierającą ich kampanię Children Are The Future. Czy Rebecca wie, że przeciętny nastolatek w ciągu dnia podejmuje interakcję werbalną tylko z 14,4 osoby, podczas gdy ona aż z 38,7?

Joe wyszukał później więcej informacji w sieci: kampania Children Are

The Future miała „zapewnić wszystkim uczniom równe szanse w szkole i pracy, bez względu na reprezentowany poziom możliwości społeczno-ekonomiczno-kognitywnych”. Dzieci to nasza przyszłość! Wesprzyj kampanię Children Are The Future!

Dzięki staraniom firmy pod szyldem kampanii Children Are The Future uruchomiono w szkole punkt, w którym sympatyczna młoda kobieta służyła uczniom specjalistyczną wiedzą i dawała im rady związane z nauką, zdrowiem, aktywnością fizyczną oraz grupą rówieśniczą, czyli tym wszystkim, co składa się na zbilansowane życie nastolatków i prenasolatków. Każdy, kto odwiedził punkt, dostawał darmowy plecak Children Are The Future! (Pojemność: 55 litrów, kolory: granat i magenta).

I co najlepsze – jak wyjaśniła Joemu przez telefon szkolna pielęgniarka – wszystko to nie kosztowało dyrekcji i rodziców ani jednego centa! Firma pokrywa wszelkie koszty utrzymania punktu. W tym układzie nie ma przegranych!

Czy podobają ci się podarki? – spytali Rebecę przedstawiciele firmy.

Świetnie. Oni też uważają, że te szampony i lakiery to najlepsze marki na rynku, choć na pewno nie najtańsze. Jeżeli Rebecca zdecyduje się na współpracę z nimi, rosną szanse na kolejne, jeszcze lepsze prezenty.

Przedstawiciele firmy słyszeli od nauczycieli, że Rebecca jest ponadprzeciętnie inteligentna. W istocie jej ubiegłoroczne wyniki były o 95 procent lepsze od wyników jej rówieśników z tego samego okręgu szkolnego i o 99,4 procent lepsze od średniej krajowej. Mężczyzna i kobieta chcą być przyjaciółmi wszystkich młodych ludzi, ale najchętniej młodych ludzi pokroju Rebekki, którzy mają duży wpływ na swoich rówieśników. Wpływ grupy rówieśniczej na wybory dokonywane przez młodzież w zakresie konsumpcji i stylu życia może wynosić nawet 95 procent.

Oni jednak doskonale rozumieją, że Rebecca nie chce brać leków, których nie przepisał jej lekarz. Rozumieją to, mimo że ich zdaniem w wypadku cząsteczki preparatu ALTIUS!® w zasadzie nie powinno się używać tego określenia. ALTIUS!® nie jest lekiem, lecz specjalnym dendrytowym optymalizatorem VMPFC.

Rebecca na pewno wie z lekcji biologii, że obszary VMPFC należą do najważniejszych struktur mózgu odpowiedzialnych za interakcje społeczne. Nie wie? To czego oni uczą dzisiaj w tych szkołach? (Złośliwy, pogardliwy uśmieszek).

Ta nowa cząsteczka jest wyjątkowa dlatego, że gdy wiele leków wymyślono przypadkiem, molekuła preparatu ALTIUS!® została opracowana

na podstawie najnowszej wiedzy o funkcjonowaniu mózgu. W ciągu ostatniego dziesięciolecia neurobiologia odkryła przed człowiekiem zupełnie nowy świat. Rebecca jest inteligentną, ciekawą świata młodą kobietą i z pewnością o tym słyszała. Już w zamyśle naukowców ta nowa cząsteczka miała być megaprecyzyjnym regulatorem ściśle określonych receptorów ściśle określonych komórek nerwowych w ściśle określonym obszarze mózgu: dokładnie tych, które – co wiadomo od niedawna – niedomagają, kiedy nasze interakcje z innymi ludźmi zaczynają kuleć. Skrót VMPFC pochodzi od terminu oznaczającego brzusznośrodkową korę przedczołową mózgu.

Ponieważ nowa cząsteczka potrafi optymalizować funkcjonowanie dendrytów w ściśle określonych jądrach komórkowych właśnie w brzusznośrodkowej korze przedczołowej, już na samym początku podkreślano, że będzie miała zastosowanie w terapii wielu zaburzeń związanych z funkcjonowaniem społecznym – tak? A więc i Rebecca o nich słyszała, świetnie! Może nawet w jej klasie są uczniowie, którzy mają problemy w relacjach z rówieśnikami? Na które do tej pory nie było żadnej rady? Tak, w zasadzie chodzi o tę samą cząsteczkę – czy raczej rodzinę cząsteczek, bo przecież na rynku jest ich więcej i występują pod różnymi nazwami handlowymi.

Z początku rzeczywiście uważano, że ALTIUS!® będzie środkiem zaradczym na te poważniejsze zaburzenia. Prawdziwy przełom nastąpił jednak, kiedy stwierdzono, że w istocie najlepiej reagują na niego osoby zdrowe: inteligentne, cechujące się doskonałymi umiejętnościami społecznymi, wyjątkowo dobrze wypadające w relacjach koleżeńskich, czyli właśnie takie jak Rebecca.

Naukowcy długo zgłębiali funkcjonowanie mózgu.

Przecież jeszcze na początku dwudziestego pierwszego wieku mówiło się, że to soft- i hardware w jednym, ale mózg to nie komputer.

Soft mózgu to hardware, a całość jest ukierunkowana społecznie: mózg to taki społeczny hardware.

Który ma wbudowaną – jeśli już trzymać się tego przestarzałego i kiepskiego porównania do komputera – kartę wi-fi.

Mózg to czuły i niewyobrażalnie skomplikowany układ biomasowy wyspecjalizowany w nawiązywaniu łączności z innymi mózgami.

Naukowcy długo nie mogli tego pojąć i z tego powodu mnóstwo osób borykających się z ustawicznymi problemami w relacjach koleżeńskich nie mogło nigdzie znaleźć pomocy.

Dlatego optymalizatory ALTIUS!® potrafią to, czego nie potrafią inne

podobne cząsteczki.

Sprawa jest tak skomplikowana, że zwyczajni producenci leków pozostają jeszcze bardzo daleko w tyle.

ALTIUS!® to nie lek, lecz megaczuły regulator.

Naukowcy ciągle dyskutują nad dokładnym opisem mechanizmu neurobiologicznego, który odpowiada za optymalizację procesów zachodzących w błonie komórkowej neuronów pre- i postsynaptycznych, jest już jednak pewne, że regulatory VMPFC nie wyrządzają absolutnie żadnych szkód w mózgu zdrowego młodego człowieka, lecz optymalizują naturalną komunikację w dendrytach obszaru brzusnośrodkowej kory przedczołowej. To ważne sieci neuronowe, ponieważ przyjmują połączenia z obszarów grzbietowo-bocznych i podkorowych, a szczególnie z ciała migdałowatego, wzgórza i hipokampu.

Nie, Rebecca ma całkowitą słuszność, cząsteczka rzeczywiście nie została oficjalnie zatwierdzona do użytku u zdrowych nastolatków. Jeszcze nie. To prawda. Przedstawiciele firmy życziliby sobie częściej rozmawiać z tak wykształconymi i odczytanymi młodymi ludźmi jak ona!

Ale czy Rebecca wie, że większość zarejestrowanych leków recepturowych nie została przypisana do wszystkich jednostek chorobowych, w jakich się je stosuje? Czy wie, że mądry lekarz często zapisuje swoim pacjentom leki na trochę inne dolegliwości niż te, na które pierwotnie wydano licencję marketingową? A to dlatego, że światli lekarze śledzą rozwój branży i dzięki temu pomagają pacjentom skuteczniej niż biurokraci. Czasem pomagają nawet osobom, które nie mają żadnych problemów zdrowotnych. Zdolnym młodym osobom. Takim jak Rebecca.

Czy warto rezygnować z dobrego produktu tylko dlatego, że ktoś nie zdążył załatwić całej papierologii? I może jej nie załatwi jeszcze przez wiele lat?

Twoje życie jest teraz.

Przecież naukowcy dopiero odkryli – może już o tym słyszałaś? – że nawet u osób zupełnie zdrowych błony komórkowe w synapsach brzusnośrodkowej kory przedczołowej czasem funkcjonują nieprawidłowo. Mózg to niewiarygodnie, niesamowicie wręcz sprawny instrument, ale czasem nawet tak cudowne dzieła natury można nieznacznie dostroić. Zwłaszcza w wymagających okresach rozwoju, gdy trzeba skończyć szkołę, dostać się na wymarzone studia, pomyśleć o przyszłym zawodzie i zacząć się powoli rozglądać za stałym partnerem – kobieta ciągle pamiętała, jak bardzo była *overwhelmed* właśnie w wieku Rebekki.

A wtedy nikt jeszcze nie słyszał o optymalizacji.

Nowa cząsteczka została stworzona *specjalnie* z myślą o synapsach w mózgu takich osób jak Rebecca, które szczególnie teraz, w tym bardzo trudnym okresie dojrzewania, nie zawsze funkcjonują na pełnych obrotach w najbardziej stresujących sytuacjach. Właśnie dlatego tę rodzinę cząsteczek nazywa się *specjalnymi optymalizatorami dendrytowymi VMPFC*.

Dlatego mężczyzna i kobieta powiedzieli Rebecce, że mogłaby wreszcie stać się w pełni tą osobą, jaką zaplanowała dla niej natura.

Tak, oczywiście – znów, Rebecco, postawiłaś rewelacyjne pytanie.

Pogorszenie jakości interakcji społecznych na tle nerwicowym – specjalne optymalizatory dendrytowe VMPFC zostały pierwotnie zaprojektowane właśnie do ich leczenia – to rzeczywiście bardzo powszechny problem. Tak powszechny, że odsetek poprawnych diagnoz ciągle jest zdecydowanie za niski. Mimo dodatkowych szkoleń dla lekarzy. W rzeczywistości pogarszanie się interakcji społecznych występuje u nastolatków tak powszechnie, że nawet prymus pokroju Rebekki może chwilami doświadczać negatywnych skutków tego zjawiska.

Czy Rebecca wie, że według szacunków naukowców nawet 78 procent jej uczących się rówieśników cierpi na tymczasowe zaburzenia reakcji społecznej na tle stresowym i sytuacyjnym? Może się zdarzyć, że nie zawsze zareagujemy tak szybko czy tak trafnie, jak by się tego spodziewali nasi koledzy i koleżanki, albo nie zawsze właściwie odczytamy ich najgłębsze emocje. Najczęściej to zupełnie normalne, czasem jednak problemy te mogą wynikać z niewystarczającej przepuszczalności błony komórkowej neuronów brzusznośrodkowego obszaru kory przedczołowej.

Rebecco, czy zdarzyło ci się kiedyś, że spotkanie z przyjaciółmi nie wypadło idealnie? Czy czułaś kiedyś, że może nie zostałaś właściwie zrozumiana? Że ktoś nie zrozumiał twojego żartu, że nie było między wami idealnej chemii? I czułaś się przez chwilę jak osoba z zewnątrz, jak gdyby twoi przyjaciele nie sięgali tam, gdzie się kryje TWOJE NAJGŁĘBSZE JA, nie rozumieli tego, w jaki sposób WŁAŚNIE TY doświadczasz życia?

Podobne zdarzenia mogą wskazywać właśnie na pogorszenie jakości interakcji społecznych na tle sytuacyjnym, co w najgorszym razie znacznie utrudnia relacje przyjacielskie i w konsekwencji uniemożliwia nawet sukces w nauce. Rebecca jest wyjątkowo inteligentną młodą kobietą i z pewnością zauważyła, że gdy nie układa się jej z przyjaciółmi, ma gorsze wyniki na testach.

Takie czarno-białe myślenie jest nawet trochę szkodliwe, bo przecież

w życiu chyba nie może być tak, że jedni po prostu *mają* takie zaburzenie, a inni już *nie*? Prawda?

Rebecca – jakie chcesz mieć życie? Takie sobie czy raczej super hiper?

Chcesz być dla swoich przyjaciół i znajomych jedynie mglistym cieniem swojego ja – czy tą radosną, tryskającą życiem Rebeccą, którą tak naprawdę jesteś?

Chodzi o twoje życie, Rebecca.

O to, co ty chcesz w nim osiągnąć.

O to, jaki poziom życia będzie dla ciebie zadowalający.

Nie chciałabyś się przekonać, Rebecca, czy za pomocą optymalizatorów ALTIUS!® twoja wyjątkowa osoba nie będzie promieniała w oczach twoich przyjaciół jeszcze doskonalej niż dotychczas?

Musisz zrozumieć, że ALTIUS!® nie ingeruje w naturalne funkcje komórek nerwowych. ALTIUS!® jedynie...

Kobieta poprosiła, by Rebecca spojrzała jej w oczy.

To ważne, co teraz powiem.

Funkcje regulujące osobowość zdrowego młodego człowieka nie zmieniają się w żaden sposób. Wypływa to z faktu, że regulatory VMPFC nie ingerują w naturalne funkcje komórek nerwowych. Wzmacniają jedynie naturalną, biologiczną zdolność mózgu do przetwarzania informacji i usprawniają jego działanie, żeby urzeczywistnił swój pełny, przewidziany przez matkę naturę potencjał.

ALTIUS!® *wyłącznie poprawia* naturalny stosunek sygnału do szumu w komórkach nerwowych.

Rebecca, czy w rywalizacji o chłopaków chcesz zostać przyćmiona przez inne dziewczęta, głupsze i nudniejsze niż ty? Problemy z obniżaniem się zdolności społecznego reagowania spowalniają komunikację społeczną zwłaszcza w kontaktach z płcią przeciwną. Nie chcesz nawet *spróbować*, jak sympatyczna i czarująca możesz być w oczach chłopaków?

Pewnie wiesz, że nawet 82 procent postrzeganej atrakcyjności seksualnej ma związek z wysokim poczuciem własnej wartości? Może sama spostrzegłaś, że kiedy czujesz się duszą towarzystwa, kobietą inteligentną i seksowną, właśnie tak postrzegają cię inni.

Nie chcesz się przekonać, że lepsze umiejętności interakcyjne – poprzez podniesienie poczucia własnej wartości i sukcesy w gronie rówieśników – wpływają także na wyniki osiągnięte w szkole?

Spróbować nigdy nie zaszkodzi.

Przecież wkrótce czeka cię test SAT. I choć najważniejsza jest jedenasta

klasa, warto ten test potraktować poważnie już teraz. Czy wiesz, Rebecca, że nawet chwilowe pogorszenie interakcji społecznych na tle nerwicowym może obniżyć elastyczność zdolności wnioskowania aż o 41 procent? Badania pokazują, że elastyczność wnioskowania stanowi najważniejszy czynnik wpływający na powodzenie w testach, takich właśnie jak SAT. Naukowcy uważają, że zdumiewająco często powodem pogorszenia interakcji są problemy doświadczane w relacjach przyjacielskich, które mogą skutkować dekoncentracją akurat w trakcie tak ważnego egzaminu. Zdaniem badaczy przydarza się to zwłaszcza młodym i inteligentnym osobom, takim jak Rebecca, które mając wysoki współczynnik inteligencji, powinny zdobywać na wszystkich testach maksymalną liczbę punktów.

Jesteś przecież inteligentną młodą kobietą, Rebecca, i oczywiście wiesz, że wyniki testu SAT zadecydują o tym, na jaki uniwersytet się dostaniesz. A to, na jaki uniwersytet się dostaniesz, będzie miało decydujący wpływ na twoje przyszłe zarobki, możliwości podjęcia dalszych studiów, krąg przyjaciół, klasę twojego towarzysza życia i twoje poglądy polityczne – krótko mówiąc, na całe twoje przyszłe życie.

Przedstawicielka firmy miała w życiu szczęście: udało się jej bez optymalizatorów dostać na dobry uniwersytet, zostać lekarzem i wyjść za przystojnego prawnika, niemniej – z perspektywy czasu, tak zupełnie szczerze – nie jest wcale pewna, czy zdecydowałaby się na takie ryzyko, żeby nie spróbować optymalizatorów, gdyby były wtedy dostępne.

Rebecca nie chce nawet spróbować?

Nie, oczywiście, że to rozumiemy.

Absolutnie.

Bez dwóch zdań, rozumieją, że Rebecca woli być ostrożna. Czasem najlepiej jest powoli i spokojnie rozpoznać sytuację.

Rozumieją, że Rebecca podjęła już decyzję, przynajmniej na ten moment. Oczywiście regulatory VMPFC dają pewną przewagę tym jej rywalkom, które ich używają – ostatecznie w szkole trzeba mówić o rywalizacji. I teraz przewagę zyska jedna z jej złotowłosych konkurentek, ta odważna, która może teraz także w oczach chłopaków stanie się w całej pełni tą kobietą, jaką zaplanowała dla niej natura.

Ale oczywiście najważniejsze jest to, żeby mieć odwagę i podejmować własne decyzje. Mężczyzna i kobieta cenią u Rebekki tę niezależność myślenia i gotowość do oceniania swoich wyborów także z etycznego punktu widzenia. Bardzo to szanują.

Coś takiego! Skąd ty bierzesz, Rebecca, te wszystkie trafne pytania?

Niewiarygodne! Daleko zajdziesz w życiu.

Nie. Żadne z badań, na które się powołujemy, nie zostało jeszcze opublikowane w recenzowanych czasopismach naukowych. Rebecca, swoim pytaniem trafiłaś w samo sedno. Ale jest ku temu dobry powód – otóż wydawane poza obiegiem recenzji naukowych czasopismo korporacyjne stanowi znacznie efektywniejszy kanał rozpowszechniania nowych odkryć, które ukazują się w nim o całe miesiące, a często nawet *lata* wcześniej niż w czasopismach recenzowanych.

Nowa cząsteczka rzeczywiście nie została jeszcze oficjalnie zatwierdzona do użytku u zdrowej młodzieży, to prawda. Niemniej część wyników tych nowych badań już opublikowano w cenionych czasopismach naukowych. O, tutaj jeden z najświeższych artykułów, gdybyś chciała go sobie przewertować. Haxby, Svavao, Lindstrom & Colbs (2013), „Journal of Neuroscience and Experimental Biology”, 23, 212–257.

„Journal of Neuroscience and Experimental Biology” to publikacja szanowanego wydawnictwa naukowego, które poddaje swoje artykuły naukowemu procesowi recenzowania. Prenumerują je wszystkie najlepsze uniwersytety na świecie: Stanford, Columbia, MIT, Princeton, CalTech, Yale – bez wyjątku. Stoją na półkach w każdej bibliotece uniwersyteckiej obok „Nature” czy „Science”.

Ale oczywiście, Rebecca, postąpisz rozsądnie, jeśli nie sięgniesz po żaden z licznych produkowanych przez nasz koncern optymalizatorów VMPFC – z których na pewno udałoby się dobrać najbardziej dla ciebie odpowiedni, indywidualny profil oddziaływania – jeżeli tylko jesteś w pełni zadowolona ze swojej atrakcyjności seksualnej, pozycji w grupie rówieśniczej oraz sukcesów w szkole i jakości życia. Jak najbardziej.

Jeśli tak, Rebecca, to w ogóle nie potrzebujesz optymalizatorów! Fantastycznie! Pozwól sobie pogratulować – jesteś po prostu wielką szczęściarą!

Ale nie możemy ci pozwolić wyjść od nas z pustymi rękami, bez wspaniałych prezentów.

Na szczęście zamiast „pełnej znajomości” możesz wybrać także „znajomość nieformalną”; w tej opcji nie wymagamy publicznego zażywania tabletek ALTIUS!® w obecności rówieśników, tak jak w wypadku pełnej znajomości. Z drugiej strony – co chyba oczywiste – znajomość nieformalna nie wiąże się z takimi samymi bonusami, jakie otrzymują osoby, które zdecydowały się na pełną znajomość. Niestety. No, ale Rebecca, sama wybrałaś taką formę znajomości, jaka najbardziej ci odpowiada w twojej obecnej sytuacji

życiowej.

Publiczne zażywanie tabletek w obecności rówieśników? Dobrze, że o to pytasz, Rebecca. Chyba rzeczywiście zapomnieliśmy ci to do końca wytłumaczyć. Oznacza to po prostu, że produkt należy zażywać tak, abyśmy my, przedstawiciele firmy, mieli pewność, że widzi to przynajmniej jedna osoba. Tak zresztą jest najlepiej: zażywanie tabletki w sytuacjach sam na sam wzmacnia poczucie konfidencjonalności i przynależności do tej samej grupy rówieśniczej, a co za tym idzie wzmacnia późniejszą pozytywną reakcję rówieśników na produkt. To jednak nie dotyczy Rebekki, która nie zdecydowała się na wypróbowanie optymalizacji VMPFC.

Czy widziałaś kiedyś, Rebecca, taką trochę nietypową torebkę? Tak? Świetnie! Widzę, że doskonale się orientujesz w modowych trendach. Znasz nawet producenta i model, niesamowite! To czysta przyjemność rozmawiać z młodą osobą, która ma tak doskonale rozeznanie w tym, co się dzieje na świecie. Bardzo się cieszymy, że torebka ci się podoba. Całkowicie się z tobą zgadzamy, Trentino to najwyższa półka, a poza tym musimy przyznać, że świetnie podkreśla twoją doskonałą cerę.

Jeśli chciałybyś zostać naszą znajomą, Rebecca, po prostu wszędzie noś ze sobą tę przezroczystą torebkę.

A w środku tę fiolkę.

Nigdy nic nie wiadomo – a nuż ten starszy od ciebie chłopak, o którym opowiadałaś, ten *halfback* z drużyny futbolowej, zwróci uwagę właśnie na twoją Trentino? Oczywiście, chłopcy nie biegają za dziewczynami noszącymi markowe torebki, wiadomo, ale na pewno nie zaszkodzi wyróżnić się czymś z szarego tłumu. Choć i bez tego wyróżniasz się, Rebecca, bo jesteś wyjątkowo atrakcyjną młodą kobietą.

Po prostu seksowną.

Mojemu koledze nie wypada, oczywiście, tego powiedzieć. Ale ja jestem kobietą i mówię ci to zupełnie szczerze.

Czy możemy cię prosić, Rebecca, żebyś nosiła tę torebkę zawsze przy sobie, także w szkole? A zwłaszcza zabieraj ją na imprezy, to bardzo ważne. Wystarczy, że dasz nam słowo honoru, że będziesz mieć ją przy sobie na każdej imprezie. W zasadzie to byłoby dobrze, gdybyś się z nią nie rozstawała, na wypadek gdyby ktoś chciał ci zrobić zdjęcie. Oczywiście bez przesady, jakiś umiar trzeba zachować.

Chcielibyśmy również pomóc ci dobrać coś do tej pięknej torebki. Na początek podarujemy ci taki specjalny telefon. Jest tak nowy, że nie ma go jeszcze nawet na rynku. Cool, prawda? W sumie to nawet nie jest telefon,

tylko... No, sama się przekonasz, Rebecca, kiedy tylko go wypróbujesz.

Telefon – który wcale nie jest telefonem, ha, ha! – będzie świetnym dopełnieniem twojej fiolki, podobnie jak kosmetyki i szampony, które sobie wybrałaś i które wysłał ci pocztą do domu. A ponieważ zawarliśmy tę naszą nieformalną znajomość, będziemy mogli teraz przysyłać ci ich dużo więcej, kiedy tylko będziesz chciała! Wystarczy, że będziemy często widzieć cię z twoją torebką na zdjęciach w mediach społecznościowych.

Telefon nazywa się iAm.

Ale to nie jest telefon.

To *naprawdę* nie jest telefon.

Z początku Joe nie rozumiał, dlaczego firmie produkującej lakiery do włosów i dezodoranty tak bardzo zależy na tym, żeby Rebecca nosiła w torebce lek na autyzm i telefon wyglądający jak wibrator dla astronautki. Po paru kliknięciach dowiedział się, że producent kosmetyków należy do funduszu inwestycyjnego będącego właścicielem wielu popularnych marek odzieży młodzieżowej. Nadal jednak nie potrafił powiązać ze sobą pozostałych gadżetów wciśniętych Rebecce przez przedstawicieli firmy.

Włoski projektant mody, który niedawno sprzedał swoją markę znanej firmie odzieżowej i którego legendarną torebkę nosiła Rebecca, nie miał chyba nic wspólnego z przemysłem kosmetycznym ani producentem urządzenia iAm. Duża amerykańska firma, właściciel producenta leku reklamowanego jako Altius, połączyła się ostatnio z brytyjskim gigantem farmaceutycznym, ale Joe nie rozumiał, dlaczego te firmy miałyby się sprzymierzać, żeby uderzyć w jego córkę. Z tego, czego słuchała ostatnio Rebecca, łatwo było wywnioskować, że gigant, który wchłonął wiele brytyjskich firm muzycznych i z branży rozrywkowej, ma teraz dzięki nowym znajomym Rebekki szerokopasmowe łącze z kręgiem jej kolegów i koleżanek – ale co mogło łączyć rozrywkowego molocha z szamponami i psychotropami?

Kim byli owi przedstawiciele firmy, którzy zjawili się w szkole Rebekki?

Dużą część nocy Joe strawił na wyszukiwaniu informacji o leku i urządzeniu iAm. I dopiero przez kilka ślepych zaułków i marginalne forum rozpowszechniające najbardziej nieprawdopodobne teorie spiskowe trafił w końcu na stronę firmy Nudge. Spis jej klientów wzbudził w nim duże zainteresowanie. Znalazł się tam między innymi MInDesign – producent urządzenia iAm. Nudge rekomendował także znajomy włoski projektant designerskiej torebki: „Nudge całkowicie odmienił mój stosunek do pracy, do

jej owoców i do całego świata. Nie postrzegam już ludzi jako klientów, ponieważ wszyscy jesteśmy jedną wielką całością. Nie myślę już o rynkach – pojęcie to stało się dla mnie zupełnie puste. Każdemu, kto ma dobry pomysł na biznes, powtórzę radę Nudge: Spróbuj”.

Firma Nudge proponowała „całkowicie nowe podejście do produktów, konsumentów i otwartej współpracy”. Na jej stronie można było przeczytać, że żyjemy w dobie rewolucji i sukces wymaga rewolucyjnych środków. Nudge najwyraźniej chciała takie środki proponować swoim klientom, lecz na jej stronie Joe nie znalazł odpowiedzi na pytanie, czym tak naprawdę firma się zajmuje. Klient otrzymuje „analizę potencjału w oparciu o wyniki neurorynku, penetracyjny plan taktyczny, hiperpryzmatyczne spektrum metodologiczne, skrojoną do indywidualnych potrzeb dystrybucję paralelną i *placement* informacyjny”, nigdzie jednak nie wyjaśniano, co te terminy znaczą.

Na niewielkiej stronie ujawniającej najróżniejsze spiski Joe przeczytał, że za firmą Nudge stoi tajemnicza osoba, której nazwisko nie figuruje w rejestrach spółek ani w żadnych oficjalnych dokumentach firmowych. Dopiero gdy Joe połączył je z informacjami o głośnych procesach sądowych, zaczął mu się rysować obraz sytuacji. Założyciel Nudge, którego oficjalnie nic z nią nie łączyło, w swoim poprzednim wcieleniu szefa firmy marketingowej był wraz z kilkoma innymi kluczowymi osobami wielokrotnie pozywany do sądu za nielegalną działalność reklamową, stosowanie zakazanych ustawą o ochronie konsumentów pośrednich metod marketingowych i narażanie konsumentów na utratę zdrowia. Obecną firmę Nudge trudno było powiązać z tamtymi wyrokami, ponieważ zmieniła się zarówno nazwa, jak i kadra menadżerska. Jedynym ogniwem pozostawał szef tamtej firmy, owa tajemnicza postać mająca stać za działalnością Nudge – człowiek, który zmienił nazwisko i zupełnie usunął się w cień.

Tak przynajmniej pisano na portalu miłośników teorii spiskowych. Wiarygodność tych rewelacji budziła oczywiste wątpliwości – anonimowi autorzy postów twierdzili między innymi, że Nudge zarabia na manipulowaniu mózgami konsumentów.

Kiedy Joe czytał relacje z procesów sądowych poprzednika Nudge, na czoło wystąpił mu zimny pot. Firma zakładała w szkołach i przedszkolach punkty informacyjne mające propagować wiedzę o tym, jak dbać o zdrowie, dobre samopoczucie i codzienną aktywność fizyczną oraz prowadziła kluby dla najmłodszych. Na forum poświęconym teoriom spiskowym Joe przeczytał też, że w Filadelfii nielegalni marketerzy nakłonili dzieci z założonego przez

siebie klubu sportowego do codziennego spożywania napoju energetycznego, od którego dzieci się uzależniły. Placówkę zlikwidowano, ale wiele dzieci musiało szukać pomocy w klinice leczenia uzależnień. Napój, którego głównym składnikiem był lek na chorobę Alzheimera, został później wycofany ze sprzedaży, ale na forach dla nastolatków nadal krążyły receptury przyrządzania go z podkradanych babciom tabletek na alzheimera, leków na ADHD, kofeiny i pięciu innych podejrzanych składników. W teatrach, kinach i klubach muzycznych w Dakocie Północnej firma zdołała reanimować dogorywający rynek nikotynowy, podnosząc odsetek palaczy aż trzydziestokrotnie. Rozprowadzana przez firmę w sieci domów starców broszura zatytułowana *Ruch fizyczny a mózg seniora* doprowadziła do tego, że wszyscy podopieczni zaczęli zażywać leki uspokajające, których odstawienie powodowało skurcze mięśni i zawały mózgu.

Firmę wielokrotnie pozywano do sądu. Sumy zasądzonych odszkodowań mogłyby wydawać się wysokie – gdyby nie zestawiono ich z zyskami producentów leków i prowizjami firmy, które wzrosły wykładniczo.

Tropiciele spisków twierdzili, że firma Nudge robiła dokładnie to samo, co jej inkryminowana i skazana prawomocnymi wyrokami poprzedniczka; zmieniły się tylko metody. Na ich stronie Joe przeczytał, że przyszłe odszkodowania Nudge miała już wkalkulowane w budżet. Strategia przynosiła krocie.

Joe nie potrafił orzec, czy to prawda, ponieważ wszystko to przeczytał na stronie fanatyków teorii spiskowych. W artykule opublikowanym przez największą firmę wydawniczą koncernu Freedom Media pisano z kolei, że Nudge „zbliżyła nas o krok do szczęśliwszego świata”.

Joe się dziwił, dlaczego wpisy Rebekki na jej profilu komentuje tyle dziewcząt, o których nawet nie słyszał, i dlaczego piszą, że w nowych dzinsach ich pupa wreszcie wygląda tak, że „można by spróbować tego życia”, albo dzień w dzień upajają się nowym zmysłowym blaskiem wymienionej z nazwy farby do włosów, dzięki której zrozumiały, że „życie chyba rzeczywiście jest właśnie teraz”. Jedna ze znajomych zastanawiała się, „czy zegarek, który **Mierzy światowy czas luksusu, to Właściwy prezent. Dla niego**”.

Bez względu na to, ile prawdy zawierały twierdzenia formułowane na stronie poświęconej teoriom spiskowym, jedno wydawało się pewne: Rebecca wynajęła swoje życie, to wirtualne i to rzeczywiste – jeżeli o tym drugim można było jeszcze mówić – w charakterze przestrzeni reklamowej.

– Nic nie czaicie! – wybuchnęła Rebecca przy stole i omal się nie rozpląkała. Joe i Miriam wpatrywali się w nią z otwartymi ustami. – To ja mam z tego korzyść, a nie oni! Inaczej bym się nie zgodziła! Poza tym nie możecie mi zabronić! To są moi znajomi! Nie możecie mi zakazać mieć znajomych!

Oczywiście, że możemy, bo to znajomi z działu marketingu wielkiego koncernu, pomyślał Joe, ale ugryzł się w język. Na pewno nie pozwoli córce zrobić ze swojego życia baneru reklamowego jakiejś korporacji i na pewno nie zgodzi się na to, żeby nowy cudowny gadżet zamienił mózg jego córki w sterowane pilotem narzędzie. Nie wiedział jeszcze, co ten wibrator potrafi, ale na pewno nikt nie będzie tego robił jego córce.

Siląc się na spokój, spytał, jaką korzyść miała na myśli. To, że dostaje torebki, kosmetyki, szampony i džinsy? Córka jednak twierdziła, że tu nie chodzi o same produkty, lecz o to, że pierwsza będzie wiedziała o wejściu na rynek nowej marki, nowego ciucha czy nowego zespołu.

– Na niektóre towary będę miała zniżkę. Ale nawet jeśli mi nie dadzą i tak będę miała te rzeczy szybciej niż inni.

– Do tego nie potrzebujesz żadnych sponsorów – odrzekła Miriam. – Możemy ci kupić wszystko, czego ci trzeba, bez niczyjej pomocy.

Oczy Rebekki zrobiły się okrągłe jak spodki: *yeah right*. Na pewno.

– Ej, patrzcie, kot! – odezwała się nagle Daniella, wskazując palcem na okno. Przysłuchiwała się całej rozmowie bez słowa, przenosząc zaciekawione spojrzenie na tego, kto akurat mówił. Joe zerknął szybko na młodszą córkę, która przesiadła się na sofę pod oknem.

– Ale dlaczego chcesz, żeby kto inny, jakiś *szef działu marketingu*, wybierał ci rzeczy i decydował o twoim guście muzycznym? – spytał po chwili.

– Nikt mi niczego nie wybiera.

Rebecca wyglądała na głęboko urażoną i Joe tylko czekał, kiedy dolna warga opadnie jej na ziemię.

– Jak mi się nie podobają, to im je zwracam.

– Tym przedstawicielom firmy, mężczyźni i kobiecie?

– Ale mogę je wypróbować. Wszyscy już wiedzą, że mam zawsze pierwsza wszystkie nowości, zanim inni o nich w ogóle usłyszą. Szczególnie jak coś zaczyna być trendy, jak te torebki. Ja pierwsza zaczęłam taką nosić. I wszyscy to pamiętają. Bez nich nie będę miała takich możliwości. Już teraz ledwo ogarniam kuwetę! Nie macie pojęcia, jakie trudne i *stresujące* jest dzisiaj życie!

– No, jeżeli tak bardzo cię to życie stresuje, to nie byłoby łatwiej po prostu zupełnie się wycofać z tej wojny na gadżety?

Rebecca wlepiła spojrzenie w ojca. Jej wzrok mówił otwarcie: jesteś jeszcze głupszy, niż sądziłam.

– A co na to twoje koleżanki, twoi koledzy? – spytała Miriam. – Czy oni wiedzą, że te tysiące zdjęć na twoim profilu na Facebooku to zwykłe lokowanie produktu?

– Mamo, nikt *normalny* nie używa już *fejsa*, proszę cię! Wracaj do roku dwa tysiące jedenaście, w którym ciągle chyba jeszcze żyjesz.

– *Czy oni wiedzą?*

– Ale nie musisz zaraz krzyknąć! Oczywiście, że nie wiedzą.

– I nie boisz się tego, co się stanie, kiedy się w końcu dowiedzą? Że wszystko, co robisz, to jedna wielka reklama? Że nie masz za grosz własnej woli, że nie masz własnej osobowości?

– Jak to: nie mam?

Po raz pierwszy Joe miał wrażenie, że w linii obrony córki pojawiła się drobna rysa. Po chwili Becca powiedziała:

– Nie widzę większej różnicy. Czy te rzeczy kupujecie mi wy, czy oni. No okej, może wtedy, gdy przysyłają mi taką trochę syfiastą sukienkę, której nigdy bym sama nie wybrała, ale dostaję eskę w stylu, że to teraz *superekstraważne* i mam ją jak najwięcej nosić przez najbliższe dwa tygodnie. *Would you please, honey?!!* No to wtedy trochę się zastanawiam. Że dlaczego sami jej nie noszą, jak im się tak podoba. No ale przysługa za przysługę.

Miriam i Joe spojrzeli po sobie.

– A ten lek? – spytała Miriam. – Nic cię tu nie martwi?

– Przecież nie muszę go brać. Obiecali mi. Wystarczy, że będę go nosić w torebce.

– No, ale wszyscy go tam widzą.

– No i?

– Wszyscy czytają, co wypisujesz na tych swoich profilach.

– No i?!

– Że go zażywasz. Że pomógł ci w kontaktach z rówieśnikami i w testach z matmy. Sama tak napisałaś.

– No i?!!

– Prędzej czy później to się wyda! Twoi znajomi przejrzą na oczy! Że robiłaś ich w bambuko!

Rebecca wbiła spojrzenie w ojca.

– *Nikt już tak nie mówi. Robić w bambuko.*

– Wykreśl i wstaw, co uważasz za stosowne.

Na czole nastolatki pojawiła się niewielka, lecz zauważalna zmarszczka.

Teraz Joe wszystkie swoje nadzieje pokładał właśnie w niej.

- Że niby jak to się może wydać?
- Chyba jest ktoś, kto cię *naprawdę* zna?
- Niby kto?
- No, masz chyba jakichś *prawdziwych* przyjaciół?

Rebecca zamyśliła się tak głęboko, że Joe poczuł ukłucie w sercu.

Długo głowił się nad tym, w jaki sposób firma marketingowa będzie pozyskiwać niezbędne informacje od jego córki. System zaczął się powoli wyłaniać z mroku podczas przesłuchania Rebekki.

Kiedy Becca zacznie używać swojego iAma, mężczyzna i kobieta, którzy ją zwerbowali – i są już teraz jej znajomymi – będą mogli sprawdzać na bieżąco we wszystkich mediach społecznościowych, jak często pojawia się tam ich torebka. Będą wręcz musieli to robić, żeby ustalić, czy warto dalej dawać Rebecce to, czego ona od nich oczekuje. W praktyce będą widzieli to samo, co ona – a nawet więcej – jeśli tylko Becca nie zmieni ustawień domyślnych.

Rebecca, chyba nie należysz do tych, którzy nie lubią pokazywać tego, co robią? Jak jacyś przestępcy albo zbieracze dziecięcej pornografii? W sumie twoja zgoda na publiczne udostępnianie wszystkich twoich zdjęć i ich automatyczne oznaczanie w starych portalach społecznościowych to jeden z warunków, od których będzie zależała nasza szczodrość.

W otwartym społeczeństwie reprezentowana przez nas firma może zdziałać dużo dobrego, nawet przeznaczyć pewną sumę pieniędzy na twoją szkołę albo na schronisko dla bezdomnych zwierząt.

Mężczyzna i kobieta dobrze wiedzieli, że Rebecca bardzo lubi zwierzęta.

Pytali o mnóstwo spraw, bo bardzo chcieli jej pomóc tak ułożyć sobie życie, jak ona tego chce. Martwiło ich, że wiedzą o niej tak mało – które strony odwiedza, w co się ubiera, czego słucha, z kim się przyjaźni, czy często komunikuje się ze swoimi znajomymi w sieci, w jakim celu – a przecież chcieliby bardzo *myśleć* tak samo jak ona.

Niedługo będą mogli.

Dzięki urządzeniu iAm.

Wiele by dali, by móc zaproponować Rebecce właśnie taką szkołę, do jakiej najbardziej chciałyby chodzić, właśnie takiego chłopaka, w jakim najchętniej by się zakochała, właśnie taką pracę, jaka najbardziej by ją interesowała, właśnie takie informacje, jakie czytałyby najchętniej – i już niedługo będą mogli to robić.

Dlatego to takie ważne, Rebecca, żeby twój iAm był cały czas włączony.

I jeszcze to, niezwykle ważna sprawa: musisz pamiętać, Rebecca, żeby nie

nosić w swojej Trentino żadnych innych kosmetyków poza tymi, które będziemy ci przysyłać.

Czy bierzesz jakieś leki? To *superważne* – jeżeli zaczniesz coś zażywać, musisz nam o tym od razu powiedzieć.

I możesz ułatwić sobie życie, jeśli polubisz nasz specjalny fanpage i przyjmiesz w prezencie taki nowy telefon. Który nie jest wcale telefonem! Bardzo ciekawe, czy ci się spodoba, *super-exciting!* Za pomocą tego nowego urządzenia będziesz mogła najszybciej i najłatwiej pokazywać nam, co teżnosisz w tej swojej luksusowej torebce od Trentino. Nie będziesz musiała jej robić żadnych specjalnych zdjęć, montować w swoim pokoju kamerki ani wykonywać żadnych innych absurdalnych posunięć; w sumie nie będziesz nawet musiała o tym myśleć – wszystko będzie się odbywać całkowicie automatycznie! Wystarczy, że zaakceptujesz warunki umowy i zaczniesz używać urządzenia.

To urządzenie to absolutny przełom w doświadczaniu świata.

My strasznie się cieszymy, że nadchodzi era iAma. Niewiarygodne, jak wiele można dzisiaj osiągnąć dzięki technologii, prawda?

W ogóle **dzięki nowemu urządzeniu wszystko stanie się łatwe: wystarczy jedynie zacząć go używać.**

Rebecca, musisz nam tylko jedno obiecać: że twoje nowe urządzenie będzie cały czas włączone, nawet wtedy, kiedy idziesz spać! Twoje sny też się będą zapisywać, hi, hi! A my już zadamy o całą resztę. Ty nie będziesz musiała się o nic martwić, bo nawet gdybyś czasem przez pomyłkę wsadziła do torebki coś niewłaściwego, powiedziała znajomym coś niestosownego albo wysłała im nieodpowiedni link – no, gdybyś zrobiła cokolwiek, czego żaden przyjaciel kampanii Children Are The Future, czyli żaden z naszych znajomych robić nie powinien – będziemy mogli natychmiast się z tobą skontaktować. Albo gdyby w twojej szafie czy kosmetyczce znalazło się coś, co nie służy najlepiej pojętym interesom tak lubianej młodej kobiety jak ty, nasza stylistka wyśle ci wiadomość i doradzi. Ona świetnie się orientuje w najbardziej gorących trendach wśród młodzieży, ale jej największy atut to wiedza o tym, *co dopiero nadchodzi*. A to przecież jest często najważniejsze.

Chyba nie masz nic przeciwko temu, Rebecca, że będziemy ci przysyłać co tydzień czek? Suma, niestety, nie będzie powalająca, ale na pewno ci wystarczy na uzupełnienie braków w kosmetyczce, a powinno jeszcze zostać coś na kino. W zamian wystarczy, że będziesz elastyczna i otwarta na propozycje naszej stylistki i doradców klienta, którzy są przy okazji naszymi dobrymi znajomymi. Oczywiście nie ma przymusu – chodzi tu przecież

o twoje życie, Rebecco, o twój styl! Tego by jeszcze brakowało, żeby moje przyjaciółki ci mówiły, jakim kolorem masz malować usta! No, ale jak ktoś nie chce słuchać żadnych rad, to może się zdarzyć i tak, że znajomość nie przyniesie obu stronom spodziewanej satysfakcji. Ale my, Rebecco, prosimy cię tylko o otwartość.

He, he! Masz doskonałe poczucie humoru, Rebecco! Nie, oczywiście, że nie! To nie jest żadna akcja szpiegowska. Ha, ha, ha! Chciałaś mnie zabić śmiechem? Prawie zakrztusiłam się lemoniadą! To specjalna usługa, indywidualnie dopasowana do potrzeb naszych znajomych i możliwa tylko na tym nowym urządzeniu. Usługa ma tylko jeden cel: ułatwić ci życie, Rebecco! Dzięki niej będziemy mogli proponować ci wszystko, co – jak sądzimy – mogłoby cię zainteresować. A będzie to tym łatwiejsze, im więcej będziemy o tobie wiedzieli. Programy szpiegujące nie pytają przecież użytkownika o pozwolenie i działają na jego szkodę. A my jesteśmy po twojej stronie.

Ale do tanga trzeba dwojga.

Chyba rozumiesz, Rebecco, że nie będziemy mogli przysyłać ci prezentów, jeśli spostrzeżemy, że nie wywiązujesz się ze swojej części umowy.

Nie, urządzenie nie będzie robić zdjęć, nie ma także wbudowanej kamery internetowej. No nie, w sumie to ma i coś takiego, wiadomo. Ale niezbędne nam dane będą przesyłane bezpośrednio... he, he... no, powiedzmy tak, że...

Może tak: w porównaniu ze zwyczajnym, prostym smartfonem – co ja gadam! w porównaniu z *czymkolwiek* – interfejs użytkownika jest trochę... okrojony.

Tak, trochę okrojony.

Wyrażenie bardzo rozbawiło przedstawicieli firmy.

Dlaczego? Na to pytanie, Rebecco, odpowiesz sobie sama, kiedy tylko zaczniesz korzystać ze swojego urządzenia.

Prawdopodobnie usłyszysz o tym co nieco z mediów. W najbliższym czasie.

Trochę.

He, he... Sama widzisz, Rebecco, że trochę nas to śmieszy. Ale za kilka lat – i tego jestem pewna – dzisiejsze smartfony będą wyglądały jak *wykopaliska z epoki kamienia łupanego*.

Rebecco, czy masz coś przeciwko temu, że będziemy ci przysyłać więcej prezentów i kuponów rabatowych, jeżeli więcej twoich znajomych zacznie nosić te same rzeczy i używać tych samych produktów co ty? Oczywiście nie będziesz musiała opowiadać swoim koleżankom, jakie marki odzieży i kosmetyków lubisz najbardziej. Nasza dewiza brzmi: **znajomość nie może się wiązać z żadnymi zobowiązaniami.**

Tutaj byłyby jeszcze lista firm i osób – byłabyś tak dobra, Rebecca, i zajrzałybyś na ich fanpage na tym popularnym portalu społecznościowym, na którym jesteście już znajomymi, i polubiła go?

A może łatwiej będzie tak, że upoważnisz nas do tego i będziemy to robić w twoim imieniu? Pasuje? To świetnie. Nie będziesz musiała sobie zaprzętać tym głowy. Zrobimy to za ciebie, żaden problem.

Chcę podkreślić, że mówimy tu o znajomości, a nie o umowie, i dlatego, Rebecca, nie musisz pytać o zgodę rodziców. Do zawarcia umowy byłaby oczywiście potrzebna zgoda opiekuna prawnego, natomiast zawarcie znajomości nie wiąże się z niczym takim. Wiem to na pewno, bo z wykształcenia jestem prawnikiem.

W sumie to najlepiej by było, Rebecca, gdybyś nie wspominała rodzicom o naszej znajomości. I nikomu innemu. Ludzie mniej inteligentni i uprzywilejowani od ciebie mogliby nie zrozumieć, o czym tu rozmawialiśmy. Na pewno też by zaraz chcieli zostać naszymi znajomymi i dostawać za darmo markowe dzinsy i kosmetyki, a my niestety nie możemy zaproponować takiej nieformalnej znajomości każdemu. Jedyne zwykłą znajomość. Zwykła znajomość nie wiąże się z żadnymi ograniczeniami. **Zwykła znajomość jest teraz w wyjątkowej promocji: \$13,99 (+ sales tax).** Nie trzeba nic kupować! Zwykłą znajomość możesz, Rebecca, śmiało polecać wszystkim swoim koleżankom.

Ty jednak zasługujesz na coś lepszego.

Chcemy uczcić naszą nową znajomość i zaproponować ci wizytę u fryzjera. Znamy świetny salon fryzjerski, który doskonale wie, co zrobić z włosami młodych kobiet właśnie w twoim wieku. Niestety, są drodzy, nawet bardzo... Coś takiego! Słyszałaś już o nich? To i o tym mówią dziś wszystkie młode kobiety? I twoi rodzice nie zgodzili się zapłacić aż tyle za fryzurę? No, i tak się czasem zdarza. Ale my chętnie opłacimy ci sesję właśnie w tym salonie. Trochę odświeżą ci styl. Będzie bardziej trendy i idealnie dopasowany do twojej luksusowej torebki od Trentino.

Która rewelacyjnie podkreśla twoją idealną cerę.

I jeszcze jedno: jesteś, Rebecca, wyjątkowo piękną i proporcjonalnie zbudowaną młodą kobietą. Jedną z najpiękniejszych i najszcuplejszych, jakie w życiu widziałam. Nie znaczy to jednak, że nie można tak pięknego dzieła natury trochę poprawić. Może się zdarzyć, że na pewnym etapie poczujesz, że chciałabyś jeszcze pełniej stać się tą osobą, którą w rzeczywistości jesteś. Gdybyś chciała wtedy skonsultować się z naszą znajomą, jednym z najbardziej znanych chirurgów plastycznych na

Wschodnim Wybrzeżu, nie ma żadnego problemu. Może nawet o niej słyszałaś, ma w telewizji własny program, całkiem nawet popularny, w którym pomaga ludziom odnaleźć własny styl.

Spotkanie z chirurgiem plastycznym Amoditą Nahri, MD, jest zupełnie darmowe – wystarczy, Rebecca, że zgromadzisz wystarczająco dużo EXP za marketing w mediach społecznościowych.

Rebecca wpatrywała się w krawędź stołu z miną przekornej piętnastolatki. Nie umiała dostrzec w tym wszystkim niczego złego. Przecież sama mogła wybierać rzeczy dla siebie! A jeśli z czystej sympatii napisała czasem na swoim blogu coś w stylu rekomendacji, to świat się od tego chyba od razu nie zawali.

– Ktoś to kiedyś zauważy – powiedział Joe. – Że to wszystko jest aranżowane. A wtedy ludzie zaczną myśleć, że może całe twoje życie jest jednym wielkim kłamstwem.

– Ojoj, straszne.

– Becca, przez jakiś czas można oszukiwać wszystkich, a pewnych ludzi może nawet do końca życia, ale nigdy wszystkich do końca życia.

– Uuu! Abraham Lincoln! – Rebecca chwyciła się obiema rękami za włosy.

– Już się cała trzęsę! Teraz wreszcie rozumiem, że mój ojciec miał rację!

– Mówię serio! W ogóle cię nie martwi, że ludzie zaczną cię uważać za oszustkę? Osobę pozbawioną sumienia? Zupełnie jak z powiedzenia Bubbiego: *Zajn wort zol zajn a brik, wolt ich...*

– Daj sobie siana.

– *...mojre gehat aribercugejn.*

– Było w tym chociaż jedno prawdziwe słowo?

– Wiesz w ogóle, co to znaczy?

– Fajnie masz.

– Becky.

– Lepiej tak się tym swoim jidysz nie chwal.

– Kochana Becky! – Spod stołu dobiegł ich głos Danielli. – Dzisiaj już *nikt* nie mówi „fajnie masz”.

– To znaczy: gdyby jej słowa były mostem, bałbym się po nim przejść.

– Wali mnie to.

– I nie boisz się, że zaczną cię uważać za kogoś takiego?

– Jak zobaczą, że ktoś zaczyna coś podejrzewać, to po prostu zaczną je łykać. I po sprawie.

Miriam i Joe popatrzyli na siebie w milczeniu. Kiedy Rebecca przez dwa

tygodnie słuchała w kółko norweskiego black metalu, Joe się bał, że jego córka zaprzedała duszę diabłu, ale dopiero teraz pojął, jak to się odbędzie. Mimo że Żydzi w zasadzie szatana nie uznają.

Sam jest sobie winien. Trzeba było zawiesić mezuzę na framudze.

– *Patrzcie!* – jęknęła Daniella przerażonym głosem. – Kot chyba nie ma takiego ogona?

W tej samej chwili usłyszeli przeszywający pisk Rebekki.

Miriam też to spostrzegła.

– A to co?

Krzyk Rebekki usłyszała nawet Saara. Wyszła z piwnicy, gdzie ładowała właśnie pranie do suszarki.

– Co się stało? – spytała, chociaż patrzyła już w okno. Wytrzeszczyła oczy i zasłoniła usta dłonią.

Widząc miny Miriam i Saary, Joe obejrzał się przez ramię. I przypomniał sobie, że już rano, kiedy się obudził, słyszał ten dziwny odgłos: jakby duży ptak stukał pazurami po granitowych płytach pod oknem.

Kiedy Joe wybiegł w szlafroku przed dom, pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, była zupełnie absurdalna: nowi znajomi Rebekki postanowili się zemścić za to, że ich wyspała.

Wypadło ze śmieciarki? – to druga myśl.

Na jego widok szczur najpierw czmychnął za dom, ale po chwili wrócił; zapewne ocenił, że niemłody już inteligent w okularach nie stanowi dla niego żadnego zagrożenia. I w najlepsze pojadał na trawniku, wywijając ogonem, jakby chciał pokazać, że działka należy do niego.

Joe postąpił krok bliżej. Wszystkożerny szczur kanałowy wzbudza w człowieku biologiczny wstręt. Zwierzę doskonale przystosowało się do życia obok ludzi: nauczyło się żywić wszystkim, czego oni nie dojadają i wyrzucają na śmietnik, nauczyło się spać i płodzić potomstwo w ich ściekach i na ich wysypiskach. Może powinniśmy być mu za to wdzięczni?

Kiedy Joe z bliska wreszcie zobaczył, czym tak pracowicie zajmuje się szczur siedzący na ziemi obok gazety zapakowanej w przezroczystą folię, poczuł się tak, jakby go ktoś kopnął między nogi.

Jak powiedziałyby jego córki:

Ale pliiiz.

Dajcie sobie siana.

Podłożyli to w nocy tak cicho, że nikt z domowników się nie obudził: pośrodku trawnika leżało truchło niewielkiego ssaka albo większa jego część.

Dokoła rozrzucono wnętrzności, przykryte jakimiś ścięgnami i błonami organy wewnętrzne; Joe nie miał wątpliwości, że widok w założeniu miał być wstrząsający, ale resztki jelit na dużym trawniku sprawiały żałosne wrażenie – jakby ktoś coś zgubił, wynosząc śmieci. Padlina, której pierwotnej formy nie sposób już było ustalić, musiała być ciągnięta po trawie.

W kanałach Baltimore oczywiście roiło się od szczurów. Joe wcale nie był zaskoczony, że jeden już w nocy odkrył nowe żerowisko.

Miriam wyszła z domu z taką miną, jakby się bała najgorszego. Po chwili jednak na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

– I to wszystko, na co ich stać?

– To samo mi przyszło do głowy.

– Przebudziłam się w nocy i miałam wrażenie, że słyszę coś pod domem.

– W sumie to może być i przypadek.

– No, w to akurat nie uwierzę.

– Otworzyła się kłapa w śmieciarce. Jakiś zatrząsk źle trzymał.

– Na naszym trawniku?

– No tak. Raczej nie.

– Gdzie jest Saara?

– Zatrzymała dzieci w domu.

Stali przez chwilę bez słowa. Potem Miriam spytała:

– Co to może być za zwierzę?

– Owca?

– Taka duża?

– Sam nie wiem.

Miriam pokręciła głową i prychnęła – pfff, naprawdę *żałosna* ekipa – po czym weszła z powrotem do domu.

Pewnie jacyś smarkacze. Niedorobieni licencjaci. Szkolny kawał – ukraść pół kilo odpadów z rzeźni i wrzucić komuś za płot, żeby go nastraszyć. Jak gdyby rodzice dwóch dojrzewających córek nie mieli dosyć rozrywek w domu.

Ale przez cały dzień, który zamierzał poświęcić na przeczytanie i zredagowanie pierwszej wersji artykułu Raja oraz przygotowanie swojego wykładu do wygłoszenia na Uniwersytecie Nowojorskim, Joe czuł, że serce mu dziwnie kołacze w piersiach. Rozdział książki zamówiony przez Oxford University Press powinien być gotowy już w ubiegłym tygodniu. Coś go gniotło pod mostkiem, ale kiedy Lisa spytała, co mu jest, nie potrafił nawet nazwać tego uczucia. Łomotało mu w głowie.

Zostawił Rajowi kartkę i wyszedł w środku dnia; pomyślał, że trochę

odpocznie i dokończy pracę w domu.

Powitał go łoskot basów zza drzwi pokoju Rebekki. Joe rozpoznał największy hit ostatnich paru tygodni. Wciśnięta ostatnio Rebecce wokalistka nurtu *nu-r'n'b* w swoim hymnie pochwalnym dla seksu oralnego.

Tego już za wiele, są jednak jakieś granice! Mam chyba prawo do odpoczynku, gdy nie czuję się najlepiej – tłumaczył się w myślach Joe, sadząc po schodach do góry. Otworzył gwałtownie drzwi pokoju Rebekki – bez pukania, co córka porównała kiedyś melodramatycznie do uderzenia w twarz – gotów ryknąć na całe gardło, że nawet we własnym domu nie może mieć chwili spokoju, do kurwy nędzy! – lecz nim zdążył to zrobić, zobaczył jej zapłakaną twarz.

Wyciągnął rękę w stronę wieży, ale się zawahał.

– Możesz wyłączyć – powiedziała Rebecca.

Zapadła cisza. Rebecca wytarła łzy w rękaw. Na stole leżały płyta wokalistki i błyszczak – rzucone z pretensjonalną nonszalancją, Joe nie miał jednak wątpliwości, że małe, czerwone oko rewolucyjnego smartgadżetu iAm bezustannie pompuje obraz do globalnej sieci. W każdy inny dzień – w każdym innym roku – Joe natychmiast wypowiedziałby wojnę lokowaniu produktów w sypialni swojej córki, a w zasadzie w całym jej życiu.

– Co się stało?

Nie odpowiedziała.

– No, powiedz.

Rebecca rzuciła mu przelotne spojrzenie spod stylowych brwi, namalowanych przez fryzjerkę czarną kreską – i w tej dojrzałej próbie dogodzenia wszystkim gustom było coś nawet bardziej przerażającego niż w gotyckim makijażu i żelastwie wokół oczu, które jego córka nosiła jeszcze parę miesięcy temu. Przebiegło mu przez myśl, że mogłyby nawet nie spostrzec, gdyby Becca zebrała w końcu niezbędną liczbę punktów za marketing w mediach społecznościowych i bez jego wiedzy poddała się jakiejś operacji plastycznej. Może trzeba by poważnie wziąć pod lupę te jej weekendowe nocowania u koleżanek.

Rebecca spojrzała na swoje ręce.

– Byłaś za domem?

– Rano?

Daniella i Rebecca wyglądały rano raczej na zaskoczone i Joemu nawet nie przyszło do głowy, że mogłyby się przejąć tym głupim kawałem. „Kto to zrobił?” – spytała Dani i Joe potrafił odpowiedzieć jej tylko tyle, że nie wie.

Śmieciarze przyjechali bardzo szybko – Joe aż się zdziwił tak błyskawiczną

reakcją – i wrzucili truchło do samochodu. Na trawniku nie pozostały żadne ślady. Pod ścianami domu rozłożyli też trutkę na szczury, wewnątrz ustawili kilka pułapek klejowych.

– Becca, takimi rzeczami nie warto się przejmować. To dzieło ludzi sfrustrowanych.

– *Whatev.*

Wali mnie to.

– Nie zwracaj sobie tym głowy.

Córka nagle uniosła oczy i spojrzała na niego.

– Jesteś tego pewny?

– O co ci chodzi?

– Tak nie robią ludzie, którym jest dobrze w życiu.

– No, na pewno nie.

– A zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego komuś nie jest w życiu dobrze?

Joe był zdumiony.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To nasze społeczeństwo... Ono jest chore! Żyjemy w pierdolonym pałacu, mamy dwa auta i służącą, która...

– *Au pair.* Nie służącą, tylko *au pair.*

– Dociera do ciebie, że parę mil stąd jest getto i ludzie wrzucają tam sobie butelki z benzyną do mieszkań? Ludzie, którzy nie potrafią nawet czytać, chociaż w wieku dziesięciu lat już umieli strzelać do innych z pistoletów maszynowych? Nie dociera do ciebie, jacy bandyci żyją w tym mieście? Ja pierdole, czy ty w ogóle wiesz, na jakim świecie żyjemy? I ten cały ruch Occupy, ich też policja pogoniła z parku, chociaż nie robili niczego złego! Co, do cholery, trzeba zrobić, jak chce się coś w tym gównie zmienić?!

Joe czuł się absurdalnie, słysząc te słowa od nastolatki, która niczym kierowca Formuły 1 właśnie wynajęła całą powierzchnię swojego ciała i całe swoje życie – każdy jego duchowy centymetr kwadratowy – firmom i korporacjom, by od tej pory reprezentować zawsze taki styl życia, jaki w analizie jakiejś gównianej agencji reklamowej uznaje się w danej chwili za najbardziej dochodowy. W czym zresztą jego córka nadal nie dostrzega żadnego problemu, bo przecież wszyscy na tym korzystają.

Becca miała na sobie połyskującą bluzeczkę z wypisanym srebrnymi literami na piersiach ironicznym hasłem reklamowym, wciskany ostatnio przez obie siostry niemal do każdego zdania. Joe widział, jak oglądały w internecie animowane klipy o sprytnych zbuntowanych wiewiórkach, robiących najróżniejsze kawały i powtarzających do znudzenia ten sam tekst.

Co próbowano nim sprzedać, tego nie wiedział, ale teraz byłby nawet gotów postawić pewną kwotę u bukmachera, że chodzi o optymalizatory VMPFC.

Rebecca aż kipiała ze złości, chociaż Joe nie miał pojęcia, na kogo albo na co. W końcu wpadł na pomysł, żeby córkę przytulić – nic innego zresztą nie przychodziło mu już do głowy – i o dziwo nie został odepchnięty. Wszystko jest do niczego, żaliła się Rebecca, obce i nie do opanowania; kupieni politycy, nikomu nie można ufać, jeden procent ludzkości posiada dziewięćdziesiąt dziewięć procent majątku i będzie tylko gorzej, chociaż teraz już nawet ten jeden procent publicznie domaga się zmian.

Czy na całym świecie nie ma nikogo, kto byłby w stanie coś z tym wszystkim zrobić?

Joe zaczął wyliczać córce ważne zmiany polityczne w dobrą stronę, które zaszły w ostatnich latach. Ale z jakiegoś powodu przykłady, które najszybciej przychodziły mu do głowy, pochodziły z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku – i sam nagle poczuł, że wzbiera w nim gniew.

X

Decydujący zwrot akcji nastąpił wieczorem w dniu dwudziestych czwartych urodzin Aleksandry.

Kiedy zapraszała go na imprezę, jąkała się i czerwieniła. Wpadnij choć na chwilę, pewnie i tak nie miałbyś czasu, żeby posiedzieć dłużej. Joe nie miał serca jej odmówić, mimo że pomysł spędzenia wieczoru w barze z paroma młodymi kobietami wydał mu się trochę krępujący.

Po południu siedział przed komputerem w swoim kantorku w instytucie i myślał już, że Aleksandra poszła, kiedy usłyszał dobiegający z korytarza stukot szpilek. Na widok dziewczyny w obcisłej spódniczce i makijażu uzmysłowił sobie, że do tej pory widywał jedynie szare wcielenie Aleksandry – i że już bardzo dawno nie dotykali się z Aliną.

Stała w drzwiach i spojrzała mu prosto w oczy. Miał wrażenie, że po raz pierwszy całkowicie się wyprostowała i teraz, w tych butach, mogła być nawet wyższa od niego. Stała parę metrów dalej, ale z jakiegoś powodu przestrzeń między nimi grała dziwną elektrycznością.

Jak wyglądam?

Naprawdę świetnie.

Dziękuję.

Chyba po raz pierwszy pozwoliła sobie uśmiechnąć się całym ciałem. Potem stukot szpilek cichł, aż usłyszał młaśnięcie otwieranych drzwi

wejściowych. Po chwili mlasnęły ponownie, zamykając się za nią.

Poszedł do kuchenki, żeby zaparzyć sobie zamówionej ze Stanów kawy, French roast. Fińska kawa była po prostu nie do picia, jak gdyby ktoś ją specjalnie trzymał w szafie w otwartym opakowaniu, żeby wywietrzała – albo zapomniał o paleniu ziaren. Joe czuł się trochę tak, jakby patrzył na odbijający od nabrzeża prom: tę dziewczynę zdobędzie jakiś szczęśliwy młody Fin i będą się kochali w swoim europejskim mieszkanku i jedli brie na podłodze. Aleksandra nie miała chłopaka; powiedziała mu kiedyś, że zostanie starą panną, bo jest za bardzo wybredna.

Myślał, że już sobie poszła, ale pewnie była tylko na papierosie: kiedy wracał z kawą do pokoju, w drzwiach uderzył go mocny, słodki zapach, znajomy, choć z początku nie potrafił go określić.

Aleksandra siedziała przy swoim biurku i lakierowała paznokcie. Widząc Joego w drzwiach, spiekła raka.

Przepraszam. Sądziłam, że już poszedłeś.

Nie, nie, spokojnie, siedź.

Aleksandra wyprostowała palce i zaczęła dmuchać na lakier.

Nie za bardzo gryzą w oczy?

Nie.

Zerknęła na niego.

O co chodzi?

Mogę cię o coś spytać?

Shoot. Wal.

Zawahala się tylko na ułamek sekundy.

Może wyjdziemy na imprezę razem? I po drodze gdzieś wstąpimy? Zanim spotkamy się z resztą?

Zaczerwieniła się po szyję. Już miał beztróska odpowiedzieć, że w sumie to dlaczego nie, ale zobaczył błysk w oczach Aleksandry – jakby miała gorączkę albo wciągnęła przed chwilą kreskę kokainy – i ugryzł się w język.

A? No... hm.

Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy otwarcie wyszła z inicjatywą; była na to zbyt uprzejma, zbyt spokojna, zbyt empatyczna. Skłamał, że musi przed wyjściem skończyć abstrakt konferencji.

Okej. Teraz głos miała lekki i beztróski. Tak tylko pomyślałam.

W drzwiach powiedziała jeszcze: W ogóle nie musisz przychodzić.

Pierwsza myśl była taka, że jest obrażona, ale nie, ton był neutralny.

Jeśli nie masz ochoty, dodała. Bo powiedziałam, że „musisz”. Przyjść. Chciałam tylko powiedzieć, że... Jak macie... nie wiem, w domu... Dziecko

i w ogóle.

Nie, spokojnie, przyjdę na pewno.

No to fajnie.

Ale na pewno długo nie będę.

Super, jak chociaż na chwilę wpadniesz. Czuł zapach Aleksandry długo po jej wyjściu. Abstraktu wcale nie musiał wysyłać tego dnia, ale postanowił, że posiedzi w pokoju jeszcze godzinę czy dwie – z powodu, którego sam do końca nie rozumiał.

Zamknął oczy i uprzytomnił sobie, że serce mu wali jak szalone; wolałby, żeby sprawy nie przybierały takiego obrotu, jaki właśnie przybrały.

Alinie powiedział, że idzie na imprezę do asystentki z wydziału, kobiety już po sześćdziesiątce, i że proszeni są wszyscy pracownicy. Wstyd mu było, że skłamał; nie potrafił nawet powiedzieć żonie prawdy.

Kiedy stanął w drzwiach małej restauracji niedaleko centrum, gdzie się umówili, od razu usłyszał ożywione głosy jubilatki i jej przyjaciółek; widać towarzystwo było już w doskonałym humorze. Aleksandra przytuliła się do niego, jak do zakazanego owocu.

Cudownie, że przyszedłeś.

No, ale nie mogę być za długo.

Wiem, ale cudownie, że mimo wszystko wpadłeś.

Miejsce obok Aleksandry właśnie się zwolniło. Kazała mu zaraz tam usiąść.

Chyba już wtedy wiedział, że jeszcze tego wieczoru Aleksandra będzie w jego ramionach i będzie dotykał jej ciepłej skóry pod cienką koronkową bluzką.

Wszystkie jej przyjaciółki były ładne, młode i wesołe. Miały połyskujące sukienki i rozmawiały o mężczyznach nieco zbyt odważnie, na co z pewnością wpływał fakt, że Joe był jedynym mężczyzną przy stole. Czuł się trochę jak na pokazie – jak gdyby te młode kobiety prezentowały się przed nim, ale nie dla niego, lecz dla siebie nawzajem. Nie był pewny, czy dobrze interpretuje sytuację, miał jednak wrażenie, że utwierdzają się tylko w swojej kobiecości, obnoszą się z nią wspólnie pod nosem archetypowego samca i czerpią z tego jeszcze wielką przyjemność – trochę tak, jak rosnących facetów podnieca to, że tworzą razem drużynę futbolową.

Nie zdradzi żony, postanowił to już dużo wcześniej. Nie zrobi Alinie tego, co zrobił Hannah. Nie zniósłby więcej tego uczucia, którego doświadczył w pokoju włoskiego hoteliku z Aliną, tysiące mil od narzeczonej – a przecież Hannah była tam z nim wtedy, w każdej sekundzie.

Nie zdążył jednak nawet upić kieliszka do połowy, gdy poczuł się jak na

rozżarzonych węglach. Aleksandra wspomniała mimochodem Sandy'ego Koufaksa i *perfect game*, aby mu pokazać, że słuchała go wtedy uważnie.

Że była dobrą uczennicą.

A może chciała wydzielić ich z reszty, siebie i jego?

Zdał sobie sprawę, że wiedział o tym już od chwili, kiedy zapukała do jego pokoju; wiedział, że to wszystko doprowadzi właśnie do tego.

Każdy dzień zaczynał się wtedy osobliwie. Nie dotykał żony już od sześciu miesięcy; widocznie Alina zdecydowała, że seksu między nimi więcej nie będzie, chyba że w celu spłodzenia drugiego dziecka, jeżeli się na nie zdecydują. A może nie interesowało jej już nic poza dzieckiem. Raz wieczorem spróbowała zbliżenia, ale jednocześnie dała mu do zrozumienia, że tak naprawdę nie chce.

Jeżeli się na to zgodzi, najdalej w ciągu godziny Aleksandra zrobi mu loda w toalecie, a potem mokra od potu będzie go ujeżdżać na sofie w swojej kawalerce.

Alina była pewna, że posuwa Aleksandrę przy każdej okazji.

Czyli – co to zmieni?

Dziewczyna opowiadała właśnie z rozpalonymi policzkami o swojej przygodzie z Interraiem w południowej Europie. A potem: krótkie dotknięcie, jakby niechący. Ależ to proste: ups, *sorry*. Palce Aleksandry najpierw musnęły jego udo, a potem wróciły.

To było nie do zniesienia; jakby go coś paliło w środku. Kobiety nie przerywały beztrudnej pogawędki. Nie zauważyły albo udawały, że nie zauważyły. A może przebieg wypadków był już z góry tak dla wszystkich oczywisty, że zachowanie Aleksandry nie wzbudziło niczyjego zainteresowania.

W końcu musiał złapać ją za rękę. Była rozpalona jak wyjęte z ognia żelazo. Spojrzała mu w oczy, jakby tylko czekała na znak.

Joe podziękował, życzył im jeszcze udanej imprezy i włożył płaszcz. Aleksandra uśmiechnęła się ciepło – idziesz już? Spojrzała na niego przeciągle, jakby chciała się upewnić, że wie, co robi: marnuje tę jedyną, niepowtarzalną szansę.

Muszę.

Fajnie, że wpadłeś.

No, miło było. Cześć! Bawcie się dobrze!

Nawzajem!

W głosach żegnających go przyjaciółek Aleksandry pobrzmiwała jeszcze zalotność z pierwszej części wieczoru, którą wspólnie dla niej wyczarowały.

Miało się skończyć na tamtym wieczorze. Wysłał jej jeszcze mail, w którym wyjaśnił, że naprawdę ją lubi – i prywatnie, i jako studentkę – i właśnie dlatego chciałby, żeby ich stosunki pozostały profesjonalne. Przez wzgląd na nich, ale także na jego małżeństwo. Napisał, że zrozumie, jeśli Aleksandra zechce zmienić promotora. Jego zdaniem nie było takiej potrzeby, z drugiej strony jednak mogło to mieć sens także z tego względu, że on sam nie wiedział, jak długo jeszcze będzie pracował w Finlandii.

Aleksandra odpisała natychmiast. *Here's the thing*, zaczęła i zabrzmiało to tak naturalnie po amerykańsku, że dopiero po dłuższej chwili skojarzył, że dziewczyna nauczyła się tego z jego własnych wiadomości. Wchłaniała jego wyrażenia, opinie i postawy niczym gąbka. Schlebiało mu to, ale i trochę irytowało.

W tym właśnie problem, *here's the thing*: Aleksandra napisała, że zakochała się w nim zaraz na pierwszym spotkaniu i już wtedy wiedziała, że Joe złamie jej serce.

„Zmień promotora” – dobre sobie.

Przyznała jednak, że dobrze go rozumie. I ona nie chce inicjować żadnych zmian. Joemu i Alinie życzyła zawsze jak najlepiej.

Ta konwersacja zajęła im wiele wiadomości. Dobrze im to zrobiło i oczyściło atmosferę; jak gdyby ktoś wreszcie otworzył okno zatęchłej piwnicy i do środka wpadły promienie słońca. Przy okazji Joe opowiedział Aleksandrze także o swoim kłopotcie z żoną: kocha ją, ale obecnie chyba już tylko rywalizują ze sobą o to, kto ma w życiu gorzej.

Aleksandra napisała o swoich licznych beznadziejnych relacjach z niewłaściwymi mężczyznami i o tym, że spotkanie Joego po raz pierwszy od lat wzbudziło w niej nadzieję, że gdzieś na świecie jest jednak ten właściwy. Rozumiała też chyba jego nostalgię; jako nastolatka mieszkała z rodzicami we Francji i pamiętała poczucie samotności na widok nieznanymi produktów spożywczych; kartoniki mleka o głupim kształcie odpychały ją od siebie, nie dając tak potrzebnej pociechy.

W poniedziałek w pracy Aleksandra przytuliła się do niego na powitanie i jej dotyk wydał mu się inny niż wcześniej, cieplejszy. Powiedział jej, że czuje się tak, jakby wydostała go z jakiejś przepaści. Nie, to ty mnie wydostałeś, odpowiedziała.

Ale Alina się wściekła o wymianę maili z Aleksandrą. Czytała wiadomości za jego plecami, może sama wypełniła luki i ten drobny wycinek ich korespondencji, który zobaczyła, musiał ją utwierdzić w przekonaniu, że Joe ma z dziewczyną romans. Wyjaśnili to sobie i chyba w końcu Alina

uwierzyła, że nie ma powodów do zazdrości. Mimo to męczyła go przykra świadomość, że zareagował zbyt histerycznie, że jego gniew, chociaż usprawiedliwiony, był zdecydowanie przesadzony, bo podsycany wyrzutami sumienia z powodu tego wszystkiego, co dziewczynie powiedział – w rzeczywistości powinien był to wszystko powiedzieć swojej żonie.

Ostatecznie wszystko runęło podczas drzwi otwartych.

Prośba o referat, z jaką zwrócili się do niego organizatorzy, sama w sobie zupełnie bez znaczenia, pozwoliła mu poczuć, że chociaż ktoś wie o jego istnieniu, chociaż ktoś wierzy, że Joe Chayefski jeszcze się do czegoś nadaje, mimo że on sam w duchu już dawno skapitulował.

Kobieta była bujna i rośła. Niepiękna, ale kobieca, śmiała się na całe gardło i nosiła w uszach kolczyki wielkości talerzy. Jak też miała na imię – Krista? Kristi? Kristiina? Powiedziała, że uprawia psychoanalizę, tę jungowską. Podział na jungowców i freudowców był dla niej istotny.

Jesteś z Ameryki, stwierdziła Krista czy Kristiina, łypiąc na niego jak głodny pies na pęto kiełbasy; podczas lunchu siedzieli przy tym samym stole. Ja nigdy nie pojedę do Stanów, dodała natychmiast, nigdy, nawet na parę dni. Zero zainteresowania, wyjaśniła z niezrozumiałą złością. Na świecie jest tyle innych, znacznie bardziej interesujących krajów. Na przykład Indonezja, która ma niesamowitą kulturę, taniec, rzeźby. Afganistan, Bhutan. I wiele miejsc w Ameryce Południowej.

Joe zadowolił się przytakiwaniem, ale czuł, że tamta mierzy go wzrokiem.

Zmieniła temat. Czy Joe wie, że jako Amerykanin zużywa więcej zasobów naturalnych na głowę niż ktokolwiek inny na tej planecie?

– Mam tę bolesną świadomość.

– Dlaczego nic z tym nie robisz?

Powiedziała *you*, więc może także: dlaczego wy, Amerykanie, nic z tym nie robicie jako społeczeństwo? Joe nie wiedział, kogo ma na myśli: jego czy wszystkich Amerykanów.

– No, wielu oczywiście próbuje coś z tym robić – próbował się bronić. – Ale...

– I to wystarczy? Że ktoś *próbuje*?

– Oczywiście, że nie. Ale jeśli więcej będzie takich, którzy próbują... Trzeba chyba mieć nadzieję, że wcześniej czy później ktoś coś wymyśli.

Krista wybuchnęła śmiechem. Amerykanie są tacy naiwni. Tacy naiwni, że w końcu zniszczą całą planetę.

– *Well* – odrzekł Joe. – Chyba *nie do końca* podzielam twoje zdanie na

wszystkie poruszone tu tematy.

Podczas rozmowy szybko się wyjaśniło, że Joe jest osobiście odpowiedzialny za politykę zagraniczną swojego kraju, za malwersacje na rynkach amerykańskich, za zbyt szybki rozwój gospodarczy i jego spowolnienie, za subsydia dla producentów bawełny, które duszą kraje rozwijające się, i za historię – przede wszystkim za historię! – a także za każdy absurdalny, pozbawiony zupełnie znaczenia, bo martwy przepis prawa w każdym, najbardziej nawet prowincjonalnym amerykańskim stanie, za wypaczone przez media ideały kobiecości i oczywiście za głupotę wszystkich Amerykanów, tych *bezdennie głupich i niewiarygodnie grubych ludzi*, i za kręcone dla nich bardzo złe filmy.

Z niejasnych powodów Joe nie był odpowiedzialny za amerykański *arthouse* – za filmy, w których mówiło się niewiele i które Krista chyba bardzo lubiła. Dlaczego Joe nie był odpowiedzialny za Jima Jarmuscha ani Toma Waitsa, tylko za Toma Cruise'a? Spytał ją o to, ale ona tylko się roześmiała. Ciekawe kino to mają Serbia, Iran i Turcja, oświeciła go.

To, że wszędzie na świecie każdą fińską powieść interpretowano jako opis alkoholizmu, zdaniem Kristiiny nie miało nic wspólnego z fińskim postrzeganiem sztuki, z fińskim humorem i kulturą, mimo że samo w sobie było oczywiście śmieszne. Nawet teraz na samą myśl o tym Kristiinie chciało się śmiać. Finowie mają oryginalne poczucie humoru, ale jak się chce je zrozumieć, to trzeba najpierw poznać ich kraj, kulturę i język. Spytała, dlaczego Amerykanie nie czytają gazet, dlaczego jeżdżą takimi wielkimi, strasznie zatruwającymi środowisko samochodami i dlaczego są gotowi wszczynać wojny z powodu ropy na Bliskim Wschodzie.

– Każdy, kto czyta choćby Noama Chomsky'ego – odparł Joe – dobrze wie, że jest także wielu Amerykanów, którzy odnoszą się do tego wszystkiego bardzo krytycznie.

Jednak Noam Chomsky nie był dla Kristy Amerykaninem, a w każdym razie nie takim prawdziwym, nie takim, o jakim ona myślała. Oprócz tego to w zasadzie go nie czytała, wyznała szczerze. Czyta co wieczór, żeby poszerzać horyzonty, ale czyta Junga, bo jego to można czytać w kółko, podobnie jak Melanie Klein, Ottona Kernberga, Donalda Winnicotta.

Finowie również jeżdżą samochodami, próbował się bronić, ale to była zdaniem Kristy zupełnie inna sprawa. Ale on przeczytał w prasie, że Finlandia ma nawet więcej samochodów niż mieszkańców, a zatem także Finowie konsumują dużo więcej, niż to dobre dla Ziemi i jej mieszkańców, nieprawdaż? Kristi stwierdziła jednak, że to nie ich wina, że tutaj wszędzie

trzeba daleko jeździć. Finowie robią tylko to, co jest konieczne. Joe słuchał i kiwał potakująco głową.

Czasem miał już tego serdecznie dosyć, choć bardzo się starał nad sobą panować. Do Finów trzeba mówić jak do dzieci. Oni nigdy nie mają na nic wpływu, są na to za mali i za słabi, nie mają prawa wyboru, po prostu taką mają kulturę, no i tę swoją depresję, nie zabierają głosu w żadnej sprawie i wręcz nie można tego od nich wymagać, nawet podczas procesów o zbrodnie wojenne i ludobójstwo. Inne kraje odpowiadały za swoje czyny, Finlandia nie. Finlandia robiła tylko to, co musiała, próbowała przetrwać i dlatego wydała po wojnie walczących ochotniczo po jej stronie Ingrów do sowieckich łągów. Finowie nie musieli, a nawet nie mogli mieć z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia, bo najzwyczajniej w świecie nie mieli w tej sprawie nic do powiedzenia. Oczywiście, że nie mogli wtedy postąpić inaczej i teraz też nie mogą, w żadnej sprawie – inaczej niż światowe mocarstwa.

Ale to nic – być może w sensie historycznym tak właśnie należało to rozumieć. Joe także nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za barbarzyńskie eksperymenty sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy to amerykańskie wojsko zarażało chorobami wenerycznymi i poddawało promieniowaniu radioaktywnemu bezdomnych Afroamerykanów; było to dla niego totalne moralne bankructwo.

Postanowił nie mówić Kristiinie, co słyszał od znajomego historyka: że tuż przed drugą wojną światową Finlandia odmówiła przyjęcia zbiegłych z Niemiec Żydów, uznano bowiem, że nie są uchodźcami: przecież wyjechali z Niemiec *dobrowolnie*.

Nawet by mu nie przyszło do głowy, żeby obwiniać za to Kristiinę, ale przy stole parę razy przemknęło mu przez myśl, że może jednak powinien. Trudno mu było przełknąć tak agresywną i prowokującą pogardę, z jaką Kristiina czy może Krista odnosiła się do niego i Stanów Zjednoczonych – zupełnie jakby chciała się za coś zemścić, jakby miała ze Stanami od dawna na pieńku i wreszcie nadarzyła się sposobność, by wyrównać rachunki. Czyżby naprawdę sądziła, że Joe jest dumny z Zatoki Świń, z Tonkinu, Hiroszimy, Nagasaki? Że dobrze ocenia tamtą politykę, że uwielbia Nixona?

I nawet jeszcze wtedy, gdy Kristi krytykowała go za status Palestyńczyków, zdecydował się nie ripostować, że Finowie sami wsparli Izrael, choć teraz nie chcą chyba tego pamiętać – że zobaczyli w wojnie Jom Kippur swoją wojnę zimową: państwa arabskie przy wsparciu Związku Radzieckiego bez ostrzeżenia najechały na małe, osamotnione państwo.

– I musisz ciągle nosić tę broń?

Krista mówiła naprawdę dobrze po angielsku, jak wszyscy Finowie, którzy jednak – podobnie jak Rosjanie – stawiali rodzajniki w niewłaściwych miejscach. Większość ludzi w tym kraju mówiła jego językiem tak płynnie, że rzadko przychodziło mu do głowy, że to ich drugi, a niekiedy dopiero trzeci język. I dlatego kiedy ktoś z rzadka zrobił jakiś błahy błąd – niemal zawsze był to rodzajnik czy dziwnie zaakcentowane słowo – nagle zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu nawet próbować mówić *cokolwiek* po fińsku.

Na kursie fińskiego na uniwersytecie mieli rozmawiać w parach o tym, co przygotowują w domu do jedzenia. Joe próbował wyjaśnić, że położy małego żółtego ptaka do gorącej dziury i poleje to tym, co daje krowa, ale jest twarde. W końcu musiał się poddać, pochylił się więc i dotknął palcami kostek, wydając przy tym bulgoczące odgłosy. Jego francuski rozmówca za nic nie potrafił zrozumieć, że Joe odgrywa teraz scenkę zbierania ryżu, który doda do pieczonego brojlera z serem.

W *high school* miał francuski. Nic z niego nie pamiętał.

Krista musiała powtórzyć pytanie, żeby je zrozumiał.

– A, czy wszyscy powinni mieć prawo nosić broń?

– Tak.

– Moim zdaniem nie. Szczególnie broni palnej.

– Wyobraź sobie, że każdy w tej sali ma w kieszeni ten pistolet. Czy to ma sens?

Joe powiedział, że w zasadzie nie zna nikogo w Stanach, kto byłby posiadaczem broni palnej.

– Na uniwersytetach Wschodniego Wybrzeża używa się jej bardzo oszczędnie.

Krista nie odwzajemniła uśmiechu.

– Natomiast tutaj – ciągnął Joe – znam na przykład profesora Wallenberga, który jest posiadaczem sztucera, dwóch strzelb i rewolweru magnum trzy pięć siedem. Zaprosił mnie właśnie do swojego domku letniskowego na polowanie. Nie wiem, czy się odważę.

Krista znów spojrzała na niego jak głodny pies na kiełbasę.

– Wy macie te masakry w szkołach – powiedziała. – Ale nie wyciągacie z tego tej lekcji. Dlaczego?

– Przez trudne zagadnienie praw konstytucyjnych i bardzo wpływowe konserwatywne skrzydło w polityce, ale moim zdaniem masz całkowitą rację, że...

– Chyba trzeba by zakazać noszenia tej broni, jeśli nawet dzieci w szkołach

strzelają do siebie?

Joe powiedział, że jego zdaniem trzeba by, ale zdaje się, że Krista go nie słucha. I zauważył, że w Finlandii też jest całkiem sporo broni palnej.

– Ale u nas nie ma tych szkolnych masakr. U was jest raz w miesiącu. Gdyby w Finlandii zdarzyła się chociaż jedna taka masakra, natychmiast byśmy wyciągnęli wnioski. Natychmiast byśmy zmienili prawo. Wszystkie ustawy. Zakazałybyśmy posiadania broni w ogóle, gdyby było trzeba. Ale my nie mamy tego konserwatywnego społeczeństwa, jak wy. Dlatego nie mamy tych amerykańskich masakr w szkołach.

Joe otworzył usta, ale kobieta nie dała mu dojść do słowa:

– Ta kara śmierci i ta broń. Przez te dwie rzeczy nigdy się nie zrozumiemy, wy i my. Ty i ja. – Dźgnęła długim paznokciem najpierw pierś Joego, a potem swoją – *you and me*. Pod wypełnionym dużym biustem czerwonym jedwabiem utworzył się miękki dołek – ty i ja.

Dopiero w czasie swojego wystąpienia Joe zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zły. Czy ci ludzie nie mają żadnych manier? „Nie chcę nigdy pojechać do Stanów”. Serio? Nie chciałabyś nawet *zobaczyć* Nowego Jorku? No i dobrze, *fuck you!* Stolica świata nie będzie za tobą płakać, wieśniaro. Hakaniemi na pewno w niczym nie ustępuje Manhattanowi. Ty to wiesz najlepiej, nie musisz nawet jeździć do Stanów. Chodź na to swoje Hakaniemi na te swoje serbskie filmy z tą swoją ukochaną strzelbą.

Z tym że łatwiej o nie i wybór jest dużo większy w Nowym Jorku niż tutaj! W tych waszych wypożyczalniach kaset, matoly, nie macie nic oprócz Schwarzeneggera! Który jest – tak na marginesie – z pochodzenia Austriakiem! Samiście tego terminatora wyhodowali, Europasy pierdolone!

Po zakończeniu seminarium Krista podeszła do niego i z przesadną grzecznością zaproponowała, że jeśli chce, to ona oprowadzi go po Muzeum Narodowym. Joe ubrał swoją odmowę w uprzejme słowa, co ją widocznie rozbawiło.

– Są tam rzeczy z tej historii Finlandii. Pewnie nie są dla ciebie wystarczająco duże, co? Żadnych hollywoodzkich wybuchów. Nudne rzeczy powszedniego użytku, które pokazują po prostu, jakie kiedyś było to życie. To prawdziwe życie tego prawdziwego człowieka.

– Uważam, że historia Finlandii jest nadzwyczaj zajmująca – powiedział Joe zupełnie szczerze. – Ale już tam byłem.

Wybrali się do Muzeum Narodowego z Aliną tuż po jego przyjeździe do Helsinek. Ona nie miała ochoty tam iść, ale Joe chciał się zapoznać ze swoją nową ojczyzną. On karbował sobie w pamięci lata wojen, ona ziewała

i pytała, czy nie mogliby już wracać.

– W tej historii ludzkości widać ten uniwersalny archetyp – powiedziała Krista. – Ale może ta ludzkość Amerykanina nie interesuje.

Ledwo skończyła mówić, wyjęła z torebki lusterko i zaczęła się przeglądać pod różnymi kątami, unosząc przy tym brwi.

Joe chciał już jechać do domu i Krista powiedziała, że zabierze się z nim taksówką, bo też mieszka na Töölö. Jak się później okazało, nie mieszkała nawet w Helsinkach, tylko w Espoo. Ale chciała jeszcze pójść z nim na drinka, na co on nie miał najmniejszej ochoty, ale tak zaczęła najeżdzać na amerykańską literaturę, że rozeźlił się nie na żarty i zanim się obejrzał, siedział w mrocznym fińskim barze nad burbonem z Kentucky *straight up* i jeden po drugim obalał śmieszne zarzuty Kristy. Krista czy Kristiina z rozbawioną miną poprawiała ciasno opinającą jej piersi jedwabną bluzkę, minęło popołudnie i zapadł już wieczór, na wydatnych ustach Kristy pełgał miły uśmiešek, gdy krytykowała Joego za niewierność JFK, za to, że Ameryka to tolerowała, i za to, że teraz nie potrafi naturalnie spojrzeć na seks i nagość. Wiedza Finki o JFK była w wielu miejscach fałszywa i pełna osobliwych sprzeczności, ale zdaniem Kristy to Joe z typową dla swojej nacji arogancją lekceważy opinie innych ludzi i wszystko, o czym nie ma zielonego pojęcia. Joe nie wierzył własnym uszom. Postanowił w duchu, że wypije ostatniego drinka i wyjaśni tej strasznej babie raz na zawsze, jak się sprawy *naprawdę* mają, a potem wreszcie się od niej uwolni. Ale po wypiciu tego ostatniego nadal siedział przy stole w barze, z dala od domu, gdzie Alina już na pewno użala się nad sobą i klnie go w duchu, że nie zajmuje się dzieckiem, że w głowie mu tylko praca, chociaż ma też rodzinę i małego synka, że chciałby żyć tak, jakby w jego życiu nic się nie wydarzyło, że romansuje sobie ze swoją studentką, choć to wcale nieprawda.

Wypowiedzi Kristy o Stanach przypomniały mu, co Aleksandra powiedziała kiedyś na papierosie: że gdyby był wymyśloną postacią w fińskiej powieści, wszystkie jego czyny i zachowania czytelnik odczytywałby jako obraz amerykańizmu – i choćby nawet stawał na głowie, nie zdołałby udowodnić swoich praw do pełni człowieczeństwa, ponieważ ta jest zarezerwowana dla bohatera fińskiego. Zostałby na wieki wtłoczony w alternatywę: albo reprezentować w powieści swoją narodowość, albo wiarę swoich rodziców – w najlepszym razie jedno i drugie, czyli wielowymiarowość amerykańskiego żydostwa – nigdy jednak prawdziwego człowieka, jak Fin.

Joe miał nadzieję, że to nieprawda, ale po pewnym czasie spędzonym w Finlandii zaczął zwracać uwagę na pewną rzecz: w Finlandii są dwa

rodzaje przestępców: *Finowie i cudzoziemcy*. Przestępcy nie są tu ludźmi niewykształconymi, sfrustrowanymi, chciwymi czy bezmyślnymi; nie jest też tak, że gorsze warunki życia narażają ich na zejście na złą drogę. Przestępcy nie należą do grup o słabych wskaźnikach socjoekonomicznych – jak zawsze i wszędzie we wszystkich statystykach na świecie – lecz dzielą się na dwie kategorie: *my i oni*. I Joe zauważył, że serce zaczyna mu bić szybciej, gdy tylko się dowiaduje, że w Helsinkach ktoś się dopuścił ciężkiego przestępstwa. W głowie tłukła mu się wtedy tylko jedna myśl: Obyś się nie okazał cudzoziemcem!

Co jakiś czas Finowie najbardziej zorientowani na proste, praktyczne rozwiązania brali kije baseballowe pod czarne watowane kurtki i szli do parku, żeby porozmawiać z osobami, których nie życzą sobie w swoim kraju. Spięcia te maglowano potem do znudzenia w fińskiej telewizji, jednak ani socjolodzy, ani inni mędracy szklanego ekranu nie przedstawiali własnej diagnozy problemów i nie proponowali żadnych ich rozwiązań, lecz wycofywali się na jakiś mętny metapoziom. A wszystko przez to, że Finowie *nie umieją rozmawiać*. Po każdej dyskusji telewizyjnej cały kraj się cieszy: oj, jak to dobrze, że mimo różnic potrafimy o tych sprawach ze sobą rozmawiać, choć może jeszcze nie tak, jak trzeba.

W Stanach człowiek przywykł do pajęczych sieci niemych konfliktów, do zakulisowych rozgrywek, propagandy i oszczerstw, do napięć i do występów komików, którzy te napięte struny celowo przeciągają – ale nie do czegoś takiego. Teksty rasistów były doskonale czytelne: ci ludzie najzwyczajniej w świecie bali się o swoje przywileje. I niekiedy udawało im się nawet podważyć banały powtarzane bezmyślnie przez dziennikarzy, którzy nie zawsze pamiętają, że wypadałoby najpierw potwierdzić ich prawdziwość. Ale żeby intelektualiści nie roztrząsali ważkich zagadnień społecznych, lecz dywagowali o tym, że w *tym kraju nie umiemy ze sobą rozmawiać*? Na co ci Finowie czekają? Aż ktoś im pozwoli otworzyć usta, zaaprobuje ich poziom zaawansowania w prowadzeniu rozmów?

W tym kraju nie umiano także rozmawiać o amerykańskim koszykarzu, który został kupiony przez fiński klub, bo grał lepiej od Finów: niedawno grożono mu pobiciem i śmiercią. Uprzedzenia można jeszcze zrozumieć, wszyscy je mają, ale czy Finów naprawdę nie interesuje nawet *sukces*? Dlaczego zmuszacie do wyjazdu tego jednego jedyne go koszykarza, który coś w tym kraju reprezentuje na parkiecie? Dlaczego go nie poprosicie, żeby was nauczył, o co chodzi w tym sporcie?

Na szczęście teraz o tej sprawie już się rozmawia, ogłosiła fińska telewizja,

kiedy koszykarz wrócił do Stanów, bo bał się w Finlandii o własne życie.

Joe otrząsnął się z myśli, gdy zdał sobie sprawę, że Krista coś mówi.

– To dmuchanie lodu – powtórzyła i spojrzała na niego wzrokiem kocicy.

Dopiero po chwili zrozumiał, że ona mówi o seksie oralnym: użyła niewłaściwego słowa i wyszedł jej neologizm.

– Jak to jest dmuchać lodu prezydentowi najpotężniejszego mocarstwa świata? Myślę, że nie ma żadnej różnicy, facet to facet.

– Krista, wydaje mi się, że za dużo wypiliśmy.

– Faceci są wszędzie tacy sami. Lubisz dmuchać lodu, Joe?

– Lodu się robi, Krista, nie dmucha.

– Co?

– Mówi się „zrobić komuś lodu”, a nie „dmuchać lodu”.

– Co ty gadasz?

– To wyrażenie, którego używasz – zaczął jej tłumaczyć, ale poczuł, że kręci mu się w głowie, więc zamknął oczy. – Ono nic nie znaczy. Tak się nie mówi po angielsku. Mówi się „zrobić lodu”.

– Pytam, czy lubisz... czy ty, *Joe*, lubisz dmuchać... dmuchanie lodu lubisz?

Kriście głoski zaczęły się plątać już przy poprzednim (czwartym?) gin-and-toniku, który tu nazywano gin-tonikiem. Joe widział, że podczas lunchu skubnęła tylko parę marchewek.

– Każdy lubi, żeby mu wydmuchać lodu. Ale komuś dmuchać? Czy ty, *Joe*, czy ty lubisz robić seks oralny? Ja uwielbiam ten seks oralny.

– Świetnie. Posłuchaj...

– Dmucha i daj dmuchać, co?

– Muszę jechać do domu.

– Kontrola, kontrola. – Krista spojrzała na niego spod oka i uśmiechnęła się, wodząc czubkiem palca po krawędzi szklaneczki.

– Przepraszam?

– Zawsze pod kontrolą, co?

– Wybacz, ale chyba przestałem nadążać.

– Jesteś naukowcem, co?

– No i?

– Pewnie bardzo się boisz, jak włącza ci się spontan, co?

– Posłuchaj! Całe popołudnie i wieczór słuchałem, jaki to jestem zły i jaka zła jest Ameryka, i na pewno masz całkowitą rację absolutnie we wszystkim, ale nie mogę cofnąć wojny wietnamskiej ani wytrawić amerykańskiego społeczeństwa z mapy świata! A jeśli chcesz wyrzekać na amerykańską

literaturę, to bądź tak dobra i przeczytaj chociaż jedną powieść napisaną w ciągu ostatnich trzydziestu lat! I nie mów mi: *ale to nie jest w takim sensie amerykańskie*, jak mówisz o wszystkim, co jest amerykańskie i co aprobujesz, ponieważ to również jest amerykańskie, czy tego chcesz, czy nie! I bądź tak dobra i nie zaczynaj ze mną rozmowy o seksie oralnym, bo i ty jesteś, jak mi się zdaje, już tak pijana, że najwyższa pora wracać do domu!

– Proszę, proszę! Reakcja! – Krista była zachwycona.

Joe zauważył, że w knajpie zrobiło się cicho i wszyscy na nich patrzą. Seks oralny musiał budzić zainteresowanie Finów, zwłaszcza gdy ktoś krzyczał o tym po angielsku w lokalu. Joe poprosił kelnera o rachunek i poszedł po swój płaszcz.

– Zamówię nam taksówkę – powiedziała Krista i poprawiła usta pomadką.

Wargi miała miękkie i zbyt pełne jak na tak irytującą osobę. Nasuwały raczej skojarzenia z kobietą, która czerpie z życia pełnymi garściami. Mimowolnie zatrzymał się na nich myślą o ułamek sekundy dłużej, niżby tego chciał, i zdążył skonstatować, że to już dojrzała kobieta, starsza od niego o kilka lat, żadna studentka, a tym bardziej jego studentka. I po tej nocy nie będzie musiał jej już nigdy więcej oglądać na oczy.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Dwie taksówki? Bez sensu. Za drogo.

Na zewnątrz padało. Tak sobie zawsze wyobrażał zimę na Wyspach: nie ma słońca i śniegu, tylko wiatr i wilgoć. Krista otworzyła parasol i bez pytania przyciągnęła go do siebie. Była niższa i parasol bezustannie uderzał go w głowę. Widział wyraźnie pory i makijaż na twarzy kobiety, w jej oddechu wyczuwał zapach pomadki.

W taksówce Krista wpatrywała się w niego długo i badawczo, wyraźnie tknięta nową myślą. Wargi miała rozchylone.

– Jesteś tylko w tej głowie.

– Przepraszam?

– Ty. Naukowiec. Zawsze w tej głowie.

– W mojej głowie?

– W tych myślach. Nigdy w emocjach.

– A, o to ci chodzi. No tak. Pewnie masz rację.

– Młodą macie tę kulturę. Niedojrzałą.

– A, to wy macie tę starą?

– Reakcja, reakcja! Dobrze, Joe.

– W którym roku otworzyliście to wasze metro? W Bostonie kolej miejska wjechała pod ziemię w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym!

– Joe, obraziłeś się! Dobrze, reakcja! Bardzo dobrze.

– Przepraszam, ale wcale się nie obraziłem.

– Tyle macie tych czarnuchów – powiedziała Krista.

– Czarnuchów?

– W Stanach...

– *You've got to be kidding me.* Jaja sobie robisz. Ty *naprawdę* użyłaś przed chwilą tego słowa?

– W Stanach czarnuch nigdy nie mógłby zostać prezydentem.

– Tyle w Finlandii mówicie o równouprawnieniu – powiedział Joe – ale w tym kraju kobieta nigdy by nie mogła zostać prezydentem.

– To zupełnie inna sprawa.

– Coś takiego.

Krista wyciągnęła nagle rękę i Joe miał wrażenie, że zaraz mu wykluje palcem oko.

– Ej!

Chwycił ją za rękę.

– Zaczekaj. Masz tę... no, jak to po angielsku... w oku? To coś.

– A, rzęsa.

– Dmuchnij. I pomyśl sobie życzenie.

Dmuchnął. Nagle mu się wydało, że Krista spojrzała na niego łagodniej, niemal serdecznie. Był zupełnie zbity z tropu.

– Pomyślałeś życzenie?

– Tak.

Patrzyła na niego, jakby na coś czekała, i z powodu, którego nie potrafił sobie ani wtedy, ani nigdy potem wytłumaczyć, zrobił to, na co Krista z pewnym siebie uśmiechem czekała od co najmniej godziny: wpił się w jej szerokie usta. Był wściekły i zarazem szczęśliwy, że to zrobił, bo wbrew wszelkiej sprawiedliwości i uczciwości, wbrew temu, jak powinien być urządzony ten świat, żaden pocałunek nie sprawił mu nigdy takiej rozkoszy. Życie jest bezsensowne, życie jest piękne: Joe niczego tak bardzo nie pragnął, jak właśnie tego, a przecież była to ostatnia rzecz na świecie, jakiej mógłby pragnąć. Za dużo wypili, lecz w końcu słowa mieli już za sobą i zasapani, potykając się, biegli do jej mieszkania w Espoo. W łóżku głośno krzyczała, a chwilę po tym, jak skończył, usłyszał, że nie miała orgazmu. Co było podobno sprawą wyjątkową, bo sama doprowadzała się do orgazmu bez trudu, miała je zawsze, ile i kiedy tylko chciała, pojedyncze i wielokrotne, sama i z innymi, zawsze, z mężczyzną i kobietą.

W taksówce do domu Joe miał kaca moralnego: czuł się jak szmata do

podłogi w toalecie helsińskiego dworca. W łóżku Kristy wzajemna atrakcyjność przysła natychmiast, jeśli w ogóle można było mówić o czymś takim wcześniej. Z każdego doświadczenia w życiu można wyciągnąć taką czy inną życiową lekcję; z tego wieczoru na całe życie zapamiętał, że w seksie można się czuć podobnie jak na helsińskiej ulicy, gdy brnie się po kostki w lodowatej chlapie. Sam dotyk, po długiej abstynencji, graniczył z doznaniem magicznym, lecz rozkosz skończyła się na tym jednym długim pocałunku w taksówce i gdy potem go sobie przypominał, był pewny, że nawet krótki pocałunek z Aliną byłby milion razy głębszy i pełniejszy.

Myślał o Aleksandrze, Alinie i Kriście, i o tym, że chociaż na świecie jest tyle kobiet, to nagle czuje się tak, jakby nigdzie nie było ani jednej dla niego. Zdradził Alinę najpierw mentalnie z Aleksandrą, a teraz także fizycznie z Kristiiną i nie umiał wymienić ani jednej dziedziny życia, której by nie zdążył całkowicie spieprzyć.

Później usiłował pocieszać się myślą, że i tak by nie uratował swojego małżeństwa, choćby nawet w tamten wieczór zrobił wszystko inaczej, i że na pewno do niczego by wtedy nie doszło, gdyby między nim a Aliną wszystko było dobrze. Nie usprawiedliwiało to oczywiście jego czynu, mogło być jednak, mimo wszystko, prawdą.

Później miał wrażenie, że cały tamten okres przeżył za niego zupełnie inny człowiek; kiedy po epoce beznadziei w Finlandii wrócił do pracy i normalnego życia w Stanach, nie potrafił sobie wyobrazić, by mógł kiedykolwiek tak się zachowywać.

Krista jeszcze długo przysyłała mu do Stanów pocztówki ze zdjęciami ceramiki dołkowo-grzebykowej z helsińskiego Muzeum Narodowego. Na odwrocie pisała:

„Twoje małżeństwo się skończyło – ale może tak jest lepiej?

Musisz wiedzieć, że między nami było coś zupełnie wyjątkowego”.

X

Niecałe dziesięć dni po pojawieniu się truchła na trawniku przed domem wszyscy omal nie dostali zawału serca. O szóstej rano na dworze rozległ się ryk syreny mgłowej, której poza statkami używa się chyba tylko na hokejowych trybunach i fińskich juwenaliach. Kiedy sygnał w końcu przebrzmiał, usłyszeli szczekotliwy bełkot, jakby jakiś robot wygłaszał przez megafon historię swojego nawrócenia na zgromadzeniu modlitewnym.

Rozespana Daniella zaczęła płakać. Miriam wyskoczyła z łóżka zwarta

i gotowa do natychmiastowej ewakuacji: dzieci do piwnicy, dalej, już, już, nadciąga huragan.

Kiedy Joe włożył szlafrok i kręcąc z niedowierzaniem głową, ruszył schodami na dół, zobaczył przez okno na skraju trawnika pięć postaci w maskach gazowych i gumowych kombinezonach. Jedna z nich darła się przez megafon, reszta powtarzała chórem: *Shame on you! Shame on you!* „Wstydz się! Hańba!”. Co pewien czas operator syreny uruchamiał urządzenie i ryk natychmiast zatykał Joemu uszy.

Nie wierzył własnym oczom, aż musiał wyjść w szlafroku na podwórze; było jeszcze chłodno i trawę pokrywała rosa. Próbował dostrzec twarze czy choćby oczy pod maskami, ale każdy centymetr kwadratowy ciał intruzów był tak dobrze zakryty, że nie potrafiłby nawet określić koloru skóry ani włosów. *Shame on you! Shame on you!* Na widok Joego na schodach intruzi na chwilę zamarli. Spojrzeli po sobie i Joemu się zdawało, że usłyszał słabe, stłumione parsknięcia. Ale po chwili znowu: *Shame on you! Shame on you!*

W całej tej sytuacji było coś tak dziecinnego, że Joe z trudem się powstrzymał, żeby nie obrzucać ich kamieniami albo nie pokazać im gołego tyłka.

– Ej, słuchajcie no! – wrzasnął i ruszył w ich stronę. Teraz wyraźnie usłyszał parsknięcia śmiechu. Jeden z intruzów spojrzął na pozostałych i rzucił się do ucieczki. Za nim ruszyli inni. Krzyczący przez megafon głosem robota został najdłużej – *Shame on you! Shame on you!* – ale już po chwili cała piątka wybiegła na ulicę. Joe widział, że typy wskakują do furgonu – jasnoszarego albo może białego, tylko brudnego, jak później powiedział policjantom – i auto odjeżdża. Jeszcze raz rozległ się bezczelny ryk syreny mgłowej, a potem zaległa cisza. Po intruzach zostało tylko sześć dużych tablic wbitych w ziemię przy domach najbliższych sąsiadów Joego, na których nagryzmołono odręcznie:

YOUR NEIGHBOUR IS A MURDERER

„Twój sąsiad jest mordercą”. Pod spodem widniały imię i nazwisko Joego, jego adres i numer telefonu. I uśmiechnięte zdjęcie paszportowe – to samo, które można było znaleźć na stronie instytutu w internecie.

Joe usłyszał, że Daniella pyta cicho Rebeccę, czy ktoś będzie mógł teraz wejść także do domu.

Podszedł do dziewczynek i powiedział z niezachwianą pewnością w głosie:
– Nie. Nikt nigdy nie wejdzie do naszego domu.

Wiedział jednak, co myślą jego córki: jeżeli ktoś może wejść na nasz teren, kiedy śpimy, zaśmiecić nam cały trawnik i stanąć w szeregu pod oknem, *tak że nikt z nas się nawet nie obudzi...*

– Posłuchajcie – powiedział Joe, zaglądając córkom w oczy. – Nie ma się czym martwić. Naprawdę. To sprawa dla dorosłych. Ci ludzie organizują swoje protesty w niewłaściwym miejscu. Oni nie rozumieją, że tak się tych spraw nie rozwiązuje.

Daniella nabrała powietrza w płuca i Joe miał wrażenie, że po raz pierwszy od dłuższego czasu całkiem się wyprostowała. Początki dojrzewania nie zdążyły jeszcze zachwiać zaufaniem jedenastolatki do rodziców: tata wie, jak jest. Ale Rebecca nie miała już jedenastu lat: kiedy ją spytał, o czym myśli, spojrzała na niego z rezerwą i nic nie odpowiedziała.

Potem poszła do swojego pokoju i zamknęła mu drzwi przed nosem. Daniella podreptała na dół. Joe został pod drzwiami starszej córki z poczuciem bezradności, które dla rodziców dorastającej dziewczyny jest chlebem powszednim na równi ze spaniem i jedzeniem: z rogu obfitości nastoletniej tyranki spływa na nich codziennie kaskada upokorzeń.

Incydent okazał się jednak bardziej przytłaczający niż zwykle. Przez chwilę Joe miał wrażenie, że nikt już niczego nie kontroluje i że w każdej chwili może się wydarzyć naprawdę wszystko. Uczucie było nowe i mocno mu ciążyło. Z włączonego telewizora na dole buchnęło ogłuszające cykanie cykad.

Bo o trudnych sprawach trzeba milczeć jak grób Helsinki, Finlandia

Poranek był chłodny. Przed nagraniem, kiedy szła do budynku telewizji, siąpił zimny deszcz. Po południu wypogodziło się jednak i niebo było teraz oślepiająco błękitne.

Alina otworzyła drzwi swojego samochodu. Świecące na bezchmurnym niebie słońce po raz pierwszy tego roku naprawdę grzało. Rano się bała, że w sukience bez rękawów będzie jej w studiu zimno, i teraz tamta myśl wydała się jej zabawna. W świetle reflektorów czuła się jak w piecu.

Zerknęła na zegarek w komórce, czy nie musi się spieszyć. Pielęgniarki w szpitalu nie były zasadnicze, wołała jednak przestrzegać wyznaczonych godzin wizyt, żeby chociaż w taki sposób wynagrodzić im to, że ojciec w ubiegłym tygodniu znowu się zdenerwował i tak mocno ścisnął rękę jednej z nich, że wyskoczył jej siniak. A tydzień wcześniej nazwał młodą pielęgniarkę kurwą i uszczypnął ją w pupę.

Alina uruchomiła silnik i ruszyła powoli w stronę bramy parkingu przy gmachu telewizji. Zalane słońcem miasto miało w sobie coś pocieszającego: brzozy w nieśmiałych pąkach, na poboczach pierwsze podbiały. Może wreszcie zacznie się wiosna. Zwały nieśmiertelnego brudnego śniegu ze zwirem okalały ulice jeszcze w połowie kwietnia; początek miesiąca był rekordowo zimny. Wyjechała z parkingu i zmieniła bieg, zastanawiając się, jak dyskusja w studiu będzie wyglądała z drugiej strony ekranu.

„W każdym razie dobrze, że o tym rozmawiamy” – powiedziała pod koniec dyskusji do kamer sympatyczna przedstawicielka socjaldemokratycznej młodzieżówki, dwudziestolatka z głową nabitą wzniosłymi ideami. Wszyscy pokiwali głowami, Alina również.

Dlatego też zgodziła się na udział w Wielkiej Debacie bez zastanowienia: bardzo chętnie znowu się wcieli w rolę specjalistki, która po raz kolejny powie dokładnie to, co dziennikarze chcą od niej usłyszeć. Jej opinia będzie na pewno doskonałym dopełnieniem wypowiedzi przedstawiciela stowarzyszenia imigrantów, tolerancyjnej pisarki i dyżurnego rasisty kraju. I choć w tym, co powiedziała, nie było nic nowego, widocznie ciągle potrzebują kogoś takiego jak ona, żeby w kółko im klepać te same banały.

To była jedna z tych paru rzeczy, których się nauczyła po ukazaniu się

książki: idea nie istnieje bez rozpoznawalnej twarzy. Świata nie interesują opinie, argumenty ani informacje, lecz ludzie, którzy za nimi stoją. I dlatego była im potrzebna – jako twarz, której widok znów przypomni Finom, że nie każdy imigrant jest analfabetą uciekającym z ogarniętego wojną Rogu Afryki; jako osoba, z którą widz może się zgodzić lub nie zgodzić. Z książką utożsamić się nie można.

Była to dla niej niespodzianka. I ciągle dostrzegała w tym jakiś absurd, że książkę trzeba reprezentować – zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, że jako kobieta i pisarka jest mało reprezentacyjna i że w książce wyklada swoje racje znacznie lepiej niż na żywo. Czy jakaś aktorka lepiej by się nie nadawała do tej roli? Można by jej napisać dokładny scenariusz i kwestie...

Z czasem jednak to polubiła. I miała wrażenie, że także w dzisiejszej dyskusji argumentowała przekonująco, wygłaszając – inaczej niż przewodnicząca młodzieżówki, której słuchacze mieli już czasem serdecznie dość – pewnym głosem związane kwestie o tym, że do Finlandii przyjeżdża z Europy Zachodniej, ze Stanów Zjednoczonych i Azji mnóstwo ludzi wykształconych, inteligentnych i ambitnych, którzy nie umieją znaleźć dla siebie miejsca w tym kraju, chociaż w innych krajach zachodnich im się to udaje. Na tym etapie miała już statystyki wykute na blachę. Właściciel wietnamskiej restauracji, aktor znany z brutalnych ról filmowych i administrator strony rozpowszechniającej antyimigrancki hejt w przerwach między swoimi wypowiedziami słuchali jej uważnie: większość przyjeżdżających do Finlandii osób dobrze wykształconych chce osiedlić się tu na stałe, a w każdym razie teoretycznie mogłaby to zrobić. Nawet powód jest zawsze ten sam: żona Finka. A jednak – choćby nie wiadomo ile umieli i do jakich poświęceń byli gotowi dla swojej rodziny – wiele jawnych i mniej jawnych praktyk stosowanych na rynku pracy nie pozwala im znaleźć stałego zajęcia.

Pojutrze się okaże, które komentarze wycięto, a które zostawiono. Ciągle było dla niej zagadką, dlaczego wszyscy tak grzecznie jej słuchali, dlaczego nikt nawet nie próbował z nią polemizować. Powód mógł być prosty, a mianowicie: z jej wypowiedzi wyciągano wnioski, że stoi po stronie zamożnych, białych chrześcijan – co nie do końca było prawdą. Najbardziej gwałtowne emocje i kontrowersje budzili zawsze uchodźcy ze wschodniej i północnej Afryki. Resztę – a to właśnie ich orędowniczką była Alina – uprzejmie ignorowano; byli tylko przerywnikiem we właściwej dyskusji.

Jakie łatwe i nieskomplikowane jest wszystko za drugim razem, pomyślała,

zatrzymując się na światłach przy Centrum Targowym. Na brudnej tylnej szybie stojącego przed nią kombi zobaczyła naklejkę *Baby on Board* i uzmysłowiła sobie, że rozważała to już wielokrotnie: dla Taisto i Ukko była zupełnie inną matką, tak jak dla Henriego była zupełnie inną żoną, pewniejszą siebie i spokojniejszą. Przy Henrim nie musiała się bać, że mąż niespodzianie zniknie albo powie, że nigdy nie kochał.

Wszystko w ogóle było inaczej, od samego przedszkola. Uśmiechnięta miłośniczka deszczu i niepogody Leena od razu przyjęła ich ciepło i serdecznie, wyściskała i powiedziała: „Damy radę! Zawsze dawałyśmy!”.

Alina do tej pory nie mogła wyjść z podziwu, jak Leena umiała sobie radzić z rozkapryszonymi dziećmi. Kobieta zawsze powtarzała, że to dobrze, że dzieci mają własną wolę i że potrafią wyrażać swoje zdanie i przy nim obstawać. Leena miała po prostu prawdziwe powołanie.

Szkoda, że Samuel nie miał takiej Leeny – to była pierwsza myśl Aliny.

„Nikt z was nie ma w pracy nawet w połowie tak wesoło, jak my tutaj codziennie”, powiedziała Leena na pierwszym spotkaniu z rodzicami i wybuchnęła tak serdecznym śmiechem, że Alinie napłynęły do oczu łzy. Od razu pokochała tę kobietę.

Leena stała się dla niej wzorem, co uprzytomniła sobie dopiero później, kiedy dzieci poszły do różnych grup i spostrzegła, jak bardzo jej brakuje ich pierwszej przedszkolanki: kobiety obdarzonej i zdrowym rozsądkiem, i wielką empatią, która bardzo kocha dzieci – nawet mówi o nich „*nasze pociechy*” – ale nie papple i nikogo nie ignoruje, nikogo nie stresuje. Damy radę! No i jeszcze to: posiłki to najlepszy punkt programu! Leenie nie przyszłoby nawet do głowy, żeby nie jeść razem z dziećmi, przy jednym stole. Nie uwierzylibyście, jakie wesołe mamy obiadki!

Kiedy Alina poznała Leenę, od razu wiedziała, że chciałyby być taka jak ona. I – pewnie za sprawą jednej z tych pokrętnych zasad, które kierują Wszechświatem – po latach miała wrażenie, że tak się właśnie stało.

Jedyna rzecz, której Leena nie dostrzegała, to problemy Ukko. Zdiagnozowano je dopiero w zerówce. Dla Leeny Ukko był po prostu oryginalnym, delikatnym i refleksyjnym chłopcem. Zresztą do dziś zdania nie zmieniła, mimo diagnozy. Alina powiedziała jej o niej, kiedy wpadły na siebie w jakimś sklepie.

Inna rzecz, że w przedszkolnych latach Ukko takich diagnoz jeszcze nie stawiano. Medycyna rozwija się dzisiaj tak szybko.

Inaczej niż z Samuelem, przy Taisto i Ukko od samego początku miała całkowitą jasność co do swojej roli. Zbiegło się to osobliwie z tym, że Henri

jeszcze się wtedy nie odnalazł zupełnie w roli ojca. Dziwne, ale to, że dla niego wszystko było po raz pierwszy, utwierdziło ją w zaufaniu do własnego rodzicielstwa. Wspomnienie swojej małoduszności z czasów, gdy Samuel był mały, wydawało się nierzeczywistym, koszmarnym snem.

Nawet te jego trudności artykulacyjne, w których widziała już początek dożywotniej spirali osamotnienia i uzależnień, były wyłącznie skutkiem jej panikarstwa. W końcu wszystkie minęły same – wbrew opinii specjalistów, którzy od samego początku prorokowali trwałą niesprawność. Czasem przez głowę przebiegała jej myśl, czy ci wielcy specjaliści nie mogli po prostu służyć jej wsparciem, kiedy najbardziej go potrzebowała.

A do tego pytania wracała nieraz: Czy nie można by z takim spokojem przeżyć całego życia? Może wszystko ułożyłoby się dobrze, nawet gdyby się człowiek tyle nie martwił?

Więc teraz martwiła ją tylko ta rozprawa Samuela. Rozprawy, poprawiła się w myślach; przywykła już myśleć o tym wszystkim jak o jednym wielkim paśmie nieszczęścia, choć w rzeczywistości każda jego część będzie rozpatrywana oddzielnie.

Ale na tym etapie na żadną z tych spraw nie można już było w żaden sposób wpłynąć – a już najmniej mogła ona, która zupełnie nie znała się na prawie. Samuel zrobił, co mógł, policja otrzymała jego ostatni wniosek, poprzednie dochodzenie zostało zamknięte i sprawa będzie miała dalszy ciąg na sali sądowej. I pozostałe, które dopiero policja zaczynała badać – tutaj też martwienie się nic jej nie pomoże. Zwłaszcza teraz, kiedy Samuel jest w Stanach.

Zaproszony na konferencję, ma tam zabrać głos: jej dziecko jako jeden z tych młodych odważnych. Dumę zmacił od razu wyrzut sumienia. Mówi się, że w sprawach kontrowersyjnych trzeba słuchać głosu serca, ale z tym Alina miała problem – jej serce mówiło dwoma głosami. Któremu wierzyć?

Wszystko zależy od tego, którego posłucha.

Zahamowała, żeby przepuścić na przejściu młodego mężczyznę z dzieckiem w wózku. Czekając, opuściła boczną szybę i przyglądała się łysym podwórzom i nagim jeszcze brzozom. Przez myśl znów przemknęło jej pytanie: czy Joe wie, z kim przestaje Samuel? Zastanawiała się nad tym w ostatnich dniach coraz częściej.

Trzeba mu było powiedzieć – zakrakał kruk z dachu śmietnika przy bloku.

Ten niesamowity podziw Samuela dla ojca. Zawsze ją tym ranił, zbyt głęboko. Powinna była powiedzieć Joemu przez telefon, czym się obecnie zajmuje jego syn, jakim się stał człowiekiem, lecz nie potrafiła. Oczywiście

w jego przemianie nie było nic dziwnego ani groźnego. Ale byłoby dobrze, żeby Joe wiedział.

Po tamtej przerwanej nagle rozmowie gapiła się z pilotem w rękę w wyciszony telewizor, którego nagle nie potrafiła z powrotem włączyć. Ileż to lat pielęgnowała do Joego złość za to, że nigdy nie dbał o kontakt z synem. Uwewnętrzniła ją potem i przekształciła w rutynę; zawsze, kiedy wiatr wiał jej w oczy za mocno i nic się nie układało, miała za oceanem oczywistego sprawcę wszystkich swoich rozczarowań. Czy to naprawdę aż tak trudne, chwycić za telefon i zadzwonić? – gderwała na Joego, taszcząc w deszczu cholernie ciężkie torby z zakupami. Chyba można było *jakoś* podtrzymywać kontakt z synem?! – krzyczała w myślach na byłego męża, wypominając Samuelowi, że zostawił na boisku drogie, nowe buty piłkarskie i potem już ich nie znalazł.

Uzmysłowiła sobie wyraźnie perspektywę Joego dopiero po tamtej rozmowie, kiedy sama nie zdołała nic powiedzieć: to jednak wcale nie jest takie łatwe.

Nauczyciele lubili Samuela od zawsze.

Alina przypomniawszy sobie jego nauczyciela biologii, który na spotkaniu z rodzicami w szkole przepowiedział jej w cztery oczy, że jeżeli ktoś z tej klasy ma coś w życiu osiągnąć, to będzie to właśnie Samuel. Biolog był ekscentrycznym cholerykiem, z którym mało kto potrafił znaleźć wspólny język. Uważano go powszechnie za aspołecznego geniusza. Samuel za wiele o szkole nie opowiadał, ale nawet z jego nielicznych słów Alina wywnioskowała, że między jej synem a biologiem zawiązała się jakaś szczególna przyjaźń.

I tylko jedna nauczycielka jej powiedziała, w gimnazjum, że Samuel jest niebezpieczny. A to dlatego – wyjaśniła – że reszta klasy robi dokładnie to, czego chce jej syn, i ona jako matka powinna zadbać o to, żeby Samuel nauczył się poważać autorytety.

Potakiwała głową: oczywiście, będzie musiała o to zadbać. I zaraz w myślach zadawała sobie pytanie: Ale jak? I zaraz potem: Czy każdy autorytet, bez szemrania?

Nauczycielka nie dawała sobie rady z klasą, jeżeli Samuel nie stanął po jej stronie. Podobno jej syn umie przekonać resztę nawet wtedy, kiedy nie ma racji.

Samuel już jako dziecko potrafił zapomnieć o swoim mizernym wzroście i bronić na szkolnym dziedzińcu chłopca z innej klasy, do którego się

pryczepiły starsze łobuzy. Alina była dumna z syna, ale z drugiej strony przerażała ją wizja problemów, na jakie będzie się narażał taką postawą.

Przypomniała sobie też jednego nauczyciela z liceum. Ten znów miotał się z powodu prezentacji, którą Samuel miał podobno odwalić byle jak, na kolanie: piętnastoletni smarkacz postanowił zagrać na nosie całej klasie i nauczycielowi przedmiotu. Samuel sam był zdumiony takimi zarzutami: twierdził, że próbował tylko sumiennie wyjaśnić zagadnienie, ściśle według polecenia.

Temat prezentacji brzmiał: „Co każdy z nas może zrobić dla świata?”.

„I co było w tej jego prezentacji?”, spytała Alina nauczyciela i choć rozmawiali przez telefon, na policzki wystąpił jej rumieniec wstydu. Trzymała na rękach czteromiesięcznego Ukko, który w każdej chwili mógł wypłuć cycek z buzi i zaraz zacząć się wydzierać, że nie ma cycka w buzi.

„To było takie... wymądrzanie się – odpowiedział nauczyciel. – Jakby chciał nam wszystkim pokazać, że jesteśmy bandą matołów, i że on nie będzie się zniżał do naszego poziomu”.

„Bardzo pana przepraszam”, powiedziała Alina. Starła się siedzieć bez ruchu, żeby niemowlę nie zaczęło płakać przed końcem rozmowy.

„Że on to niby jest ponad takie rozważania. Uwielbia się popisywać”.

„Porozmawiam z nim”.

„Pomyślałem, że zadzwonię, bo... z takim zachowaniem to nawet taki bystry chłopak jak on... to tylko chciałem pani powiedzieć. Przecież ja im te zadania dla ich dobra daję. Przecież my im tu na złość nie chcemy nic robić”.

„Tak”.

„Mama! – usłyszała wtedy w dużym pokoju krzyk dwuletniego Taisto. – *Mamaa! Ja chce wideto! Masz mi zaraz włączyć wideto!*”.

„Więc gdyby tak mógł trochę się opamiętać”.

Dociskając telefon barkiem do ucha, Alina przeszła powoli do dużego pokoju z dzieckiem przy piersi i włączyła płytę z Muminkami.

„Tak, oczywiście, dziękuję za telefon”, powiedziała Alina i poczuła, że nie lubi tego człowieka, mimo że nie rozmawiała z nim nawet pięciu minut przez telefon.

Poprosiła Samuela, żeby pokazał jej swoją prezentację, kiedy ułożyła Taisto do poobiedniej drzemki, a Ukko zajął się na chwilę grzechotką na podłodze. Był to czysto ekonomiczny tekst z nawiązaniem do analiz George’a Akerlofa, Michaela Spence’a i Josepha Stiglitz’a o asymetrii informacji na rynku. I przemyśleniami zaczerpniętymi z książki jakiegoś Golemana. Dopiero później się dowiedziała, że Akerlof, Spence i Stiglitz dostali Nobla

z ekonomii.

- Skąd to wszystko wzięłeś?
- Z sieci.
- Sam to wszystko napisałeś?
- Nie, psor mi trochę pomógł.
- Dlaczego nie napisałeś na zadany temat?

- Próbowałem! Nawet zacząłem i miałem już pierwszy punkt, że nie kupuj normalnych rzeczy, tylko z naturalnej bawełny. Ale potem... przeczytałem o tych bluzkach z naturalnej bawełny, że one też są barwione bardzo groźnymi truciznami, które przenikają do wód gruntowych, i że pracownicy tych farbiarni sto razy częściej chorują na białaczkę, no więc wysłałem maila do ojca i napisałem mu...

- Do Joego?
- Tak.
- Do Ameryki?

Alina poczuła, że serce zaczyna jej bić szybciej. Samuel patrzył na matkę, wyraźnie nie wiedząc, o co jej chodzi.

- No, gdzie teraz mieszka, nie wiem.

Alina przejrzała anglojęzyczny artykuł, w którym autor streszczał poglądy laureatów ekonomicznego Nobla na temat informacji dostępnych sprzedawcom i nabywcom. Poczuła ścisk w żołądku, zanim jeszcze się wyjaśniło, że Samuel dostał ten artykuł od Joego.

- Wysłałeś mu maila? - starała się powiedzieć to normalnym, neutralnym tonem. - Naprawdę?

- A co, nie wolno?
- Oczywiście, że wolno. Tylko że...

Poczuła wyrzuty sumienia, nie powinna tak go maglować. Dziecko powinno przecież mieć jakąś relację z ojcem, naprawdę tak uważała.

- Co masz taką minę?
- Nie wiedziałam tylko, że... Że utrzymujecie kontakt.

Ukko pomrukiwał z coraz większym niezadowoleniem i wiedziała, że zaraz będzie musiała do niego podejść. Dzieci są cudowne, tylko że po porodzie trzeba zawiesić wszelkie rozmowy na mniej więcej dziesięć lat.

- Nie utrzymujemy - odpowiedział Samuel. - Tylko... nie wiedziałem, kogo innego mógłbym poprosić o pomoc.

- No, jeszcze ja tu jestem. Co? Co tak na mnie patrzysz?
- Ale *haloo*.
- Co?

– Akurat *ty* byś mi pomogła. *Bardzo*.

Próbowała się nie obrazić.

– Nie bój się, ja też potrafię wyjaśniać różne sprawy. Ale... jaki to ma związek z tą prezentacją?

– No, zacząłem od tego, że można kupować koszulki z naturalnej bawełny, a nie takie zwyczajne – powiedział Samuel, idąc za Aliną do drugiego pokoju.

– No i? – Wzięła niemowlę na ręce, usiadła w fotelu i uniosła klapkę stanika. Ukko kręcił się niecierpliwie i trącał ją główką, jakby chciał się wwiercić jej do środka.

– Ale potem przeczytałem tamten artykuł. I już nie wiedziałem, czy to coś pomoże.

– I spytałeś Joego?

– Tak. I on mi odpisał, że problem polega na tym, że na rynku jest asymetria informacji.

– Asymetria?

– Sprzedający wiedzą więcej niż kupujący.

– Czyli że...

– No, na przykład, w jaki sposób są produkowane ich towary. Jakie ścieki spuszcza się do rzek, ile rtęci mają we krwi dzieci z tej a tej wsi z tego powodu, że jest tam właśnie taka a taka fabryka.

– No i właśnie dlatego trzeba dobrze wiedzieć, co się kupuje!

Alina była zła, że Samuel drażnił się z nauczycielem, kiedy wreszcie trafiło mu się zadanie, które go wyraźnie zainteresowało, i mógł pokazać, na co go stać.

– Przecież to my, konsumenci, mamy władzę – ciągnęła. – Nie możemy być samolubni i kupować tylko tego, co chcemy, chociaż...

Samuel nagle się zaperzył, jakby go ktoś kopnął.

– Wszyscy to w kółko powtarzają, ale to nieprawda! To nie my mamy władzę, bo nie wiemy, jak się to wszystko produkuje! A ten telefon, który sobie właśnie kupiłaś? Przecież dopiero co wyszło na jaw, że jest w nim ten no... jak to się nazywa? I przez to coś dwustu pracowników fabryki zachorowało. I ty właśnie kupiłaś ten telefon! Bo uznałaś, że to dobry sprzęt!

Z pokoju dzieci dobiegł tupot małych stóp: do tego wszystkiego jeszcze Taisto się obudził. Dlaczego ten chłopak nie chce spać po obiedzie, jak wszystkie normalne dzieci?

– No tak, ale już go nigdy więcej nie kupię – powiedziała Alina. – Ani nikt inny. Dzisiaj informacje rozchodzą się błyskawicznie. Zawsze wybucha skandal, kiedy wychodzą na jaw takie rzeczy.

– Może w jednym przypadku na tysiąc. I wtedy ludzie zaczynają unikać tego jednego produktu tego jednego producenta. Tylko że dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć pozostałych jest równie złych. Wszystkie produkuje się w krajach, gdzie środowisko naturalne i pracowników można traktować, jak się chce, bo tam to się opłaca.

– To skąd mamy wiedzieć, co można kupić?

– O to właśnie chodzi! Że nie możemy! I o tym właśnie jest ten artykuł! O asymetrii informacji. I dlatego...

– O! Cześć! – powiedziała Alina do Taisto, który wszedł w samych majtkach do dużego pokoju. Nie chciała stracić wątku w rozmowie z Samuelem i już miała mu powiedzieć, żeby mówił dalej, ale Taisto właśnie oznajmił, że ma siusiaka.

– Noo! – odpowiedziała synowi, starając się powitać to ważne odkrycie z należyтым entuzjazmem.

Samuel cierpliwie czekał. Alinę dręczyło poczucie winy. Nie mogła już niczego przegadać z najstarszym synem do końca. Powinna być bardziej stanowcza.

– Asymetria informacji? – spytała.

– Tak. Dlatego nic nie możemy zrobić dla świata. Konsumenty niby mają...

– Taisto, jesteś głodny? Przepraszam, Samuel, nie przerywaj.

– ...niby mają jakiś wpływ, ale że nie wiedzą, na co faktycznie wpływają przez swoje wybory konsumenckie i w jaki sposób, to cały ten system to jedna wielka tyrania. I dlatego nawet połowa mojej klasy mówi mi ciągle: wrzuc na luz, wali mnie to.

– To straszne. Każdy powinien być choć trochę aktywny.

– Ty masz siusiaka – odezwał się Taisto.

– To nie tak! To nie powinno być takie skomplikowane! Przeczytałem właśnie...

– Mama, ty masz *siusiaka*! – powtórzył głośniej Taisto.

– ...że na każdy kilogram szkła opakowaniowego...

– Tak, Taisto, mam siusiaka.

– ...potrzeba na różnych etapach procesu produkcyjnego sześćset pięćdziesiąt dziewięć różnych składników. Chromu, srebra, kryptonu, kwasu izocyjanowego.

– Zwykłego szkła?

– Szkło produkuje się w ten sposób, że topi się piasek w piecach w temperaturze tysiąca stu stopni – ciągnął Samuel. – Ale gdy przyjrzeć się tym trzynastu głównym procesom technologicznym, dzięki którym z piasku

powstaje słoik do dzemu, to tworzą one łańcuch złożony z tysiąc dziewięćset pięćdziesięciu dziewięciu elementów zwanych operacjami jednostkowymi. Zwykły słoik. Prawie dwa tysiące odrębnych operacji jednostkowych. Z których każda składa się z setek podprocesów. Na przykład potrzebny jest ług, a więc i chlorek sodu, wapien, woda amoniakalna, paliwo i prąd, i to wszystko trzeba dostarczyć do fabryki.

– Że też ci się chciało to wszystko ustalać – powiedziała z podziwem Alina.

Nie mogła jednak spuszczać oka z Taisto, który poczłapał do półki z płytami i zaczął wyrzucać po kolei kompaktki na podłogę. Co chwilę zerknęła więc na Samuela, żeby nie miał poczucia, że przestała go słuchać. Trzaskały rozbijane o podłogę plastikowe opakowania. Ukko nadal ssał jej pierś.

– W trakcie procesu produkcji szkła do wód trafia mniej więcej sto różnych związków chemicznych, do ziemi jakieś pięćdziesiąt, a do atmosfery dobrze ponad dwieście. Obliczyłem, że mniej więcej dwadzieścia procent zanieczyszczeń środowiska pochodzących z tego słoika może być po stronie prądu, czyli produkcji energii niezbędnej do rozgrzania pieca, ale zakres oddziaływania na środowisko zależy tu oczywiście od tego, jak ten prąd się wytwarza.

– Tego nie możesz wiedzieć.

– No nie mogę! I nikt nie może, kiedy to takie diabelnie skomplikowane. Choć raz próbowałem zrobić coś porządnie. Próbowałem przygotować prezentację, która wyjaśni, jak ten cały system działa. Zgodnie z poleceniem. „Co każdy z nas może zrobić dla świata?” – to właśnie starałem się wyjaśnić. Ale w tym cały problem, że jeśli brać pod uwagę szkodliwość dla zdrowia, to przy produkcji słoika najgorsze są chyba węglowodory aromatyczne, które stanowią mniej więcej siedemdziesiąt procent negatywnych oddziaływań. Myślę tu teraz o ryzyku zachorowania na raka.

– To niesamowite, że tak dokładnie to wszystko zbadałeś, ale... *Taisto!* Masz natychmiast przestać rzucać te płyty!

– Ale co?

– Ale twój nauczyciel na pewno chciał...

– Mamo. Bez obrazy, ale Mäkelä nie jest szczególnie rozgarnięty.

– Może on chciał, żebyście wypisali takie... bardziej praktyczne rady. *Taisto!* Mama zaraz się rozzłości.

– A, żeby śmieci wyrzucać do śmietnika? Kupować ekologiczne produkty?

– No, coś w tym guście.

– Tylko że to gówno pomoże!

– Samuel!

– Trzeba zmienić cały ten system, a nie powtarzać w kółko tę samą śpiewkę, że możemy wszyscy coś zrobić, kiedy w rzeczywistości nie możemy nic!

– Recykling to wcale nie jest zły pomysł. Taisto, zaraz idę cię stamtąd zabrać.

– Dzięki, mamó. Mogłabyś mi częściej mówić o gospodarce światowej i jej skomplikowanym oddziaływaniu na środowisko naturalne oraz zdrowie i jakość życia ludzi na naszej planecie.

– Nie podoba mi się twój ton.

– Sama chciałaś wiedzieć.

Wieczorem, kiedy Taisto i Ukko już spali, Alina zapukała do drzwi pokoju Samuela i spytała, czy może wejść. Wcześniejsza rozmowa nie dawała jej spokoju.

Mam to samo, odpowiedział Samuel.

– Zastanawiałam się jeszcze nad tym... że wysłałaś maila do Joego.

Od razu zastrzygł uszami. Po długim wahaniu odważyła się go spytać, czy ma jakieś wspomnienia związane z ojcem.

Samuel wyglądał na obrażonego. Zaczęła nieporadnie tłumaczyć, jaki był jeszcze mały, kiedy Joe wyjeżdżał, i że jego wspomnienia mogą być nie do końca... No właśnie, jakie? Dokładne? Każde słowo natychmiast wydawało się niewłaściwe.

– Chodzi mi tylko o to, że może on nie jest... taki idealny, jak ci się wydaje.

– Co?

Próbowała wyjaśnić, że kiedy Samuel o nim mówi, Joe jest zawsze taki wspaniały i mądry, a amerykańscy profesorowie są symbolem niedościgłej doskonałości. Samuel spuścił wzrok.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że... że ty go w zasadzie w ogóle nie znasz.

Łzy na policzkach Samuela zupełnie ją zaskoczyły. Poczowała palący wstyd; lepiej jednak było się ugryźć w język.

– Na pewno go nie poznam – odpowiedział po chwili – jeżeli nie będę się do niego w ogóle odzywał.

Zaraz następnego dnia po tamtej rozmowie Alina zadzwoniła do Joego, po raz pierwszy od lat. Joe powiedział, że mail od Samuela był bardzo rzeczowy, nawet oficjalny. Syn go pytał, czy zakup koszulki z krótkim rękawkiem wyprodukowanej z ekologicznej bawełny jest korzystniejszy dla środowiska naturalnego niż zakup koszulki z normalnej bawełny. Joego ujęło, że Samuel

zwrócił się o pomoc w tej sprawie właśnie do niego.

Ponieważ nie ma zielonego pojęcia o przemyśle bawełnianym, a chciał synowi pomóc, spytał o to znajomego i wtedy się dowiedział, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż mogłoby się z początku wydawać. Dostał od niego artykuł popularnonaukowy o badaniach amerykańskich noblistów i przesłał go Samuelowi.

- Nie sądziłem, że może mieć z tego powodu jakiegokolwiek problemy.
- Jak widać może.
- Pewnie zagiął nauczyciela, co?

Alina usłyszała w słuchawce śmiech, Joe był najwyraźniej dumny z syna. To ją zdenerwowało. Łatwo mu zza oceanu podszyłać artykuły. Ale to ona musi wysłuchiwać potem skarg nauczycieli.

- Jego prezentacja była nie na temat.
- A mnie się zdaje, że Samuel wyrasta na człowieka, który potrafi samodzielnie myśleć.
- Jego nauczyciel jest innego zdania.

Joe uważał, że Samuel jest za bystry. *Na fińską szkołę*, dopowiedziała sobie zaraz w myślach. Joe po prostu nie miał odwagi dokończyć zdania.

– No, na doktoracie będzie już łatwiej – powiedział. *It'll get easier in graduate school.*

Przemilczała ten komentarz. Nie chciała zaczynać rozmowy, w której usłyszy zaraz, że w Stanach Samuel zdobyłby lepsze wykształcenie i że jeżeli naprawdę chce czegoś w życiu dokonać, to nie powinien zadowalać się okruchami, które przypadkowe podmuchy wiatru donoszą tam czasem z wielkiego świata. Finlandia ma najlepszy system oświatowy na świecie, ale o tym Alina nie chce z Joem rozmawiać. Gdyby tylko zeszła na ten temat, znalazłaby się od razu na niepewnym gruncie: Samuela trzeba natychmiast wysłać na najlepszy uniwersytet (Harvard, Princeton), żeby się dostał na najlepsze studia doktoranckie (Columbia, MIT), żeby dostał pracę na najlepszym uniwersytecie (Stanford, U Penn) – a już jest właściwie za późno! Już na poziomie gimnazjum trzeba go było posłać do elitarnej szkoły, gdzie życie jest piekłem i presja społeczna nie do wytrzymania, ale po której mógłby zrobić wielką karierę w Yale.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że jako członek mojej rodziny Samuel miałby na tym uniwersytecie darmową edukację?

- Joe.
- Upewniam się tylko, czy wiesz o takiej możliwości.
- Dziękuję za troskę. Już się upewniłeś.

– Tu miałbyś świetną szansę na to, żeby coś osiągnąć. W coś się zaangażować.

– Osiągnąć coś *tam*. Zaangażować się w coś *tam*. Przenieść się *tam* z całym swoim życiem.

– Alina. Wiem, że nie chciałaś wyjechać z Finlandii, i nikt tego od ciebie nie żąda. Ale czy jesteś pewna, że...

– Mówiłam o tym Samuelowi.

– Mówiłaś?

– Że nie musiałbyś płacić czesnego. Mówiłam.

– I on wie, że to czterdzieści tysięcy dolarów rocznie?

– Joe, nie dla wszystkich miejsce na dobrym uniwersytecie w Stanach jest najważniejszą rzeczą w życiu.

– Oczywiście, że nie, ale...

– Nie dla wszystkich przepis na życie to akademicki wyścig! Są inne wartości niż ciągła harówka!

– Liina, *please*. Nie mam żadnych ambicji względem Samuela. Chciałbym tylko, żeby wiedział, jakie ma możliwości.

– Jak to mawiał twój dziadek o was, profesorach? Ciężarowcy, którzy całe życie trenują tylko jeden miesiąc? Samuel nie chce być taki!

Kawki na trawniku sprzeczały się z nią w dwóch językach: „Skąd możesz to wiedzieć? *How would you know?* A co, jeśli chce?”.

Po rozłączeniu się była tak zła, że aż zakłęta na głos. Jeszcze kiedy wieczorem myła zęby, szorowała je tak mocno, że bolały ją dziąsła. Przecież doskonale wiedziała, że Joe jest protekcyjny i że Ameryka to dla niego pępek świata, więc dlaczego ciągle ją to tak bardzo złościło? Najbardziej jednak była wściekła na siebie: że jest taka drobna i krucha, że nie panuje nad swoimi emocjami. Że człowiek, którego nie widziała od nie wiadomo ilu lat, potrafi za każdym razem wzbudzić w niej takie emocje. Cholera jasna! Jeżeli nie będzie ostrożna, to spod tej wściekłości zaczną wyłazić coś innego, a na to coś innego najzwyczajniej w świecie nie ma teraz siły.

Jeszcze następnego dnia musiała się uspokajać, kiedy kręciła Taisto na karuzeli, a Ukko spał obok w wózku. Mieli z Joem różne zapatrywania i nie można było powiedzieć, że jedno ma rację, a drugie jest w błędzie. Po prostu patrzyli na życie z innej perspektywy.

Samuel sam zdecyduje, co zrobi ze swoim życiem. I bez względu na to, na co się zdecyduje, wszystko będzie dobrze.

Za drugim razem wszystko było łatwiejsze także dlatego, że nie musiała się

martwić o pieniądze.

To zaskakujące, jak inny jest świat dla dwojga pracujących rodziców i dla samotnie wychowującej matki. I chociaż Henri powtarzał, że pracuje w kobiecej, słabo opłacanej branży, to jednak prywatny gabinet oraz szkolenia i zlecenia eksperckie łątały dziury w budżecie. Alina słyszała, ile Leena dostaje w przedszkolu. Henri zarabiał dwukrotnie więcej.

Później żałowała, że w ogóle nie umiała się cieszyć dzieciństwem Samuela. Miała wrażenie, że przeżyła ten nadzwyczaj ważny okres życia najstarszego syna jak we mgle. Z niemowlęctwa Taisto pamiętała niespieszne słoneczne popołudnia, kiedy oboje budzili się z drzemki i z nosem przy jego łysej główce rozkoszowała się ciepłym zapachem rozspanego niemowlęcia. Latem robili sobie długie wyprawy do parku i gdy Taisto spał w wózku, całowali się z Henrim na trawie. Z małym Ukko po prostu musiała codziennie znaleźć chwilę na bezsłowne rozmowy; śmiech berbecia o cudownie okrągłej główce i czterech ząbkach łaskotał ją gdzieś głęboko w mózgu. Takie właśnie jest życie z dziećmi, wypełnione światłem.

Czasem czuła dziwne ukłucie żalu albo poczucie straty, jak gdyby za kimś tęskniła, nie rozumiała jednak, skąd się to bierze; przeżywała teraz przecież swoje najszcześniejsze chwile.

Czy niemowlęctwo dziecka jest dla wszystkich matek tak satysfakcjonujące i cudowne dopiero za drugim razem? Kiedy kobieta odważy się już rozluźnić?

Z Ukko i Taisto wszystko szło jak po maśle – mimo trudności z młodszym i późniejszej diagnozy. Natomiast mgliste i porwane od chronicznego braku snu wspomnienia z dzieciństwa Samuela wypełnione były tylko stresem i rozgoryczeniem.

Z drugiej strony – jakim cudem miała być wtedy silniejsza i doroślejsza? Przecież nie widziała nawet światełka w tunelu, które pozwoliłoby jej żyć choćby nadzieją na to, że jeszcze stworzą małżeństwo partnerskie i rodzinę o bajecznie bogatej historii, a ona znajdzie dla siebie interesującą pracę. Cierpienie spowodowane wyjazdem Joego łagodziła świadomość, że nie czeka jej gorzka samotność, lecz sycący wiek średni, kiedy kobiecie wolno już nosić powłóczyście pomarańczowe szaty i duże sztuczne perły, kiedy może się cieszyć świadomością, że życie ją czegoś nauczyło i guzik ją obchodzi, jak szerokie nogawki nosi teraz młodzież. Kiedy kobieta zna już siebie i swoje ciało. Alina nie potrafiła zrozumieć, jak mogła dawniej zazdrościć tym młodym, niepewnym kobietom – dzieciom! – które lęk przed życiem usiłowały zamaskować szorstkim obejściem i bardzo skąpą odzieżą.

Rozwód był przede wszystkim winą Joego. Ona potrzebowała wsparcia

i bliskości, której on nie potrafił jej zapewnić.

A gdybyś ty była wtedy inna?! – parsknął na nią gniewnie silnik zapuszczanej ciężarówki na budowie, którą właśnie mijała – taka jak teraz?! Bylibyście ciągle razem? Byłabyś szczęśliwa? Teraz, gdy sama jesteś inna?

No, ale nie byłam. Nie byłam wtedy inna.

Czytając swoje pierwsze wywiady w czasopismach, patrzyła na siebie ze zdumieniem, jak na inną osobę. Taka teraz jestem?

Nie umiała już wrócić myślami do sytuacji, w której wpadła na pomysł robienia wywiadów z kobietami. Zadanie wydawało się niewykonalne – skąd jej przyszło do głowy, że *będzie umiała* pisać? I kiedy niby miałyby to robić? Chłopcy mieli rok i trzy lata, czyli byli w wieku, gdy dzieci już umieją niszczyć, lecz jeszcze nie potrafią myśleć. I właśnie dlatego coś jej szeptało do ucha, że po prostu musi – miała dziwną pewność, że jeżeli teraz się do tego nie weźmie, to przekreśli *wszystko*, do końca życia. Jak kusząca nadal, jakże miła wydawała się tamta myśl! Przestać się wreszcie szamotać, dać sobie wreszcie spokój, ugrzęznąć na dobre w tym bagienku powszedniości, okopać się w roli pełnoetatowej matki, kobiety, która wieczorami siada z kieliszkiem białego wina przed telewizorem i ogląda program randkowy, kocha się rzadko i bez przyjemności i z czasem uczy się słodzić czarę goryczy regularną i coraz mocniejszą dawką diapamu. Och! Do tej pory czuła jeszcze to rozkoszne ciepło grząskiej codzienności!

Myśl dojrzewiała w niej długo, nie przybierając konkretnych kształtów i nie prowadząc do żadnych działań. Aż w końcu, kiedy po raz kolejny w towarzystwie znajomych – inteligentnych i wykształconych Finów – przyszło jej przedzierać się przez zaskakująco gęstą dżunglę antyamerykańskich uprzedzeń, musiała otwarcie przyznać, że do tej pory nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo ją zmieniły lata spędzone przy boku Joego. I że nie może nic na to poradzić: swoją ojczyznę i rodaków postrzega teraz inaczej niż kiedyś.

I chociaż kiedy jeszcze byli razem, nigdy by jej to do głowy nie przyszło, teraz broniła Amerykanów i ich manier; ba, potrafiła się nawet obrazić, kiedy ktoś nie chciał ich zrozumieć. Pewnie nie da się przeżyć w tak długim i intymnym związku z innym światem, nie doświadczając przemiany we własnym.

Długo powstrzymywała ją myśl, że jej przeżycia były zupełnie nieważne: ot, osobiste doświadczenia jednej kobiety, pojedynczego człowieka; każdy jakies ma. Kiedy rozczarowanie nieudanym małżeństwem przestało już

rozsadzać jej skronie i zaczęła wreszcie słyszeć inne głosy, nie odczuwała najmniejszej potrzeby, by komukolwiek cokolwiek udowodniać. Ale raz w Zakładzie Ubezpieczeń Samorządowych miała mniej pracy niż zwykle – i może dlatego tamto przedpołudnie całkowicie odmieniło jej życie. Miało w sobie tyle absurdałnej spontaniczności, że później powiedziałyby nawet, iż przeżycie było piękne, gdyby nie dotknęło tak wielu wstydliwych spraw.

Poszła zrobić sobie kawę do kuchenki na piętrze i otworzyła leżące na stole kolorowe czasopismo z poprzedniej jesieni. Na okładce szczyrzyła się prezenterka telewizyjna, która w międzyczasie zdążyła się już rozwieść, ale wtedy była jeszcze cała w skowronkach, uskrzydłona nową miłością.

W środku Alina znalazła wywiad z teologiem, który ubolewał nad tym, że ludzie przestali rozumieć, co oznacza świętość. A wbrew powszechnemu już chyba mniemaniu *sacrum* to nie są wcale wypisane złotymi literami moralne prawa ani opór przed wszelką zmianą, lecz to, że coś jest dla nas ważniejsze niż „ja” i „chcę”.

Po przeczytaniu wywiadu najpierw pomyślała o widzianych w mieście plakatach *I love me*, które reklamowały jakieś wydarzenie kosmetyczno-jubilerskie – i zaraz przypomniała sobie o stronie internetowej Kościoła. Nie było o niej mowy w artykule, ale gdzieś niedawno o niej słyszała. Od teraz można było w internecie zadawać pytania związane z wiarą.

I zaraz wróciły wspomnienia z obozu, wrócił pastor, który wstawił się za Miią, co zaszła w ciążę. Alina przypomniała sobie, że gdy kapłan mówił o tęsknocie, od razu wiedziała, co ma na myśli. Tamto wspomnienie nadal poruszało w niej jakąś czułą strunę.

Nie pamiętała adresu strony, ale nie musiała długo szukać. Czuła dreszcz emocji, choć sama nie wiedziała, co spodziewa się tam znaleźć. Czegoś jej jednak brakowało, coś w jej życiu było ciągle nie takie jak trzeba; nie potrafiłaby tego wytłumaczyć, ale też nie sądziła, by któraś z jej przyjaciółek czy koleżanek z pracy mogła ją zrozumieć. Długo brała to uczucie za wstyd po rozwodzie, za tęsknotę do bliskości i strach przed starzeniem. I zapomniała o nim, kiedy poznała Henriego, potem jednak ta nieokreślona tęsknota zaczęła powoli wracać. Pamiętała, że kiedy trzeci raz zaszła w ciążę, to była pewna, że niemowlę całkowicie wypełni jej życie, że wywróci je do góry nogami, w pozytywnym sensie, i wtedy tamto uczucie zniknie na zawsze – kto w drugim małżeństwie, z trójką dzieci, miałby jeszcze czas na kryzys egzystencjalny? – i pamiętała, jak bardzo się zawiodła, że tak się nie stało. Chłopcy mieli rok i trzy lata, kiedy poszła do pracy, oddając ich do żłobka i przedszkola bez żadnych wyrzutów sumienia; siedziała już w domu

wystarczająco długo, by nie wyrzucać sobie tego, że chce mieć własne życie. Jednak praca nie usunęła uczucia, które znów ją zaczynało po cichu trawić.

Od rozwodu minęło już wtedy sporo czasu i Alina uznała, że może sobie pozwolić na kontakt z Kościołem; teraz ludzie nie będą już mówili, że decyduje się na to, bo czuje się samotna i żałosna, bo jest już tak zdesperowana, że gotowa posunąć się nawet do tego. Albo dlatego, że jej mąż ma inną religię, bardziej egzotyczną i ciekawszą niż ona – jak bała się wtedy, kiedy była z Joem.

Kliknęła w ikonkę.

Całe szczęście, że mają teraz taki portal internetowy, na którym można zadawać im pytania. Wyjście do kościoła to cała wyprawa, a nawet jak człowiek już się tam wybierze, to zawsze wyjdzie z niego zawiedziony: bełkotliwe kazania o ptaszkach i wiewiórkach były na poziomie małych dzieci, a słowa pieśni sprawiały wrażenie, że pochodzą z innej rzeczywistości. Dawne melodie budziły w niej nostalgię, niosły z sobą wspomnienia z dzieciństwa i katechezy; ta trwałość mogła być jeszcze ich mocną stroną, ale po jakiejś reformie opracowano nowe i także ta więź została zerwana.

Alina od razu czuła, że portal Kościoła to wprost wymarzone miejsce dla kogoś takiego jak ona, kto od dawna nie praktykuje. W końcu wyznanie to sprawa osobista – w każdym razie w Finlandii – a czy może być coś lepszego od praktykowania swojej wiary w domu, akurat wtedy, gdy ma się na to czas i ochotę?

Przeczytała kilka wpisów. Omawiano w nich bardzo szczegółowo konkretne wersy z Biblii. Jeden z autorów martwił się zanikiem prawdziwego chrześcijaństwa: zwolenniczki liberalizmu w pastorskich sutannach chcą zniszczyć dziedzictwo apostołskie i spedalić naród fiński, w kościołach nie słyszy się już Żywego Słowa Bożego. Inny autor wkleił do postu dziesiątki nagłówków o bombach, terrorze i morderstwach i próbował na ich podstawie dowieść, że islam jest religią przemocy i poniżenia. Ktoś wysunął przypuszczenie, że ma to związek z homogazem, który pompuje się na pływalniach przez kanały wentylacyjne. Internauta **Jeruzalem woda życia** rozpoczął nowy wątek¹, na który na razie nikt nie odpowiedział.

To tutaj ma napisać? Zawahała się, lecz zaraz pomyślała: co mi szkodzi spróbować. W końcu to strona Kościoła. Na rzeczowe pytanie dostanie na pewno rzeczową odpowiedź. Sprawdziła jeszcze opis forum. Zgadza się: pracownicy Kościoła rozmawiają tutaj ze wszystkimi, którzy tego potrzebują.

„Możesz pytać o wszelkie sprawy związane z wiarą.

Pracownicy Kościoła słuchają, rozmawiają i informują w sprawach związanych z wiarą chrześcijańską i Kościołem”.

No.

Chyba naprawdę nie ma nic do stracenia.

Napisała na próbę krótki post, w którym opisała swoją tęsknotę i spytała, czy może mieć ona charakter religijny. Napisała, że pamięta, jak pastor na katechezie mówił o tęsknocie człowieka za Bogiem.

Nick wybierała długo, ponieważ jednak żaden jej nie przekonał, zdecydowała się w końcu na swoje imię. Trochę żenujące, z drugiej strony jednak – uczciwe. Przyszło jej do głowy, że może właśnie imię najlepiej pokaże, jakim jest człowiekiem.

Pierwsza odpowiedź przyszła bardzo szybko:

„Czy jak jesteś głodna, to też ma związek z Bogiem?”.

Zastanawiała się, jak to zinterpretować. Autor na pewno się z niej naśmiewał. Nie czuł tego samego co ona, nie przeżył czegoś podobnego. Chciała jednak znaleźć kogoś, z kim mogłaby o tym porozmawiać, najchętniej pracownika Kościoła, i dlatego postanowiła nie przejmować się takimi żartownisiami. Jeżeli odpowie rzeczowo na tę zaczepkę, może przeczyta to ktoś mądrzejszy i jej odpisze.

„Może. Nigdy nie wiadomo...”.

Wstawiła na końcu buźkę, żeby nadać swojej odpowiedzi bardziej sympatyczny wydźwięk. I znów odpowiedź przyszła w ciągu kilku sekund, tym razem jednak od innego użytkownika:

„No, no... Ale mocna ta twoja «wiara». Jak się następnym razem potknę, to pewnie też pomyślę, że to może przez Myszki Miki. :)”.

Do wątku dołączyła już trzecia osoba:

„Wierzący niech opowiadają te swoje bajki tam, gdzie nikomu nie zrobią nimi krzywdy. Są osoby łatwowierne, które mogą wziąć te wasze brednie

na serio”.

Alina była zdumiona. To ma być forum Kościoła? Kto tu tak naprawdę udziela odpowiedzi? Ale oto już przyszła kolejna odpowiedź, tym razem od użytkownika ŻYWY KOŚCIÓŁ JEZUSA CHRYSYTA JEST T:

„Uwierz, a będziesz żyć i spotkasz Pana naszego Jezusa Chrystusa. On jest Twoim Zbawicielem. Oto teraz dzień zbawienia (2 Kor 6,2)! Módl się tak: Ojciec Niebieski, przychodzę do Ciebie w imię i przez krew Jezusa, przebac mi moje grzechy, przez swoją łaskę i przez Chrystusa. Jezus, przyjdź do mnie i zostań moim Panem, chcę się odwrócić od grzechu i żyć dla Ciebie. Wierzę, że umarłeś na krzyżu właśnie za moje grzechy, aby dać mi życie wieczne. Zostań Panem mojego serca i moim osobistym Zbawicielem! Amen.

Gdy tylko zmówisz tę modlitwę żarliwie całym sercem, to narodzisz się na nowo w Niebie. Twoje grzechy zostały Ci odpuszczone! Bóg jest teraz Twoim Ojcem, a Ty Jego dzieckiem. Oznajmiam Ci przebaczenie poprzez dzieło Jezusa.

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen”.

Alina zaczęła podejrzewać, że wejście na tę stronę jednak było błędem. Nie znajdzie tam nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Napisała jednak krótką odpowiedź z wyjaśnieniem, dlaczego rezygnuje z dalszej dyskusji:

„Dzięki za radę, ŻYWY KOŚCIÓŁ JEZUSA CHRYSYTA JEST T, ale chyba nie jestem jeszcze na tym etapie. W zasadzie to chciałam tylko zobaczyć, co to za strona, i być może porozmawiać z kimś, kto rozumiałby moje odczucia. Ale chyba źle trafiłam. :) Miłego dnia wszystkim!”.

Wstawiła na koniec buźkę, żeby nikt się nie obraził za to, że niegrzecznie opuszcza forum w trakcie dyskusji. Zamknęła przeglądarkę i zaczęła szukać informacji do sprawozdania, które miała oddać następnego dnia.

No, ale...

Jeśli ktoś jeszcze jej odpowiedział, tym razem do rzeczy? Jej pastor z rodzinnej parafii pewnie nie dyżuruje akurat na tym forum, może już nawet jest na emeryturze. Mimo to kiedy ponownie włączyła przeglądarkę, znów stanęła jej przed oczami brodata twarz kapłana i przypomniała sobie jego

szorstki granatowy sweter, którym w myślach ogrzewała się czasem po powrocie z obozu, tuląc się do niego w łóżku. Pamiętała już nawet adres strony. Zajrzy tylko na chwilę.

Może któryś z pracowników Kościoła będzie taki sam jak jej pastor, sprawiedliwy i mądry. Może nawet będą się mogli spotkać. Może będzie mogła porozmawiać z nim w cztery oczy i znaleźć w wierze coś takiego, na co jako piętnastolatka była widocznie za młoda.

Pod jej nieobecność w dyskusji zabrali głos **Alina ja wiem**, a po nim **Sathiytaeurus**:

Alina ja wiem

„co czujesz, bo sama przeżyłam podobną tęsknotę za Niebem. Modliłam się wtedy za swoje dziecko, bo było bardzo chore, i wyzdrowiało. Lekarze nie potrafią tego wytłumaczyć, ponieważ to był cud. Choroba była poważna, rak kości, a teraz jest całkiem zdrowe”.

Sathiytaeurus

„tacy są właśnie wierzący – chorzy na umyśle idioci!! dzizas krajst alina ty też wychowalas swoje dziecko w tej kretyńskiej wierze że pan jehowa nazarenus mormonius uzdrawia i wystarczy się tylko pomodlic i nie trzeba isc do szpitala? co transfuzji się boisz? to by dopiero była tragedia! jaka medycyna, jaka nauka? ohyda! jeszcze by pomogło, nie daj bog! boszsz, czy ty w ogóle umiesz logicznie myśleć, coś ci się wydaje i od razu wierzysz w bajki, wystrzelac się was powinno, idiotów”.

Post był tak absurdalny, że Alina bez zastanowienia napisała odpowiedź:

„Przepraszam, ale ja nie wierzę w cudowne uzdrowienia ani w bajki. Odnosisz się do doświadczeń zupełnie innej osoby, nie moich. Moim zdaniem ton, jakiego używasz, jest nie na miejscu. Miłego dnia”.

Powinna już zacząć coś robić, zbliżała się przerwa obiadowa, a przed lunchem chciała mieć gotowe streszczenie proponowanych zmian w prawie emerytalnym. Serce jednak biło jej jak szalone i nie chciała zamykać przeglądarki, bo była ciekawa, co jej odpowie Sathiytaeurus. Mimo że nie zamierzała już więcej zabierać głosu w tej dyskusji.

Sathiytaeurus

„Wiesz Alina co jest nie na miejscu? Nie na miejscu jest mordowac setki tysiecy ludzi w imie religii. Nie na miejscu jest odmawiac miejsca pochowku czlowiekowi ktory przepracowal cale zycie bez jednego dnia zwolnienia i placil podatki – tylko dlatego ze nie nalezal do kosciola. Nie na miejscu jest wciskac ludziom bajki jako prawde. Nie na miejscu jest wpychac ludziom do ust czyjes cialo i krew i uczyc tych kanibalistycznych rytualow male dzieci. Nie na miejscu jest klamac, ze ktos chodzil po wodzie. Nie na miejscu jest straszyc, ze rzeczy naturalne i przyjemne to grzech. Jezeli szukasz tu tego wszystkiego, to zostaw w spokoju ludzi ktorzy logicznie argumentuja i potrafia uzasadnic to co pisza i nie mow im co jest na miejscu a co nie. Mozesz sobie wierzyc w ten syf jak chcesz ale nie wciskaj tego gowna innym. Nie wszyscy sa tak szurnieci jak ty”.

Pójdźcie do dziadzi

„Bracia w wierze – proście, a dupa będzie wam dana! Pzdr. Biskup de Florator”.

Pod spodem był link, w który oczywiście nie należało klikać, co Alina zrozumiała o ułamek sekundy za późno – gdy na monitorze jej komputera w Zakładzie Ubezpieczeń Samorządowych pokazało się zbliżenie wściekle czerwonych kopulujących narządów płciowych.

Niemal godzinę poświęciła na dobranie właściwych słów odpowiedzi Sathiytaeurusowi – obcemu człowiekowi, który jeszcze rano dla niej nie istniał. Zobaczyła go wyraźnie oczami wyobraźni: gruby, zgorzkniały emeryt, który dzień i noc pożółkłymi od nikotyny paluchami stuka w klawiaturę, produkując dziesiątki wpisów na różnych forach, bo żona go zostawiła, a dzieci nienawidzą. Zastanawiała się, gdzie może mieć najczulszy punkt, jakimi słowami ugodzić nietolerancyjnego Sathiytaeurusa tak boleśnie, by wreszcie klapki spadły mu z oczu i pojął swoją ciasnotę umysłową. W końcu chodziło tu też o jego stosunek do innych. Należało przemówić temu wariatowi do rozumu, było to w interesie wszystkich odwiedzających forum Kościoła. Napisała odpowiedź, przeczytała ją, dodała kilka mocniejszych obelg, by zaraz je usunąć, a po chwili wpisać z powrotem. W końcu była zadowolona z tak dopracowanej kontry, zwłaszcza z tych miejsc, w których bezlitośnie rozprawiała się z „logiczną argumentacją” Sathiytaeurusa i dowodziła, że nasze życie, czy tego chcemy, czy nie, wypełniają rytuały wywodzące się z chrześcijaństwa i innych źródeł, i że przede wszystkim ona

nikomu niczego nie wciska, a Sathiy-taurus powinien wyrażać się bardziej parlamentarnie, przeczytać jeszcze parę książek i przejrzeć się w lustrze.

Jednym kliknięciem opublikowała post i była z siebie zadowolona – jej cięta riposta robiła świetne wrażenie. To w dzisiejszym świecie najlepsze, uświadomiła sobie i aż pokraśniała z zadowolenia: że człowiek uprzejmy i ostrożny nie musi już milczeć. Alina zawsze należała do tych, którym najlepsze riposty przychodzą do głowy dopiero po fakcie, po przegranej dyskusji, kiedy oponent zniknął już ze sceny. Ale teraz nie będzie już przegrywać!

Sathiytaurus więcej się nie odezwał. Złapała się na tym, że już do niego pisze: No, gdzie się schowałeś? Wstyd ci pewnie tak żenujących luk w argumentacji?

Na miejsce Sathiytaurusa przyszli jednak inni. Użytkownik ukrywający się pod pseudonimem **Przebudź się, nierządniczo babilońska!** zwrócił uwagę, że ponieważ Alina nie jest prawdziwie wierząca i nie podjęła w tym względzie wiążącej decyzji, jej dusza zostanie potępiona. Będzie musiała spotkać Jezusę z Nazaretu, który jest Panem szabat. Kiedy spytano: „Cóż to za rany masz na piersi?”, on odpowiedział. „To są rany, które mi zadano w domu moich przyjaciół”. (Zachariasz 13,6)². Użytkownik **A więc to tak...?** z kolei powątpiewał w szczerść pytania Aliny:

„Żeby tak po prostu wchodzić na to forum niby ze szczerą zadumą nad teologicznymi podstawami nauk wielkiego przebudzonego Paava Ruotsalainen... Tak tylko «przyszło mi na myśl»... Czy to aby nie zawołana refleksja religijna jakiejś studentki teologii... To tak się dzisiaj próbuje wciskać ludziom Ewangelię? Bo stare sztuczki już nie działają? Widać kościoły świecą pustkami, że zaczęliście już włączyć tutaj i przewracać oczami... Dobrze, że jeszcze nie napisałaś, że rano kierowca autobusu zaczekał na przystanku, aż dziecko dobiegnie do drzwi... i wtedy wyraźnie zobaczyłaś, jak miłosierny jest Bóg...”.

Liberalne lesby w przebraniu pastorów, do których Alina z pewnością się zalicza, zmusiły już naród do zaakceptowania rozwodów i związków homoseksualnych, a za chwilę zmuszą go także do zgody na sodomie. Co będzie dalej, pedofilia? – pytał użytkownik **Pokłońmy się oblubienicy krwi Syjonu**. Alina ukrywa się tchórzliwie pod fałszywym imieniem i twierdzi nawet, że jest neurobiologiem, „ha, ha, tak głupich neurobiologów nie ma nawet w pornosach!” – napisał **GŁOWY KOŚCIOŁA, CZAS SIĘ PRZEBUDZIĆ!**

I czego się boisz, Alino, dlaczego nie napisałaś uczciwie, kim jesteś? – pytał autor postu i zaraz sobie odpowiedział:

„Kobiety w przebraniu pastorów już tak się trzęsą o swój tonący okręt, że w rozpaczę chwytają się brzytwy, aby udowodnić Radzie Diecezjalnej, jak to naród się garnie do wiary. Bo im się stołki spod tyłków wysuwają! Ale to nie przejdzie! Z Kościoła odpływają codziennie tysiące! Statek o nazwie Kościół idzie na dno jak kamień – i bardzo dobrze! Hahaha! Wracajcie do mrocznego średniowiecza, gdzie wasze miejsce! Tam możecie sobie upuszczać krwi do woli!”.

Alina nawet nie poszła na przerwę obiadową – nie mogła przecież pozostawić bez sprostowania tych piramidalnych bzdur na swój temat. A ten „światowy spisek muzułmański”, za którym mieli stać ona, „Helsingin Sanomat”, Coca-Cola i Bractwo Muzułmańskie? „Czy naprawdę można być aż tak głupim, by wierzyć w takie brednie?”. I że niby ona nie studiowała neurobiologii? Jeszcze zobaczymy!

Opamiętała się i uznała, że najwyższy czas skończyć z tym pisaniem dopiero wtedy, gdy mimowolnie się wygadała, że jej dzieci nie należą do zboru zielonoświątkowego – co zarzucał jej użytkownik **Zielonoświątkowcy stosują duchową przemoc** – a najstarszy to w ogóle dopiero niedawno został ochrzczony, bo ojciec dziecka nie był Finem. Nie chciała zdradzać za dużo, żeby nie dawać hejterom powodu do ataków, ale było już za późno – nieopatrznie sprowokowała nową dyskusję: „A, tu cię boli, Alinka! Zachciało się murzyńskiego ptaszka, co? ;)”. I: „Fin się nie nadawał? Za uczciwy, co?”. **Inaczej myślący** był oburzony odpowiedzią Aliny, że jej mąż był uczciwszy od mężczyzn urodzonych w Finlandii, a pan **Inaczej myślący** najwyraźniej ma problemy ze sobą, które wyładowuje jednak na niewłaściwym forum. Muzułmański podbój świata postępuje, odpowiedział **Inaczej myślący**, a umożliwiają to właśnie tacy ludzie jak Alina – ślepy, czerwono-zielony niby-naród, który przygląda się temu beczynnym z głupim uśmiechem. Pijcie sobie dalej to swoje latte w tych waszych kawiarenkach, co wy możecie wiedzieć o rzeczywistości, która jest rzeczywistością większości Narodu Fińskiego, starzy ludzie gnijący w szpitalach w zaszczanych pieluchach – fuj, jakie to obrzydliwe! – i setki tysięcy bezrobotnych, „was obchodzi tylko ta wasza niby-rzeczywistość!”. Wielokulturowość to wielość problemów kulturowych, ciągnął **Inaczej myślący**, przyznał to już nawet premier i Finowie jej nie chcą, ale z pomocą naiwnych idiotek pokroju Aliny zanieczyszczona krew napływa do kraju coraz szerszym strumieniem, bo naiwne idiotki pokroju Aliny uwielbiają dawać dupy napalonym islamistom

(„Lubisz robić asfaltom loda, co nie? Bez ruchanka nie ma zabawy, to chyba jasne, a najlepiej co noc ciągnąć innego druta, co nie Alinka? Zwykły, porządny Fin, który uczciwie zarabia na życie, to dla ciebie nuda” – podsumował użytkownik **Ciągle bez kobiety mam 46 lat porządną pracę i oszczędności**), no i zaraz cała rodzina biegusiem do samolotu, na koszt naszego państwa, to się znowu fiński podatnik ucieszy.

Oszołomiona Alina wpatrywała się w ekran. „Rzeczywistość, która jest rzeczywistością większości Narodu Fińskiego” wydawała się jej stwierdzeniem tak porażającym, że nie miała pojęcia, jak na coś takiego odpowiedzieć. Ale wątek świetnie się rozwijał i bez jej uczestnictwa.

Inaczej myślący wcale nie chciał Aliny urazić, broń Panie Boże: Alina z pewnością „nie zanieczyściła fińskiej krwi obcą domieszką z przekory”, tylko z naiwności, czerwono-zielone media zdołały swoją propagandą multi-kulti wyprać mózgi także całkiem rozsądnym Finkom. Poza tym Alina wydaje się „kobietą całkiem mądrą i do rzeczy”, mimo że „pobłądziła, łakomiąc się na szczyptę egzotyki”. Samodzielne rozeznanie się w sytuacji jest trudne i pracochłonne, podjął temat użytkownik **Trumpet of Truth**, a prasa prawdy nie pisze, bo o trudnych sprawach trzeba milczeć jak grób, te i tym podobne kwestie nie pasują do obrazu fasowanego narodowi przez rząd i oficjalną czerwono-zieloną propagandę homo-multi-kulti.

Tamtego dnia musiało się wydarzyć coś ważnego, bo Alina się rozplakała, choć sama nie wiedziała dlaczego. Może przez pytanie **Inaczej myślącego**: I kto się teraz śmieje, Alina?

Ci ludzie nic dla mnie nie znaczą, musiała sobie powtarzać w duchu raz za razem; te potwory to zupełnie obcy ludzie, którzy marzą tylko o tym, by skrzywdzić bliźniego. To osoby, które bardzo się w życiu zawiodły, nieszczęśliwe i wyobcowane, które nigdy nie wychodzą z domu, to niezdolni do przejawiania ludzkich uczuć psychopaci; to właśnie tacy ludzie strzelają w szkołach i podkładają bomby w centrach handlowych, a ty się nimi nie przejmuj, oni nic nie znaczą, nie są tego warci, by przez nich płakać.

Nie przejmuj się nimi – powtarzała sobie w myślach, siedząc za biurkiem, gdy łzy ciekły jej po policzkach – bo nie wiedzą, co czynią.

Nie zdołała jednak powstrzymać łez, aż koleżanki zaczęły pytać, czy coś się stało. Wyszła z biura godzinę przed końcem pracy.

„Domyślam się, jak to było, Alina – napisał **Inaczej myślący**. – Twój facet był z początku cudowny i obiecywał ci złote góry, ale potem cię zdradził, zostawił i wrócił do swojego kraju. I zostałam sama ze swoim mieszanym dzieckiem. A taki był przecież cudowny ten twój cudzoziemiec!

I kto się teraz śmieje, Alina?

Nadal jest taki cudowny? Czy twoje dziecko ciągle ma cudownego ojca?”.

Wytarła by łzy w domu i zapomniała w końcu o całej sprawie, gdyby następnego dnia nie obejrzała w pracy podczas przerwy nowego wydania *Aktualności*. Do studia zaproszono biskupa i pytano go o szkolną masakrę, do której doszło poprzedniego tygodnia w Vihti. Dziewiętnastoletni Fin postrzelił śmiertelnie kilkoro swoich kolegów i koleżanek oraz nauczycieli, a następnie popełnił samobójstwo. Biskup powiedział, że to bardzo ważne, by ludzie byli dla siebie pociechą w chwilach wielkiego smutku, i przypomniał, że Kościół ma już w internecie własną stronę, gdzie każdy może się podzielić swoimi troskami. On sam jej jeszcze nie odwiedził, wiedział jednak, że to miejsce swobodnej wymiany poglądów na temat wiary i innych nurtujących człowieka pytań, gdzie można pisać również o swoim smutku. To bardzo ważne, abyśmy rozmawiali.

Alina poczuła, że podskoczył jej puls i dłonie zaczęły się pocić. Bezwiednie wstała.

Odszukała telefon pracownika swojej parafii i zadzwoniła do niego, nie bacząc na to, że telefonuje w godzinach pracy Zakładu Ubezpieczeń Samorządowych; spytała, czy to właściwe, że biskup wypowiada się o internetowym forum kościelnym, którego nigdy nie odwiedził. Jaki jest w ogóle cel otwierania takiej strony – żeby ludzie mieli gdzie opluć się nawzajem i dolewać oliwy do ognia nietolerancji? Pracownik parafii był zdumiony, przeproszał ją i twierdził, że o niczym takim nie jest mu wiadomo. Poradził, żeby zadzwoniła do proboszcza. Proboszcz sprawiał wrażenie, jakby został wyrwany z poobiedniej drzemki; z początku w ogóle nie rozumiał, o czym Alina mówi. A kiedy wreszcie dotarły do niego pytania, powiedział, że parafia nie jest operatorem tego serwisu i tylko czasem na stronie Kościoła dyżurują jej pracownicy. Żaden jednak do tej pory nie odpowiedział na jej pytanie – Alina specjalnie zajrzała na stronę, żeby to sprawdzić. Proboszcz polecił jej, by skontaktowała się z Zarządem Kościoła. Tam odsyłano ją od Annasza do Kajfasza: koordynator życia duchowego był akurat na szkoleniu z komunikacji na urządzeniach przenośnych, specjalista od duszpasterstwa internetowego na naradzie, ktoś trzeci już się tymi rzeczami nie zajmował, tylko czymś zupełnie innym. Wszystkim było niezmiernie przykro, że Alina miała złe doświadczenia ze stroną Kościoła, byli jednak zdania, że nie wolno ograniczać wolności słowa: to bardzo ważne, żebyśmy rozmawiali, po to właśnie powstała ta strona. Kościół chce być tam, gdzie są ludzie, a więc

także w globalnej sieci informacyjnej. Forum nie zostało jednak założone przez Kościół, lecz prywatny podmiot komercyjny, który zajmuje się także obsługą serwisu. Kościół jedynie z nim współpracuje, a w konsekwencji nie może narzucać własnych zasad. I niestety, nie może także brać odpowiedzialności za doświadczenia pojedynczych użytkowników – na forum z zasady każdy może pisać, co chce.

Poza tym pracownica Kościoła, która wykazała najwięcej zrozumienia, wyznała Alinie przez telefon, że powiedziano im, że jeśli przestaną publikować obraźliwe wypowiedzi, natychmiast zaczną ich przychodzić tysiące – tacy właśnie są ci najgorsi: kiedy ktoś im nadeptnie na odcisk, zaraz zaczynają się mścić całą grupą. Niestety, Kościół nie ma takich zasobów, by móc nadzorować forum.

– Ale nieodpowiednie wiadomości można zgłaszać, jest tam taki przycisk. Skorzystałaś z tej możliwości? – spytała kobieta. – Zdecydowanie warto zgłaszać niewłaściwe treści, jeśli się takie trafiają.

Przy „murzyńskim ptaszku” Alina rzeczywiście kliknęła ikonkę, bo uznała, że czegoś takiego już w żadnym razie nie można tolerować. Postanowiła także zgłosić „robić asfaltom loda” i „dawać dupy napalonym islamistom”. Po kliknięciu otwierało się jednak okienko, w którym kazano jej wpisać imię i nazwisko, adres poczty elektronicznej, miejsce zamieszkania oraz datę urodzenia, a potem opisać, w jaki sposób wpis narusza prawo fińskie albo regulamin forum. Zaskoczył ją też otwierający się jednocześnie komunikat: „Czy chcesz być administratorem tej strony?”. Niechcący kliknęła znajdującą się na tej samej stronie ikonkę CASINO HELSINKI: otworzyło się okno z pulsującym wirtualnym kasynem ŚWIAT GIER, gdzie „na graczy czekają tysiące ekscytujących gier! Wypróbuj teraz za darmo poker i blackjack!”.

Wpisywanie w okienka własnych danych i przywoływanie z pamięci paragrafów nie tylko zabierało czas, ale też nie miało w ogóle sensu: niemal każdy post wydawał się Alinie w taki czy inny sposób obraźliwy. I teraz wiedziała już dlaczego: na forum można napisać cokolwiek bez mówienia czegokolwiek o sobie, ale zgłoszenie obraźliwych treści wiąże się nagle z koniecznością podania mnóstwa osobistych informacji. I jeszcze to *prawo fińskie* – chyba nie posunęłaby się do stwierdzenia, że któryś z użytkowników forum je złamał. No bo czy opublikowanie w sieci postu z wyrażeniem „murzyński ptaszek” to przestępstwo w świetle fińskiego prawa?

Alina odpowiedziała kobiecie, że życzyłaby sobie jedynie, by ludzie przestrzegali choćby elementarnych zasad kultury. Czy aż tak trudno wymagać czegoś takiego w cywilizowanym kraju? Jej rozmówczyni

natychmiast się z nią zgodziła – ależ oczywiście, ma pani rację. Alina zaczęła tracić nerwy. Kobieta miała ciepły, empatyczny głos, z którego biło tak głębokie zrozumienie dla jej problemu, że Alina miała ochotę wydrzeć się na nią na całe gardło.

Strona jest bardzo popularna, wyjaśniła kobieta. Ludzie są zachwyceni, że Kościół zdecydował się także na taką formę działania. W ten sposób docieramy do ogromnej liczby osób, z którymi nie możemy się inaczej skontaktować. Na naszej stronie pojawia się średnio dziesięć tysięcy postów dziennie. I zdarzają się w tej masie prawdziwe perełki, dodała.

W przyszłości coraz więcej dziedzin życia będzie się przenosić do internetu. Kobieta była przekonana, że także praca duszpasterska będzie musiała się koncentrować coraz wyraźniej właśnie na tych nowych formach funkcjonowania w cyfrowej rzeczywistości.

Poza tym, przyznała, ton dyskusji jest tu zdecydowanie bardziej przyzwoity niż na innych podstronach, gdzie codziennie pojawiają się groźby karalne i trzeba usuwać nawet jedną trzecią wszystkich postów. Kościół nie musi też zgłaszać spraw policji tak często, jedynie sporadycznie.

– Ale w jakim sensie jest to także forma działania Kościoła? – indagowała jeszcze Alina, choć sama dobrze wiedziała, że już dawno powinna zakończyć rozmowę. – Przecież ludzie, którzy się tam wypowiadają, mają nierówno pod sufitem! Spędziłam tam cały dzień i nie otrzymałam żadnej sensownej odpowiedzi od żadnego z pracowników Kościoła.

– Bardzo przykro mi to słyszeć. Staramy się odpowiadać tego samego dnia albo najpóźniej następnego – odpowiedziała kobieta. – Jeżeli zajrzysz tam dzisiaj, to na pewno przeczytasz już odpowiedź od któregoś z naszych dyżurnych.

– Ale po co w ogóle utrzymujecie taką stronę? – drażyła temat Alina, dziwiąc się w duchu: Co ja się jej tak uczepliłam?

– To forma obsługi klienta, której nam wcześniej brakowało – odpowiedziała kobieta. – Wierni powinni widzieć, że są różne opinie i że wszystkie są dozwolone w łonie Kościoła.

Nagle Alina uprzytomniła sobie, że przecież rozmawia właśnie z wykwalifikowaną pracownicą Kościoła, może nawet z pastorem, i mogłaby ją spytać o swoją tęsknotę.

Ale od razu wiedziała, że tego nie zrobi.

Wieczorem w domu włączyła komputer: w jej wątku pojawiły się dwadzieścia dwa nowe wpisy. Z góry sobie przyrzekła, że nie będzie ich czytać, ani jednego. Zdumiała ją trudność, jaką sprawiło jej wytrwanie w tym

postanowieniu. Musiała się zmuszać do nieczytania, choć doskonale wiedziała, że lektura tych odpowiedzi pogłębiłaby tylko jej ból; czuła się tak, jakby ktoś uwięził jej duszę.

Pracownica Kościoła miała rację. Dyżurny odpowiedział.

„Alino, kiedy dusza rwie się do Boga, rzeczywiście można mówić o tęsknocie. Wiara wypływająca z tęsknoty jest podróżą do Królestwa Bożego. Pozdr. Pastor dyżurny”.

Alina jeszcze nie zdążyła pomyśleć, a już usłyszała swój głos:

– A pocałuj ty mnie w dupę, klecho.

To bez wątpienia dobra rzecz, że Kościół ma forum dyskusyjne. Co do tego wszyscy zdawali się zgodni – wszyscy oprócz niej. Z drugiej strony i ona miała z niego tę niezaprzeczną korzyść, że po przeczytaniu odpowiedzi Czerwcowego kaznodziei opuściła stronę Kościoła, by już nigdy tam nie wrócić. Wtedy też podjęła decyzję o wystąpieniu z Kościoła. Wysłała stosowne oświadczenie pocztą elektroniczną i od tamtej pory określała w myślach swoją tęsknotę jako „egzystencjalną samotność w postmodernistycznym społeczeństwie”, gdzie ludzie nie mają odwagi spotykać się ze sobą i gdzie Kościół zastąpił swoich duszpasterzy psychicznie chorymi wandalami, twierdząc w dodatku, że to bardzo udane rozwiązanie.

Było to przeżycie tak wszechogarniające i oczyszczające, że po wystąpieniu z Kościoła Alina tryskała energią i świeżością – jeszcze następnego dnia rano mimo wrzasku dzieci trwała w poczuciu promiennej, spokojnej pełni o duchowym niemal wymiarze. Od tamtej pory zaperzała się na każdą wzmiankę o religii i w myślach pluła na Kościół, a raczej na resztki pozostałych po nim murów. Po zjedzeniu śniadania zadzwoniła do kolegi z liceum, Mattiego Hänninena, który kilka lat wcześniej wydał przewodnik dla zbieraczy jagód i grzybów, i spytała, co się robi z pomysłem na napisanie książki, gdy nie jest się pisarzem.

Czasu na pisanie – bo praca, wożenie dzieci do przedszkola i z powrotem do domu, gotowanie im kaszki na kolację i zaganianie do łóżek – nie miała ani sekundy, ale trochę zdołała go ukraść, nieznacznie luzując politykę oglądania Muminków i wykorzystując każdą wolną minutę, gdy tylko dzieci spały.

– Toś mnie zaskoczyła – zdziwiła się Julia, kiedy Alina powiedziała jej o książce. Uniosła brwi i zaczęła wodzić wzrokiem po suficie, jakby tam

szukała jakichś odpowiedzi.

– Jak to?

– No, nigdy nie uważałam cię za kobietę, która ma potrzebę publicznego prania starych brudów.

Alina uznała, że nie będzie się obrażać. Wcześniej by tego nie potrafiła, ale jej życie po rozwodzie z Joem – to, że jakoś to *przeżyła* – najwyraźniej zmieniło jej podejście do wielu spraw: postrzegala teraz wszystko może nie z zupełnie drugiej strony, ale jednak inaczej.

Może właśnie przez tamto doświadczenie z forum na stronie Kościoła tak bardzo bała się napaści, kiedy ukazała się jej książka. Socjolożka, która zajmowała się badaniem postaw wobec imigrantów, powiedziała gdzieś, że nie zawsze ma odwagę publicznie omawiać wyniki swoich badań, ponieważ dostała mnóstwo nienawistnych maili, także z poważnymi groźbami. Inaczej niż na forum kościelnym, pod księgarniami nikt na Alinę nie dybał z pałkami i kastetami: ani ześwirowani fundamentaliści, ani walczący ateiści, ani antyislamiści, ani homofobi. Raz tylko się przestraszyła, kiedy dostała mail, który na podstawie tytułu zakwalifikowała jako hejt. Autor nie zarzucał jej jednak czerwono-zielonego skrzywienia w stronę multi-kulti, lecz po prostu był zły na to, że w swojej książce zamieściła wyłącznie wywiady z kobietami.

Alina była zdumiona szumem, jaki wywołała jej niewielka książka. Oczywiście nie zaczęto jej nagle rozpoznawać na ulicach i jej nazwisko nic nikomu nie mówiło, ale jej zbiór wywiadów miał kilka recenzji w prasie i mówiono o nim w radiu. To było trzy lata temu. Nawet największa fińska gazeta zrobiła z nią krótki wywiad (*Różne oblicza imigracji: Alina Heinonen, 43, prześwieciła małżeństwa wielokulturowe*). Na pierwsze spotkania, na które ją zapraszano – wieczór dyskusyjny w Stowarzyszeniu Kobiet Wielu Kultur, rozmowa z dziennikarką w studiu telewizyjnym – chodziła w swetrze i dopiero po fakcie uprzytomniła sobie, że wyglądała jak zahukana dwudziestolatka, która przeprosza za to, że żyje, i aż się prosi, żeby ją trącić łokciem. Ale to właśnie na jednym z tych spotkań zdarzył się ten pierwszy raz: dziennikarka nazwała ją nieoczekiwanie – i zupełnie naturalnie – ekspertką od imigrantów i wtedy Alina uzmysłowiła sobie ze zdumieniem, że doszła do rozstajnych dróg.

Jakby dostała pałką w głowę: to tak się teraz zostaje *ekspertem*?

Finlandia to mały kraj, odpowiedziała dziennikarka, kiedy Alina próbowała oponować: chyba jednak są inni, którzy wiedzą na ten temat więcej, socjologowie, ludzie ze stowarzyszenia.

I ciągle nie mogła się nadziwić, że dzwonią do niej redaktorzy z pytaniami o to, co wykształceni imigranci sądzą o wprowadzeniu opłat za studia, opodatkowaniu pracy albo zniesieniu ulgi remontowej. Chyba najlepiej spytać samych imigrantów? – próbowała bronić się na wstępie. Była nawet gotowa podać numer telefonu, ale dziennikarze odpowiadali, że akurat teraz nie interesuje ich opinia „człowieka z ulicy”, lecz szersze spojrzenie na sprawę. Byli i tacy, co chcieli numer telefonu, i obrażali się, że nie zna nikogo z Zambii. To moje hobby, odpowiadała, jestem neurobiologiem, który zarabia na życie przekładaniem papierków, bo nie ma pojęcia o neurobiologii. I po prostu pomyślała sobie, że dla zabicia czasu zrobi wywiad z paroma osobami. Kiedy dziennikarze chcieli wiedzieć więcej, próbowała ich odsyłać do pani profesor socjologii Uniwersytetu Pensylwanii, z którą sama rozmawiała przez telefon i której prace czytała w szerokim wyborze – specjalistki od kilkudziesięciu lat zajmującej się sytuacją imigrantów z wyższym wykształceniem w różnych krajach, w tym także skandynawskich. Amerykanka miała ciekawe i zaskakująco celne opinie także o Finlandii – może dlatego, że sama mieszkała tu przez rok, akurat w tym czasie, kiedy ona, Alina, kopiowała raporty dla panów samorządowców. I jeszcze w Londynie jest jeden naukowiec, który wie wszystko na ten temat – *prawdziwy* naukowiec, a nie hobbysta, tak jak ona.

Po drugiej stronie robiło się cicho i Alina słyszała w słuchawce tylko głośny oddech, a potem: „Hmm, dziękuję” – wypowiedziane takim głosem, że od razu wiedziała, że tamten w życiu nie zadzwoni do Filadelfii ani Londynu.

– A znasz może jakiegoś *fińskiego* specjalistę? – pytali jedni.

– Potrafiłabyś wskazać kogoś, z kim mógłbym porozmawiać tu, w *kraju*? – dociekali inni.

– A kto z *naszego* uniwersytetu mógłby coś powiedzieć na ten temat?

I jeszcze:

– Możemy przyjechać z ekipą telewizyjną po południu?

– No właśnie dlatego ta twoja książka jest taka ciekawa – wyjaśniła jej Julia wieczorem przy lampce wina. – Wreszcie ktoś mówi coś innego niż to, co ta sama trójka powtarza u nas w kółko od dwudziestu lat.

Alina wybaczyła jej pierwszą, pogardliwą reakcję; Julia zmieniła stosunek do całej sprawy od razu, kiedy książka się ukazała i w gazetach zaczęły pojawiać się wywiady z Aliną.

A więc i to jest tylko kwestią wyboru. Gdyby tylko zechciała, mogłaby zacząć pozować na autorytet – a w zasadzie wskutek działania jakiegoś niepojętego dla niej mechanizmu już nim była, przynajmniej dla niektórych.

Nie zamierzała zostawać dyżurną specjalistką kraju od czegokolwiek, nagle jednak się okazało, że albo przyjmie tę rolę, albo już do końca życia będzie się uważać za szarą biurową mysz, która nic nie umie. Oczywiście to drugie było bliższe prawdy i dlatego Alina zinterpretowała całą sytuację jako grę towarzyską, w której przychodzi jej odgrywać scenki rodzajowe. Z biegiem czasu jednak spostrzegła, że zabawa w autorytet jest przyjemniejsza, niż z początku sądziła. Dziwnie się czuła, kiedy kupując buty, żakiety i bluzki, łapała się na myśli: W czym będę się dobrze prezentować w telewizji? Ale widać do tego też można przywyknąć – jak do wszystkiego – i w końcu nawet zaczęła się sobie dziwić, skąd brało się u niej to wcześniejsze pragnienie, by nie wychodzić z cienia.

I jeżeli ktoś uważał ją za oszustkę, to tylko ona sama.

Dni miały teraz jakąś treść, życie miało kierunek – i co z tego, że podsunięty przez zupełny przypadek? Wkrótce pójdzie do druku jej druga książka, *Nietrzeźwa młodzież z dobrych domów: fińskie picie oczami imigrantów*. Powstała niemal samoistnie z niewykorzystanego materiału do poprzedniej książki. Wydawca był pewien, że to będzie hit. Podobno jedyną rzeczą, która może jeszcze interesować Finów poza tym, co sądzą o nich inni, jest alkohol, a w książce oba tematy ściśle się łączą. Zresztą pisała już następną. Razem z panią docent z uniwersytetu, która obroniła pracę doktorską o sytuacji Rosjan w Finlandii i była na szczęście znacznie bardziej inteligentna i wykształcona od niej. Alina bardzo się z tego cieszyła, bo dzięki pani docent do książki nie trafią żadne głupoty, za które musiałyby się potem wstydzić jeszcze dwa lata po wydaniu. A co najważniejsze – w osobie jej współautorki dziennikarze znajdą wreszcie prawdziwą krajową specjalistkę.

Kiedy zjeżdżała na autostradę, przemknęło jej nagle przez myśl – aż dziw, że w ogóle odważyła się użyć tego słowa – że chyba jest szczęśliwa. Przecierające się spod śniegu pobocza były jeszcze brudne, ale na trawnikach przed domami pokazywały się krokusy. Miała trzech synów i najstarszy był już szczęśliwie usamodzielnionym mężczyzną, a dwaj młodsi to chłopcy w jeszcze stosunkowo bezproblemowym wieku. Była dumna, że napisała książkę, choć z początku wydało się jej to nie do pomyślenia. I zagoniona – nadal trzymała się etatu, teraz w Czerwonym Krzyżu jako specjalistka do spraw działalności wielokulturowej, a po pracy musiała jeszcze odwiedzać ojca – ale w ostatecznym rozrachunku może to także wychodziło jej na dobre. Kiedy była z Joem, miała ciągłe poczucie, że praca męża odbiera jej życie; zajęcia Henriego niczego jej nie narzucały, nie określały jej bytu wbrew jej woli.

Spojrzała na zegarek. Za kwadrans będzie na miejscu, akurat zaczną się odwiedziny.

Wydawało się to cudem, a jednak dali sobie radę we dwójkę, mimo że na początku była dość zagubiona.

Najbardziej zaskakujące było to, że po wyjeździe Joego życie z małym dzieckiem stało się nagle proste, choć pracy i problemów miała przecież więcej. Kiedy mąż poświęca domowi i dziecku zbyt mało czasu, to kobiecie niby łatwiej, gdy nagle wszystko musi robić sama, zupełnie sama?

Tak, było jej łatwiej – niewiarygodne, ale prawdziwe.

Nie miała przy sobie nikogo, więc wszystko spadło na nią: mogła się skupić na praniu, zakupach i swoim kochanym, ale poważnym dziecku bez kłótni, bez poczucia krzywdy i bez rozgoryczenia, że znowu wszystko spada na nią. Niekiedy przez głowę przebiegała jej myśl, czy zdołałaby dojść do takiego stanu umysł bez wypychania męża ze swojego życia.

Po wyjeździe Joego pieniędzy nie starczało na nic, mimo że wyniosła się z Samuelem z Töölö na dalekie peryferia, gdzie wynajęła tanio dwupokojowe mieszkanie. I jeśli bezbarwne, dżdżyste dni przesiedziane na desce mokrej piaskownicy w oczekiwaniu na powrót męża z pracy wydawały się jej samotne, to po rozwodzie czuła się tak, jakby straciła całkowicie kontakt ze Światem i Życiem, które wszystkich oprócz niej prowadziło ścieżkami satysfakcjonującej dorosłości ku zawodowemu i osobistemu spełnieniu. Wieczorami, gdy położyła Samuela spać, mieszkanie pogrążało się w ciszy i wtedy tęsknota przeradzała się w nieznośny, fizyczny ból; Alina obwinała się wtedy za problemy z mową Samuela i serce wyrywało się z piersi do Joego. Ile razy musiała walczyć z sobą, żeby nie chwycić za słuchawkę i nie wyznać z płaczem zdumionemu eksmężowi po drugiej stronie Atlantyku, że popełniła największy błąd swojego życia i że już nigdy nie pokocha żadnego innego, że odwoła wszystko i z samego rana pójdzie kupić bilety dla siebie i Samuela, jeżeli tylko Joe zechce ich jeszcze przygarnąć. Możemy mieszkać nawet w przyczepie kempingowej na ulicy! Weź nas z powrotem! W tamte noce chowała twarz głęboko w poduszkę, żeby nie obudzić Samuela płaczem.

Chciała zostać w domu do czasu, aż Samuel skończy trzy lata. Świat chyba za nią nie tęsknił; ważne stanowiska zostały już dawno obsadzone ważnymi osobami. W końcu jednak Julia powiedziała to na głos:

– Musisz iść do pracy, bo inaczej sfiksujesz.

Nie znosiła, jak Julia jej mówi, co jest dla niej najlepsze. Jeszcze bardziej się nakręcała wieczorem, kiedy sama w domu rozpamiętywała zachowanie

przyjaciółki, w za dużym dla samotnej matki dwuosobowym łóżku, do którego już nigdy nie zbłądzi żaden mężczyzna i które już chyba nawet oficjalnie ogłoszono strefą wolną od seksu. Miała wrażenie, że w duchu Julia cieszy się z rozpadu jej małżeństwa. No, ale jej własny związek nie wytrzyma wiele dłużej: wiosną Julia dostała w firmie przeniesienie do działu szkolenia i rekreacji i zaczęła używać ciemnej szminki i chodzić w szokujących butach, a w weekendy „dzielić się przeżyciami” na firmowych kolacjach, które lubiły przeciągać się do rana. Trochę później przyznała się przed Aliną, że od pewnego czasu ma romans z żonatym mężczyzną, który jest jej przełożonym i posuwa ją regularnie na różnych „delegacjach”, a w najgorszym razie po pracy, na tylnym siedzeniu auta. *Potworność*, powiedziała wtedy, przyciskając powieki palcami i kręcąc głową; powiedziała Alinie, że jest potworem i rzygać jej się chce na samą myśl o tym, co robi z tym mężczyzną, ale po raz pierwszy w życiu czuje, że jest *kobietą*. Przez co cała zabawa staje się oczywiście tysiąc razy potworniejsza – i jeszcze bardziej podniecająca. Pozwalała mężczyźnie robić ze sobą w łóżku (i w aucie, dodała w myślach Alina) takie rzeczy, jakich nigdy nie zaproponowałyby Robertowi, bo po prostu nie byłaby w stanie, mimo że ich chciała – a właściwie to nawet nie tyle chciała, ile *potrzebowała* – by poczuć się kobietą. I wie, że powinna z tym skończyć, *choćby z powodu dzieci*, natychmiast, zaraz; sama rozumie to najlepiej. Julia miała taki mętlik w głowie, że nie była pewna, czy czasem nie postradała rozumu – tak, na pewno zwariowała, widzi to teraz w oczach Aliny – lecz nawet nie przypuszczała, że życie kobiety może *tak smakować!*

Ten romans to chyba najlepsza rzecz, jaka się jej przytrafiła w życiu.

I to właśnie tak głęboko raniło Alinę – na równi z konstatacją, że przyjaciółka ostatnio jakby wyszczuplała, jej nogi zdawały się dłuższe, a spojrzenie jeszcze bardziej roziskrzone niż dawniej, czyli, krótko mówiąc, odnalazła w sobie właśnie ten wewnętrzny blask, którego jej zawsze brakowało. Każde jęknięcie rury i każdy bulgot w grzejniku obwieszczał Alinie co noc, że już nikogo nie znajdzie. Przecież nikt nie zechce takiego rozgoryczonego, aseksualnego zera jak ona, kobiety odpychającej od siebie każdego sensownego mężczyznę – na sześć tysięcy kilometrów! Kiedy Julia w tym samym czasie ma ich aż dwóch.

Alina przestała się z nią widywać na wiele miesięcy, bo ten romans dowodził niezbicie, że Julia nic a nic nie rozumiała z tego, co przydarzyło się jej i Joemu – a przecież miała być niby jej najlepszą przyjaciółką. Alina nie chciała więcej słyszeć, że „usycha jak męczennica, odmawiając sobie wszystkiego” i „marnuje wszystkie swoje talenty i umiejętności”. Te zarzuty

dotykały ją jeszcze boleśniej niż wyobrażanie sobie Julii, z ustami pomalowanymi krzykliwą czerwienią, w niewygodnej pozycji na tylnym siedzeniu mercedesa jej żonatego szefa, jak pomaga mu wejść w siebie.

Teraz żałowała, że gdy po urodzeniu Samuela została w domu, spaliła za sobą wszystkie mosty. Zbyt łatwo jej to przyszło, nie musiała nawet szczególnie się starać; wszystkie przyjaciółki Aliny oprócz Julii będą przeżywały podobny okres w życiu dopiero wiele lat później. Poza tym chciała się skupić wyłącznie na mężu, chciała zrobić wszystko, żeby Joe dobrze czuł się w Finlandii.

Myśl o powrocie do pracy była w jej życiowej talii kartą niepoślednią: Ucieczka Z Brudnej Piaskownicy. Czarny mercedes niczym Aliny nie kusił – na dodatek szef Julii miał dwójkę dzieci – za to żółty moccamaster aż dwoma (!) dzbankami: tyle dorosłych ludzi w jednym pomieszczeniu! I zrzutka na kawę, i narzekania starszej, znudzonej już życiem koleżanki z pracy, że znowu ktoś zapomniał włączyć zmywarke.

Sama myśl o kuchence w pracy była jak wizja *powrotu do Raju*.

„Samuel niedługo kończy dwa lata”, powiedziała Julia. „Potrzebuje już towarzystwa rówieśników. *Potrzebuje towarzystwa*”. Po rozmowie z Julią Alinę olśniło: powołując się na dobro dziecka, mogłaby przeciągnąć na swoją stronę większość swoich wewnętrznych decydentów. Przeczytała właśnie w książce profesora psychologii rozwoju, że żłobki i przedszkola niszczą zdrowy rozwój dziecka. Na szczęście tego samego dnia pożyczyła z biblioteki inną książkę, napisaną przez innego profesora psychologii rozwoju, który uznawał taki pogląd za przestarzały, wręcz dziecinny. Początkowo uwierzyła pierwszemu, ale czytając drugą książkę, coraz bardziej skłaniała się ku zawartym w niej tezom – z powodów, których sama do końca nie rozumiała, uznała jednak, że nie będzie tego w kółko rozstrząsać, bo to bez sensu. Później Julia powiedziała jej o trzecim profesorze, który dowodził, że tamci dwaj się mylą, ale Alina nie miała ochoty dłużej bić tej piany: podjęła już decyzję, koniec kropka.

I miała wrażenie, że wybiło w niej jakieś gorące źródło: kiedy po niedzieli nakładała Samuelowi mokry piasek do foremkowych krabów i statków – tamtej jesieni padało chyba codziennie – złapała się na tym, że przygotowuje w myślach poważną przemowę, w której oznajmi marudnemu dwulatkowi w czapce Myszki Miki na głowie, że życie w znanej mu dotychczas formie właśnie się skończyło.

Oczywiście zdobycie pracy było prawdziwą *mission impossible*: w całym kraju właśnie zwolniono wszystkich, którzy cokolwiek potrafili. I jeżeli

wierzyć wiadomościom telewizyjnym, to do końca roku wyleci z pracy reszta. Markę fińską najpierw zdewaluowano, a potem zupełnie upłynniono – cokolwiek to miało znaczyć – i nawet do jej całkowicie apolitycznego i aspołecznego dwupokojowego mieszkania na przedmieściu docierało echo padających jak klocki domina przedsiębiorstw i strzelających sobie w łeb dyrektorów banków. Alina miała w ręku dyplom wyższej uczelni, który nic jej nie dawał – niczego nie potrafiła, nie miała w ogóle doświadczenia zawodowego i mówiła tylko sześcioma językami, z czego dwoma zaledwie dostatecznie. To, że za pracę magisterską otrzymała *laudatur* – o czym Julia bezustannie jej przypominała – dowodziło jedynie beznadziejności systemu ewaluacji na uczelniach wyższych.

Oczywiście była staranna i odpowiedzialna – ale czy ona jedna? Podobnych do niej grzecznych prymusek było w Finlandii na pęczki.

Ale to właśnie ją przyjęto do pracy, co ostatecznie potwierdziło jej podejrzenie, że światem rządzi przypadek i kaprys, a na rynku pracy codziennie dochodzi do mordów w obliczu prawa. Jej wykształcenie nie przystawało do niczego, a już na pewno nie do samorządu gminnego, systemu emerytalnego i inwestowania. Na rozmowie kwalifikacyjnej już w pierwszych słowach dała do zrozumienia, że gmina najlepiej zrobi, jeżeli zatrudni każdą inną osobę zamiast niej, kiedy więc usłyszała: „ale może powie mi pani coś o sobie”, była tak zaskoczona, że odebrało jej mowę. Odpowiedziała, że nie jest pewna, czy w ogóle chce iść do pracy, a tym bardziej do Zakładu Ubezpieczeń Samorządowych, o którym nie wie nic, i że z racji wykształcenia biologicznego prawdopodobnie w ogóle się nie nadaje na to stanowisko.

Tak przynajmniej tę rozmowę kwalifikacyjną zapamiętała. Była tak zdenerwowana, że po wyjściu z siedziby gminy trzęsły się jej nogi. Nie miała pojęcia, co powiedziała, była jednak pewna, że pozostali kandydaci wypadli znacznie lepiej.

Kiedy zadzwonili, była zaskoczona. Zdążyła już wyprzeć tamtą rozmowę w Zakładzie Ubezpieczeń Samorządowych jako totalną klapę i wstydlive memento, że na przyszłość trzeba się porządnie przygotować, a nie tak na żywioł iść.

Kiedy zaczęła pracę w Wydziale Analiz i Rozwoju Życia Zawodowego jako planistka strategii podtrzymywania zatrudnienia i zdolności do pracy, rezerwy walutowe Finlandii przestały właśnie istnieć i subwencje gmin przycięto o miliardy marek. Nakładając przed lustrem tusz na rzęsy w mroczne zimowe poranki, była święcie przekonana, że to właśnie dzisiaj

się okaże, że objęte przez nią na czas określony stanowisko planistki strategii podtrzymywania zatrudnienia i zdolności do pracy w Wydziale Analiz i Rozwoju Życia Zawodowego to praca zbyt piękna, by mogła być prawdziwa, i że dziś każą jej poszukać sobie zajęcia w swojej branży: niech sobie bada, dajmy na to, metabolizm noradrenaliny u ryb w jakimś instytucie, któremu właśnie obcięto dotacje i gdzie nawet w okresie boomu gospodarczego nikt by jej nie przyjął do pracy z powodu jej awersji do wysiłku umysłowego. Splajtował sklep z fińską odzieżą, gdzie Alina zamierzała kupić swój pierwszy kostium Poważnej Kobiety Pracującej. Z centrum handlowego zniknęły poczta, fotograf, księgarnia i bank; na ścianach ziejących pustką pomieszczeń pojawiały się coraz to nowe, zupełnie niepojęte wypowiedzi młodzieży, jakieś graffiti. W miejscu księgarni powstała knajpa, której nazwa miała być żartem z bezrobocia i biedy; słabe piwo sprzedawano tam tak tanio, jak jeszcze nigdy. W drodze do pracy albo po zakupy Alina widywała teraz byłą właścicielkę sklepu sportowego, matkę trójki dzieci z klatki B – kobieta zaczęła przesiadywać w knajpie od samego rana.

Kapitał uwolniono, bo wszystkim było to na rękę – i kraj legł w gruzach. Skończyła się tania jak barszcz radziecka ropa, nikt inny nie chciał budowanych dla komunistów lodolamaczy, podobnie jak fińskich butów, koszul i urządzeń przemysłowych. Dlatego Finlandia potrzebowała Trudnych Rozwiązań. W telewizji przypomniano, że prezes Centralnego Zrzeszenia Banków Oszczędnościowych już przed dziesięcioma laty ostrzegął przed nadchodzącym załamaniem gospodarki narodowej – zaraz po tym, jak banki zaczęły zaciągać kredyty na zakup papierów wartościowych i ich dalszy obrót. W tym samym programie wystąpił jednak inny ekonomista i ten powiedział, że analiza prezesa CZBO jest całkowicie chybiona, a ponadto zabarwiona ideologicznie i jako taka nie ma żadnego związku z rzeczywistością. Politykowanie w ciężkim kryzysie nigdy nie jest bezpieczne.

Ducha czasów najlepiej chyba uchwycił pijaczek, który słabym głosem śpiewał *Okrutny czas* z anielskim optymizmem szaleńca jadącego autem prosto w przepaść, który nie rozumie, co się za chwilę stanie. Stara gwardia baru w centrum handlowym miała z niego co wieczór ubaw po pachy – to właśnie tamten obraz stawał jej natychmiast przed oczami, gdy później myślała o trudnym okresie po wyjeździe Joego albo kiedy słyszała, że Finowie słyną na całym świecie z pracowitości. Kiedy słyszała dobiegający z knajpy w środku dnia pijacki rechot zdrowych i silnych ludzi, miała wrażenie, że zaraz jej pęknie głowa.

Jak może nas być stać na coś takiego? Czy kraj nie popadł czasem w najpoważniejsze w swojej historii kłopoty gospodarcze? Czy Finowie nie powinni raczej starać się wskrzesić Ducha Wojny Zimowej?

Okazało się jednak, że Trudne Rozwiązania i Duch Wojny Zimowej nie wymagały rozwiązania umowy o pracę z Aliną Heinonen, co dziwiło ją niepomiernie każdego dnia. Rozglądała się dokoła z rozpalonymi policzkami i poczuciem palącego wstydu: całe pokolenie pięćdziesięciolatków pokornie sprzątało biurka, żegnało się z młodszymi kolegami i koleżankami z pracy i nie patrząc za siebie, cicho zamykało za sobą drzwi. Pięćdziesięciolatkowie to „jeszcze młodzi ludzie i w tych trudnych czasach nie wolno zapominać, że oni mają to doświadczenie, tę tak bardzo nam dziś potrzebną fachową wiedzę, tę milczącą mądrość”, która okaże się jeszcze *nieoceniona*, gdy kraj dźwignie się z upadku. Każdy frazes przemówień pożegnalnych był wyrazem zbiorowego wstydu; wszyscy wiedzieli, że zwolnionych już nikt nigdy nie zatrudni.

No, ale po co komu pięćdziesięciolatek – ani się człowiek obejrzy, a już będzie taki ziemię gryzł.

Alina musiała codziennie wyrywać Samuela ze słodkiego snu, gdy było jeszcze ciemno. Kserując raporty, nie zawsze umiała sobie wmówić, że wcale nie byłoby sensowniej zostawać z małym dzieckiem w domu, tym bardziej że doskonale wiedziała, że nikt tych raportów nigdy nie czyta. Ale myśl o powrocie do roli udomowionej matki wyrastała na gruncie nieprawdopodobnego założenia, że w domu Alina będzie mądrym rodzicem, który sypie pomysłami jak z rękawa i dzień w dzień wymyśla nowe zabawy w rodzaju farbowania tkanin naturalnymi barwnikami, urządza przed domem tory przeszkód dla małych piłkarzy, a kiedy pada, to, nucąc pod nosem, lepi z dzieckiem w domu zwierzątka z ciasta. Prawda była taka, że przed wyjściem do pracy coraz gniewniej strofowała Samuela, a nocami zadrezczała się myślami, jaka to z niej beznadziejna kobieta, matka i obywatelka, oraz aktywnie pielęgnowała żal do Julii, która przyprawiała rogi sympatycznemu, porządnemu człowiekowi – w *samochodzie*?! – czyli robiła dokładnie to, o co ona swego czasu posądzała Joego.

Alina zabraniała sobie myśleć o godzinach spędzanych przez Samuela w żłobku, których regularnie przybywało, wbrew temu, co sobie przyrzekła. Właśnie niedawno pani pedagog powiedziała w telewizji, że najgorsze dla dziecka są zbyt długie dni spędzane w żłobkach i przedszkolach. Specjalistka nie wyjawiała, ile godzin liczy sobie taki zbyt długi dzień, lecz Alina była pewna, że Samuel znalazł się po niewłaściwej stronie proggu bezpieczeństwa.

Zdaniem drugiego pedagoga najgorsze jest to, że dziecko trafia do żłobka za wcześnie, co znów według pierwszego nie ma absolutnie żadnego znaczenia: akurat to wiadomo już od dwudziestu lat, tylko że wyniki badań naukowych wypaczało się i wypacza z przyczyn ideologicznych. Alina przez całe życie była grzeczną dziewczynką i teraz też patrzyła bezradnie na pędzące wskazówki zegara ze świadomością, że zaraz zamkną żłobek, a ona znowu musi wypełniać jakieś papiery dla członków grupy roboczej z wydziału rozwoju życia zawodowego i specjalistów ze Zrzeszenia Doradców Sektora Publicznego, bo z powodu harmonogramu narad trzeba je wysłać właśnie *dzisiaj*. W żłobkach i przedszkolach zniesiono ograniczenia liczebności grup, teraz cała Finlandia potrzebuje Ducha Wojny Zimowej; podkreślano, że liczba dzieci przypadających na jedną opiekunkę nie powinna wzrastać, ale co zrobić, jeśli nie ma komu chodzić na zastępstwa, a nowych pracowników zatrudnić nie można. Alinie krajało się serce na myśl o jej synku, który całe dni musi siedzieć w ogromnej grupie dzieci tylko dlatego, żeby ona mogła kopiować raporty dla panów w krawatach, którzy i tak wszystko wiedzą najlepiej, bez czytania jakichś papierów – albo dla odmiany uważają, że raporty nie wystarczą i trzeba im jeszcze dostarczyć całą górę sprawozdań – ale powtarzała sobie w duchu, że tak jest lepiej dla wszystkich, co zresztą mogło być prawdą, mimo że nie potrafiła siebie do tej myśli przekonać w stu procentach.

Po latach nie mogła sobie nawet przypomnieć, jak wyglądał Samuel, kiedy był mały, bo pod powieki natychmiast powracały obrazy zabieganej, nieszczęśliwej i niepewnej siebie matki, która raz na minutę ponosi porażkę wychowawczą, rano nie potrafi nawet wbić w kombinezon zbuntowanego dwulatka, nie tracąc przy tym panowania nad sobą. Każdy początek dnia był o czterdzieści minut za krótki, jej dziecko nie miało pojęcia o czasie, nie wiedziało, co to znaczy spóźnić się i zdążyć. A jak na takiego dwulatka podnosi się głos, to on natychmiast staje okoniem. Każdy dzień, kiedy zdołała dostarczyć Samuela do żłobka bez płaczu i jeszcze zdążyć do pracy, był wielkim triumfem. Sytuacji nie poprawiały wcale zwyczajowe przypomnienia pań ze żłobka, że Samuel „ma jak na swój wiek jeszcze wiele zadań rozwojowych do przerobienia”, a do tego „zaburzenia płynności mowy, najprawdopodobniej o podłożu psychogennym”.

Słowa „psychogenne” złośliwi specjaliści używali wtedy, kiedy chcieli uprzejmie dać matce do zrozumienia, że to ona jest źródłem problemów rozwojowych dziecka.

Bardzo prawdopodobne, że Samuel będzie dzieckiem specjalnej troski,

oznajmiła jej nawet jedna z wychowawczyń tonem całkowicie pozbawionym ludzkich uczuć. Jakim prawem te baby ferują podobne wyroki? Alina dziwiła się temu później i żałowała, że nie powiedziała wtedy wprost, co myśli o takich bredniach.

Serce jej się krajało za każdym razem, kiedy jeszcze rok po wyjeździe ojca Samuel starannie rysował na kartce lamparty, koty, krówki, autobusy i spychacze, a potem z pasją trzylatka zapisywał na niej słowo, które musiała nauczyć go pisać: de, aa, de. Serce jej się krajało, kiedy patrzyła na lustrzane odbicie „S”, którego jej synek specjalnie się nauczył, żeby podpisywać wysyłane do taty rysunki. Kazał jej wysyłać je co tydzień; część Alina po cichu pogrzebała w szufladach swojego biurka, w zaklejonych kopertach, bo chciała oszczędzić Joemu tego bezustannego ostrzału, mimo że w pełni sobie zasłużył na poczucie winy z powodu całej tej sytuacji.

Uczucia małego chłopca – co ona ma z nimi zrobić?

Po latach patrzyła na tamten czas jak na nierealny koszmar.

Wszystkie koleżanki Aliny z pracy podzielały jej zdanie: nie powinno tak być, że państwo tnie wydatki na dzieci, osoby starsze i chore psychicznie. A jednak wszystkie rozmowy na ten temat kończyły się zawsze kręceniem głowami i krótkimi westchnięciami. Tak to już widocznie musi być, ten kryzys i w ogóle. Trzeba dobrze policzyć, na co nas teraz stać. W porządku, niech i tak będzie, ale dlaczego nikt nawet nie próbuje wymyślić niczego nowego w miejsce tego, co straciliśmy?

Usychała z tęsknoty za Joem – za swoim bezczelnym, cudownym, nieznośnym Amerykaninem, który od razu zabrałby się do roboty, gdyby tu jeszcze był: dalej, załóżmy dla dzieciaków klub baseballa! Urządzajmy im raz w tygodniu czytanie bajek! I niech je prowadzą emeryci! Sformujmy z bezrobotnych trupę teatralną, niech występuje w szpitalach! Kurwa mać, ludzie, przestańcie wreszcie wyciągać rękę, czekać beczynn timer na pomoc państwa, gminy czy Pana Boga, przecież sami widzicie, że nikt wam nie pomoże, *goddamnit!* Tak piekliłby się Joe, to była jego dobra i zła zarazem strona: wściekał się i sam brał sprawy w swoje ręce, od razu, natychmiast. Nie miał cierpliwości i nie znosił sytuacji, kiedy ludzie trzymali się utartych szlaków, jeżeli sprawę można było załatwić inaczej i lepiej.

I kiedy wyobrażała sobie reakcje Joego, przyszło jej na myśl, że przecież rzeczywiście mogliby spróbować zrobić coś sami. Nie dałoby się założyć klubu dla dzieci? Zaproponowała to sąsiadce zza ściany, fryzjerce, która splajtowała i miała teraz problem z dwoma lokalami, więc nie myślała włosów

i w środku dnia wychodziła w szlafroku na balkon na papierosa. Alina wierzyła, że Samuel lepiej by się czuł w takim nieformalnym klubie z dziećmi z własnego podwórka niż w żłobku ze sfrustrowanymi dorosłymi. W bloku miał wielu kolegów, z którymi świetnie się dogadywał. A w ich wspólnocie bezrobotnych dorosłych było co najmniej dziesięcioro. Jak sobie wyobrażamy idealny dzień naszych pociech? Umówmy się co do tego – i róbmy to w naszym klubie! Ustalmy dyżury i zróbmy rzutkę, niech każdy da tyle, ile może. Wszyscy się zaangażujemy, wystarczy po godzinie w tygodniu. Alina zadeklarowała, że mogłaby doglądać dzieci wieczorami i na przykład w soboty.

Fryzjerka zaciągnęła się papierosem ze zmęczoną miną, przetarła nieumalowane oczy i mruknęła: „Noo, czemu nie, fajny pomysł” – głosem, który powiedział Alinie od razu, że to nigdy nie wypali. Parę godzin później fryzjerka wróciła ze sklepu z dwiema reklamówkami piwa.

Alina przypomniała sobie, co powiedział jej Joe: „Wy, Finowie, macie taki problem, że wszystko jest dla was bez sensu oprócz tego, coście robili do tej pory. I godzicie się na to zawsze i w każdym wypadku – nawet jeśli sami dobrze wiecie, że pakujecie się, kurwa, w najgorszy syf, jaki tylko można sobie wyobrazić”.

The worst fucking deal in the world.

Alina zapomniałaby zupełnie, jak przez długie lata wyglądało jej życie przed Henrim, Ukko, Taisto i pierwszą książką, gdyby nie prowadziła dziennika.

Zanim w jej życiu pojawił się Henri, zdążyła – jak każda szanująca się rozwódka – przerobić całą gamę kiepskich psychoterapeutów i brudnych podrywaczy klubowych, a po nastaniu nowego tysiąclecia także grasujących po stronach randkowych starych kawalerów w pulowerach, którzy kolekcjonują malowane żołnierzyki i na randkach nigdy nie patrzą w oczy. W cichych prywatnych gabinetach, w przychodniach, pulsującym światłem stroboskopów dyskotekach i kawiarni przy Księgarni Akademickiej w centrum dowiadywała się, że jej problem to nieprzepracowana relacja z ojcem, zaburzenie równowagi neurochemicznej, chroniczny syndrom kobiety porzuconej i traumatyczny stosunek do własnej kobiecości oraz że zapomina o tym, iż facetowi nie wystarczy dać do zrozumienia – trzeba mu dać coś jeszcze. Każda analiza była bez wątplenia trafna, lecz Alina rzadko miała poczucie, że warto było organizować opiekunkę do dziecka tylko po to, by ją usłyszeć.

Chcąc jakoś przepracować rozwód i własną nieudolność na polu

kobiecości, macierzyństwa i świadomego obywatelstwa, Alina pozwoliła sobie wypisać receptę na fluoksetynę, która podobno „rozbiła bank w Ameryce” i o której rozentuzjzmowana lekarka wyraziła się, że „to jest ten legendarny prozac”, chociaż w Finlandii lek wcale się tak nie nazywał. Alina nie chciała ingerować w swoją neurochemię, ale jej niechęć do legendarnego prozacu, który prozakiem nie był, najwidoczniej dotknęła panią doktor i dlatego Alina postanowiła łykać grzecznie pigułki na rozwód dzień w dzień przez dwa tygodnie, co kosztowało ją mdłości i konieczność zwalniania się z pracy najdalej w południe z powodu rozsadzającego głowę bólu. Terapii nie wolno było przerywać bez konsultacji z lekarzem prowadzącym, tak więc Alina zapłaciła kolejne 356 marek plus 34,80 opłaty manipulacyjnej tylko po to, by uśmiechając się niepewnie, powiedzieć pani doktor, że całą partię legendarnego prozacu oddała białej damie. Powiedziała też lekarce, której z poprzedniej euforii pozostał już tylko krzywy uśmiech, że bardzo się ucieszyła, gdy po zakończeniu terapii zawroty i bóle głowy przeszły jak ręką odjął i w związku z tym chyba nie była jednak aż tak przygnębiona, żeby brać na to leki. Pani doktor wyraziła ubolewanie w sposób, który dał Alinie do zrozumienia, że jest nieudolną pacjentką, a potem zaczęła ją namawiać do spróbowania innego leku, dokładnie takiego samego, ale zupełnie innego, niewiarygodnie skutecznego, choć nie w rozbijaniu banku w Ameryce, nie w takim sensie jak prozac. Alina nie rozumiała, jak chemiczna postać leku może być praktycznie taka sama, a jednak zupełnie inna, ale może wcale nie musiała tego rozumieć. Wzięła receptę i na wizycie kontrolnej bez zająknięcia powiedziała lekarce, że zaczęła terapię i czuje się doskonale. Kurczę, naprawdę świetny lek. Sama była zdziwiona, że potrafi tak łączyć w żywe oczy. Ale nie chciała kobiety urazić, lekarka robiła przecież, co mogła; po prostu na tym etapie swojego życia Alina nie zniosłaby już kolejnej porażki. No i pani doktor wyglądała na szczęśliwą, że w końcu zdołała jej pomóc. Powiedziała, że chętnie jej znów pomoże, jeżeli Alina poczuje się kiedyś jak samotna matka z dzieckiem, którego wychowanie nastrecza samych kłopotów.

Alina zdążyła się już trochę zadurzyć w uprzedzająco uprzejmym i eleganckim biseksualiście, który chyba także ją polubił. Ale na trzeciej randce wyznał, że zrozumiał, iż ta jego biseksualność to wyłącznie tożsamość przejściowa. I wtedy zdał sobie sprawę – dzięki niej, za co jest jej bezmiernie wdzięczny – że spotykał się z kobietami wyłącznie przez wzgląd na rodziców, by łatwiej im było się oswoić z homoseksualizmem syna.

Kłęczała już w śmierdzącym od papierosów dwupokojowym mieszkaniu

gdzieś na przedmieściach i już miała wziąć do ust małego, pokracznego członka jakiegoś mów-mi-Jormy – typ dosiadł się do jej stolika na dansingu i za nic nie dał się spławić – kiedy na całe jej szczęście w ostatniej chwili zdobyła się na: „Dzięki, może się zdzwonimy” i wyszła tak pospiesznie, że zostawiła u mów-mi-Jormy lepszy z dwóch wiosennych płaszczy, który wspominała z żalem jeszcze bardzo długo.

Całe dwa lata zmarnowała na kozetce psychoterapeuty, który z tym swoim spiczastym nosem kojarzył się jej z poirytowanym chomikiem; gryzoń próbował jej pomóc przepracować tłumiony gniew na Żydów. Alina usiłowała przemówić mu do rozsądku – najpierw oględnie, a potem już wprost – nie zdołała jednak skruszyć jego niezachwianej pewności, że zainteresowała się Joem częściowo lub może nawet wyłącznie dlatego, że był Żydem. I na każdej kolejnej sesji wracał obsesyjnie do tego samego: do żydowskości Joego i egzotyki mężczyzny z dalekiego kraju, podczas gdy ona chciałaby wreszcie zrozumieć, dlaczego ciągle przeprasza wszystkich za to, że żyje, dlaczego ma tak niską samoocenę jako kobieta i matka i czy zdoła jakoś się uwolnić od paralizującego braku pewności siebie, a jeśli tak, to w jaki sposób. Ale terapeuta drążył jej doświadczenia z innymi mężczyznami: czy oni również byli imigrantami? Czy ma dla niej znaczenie kolor skóry? Czy kiedykolwiek myślała, że mogłaby spotykać się, na przykład, z muzulmaninem? Czy zastanawiała się nad tym, dlaczego jako kobieta dąży właśnie do takich związków? Ponieważ ich rozmowy najwyraźniej nie przynosiły gryzonowi żadnej ulgi, Alina postanowiła w końcu przerwać terapię. Żegnając się z nią, mężczyzna uśmiechnął się krzywo i życzył jej powodzenia, nie omieszkał jednak dodać, że przerwanie terapii po obiecującym dwuletnim początku może być oznaką trwałego zaburzenia osobowości.

Tamte lata spędziła głównie sam na sam z Samuelem, ze sobą i w pracy – wszystkie dni były do siebie podobne, nużące, samotne, zwyczajne: prowadziła Samuela do żłobka, do przedszkola, do szkoły, szła do pracy, do sklepu, robiła zapiekankę z makaronem, pomagała Samuelowi w lekcjach, prała jego zielone od trawy dresy, szorowała zaschnięte garnki po owsiance, oglądała telewizję, podjadała zimne ciasto z zamrażarki i płakała. Płakała nad swoim synem, bezustannie rysującym lamparty dla swojego ojca, którego nigdy w życiu nie spotka. Samuel pewnie sam to wiedział, bo zacinał się na każdym słowie i ze złością wyrywał sobie z gardła następne sylaby. Często myślała, że chyba tylko cudem jej dziecko nie nabawiło się jakiejś choroby psychicznej – nie z powodu własnych emocji, lecz jej: to ona nie potrafiła przeżyć minuty bez lęków i zmartwień.

Chociaż nie zamierzała przeczytać już w życiu ani jednego poradnika dla rodziców, czuła każdą cząstką ciała, że ta jej wieczna nieszczęśliwa markotność może jej dziecku wyłącznie zaszkodzić.

Ale dzieci dadzą sobie radę. Zawsze dawały. To był cud, najprawdziwszy cud – taki sam, jak każdy zielony pęd przebijający się na wiosnę przez stwardniałą glebę. Życie nie było wcale pasmem wiecznej udręki; Alina nieraz myślała, że nie mieliby teraz z Samuelem tak mocnej relacji, gdyby nie musieli sami przecierać sobie szlaków przez te wszystkie lata.

Choć po wakacjach po maturze Samuela nie widywali się już tak często, jeszcze będzie tak jak dawniej. Wiedziała to na pewno.

I te długie lata ułożyły się szczęśliwie w tak udany rytuał przejścia od rozvodu do dojrzałej kobiecości, że kiedy w wieku trzydziestu sześciu lat w bibliotece przy regale z przewodnikami turystycznymi wpadła na Henriego, który od trzech lat nie miał żadnej partnerki, nawet nie przyszło jej do głowy, by cokolwiek udawać, czegokolwiek próbować czy robić sobie jakiegokolwiek nadzieje. To przypadkowe, przyprawione szczyptą niezamierzonego komizmu spotkanie wypadło jakoś tak zupełnie naturalnie i serdecznie i gdy Henri ją spytał, czy często przychodzi do biblioteki, rzeczywiście zaczęła tam bywać częściej, do czego nie chciała się za bardzo przyznać nawet przed samą sobą. I kiedy w końcu, po zdecydowanie za długim czasie, znowu tam na siebie wpadli, dalsze granie na zwłokę wydawało się już obojgu zupełnie niepotrzebne.

Henri był wcieleniem tolerancji, współczucia i uprzedzającej troski; nie znała nikogo podobnego. Pamiętała, że przez pierwsze dwa tygodnie trwała w bezustannym zdumieniu, że mogą istnieć tacy mężczyźni – niewiarygodnie opanowani i skłonni do refleksji, mający nawet odwagę mierzyć się z własnymi słabościami i o nich mówić. Henri nie palił, pił mało i nie miał nic przeciwko dzieciom ani małżeństwom, nawet homoseksualnym, nie próbował ubierać się jak dwudziestolatek i nie zapuścił nigdy śmiesznych wąsów. Nie nosił sygnetów ani złotych łańcuchów i nie miał porywczych byłych, które będą po pijaku wystawać pod jego oknem i chrypieć na całe gardło: „Co tam za kurwe se do chaty sprowadziłeś?! Zajebie te suke!”. (Już na postoju taksówek Alina czuła, że trzeba było odrzucić zaproszenie na drinka i nie jechać do domu właściciela nieistniejącej już siłowni, ale czasem samotność tak jej doskwierała i tak dusiła, że robiła coś wbrew zdrowemu rozsądkowi).

Henri wziął na siebie część obowiązków przy dzieciach, robił nawet więcej. A przecież nie było już takiej potrzeby, bo po nieudanym małżeństwie Alina

pogodziła się z tym, że mężczyznom nie można w tym względzie ufać – a tu nagle trafiło się jej dużo ponad to, na co w duchu liczyła.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że emanująca z Henriego ugodowość, którą ten i ów mógłby nazwać zniewieściałością, w jej poprzednim życiu raczej nie byłaby afrodyzjakiem. Jeśli kobieta marzyła o wielkim gburze w skórzanej kurtce, który nie ma cierpliwości do babskiego gadania, ale przy pierwszym spotkaniu zupełnie zwała z nóg, to zdecydowanie nie powinna wiązać się z Henrim. Alina spostrzegła jednak ze zdumieniem, że czasem, w tajemnicy przed wszystkimi, widuje się także z jaskiniowcem w skórze, który nic nie mówi i zostawia jej na policzku czerwone ślady po twardym zarostcie. Nie spotykali się często, czasem tylko: w senne niedzielne popołudnia, kiedy zostawała sama w domu i tuż po przebudzeniu z drzemki wszystko wydawało się jeszcze trochę nierzeczywiste; przeżycie było tak doskonałe, że nie zrezygnowałaby z niego za żadne skarby świata. Nie wątpiła, że Henri ma podobnie z młodą kobietą o wilgotnych ustach, tą wyśnioną, wymarzoną. Może spotykał się z nią czasem w te noce, kiedy dzieci posapywały przez sen, a ona czuła w mroku, jak w nią rytmicznie wchodzi.

I myśląc o tym, przypomniła sobie dziewczynę, która lata temu leżała przy niej na jej małżeńskim łóżku. I zrozumiała, że w swym poprzednim życiu właśnie tak zaważyła dobrą relację: nic innego nie było prawdziwe, tylko ten motocyklista w skórze i ta kobieta o wilgotnych wargach. Ale to przywilej młodości, dla której wszystko, jak powiedział poeta, musi być wzniosłe i krwawe; teraz Alina odczuwała już tylko zwykłą, czystą radość z odkrycia, że życia nie warto sobie komplikować.

Dzieci to nasza przyszłość Baltimore, MD, USA

Joe próbował naświetlić im swoją sytuację z kilku punktów widzenia, ale Barb Fleischmann i Roddy nie byli zachwyceni jego pomysłem.

– Chyba cię źle zrozumiałam, Joe – powiedziała Barb oficjalnym, dziekańskim tonem. – Bo jeżeli nam proponujesz, żebyśmy zaczęli *negocjować* z wandalami, z ludźmi, którzy...

– Barb, oni mi włożą do domu!

– Posłuchaj, Joe. Ja rozumiem, że może ci się wydawać...

– Demonstrują na moim trawniku z megafonem, w weekend! Zrzucają nam pod dom truchło zarżniętej świni!

– Może byś jednak pozwolił działowi ochrony... – zaczął Roddy.

– Tak jak do tej pory?

Roddy rzucił mu szybkie spojrzenie. Dał mu do zrozumienia: wściekanie się nie poprawi sytuacji.

– Joe, żyjesz ostatnio w wielkim stresie.

– Który ciągle narasta!

– Joe, moglibyśmy tymczasem ustalić, że już więcej...

– Nie moglibyśmy! Moje córki boją się spać we własnym domu! Nie mogę się na niczym skupić! A co nam wymyślą następnym razem? Muszę coś zrobić.

– Moglibyśmy rozważyć na przykład taki wariant, że Barb odejmie ci jakiś kurs...

– Nie! Nie będziecie mi, kurwa, odejmować żadnych kursów!

Barb i Roddy wymienili błyskawiczne spojrzenia. Joe uzmysłowił sobie nagle, jak na niego patrzą, jakie niuanse pojawiły się w ich nastawieniu do niego. Barb zrobiła głęboki wdech.

– Czego byś chciał, Joe? Co by ci pomogło? – spytała spokojnie i wolno jak rodzic ustępujący kapryśnemu dziecku.

Joe przeciągnął dłonią po włosach, starając się zebrać myśli. Barb i Roddy byli po jego stronie, razem pracowali. Nie byli jego wrogami i wściekanie się na nich nie miało w ogóle sensu.

– No – zaczął, próbując wyrównać oddech – chciałbym wiedzieć, kim są ci ludzie. Czego chcą. To by mi pomogło. Gdybym mógł im powiedzieć, że

w taki sposób świata się nie zmienia. Gdybym mógł ich spytać, czy tak naprawdę wiedzą, co robią.

– Joe, musisz zrozumieć... – zaczął Roddy.

– Ja pierdolę – wyrwało się Joemu.

– ...że nasz wydział nie może brać w tym udziału.

– Że co?! Jak to: *nie może*?

– W czymś takim, co nam proponujesz – dopowiedział Roddy i zerknął na Barbarę, jakby szukał u niej wsparcia. Skinęła nieznacznie głową: mów dalej, Roddy, mam dokładnie takie samo zdanie.

– Co to ma znaczyć? Przecież już bierzecie w tym udział! Czy może chodzi wam po głowie, żeby mnie wylać z pracy? Wszyscy robimy tę samą robotę! To się mogło przydarzyć równie dobrze tobie!

– Joe, działajmy wspólnie i zostawmy tę sprawę policji...

– Roddy. – Joe przerwał mu takim tonem, że tamten wreszcie przestał chodzić. – Kiedy ktoś ci zniszczy gabinet, wyrwie cię ze snu o szóstej rano syreną okrętową i zacznie trąbić przez megafon wszystkim twoim sąsiadom, że jesteś mordercą, to wtedy pogadamy o wspólnych działaniach.

Roddy spojrział na niego i otworzył usta, ale nic nie powiedział. Joe miał wrażenie, że Roddy po raz pierwszy usłyszał, co on próbuje mu powiedzieć.

Barb Fleischmann też popatrzyła na Joego jak na kolegę i partnera.

– Chcesz iść na solo, proszę bardzo. Ale nie licz na wsparcie – powiedziała.

Na wszystkich karteczkach napisał to samo. Przykleił je, gdzie tylko mógł: na drzwiach gabinetu, przy wejściu do wydziału, na ogrodzeniu swojego domu, na drzwiach wejściowych.

„Możemy pogadać?”

Pod spodem wypisał starannie swoje imię i nazwisko, numer telefonu, adres poczty elektronicznej i adres domowy.

– Czy to naprawdę rozsądne? – spytała wieczorem Miriam.

– Coś przez to przecież usiłowali powiedzieć – odpowiedział Joe.

– Tylko nie jestem pewna, czy warto tego słuchać.

– To po co by to robili? Może jednak można z nimi o czymś podyskutować.

– Tak sądzisz?

– Żebyśmy chociaż wiedzieli, z kim mam rozbieżne poglądy... I na jaki temat.

– Ale nasz adres... Nie jest mi dobrze z tym, że... – zaczęła Miriam, ale urwała w pół zdania i z zatroskaną miną spojrzała na karteczkę.

– Przecież i tak go znają.

Widząc jej obrażoną minę, po raz pierwszy przeczuł, że ta sprawa może się jeszcze wbić klinem między nich.

– Ale teraz musimy już iść. Dani! – krzyknął Joe. – Jesteś gotowa?

Był z siebie dumny. Mimo że wandale zdemolowali mu gabinet, a potem wtargnęli na jego posesję, on zachowuje zimną krew i zabiera córkę na mecz baseballa, tak jak jej wcześniej obiecał.

Pojechał spokojnie do centrum i celowo zaparkował daleko od stadionu. Przeszli z Daniellą nabrzeżem obok sklepów dla turystów przy Inner Harbor, gdzie emerycy w czapkach baseballowych i białych pantoflach człapali z restauracji do sklepu z pamiątkami. Słońce chyliło się ku zachodowi, panował przyjemny chłód i w powietrzu nie czuło się jeszcze tak wielkiej wilgotności – i może życie też się jeszcze nie skończyło, tylko było właśnie tu i teraz.

Na trybunie Oriole Park podczas *seventh-inning-stretch* odśpiewali z Daniellą *Take Me Out To The Ball Game* z całym stadionem i zostali do końca meczu, w którym New York Yankees tradycyjnie złoili Oriolesom skórę. Wszystko się ułoży, ciemne chmury szybko przejdą. Joe znajdzie tych ludzi i pogada z nimi. Wyjaśni, co ich boli, zawstydzi i skończy się ta dziecinada. Przyszły rok będzie znowu normalny, dobry. *Szana towa.*

Joe siedział w swoim gabinecie i wyobrażał sobie młodszą córkę w szkolnym audytorium. Prezentacja Danielli wypadła tak dobrze, że poproszono ją o powtórzenie jej dla całej szkoły. Rano długo wybierała strój, w końcu zwróciła się o pomoc do starszej siostry.

Rebecca wyjmowała po kolei wieszaki z szafy Dani i przyglądała się bluzkom i spódniczkom.

– Serio, Daniella.

– No właśnie!

– Dziewczyno, musisz mieć chociaż *jeden* porządny ciuch.

– Nie syp mi soli na rany.

– To wszystko... no... *masakra!* Dani!

– Już nic mi więcej nie mów.

Joe się dziwił, skąd nagle u Rebekki to surowe, niemal bezwzględne spojrzenie, skąd u niej taka postawa. Czy to jego geny? Czy to tylko dojrzewanie i ta bezkompromisowość nastolatki sama z czasem minie, za parę lat? Wiedział, że on też jest przesadnie krytyczny i wali prosto z mostu, kiedy coś mu się nie podoba.

Miriam musiała pójść na górę i zgromić Rebecę znaczącym, oskarżycielskim spojrzeniem.

– Becky – powiedziała. – Musisz jeszcze rozmyślnie pogarszać sprawę? Twoja młodsza siostra potrzebuje wsparcia. Ma tremę, chyba rozumiesz.

– Poproszono mnie o zdanie. Przepraszam, że nie umiem pierdolić głupot w żywe oczy.

– *Becky.*

– *Mommy.*

W końcu Rebecca pożyczyła siostrze top: w tym nie będziesz wyglądała na *totalną* parówę.

Daniella była już spóźniona i Joe nie miał czasu zainterweniować. Połyskliwy top, w którym jego młodsza córka poszła do szkoły, wybrali dla Rebekki jej nowi znajomi. Przód zdobił srebrnoliterowy ironiczny slogan pełen beztrioskiej swobody i pogardy dla zdania rodziców – ten sam, który dzięki zmyślnym animacjom rozniósł się jak epidemia po całej wirtualnej rzeczywistości, pomagając na swój sposób producentowi pewnego urządzenia – Tedowi Brownowi i jego Freedom Media – budować nowy, wspaniały świat. Joe przeczytał niedawno w gazecie, że sprytni bohaterowie tych filmików występują już w pełnometrażowej kreskówce przeznaczony dla dzieci od lat trzech do dziesięciu. Krytycy chwalili piękny przekaz filmu, który na długo się zapisze w pamięci dzieci i dorosłych.

Wieczorem Joe próbował przy kolacji porozmawiać z Rebecą o tym, że nie warto robić billboardu ze swojego życia i że wszystko, co ona robi, dociera do świadomości także jej młodszej siostry. Czy na pewno chce reklamować Dani substancje chemiczne zmieniające funkcjonowanie mózgu, choć nikt nie wie dokładnie, jakie procesy w nim inicjują?

Rebecca prychnęła i wyglądało na to, że się zamyśliła. Zmarszczyła czoło. Wydawała się zaskakująco skupiona, wreszcie! Joe zdążył już pomyśleć, że zaczęła się poważnie zastanawiać nad jego pytaniami, ale wtem zdał sobie sprawę, skąd ten wyraz skupienia na twarzy jego córki.

– *Becca!*

Dziewczyna wybudziła się z otępienia i zerwała z głowy małe srebrne guziczki.

– Co znowu? – warknęła obrażonym tonem.

– Słyszałaś, o co cię pytałem?!

– Nie krzycz! Oglądam film.

– Dosyć tego! Zabraniam ci używania tego gówna przy innych domownikach! Nigdy nie wiem, czy jesteś tutaj, czy gdzieś zupełnie indziej!

- Nie będziesz mi rozkazywał.
- Ty już ostatnio niczego nie widzisz i nie słyszysz! Tak jesteś zaabsorbowana tym, co tam masz.
- Zupełnie nie jak ty, kiedy czytasz jeden z tych swoich zajebiste interesujących artykułów naukowych.

Urządzenie iAm, które Rebecca dostała w prezencie od swoich „znajomych” – telefon, który nie był telefonem – okazało się miniaturowym „bezinterfejsowym” wizualizatorem. Egzemplarz Rebekki pochodził z serii prototypowej, ale poprawiona wersja miała wejść na rynek już tej jesieni.

Wizualizator umożliwiał przeglądanie sieci, oglądanie klipów i słuchanie muzyki. Nie miał jednak praktycznie interfejsu, bo – jak napisano w instrukcji obsługi – za pomocą niewielkich, designerskich elektrod doznania są przekazywane bezpośrednio do kory wzrokowej i słuchowej. Zakończenia dróg zmysłowych w korze wciąż były potrzebne, ale już nie organy zmysłów; doznania tak, ale już nie świat zewnętrzny – tylko urządzenie.

Wrażenia z użytkowania były jeszcze podobno trochę niespójne. Rebecca mówiła, że obraz się często rozdwaja albo zanika, a głos czasem brzmi niewyraźnie, jakość odbioru jednak bezustannie się poprawia. Wszystkie szczegóły – gdzie, co i jak się ogląda oraz jak na to wszystko reaguje mózg – są chyba automatycznie przekazywane do centrum obliczeniowego i użytkownik nie musi sobie nawet zaprzętać tym głowy. Dzięki temu producent może na bieżąco korygować problemy i instalować aktualizacje w czasie rzeczywistym. Oprócz tego Rebecca otrzymuje na urządzenie dedykowane dla niej linki, filmy i utwory muzyczne: nie trzeba grzebać w żadnych ustawieniach ani o nic prosić.

Nowi znajomi Rebekki byli zachwyceni możliwościami urządzenia. Jej zdaniem najlepsze w nim jest to, że teraz może oglądać i słuchać, co chce, *podczas* lekcji w szkole czy obiadu w domu, nie musi już kierować wzroku w żadne konkretne miejsce, na telewizor czy ekran, bo filmy i napisy pojawiają się w idealnej jakości przed oczami – wystarczy skupić na nich wzrok. I w każdej chwili można spojrzeć „przez nie”: świat zewnętrzny nie znika, można więc czytać maile na ulicy i oglądać filmy podczas joggingu! To, co się chce, i tam, gdzie się chce! Bez głupiego monitora albo wyświetlacza. Programy i siłę głosu zmienia się myślą, choć wymaga to pewnego dostrojenia: kalibracja poleceń zajmuje trochę czasu i nie zawsze daje idealny rezultat – podobnie jak w zamierzonych czasach rozpoznawanie mowy, gdy wynalazek znajdował się jeszcze w fazie rozwojowej.

- Ale jaki w tym sens? – zdziwił się Joe. – Przecież nie jesteś w stanie się

skoncentrować na tym, co się dzieje dokoła ciebie, jeżeli w tym samym czasie oglądasz film!

Rebecca przewróciła oczami.

– No strasznie dużo na tym tracę.

– Posłuchaj, Becca – zaczął Joe. – Jeszcze parę słów o tych lekach. Wierzę ci, że ich nie zażywałaś. Ale chciałbym ci powiedzieć, że...

Nie wiedział, jak to dalej rozegrać. Nie chciał być zbyt kontrolującym ojcem, a z drugiej strony nie chciał córki za bardzo straszyć.

– Sprawdziłem w sieci, co wiadomo o tych substancjach.

– Uuu, wielki guru technologiczny Joseph Chayefski dekonstruuje! Ceny akcji lecą na łeb na szyję!

– Wynaleziono je do leczenia autyzmu.

– Hm.

– Na to wygląda.

– Hm – chrząknęła znów Rebecca i spojrzała na niego, marszcząc w zamyśleniu czoło. Joe uznał, że warto kontynuować.

– Nie jestem pewny, czy warto ingerować w biochemię mózgu za pomocą takiej substancji. Jeżeli mam być z tobą szczery, to bardzo mnie to martwi. Nie wiem, czy porządnie przebadano długofalowe skutki zażywania tej substancji.

Powiedział, że poświęcił wiele dni na zapoznanie się z badaniami i na próby ustalenia, co wiadomo na temat mechanizmów działania nowego neuroregulatora. Okazało się jednak, że wszystkie opublikowane badania zostały przeprowadzone przez koncerny farmaceutyczne, a wiadomo, że producenci leków konstruują je tak, by wypadły jak najkorzystniej dla ich produktów, i na domiar złego poprawiają wyniki przed publikacją, usuwając z nich niekorzystne dane. Natomiast wyniki pozytywne publikują, gdzie się tylko da.

Joe zadzwonił do stanowego urzędu kontroli leków, który wydał licencję marketingową – wyłącznie na autyzm i zaburzenie psychiczne, o którym Joe nigdy nie słyszał, jakieś zaburzenia reakcji społecznej na tle czegoś tam – lecz nie zdołał wyciągnąć z nich przez telefon nic więcej poza tym, jakie działania musiałby podjąć, gdyby chciał się zapoznać ze wszystkimi wynikami badań zarejestrowanymi w urzędzie, także tymi nieopublikowanymi. W zasadzie jest to możliwe, ale nie da się tego zrobić szybko. Co więcej, wymagałoby gruntownego zapoznania się z dziedziną badań, o której on nie wie praktycznie nic. Od kolegi wiedział też, że decydenci w urzędach kontroli leków to najczęściej byli dyrektorzy wielkich koncernów i odwrotnie, a poza

tym sporo członków komisji oceniających bezpieczeństwo preparatów medycznych figuruje na liście płac Big Pharmacy.

Westchnął.

– Becca, nikt nie wie, jakie mogą być długofalowe skutki ingerowania w pracę mózgu czymś takim. Wydaje się, że ta substancja rzeczywiście zmienia tryb funkcjonowania błon komórkowych i może wpływać na zachowanie przekaźników, ale... Czy to jest bezpieczne? Co to oznacza dla twojego mózgu? Jutro? Za rok? Za dziesięć lat?

Zamyślona Rebecca patrzyła przed siebie. Jej gładka, idealna skóra wciąż marszczyła się na czole. Joe poczuł przyływ czułości. Wreszcie zdołał wzbudzić czymś zainteresowanie ukochanego dziecka, jego specjalistyczna wiedza choć raz znalazła uznanie w oczach krytycznej, inteligentnej Rebekki, choć raz dane mu było poczuć się jak ojciec, którego córka chce wysłuchać do końca.

– Nie wiemy tego – podjął cieplejszym głosem. – Naprawdę *nie wiemy*. Nikt nie wie. Spytaj jakiegokolwiek eksperta, Becca, i jeżeli jest uczciwy, to powie ci to samo: że nikt tego nie wie. Trzeba by przeprowadzić niezależne, prawdziwe badania, na razie jednak takich nie ma. Oczywiście w badaniach koncernów farmaceutycznych wszystko wygląda świetnie, bo one świadomie zatajają problemy. To już nie jest nauka, tylko marketing, który ją udaje.

Rebecca popatrzyła na niego przeciągle. I już zdążył pomyśleć, że wcale go nie słuchała, kiedy skinęła głową. Minę miała tylko trochę dziwną.

– Możemy się zatem umówić, że nie zaczniesz zażywać tego leku bez konsultacji z nami? Dopóki nie zdążymy się zapoznać z obecnym stanem wiedzy o tym specyfiku?

Joe patrzył na Rebecę, która zdawała się przebywać gdzieś na pograniczu oszołomienia, nieświadomości i wzruszenia, i zaczęło do niego docierać, że marketerzy producenta leku biją go na głowę.

– Twoja matka ma na ten temat dokładnie takie samo zdanie – powiedział jeszcze. – Też jest bardzo zaniepokojona.

Rebecca patrzyła na niego, jakby nie rozumiała, co się do niej mówi.

– Możemy?

– Co?

– No, czy możemy się tak umówić? Mamy deal?

Joe wyciągnął rękę.

– Co? – warknęła Rebecca i z gniewną miną wysupłała srebrne guziczki z włosów. Nawet nie zauważył, kiedy zdążyła je z powrotem założyć.

Nie. Tego już za wiele.

- Co? *No co?!*
- Cały czas miałaś te elektrody na głowie?
- No *sorry!*
- I nie słyszałaś ani słowa z tego, co ci przed chwilą powiedziałem? Mówiłem *pół godziny!*
- A ja ci *mówiłam*, że oglądam film!
- Kurwa mać. Tego już za wiele.
- A tak przy okazji: to nie są żadne *elektrody!* To są *małpki!* Jak nie masz do mnie nic więcej, to chciałabym obejrzeć ten film do końca.

Joe wspomniał o urzędzeniu w instytucie, licząc na sympatię i wsparcie. Zwłaszcza młodszy adiunkci byli wyraźnie podnieceni tym, co od niego usłyszeli. To iAm naprawdę wejdzie do sprzedaży? Nareszcie! No i co, faktycznie jest taki zajebisty, jak się słyszy? Co prawda nowy iAm nie miał już bezpośredniego związku ze starym Applem, którego komputery i telefony sprawiały obecnie wrażenie eksponatów muzealnych, a i sama firma, nie bez własnej winy, była już bankrutem – jak można nie dostrzegać ulotnej natury sukcesu zbudowanego na tak kruchej podstawie? – ale świętej pamięci Steve Jobs był jednak jedną z najwybitniejszych osobowości ubiegłego stulecia, obok Gandhiego, Matki Teresy i Martina Luthera Kinga.

Joe, mógłbyś przynieść tego twojego iAma na wydział, żebyśmy mogli go chociaż obejrzeć?

Podobno trzeba go kalibrować dla każdego mózgu indywidualnie, więc i tak nie będą mogli go wypróbować, ale mogliby go *dotknąć* lub choćby tylko *zobaczyć*.

W domu przebywało jedynie ciało jego córki. I chyba najlepiej do tego przywyknąć – słuchając adiunktów, Joe uzmysłowił sobie, że wkrótce będzie to dotyczyć także wszystkich pozostałych. Mógł mieć tylko nadzieję, że nikomu nie stopi się od tego mózg, bo wkrótce ten sam los czeka ich wszystkich.

– To tylko gadżet, *just a gadget* – próbował uspokoić Joego jeden ze starszych profesorów, widząc jego zdumioną minę. – On niczego nie zmieni.

– To prawda – przyznał inny – przecież już teraz nikt nie jest tak naprawdę tam, gdzie przebywa jego ciało. No bo kto nie sprawdza poczty na smartfonie podczas rozmowy, nie pisze nowych postów, kiedy trzeba coś uzgodnić, na konferencji nie serfuje po sieci, zamiast słuchać referatu?

– To na pewno racja, że nie znamy długofalowych skutków – zauważył jeszcze ktoś – ale pamiętacie? Tak samo było z telewizją. W latach

pięćdziesiątych ludzie byli pewni, że od patrzenia w telewizor będzie topił się mózg.

– I trzeba przyznać, że w pewnym sensie mieli zupełną rację.

Komentarz Raja nagrodzono gromkim śmiechem. Ktoś zachichotał i powiedział:

– A, tak, gratulacje, Joe! Dopiero teraz skapowałem, dlaczego ci go przysłali!

– Co?

– No, tego iAma! W końcu to także twoje dziecko!

Nie od razu załapał, więc mu wyjaśnili: te i te sieci neuronowe, te i te obszary, te i te połączenia obszaru MT – ciekawe, kto to wszystko przebadał? Przecież to na podstawie wyników tych badań musieli opracować soft sterujący przekazywaniem bodźców wzrokowych. Wiadomo, że nie wyłącznie, lecz na pewno w najważniejszych zarysach. Bez nich skonstruowanie takiego urządzenia nie byłoby możliwe.

Od jego publikacji – *The Paper* – minęło akurat tyle czasu, żeby ktoś zdążył przekuć teorię na praktykę i skonstruować prototyp.

Joe przełknął ślinę.

To była prawda. Jako z górą pięćdziesięcioletni stary piernik nie miał bladego pojęcia, co się dzieje w szerokim świecie, i nigdy by na to nie wpadł. Urządzenia iAm nie byłoby bez pracy jego zespołu. Chociaż to nie tak: jeżeli nie oni, to kto inny zaobserwowałby to samo co oni. Najprawdopodobniej. Prędzej czy później.

– Niewiarygodne! – wykrzyknął ktoś. – Nigdy nie słyszałem, żeby jakiś badacz dostał od koncernu darmowy egzemplarz czegokolwiek w ramach podziękowania. Super, że to się zmienia! Wreszcie zrozumieli, że bez badań podstawowych nie mieliby co produkować!

Joe już im nie powiedział, że urządzenia w zasadzie nie dano jemu, lecz jego córce, i to z niezbyt chlubnym motywem. Chih-Han poklepał Joego po ramieniu, *good job, man*. Jesteśmy z ciebie dumni. Ktoś poszedł zamówić dla wszystkich sushi i napoje. Super, rewelka! Joe słuchał rozbrzmiewających dokoła pochwał, nie chciał przerywać tego dumnego strzelania szelkami, cała grupa weszła nagle w fantastyczny *flow*.

Ale po zjedzeniu sushi siedział długo w swoim pokoju i patrzył przez okno: trawnik na niższym quadzie czerwieniał w promieniach zachodzącego słońca.

Joe pił chciwie wodę z automatu, na szczęście była lodowato zimna. Na zewnątrz już się czuło, że wkrótce przyjdą straszliwe upały – słońce

przypiekało czasem ze złowróżbną mocą. Zatrzymał się na korytarzu. Ktoś przymocował pinezkami do tablicy ogłoszeniowej wycięte z gazety zdjęcie uśmiechniętego Teda Browna z podpisem: *give me your hungry, your tired, your poor, I'll piss on them – that's what the statue of bigotry says.*

„Dajcie mi swoich głodnych, zmęczonych i biednych, a wyszczam się na nich – oto, co mówi statua dewocji”. Ucieszył się, że ktoś jeszcze w tym instytucie lubi Lou Reeda. Szczególnie jego płyta *New York* zawsze przypominała Joemu czasy doktoratu na MIT. Muzyka Reeda niosła pociechę podczas długich wieczorów po dwóch tygodniach wypełnionych prezentacjami przed obroną, kiedy stracił głos, poczucie własnej wartości i – czego był wówczas absolutnie pewny – ostatnią szansę na karierę akademicką.

Joe uznał, że pojawienie się zdjęcia Browna na tablicy musi mieć związek z wydarzeniami w głównej bibliotece z poprzedniego tygodnia. Miał wyrzuty sumienia, choć próbował przekonać sam siebie, że to nie jego wina. Zwolniono prawie połowę personelu biblioteki – tych najgorzej wykształconych, którzy znali najmniej języków. Pozostali będą musieli – oprócz dotychczasowej pracy – wziąć na swoje barki obowiązki zwolnionych.

Give me your poor huddled masses, let's club'em to death. „Dajcie mi biedne, skulone masy, spałujmy je razem na śmierć”.

Powodem zwolnień było to, że biblioteka próbowała podjąć negocjacje z Freedom Media. Joe był zadowolony, bo od dawna zabiegał o to u kierownictwa placówki. W swojej naiwności wyobrażał sobie, że doprowadzi to przynajmniej do dyskusji, rezultat był jednak taki, że Freedom Media natychmiast, bez słowa ostrzeżenia, zawiesiło subskrypcję wszystkich swoich publikacji naukowych.

A ponieważ bez czasopism nie ma badań, biblioteka musiała się ugiąć. Ponieważ problem dotyczył praktycznie wszystkich gałęzi nauki, władze uczelni obiecały, że spróbują podnieść budżet biblioteki – co oznaczało możliwe cięcia w administracji oraz działalności dydaktycznej i badawczej. A przede wszystkim – konieczność podniesienia i tak już wygórowanego czesnego dla studentów. Sytuacja gospodarcza jaka jest, każdy widzi.

Somewhere a landlord is laughing till he wets his pants, śpiewał Lou Reed o Nowym Jorku lat osiemdziesiątych: „A właściciel pokoju sika w gacie ze śmiechu”.

Przez jakiś czas nie było żadnych nowych wiadomości. Idąc do łóżka, Joe nadal się zastanawiał, czy nie zostanie znów wyrwany ze snu rykiem syreny,

nic się jednak nie działo. Czyżby sama propozycja spotkania rozwiązała problem?

Ponieważ sytuacja się uspokoiła, Joe miał czas, by pójść do szkoły Rebekki, co planował już od dawna.

Uprzejma sekretarka wskazała mu ławeczkę na korytarzu. Usiadł obok pulchnego, przestraszonego nastolatka, który przyciskał książki do piersi i sprawiał wrażenie, jakby się miał za chwilę rozpłakać. Już otwierał usta, by spytać chłopaka, czy wszystko w porządku, kiedy otworzyły się drzwi sekretariatu. W progu stanęła kobieta i spojrzała na Joego.

– Pan Chayefski? Proszę.

– Dziękuję – powiedział Joe i przeszedł za nią do sekretariatu.

Na drzwiach gabinetu dyrektorki widniało wypisane dużymi literami imię i nazwisko. Sekretarka pochyliła się i już wyciągnęła rękę, żeby zapukać, lecz nagle znieruchomiała, jakby chciała sprawdzić, czy z zaświatów nie docierają niewidzialne fale. Po chwili zapukała do drzwi i powiedziała głośno:

– Pan Chayefski!

– Wejść! – rozległo się ze środka.

Sekretarka skinęła głową, otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do Joego.

– Dzień dobry, panie Chayefski – przywitała go dyrektorka. – W czym mogę panu pomóc?

Wstała i obeszła biurko, żeby podać mu rękę. Była to szczupła i żylasta, może pięćdziesięcioletnia kobieta. Biega maratony, przemknęło Joemu przez myśl.

Spytał prosto z mostu, w co gra sponsorująca szkołę firma.

– Przepraszam, że jak? – zdziwiła się kobieta.

Joe od razu spostrzegł diametralną zmianę w jeszcze chwilę temu bardzo uprzejmym wyrazie jej twarzy. Wiedział, że wskazana jest uprzejmość, ale był tak wściekły, że po prostu nie zdołał długo zachować dyplomatycznego spokoju. Ci ludzie mieli ochraniać ich dzieci przed niebezpieczeństwem, a rzucili je na pożarcie lwom.

Wziął głęboki wdech, uśmiechnął się nieznacznie i spokojnie wyjaśnił kobiecie, z czym do niej przyszedł. W ramach jakiejś kampanii, na którą szkoła wydała zgodę, jego córce sprzedano substancję chemiczną, której wpływu na mózg dziecka nie sposób ocenić. Czyżby teren szkoły został przekształcony w poligon doświadczalny?

Dyrektorka wyglądała na zaskoczoną. Nie miała pojęcia, o czym on mówi. Powiedziała, że w szkole rzeczywiście zorganizowano „kampanię informacyjną o empatii”. I uważała, że zagwarantowanie wszystkim dzieciom

równych szans rozwoju to kwestia wielkiej wagi. O reklamowaniu dzieciom jakichś produktów dyrektorka nic nie wiedziała, było jednak bardzo mało prawdopodobne, żeby coś takiego miało w szkole miejsce. O żadnym Nudge nigdy nie słyszała. Może pan Chayefski się pomylił?

– Czy zdaje sobie pani sprawę, że „zagwarantowanie wszystkim dzieciom równych szans rozwoju” oznacza wciskanie nastoletniej młodzieży potencjalnie niebezpiecznych substancji psychoaktywnych do celów, do jakich nie zostały one oficjalnie zarejestrowane? Oznacza namawianie dzieci do wzięcia udziału w opłacanym przez firmę marketingu rówieśniczym?

– Przepraszam, że co? – Dyrektorka otworzyła szeroko oczy i pokręciła głową. – Na Boga, o czym pan mówi?

– Przedstawiciele handlowi tej firmy wcisnęli mojej córce w szkole to.

Joe pokazał opakowanie leku. Dyrektorce nawet nie drgnęła powieka.

– Proszę – powiedziała, podając Joemu świeżo wydrukowaną ulotkę reklamową. Joe przebiegł po niej wzrokiem.

Napisano w niej, że nowe regulatory VMPFC (SKONSULTUJ SIĘ Z LEKARZEM, CZY ALTIUS!® JEST WŁAŚCIWYM LEKIEM DLA TWOJEGO DZIECKA!) efektywnie poprawiają funkcjonowanie mózgu dzieci cierpiących na problemy interakcyjne. Że nie zaburzają aktywności ważnego neuroprzekaźnika we wszystkich synapsach w całym organizmie, tak jak przestarzałe leki psychotropowe z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Joe miał ochotę zgnieść demonstracyjnie ulotkę i wyrzucić ją do kosza, zdołał się jednak jakoś opanować.

Powiedział tylko, że wszystkie informacje podane w tej ulotce są prawdopodobnie wymysłem działu marketingowego producenta leku. W tych stwierdzeniach może nie być ani krzty prawdy. I uważa, że szkoła powinna powstrzymać te piranie, które żerują na ich dzieciach. One same się nie obronią.

Dyrektorka była oburzona podobnymi oskarżeniami. Powiedziała, że mówienie o „żerowaniu” obraża jej poczucie godności profesjonalnego pedagoga i że nie wie, skąd pan Chayefski wziął te swoje tak zwane informacje, wie jednak na pewno, że wszystkie są fałszywe. Tak, to prawda: w szkole trwa kampania sfinansowana przez prywatne firmy, ale ich przedstawiciele doradzają uczniom i pomagają im, między innymi, przewyżać trudności w nawiązywaniu relacji społecznych. Całkowicie za darmo – wbrew panującym obecnie trendom.

– Nie przyszło pani do głowy, że te prywatne firmy mogą mieć tu także mniej szczytne cele? – spytał Joe. – Jestem oczywiście zwykłym profesorem

neurobiologii i może nie do końca rozumiem, o co tutaj chodzi, ale nie uważam, żeby dendryty można było „zoptymalizować” w jakikolwiek sposób. I mogę się założyć, że oni sami nie mają najmniejszego pojęcia, co to znaczy.

– Z tego, co tutaj czytam, wynikałoby jednak, że można to zrobić – odparła dyrektorka, zerkając na ulotkę, jakby chciała się upewnić, że ciągle ma ją w dłoni.

– To zwyczajny marketing! – wykrzyknął Joe. – Rozumiem, że dla pani coś takiego może wyglądać jak nauka, ale może być i tak, że to jedna wielka blaga!

Dyrektorka odrzekła spokojnie, że problemy w grupie rówieśniczej mają dla nastolatków jeszcze bardziej opłakane skutki niż trudności w nauce. Sięgnęła po segregator.

– Mam tu nawet świeży artykuł, który pokazuje, że zaskakująco wiele dzieci cierpi na tymczasowe zaburzenia reakcji społecznej na tle sytuacyjnym. Problemy te pozostają często niezdiagnozowane, mimo że dużej części tej młodzieży optymalizatory VMPFC bardzo by pomogły.

Czy pan Chayefski wie, że wiele badań wskazuje na to, że nawet tymczasowe pogorszenie interakcji społecznej na tle sytuacyjnym może obniżyć elastyczność zdolności wnioskowania aż o 41 procent? A badania pokazują, że elastyczność wnioskowania to najważniejszy czynnik wpływający na powodzenie w testach.

Oczywiście, dyrektor szkoły nie jest profesorem neurobiologii, tak jak pan Chayefski, ani nawet lekarzem, ma jednak oczy i umie czytać: w ulotce jest wyraźnie mowa o badaniach naukowych. Badania mózgu bezustannie postępują i naukowcy coraz lepiej poznają mózg, dzięki czemu mogą nieść pomoc cierpiącym ludziom.

– Nic pani nie rozumie – powiedział Joe, siłąc się na spokój.

On sam jeszcze niedawno nie miał pojęcia, z jaką bezczelnością koncerny farmaceutyczne wzięły na krótką smycz publikacje naukowe i urzędy kontroli leków. I był przerażony tym, czego się dowiedział, kiedy zaczął rozplątywać informacyjny chaos fundowany opinii publicznej przez ludzi pokroju nowych znajomych Rebekki. A przecież to był zaledwie czubek góry lodowej.

– Oni bardzo chętnie pozują na specjalistów od mózgu – ciągnął Joe. – W rzeczywistości jednak pokazują tylko niewiele mówiące zdjęcia mózgu i podejrzane wyniki badań, które mogą być dziełem przypadku lub manipulacji.

– Co pan powie – odrzekła dyrektorka, nie spuszczać z niego oka.

– I na tej podstawie wymyślają, co się da. Byłe tylko dało się to sprzedać.

A ludzie uwierzą we wszystko; wystarczy napisać reklamę pseudonaukowym językiem i pokazać kilka zdjęć mózgu.

– Oczywiście – potaknęła dyrektorka.

Joe przejrzał jej strategię: nie kłóć się z wariatem.

– Jestem prawie pewny, że po podaniu dzieciom kokainy uzyskano by takie same wyniki i identyczne zdjęcia mózgu. Na pewno zaobserwowalibyśmy ożywienie. I zmianę w zachowaniu. Tylko czy rezultaty podania kokainy dzieciom będą wyłącznie pozytywne? Skąd wiadomo, że jakakolwiek substancja chemiczna może cokolwiek w mózgu „zoptymalizować”? Lwia część związków chemicznych tylko i wyłącznie zaburza jego pracę.

– Może chciałby pan zapoznać się z tym? – spytała dyrektorka przesadnie uprzejmym tonem.

Podowała mu wydrukowane na błyszczącym papierze artykuły z prasy naukowej.

– Większość czasopism, w których publikuje się podobne badania, należy do koncernów farmaceutycznych – wyjaśnił jej spokojnie Joe. – To koncerny finansują, planują, analizują i interpretują wyniki badań własnych produktów. Pani uważa, że to praktyka bezstronna i godna zaufania? – spytał.

– Proszę pana, tu jest napisane, że autorką artykułu jest Harriet Warrington z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa...

– Która mogła nawet nie widzieć dokumentacji tych badań. Koncerny farmaceutyczne mają swoich ghostwriterów. Płacą znanym profesorom za wygłaszanie podsuwanych im treści jako własnych poglądów. Nie tak dawno, zimą, wyszło na jaw, że jeden z profesorów z Uniwersytetu Emory wziął od koncernu farmaceutycznego dwa miliony dolarów honorarium za jeden wykład.

Joe zdał sobie sprawę, że gada jak paranoik.

Starał się wytłumaczyć dyrektorce, że system recenzji naukowych, owszem, spełnia swoje zadanie, ale na poziomie badań podstawowych. A wielkie koncerny giełdowe są w stanie kupić sobie nieograniczoną liczbę specjalnie spreparowanych eksperymentów i dlatego nie można bezkrytycznie wierzyć we wszystko, co się obecnie publikuje. Lecz naiwny i gwałtowny sprzeciw dyrektorki wobec jego argumentów otworzył mu oczy na to, że z jednej strony cały ten system jest zbyt złożony i subtelny, a z drugiej prawda budzi w zwykłym zjadaczu chleba tak wielki niepokój, że po prostu ją odrzuca. Takie wypaczenia w zachodniej demokracji? To nie może być prawda!

Przecież cały czas robimy postępy, nauka się rozwija, na rynek wciąż trafiają nowe wspaniałe leki, a państwo pilnie czuwa nad ich bezpieczeństwem! Joemu nie pozostało nic innego, jak pogodzić się z tym, że te sprawy są zbyt trudne i zagmatwane dla szarego obywatela.

– Proszę znowu do mnie przyjść, jeśli będę jeszcze mogła coś dla pana zrobić – powiedziała dyrektorka opanowanym, przesadnie uprzejmym głosem zza biurka, nim Joe zamknął za sobą drzwi jej gabinetu.

Pocieszał się tym, że sam robi w badaniach podstawowych. Na tle gigantycznej, wbudowanej w system korupcji jego branża prezentowała się jeszcze całkiem czysto; znalezienie rozwiązania problemu z Freedom Media było stosunkowo proste: wystarczyło przeciągnąć ludzi na swoją stronę.

Po powrocie na uniwersytet zadzwonił do producenta leku. Udało mu się połączyć ze specjalistą pełniącym obowiązki kierownika wydziału B działu obsługi klienta. Mężczyzna był tak ugrzeczniony i mówił głosem tak przesłodzonym, że każdy Europejczyk od razu by się rozłączył, ale gdy Joe spytał o reklamowanie produktów firmy osobom nieletnim, temperatura głosu specjalisty spadła natychmiast grubo poniżej zera, w okolice fińskiego koła podbiegunowego. Koncern stosuje się do wszystkich istniejących praw i regulacji. Specjalista pełniący obowiązki kierownika wydziału B działu obsługi klienta nie może się odnieść do indywidualnych przypadków, ale przedstawiciele koncernu w żadnym wypadku nie zawierają umów z osobami nieletnimi bez zgody ich opiekunów prawnych. Tak, koncern uczestniczy w kampanii charytatywnej o nazwie *Children Are The Future*, której celem jest uświadamianie nierówności społecznych, zapobieganie szczególnie trudnościom wynikającym z sytuacji interakcyjnych oraz zbieranie środków na wspieranie dzieci mających problemy w nauce. Niestety, specjalista pełniący obowiązki kierownika wydziału B działu obsługi klienta nie potrafił jednak powiedzieć nic bardziej konkretnego o tej kampanii, ponieważ jej organizatorem jest charytatywna fundacja non profit o nazwie *Children Are The Future*, z którą jego koncern jedynie współpracuje.

Gdyby jednak Joe zechciał zostawić swoje dane kontaktowe, inny przedstawiciel koncernu skontaktuje się z nim tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

– Wkrótce skontaktuje się z wami mój prawnik – warknął Joe i się rozłączył.

Cykady, przypomniał sobie pod wieczór – zupełnie wypadło mu z głowy, żeby spytać Daniellę, jak poszła jej prezentacja.

Dla osób organizujących przyjęcia weselne cykady to prawdziwy koszmar, przypomniał sobie urywek wykładu Dani. I jeszcze to, na koniec: Cykady to przede wszystkim wehikuły czasu.

– Rok, w którym z ziemi wychodzą cykady, zapamiętamy do końca życia. I już za każdym razem, gdy o nich pomyślimy, będziemy wracać myślami do tego właśnie roku, do tego właśnie lata, kiedy się pojawiły. Na następny taki rok będziemy musieli poczekać prawie dwadzieścia lat.

– Super, Dani! – wykrzyknął Joe i zaklaskał w pustym pokoju zachodzącemu słońcu. Gdyby tak jego aplauz mógł dotrzeć do córki, stąd, po fakcie.

Pomyślał o swojej jedenastolatce, o jej porannej tremie i ironicznym haśle na bluzce, którą dała jej Rebecca. Specjalnie odszukał koszulkę w internecie i w końcu miał wrażenie, że zrozumiał, o co chodzi w tym sloganie. Podobno zdrowa młodzież powszechnie korzysta z optymalizatorów VMPFC – „fałemek”, „grochów”, „optyków”. Marketing trafił do nich już dawno: odkryj swoje prawdziwe ja, swoją prawdziwą naturę, swój prawdziwy mózg.

Kiedy się o tym dowiedział, skontaktował się ze znajomym psychiatrą. Czy łamanie prawa marketingowego nie ma konsekwencji karnych? – dziwił się. Oczywiście, że tak, odpowiedział psychiatra. Nie ma tygodnia, żeby jakiś duży koncern farmaceutyczny nie zapłacił dwóch milionów odszkodowania rodzicom, których dziecko zmarło na zawał serca – tylko że w tym samym czasie za sprawą nielegalnej reklamy sprzedaż wzrasta im o dwa miliardy.

Koncerny przestrzegają wszystkich obowiązujących praw i regulacji. Procesy kończą się nieodmiennie ugodą pozasądową i umówione sumy są wypłacane co do centa.

A więc nawet Dani podczas swojej prezentacji reklamowała optymalizatory dendrytowe. Całej szkole, w najbardziej skuteczny sposób: własnym przykładem i nonszalancką inteligencją – a on nie zrobił nic, żeby temu zapobiec. „I widział Bóg – przyszło mu nagle do głowy – że wszystko, co stworzył, było bardzo dobre”³.

Wieczorem musi spytać, jak jej poszła prezentacja. Przy okazji wyjaśni jej, dlaczego nie chce, by jego córki nosiły ubrania z wypisanym srebrnymi literami ironicznym sloganem.

Wyjaśni jej, co w tym kraju, a może i na całym świecie, jest nie tak, i że jako obywatele i konsumenci muszą być wszyscy mądrzejsi, bo inaczej cała planeta znajdzie się w rękach Teda Browna i jemu podobnych.

Dziś na zjeździe republikanów ukamienują Teddy’ego Roosevelta, pomyślał Joe. To był ulubiony cytat jego dziadka: „Nie ma mowy o skutecznej kontroli

korporacji, jeśli pozwolimy im na uprawianie polityki”. Theodore Roosevelt, rok 1910: wielkim koncernom nie wolno dawać władzy politycznej, bo źle się to skończy. Joemu brakowało zejdeggo i Teddy’ego Roosevelta. „Powstrzymanie władzy korporacji nie będzie ani szybkie, ani łatwe – ale to jest możliwe”. Usłyszał niski głos zejdeggo i poczuł silne wzruszenie.

To właśnie zrobi dziś wieczorem: opowie córkom także o Teddym Roosevelcie. O tym, że republikański prezydent popierał podatki, zakaz zatrudniania dzieci, publiczną służbę zdrowia, prawa pracownicze i ochronę środowiska: tysiące akrów ziemi przeznaczył na parki narodowe i obszary chronione.

Powie dzieciom, że jest jeszcze czas, by partie porozumiały się ze sobą. Powie im, że jeżeli pozwolimy wielkim koncernom decydować za nas, one dla zysku zrobią z tym światem, co tylko zechcą: wszystko będzie na sprzedaż i każdy będzie sprzedawcą, choć to wcale nie będzie dobre ani dla obywateli, ani dla naszej Ziemi. I dlatego Rebecca powinna jeszcze przemyśleć swoją *znajomość* z działem marketingu pewnego koncernu farmaceutycznego.

O Sandym Koufaksie też im opowie. Chociaż może nie tego dnia.

Wieczorem Daniella odmówiła zejścia na kolację. Saara powiedziała, że mała przyszła ze szkoły z płaczem i zamknęła się w swoim pokoju; nie chciała jeść ani rozmawiać.

Była ósma, kiedy Joe zdołał wreszcie nakłonić Dani do otwarcia drzwi.

– Mówią, że torturujesz! – krzyknęła na niego. – Zwierzęta!

– Co takiego?

– Torturujesz zwierzęta! Że zabijasz i torturujesz zwierzęta!

Joe nie wierzył własnym uszom.

– Kroisz je na kawałki! Zasztywasz małym kociątkom oczy, żeby do końca życia miały zezę! Niszczysz im w mózgu jakieś... mózdzki!

Przez chwilę wszystko było jak na zwolnionym filmie; Joe czuł każdą sekundę oddzielnie, jak nastaje, trwa i mija. Wyciągnął rękę do leżącej na łóżku zapłakanej Danielli, najchętniej wziąłby ją w ramiona i pocieszył, ale córka odepchnęła go.

Z łazienki na piętrze dobiegł go wybuch złośliwego śmiechu: Rebecca szykowała się do wyjścia.

– To prawda? – spytała Daniella. Twarz miała czerwoną.

– Dani...

– Przestań! Pytam, czy to prawda? *Prawda?!*

Joe długo patrzył córce w oczy.

– Nie – odpowiedział.

Czuł się jak Abraham na górze, kiedy Izaak pyta, gdzie jest jagnię przeznaczone na ofiarę. Jak Michael Corleone w *Ojcu chrzestnym*.

Daniella chlipnęła, wytarła nos w rękaw.

– To dlaczego tak mówią?

Uniosła poczerwieniałe od płaczu oczy i wlepiła w niego rozpalone spojrzenie.

– Ci ludzie nie wiedzą, o czym mówią – zaczął powoli Joe. – Nienaukowcom, którzy nie zajmują się tą pracą na co dzień, tak jak my, naprawdę trudno zrozumieć, na czym ona polega.

Daniella patrzyła na niego na poły oskarżycielsko, na poły błagalnie. Joe widział, że córka bardzo chciałaby mu uwierzyć, lecz nie potrafi się zdecydować, co zrobić.

Badania naukowe robi się po to, żeby się dowiedzieć, jak wygląda świat i w jaki sposób to wszystko funkcjonuje. Bo kiedy będziemy wiedzieli więcej, to będziemy mogli, na przykład, leczyć choroby i ludzie nie będą niepotrzebnie umierać.

Zmroziło go, gdy nagle sobie uprzytomnił, co właśnie zrobił: to samo, co dziennikarze, których zawsze ganił za traktowanie wiedzy wyłącznie w kategoriach instrumentalnych.

Daniella słuchała i wycierała łzy, powoli się uspokajała. Prezentacja szła dobrze, powiedziała, do czasu, kiedy nagle ktoś zaczął głośno buczeć. Nauczycielka w końcu zdołała uciszyć krzykaczy, ale najgorsze już się stało. Joe widział, że choć Daniella już się uspokoiła i chce znowu rozmawiać, nadal nie jest pewna, co ma o tym sądzić.

Późnym wieczorem, kiedy Rebecca wróciła już do domu, śmierzdząca piwem i trawką, Joe podszuchał jej rozmowę z siostrą.

– Siadaj – powiedziała Rebecca.

– Po co?

I nim zdążył pójść na górę i kazać jej iść do siebie, Rebecca zatrzepotała ciemnofioletowymi rzęsami i pewnym głosem dojrzałej kobiety po przejściach rzekła:

– To prawda, Dani.

A potem przedelfilowała korytarzem do swojego pokoju z uśmiechem, który nie musiał w sumie mieć żadnego związku z zaistniałą sytuacją; mogła akurat oglądać na swoim bezinterfejsowym eksploratorze przeżyć kolejny klip wybrany specjalnie dla niej przez farmaceutyczny koncern kosmetyczno-odzieżowy. W przeciwieństwie do odtwarzacza słuchawkowego czy iPod'a

iAm nie generował żadnych słyszalnych dla otoczenia dźwięków – i nie mógł tego robić, bo wszystkie wrażenia zmysłowe wzbudzano bezpośrednio w korze mózgowej. Muzyka nie była rozchodzącą się w powietrzu falą akustyczną, lecz serią zsynchronizowanych i precyzyjnie zsekwencjonowanych impulsów nerwowych. Filmów nie trzeba było nigdzie „wyświetlać” – wystarczyło opanować wewnętrzną scenę umysłu, na której ukazują się nam sny, myśli i wspomnienia, by świat zewnętrzny stał się niepotrzebną iluzją. Było to bez wątpienia wielkie osiągnięcie, ale teraz Joe nie mógł już być pewny, czy jego nastoletnia córka uśmiecha się w reakcji na jego słowa, czy może dlatego, że ogląda właśnie ciepłą, ludzką komedię o prawdziwym życiu.

Po chwili Daniella podeszła do szczytu schodów i popatrzyła mu z góry w oczy: jej spojrzenie wyrażało niedowierzanie, zdumienie i coś jeszcze, czego do tej pory nie widział w oczach młodszej córki, ale bezbłędnie rozpoznał. I wiedział, że zapamięta to spojrzenie do końca życia. Daniella odwróciła się i wolno poszła do swojego pokoju.

Chwilę później usłyszał, jak włącza na swoim komputerze Blu-raya. Na płycie rekomendowanej przez firmę marketingową – i zdaniem Rebekki wybranej z wielu innych specjalnie dla niej – piosenkareczka nu-r'n'b błagała o seks oralny. Ubrana w bluzeczkę, na której połyskliwe litery układały się w znany ironiczny slogan.

Joe nie spał; leżał w łóżku i wpatrywał się w sufit. Bez względu na konfigurację, w jakie ustawiał w myślach wydarzenia, ciągle miał wyrzuty sumienia z powodu tego, co powiedział Danielli o swojej pracy, a jaka była prawda. Dziecko to przeżyje, ale ten pierwszy raz zawsze jest druzgocący: kiedy po raz pierwszy do niego dociera, że może zostać oszukane przez własnego ojca. Wstał, podszedł cicho pod drzwi pokoju Danielli i powoli je otworzył. Dziewczynka leżała w poprzek łóżka, ze zgiętą nogą opartą o ścianę. Kołdra, jak zawsze, leżała na boku. Żadnych śladów, żeby płakała dwie godziny przed zaśnięciem. Buzia okrągła, jeszcze dziecięca, z cerą znowu gładką, tak jak dawniej. Żadnych lęków ani wstydu.

Nie doszłoby do tej sytuacji, gdyby wykonywał swoją pracę chociaż trochę inaczej. Ale i tak byłby zależny od doświadczeń na zwierzętach, odpowiedział sobie w myślach. Wszyscy korzystają z wyników innych badaczy. Także ci, którzy nie mają w swoim laboratorium ani jednego zwierzęcia. Wartość eksperymentu nie ma żadnego związku z tym, kto go przeprowadza. I co o nim sądzą jego córki. Przypomniał sobie letni dzień z dzieciństwa – wyszli

z synagogi, powietrze było tak gorące, jak później w fińskiej saunie; spytał wtedy ojca, dokąd płyną chmury, kiedy już przepłyną przez całe niebo. Pamiętał kuzynów i stroje kupione specjalnie na ceremonię bar micwy, dramatyczną chwilę aliji, urywki Tory po hebrajsku, które wyrecytował z bimy, chociaż nie myślał wcale o swoich zobowiązaniach i wartościach, lecz o skręcie wypalonym przed ceremonią z Barrym i o tym, czy już wszyscy zauważyli, że jest na ostrym haju, a potem o adapterze, który chciałby dostać w prezencie od rodziny, ale na pewno dostanie coś szacownego i stosownego do okazji – w rodzaju ociekającego złotem dzieła rabina Eliyahu Bravermana o żydowskich świętach. Z wyjątkiem prezentu od wuja Adama, który przyniesie mu nową płytę Rolling Stonesów i będzie przekonywał jego matkę, że jeden z muzyków jest w ósmej części Żydem.

Jego dzieci kodują sobie właśnie równie dołujące wspomnienia, które stworzą obraz ich dzieciństwa – tak będą pamiętać swoje nastoletnie życie. Joe poczuł w sercu ukłucie bólu.

Na ceremonię bat micwy Rebecca dostała w prezencie trzy iPody.

Joe zamknął drzwi i podszedł na palcach pod drzwi pokoju Rebekki, którego ściany zdobiły teraz plakaty młodego bożyszcza muzyki electro. Kolorystyka pokoju imitowała okładkę płyty nowego ulubieńca. Panienska miauczająca o seksie oralnym została już strącona z piedestału i zdegradowana do obiektu kultu młodszej siostry.

Kiedy otworzył drzwi, poczuł, że Rebecca nie śpi. Leżała pod kołdrą bez ruchu, jak gdyby nie chciała zdradzać, gdzie dokładnie jest.

- Czego? – usłyszał stłumiony kołdrą głos.
- Nic – odpowiedział Joe. – Śpij spokojnie.
- Znowu coś się stało?
- Nie.

Rebecca chwilę nic nie mówiła, a potem rzekła przez ściśnięte gardło:

- To, co powiedziałam Dani?
- Co?
- O tym przyszedłeś pogadać?
- Nie. Tak się tylko stęskniłem.

Bez hollywoodzkiej fryzury i makijażu Rebecca wyglądała młodziej i delikatniej. Jak dziewczynka, którą pamiętał z dawnych lat.

- Przepraszam – rzekła po chwili.
- Nic się nie stało.
- Nie wiem, dlaczego to zrobiłam.
- Może dlatego, że prędzej czy później i tak ktoś by jej to powiedział.

– No. Może. Nie wiem.

Rebecca spojrzała na niego, mrugając powiekami. Kiedy się odwracała, kołdra się zsunęła i odsłoniła na chwilę widoczny na plecach tatuaż, który jego córka dała sobie zrobić rok wcześniej w tajemnicy przed nim i Miriam.

Numer, dobrowolnie wytatuowany kod kreskowy. „To ironia!”, krzyknęła obrażona, kiedy Joe spytał o tatuaż: czy naprawdę chce uchodzić za towar do kupienia, za bydło?

„Ty i tak tego nie zrozumiesz! Mogłabym ci rok tłumaczyć!”.

Był zdumiony, że nie połączyła tego tatuażu z dziadkiem Joego, za którego sprawą teraz żyją w tym kraju. Rebecca w ogóle nie pomyślała o członkach swojej rodziny, którzy przeżyli Zagładę, obozy i choroby. Zejde za jeden ze swoich najważniejszych obowiązków życiowych uważał opowiadanie o numerach obozowych. Wszystko wskazywało na to, że tradycja skończy się na Joem.

W młodości myślał, że od nazistowskich Niemiec Hitlera upłynęła cała wieczność. A przecież to zaledwie chwila. Mężczyźni, którzy walczyli we francuskich lasach za wolną Europę, tracąc odmrożone palce, nadal się spotykają w różnych stanach tego kraju. Jeszcze wczoraj żyło nawet kilku weteranów pierwszej wojny światowej. Rzeczywistość jest utkana z wątków, których człowiek za młodu nie dostrzega, ale to wcale nie oznacza, że przestają istnieć.

– Nie wiem, o czym myślałam – rzekła znowu Rebecca.

– Pogadam z Dani jutro.

Joe pocałował Rebecę i wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi. Córka. Poczł ból w sercu, kiedy pomyślał o swoich córkach i dzisiejszym świecie. Wyobrażał sobie, że z ojca zapamiętał głos: płynną, niską nutę. Mówił w swoim języku, a on rozumiał go tak, jak rozumie się myśli.

Wyobrażał sobie, że pamięta jego obecność – czuje go jak oddech lub krążącą w ciele krew. Na zdjęciach widział jego twarz, zarost, po którym nawet po goleniu pozostawał ciemny ślad, i pierś, ciemniejszą od piersi innych ojców z podwórka.

Na jednym zdjęciu, na werandzie domku letniskowego dziadka na wyspie, on sam jest jeszcze małym dzieckiem na rękach mamy. Popołudniowe słońce odbija się w oczkach wody w zagłębieniach skał. Ojciec stoi z włosami potarganymi przez wiejący od morza chłodny wiatr i patrzy w niebo. Umie wszystko, a wygląda na smutnego.

Na większości zdjęć ojca nie ma wcale. Tylko na tych kilku nielicznych brunet pokazuje się na dalszym planie – niewyraźnie, jakby nawet fizycznie

był zupełnie gdzie indziej.

Czyli właśnie ty możesz być tą szczęśliwą osobą Helsinki, Finlandia

Łatwiej ci się śmiać z klisz, kiedy nie ukazują twoich własnych niepowodzeń. Pewne sprawy doceniasz dopiero po fakcie i dwa lata chodzenia z Kerttu Karoliiną Lamminsuo dopiero po zerwaniu zaczynają ci się jawić rajem na ziemi, którego należało bronić za cenę życia.

Poranne żółte słońce wznosiło się nad ekspresem InterCity pędzącym przez wykuty w czerwonym granicie wąwóz. Dalej były sine sosnowe lasy, których twarde mury po obu stronach torów rozwierały się czasem połyskliwym srebrem wody. Samuel siedział w wagonie restauracyjnym i patrzył przez okno na otwarte pola i oplecione wikliną stawy. Dopijał już czwartą kawę z czerwonego kubeczka z logo Pauliga – z dreszczy i rozszalałego pulsu wnioskował, że nie było to szczególnie mądre.

Mimo ponawianych prób, żeby coś z tym zrobić, przez głowę przewijały mu się tylko dwie myśli, nakładały się na siebie jak bełkotane w kółko argumenty dwóch pijanych trzydziestolatków przy barze, którzy coraz uparciej głoszą sobie nawzajem jedyną i najprawdziwszą prawdę. Pierwsza myśl zapętlała się wokół tego, jak doskonale było wszystko zaledwie chwilę temu, na wiosnę, nawet jeszcze latem. Jego pozycja w świecie zdawała się niewzruszona jak granit Fennoskandii, choć w rzeczywistości – co dopiero teraz zaczęło do niego powoli docierać – należałoby raczej mówić o zapałczanym modelu katedry Świętego Pawła w skali jeden do jednego, i to zbudowanym bez użycia kleju. To, że homeostaza tej ekstremalnie kruchej konstrukcji mogła się w każdej chwili posypać – co też nastąpiło po wakacjach wskutek kilku wydarzeń noszących wszelkie znamiona zbiegu nieszczęśliwych okoliczności – wydawało mu się teraz tak dla niego krzywdzące i absolutnie nielogiczne, że zaczął się poważnie zastanawiać, czy świat od zawsze nie był zupełnie inny, niż go sobie wyobrażał. Ale druga myśl – ścierająca się z tą pierwszą tak uparcie, że po prostu nie mógł się od niej uwolnić – kręciła się wokół nikłej szansy, że wszystko da się jeszcze naprawić. A odbędzie się to w ten sposób, że zacznie od najbardziej istotnego problemu, czyli najważniejszej podpory zapałczanej katedry, i jeżeli zdoła ją ustawić we właściwym miejscu, to może pozostałe części też wskoczą z powrotem tam, gdzie powinny być. Misja wymagała niezachwianej wiary

we własne siły: im lepiej będzie oceniał swoje szanse, tym większe prawdopodobieństwo sukcesu. Nieraz się o tym przekonywał na boisku, w relacjach z dziewczynami i na testach z matmy – dlatego przyrzekł sobie, że wszystko się jeszcze ułoży.

Fakt, że Kerttu znalazła się w Jyväskylä, to poważny błąd, ale do naprawienia.

Przed maturą najbardziej palącymi problemami wydawały się jeszcze Vilma Niittylä – kusząca propozycja, którą prawdopodobnie trzeba będzie odrzucić – i jedna jedyna dziewczątka na świadectwie, z plastyki. Już przed egzaminami w powietrzu wyczuwało się wiosnę, spod śniegu wyłaniała się pachnąca wilgocią ziemia, a poranne słońce raziło oczy.

Tamtego ranka, kiedy w „Suomen Kuvalehti” ukazał się jego esej, Samuel obudził Kerttu, przynosząc jej do łóżka gazetę, gorącą kawę i croissant. Musiał wstać o szóstej, żeby zdążyć do kiosku, a potem jeszcze do niej, zanim się obudzi. Swój egzemplarz gazety dostał poprzedniego dnia pocztą w firmowej kopercie.

– Dlaczego nikt nigdy mnie nie przyniesie śniadania do łóżka? – spytała w drzwiach wzruszona mama Kerttu.

– Tobie przyniosłem gazety – odpowiedział Samuel niewinnym głosem.

Kobieta machnęła tylko ręką – przestań się wygłupiać – i wpuściła go do środka. Mama Kerttu lubiła z nim flirtować. I on to lubił, w pewnym sensie; cieszył się, że potrafił stworzyć taką relację z kobietą starszą od siebie o trzydzieści lat. Ktoś kiedyś powiedział, że jeśli chcesz wiedzieć, jak będzie wyglądać twoja dziewczyna jako dojrzała kobieta, to spójrz na jej matkę – i pod tym względem Samuel naprawdę nie mógł narzekać. Wszedł do przedpokoju, buty miał mokre.

W kuchni przywitały go puste spojrzenia standardowej kolekcji butelek po winie i piwie. Kobieta szybko je uprzątnęła, nucąc coś pod nosem z wymuszoną beztroską. Z sypialni dobiegało chrapanie ojczyma Kerttu.

– To w tej? – spytała i wyjęła mu z ręki czasopismo, zamykając cicho drzwi sypialni.

– *Yup.*

Otworzyła tygodnik i odnalazła jego esej. Serce Samuela waliło jak młot, gdy przeczytała tytuł i spojrzała na niego z z troskaniem.

– Jestem fanką twojego mózgu.

– No, nie wiem, czy...

– Obiecuj mi, że nie pozwolisz mu się nigdy zlasować.

Samuel obiecał, choć nie był pewny, na czym to zlasowanie mózgu

miałoby polegać. Mama Kerttu oddała mu czasopismo i powiedziała, że kupi sobie potem w kiosku i przeczyta cały artykuł spokojnie po pracy.

– Kerttu na pewno już się obudziła – powiedziała i zaczęła napełniać ekspres do kawy.

Z włączonego radia sączył się pewny głos wszechwiedzącego spikera: badacze jakiegoś ośrodka przewidują, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat w Finlandii zniknie większość miejsc pracy. I co gorsza, jeśli tak się nie stanie, to skutki dla gospodarki kraju będą jeszcze bardziej katastrofalne.

Samuel był już na schodach na górę, gdy usłyszał z kuchni głos matki Kerttu:

– Wy, młodzi, macie tę cudowną cechę, że nie zdążyliście się jeszcze do wszystkiego zniechęcić.

Sypialnia pachniała wyspaną dziewczyną i czystą nadzieją. Samuel czekał przy łóżku, aż Kerttu przeczyta artykuł do końca. Przez zasłony do środka wdzierały się promienie wstającego słońca.

Czytała bez słowa. Potem podniosła na niego swoje lśniące niebieskie oczy i skinęła głową.

– Mówiłam.

– Mówiłaś.

– Zajebicie dobre.

– Dzięki.

Objął ją i poczuł na twarzy jej splątane włosy. Nagle poczuł, że sam jest dumny ze swojego tekstu inaczej niż do tej pory i przypomniał sobie, jak to było, kiedy spotkali się po raz pierwszy i musiał zbierać odwagę na zagajenie rozmowy. Jak to było po raz pierwszy zamknąć ją w ramionach.

Najpierw z powodu tego eseju został wezwany na rozmowę.

Oczywiście sam był sobie winien. Pisać na taki temat w taki sposób. Zupełnie jak w gimnazjum. Może nie będzie już musiał zostawać po lekcji, ale treść pogadanki będzie taka sama: jeśli coś krytykujesz, to konstruktywnie, i nie można z tym przesadzać. Już od gimnazjum wiedział: nauczycielom trzeba przedstawiać uproszczone idee, stosownie do stopnia rozwoju. Nie wolno im mówić, że system jest zły. Trzeba powiedzieć: pamiętaj o recyklingu. Śmieci wyrzucaj do śmietnika. Kupuj produkty ekologiczne.

I jeszcze wrzucać wypracowanie z próbnej matury do skrzynki Franzena – to już było proszenie się o kłopoty. Ale Franzen, gdy zobaczył Samuela przy salach muzycznych, tylko uniósł brodę i z tą swoją miną człowieka nieodwracalnie rozczarowanego dzisiejszą młodzieżą kiwnął na niego

zmęczonym belferskim palcem: *cho no tu*.

Nie miał wątpliwości, co to znaczy: zaraz ci wyjaśnię, smarkaczu, dlaczego ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje. Franzen mu wyjaśni, dlaczego byśmy tylko pogorszyli i tak już katastrofalny stan środowiska, gdybyśmy zrobili to wszystko, co on proponuje.

Franzen uczył biologii, ale miał większą wiedzę o problematyce socjologicznej od nauczyciela wiedzy o społeczeństwie Liimatainena, który na każde pytanie miał tę samą roztargnioną odpowiedź: „Hmm, dobre pytanie, wyjaśnię to na następnej lekcji” – i nigdy im niczego nie wyjaśnił.

Franzen wbił w Samuela zmęczone spojrzenie i spytał poważnie:

– Ty żeś to, smarkaczu, napisał?

Chwila wydawała się brzemienna. Mijali ich uczniowie idący na lekcje, a Franzen stał i świdrował go tymi swoimi przekrwionymi oczami – i wtedy Samuel nagle sobie uzmysłowił, jakich rzeczy może człowiek w życiu dokonać.

Franzen nie mógł uwierzyć w to, że on, taki smarkacz, zupełnie sam napisał taką pracę, i Samuel czerpał z tego szczególną satysfakcję. Musiał wydobyć z plecaka artykuł o badaniach tria Akerlof, Spence i Stiglitz, który na szczęście ciągle jeszcze nosił gdzieś na dnie, pokrytym grubym osadem pomiętych kartek, gromadzących się tam od początku liceum, oraz książkę Daniela Golemana.

Franzen zmarszczył czoło, obejrzał artykuł i książkę, aż w końcu spytał, czy on to wszystko naprawdę przeczytał, a jeżeli tak, to *po co*? Kiedy już go dokładnie przepytał na okoliczność, powiedział krótko: „Ja to wezmę” i nie tłumacząc swoich zamiarów, oddalił się z jego pracą w rękę.

Po tamtej rozmowie Samuel dostał na drugie półrocze wyższą ocenę z biologii, choć test napisał gorzej niż w pierwszym.

Artykuł o pracach Akerlofa, Spence’a i Stiglitz’a dostał mailem od ojca dawno temu, jeszcze w gimnazjum, kiedy pisał prezentację na Krajowy Tydzień Wiedzy o Środowisku. Temat pracy brzmiał: „Co każdy z nas może zrobić dla świata?”.

Na pierwszy rzut oka artykuł o noblistach był tak trudny, że równie dobrze mógł być napisany po hebrajsku – choć i tu Samuel powinien, z racji pochodzenia ojca, choć parę słów znać. Przedzierał się jednak mozolnie przez naukowe zdania, aż w końcu nauczył się ich na pamięć. I choć ostatnio widział ojca we wczesnym dzieciństwie, to kiedy tak brnął przez przysłany mu przez niego artykuł, nie mógł oprzeć się myśli, że ojciec chyba byłby

z niego dumny i docenił to, jak poważnie jego syn podchodzi do zadanej pracy. Mimo niezrozumiałego języka naukowego tekst o pracy Akerlofa, Spence'a i Stiglitz'a był tak poruszający i cenny, że stał się dla nastolatka niemal świętą księgą. Kiedy upewnił się jeszcze u nauczycieli, że dobrze rozumiał kilka najtrudniejszych miejsc, uznał w końcu, że chyba potrafiłby z grubsza streścić jego przekaz. I choć nigdy nie spotka ojca – który pewnie nie pamiętałby nawet o jego istnieniu, gdyby mu o sobie nie przypomniał – uważał jednak, że powinien się przygotować i na taką ewentualność, że kiedyś do spotkania dojdzie.

W gimnazjum na wnioskach noblistów nie wjeżdża się do największego tygodnika w kraju, tylko zostaje po lekcjach, ale kiedy w ostatniej klasie podano tematy wypracowań próbnej matury, od razu sobie przypomniał tamten artykuł.

Później się dowiedział, że na prośbę Franzena jego pracę przeczytali także matematyk i facet od wiedzy o społeczeństwie. I podobno oboje podzielali zdanie biologa, że Samuel powinien wysłać swój tekst do gazety. Ale dopiero gdy zadzwonił do niego ktoś z redakcji tygodnika i poprosił o podanie danych do przelewu, Samuel uwierzył, że jego praca rzeczywiście ukaże się w prawdziwej, drukowanej gazecie.

A że nie została opublikowana razem z innymi pracami maturalnymi, tylko na zupełnie odrębnych kolumnach, i że zapłacono mu za nią dwieście dwadzieścia euro – za jego przemyślenia o tym, czego potrzebuje Ziemia, by przetrwać – to Samuel miał wrażenie, że nawet jego ojciec byłby z niego teraz dumny.

Zasadniczo jego esej był streszczeniem najważniejszych tez George'a Akerlofa, Michaela Spence'a i Josepha Stiglitz'a, okraszonym jego własnymi przemyśleniami z lektury książki Daniela Golemana. Czuł się głupio, że tygodnik publikuje tekst, który właściwie powtarza tylko cudze idee, ale Franzen odpowiedział mu na to, że tylko nieliczni nobliści mogą się pochwalić całkowicie autorskimi, oryginalnymi przemyśleniami.

O skomentowanie jego artykułu redakcja tygodnika poprosiła trzech ekspertów: profesora ekonomii, przewodniczącego organizacji ekologicznej i jakiegoś ważniaka z Centralnej Rady Gospodarczej. (Czy Komisji? – Samuel ciągle mieszał te dwa słowa). Samuel niecierpliwie rozerwał szarą kopertę, otworzył czasopismo i rzucił się zachłannie na wypowiedzi poważnych panów z dorobkiem. Każdy protekcjonalnie stwierdzał, że „mimo swojej radykalności analizy młodego człowieka zasługują na dyskusję, choć z pewnymi zastrzeżeniami”.

Czyli Ziemi jednak nie da się uratować, a przynajmniej takiego zdania są poważni panowie z dorobkiem.

Jeden z nich napisał, że pomijając kwestie praktyczne, trzeba przyznać, że autor artykułu – inteligentny, odważny maturzysta – należy do tej nielicznej grupy młodych osób, które mają w swoich rękach przyszłość naszej planety: to ostatnia nadzieja dla Ziemi.

Artykuł wywarł wielkie wrażenie na matce i Henrim. Tamta wiosna przed maturą udowodniła też Samuelowi, że nawet w jego szkole czyta się „Suomen Kuvalehti”, a przynajmniej w szczególnych okolicznościach. Nauczycielka fińskiego skserowała jego tekst i pokazała go we wszystkich klasach maturalnych. Belfrzy, którzy go nigdy nie uczyli, teraz podchodzili do niego, żeby zamienić z nim parę słów o jego artykule. Ktoś nawet zeskanował tekst i wrzucił go do sieci.

Przy tej okazji Samuel oczywiście przypomniał sobie o pewnej ewentualności, która już wcześniej chodziła mu po głowie. Artykuł można by przetłumaczyć na angielski i opublikować w necie – i wtedy mogliby go czytać nie tylko Finowie. Ledwo o tym pomyślał, serce zaczęło mu bić jak szalone. I nawet przez myśl mu nie przeszło, że zdarzy się to, co się zdarzyło.

Wiosna do matury wlokła się w palącym oczekiwaniu na zbliżające się dorosłe życie. Samuel ciągle pamiętał, jak dłużyły mu się tygodnie przed egzaminami: jak ostatnia godzina pięciodniowego obozu wędrownego, na który pojechali całą klasą. Kiedy inni prowadzili długie dyskusje z nauczycielką, jemu tylko machnęła ręką: ty możesz robić, na co masz ochotę. Kiedy inni powtarzali niezaliczone kursy, on czytał komiksy i grał z chłopakami z klubu w unihokeja. Nawet go nie spytano, czy się zgodzi zabrać głos na uroczystym pożegnaniu abiturientów; sprawa wyszła na jaw dopiero tydzień przed wielką fetą, kiedy zadzwonił do niego dyrektor z prośbą, żeby Samuel zreferował mu pokrótce najważniejsze punkty swojego wystąpienia – chodzi przecież o bardzo ważną uroczystość, na którą przychodzi mnóstwo gości spoza szkoły.

Tylko to babsko od plastyki się uparło, żeby mu postawić na koniec dziewiątkę: chciała mu zrobić na złość, wiadomo, ale spłynęło to po nim. Ostatecznie oceny z przedmiotów artystycznych zawsze są arbitralne. A i on nie zamierzał zostać plastykiem.

Wiedział, że nie wybierze politologii, na którą popychał go Liimatainen, ani nic z nauk humanistycznych, do czego namawiali go nauczyciele fińskiego i historii. Nie zamierzał też „dobrze się zastanowić, do jakiego

zawodu przygotowuje każdy kierunek studiów”, co matka powtarzała mu ostatnio w chyba co drugim zdaniu. I co rusz nadawała mu swoje: ekonomia, medycyna lub prawo, a kiedy to nie odnosiło pożądanego skutku, ogarniała ją nagła potrzeba opowiedzenia mu po raz enty historii jej koleżanki ze szkoły podstawowej, Raiji Tuomiokoski, która poszła na filozofię teoretyczną i popełniła samobójstwo.

Na wiosnę jeszcze wszystkie sprawy były oczywiste, a dni słoneczne i pogodne. Odarta ze śniegu ziemia pachniała, przez mokrą glebę przeciskał się podbiał. Samuel uczył się w łóżku najpierw do matury, potem do egzaminów wstępnych, ale przeważnie oglądał piłkę z digiboksu, bo dobrze wiedział, że i tak się dostanie na biologię, choć spędza nad książkami dwa razy mniej czasu niż wielu kandydatów, którzy zostaną za burtą – i wcale się nie pomylił.

Lato tamtego roku też było ciepłe i beztrioskie; nawał pracy pozwalał zapomnieć zwłaszcza dzień pożegnania abiturientów. Asfalt na boisku do kosza palił stopy, leniwe pikniki z ekipą z liceum w parku nad zatoką mamify wizją wolności od świata dorosłych i ich przykrych obowiązków. Wychodzili z Kerttu na długie spacerzy z jej małym beagle'em, który chodził śmiesznie, kolebiąc się na boki, i tropił ślady znajomych psów po rowach i latarniach. Czasem Kerttu zostawała z Samuelem, gdy zajmował się swoimi młodszymi braćmi, bo Henri miał wieczorem spotkanie z klientami, a matka pisarka szalała po bibliotekach i klubach kobiet, broniąc wolnego świata przed zakusami fanatyków. Pierś Samuela przepełniała najprawdziwsza duma, gdy w promieniach zachodzącego słońca dzierżył ster pirackiej karaweli na podwórku, odpierając jednocześnie ataki dwóch spoconych żarłaczy, lat sześć i cztery, a musiał jeszcze uratować przywiązaną do masztu Kerttu; pachniało świeżo skoszoną trawą i Samuel zupełnie zapominał o dniu zakończenia szkoły. Jeszcze długo później miał wrażenie, że tamte gorące wakacyjne wieczory to były najlepsze chwile w całym jego życiu.

Kerttu też nie naciskała później, żeby jej opowiedział o zjeździe rodzinnym po zakończeniu liceum – ani razu przez całe lato – i był jej za to bardzo wdzięczny. Nie odzywała się, ale jej spojrzenia i dotyk mówiły mu, że dobrze go rozumie.

I zapach lipcowego słońca na jej skórze, gruzłowata ziemia pod karimatą w puszczy, zawodzenie komarów w namiocie, połyskujące jezioro pod jasną kopułą letniej nocy i zimny browar, który wieczorem przy ognisku przywracał smak pierwszego piwa w życiu: koniec szkoły! I wreszcie mogą dołączyć do gry – na przykład artykułami do „Suomen Kuvalehti”. Dostali

w spadku świat zawałony problemami – dzięki, tato i mamó! dzięki wam, dziadowie! – ale teraz kolej na nich. Wszystko jest możliwe! Wszystko jest dokładnie tak, jak powinno być, a nawet lepiej, ale najważniejsze jest to, że od tej pory wszystko zacznie się powoli zmieniać na lepsze. Życ będą tak samo jak w liceum, ale już z pełnią wolności.

Oczywiście Kerttu mówiła o wyjeździe już latem.

Próbowała nawet zagaić zasadniczą rozmowę o tym, że dostała się na wydział biologii i ekologii na uniwersytecie w Jyväskylä. Mają tam podobno najbardziej praktyczny na świecie program studiów czy instytut, którego podobno nie ma w Helsinkach. Ale tak się jakoś zawsze składało, że gdy Kerttu podejmowała temat, on miał coś innego na głowie – właśnie wychodził na unihokeja albo do knajpy na piwo. Dlaczego kobiety rozpoczynają poważne rozmowy w najmniej odpowiednich momentach, gdy dzieje się coś ważnego?

Poza tym psucie sobie życia niepotrzebnymi zmartwieniami nie ma większego sensu. Jeżeli Kerttu chce wyjechać na studia do Jyväskylä, to wyjedzie, jasna sprawa. Jak to: co on o tym myśli? Przecież to jej decyzja, nie jego. No, jeżeli nie chce mieć związku na odległość, to chyba oczywiste, że wyjazd z Helsinek nie jest najlepszym rozwiązaniem? W życiu trzeba będzie dokonywać najróżniejszych wyborów. Wiązanie się umowami, zwłaszcza w nowej sytuacji, kiedy ich życie zmieni się całkowicie, to chyba kiepski pomysł. Przecież od razu na początku semestru oboje poznają dziesiątki, setki nowych ludzi, z którymi warto się zapoznać, nie narzucając sobie z góry żadnych ograniczeń czy krępujących zobowiązań, więc to chyba jasne, że najrozsądniej będzie śledzić rozwój sytuacji dzień po dniu, na bieżąco. Przecież nie mogą już teraz wiedzieć, w jaki sposób tak wielkie zmiany wpłyną na ich relację. Poznali się w bardzo młodym wieku, w okresie dojrzewania.

Po takich rozmowach widział w oczach Kerttu smutek, który czasem zatruwał atmosferę już do końca dnia. Częściowo zdawał sobie sprawę z tego, że *zmiana* oznacza, że coś się *naprawdę zmieni*. I choć zdecydowanie zaprzeczał domniemaniom Kerttu, jakoby miał przestać traktować swoją dziewczynę poważnie, to później musiał jednak przyznać, że w tamtym okresie rzeczywiście trochę za bardzo był skupiony na sobie i na własnych sprawach. Nie mógł też zaprzeczyć, że myśli o wyjeździe Kerttu przeplatały się czasem z ulotnymi obrazami młodych, wykształconych kobiet, z którymi już niedługo, gdy tylko rozpoczną się zajęcia, wejdzie w kontakt, być może

nawet całkiem bliski.

Obraz sytuacji objawił mu się w całej jaskrawości dopiero wtedy, kiedy to zobaczył: Kerttu w sztruksach, kwiecistej koszuli z lat sześćdziesiątych i kurtce z pchlego targu znosi swoje zimowe rzeczy, matę do jogi i torbę do przedpokoju, a potem ze łzami w oczach wsiada do volvo, którym mama zawiezie ją tam, gdzie od teraz Kerttu będzie mieszkać.

– No to cześć, Samuel.

Zobaczył jej drobną dłoń w otwartym oknie samochodu, słowa zabrzmiały niewyraźne, bo Kerttu miała gardło ściśnięte ze wzruszenia. Był wrzesień – klony zdążyły już pożółknąć, jarzębiny pyszniły się koralami. Chociaż było jeszcze ciepło, Kerttu miała już na dłoniach mitenki – i wtedy Samuel poczuł rozdzierający ból: a więc i ją za chwilę straci. Zaczął dygotać z zimna; wybiegł z domu w samej koszulce z krótkim rękawem zaraz po nieoczekiwanym esemesie od Kerttu, że to właśnie dzisiaj, już za chwilę wyjeżdża z Helsinek na zawsze.

A więc to dzisiaj: i w pewnym sensie wyjaśniło się, dlaczego Kerttu przez całą ubiegłą noc kwiliła cicho jak bezbronny ptak, przyklejona do jego pleców.

– Może moglibyśmy... pójść do kina w ten weekend? – spytał.

W wyrazie twarzy Kerttu spotkały się niedowierzanie, zawód i zdumienie, tworzące minę, która była zwiastunem wszystkich rozwodów i słynnych teorii feministycznych.

– Samuel!

– A więc wyjeżdżasz... – Przełknął ślinę. – To nie będziesz nawet przyjeżdżać na weekendy?

Kerttu zamknęła oczy i powiedziała cicho:

– To właśnie próbowałam ci powiedzieć przez całą wiosnę i lato.

– No, ale chociaż czasem kiedyś?

– Na Gwiazdkę na pewno przyjadę. Na krótko.

Samuel zdębiał.

– Na *Gwiazdkę*?

A więc to o tym Kerttu chciała z nim rozmawiać przedwczoraj wieczorem? Akurat wtedy, gdy w telewizji zaczynał się mecz Manu z City.

Było jednak wyłączyć telewizor.

– Chodź tu – powiedziała Kerttu z obiecującą czułością.

Dziewczyna zerknęła przepraszająco na siedzącą za kierownicą matkę i przez otwarte okno wyciągnęła rękę, by dotknąć policzka Samuela. Dotyk był miękki i znajomy. Kiedy Kerttu wyjedzie, będzie mi brakować po prostu

wszystkiego, przemknęło mu przez myśl.

– Dobrej jesieni, Samuelu. I cudownego pierwszego roku. Potem mi powiesz, jak ci się układa.

– Kerttu...

– Czeka nas oboje dużo fajnych rzeczy.

– Nie do końca. Ej, porozmawiajmy jeszcze chwilę, co? Chciałbym... Przecież wszystko mamy totalnie rozgrzebane. Ej, Kerde, Kerdenström, *no pliiiz*.

Ale Kerttu obróciła już głowę i bez słowa skinęła matce, która w milczeniu siedziała za kierownicą i patrzyła taktownie w inną stronę – przeżuając wściekłość, jak się później dowiedział, choć podobno tak bardzo go lubiła. Kobieta przekręciła kluczyk w stacyjce i kombi wyrwało do przodu z niepotrzebnym zupełnie hałasem.

Patrzył bezradnie, jak samochód wyjechał z podjazdu na ulicę, w stronę wyjazdu na Mäntsälä-Lahti-Jyväskylä – czyli na drogę krajową numer cztery, która równie dobrze mogła prowadzić za wschodnią granicę albo za ocean.

Długo stał sam na podjeździe. W końcu ruszył niechętnie z powrotem, bo babcia z sąsiedniego domu już zaczęła łypać na niego niechętnie z okna. Przed byłym domem Kerttu Karoliiny wrześnie słońce zapalało dojrzałe, czerwono-żółte jabłka.

Kiedy pociąg ruszał z Helsinek, wagon restauracyjny był pusty, ale teraz niemal przy każdym stoliku ktoś siedział. Wszyscy byli zajęci tą samą czynnością: pochyleni nad kubkiem kawy przecierali lśniąca ekrany swoich cyfrowych urządzeń.

Samuel patrzył na nich i błagał, by maszynista docisnął gaz do dechy, czy co się tam w lokomotywach robi, żeby pociąg przyspieszył, bo każda upływająca minuta zwiększała prawdopodobieństwo, że Kerttu zdąży zrobić coś nieprzemysłanego – coś bardzo niekorzystnego dla ich związku.

Myśl ta wywołała obrzydliwy skurcz w żołądku, było bowiem całkiem możliwe, że z Kerttu nie da się już nic ustalić, że coś się złamało i nie da się tego skleić z powrotem. Tej myśli Samuel nie był w stanie udźwignąć. Przegnał ją i próbował patrzeć na przemyskające za oknem krzaki, lecz rosły za blisko torów i rozbolały go oczy.

Poprzedniego wieczoru dostał nieoczekiwane eskę od Vilmy Niittyli – pytała, co tam słyhać *smile* może miałbyś ochotę spotkać się kiedyś na kawie *smile smile* na przykład dziś wieczorem *smile* fajnie byłoby się znów zobaczyć *smile*.

Vilma była bardzo fajną dziewczyną z równoległej klasy, z którą Samuel rok wcześniej utknął w windzie i gdy zgasło światło, wymienił z nią kilka rozkosznych i jak najbardziej zasłużonych ślimaczków. Sytuację skomplikował fakt, że windą jechała także Kerttu, a światło zapaliło się równie nagle, jak zgasło. Stali między piętrami niecałą minutę, co Kerttu później Samuelowi wielokrotnie i bez wyraźnej potrzeby przypominała: *niecałe sześćdziesiąt sekund*.

Na pożegnalnym balu maturzystów Kerttu była od początku na niego zła – może dlatego, że przyszedł na imprezę dwie godziny po rozpoczęciu. Ale dziadkowi bardzo zależało, żeby zobaczyć go we fraku, więc po drodze zatrzymał się u niego w domu opieki. Jej natomiast bardzo zależało na tym, żeby nie kwitnąć samej na rogu ulicy w lutowym deszczu ze śniegiem, wymalowanej i ufryzowanej, i to na próżno – bo „wielki pan Samuel – jak się wyraziła – najzwyczajniej w świecie zapomniał, kurwa, powiedzieć, że spotkanie ze swoją dziewczyną jednak mu się nie zmieści w grafiku na ten dzień”.

Bez dwóch zdań, to pachniało bezmyślnością. Ale przypomniał sobie o tym, że umówił się z Kerttu na imprezę, dopiero wtedy, gdy wszedł do pokoju dziadka, a tam na drzwiach jest ta śmieszna naklejka z ikonką komórki dla seniorów przekreślonej czerwoną kreską. No i pokłócili się o to z Kerttu, bo przecież jeden głupi esemes naprawdę może rozwalić rozrusznik serca, a nie wiadomo, ilu kolegów i koleżanek dziadka go ma – no, ale jednak może trzeba było zaryzykować i tę jedną pierdoloną eskę wysłać! Ale dziadek już lata temu kazał mu przysiąc, że przyjdzie go odwiedzić. I on zamierzał chodzić do niego, kiedy tylko da radę, bo dziadek już nawet nie mógł jeździć do domku na wyspę. Poza tym Samuel był pewny, że wspominał jej o tym, że zamierza zajrzeć na chwilę do dziadka, no, ale jeśli mimo najszczerzych chęci mu się zapomniało, to jest mu naprawdę bardzo przykro z tego powodu.

Naprawa szkód po incydencie pod tytułem Vilma Niittylä zajęła mu wiele dni. Z początku wyglądało na to, że nawet przeprosiny na bukietach świeżych bzów nie zdołają odwrócić biegu historii. Samuel jest, jaki jest, zachowuje się tak, jak się zachowuje, nie robi tego i zapomina o tamtym... ma do tego jakiś niepojęty talent, a teraz jeszcze to – i ona już po prostu nie wie, to bez sensu, a tak było od samego, kurwa, początku, rozumiesz, co ja mówię?! Ale potem, w sobotę wieczorem, ojczym Kerttu dostał drżączki, gdy wchodził na piętro z torbą piwa, padł na podłogę jak rażony piorunem i karetka zabrała go do szpitala – co nie było wcale przyjemne, ale skutek tego już w niedzielę po

południu zapłakana Kerttu stanęła w progu jego mieszkania i przytuliła się do niego mocno, szukając pocieszenia w jego ramionach, jakby w życiu się o nic nie pokłócili.

Tamtego wieczoru była tak ciepła i zgodna, jak jeszcze nigdy, i Samuel przyrzekł sobie w duchu, że nigdy więcej nie zrobi nic, co mogłoby ją urazić. *Happy end* nie zdołał jednak stłumić przelotnej myśli, że może całowanie się z Vilmą w windzie nie było wcale aż taką katastrofą; może czasem ciastka można mieć i jeść jednocześnie.

Mimo to następnego dnia rano miał wrażenie, że coś jest wyraźnie inaczej niż do tej pory. Kerttu wydawała się zamyślona i nieobecna, ciałem i duszą zwrócona gdzieś na zewnątrz. Nie potrafił wytłumaczyć sobie tego inaczej niż szokiem po sobocie, kiedy jej ojczym niemal zszedł z tego świata.

Co na pewno było prawdą, przynajmniej po części.

Po wypiciu kawy w wagonie restauracyjnym wrócił do swojego przedziału, gdzie musiał już do końca podróży słuchać stukotu kół i rozważań dwóch dziewczyn pracujących jako *au pair*, dlaczego człowieka swędzi, kiedy jest mowa o wszach, a nie wtedy, gdy mu obleżą głowę.

Od matki nie miał jeszcze żadnych wiadomości, dziwna sprawa. Zostawił jej rano na stole wiadomość: „Odprowadź rano motorowców, coś mi wyskoczyło, S.”. Wiedział, że matka będzie zła – zdajesz sobie sprawę z tego, że niektórzy z nas chodzą DO PRACY, tam trzeba być O OKREŚLONEJ GODZINIE, a ty SIĘ ZOBOWIĄZAŁEŚ tę sprawę załatwić, czy ty tego nie rozumiesz? – ale dobrze matce robi, jak przez kilka dni pojeździ samochodem z małymi piratami: poczucie odpowiedzialności działa wychowawczo. W końcu sama te dzieci zrobiła. Poza tym jest chyba jeszcze w tym domu jakiś facet, niejaki Henri, gość z marchewkową bródką i w okularach, który motorowców spłodził i jest im jako ten rodzony ojciec.

Henri faktycznie starał się być ojcem czułym i skłonnym do rozmowy. A przy takim czułym i skłonnym do rozmowy ojcu motorowcy, lat sześć i cztery, potrafią, na ten przykład, bez trzymanki wypompować na dywan w salonie pięć półlitrowych mydeł w płynie, chwycić za łopatki i zasypać fotele piachem przyniesionym z podwórka albo wyciąć z dywanika w kuchni flagę piratów. Podczas wieczornych dyżurów Henriego faceciki często nie dostawały witaminy D, reguły telewizyjne przestawały obowiązywać, podobnie jak pora kładzenia się do łóżek, bo Henri musiał przepracować niespotykaną emocję, z którą się zetknął w gabinecie albo w życiu. A ponieważ Henri nie chciał przyjmować roli władcy, *kiedy wchodzi w emocje,*

bo jest to nieodpowiedzialne, a nawet niebezpieczne, po jego ojcowskich dyżurach zwłaszcza Ukko następnego dnia był rozdrażniony i wieczorem rzucał się na ścianę. Ktoś mógłby zinterpretować to tak, że takie zachowanie wskazuje na konieczność kładzenia facecików o ustalonej porze do łóżek, a nie przepracowywania emocji do nocy, ale dla Henriego był to kolejny dowód na to, jak groźne jest *wchodzenie w emocje w zadaniach wychowawczych*. Jeżeli w te dni Samuel w porę nie wymyślił sobie jakiegoś wyjścia na wieczór, sam musiał brać udział w *reflektowaniu* i wysłuchiwać, jak to Henri zamierza być autorytetem w kwestii emocji, wyczulonym na potrzeby chłopców, i że to bardzo ważne, by te sprawy przepracowywać. Henri był z pewnością doskonałym psychoterapeutą, może nawet za sprawą tego swojego przepracowywania, co dało się wywnioskować z pochwał i prezentów, jakie bez przerwy otrzymywał od pacjentów, a które sam bagatelizował. Na pewno też przydały mu się jakoś te tysiące kilometrów półek zastawionych opasłymi tomiszczami o znaczeniu współczucia w leczeniu psychoz i osób niestabilnych psychicznie. Musiał na nie wydać, lekko licząc, połowę wszystkich zarobionych w życiu pieniędzy.

Ponieważ matka pisarka coraz częściej broniła wieczorami dobrej sprawy i walczyła ze złą, Samuel uznał, że jeśli zdarzy mu się być wieczorem w domu, będzie czytał motorowcom bajkę do poduszki i pilnował, żeby zjedli kaszkę i nie włązili po zgaszeniu świateł pod łóżko, by pobawić się jeszcze w Niebezpieczną przygodę albo Życie na sawannie. W ten sposób Henri będzie miał więcej czasu, żeby skupić się na krześle w kuchni, gdzie wyobrażał sobie siedzącego superwizora, którego wyzywał od najgorszych i przepracowywał swoje emocje.

Ale teraz będą sobie musieli jakoś poradzić bez niego.

Po przyjsciu na świat Taisto matka zaczęła odnosić się do swojego starszego syna jak do intruza, który płcze się jej w domu pod nogami. Samuel chciał potrzymać braciszka na rękach, nauczyć się zmieniać pieluchy i kłaść maleńkiego, żałośnie pomarszczonego człowieczka do łóžeczka, ale matka wpadała w złość, kiedy tylko się do niego zbliżył. Samuel nie był pewny, czy to dlatego, że nie ma do niego zaufania, czy może problem polega na tym, że sama nawet na chwilę nie może oderwać się od swojego zawiniątka.

Samuel miał wtedy trzynaście lat. I wtedy też jego matka, która zawsze bardzo zważała na to, jak wygląda i co inni o niej myślą, dosłownie z dnia na dzień zmieniła się w nieumalowaną kobietę w rozciągniętym dresie, która na wszystkie pytania odpowiada roztargnionym uśmiechem i zapomina

o wywiadówkach w szkole. Przystała rozmawiać przez telefon z Julią o braku celu w życiu – zaczęły się dyskusje o laktatorach, właściwych porach spania i o tym, że kupki są już chyba *trochę bardziej* gęste, no wreszcie! Kiedy Taisto pisnął w nocy, matka potrafiła zadzwonić po taksówkę i pojechać z Henrim na dyżur do kliniki. Wychodząc z domu, miała zaciśnięte usta i przyciskała dziecko mocno do piersi.

Kiedy wrócili jeszcze tej samej nocy, władowali się z Henrim do jego pokoju i zbudzili go specjalnie po to, żeby łamiącym się ze wzruszenia głosem oznajmić:

– Wiesz co, Samuel? Może to jednak zwykłe przeziębienie.

Po porodzie matka wprost wydzielala z siebie sens życia i szczęście, z czego Samuel oczywiście bardzo się cieszył. Chwilami nawet miał wrażenie, że dociera do niej, że jej pierwszy syn, ta kłopotliwa nastoletnia pozostałość po poprzednim życiu, lada chwila zupełnie zniknie w cieniu niemowlęcia. W takich momentach wpadała na genialny pomysł, żeby w piątek wieczorem wypożyczyć jakiś film. Fajnie, co? On będzie mógł wybrać film, który obejrzą wszyscy razem. I tak też robili. Nigdy nie dotrwała do drugiego kwadransu. Dwie godziny później, kiedy Samuel wyłączał telewizor, matka nagle zamykała usta, przestawała chrapać i ścierając ślinę z kącika ust, mówiła:

– Przepraszam, chyba się trochę zdrzemnęłam pod sam koniec.

Samuel oczywiście doskonale to rozumiał: w nocy matka parę razy musiała się budzić i uspokajać płaczącego berbecia, a potem jeszcze o wpół do szóstej zwlec się z łóżka, żeby mu zrobić kaszkę.

Przed nastaniem Henriego życie matki toczyło się latami po bezpiecznym torze od pracy, przez teleturnieje, po potajemne opychanie się czekoladą. Wieczorami, gdy poszli już do swoich łóżek, Samuel słyszał, jak matka popłakuje cicho za ścianą. W niedziele godzinami tłumaczyła Julii przez telefon, że ciągle jej czegoś *brakuje*, i za zamkniętymi drzwiami opowiadała jej szczegółowo o tym, że dwa miesiące wcześniej niemal odbyła stosunek z jakimś potworem, którego poznała w barze, i że do tej pory czuje się brudna. A więc *tak* ma wyglądać to życie? *W tym* ma się zawierać ten jego nieuchwytny sens? Matka co tydzień żaliła się Julii, że nie wie, co z tym swoim życiem zrobić – i chyba właśnie to chciała z nim robić.

Wystarczył najbliższy pretekst ze strony Julii i zaczynała pomstować na Joego jako męża, ojca i człowieka. Dziwiło to Samuela. Od rozvodu minęło już tyle lat, a matka ciągle tak się gniewa? Zazdrościł jej: te emocje skupiały się jednak na kimś rzeczywistym, na człowieku z krwi i kości. A on musiał tęsknić za czystą abstrakcją, cierpieć męki chronicznej nieobecności, żyć

z ziejącą w piersi bolesną dziurą.

Widział wiecznie zmęczoną twarz matki i często miał wielką ochotę ją przytulić, powiedzieć coś, by poprawić jej humor. I zawsze się cieszył, gdy zdołał ją czymś rozśmieszyć. Żeby ją trochę oszczędzić, nauczył się napełniać zmywarkę i sam jeździł na mecze. Samuel, dałbyś jeszcze radę wdepnąć po treningu do sklepu? Po dwa litry mleka i chleb? I może coś do jedzenia na jutro, gdybyś miał jakiś pomysł. Bo chyba nic nie mamy. Wybacz, Samuel, ale jestem dzisiaj po prostu *totalnie* wypompowana. A, i jakąś czekoladę kup, okej?

Nie potrafił powiedzieć, czy emanująca z matki szara, wymięta rezygnacja była stałą cechą jej osobowości czy też – co zaczął w pewnym momencie podejrzewać – miała jakiś związek z wyjazdem ojca. Nigdy nie mówiła ani nie robiła nic takiego, co by na to wskazywało, nie wzięła ani jednego dnia wolnego na wymyślone przeziębienie, tak jak mama Olivii, nie łykała tabletek, po których się nie mówi, tylko bełkocze, i nie zapijała się co wieczór jak ojczym Kerttu. A mimo to – nawet kiedy przestała w końcu popłakiwać do poduszki i opowiadać Julii o tym braku czegoś – było to po niej widać: po zmarszczkach w kącikach ust, po tym, jak nalewa sobie kawę dokładnie o drugiej po południu i jak wzdycha, kiedy już się rozsiądzie w fotelu przed telewizorem – coś w tym wszystkim mówiło mu, że tej kobiety już nic nie wzruszy.

Ale ciągle miał nadzieję, że matka kogoś znajdzie. I martwił się, gdy nic na to nie wskazywało. Chyba nie przez niego matka woli być sama? Długo rozważał, jak najlepiej poruszyć z nią ten temat. Miał wrażenie, że matka jest już na tym etapie dojrzewania, kiedy seks i randki zaczynają kusić, lecz nadal wydają się perspektywą odległą i drażliwą.

Ledwo jednak w ich kuchni pojawił się okularnik Henri z tą swoją empatycznie obmacywaną marchewkową bródką, zmęczenie życiem przeszło matce jak ręką odjął. Nagle przestała zalegać przez cały wieczór na sofie w stanie totalnego rozkładu i obżerać się czekoladą; teraz wychylała się czujnie w przód z kieliszkiem czerwonego wina w ręce i prowadziła głębokie, dojrzałe dyskusje z Henrim, który kiwał głową i emanował terapeutyczną nirwaną.

Henri, rówieśnik matki, był przystojnym facetem i chyba jedynym człowiekiem na świecie, który potrafił zrozumieć niekończące się autoanalizy matki i jej bezustanny czegoś brak. A może był po prostu – ta ewentualność przyszła Samuelowi do głowy później – jedynym profesjonalistą w tym kraju, który potrafił wysłuchiwać zafiksowanych na autoanalizie histeryczek z takim

wyrazem twarzy, jak gdyby je rozumiał. Nawet Samuel z początku czuł się mile połączony, że Henri tak się interesuje ich sprawami – to jego zawsze skupione, wszystkowiedzące spojrzenie! Jak on to robi? Henri zawsze chciał słuchać ich opinii, by potem sumiennie je rozważyć w umyśle i zadać parę pytań uściślających; był gotów analizować własne nastawienie nawet o dwunastej w nocy.

Henri był chyba kimś w rodzaju guru w swojej branży, należał do zarządów różnych stowarzyszeń i choćby już z tego powodu podpisywał apele, w których opowiadał się po stronie osób cierpiących na zaburzenia psychiczne i surowo oceniał pogłębianie się nierówności społecznych. Co tydzień miał wykład przed pełną salą kobiet noszących jedwabne apaszki i podwójne nazwiska, które pragnęły samorozwoju i opinii Henriego na temat wpływu bezwzględnej rywalizacji społecznej na dzieci oraz niebezpieczeństwa *wchodzenia w emocje* w realizacji zadań wychowawczych. Henri nigdy się nie złościł, nigdy nie był wkurwiony i nigdy nie zachowywał się niesprawiedliwie – on tylko czasem wchodził w emocje. I nawet gdy wieczorem, myśląc, że jest sam w domu, bluzgał na puste krzesło, na którym wyobrażał sobie siedzącego superwizora, wcale nie był na niego wściekły – on tylko *reflektował*. Henri prowadził drogą prywatną praktykę i jeździł wielkim, zanieczyszczającym środowisko autem, które nazywał przedłużeniem swojego penisa. Ale Henri miał serce na właściwym miejscu i matka go lubiła, więc Samuel nic do niego nie miał.

Jedno tylko jakby się w matce nie zmieniło nawet po pojawieniu się Henriego: kiedy w rozmowie schodziło na ojca, w jej głosie coś się napinało i wtedy także Samuel czuł w piersi dziwny ucisk.

Kiedy spytał ją raz, czy wolałaby, żeby wtedy ojciec został w Finlandii, odpowiedziała mu:

– To by niczego nie zmieniło.

Innym razem na pytanie, dlaczego się rozwiedli, usłyszał:

– Dla twojego ojca ważne były zupełnie inne rzeczy niż dla mnie.

I choć nie chciała mu powiedzieć nic więcej o ojcu ani o rozwodzie, sam sobie dopowiedział, że życie w Stanach jest zupełnie inne niż w Finlandii, ludzie są płytki i skupieni wyłącznie na robieniu kariery.

Kiedy urodził się Ukko, matka i Henri nie dostawali już rozstroju nerwowego od każdego jęknięcia niemowlaka. Było w tym coś pocieszającego: widocznie nawet czterdziestolatek może się jeszcze czegoś nauczyć, jak go przyprzeć do muru. Nie budzili już śpiącego dziecka, żeby sprawdzić, czy odycha.

Zdarzały się dni, kiedy matka swoim zachowaniem trochę przypominała zdrową osobę dorosłą, i Samuel zaczynał się powoli oswajać z myślą, że kobieta jeszcze wyjdzie na ludzi, a jemu będzie dane chociaż ten ostatni odcinek nastoletniego życia przejść ze wstydem za rodziców niewykraczającym poza przyjęte normy. Najwyraźniej jednak akurat na tym polu jego matka postanowiła się wybić; po powrocie do pracy wpadła na ten swój genialny pomysł chyba właśnie po to, żeby przekroczyć już i tak niemiłosiernie naciągnięte granice żenady.

Najpierw ktoś jej musiał w pracy podpowiedzieć, że istnieje coś takiego jak internet. Matka bardzo się ucieszyła – a potem zaczęła się nakręcać. Tam każdy, dosłownie każdy może wypisywać, co tylko chce! I kiedy reszta świata jakoś nie chciała podzielać jej świętego oburzenia na globalną sieć, przez jakiś czas chodziła naburmuszona, mrucząc pod nosem o nietolerancji Finów, a potem zaczęła wieczorami stukać coś na starej maszynie Henriego i wpadała w złość, gdy jej ktoś przerywał głupim pytaniem, co tak pracowicie pisze. A kiedy wreszcie skończyła z tym maniakalnym dręczeniem klawiatury, wcale nie zmieniła się z powrotem w rodzicielkę, za którą można się wstydzić w granicach normy, tylko w Lubianą Autorkę i Cenioną Rozmówczynię, która na zdjęciach miała usta wymalowane na czerwono, podtrzymywała dłonią brodę i patrzyła dramatycznie prosto w obiektyw.

Zachowanie dorosłych świadczyło dobitnie o tym, że nie mają zielonego pojęcia, jaką cenę ich dzieci muszą płacić za te ich błazeństwa – asfaltowe dziedzińce gimnazjów nie znają pojęcia litości. Kiedy ukazała się książka matki, Samuel chodził już na szczęście do liceum, gdzie ludzie mają trochę bardziej otwarte głowy, ale to był czysty fuks: życiowa szamotanina matki nie miała żadnego związku z fazami jego dorostania.

Później Samuel zaczął jednak przypuszczać, że te osobliwe transformacje jego rodzicielki mogły jakoś wpłynąć na to, że w pewnym momencie przystał do najgorszych żuli z równoległej klasy i zaczął z nimi demonstracyjnie wachać klej i zrzucić z kładki kamienie na wyskakujące z tunelu wagony metra. Kiedy w szkole nauczyciele pytali, co u niego słychać, niby długo się zastanawiał, po czym z najdrobniejszymi szczegółami opowiadał, jak zaczął się ostatnio ciąć żyłką. Samuel bardzo chciał sprawdzić, czy Lubiana Pisarka przemieni się znowu w matkę, kiedy dostanie telefon ze szkoły – i ku jego radości najczęściej tak się działo. W jeden wagon udało im się raz trafić; policja łatwo ich zgarnęła w pobliżu stacji. Na szczęście skończyło się na pękniętej szybie, ale trzeba było iść na komendę i przekonująco się pokajać, a potem matka musiała jeszcze zapłacić odszkodowanie. Dobrze było widzieć,

że Rozchwytywana Prelegentka jednak nie wystąpi tego wieczoru w jakiejś pipidowie. Czyli matkę można było ściągnąć z tej jej stratosfery na ziemię, wymagało to tylko trochę wysiłku.

Ostatnimi czasy Cenionej Dyskutantce i guru terapeutów Henriemu bardzo pasowało, że Samuel pomaga przy motorowcach, choć kiedy Taisto był mały, sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Ale Samuel nie miał nic przeciwko: kopanie piłki z maluchami to świetna zabawa, a zasięgiem allo-zaurów i zwyczajami godowymi rekinów młotów sam był zainteresowany, czytał więc o tym chętnie. Najszczęśliwsze chwile z liceum, jakie przychodziły mu teraz do głowy w postukującym pociągu, to właśnie tamte niedzielne przedpołudnia pod domem z Kerttu i facecikami, gdy Ukko na widok piłki krzyczał zawsze *lutaaa!* – a Taisto pokazywał paradę bramkarza w zwolnionym tempie.

Te chwile musiały coś znaczyć także dla Kerttu, pomyślał Samuel, kiedy poranny ekspres Helsinki-Jyväskylä zbliżał się do stacji końcowej. Wszystko się jakoś ułoży, trzeba tylko gruntownie to z nią przegadać.

Na dworcu w Jyväskylä uzmysłowił sobie, że niepotrzebnie się nakręcał. Nie spał przez całą noc, serce waliło mu jak szalone, a od buzującej we krwi kofeiny podrygiwały mu małe mięśnie twarzy. Nie wiadomo dlaczego, ale Kerttu nie ucieszyła się jakoś jednoznacznie, kiedy bez zapowiedzi stanął w drzwiach jej komórki w akademiku. Sytuacji nie poprawiało wcale to, że od samego progu zaczął się natrzasać z jej nowego miasta. Wiadomo, Jyväskylä – „Ateny Finlandii”, gdzie mówi się „krystalicznie czystą fińszczyzną” i gdzie działa „najskuteczniejszy fiński uniwersytet”, znany z „silnego poczucia narodowej odpowiedzialności”. I choć Samuel był pewny, że we właściwych okolicznościach niezamierzony komizm miejscowej autopromocji ubawiłby Kerttu tak jak każdego normalnego człowieka, tym razem jednak jakoś nie było jej do śmiechu.

Zażądał, żeby go przewaletowała na podłodze, na co się zgodziła, ale i tak nie odniósł wrażenia, że Kerttu żałuje decyzji wyjazdu z Helsinek. Kiedy tylko próbował jej dotknąć, od razu się odsuwała. Jak zgasili światło i wlaź jej do łóżka, zrzuciła go na ziemię bolesnym kopniakiem.

W ogóle zachowywała się zupełnie inaczej niż po wszystkich ich poprzednich kłótniach, kiedy była poirytowana i wybuchała wielkim gniewem z powodu jakichś błahostek w rodzaju całowania się z Mariką Cederström na plaży na Hietaniemi, ale właściwie pogłaskana miękką już następnego dnia, a w najgorszym razie po tygodniu.

Teraz jednak Kerttu emanowała niewzruszonym spokojem i nie była oziębła, lecz zrównoważona, nie była obojętna, tylko bezpośrednia. Czaiło się za tym wszystkim coś strasznie dorosłego, przerażająco dojrzałego i zupełnie niepasującego do dziewiętnastolatki. Samuel chciał odzyskać swoją utraconą licealistkę, która nakładała tusz na rzęsy w przepelnionym autobusie i *parskała śmiechem* w bibliotece, gdy śpiewał jej „fiucik, fiucik, fiuuucik”, ale tych parę następnych dni spędzonych w ciasnym pokoiku akademika uprzytomniło mu, że nie ma szans na sprowadzenie Kerttu z powrotem, bo spotkanie wprowadzające, bo kurs zapoznawczy w bibliotece, bo *wieczór żaków* na jakiejś *stacji* i przymierzanie niezbędnych na tę fuksiarską imprezę kombinezonów w innej *dziurze* – w ogóle za dużo miała dziewczyna na głowie spotkań i wyjść do miejsc, które nie mówiły Samuelowi kompletnie nic, brzmiały natomiast bardzo groźnie.

Wyjechał w takim pośpiechu, że nie wziął ze sobą nic – lapka, książek, ubrania, niczego. Matka dzwoniła i esemesowała teraz do niego co dziesięć minut, nagle zdziwiona, gdzie się podziewa, nagle o niego zmartwiona; brakowało jej sługi do pilnowania dzieci, bo bez niego nie miała czasu stać się jeszcze większym ekspertem Czerwonego Krzyża i jeszcze bardziej cenioną prelegentką. Wyciszył komórkę i dalej siedział w pokoiku Kerttu w koszulce z nadrukiem Napalm Death i džinsach, w których wyszedł z domu.

Jadł znalezionej w szafce ciecierzycę i co chwila próbował odpalić kompa Kerttu, ale najwyraźniej zmieniała hasło. Już samo to, że nie pomagało ani Samuel1, ani ILoveSamuel1, ani Kerttu<3Samuel, totalnie miażdżyło mu psychikę.

Kiedy mu się znudziło, wałęsał się po mokrych od jesiennego deszczu ulicach, gdzie obcy ludzie chodzili w tę i z powrotem jak roboty. Widok zdolałoby każdego; Samuel miał ochotę paść na asfalt i wyć.

Wieczorem chciał porozmawiać o tym z Kerttu, ona jednak nie podzielała jego nastrojów.

– Nie powinieneś wracać do Helsinek?

– Tylko z tobą.

Westchnęła i nic nie odpowiedziała. Wpadła do akademika tylko na chwilę, żeby wziąć prysznic, i teraz była już umalowana, tak świeża i piękna, jak jeszcze nigdy dotąd. Spieszyła się, więc posmarowała szybko piętę humusem i wrzuciła do niej kilka kostek tofu. Dała sobie w tej Jyväskylä ściąć piękne jasne pióra i nosiła teraz grzywkę, która zrobiła z niej seksowną nieznajomą. Nowa fryzura, nowe miasto, a może nowe życie – coś wymalowało jej na policzkach obcą, przerażającą pewność siebie, jakiś wewnętrzny cel, którego

Samuel wcześniej nie dostrzegał, a który wieścił mu teraz nieuniknioną katastrofę. W jej przyciętych włosach pojawił się także granatowy, spleciony tasiemką warkoczyk – taki sam zrobił sobie podobno niejaki Möhis, niemiecki pan Jezus i jej mister tjutor, pierdolony hitler, wódz finnlandjugend z Wielkiej Jyväskylä.

Żeby tak mieć to bezkompromisowe podejście do kobiet, jakie mają faceci, pomyślał Samuel. Ukko otwarcie kochał się w czteroletniej Helli Kyllikki i nigdy nie wahał się postępować stosownie do swoich uczuć.

– U was chyba też się zaczynają jakieś kursy zapoznawcze? – spytała Kerttu. – Skąd masz tyle czasu, żeby tu siedzieć i nic nie robić?

Każdy jej gest mówił wyraźnie, że za parę minut już jej nie będzie, co z góry nastrojało Samuela raczej żalobnie.

– Nie szkoda ci tych wszystkich imprez, które ci przejdą koło nosa? Fuksem jesteś tylko ten jeden raz w życiu.

– Bez ciebie to wszystko nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

– A ja myślę, że inaczej byś to widział. U nas w każdym razie jest po prostu *odlotowo*.

– Dobrze słyszeć. Dzięki.

– Przecież to lubisz. I wszyscy lubią ciebie. Ty już tak masz. Będziesz miał od razu tysiąc nowych znajomych, musisz się tylko doczłapać na uniwersytet.

– Nie chcę nikogo innego, tylko ciebie.

– Mogę się założyć, że jakaś mała fajna biolożka rzuci ci się na szyję przy pierwszej okazji, gdy tylko winda stanie między piętrami.

– Ja bym chciał, żebyś to była ty.

– Nasz dziekan wygłosił na rozpoczęciu roku przemówienie do całego wydziału, strasznie uroczyste, ale w pozytywnym sensie, tak jak moim zdaniem powinno być na każdym uniwersytecie. Jak to kiedyś Arystoteles i Newton, a teraz wy. A kiedy zaczęły się kursy i w przyszłym tygodniu jest fuksówka...

– Nie przyjechałaś do Helsinek?

– Sa-MU-el!

– No, ale...

– Chyba ci już *wyraźnie* powiedziałam...

– Powiedziałaś. Powiedziałaś. Ale...

– Więc może wreszcie przyjąłbyś to do wiadomości?

– Daj mi tylko skończyć. W Helsinkach też można studiować biologię i ekologię.

– SA-MU-EL!

– Okej, okej.

Drzwi już huknęły – Kerttu wyszła ze swoją pitą i grzywką spotkać się ze swoimi nowymi przyjaciółmi, którym nie musi zatrząskawać drzwiami przed nosem. Matka znów próbowała się dodzwonić – który to już raz? – i wyświetlacz nie zdążył jeszcze zgasnąć, a już się zapalił na nowo, sygnalizując nadejście esemesa o nowej wiadomości w poczcie głosowej.

W pewnym sensie obiecał matce, że będzie rano zaprowadzał motorowców do przedszkola. Ale nie mógł wtedy wiedzieć, że stanie w obliczu takiej siły wyższej.

Wyłączył telefon.

Pod koniec tygodnia nadszedł wreszcie wieczór bez żadnej imprezy na mieście i ledwo Kerttu stanęła w progu, Samuel odniósł wrażenie, że dzisiaj dziewczyna jest w lepszym nastroju. Może dlatego, że postanowił zmienić strategię.

Wyniósł sterty kartonów po pizzach i śmierdzących worków śmieci pozostawionych przez jej współlokatorów w kuchni, naprawił obwisłe drzwiczki szafki w łazience, umył muszlę klozetową i wyszorował wannę; kupił całe naręczce czerwonych róż oraz absurdalnie drogie argentyńskie czerwone wino i przygotował jej na kolację makrelę w occie winnym – Kerttu zasadniczo była weganą, lecz czasem jadała ryby – sałatkę z pędów bambusa i orzechów nerkowca, szpinak wodny w oleju z czosnkiem, smażone warzywa ze świeżą miętą i kolendrą oraz przybrane plasterkami limonki tofu smażone z imbirem, trawą cytrynową, korzeniem kolendry i chili. Musiał przy okazji kupić wok, co ucieszyło najbardziej współlokatorów Kerttu.

Długo się wzbraniała, w końcu jednak, po długich namowach, raczyła spróbować. I ku jego wielkiej radości musiała mu przyznać, że potrafi marynować makrele, chociaż jako chłopak był zupełnie do dupy. Podczas kolacji wymogła na nim obietnicę, że nie będzie już dla niej nic więcej gotował, tylko szybko wróci do Helsinek, najlepiej zaraz następnego dnia, bo ona musi się zacząć przyzwyczajać do nowego życia bez niego, a nie ma na to szans, kiedy on zalega jej na podłodze w pokoju. Natychmiast przyznał jej potulnie rację. Kolacją i winami, wśród których nie zabrakło odpowiednio kwaskowatego alzackiego rieslinga do przystawek – Samuel byłby w niezłej biedzie, gdyby nie wziął ze sobą drugiej visy matki – powoli zdołał poprawić atmosferę, tak że zaczęły ją bawić ich stare wspólne przeżycia, którymi umiejętnie i bez niepotrzebnych gestów jej uświadomił, że nikt w nowym, wspaniałym środowisku nie zna jej tak dobrze jak on. I – miał wielką nadzieję, że Kerttu sama to sobie w myślach dopowie – nigdy nie pozna.

Wspomniał również – zwierając się niejako z myśli, która zupełnie przypadkiem przyszła mu właśnie do głowy – że nie ma na świecie kobiety tak jak ona dowcipnej, inteligentnej, tak trzeźwo myślącej, empatycznej, ciepłej, czarującej, eleganckiej, pięknej, seksownej, kulturalnej i tak idealnie do niego dopasowanej pod względem fizycznym i psychicznym. Była to obiektywna prawda i oczywiście nie mówił jej tego wszystkiego po to, by odbierać prawo do robienia ze swoim życiem dokładnie tego, na co ma ochotę – i co też postanowiła zrobić. Ale *gdyby* – uwaga: *GDYBY* – Kerttu uznała, że może jeszcze nie warto tak ostatecznie ze sobą zrywać, tylko kontynuować związek w formie, przykładowo, jednej z niezliczonych faz pośrednich między przyjaźnią i/lub związkiem na odległość, to on, Samuel, byłby *totalnie* innym facetem niż na poprzednim etapie ich wspólnej wędrówki, co może jej obiecać natychmiast, tu i teraz. I choć od ich rozstania nie upłynęło jeszcze wiele czasu, dowiedział się już o sobie i życiu więcej niż w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Uprzytomnił sobie, że kocha Kerttu bardziej, niż mógłby kiedykolwiek pokochać inną kobietę, a mimo to sam jest kompletnie zaskoczony tym, jak totalnie absolutnie jest gotów zakochać się w niej od nowa, mimo tych wszystkich spędzonych już razem lat. Miał wrażenie, jakby zobaczył swoją cudowną dziewczynę po raz pierwszy w życiu i zdał sobie sprawę, że kocha ją sto razy mocniej, choć mogłoby się zdawać, że to niemożliwe. Wszystko to Samuel zdołał jej powiedzieć spokojnym, równym głosem, co go samego zdumiało.

Zdawało mu się, że w linii obronnej Kerttu pojawił się drobny wyłom.

– Trochę przegiąłeś – powiedziała.

– Wręcz przeciwnie. Moje słowa nie oddają nawet promila tego, co czuję.

– Odbija ci już *zupełnie*.

– Właśnie to usiłuję ci powiedzieć.

– Po prostu nie potrafisz wytrzymać w nowej sytuacji, ale to przejdzie.

– Nie przejdzie.

Spojrzał jej w oczy. Czuł, że policzki go palą, jakby miał czterdzieści stopni gorączki. Był gotów zrezygnować ze wszystkiego, ale nie z Kerttu. Postanowił właśnie – dokładnie trzydzieści sekund temu – że weźmie kredyt w banku, kupi motocykl i pojedzie do Ameryki Południowej – teraz, zaraz, jutro – i uparł się, że Kerttu musi pojechać z nim. Będą spać w namiocie, zarabiać, pomagając przy wypasie lam i zbieraniu owoców na farmach, będą się kochać na stepach pod patagońskim niebem, słuchając pokrzykiwań ocelotów. Klęczał już przed nią w kuchni i czuł, że oczy mu wilgotnieją: jedynym jego celem w życiu jest zadbać o to, żeby była szczęśliwa. Jeżeli

weźmie go z powrotem, on stanie po prostu *na rzesach*, by miała wszystko, czego tylko zapragnie. Jest kobietą jego marzeń i wystarczy, że kiwnie palcem, a on zrobi dla niej wszystko. Bez kitu.

Kerttu patrzyła na niego z góry z krzesła.

– Byłoby pewnie całkiem fajnie, gdybyś to powiedział wtedy, kiedy byliśmy jeszcze razem.

Nie zabrała jednak dłoni z jego ręki, przynajmniej na razie.

– To prawda! Bez dwóch zdań. Widać tych najważniejszych rzeczy człowiek się uczy na błędach. Dowiedziałem się tyle nowego o sobie przez tych kilka dni, że...

– Bo na przykład to – przerwała mu Kerttu – że mimo obietnic nie dzwoniś i nie odbierasz telefonu, bo nagle się okazuje, że jesteś ze znajomkami na spontanicznej ayahuasce na jakiejś wyspie pod Turku, a impreza jest przeżyciem tak głębokim, że nie możesz wysłać nawet jednej eski, chociaż nagrałam ci się na pocztce głosowej ze trzysta razy, nie do końca pasuje do tego obrazu kobiety twoich marzeń, której wystarczy tylko kiwnąć palcem.

– Już ci mówiłem, że bardzo mi przykro z tamtego powodu.

– I to, że co chwila robisz, co ci strzeli do głowy, a potem tylko przepraszasz... Tak się dziwnie składa, że po pierwszych dziesięciu tysiącach razy te twoje przeprosiny jakoś przestały na mnie działać.

– No tak. Jasne.

– Ale o swoich braciszkach jakoś zawsze pamiętasz? Tego nie mogę zrozumieć.

– Ich sprawy...

– Jak to możliwe, że nie gubisz ich zaraz po wejściu do sklepu?

– Ich sprawy jakoś mi zostają w głowie. Mam coś takiego, że... sam nie wiem, coś takiego, jakbym... – wyrażenie, które przyszło mu właśnie na myśl, z jakiegoś powodu wydało mu się wstydlive i musiał postawić cudzysłów palcami w powietrzu – „...był za nich odpowiedzialny”. Coś w ten deseń.

Zdawało mu się, że Kerttu patrzy na niego z podziwem.

– Tak się cieszę, że to słyszę, wiesz?

– Naprawdę?

– Taki cudowny, superodpowiedzialny starszy brat.

– No widzisz, ja też się cieszę, naprawdę się starałem...

Dopiero kiedy Kerttu wylała mu na twarz pełny kieliszek drogiego argentyńskiego malbeca, uzmysłowił sobie, że Kerttu jednak *mówiła z ironią*, jak by to wyraził jego czteroletni brat. „Teraz powiem coś z ironią – oznajmił

Ukko poważnym tonem, kiedy Henri włączył w domu Claptona. – *Ale fajna muzyka*”.

Punkt widzenia Kerttu był niejako zrozumiały.

Skoro potrafił zatroszczyć się o braci, to ona rzeczywiście miała prawo mieć wrażenie, że – jak sama to wyraziła – rozmyślnie traktował ją jak śmiecia. I że to wcale nie jego ogólna nieodpowiedzialność i męskie chromosomy, jak wcześniej sądziła, ale ten prosty fakt, że Samuel ma głęboko w dupie życzenia i potrzeby swojej dziewczyny o imieniu Kerttu.

W jego płomiennym przemówieniu musiało być jednak coś takiego, że Kerttu chyba zrobiło się trochę przykro, że chlusnęła mu winem w twarz, bo po chwili przeprosiła go i wytarła niemal czule, jak mu się zdawało. Swoje zrobiło pewnie to, że Samuel klęczał i że nawet mu powieka nie drgnęła po tym niespodziewanym ataku; mogło też pomóc i to, że mimo wszystko powtórzył, że bardzo się zmienił i *wie to na pewno* – bo czuje to całym swoim ciałem – ale oczywiście rozmawiają teraz o decyzji Kerttu i o jej szczęściu, więc jeżeli ona naprawdę chce, żeby natychmiast wyjechał, to za minutę już go tu nie będzie i nigdy więcej nie będzie musiała go na oczy oglądać, chociaż wyjdzie z jej pokoju ze złamanym na zawsze sercem. Kerttu, która wcale nie zamierzała mu ustępować i najwyraźniej próbowała wycisnąć z tej sytuacji maksimum korzyści, musiała się jednak trochę rozchmurzyć. Ośmielony tym światłem w tunelu postanowił rozładować atmosferę paroma soczystymi tekstami, co było oczywiście bardzo ryzykowne, lecz jakoś przeszło po bandzie i Kerttu po prostu nie mogła się nie roześmiać. A kiedy odważył się ponownie spoważnieć i po raz ostatni postawić wszystko na jedną kartę, spojrzeć Kerttu prosto w oczy i delikatnie pociągnąć za rękę, nie odwróciła wzroku, lecz mu się poddała i choć z początku była oporna, w końcu zgodziła się położyć na podłodze i pozwoliła zamknąć się w ramionach.

Kiedy współlokatorka Kerttu stanęła w drzwiach wejściowych, nagie piersi Kerttu dały po oczach nie tylko jej, lecz także czwórce znajomych, którzy z nią przyszli. Na szczęście akt miłosny na podłodze kuchni wszedł już w tak obiecującą fazę, że nie było sensu zaprzętać sobie głowy tym drobnym incydentem. Po kilku sekundach grobowej ciszy koleżanka sama się zorientowała, że najlepiej będzie zatrzaskać drzwi i nie wracać już tej nocy do akademika.

Rano Kerttu była jednak milcząca i nie chciała iść z nim pod prysznic. Zamiast beztrudnych słów z jej ust wydobywały się tylko długie i ciężkie westchnięcia. Ewentualność, która wisiała w powietrzu już przy automacie

biletowym na dworcu w Helsinkach, zaczęła się teraz rysować z przerażającą wyrazistością: tu wcale nie musi chodzić o łatwe do wyjaśnienia nieporozumienie.

I seks na podłodze w kuchni, na który oboje raz wreszcie mieli równie wielką ochotę, którego oboje pragnęli równie szybko i równie intensywnie – wszystko tylko pogorszył, bo okazał się pożegnaniem, choć jeszcze wieczorem Samuel wyobrażał sobie, że kochają się na zgodę. Nagle poczuł, że lepiej było zostać w domu, rzucić się w wir imprez studenckich – własnych – i przegonić Kerttu ze wszystkich zakamarków umysłu, w których zdołała się przez lata zagnieździć ze swoimi opiniami, potrzebami, fatałaszkami i tuszami do rzes. I w ciągu następnych pięćdziesięciu milisekund, które wydały mu się równe tygodniowi w piekle, Samuela olśniło i uzmysłowił sobie w zasadzie jednocześnie, że 1) Kerttu może już nigdy nie zmieni zdania, z czego wynika logicznie, że 2) prędzej czy później przyjdzie taki dzień, kiedy Kerttu nie wróci na noc do akademika, bo zostanie w łóżku z jakimś wąsatym Ateńczykiem, wyrośniętym dzieckiem mówiącym krystalicznie czystą fińszczyzną, który bez wahania przeleci ją z silnym poczuciem narodowej odpowiedzialności, kiedy tylko ona się przed nim otworzy, i że 3) zniósłby wszystko, tylko nie to. I 4) – gdyby miał stanąć w obliczu takiej sytuacji, wolałby raczej być wtedy sam w domu, żeby nie mieć pewności, czy tak się rzeczywiście stało, choć z drugiej strony w praktyce będzie się czuł dokładnie tak samo, ale z jakiegoś powodu miał wrażenie, że mimo wszystko tam będzie mu jakoś łatwiej to znieść.

Tak więc dwadzieścia po czwartej, kiedy Kerttu była na kółku podstaw ochrony środowiska – gdzie, jak wywnioskował na podstawie jej relacji, wciskano studentom krystalicznie czystą fińszczyzną piramidalne bzdury – uznał, że czas wychylić tę czarę goryczy i ze złamanym sercem powlec się na dworzec. Na stacji odebrał nawet telefon, który okazał się trzecią kolejną próbą Henriego: nie może dodzwonić się do matki, a nie wie, gdzie Ukko trzyma swój smoczy strój.

Na wieszaku w dziecinnym, odpowiedział Samuel, próbując przełknąć kluchę w gardle, zobacz pod innymi rzeczami. Nie widać, wiem, ale tam go znajdziesz, zobacz na samym dole.

Rozłączył się i powlókł do pociągu. I żeby inni podróżni nie widzieli, jak ciągle przetyka ślinę, wszedł do wagonu bagażowego, którego drzwi z jakiegoś powodu nie były zamknięte. Siedział tam sam na zimnej metalowej podłodze, wsłuchując się w zgrzytanie szyn, aż po czterech godzinach dotarł do Helsinek, gdzie jesień zdążyła się już rozkręcić na całego.

Następnego dnia zaczął sobie uzmysławiać, że to Kerttu trzymała go jakoś w karchach przez całe wakacje.

Już dawno pogrzebał w najgłębszych zakamarkach umysłu nadzieje, jakie wiązał z imprezą na zakończenie szkoły, i wyniki z tego emocje, i choć nie miały one żadnego związku z Kerttu, z jakiegoś powodu nie był już w stanie dłużej ich tłumić.

Tylko jej powiedział o rodzinnym zjeździe po pożegnaniu abiturientów. Teraz sam będzie musiał dźwigać to brzemie.

Wspomnienie przypominało słabe, ale przykre kopnięcie prądem. Rodzinnego zjazdu na zakończenie liceum oczekiwał z wypiekami podniecenia na twarzy, a później pamiętał jedynie przymglony kalejdoskop wrażeń, szampana, przybywających grupami do domu krewnych, czasem tak dalekich, że nawet nie pamiętał ich imion – ależ ty jesteś przystojny, Samuelu – miażdżący ucisk w piersiach, który był zarazem końcem i początkiem świata.

Esemes od ojca rozwiązał wszelkie wątpliwości.

Już nie pamiętał, jak dokładnie ojciec to ubrał w słowa. Pamiętał tylko, że kiedy dostał wiadomość, serce zabiło mu kilka razy bardzo mocno i że do końca tamtego wieczoru bardzo musiał się starać robić dobrą minę do złej gry.

Nie potrafił się zmusić, żeby powtórnie odczytać wiadomość od ojca, był jednak pewny, że nie można jej zinterpretować inaczej.

Nie wiedział, jak wygląda zakończenie *high school* w Stanach, przypuszczał jednak, że podobnie jak u nich; ojciec musiał zdawać sobie sprawę, jakiej to rangi wydarzenie. Samuel wiedział też, że matka wysłała ojcu informację o zbliżającej się maturze syna już na początku roku, na długo przed jego własnym mailem do niego.

Ta świadomość dodawała mu skrzydeł przez całą wiosnę. Ojciec wiedział o jego maturze i obiecał przylecieć. Musiał też wiedzieć, że chodzi o bardzo ważne wydarzenie, w zasadzie najważniejsze w całym dotychczasowym życiu jego syna. Samuel wciąż pamiętał, że całą wiosnę ta myśl grzała go w piersi, gdy siedział w zimnym autobusie, i że mógł się do niej przytulić, kiedy kładł się do łóżka. Inni się trzęśli przed maturą, on podchodził do niej na luzie, jak do dobrej zabawy – będzie mógł pokazać, na ile go stać.

Ale co z oczu, to z serca. Nie można za to nikogo winić. W życiu tak już jest.

Nie warto sobie tym głowy zaprzętać.

Ojciec miał nową rodzinę w Stanach; nowe, szczęśliwe życie.

Dwa tygodnie przed uroczystym pożegnaniem abiturientów, kiedy się dowiedział, że ma najlepsze świadectwo w całej szkole, było już jasne, że ojciec nie przyleci, że nawet nie brał tego pod uwagę.

Samuel pamiętał, że stał w holu wejściowym szkoły, kiedy ostatecznie ogarnął całą sytuację. Prawie nie rejestrował tego, co mówią nauczyciele, czego mu gratulują, dlaczego potrząsają jego dłonią.

Cały ten przyjazd ojca był wyłącznie w jego głowie.

Na przyjęciu w domu grał luzaka i chętnie się uśmiechał; głos go nie zawiódł, na pytania gości odpowiadał pewnie i z przekonaniem. Po uroczystej rodzinnej kolacji wzorem wszystkich maturzystów poszedł w miasto i upił się, jak każe tradycja, i był jak zawsze duszą towarzystwa. Musiał tylko ciągle przełykać to drażniące uczucie, które z upływem godzin zmieniało się w mętny, nieokreślony ucisk na sercu, ale raczej nikt nie zauważył, że coś jest nie tak.

Tylko Kerttu.

Z jej ostrożnego spojrzenia wyczytał, że doskonale wie, jak on się czuje i co myśli. Współczujące muśnięcie jej palców, milcząca współżaloba, zrozumienie bez słów, że właśnie coś umarło.

Jesień weszła właśnie w najbarwniejszą fazę. Na trawnikach i poboczach ścieliły się dywany jasnożółtych i ognistoczerwonych liści klonu.

Ponieważ nie wiedział, jak się wskrzesza wiarę w kobiety, obietnice i życie, uznał, że najbardziej budującym rozwiązaniem będzie spędzenie kilku następnych tygodni na sofie przed telewizorem – z programem, w którym ludzie podniecają się zagadką pod tytułem: „Jak też może się nazywać najważniejsza fińska nagroda literacka FIN_ANDI?”. Niczego sobie prezenterka w obcisłym stroju pływackim, w którym sutki wybijały tak wyraźnie, że po zmrużeniu oczu nawet nie trzeba było sobie wyobrazić, że dziewczyna stoi w studiu nago. „Czyli właśnie ty możesz być tą szczęśliwą osobą, która wygra zaraz nawet *dwieście euro*! Potraficie sobie w ogóle wyobrazić tę niewyobrażalnie wielką sumę? A więc dalej, chwytajcie za telefony i dzwońcie do nas, będziemy odbierać i pytać was zaraz, haloo, haloo, no to jaka litera chodzi ci po głowie, może to akurat ta właściwa? A więc nie zwlekajcie, sięgajcie z foteli po telefony i zaraz do nas dzwońcie!”. Samuel wręcz słyszał skwierczenie topiących się szarych komórek, w czym znajdował osobliwą przyjemność.

Jeszcze nigdy dziewczyna go nie rzuciła. We łzach porzuconych zawsze jest jakaś melodramatyczna przesada. Trudno się z nimi utożsamić. Może właśnie

dlatego, że nigdy wcześniej mu się to nie przytrafiło.

A ponieważ był jeszcze cień szansy, że Kerttu zmieni zdanie i zadzwoni, przyśle mu eskę, mail, zagai na czacie, na fejsie, zaprzyjaźni się z nim na jakimś nowym portalu, najrozsądniej było uznać, że tak się właśnie stanie – i czekać na pełny etat. Ale pozostały mu po ojcu i tamtym dniu ciężki, kanciasty kłoc uciskał go na żołądku jak zła prognoza. Większość dnia spędzał w łóżku i nie jadł, z wyjątkiem tych paru godzin, kiedy leżał na sofie. Matka usiłowała bezskutecznie wyjaśnić, co to za zarośnięty, zwalony przed telewizorem dziewiętnastoletni worek na śmieci i gdzie się podział jej cudowny i przystojny, niezależny, odpowiedzialny i dowcipny najstarszy syn. On jednak był w takim stanie, że każde słowo musiał kosztem nadludzkiego wysiłku wydobywać z bezdennych otchłani. Dlatego też starał się ograniczać ustną komunikację z matką do konstruktywnego absolutnego minimum.

Na przykład:

- Samuel, możemy porozmawiać?
- Daj mi umrzeć w spokoju, dobra?

Albo:

- Samuel, masz jakieś zmartwienie?
- Twoja matka miała.

Uzasadnione wydawało się także podjęcie ostrożnych prób badania lodu poprzez zamieszczanie na profilach Kerttu w mediach społecznościowych rozmaitych wyznań miłosnych, które bezwiednie stawały się coraz dłuższe. Z powodu braku reakcji te wynurzenia zaczęły zalatywać Samuelowi coraz większą żenadą, uznał więc, że trzeba je skontrapunktować ostrą krytyką jej wyborów życiowych, w której – sam to nawet zauważył – czasem rzeczywiście mógł zejść niepotrzebnie na tematy osobiste, co obiektywnemu obserwatorowi wydałoby się nawet przykrą złośliwością.

Matka podejrzewała, że zachowując się w ten sposób, jej syn wcale tak szybko nie poprawi swojej kondycji psychicznej, ale matka była starą babą, która nie ma zielonego pojęcia o miłości, a nic tak skutecznie nie wyprowadza człowieka z równowagi, jak stara baba, która ma rację.

Od czasu do czasu telefon pikał, ale to nigdy nie był esemes od Kerttu. Ziomkowie pytali, co u niego, próbowali wyciągnąć go do kina albo na imprezę, chcieli zorganizować wieczór skejta, namawiali, żeby zdruzgotał zachodni turbokapitalizm. Ale odpisywanie na eski było ponad jego siły. Na imprezach spotka wyłącznie dziewczyny promieniejące szczęściem z niewłaściwych powodów i chłopaków niemających pojęcia o tym, że nikt nie dotrzymuje obietnic i dni tej planety są policzone. Niech ktoś młodszy

walczy z turbokapitalizmem, on jest już na to za stary, za bardzo rozgoryczony życiem.

Zapomniałby nawet o swoich dziewiętnastych urodzinach, gdyby Taisto i Ukko mu nie zaśpiewali, a matka nie wręczyła karty upominkowej sklepu sportowego. Budził się nad ranem na długo przed budzikiem i nie wiedział, co ze sobą począć, albo nie mógł zmrużyć oka przez całą noc i zasypiał dopiero o piątej rano. Parę razy, gdy dał się wyciągnąć z domu, wałęsał się po mieście w czerwonej czapce myśliwskiej, którą Kerttu kupiła mu na pchlim targu, i zazdrościł kaczkom, bo żyły w gromadach, i żułom w parku, bo mieli swoje flaszki. Przypomniał sobie, że ktoś go kiedyś pytał, gdzie zimują kaczki z zatoki Töölö: tutaj, w osłoniętej i nierzucającej się w oczy zatoczce po drugiej stronie torów. Zbiły się w ciasną gromadę, grzejąc się nawzajem i rzucając mu od czasu do czasu współczujące spojrzenia.

Zatroskana matka usiłowała go wypchnąć z domu to na bieganie, to do lekarza – Dzięki, mamó! Chyba rzeczywiście zaraz sobie pójdę! – i przestała mu suszyć głowę motorowcami, co było już trochę przerażające.

A więc na własną prośbę stał się zbędny także swoim młodszym braciom; po trudnych początkach Henri i matka chyba w końcu dorosli do rodzicielstwa i naprawdę zaczęli rozumieć, że spotkania z klientami i wymagającymi kobietami w eleganckich apaszkach oraz ekspertowanie w sprawach imigrantów trzeba dostosowywać do potrzeb swoich dwóch małoletnich synów, lat cztery i sześć. Było to dla nich zapewne nowe i satysfakcjonujące przeżycie, bo odpowiedzialność wychowuje i kształci – ale on przestał już być komukolwiek potrzebny. Taisto zdradził nawet Henriemu sekretny raketowy szlak Samuela, jego królewską tajemnicę porannych wypraw do przedszkola. Henri pokazał motorowcom, jak się nią lata z *prędkością międzygwiazdną*, co opowiadali mu teraz z dumą i oczami wybałuszonymi nabożnym lękiem. I nawet jeśli matka i Henri czasem pozwalali facecikom oglądać telewizję trochę za długo i codziennie jakby trochę dłużej – żeby przy kieliszku wina „choć na chwilę się odprężyć w towarzystwie dorosłych” – może rzeczywiście *wiedzieli*, co robią, mimo że Samuelowi trudno było w to uwierzyć.

– Trzymajcie się, motorowcy. Jak dorośnecie, będzie wam łatwiej – powiedział na głos, patrząc na kaczki, zanim sobie uzmysłowił, że to przecież kłamstwo. Pijak, który na czworakach zbierał na brzegu puste butelki, obrócił się w jego stronę; usłyszał na pewno, że chłopak mówi do siebie.

Impuls do zmiany pojawił się wreszcie w pewien wietrzny jesienny wieczór, kiedy zgromadzone na niebie chmury zwiastowały deszcz. Samuel

leżał od siódmej wieczorem w łóżku, zbierając siły, żeby wstać na śniadanie, gdy Henri zapukał do jego pokoju i z poważną miną zaproponował rozmowę w cztery oczy.

– Coś mi się tak mocno wydaje, że bardzo chciałbyś teraz z kimś porozmawiać.

Zza okularów w cienkiej metalowej oprawce patrzyły na niego przenikliwe i spokojne oczy Henriego. Samuel tak się zląkł, że natychmiast zdołał zebrać siły i wykrzesać z siebie odrobinę zainteresowanie studiami. Matka dołożyła swoje, wypychając go z domu; bała się podobno, że Samuel czuje się odpowiedzialny za facecików w sposób, który hamuje proces jego usamodzielniania się i opuszczenie rodzinnego gniazda.

– Zajmiemy się nimi, serio – zapewniła go matka. – *Idź już.*

– Co ty powiesz.

– Kochają cię i uwielbiają się z tobą bawić i wygłupiać, i oczywiście podziwiają jak nikogo innego na tym świecie, ale musisz także żyć swoim życiem.

– Aha.

– Nie znam nikogo, kto miałby lepiej od ciebie wyrobione umiejętności społeczne – powiedziała matka i spojrzała mu w oczy. – Nikt nie radzi sobie z ludźmi tak dobrze jak ty. Więc idź w końcu na uniwersytet i zacznij nowe życie. Bierz z niego, co tylko się da.

Matka powiedziała, że przemyślała wszystko i doszła do wniosku, że od dawna obarczała go zbyt dużą odpowiedzialnością za młodszych braci. Było jej z tego powodu bardzo przykro. Za dużo pracowała i nie rozumiała tego. Podobno nie powinna była mu kazać prowadzić dzieci regularnie do przedszkola w klasie maturalnej. To było niesprawiedliwe. I bardzo dobrze, że Samuel potrafił jej to jasno zakomunikować; wyciągnie z tego wnioski na przyszłość. Poza tym w domu jest jeszcze Henri.

Matka dodała jednak, że ma nadzieję, że w przyszłości jej najstarszy syn nauczy się wyrażać swoje potrzeby bardziej konstruktywnie – niech mówi na głos, że coś go gryzie, a nie w ramach protestu nagle okopuje się w łóżku. Jej zdaniem przyszedł czas, by nauczył się odpowiedzialności za swoje życie.

Trudno było zrezygnować z focha. Leżąc na sofie, czuł się tak, jakby się zapadał pod miękki, ciepły koc, spod którego nie miał najmniejszej ochoty wyściubić nawet nosa. Jednak żeby uciec przed poważną rozmową z Henrim, zmusił się do wyobrażenia sobie możliwie najwyraźniej i ze wszystkimi szczegółami swojego nowego, satysfakcjonującego życia, które zacznie teraz wzorem Kerttu; trochę później niż inni, ale za to z oszałamiającym

przyspieszeniem naukowo-społecznym; ze złamanym sercem, lecz z wysoko podniesionym czołem moralnego zwycięzcy.

Wszystko się jeszcze ułoży.

Zdążyło już jednak minąć półtora miesiąca, odkąd reszta fuksiarstwa zaczęła studia. Błąkając się po zdumiewającym labiryncie korytarzy i nieciekawych wnętrzu uniwersyteckich gmachów, Samuel szybko sobie uświadomił, że pierwszy rok żyje już w zupełnie innym świecie. Wszystkie kursy zapoznawcze i zabawy inauguracyjne już się odbyły i zaczęło się ostre wgryzanie w podręczniki. Wszyscy przetarli już sobie ścieżki, bezbłędnie odnajdywali właściwe drzwi. Bazgroły w męskich toaletach były śmieszne, ale dla wtajemniczonych – ha, ha, łatwo się śmiać, jak się wie, o co chodzi. Kursy szły już pełną parą i nikt nie witał spóźnialskich z uśmiechem na twarzy, żeby oprowadzić ich za rączkę po uniwersytecie i wytłumaczyć, co znaczy to VIB1 z przewodnika dla nowych studentów i gdzie to badziewie znaleźć, o co kaman z tymi wszystkimi modułami i punktami, no i jak się dostać do tego pieprzonego moodle'a, co to, kurwa, za szajs, że system nie rozpoznaje loginu? Kilka dziewczyn w trendowych ciuchach, przy których Samuel usiadł z nadzieją w kawiarence, zachowywało się tak, jakby go nie było; panny miały ważne miny i dywagowały o jakimś proseminarium, które po prostu trzeba zaliczyć w drugim semestrze, a w ich głosach było coś niewiarygodnie dołującego. Proseminarium: co to za impreza i dlaczego jest tak cholernie ważna, że trzeba ją zaliczyć, pozostało dla Samuela tajemnicą. Czego one się boją, że ma syfa czy co? Kurwa mać.

Był pewny, że wszystko jest już nieodwołalnie stracone, gdy nagle zobaczył plakat.

Na tablicy ogłoszeń wisiał gigantyczny lśniący poster, na którym DUŻYMI LITERAMI z wykrzyknikami zapraszano na otrzęsiny wydziału biologii. Czy to nie ta gigantyczna impreza dla nowych studentów? To chyba to, czym tak się podniecała Kerttu. Wspomniany w tekście i użyty w layoutcie „Motyw przewodni: Dżungla” był zarówno odpychający, jak i dziecinny, ale z drugiej strony zapowiedzi: TANI ALKOHOL! PAPIEROSY! ŚCISK! MASAKRA! brzmiały dość obiecująco. Zachęcony plakatem otworzył stronę wydziału w internecie. Tam przeczytał, że wielu tutorów – do jednego został nawet przydzielony – to całkiem fajne młode babki.

Może nie warto za bardzo wybrzydzać.

Trzeba przełknąć rozczarowania i skoczyć na bańkę w wir wydarzeń, póki jeszcze czas. Może Kerttu aż tak bardzo nie rozminęła się z prawdą. On też znajdzie sobie jakieś miejsce w życiu.

Po długich poszukiwaniach uznał, że najlepszym przebraniem będzie znaleziony w najdroższej wypożyczalni w mieście 190-centymetrowy strój tygrysa z olbrzymią maską i oszłamiająco długim ogonem. Coś tam matce naściemnia, kiedy przyjdzie rachunek. W domu nowe przebranie wywarło tak wielkie wrażenie, zwłaszcza na Ukko, że już choćby z tego tylko powodu tygrys wydał się Samuelowi strzałem w dziesiątkę. Z osobliwą satysfakcją skonstatował, że faceciki natychmiast obskoczyły Henriego i zaczęły mu suszyć głowę, że oni też muszą zaraz dostać takie same stroje.

W dniu otrzęsin wykąpał się i poświęcił dziesięć minut na układanie fryzury, wklepał w policzki specjalnie na ten dzień zakupioną wodę po goleniu i uznał, że czas na poczucie humoru: kredką matki narysował sobie przed lustrem kocie wąsy i pomalował czubek nosa na czarno. Potem kupił dziesięć puszek piwa i wyszedł z domu w porę, żeby się nie spóźnić. A może właśnie należałoby się stylowo obsunąć o jakąś godzinę? Nie, chyba jednak lepiej wbić się punktualnie, na początku mogą dawać jakieś wskazówki albo przedstawiać sobie ludzi. Samuel trzykrotnie się upewnił, że jedzie pod właściwy adres, i sprawdził w rozkładzie jazdy, o której musi wyjść z domu, żeby zdążyć na czas.

Wchodząc po wytartych kamiennych schodach szacownego Klubu Studenckiego, Samuel układał w myślach autoironiczne komentarze, którymi na swoich profilach w sieci skwituje zwycięstwo, gdyby od razu tego dnia miał dobre branie. Nie żeby się chciał przechwalać, ale Kerttu na pewno się ucieszy, że odchorował już poprzedni związek i wiedzie w Helsinkach szczęśliwe, niezależne i pod każdym względem – także seksualnym – zdrowe życie studenta. Chociaż chyba najlepszym rozwiązaniem byłaby wiadomość na priva – uniknąłby nieporozumień, jakie mogą się pojawić po takich publicznych wynurzeniach.

Kiedy w tygrysim stroju i z torbą piwa wparował do kamiennej auli, zatrzymał go mur grobowej ciszy. Zza długich stołów przykrytych białymi obrusami patrzył na niego pytająco legion staruszków na wózkach inwalidzkich, we frakach i garniturach, z medalami na piersiach. Jego matka w tym towarzystwie byłaby nastolatką. Z siwych bród mężczyzn i hełmiastych fryzur kobiet, z wiszących na ścianach sztandarów i herbów emanowała jakaś zjadliwa niechęć; z ambony w głębi sali jakiś karzeł z laską krakał o setnej rocznicy i o tym, że Talakkuna jako święto korporacji studentów z Sawonii przybrała obecną formę w roku 1948.

Czując na plecach świdrujące spojrzenia emerytów, przebrany za tygrysa Samuel wyszedł z auli i powlókł się do innego gmachu, żeby dokładniej się

przyjrzeć plakatowi na tablicy ogłoszeń, chociaż już przeczuwał, co się święci: impreza odbyła się tydzień wcześniej. Z ogłoszenia, które z jakiegoś powodu ciągle nie zostało zdjęte, rzuciły mu się w oczy tylko słowa WRESZCIE! W NAJBLIŻSZĄ SOBOTĘ! MUSISZ PRZYJŚĆ!

I wtedy zobaczył na tablicy inne ogłoszenie; było wyraźnie wcześniejsze od informacji o otrzęsinach, pozaginane już na rogach i częściowo zakryte przez inne kartki. Poczuł w piersiach złowróżbne dudnienie. Pamiętał o tym jeszcze jakiś czas temu, ale potem głowę miał zaprzątniętą zupełnie czym innym.

Przyjęci na studia muszą się zarejestrować do 15 września. Niedopełnienie tego obowiązku oznacza rezygnację z miejsca na uczelni.

Od 15 września mijał właśnie miesiąc.

Stał przed tablicą i gapił się w kartkę tak długo, aż w końcu podszedł do niego strażnik i przypomniał mu, że do budynku nie wolno wnosić piwa.

X

Świat oczywiście od zawsze balansuje na krawędzi zagłady, ale jeszcze nigdy nie był jej tak blisko jak teraz. W atmosferze jest już ponad 400 ppm dwutlenku węgla i przybywa go z każdą chwilą. Na Pacyfiku dryfuje kożuch plastikowych śmieci wielkości Teksasu, którego nie da się usunąć, Samuel nigdy nie znajdzie sobie nikogo i dlatego szklanka nie jest w połowie pusta, tylko po brzegi pełna jakiegoś gówna.

Jeżeli wcześniej chciało mu się zwlekać z sofy dwa razy na dzień – żeby zwalić konia, wyobrażając sobie ładną prezenterkę teleczatu – to teraz nie miał ochoty już nawet na to. Na dziecinnych buziach jego małych braci malowało się współczucie. Było widać, że bardzo chcieliby mu pomóc, ale i oni przecież mieli swoje życie, swoje relacje międzyludzkie i karierę przedszkolną, której nie mogli zaniedbywać.

Nocą, kiedy nie mógł zasnąć, czytał swój artykuł w „Suomen Kuvalehti” i odczuwał palący wstyd. Nie mógł zrozumieć, jak można było ten tekst zinterpretować tak pozytywnie. „Jak nam pokazuje odważny maturzysta Samuel, jest jeszcze nadzieja dla Ziemi”. Trudno było powiedzieć, kto był bardziej naiwny: maturzysta Samuel, który zrobił z siebie błazna, czy też uśmiechający się wyrozumiale, głaszczący go protekcyjnie po główce panowie komentatorzy. Podobno wszystko jeszcze można naprawić, trzeba się po prostu zabrać do roboty. Nasz nieopierzony maturzysta żyje we własnym świecie. Ton jego tekstu od samego początku był katastroficzny, ale sam tego nie dostrzegał. A przecież wyraźnie napisał, że wbrew

rozpowszechnionym twierdzeniom konsumenci nie mają żadnego wpływu na stan środowiska naturalnego, bo brak im niezbędnej wiedzy. Oni po prostu nie wiedzą, co robią.

I choć nie powiedział matce ani Henriemu, że bezwiednie zrezygnował z miejsca na uczelni, to wyczuli chyba, że coś poszło nie tak. Słyszał, jak za drzwiami Henri mówi do Taisto:

– Samuel teraz trochę źle się czuje.

– Wymiotuje? – ucieszył się Ukko, który wiosną przechodził jelitówkę i teraz żywo się interesował wszelkimi zaburzeniami trawienia.

– Nie – odparł Henri. – Nie w tym sensie źle.

– Może najgorsze dopiero przed nim – powiedział Ukko z nadzieją w głosie.

Potem Samuel usłyszał energiczne jak zawsze tupanie butów Taisto, brat zbliżał się do jego pokoju.

– Pobiorę od niego ślinę.

– Teraz lepiej nie – doradził mu Henri.

– Ale może jest chory.

Taisto bardzo chciał zdobyć próbkę śliny chorego do swojego mikroskopu. Bardzo go zajmowały wszelkie mikroby, w przeciwieństwie do Ukko, który interesował się jedynie tymi, co wywołują jelitówkę. Nasz lekarz rodzinny i specjalista, mówił o nim Henri, gdy rozmawiał z kolegami.

– Teraz nie jest najlepsza pora.

– Ale ja chcę popatrzeć przez mikroskop.

– Taisto, nie teraz.

– Ale może jest chory.

– Teraz lepiej nie – powtórzył Henri.

– Tata, a wiesz, jak jest „baran” po niemiecku?

– Nie.

– Ammyl hammylkammyl.

– Aha.

– Wiedziałaś? Wiedziałaś, tata? Zapytam Samuela, czy on wie.

– Teraz nie.

– Ja chcę siedzieć z przodu.

– *Nie, bo ja!*

Huknęły drzwi wejściowe i faceciki wybiegły za Henrim przed dom. Już zapomniały o jego istnieniu.

Im więcej Samuel miał czasu na surfowanie po sieci, tym bardziej do niego docierało, że wszystko jest stracone. Poprzednią noc spędził na zgłębianiu

oszałamiającego tempa największego w historii Ziemi wymierania gatunków. Przeżył wstrząs, kiedy sobie uświadomił, że nie zrobiono praktycznie nic, by to jakoś powstrzymać, a im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej z tego wszystkiego rozumiał i tym bardziej był sfrustrowany i wściekły.

Wolałby w nocy spać, lecz oczy zaczynały mu się kleić dopiero po piątej. I choć w ciągu dnia miał wrażenie, że nie zdołałby nawet włączyć komputera, w te długie bezsenne noce musiał sobie znaleźć jakieś zajęcie, żeby całkiem nie ześwirować. I znajdował kolejne strony poświęcone ochronie środowiska, prawom zwierząt i katastrofom wywołanym przez neoliberalną gospodarkę. Zauważył, że przebywa na nich coraz dłużej i nawet uczestniczy w toczących się tam dyskusjach. Wszystko to zwiększało jego niepokój o stan planety, ale tylko tak mógł jakoś zabić dłużący się czas.

I minęło już tyle od esemesa od ojca, że także z tej strony sprawa była całkowicie jasna.

A napisał, że nie tylko przyjedzie na imprezę, ale także za jakiś czas skomentuje jego artykuł w „Suomen Kuvalehti”.

Długo siedział w słownikach, żeby przetłumaczyć cały, wcale niekrótki artykuł na angielski, ale robił to chętnie, bo wiedział, że ta ciężka robota nie pójdzie na marne. Z początku zamierzał opublikować swój tekst w obu wersjach językowych w sieci. Ponieważ jednak wydawało się mało prawdopodobne, by ojciec kiedykolwiek na niego sam natrafił, uznał, że najlepiej będzie wsadzić go do koperty i wysłać pocztą.

Teraz dopiero pojął całą śmieszność także tego pomysłu.

Jego ojciec w Stanach miał ciekawsze zajęcia niż czytanie napisanych kiepską angielszczyzną wypocin nieznajomego chłopaka z Finlandii.

Co Samuel mógł wyczytać już z odpowiedzi ojca na list z kopią świadectwa maturalnego.

Samuel gapił się w monitor. Literki na sinym tle były go po oczach gorącym żelazem.

Stopy zaczęły go swędzić. W ciemnej sypialni słyszał bicie własnego serca. Wieczór był mroczny i deszczowy; zimne strużki na szybach mówiły już o listopadzie i nadchodzących mrozach.

Nie miał wątpliwości, że powinien wyłączyć komputer, i to natychmiast. I już nigdy więcej nie wracać na tę stronę. Ale wiedział na sto procent, że tego nie zrobi. Dochodziła siódma, niedawno się obudził i czekała go kolejna samotna noc. Matka po paru nieudanych próbach przestała już wywlekać go rano z pościeli – może dlatego, że na nic się to nie zdawało.

Samuel zdryfował do tej części netu, gdzie absolutnie nie powinien zaglądać. Kto wie, czy to w ogóle legalne? Podobno policja i tu ostatnio szpieguje, zastawia pułapki na tych, co zeszli do cyfrowego podziemia. Choćby dlatego nie powinien się tu kręcić.

Ale ludzie na tej stronie znali jego ojca.

Tekst na ekranie od razu rozniecił w sercu Samuela gorący płomień. Wiedział, że jeszcze tu wróci. Nie wiedział, kim są ludzie, którzy prowadzą tę stronę, lecz doskonale się orientowali nie tylko w zakresie badań jego ojca, ale także w stosowanych przez niego metodach – włącznie z gatunkami zwierząt, których używał.

Z zewnątrz dobiegł go szum silnika. Samochód odjechał i znów było cicho.

Samuel wpatrywał się w tekst na ekranie komputera. Wtedy przyszło mu to do głowy pierwszy raz – czyn, na który chyba byłby już gotowy. Ale wtedy ktoś zapukał do drzwi i serce podskoczyło mu do gardła. Nie wiedział jeszcze, kto chce do niego wejść, ale klamka już się poruszyła. Ledwo zdążył wygasic ekran.

W drzwiach stanęła matka. Zamrugła powiekami i uśmiechnęła się niepewnie.

– O, już się obudziłeś – powiedziała, siląc się na beztroskę. Samuel nie był pewny, co to ma oznaczać, ale szykował się na kolejną porcję głupich żartów.

– I co, jest jakaś...?

Szukając odpowiednich słów, matka zaczęła kiwać się śmiesznie na boki, zupełnie jakby miało mu to ułatwić znalezienie odpowiedzi.

– ...różnica? W samopoczuciu?

Zachowywała się tak sztucznie, że nawet nie miał ochoty jej odpowiadać. Chodziło jej o lekarstwa. Samuel miał już tak bardzo dość marudzenia matki i Henriego, że zgodził się pójść do przychodni. To był gruby błąd. Wyobrażał sobie, że bez zbędnych ceregieli dostanie coś na poprawę nastroju i po pięciu minutach wyjdzie z pokoju z receptą w garści. W poczekalni musiał jeszcze stoczyć wewnętrzną walkę z oporem psychicznym przed zażywaniem leków psychotropowych – on, zdrowy jak byk młody mężczyzna. W końcu jednak pogodzenie się z sytuacją przyniosło mu pewną ulgę. Skąd to przekonanie o doskonałości własnej konstrukcji psychicznej, o tym, że właśnie on nie będzie potrzebował leków? Chyba nie mógł być jakoś zdecydowanie bardziej zrównoważony od reszty swoich rówieśników. To były tylko narcystyczne rojenia o własnej wszechmocy, tak jak w liceum, wtedy, gdy spierał się z babką od psychologii.

Poza tym człowiek po raz pierwszy w historii świata naprawdę niszczy

własne środowisko naturalne – a więc czy branie tabletek na depresję nie jest zdrową reakcją?

Pielęgniarka w przychodni uznała jednak, że najgłębiej Samuela zraniło wczesne odrzucenie: trauma spowodowana odejściem ojca uwidoczniła się dopiero teraz, w trudnej fazie usamodzielniania się.

– A mnie się wydaje, że do tej pory szło mi całkiem dobrze – próbował oponować Samuel.

Pielęgniarka skrzywiła się krytycznie.

– W jakim sensie dobrze?

– No, średnia dziewięć przecinek dziewięć, dostałem się za pierwszym podejściem na uniwersytet, zawsze miałem pełno znajomych, przez parę lat miałem udany związek, kocham moich młodszych braci, a oni mnie, moje wypracowanie z próbnej matury wydrukowali w „Suomen Kuvalehti”...

Potem spytał, czy pielęgniarka nie mogłaby mu po prostu unormować poziomu serotoniny, żeby mógł wrócić do normalnego życia. Nie, to może zrobić jedynie lekarz. Poza tym teoria serotoninowa jest ostatnio mocno krytykowana. Zdaniem pielęgniarki bardzo możliwe, że Samuel bezwiednie był maniackalny.

– Przez całe życie?

– To wcale nie jest wykluczone.

– I nie wiedziałem o tym?

– W końcu to fajne uczucie, prawda? Mała hipomania.

– Fajne uczucie, ale złe?

Poza normalną manię wyróżnia się obecnie także zaburzenia dwubiegunowe drugiego typu, wyjaśniła pielęgniarka, a te nie są już takie łatwe do zaobserwowania. Właśnie do klasyfikacji chorób dodano ich formę subkliniczną, która może przebiegać nawet zupełnie bezobjawowo.

– Jeżeli nie ma żadnych objawów, to dlaczego to choroba?

– To poważna, śmiertelnie niebezpieczna choroba – odrzekła pielęgniarka. Głos jej zadrżał: pacjent miał jej słuchać, a nie pouczać, w jaki sposób ma mu pomóc.

Potrzebne jest wieloletnie leczenie u drogich specjalistów, o bolesnych przeżyciach z dzieciństwa trzeba rozmawiać, rozmawiać i jeszcze raz rozmawiać, a i tak nie ma żadnej gwarancji, że stan psychiczny pacjenta się poprawi. Często właśnie jeszcze się pogarsza. Samuel ma wrodzoną podatność na tę biologiczną chorobę mózgu.

– To jest na to jakiś test genetyczny?

Pielęgniarka znieruchomiała, jakby się zastanawiała nad odpowiedzią, ale

spojrzała na niego zupełnie inaczej niż chwilę wcześniej i spytała:

– Słuchaj, ty nie masz czasem jakiegoś zaburzenia osobowości?

– Co?

– Bo cały czas jesteś na nie.

Pokręciła głową; taka postawa nie wróży nic dobrego. Na szczęście leki będzie mogła wypisać mu od razu. Powodują uszkodzenia wątroby i tarczycy oraz kurczenie się mózgu, ale w tej sytuacji ryzyko się opłaca. Poza tym kurczenie się mózgu odnotowano w zaledwie kilku badaniach.

– To wcale nie brzmi tak dobrze – zdziwił się Samuel.

Pielęgniarka zamruwała oczami.

– Psychoterapia też nie jest przyjemna.

– To ja może jednak nie...

– Ani wcale taka skuteczna. – Usta pielęgniarki ściągnęły się w wąską cienką kreskę. – Nie wyobrażaj sobie. U wielu osób objawy jeszcze się pogarszają. W czasie terapii.

– W zasadzie bardziej myślałem może o tym, że trzeba by coś zrobić z tymi większymi sprawami... chodzi mi o problemy społeczne, zmiany klimatu i... Że może z tym trzeba by coś zrobić, ale...

– Nieleczona dwubiegunówka – ucięła pielęgniarka, kręcąc głową. – Piękna prognoza, nie ma co.

– No, ale jeśli osoby chorej nie można w żaden sposób odróżnić od całkowicie zdrowej, to może ja jednak wcale nie...

– Taa – powiedziała pielęgniarka na wdechu i już stuknęła zawzięcie w klawiaturę. Teraz go pewnie opisze w karcie tą swoją obiektywną, miążdzącą terminologią. Kiedy był już w drzwiach, rzuciła za nim: – No to powodzenia.

Na korytarzu Samuel słyszał jeszcze, jak pielęgniarka wzdycha za drzwiami, pewnie do telefonu:

– Nie uwierzysz, jaki miałam przed chwilą smutny przypadek. Taki młody, a już taki chory.

Samuel otrząsnął się z myśli i uprzytomnił sobie, że matka wciąż stoi w drzwiach pokoju i czeka na odpowiedź. Nie wspomniął jej, że wyszedł od pielęgniarki, trzaskając drzwiami.

– Widziałeś to ogłoszenie w „Helsingin Sanomat”? – spytała matka głosem ociekającym, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej sztuczną niefrasobliwością niż przed chwilą.

W ciągu minionych tygodni Samuel nauczył się, że najlepszą metodą na

matkę jest ignorowanie jej pytań.

– Jakaś firma szuka młodszego asystenta. Branża: biotechnologia.

Już lecę, pomyślał Samuel.

– To może być coś fajnego, nie sądzisz? – ćwierkała matka. – Miałbyś kieszonkowe.

Parę dni wcześniej tłumaczył jej, że studia to wspieranie wypaczonych struktur władzy w świecie akademickim, które w rzeczywistości należałoby raczej rozmontować, ale za nic nie mogła tego pojąć. Twierdziła, że to zarzut tak absurdalny, że nawet nie ma ochoty o tym z nim rozmawiać, no i, kurwa, bardzo dobrze, bo i jemu pasuje to po prostu zajebiście. Ale cisnęła go tak długo, aż w końcu wydobyła wyznanie o żenującym zawaleniu studiów.

Matka zaliczyła problem do gatunku spraw do załatwienia i natychmiast pomaszerowała do telefonu z miną profesjonalistki od dyskursu społecznego. Samuel z dziwną przyjemnością patrzył, jak urzędnicy przerzucają sobie matkę między pokojami, jak każą jej czekać w kolejce na połączenie i jak frustracja na jej twarzy zmienia się powoli w totalną rezygnację.

Kiedy zrozumiała, że jej syn rzeczywiście stracił miejsce na studiach, zmieniła strategię: trzeba znaleźć pracę. Jej zdaniem Ziemia staje się coraz mniej zdatna do życia między innymi – jeśli nie przede wszystkim – dlatego, że Samuel nie ma się czym zająć.

Usta się jej nie zamykały – firma Laajakosken Biotietet wzbudziła jej ogromne zainteresowanie. Liczyła pewnie na to, że po usłyszeniu tej czarodziejskiej formuły młody człowiek, który zaczyna już się zmieniać w cuchnącego lenia, odrzuci całun, powstanie z martwych i pobiegnie na miasto cieszyć się życiem.

Patrzyła na niego, ale on nadal nic nie mówił.

– Chyba nie zaczęłaś czegoś brać... no, co najwyżej na próbę, wiadomo, ale... ale nie zaczęłaś, co?

Długa, męcząca cisza. Dlaczego ta kobieta ciągle tu sterczy?

– Chciałam w zasadzie zapytać, *co się z tobą dzieje*, człowieku?! Może mógłbyś mi *choć słowo* powiedzieć?!

Od dnia skończenia szkoły z matką nie można było normalnie rozmawiać. Na sam dźwięk słowa „ojciec” natychmiast przybywało jej dziesięć lat, a w spojrzeniu pojawiał się zimny, obcy błysk. Przecież to nie jej wina, że Joseph Chayefski ma w dupie własnego syna.

W ostatnich tygodniach Samuel odkrył przypadkiem sposób na matkę, z którego istnienia nie zdawał sobie wcześniej sprawy: wystarczyło się do niej nie odzywać i leżeć w łóżku, żeby doprowadzić ją na skraj rozpacz. Szkoda,

że nie znał tej sztuczki wcześniej, nie musiałyby rzucać kamieniami w pociągi ani wachać kleju.

Ponieważ ciągle nie otwierał ust, matka znów zaczęła:

– Samuel, mogę ci coś powiedzieć?

– Nie.

– Bo coś mi się tak mocno wydaje, że muszę ci powiedzieć jedną ważną rzecz.

Przerwała na chwilę i widocznie uznała, że milczenie oznacza zgodę.

– Coś mi się tak mocno wydaje, Samuel, że przechodzisz teraz w życiu taki okres...

– Zauważyłaś, że Henri zawsze tak mówi?

– Że co?

Chyba ją zatkało, że z jego ust padło nagle aż tyle słów naraz.

– Henri zaczyna każdą swoją wypowiedź od tego „coś mi się tak mocno wydaje, że”. Zauważyłaś, że przedtem nigdy tak nie mówiłaś? Dopiero, kiedy go poznałaś.

Z jej twarzy wyczytał, że jest bliska furii.

– Samuel, pozwól mi dokończyć i powiedzieć, co mam do powiedzenia.

– Coś mi się tak mocno wydaje, że zatkam sobie uszy.

– Więc to ci chciałam powiedzieć: chyba w twoim życiu nadszedł moment, kiedy trzeba się wreszcie nauczyć odpowiedzialności.

– A kiedy w twoim przyjdzie moment, kiedy przestaniesz gadać jak idiotka?

– Samuel, próbuję ci pomóc.

– Dzięki, kurwa, za taką pomoc.

– *Samuel!*

– *Mamo!*

Nagle drzwi pokoju Samuela rozwarły się szeroko. W progu stał czteroletni Ukko, zarumieniony i spocony tak, że marchewkowe włosy pozlepiały się w pasemka. Wlepił wzrok w Samuela i oznajmił dramatycznie:

– Kupię sobie kota za nocnikowe!

– Aha. – Samuel starał się wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu.

Dziadek już dawno temu zaczął dawać Ukko dwudziestocentówki za każdą zrobioną do nocnika kupę. Z zupełnie niezrozumiałych powodów chłopiec miał jakąś blokadę i dziadek sądził, że pieniądze pomogą mu ją pokonać. Samuel widział, że Henri i matka nie są przekonani do tej praktyki – tym bardziej, że problem już dawno się rozwiązał. Ale kiedy tylko Ukko wchodził do pokoju dziadka, od razu biegł do łazienki stękać i prawie zawsze

dziadkowi udawało się wcisnąć wnukowi monetę w tajemnicy przed matką.

Ukko już zbiegał po schodach. Samuel wiedział, że matka patrzy na niego z progu ze smutkiem i bezradnością. Czuł, że powinien zachować obojętność i wpatrywać się w milczeniu w małą nierówność na powierzchni ściany tak długo, aż matka wreszcie sobie pójdzie – co nastąpiło po długiej chwili i wielu bezradnych matczynych westchnięciach.

X

Samuel nacisnął przycisk dzwonka. Czekał długo i zdążył już pomyśleć, że pomylił godzinę, kiedy w drzwiach ukazał się Matias w swoich gotyckich łachach z nitowanej skóry.

– Pedał.

– Idiota.

Matias obrócił się i zniknął w środku, jakby było mu wszystko jedno, czy gość pójdzie za nim, czy nie. Samuel poczuł wielką ulgę: miał wrażenie, że ostatnio widzieli się wczoraj.

Wszedł do przedpokoju. Zeszli po schodach do piwnicy trzykondygnacyjnego domu rodziców Matiasa i usiedli na sofie, która w ostatnich latach była świadkiem wielu wspólnych imprez.

Samuel się ucieszył, że grzeczności okazały się zbędne; powrót do stanu, w którym się rozstali, trwał zaledwie kilka sekund. Widać ich przyjaźń zdążyła okrzepnąć i miała trwałe podstawy, ale też nic dziwnego: sporo jednak razem przeszli. Swoje zrobił również wiek. Już w gimnazjum byli najlepszymi kolegami i wciąż widać to było w tym, jak Matias nalał mu domowego wina.

– Najświeższy rocznik z przydomowej winnicy – powiedział.

Podał Samuelowi szklaneczkę mętnej cieczy, w której osad kotłował się i wirował jak płatki śniegu w zadymce. Domowe wino zostało zrobione właśnie tego dnia. Powinno się odstać, ale wtedy trzeba by czekać jeszcze dzień dłużej. A tak można pić od razu.

Gdzie ja miałem głowę, że poszedłem się zwierzać jakiejś pigule? – dziwił się w duchu Samuel. To przyjaciele trzymają człowieka na powierzchni, a nie żadne leki.

Po rozczarowaniu, jakie przeżył u skwaszonej piguły, Samuel poszedł też do lekarza, żeby się dowiedzieć, czy nie dostałby takiej renty inwalidzkiej jak jego kolega z klasy, Mikko Arpalainen. Mikko miał zaburzenie rozwoju na tle neurologicznym, które objawiało się poczuciem osamotnienia i braku sensu

w życiu oraz powracającymi myślami o tym, że wszystko jest dziś na sprzedaż, że każdy coś sprzedaje, a najchętniej sam siebie. I dlatego Mikko mógł teraz przesypiać całe dni w domu, a nocami grać na komputerze, walcząc na miecze i starożytne zaklęcia.

Zdaniem lekarza jednak przypadek Samuela *nie rokuje* w kierunku renty inwalidzkiej. Jego kłopoty to rzekomo zwykłe, powszednie problemy młodego człowieka, których nie trzeba, a nawet nie można leczyć farmakologicznie. Samuel miał z tego powodu niejaki żal do pana doktora. Między innymi dlatego przyjemnie było posiedzieć z przyjacielem, z którym nadawał na tych samych falach. Poza tym co by osiągnął, zażywając leki? Cała idea leczenia psychiatrycznego wydała mu się nagle po prostu śmieszna. Nawet jeśli człowiek odczuwa w życiu pustkę, to co? To musi z tego powodu uciekać zaraz w farmakologię, która niszczy naturalną neurochemię organizmu?

– Łykaj – powiedział Matias, podając mu pomarańczową kapsułkę.

– Co to jest?

– Jakaś nowa hybryda. Nie wiem dokładnie.

Samuel wziął kapsułkę i popił winem. Matias wstał, włączył gigantyczny telewizor i wrzucił do komputera płytę z filmem.

– Jaki gatunek?

– Nie pamiętam. Ale dobry *shit*. Sądzę.

Sporo weekendów w liceum uratował im fartownie znaleziony w internecie chiński sklep ogrodniczy. Wieść rozeszła się po znajomych lotem błyskawicy. Witryna NIEBO DLA ROŚLIN DOBRE ŻYWNOSĆ miała kilka wersji językowych, w tym także fińską. Można było przez nią zamawiać chemiczne pochodne marihuany, amfetaminy i ecstazy nieobjęte jeszcze zakazem sprzedaży, bo gdy pojawiały się na stronie, po prostu nikt w świecie rzeczywistym nie wiedział o ich istnieniu. Co tydzień pokazywały się jakieś nowe substancje o nazwach prostolinijskich (*CANNABIS VARIATION, NEW – LEGAL!!*), technicznych (*AFRV-3-NIH-CRYU*) lub intrygujących (*Who Are The Phuong Phu Drang Police?*) albo mistycznych (*I am dancing at the feet of my lord, all is bliss, all is bliss*). Na samym dole strony widniało ostrzeżenie: „Tylko do nauka użycie badania! Klient profesjonalnie! Nie dla rozrywki!”.

Kiedy tylko któryś ze sprzedawanych tam specyfików trafiał na listę narkotyków w tym czy innym kraju europejskim, znikał spod jego flagi na stronie. Samuel i Matias zamawiali często u chińskich ogrodników najdziwniejsze rzeczy na próbę – choćby tylko z tej racji, że jeszcze tego samego popołudnia mogła zniknąć ze strony. Tych substancji chemicznych

nie wolno pod żadnym pozorem zażywać, powiedział w telewizji pan profesor medycyny; zaburzają naturalną homeostazę, ingerując w tysiące procesów biologicznych w całym organizmie, co może mieć nieprzewidziane konsekwencje. Jeśli człowiek odczuwa w życiu pustkę, nie powinien próbować wypełniać jej środkami, które mogą rozregulować całą neurochemię mózgu.

– Niezły *shit* – powiedział Samuel i uniósł szklaneczkę. Domowe wino smakowało jak gotowany wywar ze starych skarpetek, co w tej dziedzinie wytwórstwa rzemieślniczego było sporym osiągnięciem.

– Dzięki.

– Nieźle kopie.

– *Yup*.

Matiasa stać było na to, żeby za pieniądze rodziców kupować sobie prawdziwe wina z Alko, nawet te drogie, ale to nie pasowało do jego punkowej filozofii: skoro można zrobić samemu płytę od początku do końca, to można i bimber. Tak przynajmniej to tłumaczył. Ludziom, którzy go nie znali, dawał często do zrozumienia, że pochodzi z niezamożnej robotniczej rodziny.

Samuel rozsiadł się wygodniej na skrzypiącej sofie. Nieobecność Kerttu drażyła mu mózg w każdej sekundzie, nawet wtedy, gdy o niej nie myślał. Kerttu Karoliina Lamminsuo i jej długie, rozjaśnione słońcem włosy, które teraz zostały ścięte i zamienione na seksowną i obcą grzywkę dla jakiegoś wąsatego tutora; jej doskonałe, szerokie usta, jej oczy, które osadzały w miejscu każdego – wszystko to dziurawiło mu serce i duszę jak sito. Im dokładniej sobie wyobrażał, jakich wąsaczy Kerttu całuje, nawet teraz, w mówiącej krystaliczną fińszczyzną kolejce na postoju taksówek, tym bardziej nabierał pewności, że samospalenie to najzupełniej dojrzałe i dorosłe rozwiązanie jego problemów.

Dlatego postanowił gruntownie i jednorazowo przepracować rozejście z Kerttu i związane z nim emocje ze starym przyjacielem.

– W sumie to dobrze, że się rozeszliśmy.

– Mniej głupot na głowie.

– Tak jak mówisz. Człowiek ma czas na rzeczy zasadnicze.

– Jak nadziewanie nowego robaka na haczyk.

– Weź, kurwa, przestań.

Po załatwieniu terapii można się było zająć filmem. Hydraulik właśnie wcisnął dzwonek i panienska w różowej miniówce i na dziesięciocentymetrowych szpilkach ruszyła z kuchni do drzwi. Samuel miał

wrażenie, że krawędź obrazu jakoś niemożliwie się kurczy. Może to dlatego, że film został ściągnięty torrentem ze strony jakiejś lewej społeczności, której członkowie zabawiali się przemycaniem do filmów własnych efektów albo wycinaniem niektórych scen. Samuel uprzytomnił sobie nagle, że za kurczenie się krawędzi może być też odpowiedzialna chińska kapsułka. Tylko czy zaczęłyby działać tak szybko?

- To był kwas? – spytał Matiasa.
- Mógł być.
- Coś mi tak wygląda.
- Ale ja chyba jeszcze nic nie czuję.
- Jak to się nazywa?
- *How Good Morning Are You*. Poza tym nikt już nie mówi „kwas”.
- To jak się teraz mówi?
- Chciałbyś wiedzieć, pedziu jeden.
- Tak przy okazji, to już dawno nikt nie mówi „pedziu”.
- Mówi, mówi.
- Twoja stara to może tak.

Dom był do wyłącznej dyspozycji Matiasa, bo jego matka siedziała w Brukseli, ojciec w Wietnamie, a siostra w psychiatryku. Matka negocjowała pakiety pomocowe dla państw dotkniętych kryzysem finansowym, ojciec szukał podwykonawców nowej fabryki, a siostra się wyklócała o zgodę na spacer.

Budowa domu została ukończona przed paroma laty. Samuel przypomniał sobie urządzoną bez wiedzy rodziców parapetówkę u Matiasa, która przeciągnęła się na cały weekend, i poczuł niespodziewany przypływ nostalgii. Pamiętał, jak stał na schodach przed domem, patrzył na odłamki stłuczonej szyby na świeżej ziemi trawnika i nagle usłyszał wybijające się ponad kakofonię muzyki i gwar imprezy podniecone okrzyki: „Psy jadą!”. Na widok radiowozu ukrył szybko narkotyki na grzędzie między kwiatami i był bardzo z siebie zadowolony. Ale kiedy niecałą minutę później z domu wybiegła Jannika, żeby wymiotować pół litra soave z lekko przetrawionym indyjskim sosem szpinakowym z serem dokładnie w to samo miejsce – co do milimetra – trudno mu było nie myśleć, że Wszechświat się na niego wziął.

Pamiętał też, co jeszcze sobie wtedy pomyślał: że panująca na działce i w domu atmosfera sztuczności z czasem się rozwieje. Od tamtego czasu upłynęły już jednak ponad dwa lata, a wyrównana działka nadal ziała nienaturalną pustką: porastające ją kiedyś sosny, krzewy ozdobne i duże brzozy usunięto podczas budowy, ale na ich miejsce nie zasadzono już nic

nowego. Po oddaniu domu do użytku ziemię przykryto co prawda warstwą świeżej gleby, ale z jakiegoś powodu trawa nie chciała się tu przyjąć. W budynku mieszkalnym mieściło się osiem sypialni, sauna, basen i wanna do hydromasażu; każde dziecko dostało własne piętro. Dom zbudowano z drewna i betonu łączonych techniką, której użyto podobno tylko kilka razy wcześniej w Holandii. Ściany rozjaśniały wielkie okna, a środek budynku stanowił gigantyczny hol, z którego było widać wijącą się aż do ostatniego piętra ślimacznicę schodów. Ciemny beton i drewno dawały obłądnie stylowy efekt, a ich połączenie okazało się znacznie cieplejsze, niż można by się spodziewać, całość wzbudzała jednak w Samuelu osobliwy niepokój. Być może dlatego, pomyślał, że rzadko się widuje tak przepastne wnętrza.

Kiedy w domu nie było nikogo, sterowany programem komputerowym automat włączał i wyłączał światła w pokojach na różnych piętrach, stwarzając wrażenie ludzkiej obecności.

W piwnicy Matias urządził sobie domowe studio, gdzie w nocy robił dema swojej kapeli, pijąc napoje energetyczne z gigantycznej lodówki i oglądając na olbrzymim ekranie HD japońskie kawałki, których nie można było znaleźć w normalnej sieci; występowali w nich tylko autentyczni amatorzy, nie aktorzy jak w filmie, który właśnie leciał z komputera.

- Okrutnie wymusza. Ta blondyna.
- No, kiepska jest.
- I nawet nie jest ładna.
- Nie jest. Ale jakbyśmy ją zobaczyli na ulicy, to inna byłaby gadka...
- Ale ma sznyty, ja pierdołę!
- Gdzie?
- Na balonach.
- A, tak.
- No zoba to. Trochę im się skalpel smyknął na uda.
- Nawet bym nie zobaczył.
- Ale tę czarną tobym ruchał.
- Którą?
- Niecezła dupa.
- A, tę. No, czemu nie.
- Tylko musiałyby jęczeć trochę naturalniej.
- Ta.
- Ale udaje, ja pierdołę. *W ogóle* nie widać, żeby chciała.
- Masz rację.
- Ciekawe, ile jej za to zapłacili?

Matias wstał z nadąsaną miną i zaczął coś wystukiwać na urządzeniu podłączonym do ogromnego telewizora na ścianie.

– Wcisnę to gównu z powrotem Jobsowi w dupę. *W ogóle* nie działa.

Samuel przeczytał raz pożyczoną od Kerttu książkę o płci i władzy. Był przerażony, kiedy sobie uprzytomnił, że każdą myślą pogłębia przepaść nierówności, jaka ziele między kobietą a mężczyzną. Po przeczytaniu książki obiecał sobie – a przede wszystkim trzeciorzędowym cechom płciowym, bo ich sprawa najbardziej dotyczyła – że od tej pory będzie traktował kobiece piersi jako neutralne i niepodlegające upłciowieniu części anatomii, których podstawową funkcją wcale *nie jest* wysyłanie mu sygnałów stymulujących pęd do przedłużenia gatunku. Dotrzymanie obietnicy wydało mu się niemożliwością, nawet gdy siedział sam w domu i zakuwał do egzaminów z matmy, i wideo Matiasa bynajmniej nie było w tym pomocne. Samuelowi przyszło do głowy pytanie, czy film, w którym elegancka pani domu wraz z piersiastymi przyjaciółkami oddaje się całej armii hydraulików i policjantów, przyczynia się do uprzedmiotowienia kobiet, czy może raczej wzmacnia doskonale czytelną między wierszami seksistowską potrzebę kontroli i władzy. Kiedyś zwierzył się ze swoich wątpliwości Matiasowi, który odpowiedział: „No, w sumie nie dałbym za taki szajs złamanego centa”. Samuel rozważał bojkot pornosów z powodów moralnych, ale usłyszał wypowiedź jakiegoś muzyka, który zarzucił niedawno wegetarianizm, że najgorsi na świecie są moralisci, bo uważają się za lepszych z powodu wyznawanych przez siebie ideałów. Samuel moralistą być nie chciał.

– To mówisz, gościu, że nie poszedłeś studiować.

– Dzięki, ale nie.

– Bo?

– Bo mam, kurwa, ciekawsze rzeczy na głowie.

Matias, który powinien przyłączyć się do jego triumfalnego śmiechu, zmarszczył tylko brwi.

– Sacz ez?

– Noo... Chciałbym się jeszcze trochę porozglądać.

– Nie nudzi ci się?

– Na brak zajęć nie mogę narzekać – odpowiedział Samuel, ale spostrzegł, że trochę za długo kiwa głową.

Pod koniec roku, kiedy uczelnie i szkoły zaczęły ogłaszać wyniki egzaminów wstępnych, wszyscy koledzy Samuela – także ci, którzy radzili sobie w liceum dużo gorzej od niego – skakali wirtualnie z radości na wszystkich portalach z powodu dostania się na wymarzone studia: „nowe

życie wreszcie się zaczęło, ale zajebicie!” Ich zaaferowanie, które wtedy nie wzbudzało w nim żadnych reakcji, teraz odbierał jako osobistą zniewagę. Na początku jesieni na portalu społecznościowym, którego przed rokiem jeszcze nawet nie było, a którego teraz używali wszyscy, Samuel czytał wyłącznie o fuksówkach, tutorach, polibudzie i uniwerku. Każdy wpis szarpał nim jak wstrząs elektryczny, chociaż nie znał nawet wszystkich słów, które w nich wyczytał. Nagle się okazało, że najważniejsze na studiach jest łązenie w kombinezonie fuksa, chłanie i pieprzenie się z równie naprutymi, napalonymi studentkami, co byłoby genialnym tematem do pogardliwych komentarzy – gdyby sam brał w tym wszystkim udział.

Próbował sobie wmawiać, że bezwiedna rezygnacja ze studiów była może nie do końca uświadomionym, ale też nie tak całkiem nieświadomym buntem wobec systemu. Będzie teraz jak Matias: razem pójda pod prąd, zrezygnują z udziału w masowym wyścigu szczurów. W życiu są wyzwania bardziej palące od maksymalizacji wydajności i tempa konsumpcji! Na przykład to: jak uratować Ziemię przed katastrofą ekologiczną. Poza tym ideologia bezustannego wzrostu gospodarczego to jakiś absurd. On i Matias pójda inną drogą: będą podejmowali własne, niezależne decyzje, dokonując za każdym razem wyboru moralnego, bo człowiek już do końca swoich dni musi nieść ciężar odpowiedzialności za swoje czyny.

Czytając posty kolegów ze szkoły, Samuel nabierał pewności, że łatwiej byłoby mu ratować Ziemię, gdyby miał za sobą choćby jeden taki zupełnie niepotrzebny i całkowicie egoistyczny semestr jesienny pod znakiem seksu i alkoholu. A potem ewentualnie drugi, już w roli starszego kolegi i tutora fuksów, takiego samego małego hitlerka jak ten palant, który teraz sprowadza Kerttu na złą drogę. Wtedy mógłby już sobie dać spokój ze studiami. Chyba żeby tutorzy mieli jakiś specjalny program treningowy, obóz szkoleniowy albo coś w tym guście. Na coś takiego mógłby jeszcze ewentualnie przystać, gdyby go bardzo prosili – czego się nie robi dla następnych pokoleń – no i w takich warunkach byłby oczywiście usprawiedliwiony, gdyby po raz trzeci musiał się rzucić w wir wesołego życia akademii. Byłaby to już jednak oczywiście trochę inna sprawa, bo narkotykowe orgie odbywałyby się już na metapoziomie mentorskim.

Jednak semestr pod znakiem seksu i alkoholu nie był dla tych, co chcą chodzić własnymi ścieżkami i przez przypadek rezygnują ze studiów, w każdym razie na najbliższy rok. Gdy z postów sypały się co chwila coraz to nowe kabarety, bawki, zalki i laborki, Samuel uznał w końcu, że najrozsądniej zrobi, jak przestanie używać nowego portalu i przeniesie się

demonstracyjnie do drugiego, tego, na którym panował cudowny spokój, bo nikt już z niego nie korzystał.

Czy ktoś w ogóle spostrzegł jego odejście? Trudno powiedzieć – w końcu już tam nie zachodził.

Samuel zadzwonił do Matiasa i zaproponował spotkanie właśnie dlatego, że był zdruzgotany i potrzebował wsparcia. W ciągu ostatnich dwóch lat ich relacja trochę się rozluźniła, lecz znów ich połączyła niemal identyczna sytuacja życiowa. Teraz, oglądając jednym okiem film, Samuel śmiał się na głos z kolegów, którzy wybrali drogę kariery i poszli w ekonomisty i politologi, ale w gruncie rzeczy ciągle pozostają na smyczy rodziców i systemu. Co to za niezależność? Tym tchórzom tylko dupy w głowie; nie mają jaj, żeby zamierzyć się w swoim życiu na coś wielkiego.

Matias siedział obok na sofie i potakiwał. Tak to jest, dobrze mówisz. Samuelowi ulżyło. Atmosferę psuła jednak świadomość, że sytuacja życiowa Matiasa wcale nie wyglądała dokładnie tak samo: Samuel był zaskoczony już choćby tym, jak trudno im było ustalić datę wspólnego wieczoru przy domowym winie. Matias nagrywał właśnie w studiu album ze swoją postextrememetalową kapelą. Płyta ma być jeszcze bardziej ekstremalna od poprzedniej – tak ekstremalna, że to już może nie będzie w ogóle ani extreme metal, ani nawet postextreme metal. Niech krytycy sami zdecydują. Niemniej wszystkie dni i noce Matias spędzał teraz podobno w swojej piwnicy i pracował.

Ośmielony domowym winem Samuel spytał, czy nie mógłby przyjść któregoś dnia i zobaczyć ich próby, bo nie ma w tej chwili nic lepszego do roboty. Matias jakby się nastroszył. Obecność w studiu osób postronnych nie wpływa dobrze na proces twórczy. Niestety. Kiedy się robi muzę, to na ziemię zstępuje wyższa, mistyczna siła i muzycy są jedynie narzędziem w jej rękach. Jednak Samuel może uczestniczyć w tym procesie, przystępując do armii fanów Matiasa. Najnowszy kawałek jego kapeli *Fuck you you fucking brainless consumer-polluter-whore!?* można teraz ściągnąć za jedyne 0,99 euro z witryny www.fuckyouyoufuckingbrainlessconsumerpolluterwhore.com. Czy Samuel polubił już jego zespół na wszystkich portalach społecznościowych, na których ma profil? Jeżeli kapela zbierze dość lajków, dostanie taniej reklamę na stronie znanej przeglądarki. Przy okazji Samuel mógłby też wstawić link do ich strony na swoich profilach. Jeżeli osobiście zarekomenduje zespół co najmniej stu znajomym, będzie mógł zamawiać z 25-procentową zniżką kubki, koszulki, slipy i bejsbolówki z logo kapeli i napisem I DON'T GIVE A FUCKING FUCK ABOUT YOUR WRONG OPINIONS OR YOUR EMPTY

CONSUMER LIFE na stronie www.emptyconsumerlife.com/sklep. Zespół przyjmuje też wszelkie propozycje i uwagi związane z rozwojem strony i usług. Ponadto Matias zaproponował Samuelowi, że mógłby zostać ich asystentem sprzedaży; jeżeli zdecyduje się rozprowadzać ich produkty wśród swoich znajomych, dostanie 15-procentową zniżkę na wszystkie produkty z serii SHUT YOUR FUCKING MOUTH YOU FUCKING BRAINLESS CONSUMER CUNT. Poza tym fani mogą teraz zamawiać dokładnie te same farby do twarzy, sztuczną krew i czaszki, jakich używa kapela!!! Pytaj o szczegóły!!! *Keep the faith!!!* Słyszemy się!! ;-X \m/ ;-p }!!

A kiedy Samuel zaproponował nieśmiało Matiasowi – który nawet najbliższemu kumplowi kazał się do siebie zwracać pseudonimem artystycznym Sathiytaeurus, bo nie chciał, żeby fani rozgraniczali jego prywatną osobę od profesjonalnej, to takie sztuczne – że mogliby skoczyć gdzieś razem pod namiot, na przykład do Laponii, pomysł nie przypadł mu do gustu. W przyszłym tygodniu Matias ma koncert w Norwegii, a zaraz potem jedzie z zespołem do Szwecji odprawić czarną mszę, bo ktoś tam chce spalić kościół. Oczywiście nie naprawdę, tylko w sensie ironicznym. Jak można było przeczytać na stronie kapeli Matiasa, całe to ponuractwo old school black metalu to *mega-kurwa-ściema*, choćby nawet spalili czasem jakiś kościół – oby!!! maszerujcie wojowniczy z dumnie podniesionym czołem i słyszemy się! *Keep the faith!!!* :) \m/ ;-p }].)

– Spoko – powiedział Samuel, siląc się na beztroski ton. – Byle do przodu.

– Tylko i wyłącznie.

Rozgrywająca się na gigantycznym ekranie intymna relacja puszystej pani domu z hydraulikiem nabierała coraz głębszych i bardziej złożonych form, ale Samuel błędził myślami gdzie indziej. Wbrew zdrowemu rozsądkowi miał teraz ochotę rozmawiać jedynie o Kerttu, nieudanym początku studiów i globalnej katastrofie ekologicznej. Ponieważ pierwsze dwie sprawy zostały już gruntownie i ostatecznie omówione, a gadanie o trzeciej i tak niczego nie zmieni, Samuel uznał, że nie ma sensu obciążać dłużej przyjaciela nie jego zmartwieniami.

W domu matka się zdenerwowała: Samuel metodycznie zmiażdżył wszystkie jej propozycje zaprowadzenia w ich codziennym życiu jakiegoś przyjemnego ładu. Co może być przyjemne dla człowieka, który wie, że Ziemia jest niszczone, a praktycznie już została zniszczona? Strony aktywistów, w które wgryzał się teraz co noc, prześcigały się w wyliczaniu coraz bardziej przerażających dowodów.

– No to zrób coś innego! – powiedziała matka. – Jeżeli moje propozycje cię

nie satysfakcjonują!

– Na przykład co? Co *konkretnie* mam zrobić, co?

– Zrób *cokolwiek!* – odparła. – Zrób cokolwiek, chociażby w sprawie tego twojego środowiska, którym tak bardzo się przejmujesz! Ale przestań, człowieku, w końcu narzekać!

Samuel przez chwilę nawet rozważał radę matki. Prawdopodobieństwo dużego wycieku ropy w Zatoce Fińskiej rosło z każdym dniem. Przypomniał sobie organizację, która prowadziła nabór ochotników na szkolenie antykryzysowe. Myśl z początku wydała mu się interesująca. Ale czy tak właśnie – ręczną pracą dziewiętnastolatka – można zapobiec wyciekowi ropy z rocznego wolumenu, który wkrótce przekroczy liczbę dwustu milionów ton rocznie? Czy naprawdę jedyną metodą spowolnienia przerażająco głośnego tykania ekologicznej bomby zegarowej jest wysłanie paru dzieciaków do mycia pod bieżącą wodą ptaków utopionych w ropie przez gigantyczne ponadnarodowe koncerny naftowe? Samodzielne opracowanie we własnym pokoju nowych systemów produkcji energii, transportu morskiego i infrastruktury wydawało się jednak dość trudnym zadaniem. Poza tym był już na to za stary – miał dziewiętnaście lat, a wszystkie wielkie wynalazki w nauce były dziełem młodych. Nawet ta piękna i wyniosła sprzedawczyni z kiosku, ta z brązową kitką, traktowała go jak powietrze. Jeżeli ludzie nie dostrzegają go nawet w kiosku, to jak uratuje całą planetę?

I choć Samuel siedział u Matiasa i popijał jego domowe wino, nie za bardzo mógł się skupić na filmie, bo praca, o której wspomniała matka, trochę nie dawała mu spokoju. Jeszcze przed wyjściem z domu kolejny raz mu przypomniała o ogłoszeniu w gazecie: firma Laajakosken Biotietet Oy szuka młodszego asystenta. Wymagana matura, mile widziane doświadczenie i znajomość branży.

Samuel się zastanawiał, czy nie odrzucił propozycji tylko z tego powodu, że pomysł wyszedł od matki. Czuł do siebie obrzydzenie i nie potrafił sobie wyjaśnić, dlaczego tak źle odnosi się do rodzicielki. Ostatnimi czasy zmienił się w pasożyta kęsającego jedyną rękę, która go jeszcze karmi. Ale matka bezustannie próbowała go chronić i rozpieszczać, starego konia, i było to dla niego po prostu nie do przyjęcia – może dlatego torpedował każdą jej propozycję, chociaż świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby sam wpadał na takie pomysły, to pewnie już dawno by to wszystko zrobił.

Postanowił spytać Matiasa, czy jego zdaniem warto podjąć pracę w firmie Laajakosken Biotietet Oy, co mu bez przerwy doradza matka.

– Po co? – spytał Matias.

- Nie wiem. Może to by było... Sam nie wiem. Ciekawe.
- Od tego się zaczyna – powiedział Matias.
- Co?
- Skurwienie.
- Racja. Ale miałbym kasę.

Matias patrzył w telewizor i nic nie mówił. Temat przysechł. Dziwne, ale Samuel był bardziej rozczarowany, niż się tego spodziewał.

Matias nalał mu ostatnie krople domowego wina, odstawił butelkę na podłogę i włączył nowy film: „Coś bardziej autentycznego”. Autentyk oznaczał dla Matiasa zamazany obraz, nielogiczny montaż i ludzi z nadwagą, którzy co pewien czas przerażająco krzyczeli albo odwoływali się do przemocy bez widocznego powodu.

Samuel wspomniiał o pracy na swoich profilach już jakiś czas temu. Wtedy komentarze Matiasa wydawały się trochę od czapy, ale wyrażały ostrożny entuzjazm: będziesz miał, gościu, jakieś zajęcie i poznasz nowych ludzi. Tylko że wtedy Matias był na twórczym haju, a teraz sytuacja była taka, że nowe kawałki jego kapeli już od wielu dni dryfują w globalnej chmurze bez jednego ściągnięcia, a setki kapel wrzucają każdego dnia tysiące nowych utworów – „megakurwakomercyjny szajs” – i to zapewne dlatego Matias nie miał ochoty na rozmowę o czymkolwiek. Nikt też nie ściągnął z globalnego sklepu ich brutalnych pogańskich apek nawet w okresie miesięcznej darmowej promocji, chociaż Matias stracił na nie wiele cennych dni kosztem swojego prawdziwego powołania, czyli robienia muzy.

Samuel potakiwał; świadomość straconego czasu na pewno musi boleć. Matias odpowiedział, że ma w dupie jakąś popapraną chmurę i cały rynek aplikacji na smartfony; nigdy nawet nie oczekiwał, że ktoś będzie szukał czegoś dla siebie w takim komercyjnym szambie. Matias robił muzyę dla samej muzy, dla swoich fanów. Apsy ma głęboko w dupie. Najważniejsze jest to, piszczał cienkim głosem, żeby uczciwie wyrażać samego siebie i nie iść z nikim na żadne układy, i wtedy Samuel uzmysłowił sobie, że wcześniej by mu potakiwał, a nawet przyznawał w duchu rację, chociaż sam nie znalazł dla siebie właściwego środka wyrazu. Tym razem jednak zaskoczył sam siebie, bo nieoczekiwanie rzekł:

- Tu się z tobą nie zgadzam.

Matias spojrzał tak, jakby zobaczył przed sobą wariata, który wierzy w ukrzyżowanego Boga.

– Moim zdaniem ktoś musi robić także inne rzeczy – dodał po chwili Samuel, nie wiedząc za bardzo, co chce przez to powiedzieć, ale z jakiegoś

powodu ta myśl wydała mu się nagle dojmująco prawdziwa.

– Na przykład co?

– No... nie wiem. Mamy chyba na świecie parę nierozwiązanych problemów.

– W stylu: ocieplenie klimatu?

– No, chociażby.

Samuel już dawno zauważył, że najbardziej ceni sobie bezpośrednie działanie, o którym wspominało na stronach aktywistów ochrony środowiska. Jedną z nich – tę, na której spędzał ostatnio coraz więcej czasu – prowadziła amerykańska grupa obrońców praw zwierząt.

Direct action – tak się o tym wyrażali w niemal każdym tekście i wpisie na swojej stronie: bezpośrednie działanie, i to bez znieczulenia, bo cel uświęca środki. Tak przynajmniej Samuel to rozumiał. Nie we wszystkim się z nimi zgadzał, ale im dłużej czytał ich posty, tym bardziej był przekonany do ich argumentów.

Matias mlasnął z niesmakiem.

– To co, mam rozwiązać kapekę?

– Oczywiście, że nie.

– I wtedy Chiny przestaną zanieczyszczać?

– Wiadomo, że nie.

– No więc o co kaman?

– O to, że może jednak moglibyśmy coś zrobić.

– My? Policzyć ślady węglowe w sieci?

– Nie o to mi chodzi.

– To o co?

Samuel siedział na skrzypiącej sofie i ścisnął w dłoni szklaneczkę, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że jego oskarżenia brzmią fałszywie. Na miejscu Matiasa też by się najeżył na takie słowa, bo nie da się ukryć, że Samuel mówił trochę tak, jakby szukał zaczepki i chciał się pokłócić. Nie mógł się jednak pozbyć wrażenia, że Matias tylko udaje, że go nie rozumie.

Kiedy Matias nalewał następną kolejkę mętnego płynu, a na ekranie rozeźlony Japończyk oplatał grubą kobietę łańcuchem i bynajmniej nie robił tego delikatnie, Samuel pożałował, że w ogóle przyszedł. Wplątali się z Matiasem w poważny spór o uczciwość i szczerłość, choć kwestia nie miała związku po prostu z niczym. Rozmowa przestawała się kleić i do Samuela zaczęło powoli docierać, że postrzega Matiasa w zupełnie nowym świetle. I to nawet dosłownie, bo miał wrażenie, że otacza go dziwna poświata. Po chwili uznał, że ten efekt wizualny musi być konsekwencją zażycia *How Good*

Morning Are You od chińskiego ogrodnika. Mimo to widok wydawał się znaczący i jak najbardziej prawdziwy.

Najbardziej ubódł go komentarz do zakończenia jego uniwersyteckiej ścieżki na samym starcie, gdy Samuel wrócił do tematu i powiedział ze śmiechem, że może i dobrze się stało, że nie może tak od razu zająć się tym, na co ma akurat największą ochotę. Ledwo to powiedział, poczuł w piersi kłujący ból – rzeczywiście, niczego tak bardzo teraz nie pragnął, jak móc przewinać swoje życie z powrotem na koniec wakacji i zrobić wszystko zupełnie inaczej, niż zrobił. Ale Matias kiwnął głową.

– Fakt. Dobrze ci to robi – mruknął.

Że jak? – niemal wybuchnął Samuel. *Pojebało cię?* Nagle zobaczył wyraźnie, że Matias będzie siedział na tej pierdolonej sofie i oglądał pornosy do usranej śmierci, czyli do chwili, kiedy tsunami zatopi cały ten zasyfiony kontynent.

– Ty też się nieźle kurwisz – usłyszał skądś własny głos. Było w nim więcej złości, niż się tego spodziewał.

– He?

– Z tą swoją kapelą.

– Nie, no jasne – potaknął Matias tonem, na który przestawiał się automatycznie, kiedy słyszał stwierdzenie tak absurdalne, że aż interesujące. – Granie własnej muzyki oczywiście nie jest wyrażaniem siebie w sposób wolny i uczciwy.

Mina Matiasa mówiła wyraźnie, że na swojej długiej drodze wolnego muzyka zdążył już tę sprawę gruntownie przerobić.

– Muzy, którą się robi dla innych.

– No i?

– Dla ludzi, którym usiłujesz się tą muzyką przypodobać.

– Daj se luz.

– Więc musisz dla tej swojej muzyki mieć publikę.

– No i? Do czego zmierzasz?

– Do tego, że musisz się nieźle nagimnastykować w tej swojej kapeli. Cały czas musisz główkować, co grać, w co się ubrać. I że jeśli spojrzeć na te wasze okładki, nadruki na koszulkach i teksty z tej perspektywy, to tak na moje oko cały ten wasz biznes nie wygląda wcale na *aż tak* uczciwy i wolny. Przecież to wszystko próbujesz ludziom *sprzedać*.

Matias nie wyglądał już na rozbawionego. Oddychał szybciej i zanim odpowiedział Samuelowi, siląc się na spokój, odłożył pilota na stół i pociągnął łyk wina.

A potem zaczął wyjaśniać, że nienaturalnie białe farby *corpse paint* muszą mieć idealnie dobrany odcień, oczy trzeba pociągnąć na czarno, a rozbryzgi krwi namalować dokładnie tak, jak trzeba, i świńskie łby na kijach muszą być świeże, bo diabeł tkwi w szczegółach. Kapele, które się zaprzedały, próbują robić dokładnie to samo. Nie zawsze łatwo odróżnić oryginał od podróby, w końcu jednak uczciwość zwycięża.

– Granie to moja *robota* – powiedział Matias z nienaturalnym spokojem.

– W przeciwieństwie do stanowiska młodszego asystenta w Laajakosken Biotietet? Jak to możliwe, że taki asystent się kurwi, kiedy wkłada do pracy białą koszulę, ale ty już nie, gdy przywdziewasz te swoje czarne łachy?

Matias dopił wino i spojrzał na Samuela z niedowierzaniem – jakby był rozczarowany głębią jego niewiedzy.

– To są dwie *zupełnie* różne sprawy.

Było tysiąc wyjaśnień, dlaczego te dwie sprawy są zupełnie różne. Matias jest *artystą*. A artysta *musi* dbać o wygląd. I nie robi tego dla siebie ani dla swojego pracodawcy, tylko dla swojej *publiczności*. Wszystko, co artysta robi w życiu, robi bezinteresownie, z myślą o swojej publiczności, bo chce jej dać coś doskonale pięknego i uczciwego. Każdy artysta zawiera ze swoją publicznością niepisaną umowę i obie strony muszą się z niej wywiązywać, bo inaczej relacja nie działa – tłumaczył Matias z poważną miną.

– Kiedy wychodzę na scenę, to obiecuję publiczności, że będę wyglądał i zachowywał się jak gwiazda, a ona mi obiecuje, że będzie mnie uwielbiać.

– Uwielbiać?

– Tak.

Samuel gapił się na Matiasa. Kiedy ostatnim razem oglądał jego kapele, na koncercie było dziesięciu widzów, sami ziomale członków zespołu, z czego połowa nie miała jeszcze osiemnastu lat. Jeśli kogokolwiek uwielbiali, to chyba tylko bramkarza, który ich wpuścił bez dokumentów.

Matias pokiwał głową, był wyraźnie znudzony całą tą rozmową. Samuel wiedział, że powinien już dać spokój, ale nie mógł się powstrzymać.

– A tak przy okazji: jak to możliwe, że granie w kapeli to twój zawód? – spytał. – Przecież nie dostajesz za to żadnej kasy.

– Dostaję.

– Dziesięć euro na rok.

– Więcej.

– No, dwadzieścia. A kupujesz gitary za dwa tysiące.

– I do czego pijesz?

– No, czy to nie jest czasem tylko twoje hobby? Które ci sponsorują bogaci

starzy?

- Kurwa, ale z ciebie fiut.
- Które *może* kiedyś zmieni się w zawód?
- Kurwa, ale z ciebie fiut.

Długa cisza.

- No tak.

Matias odstawił butelkę na podłogę gestem oznajmiającym, że na tym ta frustrująca rozmowa może się zakończyć. Wyłączył zamazanego pornosa – kiepski był – i włączył swój odtwarzacz mp3. Ciekawe, czy dałbym radę wyczytać z miny Matiasa – pomyślał nagle Samuel – czy nie szuka teraz specjalnie czegoś takiego, czego ja nie lubię.

Z głośników ryknął stary klasyk megabrutalnego norweskiego zespołu, który zupełnie niezasłużenie pozostawał w cieniu innych kapel. Ryczący wokalista emocjonował się tym, że chrześcijan, żydów i muzułmanów udało się wreszcie spędzić w jedno miejsce, gdzie wszyscy zostaną zamęczeni na śmierć. Ze szczegółami opisywał – bez tekstu songu przed nosem nie można by zrozumieć z niego ani słowa – jak zostaną zarznięci na ołtarzu, a oni będą się wypróżniać na ich trupy, gwałcić masowo ich kobiety i odrywać im głowy gołymi rękami, wyszarpywać im z brzuchów płody o bijących jeszcze sercach i dawać je kapłance szatana do zjedzenia, a ich zbezczeszczone zwłoki ponownie składać w ofierze szatanowi, który jest Panem, jak dzieci będą skandować i długimi kijami wystruganymi z gałęzi jałowca wykłuwać żydom oczy w najmroczniejszym momencie pogańskiego święta pełni.

Norwegowie bez wątpienia mieli jaja i jak się wyraził Matias, emanował z nich „prawdziwy duch walki”, Samuelowi jednak coś w tym utworze nie dawało spokoju. Trzeba też przyznać, że było w nim sporo krytyki społecznej, celnego, dyskretnego humoru i doskonałych ironicznycch aluzji. Inna rzecz, że kiedy matka spytała Samuela, gdzie dokładnie słycać te aluzje i krytykę społeczną, nie potrafił jej odpowiedzieć. Także malujący się na czarno-biało fani kapeli w ogóle nie sprawiali wrażenia osób zdolnych do autoironii, ale to wynikało z pewnością z postartystycznej fazy drugiej dekady dwudziestego pierwszego wieku, kiedy raczej stawiano pytania, niż udzielano odpowiedzi, preferowano niejednoznaczność i złożoność zamiast scholastycznego moralizatorstwa i celowo stosowano niedopowiedzenia, by nie ograniczać przestrzeni dla własnych interpretacji słuchaczy. Mimo to Samuel nigdy nie odważył się przyznać do swoich wątpliwości – a zawsze go męczył fragment, w którym czciciele szatana przypalają w ognisku łapki pudelka pani pastor i wyrywają mu po kolei wszystkie pazury, a potem rozcinają brzuch i z trzewi

żywego jeszcze psa wyciągają jelita i narządy, które spożywają ku chwale Pana, rechocząc z pojękiwań konającego na ołtarzu rozplatanego pudła. Scena z psem zajmowała około dwudziestu pięciu z czterdziestu minut całego utworu. Kawalek był, również w opinii Samuela, niekwestionowaną kulminacją tego podgatunku postpostextreme metalu – o ile postpostextreme metal można jeszcze nazywać postextreme metalem – i zdaniem Matiasa Norwedzy właśnie krytykują w nim skomercjalizowanie zwierząt, i choć Samuel nie potrafił znaleźć w tekście żadnych dowodów na poparcie tej tezy, to jednak musiał przyznać, że bezkompromisowy atak muzyczny jest jedyny w swoim rodzaju, a słowa w obiektywnej ocenie wypadają „po prostu megazajebicie”, jak podsumował Matias liryczną zawartość utworu.

Mimo to coś w tym szczegółowym opisie – może i rzeczywiście zabawnym, sarkastycznym i subtelnie, acz zdecydowanie krytykującym hipokryzję zinstytucjonalizowanego chrześcijaństwa – ciągle uwierało Samuela, o co przecież chodziło w tym podgatunku postpostextreme metalu i choćby już z tej racji kawalek był wybitny, tak jak cały zespół, który zdołał się wykreować na być może najważniejsze dokonanie całego nurtu postextrememetalowego. Wokalista zespołu zastrzelił z karabinu najpierw wszystkich członków swojej kapeli, a potem siebie, przedtem jednak zamęczył jeszcze na śmierć swojego psa – prawdopodobnie po to, by rozwiać powtarzane na najważniejszych portalach postextremy podejrzenia, jakoby nie traktował poważnie głoszonej przez siebie nienawiści do ludzi i zwierząt. To zbiorowe morderstwo stanowiło zarazem zwieńczenie kariery najbardziej popularnego zespołu postextreme metalu. Pewien badacz pop-kultury z uniwersytetu w Rovaniemi powiedział, że wokalista był tak skrajnie poważny w swoim braku powagi, że w powalającym performansie życia wykroczył poza skrajność i był zupełnie jak Martin Heidegger w swojej twórczości. Oczywiście badacz zaraz dodał, że zabójstwo to straszna tragedia i należy robić wszystko, by zapobiegać w przyszłości podobnym wypadkom.

Samuel postanowił nic nie mówić. Ostatecznie muzyka nie ma aż takiego znaczenia. Poza tym nie chciał pogarszać atmosfery, która i tak mocno się zepsuła po odbytej przed chwilą rozmowie. Ale w tej samej chwili poczuł coś pod koszulą. Najpierw tak, jakby mu coś chodziło po brzuchu – jakiś mały owad? Nie, to było ciepłe, i zajmowało coraz więcej miejsca.

Uniósł brzeg koszuli, pomacał palcem i aż podskoczył.

Wilgotne.

Nagle wstał z sofy.

– Muszę iść się wylać.

– Alkoholu się nie kupuje, alkohol się wynajmuje – mruknął Matias.

Samuel pospieszył do łazienki. Automatycznie i bezgłośnie włączyły się dyskretne światła ukryte w różnych częściach pomieszczenia. Większego od ich M-2, w którym mieszkał z matką prawie całe życie, zanim się przenieśli do Henriego.

Spojrzał na rękę. Była mokra i jasnoczerwona.

Uniósł koszulę i zobaczył w lustrze: pulsująca czarna dziura w boku. O co tu kaman? Przypomniał sobie jednak chińską tabletkę i poczuł, że kamień spadł mu z serca. Na pewno jakiś halucynogen. Ale też mocne te halucynacje. Polizał palec. Wyraźnie poczuł smak żelaza. I miał już plamę krwi na koszuli. Kapnęło też na podłogę, na kafelki z ciemnego granitu, choć na takim tle krwi za dobrze nie widać.

To była krew. Przekonany, że ma zwidy, usiadł na podłodze i patrzył na rosnącą kałużę. Czasem ją widział, a czasem nie. Kafelki były tak ciemne, tak czarne, że obie wersje były równie prawdopodobne. Świat jest niepojęty, cudowny.

Otworzył lustrzane drzwiczki, ale plastra nie znalazł. Wszystkie powierzchnie w łazience były tak ciemne i lśniące, tak wypolerowane i elegancko wyprofilowane, że szukając szafki, musiał naciskać i poklepywać ściany. Kiedy był u Matiasa pierwszy raz, uruchomienie kranu z wodą zajęło mu piętnaście minut.

Krew ciągle ciekła. Z papieru toaletowego skreślił tampon, który jakoś zatrzymał krwawienie. Przykleił go do ciała plastrem na odciski, który znalazł w szafce – kiedyś w aptece przeżył szok: sztuka kosztowała coś koło dziesięciu euro. Ale nie znalazł w szafce niczego innego.

Uff. Mogło być gorzej.

Samuel wyszedł z łazienki. Czterdziestominutowy kawałek norweskiej kapeli trwał w najlepsze. Poczuł w boku nową falę ciepła – krew musiała przemoczyć jego prowizoryczny tampon.

– Moglibyśmy posłuchać czegoś innego?

– Dlaczego?

– Moglibyśmy?

– Dlaczego?

– Cokolwiek innego.

– Zaczyna cię męczyć?

Matias wstał i podkreślił jeszcze głośność.

– Serio mówię. Nawet inny kawałek z tej samej płyty.

Matias roześmiał się i pokręcił głową z niedowierzaniem. Przełączył na

następny utwór i odwrócił się do Samuela:

- Co, aż tak się przejąłeś?
- Czym?
- Tym kawałkiem.
- A niby bo?
- Bo tam jest o żydach.
- No i? No i?
- Może po prostu nie masz aż takiego poczucia humoru.
- No, ale... Przecież tam się zabija także chrześcijan i muzułmanów.
- Tylko że zupełnie, zupełnie inaczej.
- W sumie to nawet nie zauważyłem, że...
- Ty przecież jesteś żydem.
- Mój ojciec jest. Chodziłem przecież na katechezę i...
- I może właśnie dlatego nie łapiesz takiego humoru.

Słowa Matiasa wzbudziły w Samuelu sprzeczne odczucia. I nie tylko z tego powodu, że został ochrzczony w Kościele ewangelicko-luterańskim i że podczas konfirmacji śpiewał z innymi po fińsku „Ojcze, chcę już iść do domu – ojciec, jestem już zmęczony”, a wieczorem poszli całą paczką na skałki przy kościele, gdzie pili piwo z żółtej torby Alepy i śpiewali „Ulica rozbrzmiewa krokami, życie to umieranie”, dwie dziewczyny się rozpląkały, Anniinę trzymali za włosy, kiedy rzygała, i wszyscy zgodnie orzekli, że to była najbardziej odjechana katecheza w całej historii Finlandii. Od tamtej pory Samuel żył w przekonaniu, że nie można być już bardziej fińskim luteraninem. Co prawda zaraz po osiemnastce wypisali się z Matiasem z Kościoła, ale właśnie tak robili wszyscy najbardziej fińscy luteranie. Samuel nie pamiętał, by Matias kiedyś pił do pochodzenia rodziny jego ojca, i dlatego ten komentarz pachniał jawną prowokacją.

– Nie... spoko... Włącz, jak chcesz. Nie chodziło mi o to, że nie można tego słuchać.

Samuel czuł, że rana znów pulsuje, ale chyba wreszcie przestała krwawić.

Człowiekowi robi się trochę lżej na duszy, kiedy powie sobie jasno i wyraźnie, że zjazd rodziny w dniu rozdania czapek maturalnych, studia i dyplom uczelni wyższej to tylko tradycje. Tylko rytuały, których zasadniczym celem jest wzmacnianie istniejących instytucji i struktur władzy. I każdy może je oceniać zgodnie z własnym uznaniem.

Dlatego właśnie najlepsze chwile tej jesieni Samuel miał jeszcze przed sobą.

Stał właśnie na ciemnej już plaży na Hietaniemi z jointem w ustach i butelką piwa w ręce. Potrzebował porządnej kontry, szczerego zamanifestowania poglądów – tylko tak zdoła wygrzebać się z bagna, w którym się zapadał od wakacji. Jeżeli tego nie przepracuje, będzie go to podgryzało od środka i zatrzymało mu życie.

Rozkoszował się już samą myślą o ciepłym strumieniu moczu padającym na jego sześc *laudatur* na plaży. „*Ja też chcę mieć swoje siadestwo naturalne!* – wykrzyknął w domu Ukko, kiedy Samuel zdradził mu swój plan. – *Ja też chcę się wysikać na siadestwo naturalne!*”.

Z początku wyglądało to tak, że nawet ciepły mocz nie zdoła wywrzeć żadnego wrażenia na dętych stemplach komisji egzaminacyjnej, oficjalnych oświadczeniach i gruboskórnej bumadze. Świadeństwo nie dało się sprowokować i mocz spływał po nim z olimpijskim, niby-dorosłym spokojem jak woda po gęsi na piasek, który chłonał go jak gąbka, Samuel musiał więc wypić parę kolejnych puszek piwa, żeby mieć materiał na kolejną próbę. Procedura miała jednak ten przykry skutek, że cała operacja trwała znacznie dłużej, i siedząc samotnie na pogrążonej w mroku plaży, Samuel uprzytomnił sobie, że w ramach kary za grzechy będzie musiał przeżyć w myślach na nowo całą wiosnę i lato.

Czuł się jak wtedy, kiedy dostał piłką w zrosniętą po złamaniu goleń. Kiedy miał dwanaście lat, upadł w czasie meczu przed bramką, a rozpedzony obrońca zwałił mu się całym ciężarem ciała na nogę i złamał kość piszczelową. Jeszcze długo po zdjęciu gipsu i oficjalnym uznaniu nogi za wyleczoną ból promieniował aż do kręgosłupa, jeśli piłka trafiła w miejsce złamania.

I teraz, gdy w lekkim skrętowo-piwnym dymie patrzył na refleksy światła miasta w zimnym jesiennym morzu, uprzytomnił sobie, że będzie go to bolało do końca życia, zupełnie jak złamana kiedyś noga.

Oczywiście głupio było robić sobie jakiegokolwiek nadzieje.

I nie robił sobie, a przynajmniej tak mu się zdawało.

Nie odważyłby się wysłać kopii świadectwa maturalnego do Stanów, gdyby nie było takie dobre. Celowo kazał matce dwukrotnie sobie o tym przypomnieć w czasie wakacji, nim w końcu to zrobił. Podziwiał siebie w duchu za to opanowanie i tak autentyczne odegranie obojętności na całą sprawę.

Kartka z odpowiedzią była tak krótka, że nadawcą mógł być równie dobrze urząd skarbowy, a nie facet, po którym odziedziczył połowę swoich cząsteczek kwasu deoksyrybonukleinowego.

I tak kopia świadectwa maturalnego oraz kartka z odpowiedzią wylądowały w tej samej przegródce, w której były już zjazd rodzinny po zakończeniu szkoły i te wszystkie sprawy, do których nie będzie już musiał nigdy w życiu wracać. Ale odpowiedź od ojca ciągle piekła do żywego – bardziej, niż mógłby się spodziewać. I zdawało mu się, że wraca uczucie, które wcale nie odeszło, tylko zbierało siły jak fala przyboju.

Congratulations! A job well done! The best of luck for all your future endeavors from all of us.

Dad

Już trzeci raz mierzył w leżące na zimnym piasku świadectwo, rozluźnił się. I jego upór został nagrodzony: najjaśniejszy symbol słynnego na cały świat fińskiego systemu oświaty w końcu został złamany. Tłoczony, sztywny papier nasiąkł i świadectwo zmieniło się w żałośnie poskręcany, przedarty pośrodku flak.

Rytuał przyniósłby mu na pewną wielką satysfakcję, gdyby nie musiał go odbywać sam, późnym wieczorem, na smaganej jesiennym wiatrem wyludnionej plaży. To, że nawet tak starannie zaplanowany klimaks nie nappełnił go jakimś większym zadowoleniem, było mocno dołujące. Nic dziwnego, uznał z perspektywy czasu – to naprawdę nie był dobry pomysł, żeby rytualne ołanie świadectwa zagruntować lekturą wypowiedzi przedstawicieli partii rządzącej, która uruchamiała właśnie nową elektrownię węglową, oraz zarządu kopalni, która swoim historycznym sukcesem skazała część systemu wodnego Laponii: Partia węglowa „zobowiązała się przekazać Ziemię następnym pokoleniom w lepszym stanie, niż jest obecnie”. Kopalnia z kolei „na 101 procent stara się robić wszystko dla środowiska naturalnego, dla swoich pracowników i całego społeczeństwa”.

Poprzedniego dnia dziennikarka zadała pytanie przewodniczącemu partii rządzącej o to, co byłoby teraz najważniejsze, co konsument mógłby właśnie teraz zrobić dla środowiska naturalnego.

„Działać można na pięć milionów sposobów. Nikt, żadna jednostka ani partia, nie ma monopolu na troskę o środowisko naturalne. Sposobów jest tyle, ilu nas, Finów”.

Proszę nam podać jeden konkretny sposób, poprosiła dziennikarka.

„No, właśnie takie drobiazgi, codzienne sprawy. Takie, które każdy z nas może zrobić. I wiem, że większość Finów je robi, każdy stosownie do własnych możliwości. W końcu największą władzę ma zawsze konsument

i przedsiębiorstwa robią to, co im każą konsumenci”.

Proszę podać jeden sposób. Choćby to, co pan robi na co dzień dla środowiska.

„No, łatwy sposób na oszczędzanie energii to na przykład zakrywanie garnka, kiedy się gotuje wodę. I to, że się wybiera produkty ekologiczne, a nie te, które szkodzą środowisku”.

Przeczytane w internecie słowa kotłowały się Samuelowi w myślach, kiedy szedł sam w mroku na autobus.

Ludzie nie chcą zmian.

Kiedy mówisz ludziom to, co już sami wiedzą, będą ci dziękować – twierdzili aktywiści. Ale gdy powiesz im coś, o czym nie wiedzieli, będą się na ciebie wściekać.

W nocnym powietrzu Samuel czuł już nadchodzącą zimą i lodowaty, przenikający do szpiku kości wiatr. Zdał sobie sprawę, że piękne jesienne dni wkrótce się skończą, a on nie zdążył się nimi wcale nacieszyć. Rześka, słoneczna jesień, którą kochał najbardziej ze wszystkich pór roku, przemknęła mu koło nosa, jakby celowo się przed nim ukrywała. I niedługo zacznie się długa i śnieżna zima, mroczna jak noc.

W mijającym roku padł nowy globalny rekord emisji dwutlenku węgla. W internecie stał w płomieniach podpalony przez Earth Liberation Front salon z SUV-ami.

„Ci młodzi ludzie nic nie rozumieją, ktoś ich wprowadził w błąd – powiedział dla telewizji przedstawiciel związku dilerów samochodowych. – Tylko demokratyczne metody działania zapewniają prawdziwą zmianę”.

Idąc wzdłuż murów cmentarza, Samuel zrozumiał, że poszturchując człowieka w ten sposób, można go powolutku zapędzić na skraj przepaści, gdzie nawet bezsprzecznie destrukcyjna samowola przestaje się wydawać czymś nie do pomyślenia. Najbardziej zdumiewające w tym wszystkim było to, że mechanizm najsprawniej uwidaczniał się w szczegółach: w kiepskich dyskusjach o pryncypiach z byłym najlepszym przyjacielem, w niepotrzebnie przenikliwym, wiejącym w twarz wietrze, w przewodniczącym partii rządzącej, który bredzi w telewizji o przykrywaniu garnków, gdy poziom dwutlenku węgla w atmosferze już dawno przekroczył ostatnie granice bezpieczeństwa.

Podnosiły się głosy, że trzeba przestać w końcu pierdolić i zacząć coś robić.

Podnosiły się głosy, że trzeba przestać czytać dyskusje na forach w internecie.

Podnosiły się głosy, że ludzie nie chcą zmian – oni tylko chcą, żeby im ktoś

naprawił zepsute zabawki.

Za omszałym murem cmentarza, w mroku, który zdawał mu się twardą materią, stały w rzędzie nieme, czarne szkielety klonów. Samuel czuł, że trzyma się w garści ostatkiem sił. Zdumiewała go odkryta w sobie emocja, która tym bardziej tężała, im bardziej starał się ją uciszyć. W ostatnim czasie zwłaszcza nocami uczucia związane z Kerttu paliły go bardzo; nawet nie przypuszczał, że jest zdolny odczuwać cokolwiek aż tak boleśnie. I z niewyjaśnionego powodu uczucia te nieodmiennie przenosiły się na osobę ojca, na prawach nieodpartej, skrajnie perwersyjnej logiki. Kerttu odrzuciła go, bo nie chciał go ojciec, i odwrotnie, a najlepszym dowodem na prawdziwość tego wywodu było to, że Kerttu i jego ojciec nie mieli ze sobą nic wspólnego.

Olewanie przez Kerttu jego esemesów było nieludzką, rozwalającą niesprawiedliwością, którą pogarszała jeszcze miażdżąca świadomość, że jednostronna cisza w eterze to nie żadna niesprawiedliwość, lecz dojrzała decyzja dorosłej kobiety, która stwierdziła po prostu, że życie toczy się dalej. Ojciec nie przyjechał, chociaż mu to obiecał, i sam sobie na to zapracował tym swoim chorobliwym entuzjazmem. I to właśnie on, Samuel, był tu niesprawiedliwy, a wiedząc o tym i czując wzbierającą w trzewiach krwistoczerwoną falę, nie mógł już dłużej znieść Kerttu, ojca ani całej reszty. I choć świadomie nie łączył swojej byłej dziewczyny z ojcem, to wlokąc się mokrym chodnikiem w stronę ulicy Mechelina, wyraźnie czuł, że jakimś jaszczurczym fizycznym podzmysłem próbuje ich powiązać, że szuka podobieństw i w lot pojmuje, że chodzi o jedną i tę samą sprawę.

Czekał na niego miesiącami z wałącym sercem, czekał na mail z komentarzami do artykułu z „Suomen Kuvalehti”, które ojciec mu obiecał. Był przekonany, że doceni jego wysoką wartość. Był pewny, że napisze coś więcej, coś, co ich do siebie zbliży, na przykład: odezwij się znów kiedyś, gdy tylko zechcesz, kochany synu, jestem z ciebie taki dumny! Całą wiosnę żył wyłącznie myślą o tej wiadomości. Ona pierwsza pojawiała się zaraz po przebudzeniu, wracała do niego na przerwach, kiedy sprawdzał pocztę, i wieczorem w domu, gdy obliczał przesunięcie czasu. Czy na Wschodnim Wybrzeżu jest już ta godzina, że ojciec mógłby wychodzić z pracy? Czy już nadszedł dobry moment na załatwienie spraw osobistych i może przeczytanie maili?

Ale oczekiwany mail nigdy nie przyszedł. I to „kto wie, może się zobaczymy na wiosnę” – obietnica przyjazdu do Finlandii na zakończenie szkoły, która, jak się okazało, nie miała jednak dla ojca żadnego znaczenia,

podobnie jak to, że mu coś obiecał. Od ojca przychodziły tylko noworoczne kartki ze znanymi hebrajskimi literami, których Samuel nie potrafił odczytać.

Fala przerwała tamę dopiero w domu. Tam zdobył się jeszcze na ostatni wysiłek, by powstrzymać rozsadzające go od środka ciśnienie, i wysłał do Kerttu tę pechową osobistą wiadomość, w której pokrótce streścił, co jest nie tak z kobietami, rodzicami i pielęgniarzkami w przychodniach. Widocznie gdzieś tam w środku czuł, że robi mu się lżej na sercu, jak szczegółowo wyjaśni, dlaczego bez Kerttu jego życie jest puste i pozbawione znaczenia, dlaczego jego własny ojciec powinien był wykonać choćby najmniejszy gest, by zauważyć i docenić najważniejsze wydarzenie w życiu swojego syna, i dlaczego teraz, pisząc te słowa, nagle znienawidził Kerttu i jej nowe studenckie wcielenie.

Gdyby ten list wydrukował, miałby ponad dziesięć kartek A4 zapisanych dziesiątką. Kliknął przycisk „Wyślij” i poczuł palący wstyd, i natychmiast pożałował, że nie może tego cofnąć, a bardzo chciałby odkręcić nie tylko to, ale dosłownie wszystko, co zrobił w swoim życiu. I dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że przycisk „Wyślij” wcale nie był przyciskiem „Wyślij”, tylko „Opublikuj” – i jego kliknięcie nie zawężyło kręgu odbiorców do samej Kerttu, lecz za pośrednictwem jej profilu pokazywało jego list całemu światu.

Kiedy to zauważył, poczuł to po raz pierwszy w życiu: gorącą, rozżarzoną do czerwoności, z sekundy na sekundę pęczniejącą masę. I tylko resztkami sił zdołał się jakoś uratować przed zmiążdżeniem.

Ponieważ fala gniewu przybierała zbyt szybko i nie mógł jej długo stawiać czoła, musiał zmienić strategię i całą energię zwrócić w stronę przeciwną, ku akceptacji sytuacji i wybaczeniu: ojciec nie wiedział, co robi. Tylko co począć z tą górą lodową współczucia, która oderwała się od lodowca przebaczenia i dryfowała po oceanie, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca? Z palącym poczuciem niesprawiedliwości, o którym nikt nie chciał słuchać, z czystą bezsilnością i żądzą zemsty na egoistycznym ojcu, który nie potrafił nawet zauważyć, że zignorował najważniejsze wydarzenie w życiu swojego dwunastoletniego syna?

Na żadną z tych spraw nie miał najmniejszego wpływu i dlatego w końcu przestał się opierać.

Leżał wtedy w łóżku, mógł więc zamknąć oczy i wreszcie się poddać, nie starać się już zatrzymać tego czegoś, co napierało na niego od dnia zakończenia szkoły – i pogrążył się w oślepiająco jasnej masie. Z początku była zimna jak stal i zapierała dech w piersiach, lecz gdy przestał się bronić, zaczęła go palić jak rozżarzone żelazo. A kiedy poddał się jej już całkiem i nie

próbował uciekać, całe serce stanęło w płomieniach i było w tym nawet coś rozkosznego.

Rozmowa buduje mosty Baltimore, MD, USA

Otwierając o jedenastej wieczorem drzwi swojego gabinetu w ciemnym domu, Joe poczuł palenie w czubkach palców i podeszwach stóp.

W końcu była to również kwestia zawodowa. Trzeba śledzić rozwój branży, sprawdzać, co już potrafi konkurencja. Wysunął szufladę.

Martwe urządzenie leżało na pustych kopertach i arkuszach znaczków obok nieużywanego krokomierza. Dokładnie tam, gdzie je rzucił, kiedy wściekł się na Rebecę. W sączącym się przez zasłony świetle księżycy eksplorator przeżyć lśnił, emanując beczelnym seksapilem.

Rebecca nie potrafiła wytrzymać bez iAma nawet pod groźbą kary. Uzgodnili z nią, że wolno go jej używać maksymalnie dwie godziny dziennie, a mimo to już dwukrotnie została przyłapana na tym, że po ustalonym czasie wykradła urządzenie i wieczorem leżała sobie jak gdyby nigdy nic w łóżku w audiowizualnej nirwanie z przegrzaną korą mózgową. Dlatego Joe w końcu zaczął zamykać urządzenie w szufladzie biurka w swoim gabinecie.

Ciekawość Joego pobudziła impreza marketingowa, która odbyła się właśnie w kampusie. Miał wrażenie, że o iAmie mówi się teraz dosłownie wszędzie.

Kiedy poprzedniego dnia szedł z Bloomberg Hall do kawiarni w bibliotece po kanapkę i kawę na lunch, jego uwagę zwrócił hałas dobiegający z zewnątrz budynku. Podeszedł do schodów, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Był oszołomiony widokiem ogromnego tłumu. Takiej masy ludzkiej jeszcze w kampusie nie widział. Nie brakowało nawet kamer i wozów transmisyjnych, połączonych z sąsiednim budynkiem wijącymi się przez trawę grubymi kablami.

Największy tłum zgromadził się na dolnym quadzie, gdzie stała duża scena. Ściany wszystkich budynków otaczających plac zakrywały olbrzymie banery koncernu MInDesign. Za sceną ustawiono gigantyczny biały ekran, który zasłonił główny budynek uniwersytetu aż po dzwonnice; pokazywano na nim to, co dzieje się na scenie. Dopiero po chwili Joe się zorientował, że dudniące z wielkich głośników i zwielokrotnione echem kazanie wygłasza drobny mężczyzna, który z mikrofonem w ręku chodzi w tę i z powrotem po scenie.

„To może parę słów o naszych modułach rozrywkowych, które narobiły

chyba *trochę szumu w mediach*”, powiedział właśnie mężczyzna na scenie.

Przez tłum przeszedł szmer rozbawienia. Ma gość poczucie humoru!

Joe dowiedział się później, że chodzącym po scenie mężczyzną w dżinsach był dyrektor kreatywny koncernu MInDesign, a sfinansowanie publicznej imprezy marketingowej zaproponował uczelni sam koncern, co zarówno rektor, jak i dziekani wszystkich wydziałów oraz cały dział promocji przyjęli z szaleńczą radością. W ostatnich czasach ściąganie do kampusu na otwartą imprezę kogokolwiek poza studentami i pracownikami uniwersytetu graniczyło z cudem, a Joe miał wrażenie, że dzisiaj wszyscy zamiast pójść na lunch, przyszli tutaj.

Większości przemówienia dyrektora kreatywnego Joe nie zrozumiał – w przeciwieństwie do reszty publiczności, która spijała z jego ust każde słowo, jakim raczył się z nią podzielić. Zrozumiał jednak tyle, że mężczyzna mówi o urządzeniu iAm i przeżyciach, które obecnie określa się najwyraźniej terminem neuroXperience. Na ekranie nad głową dyrektora co pewien czas pojawiał się tekst opisujący aktualny temat prezentacji. Teraz Joe odczytał z niego:

INŻYNIERIA POSTACI

„Chciałbym wymienić parę plusów tej techniki – powiedział już poważnie dyrektor kreatywny. – Nikogo tu nie okradamy. Nikogo nie paralizujemy. Nie depreczemy po niczych prawach”.

Joe widział ze schodów, że publiczność kiwa głowami.

„Z rozrywki można dziś korzystać bez przeszkód – wyjaśnił dyrektor kreatywny, marszcząc czoło, jak przystało na ważnego człowieka. – MInDesign zbudowało wszystkie swoje postaci cyfrowo z prototypów. Zostały one oczywiście komputerowo wyliczone z cech i właściwości żywych modeli, ale w ostatecznie udostępnionych postaciach nie wykorzystano ani jednej sylwetki naszych żywych modeli. Nikt nie został uprzedmiotowiony. Nikt nie był do niczego zmuszany”.

W następny okrzyk, który odbił się głośnym echem od ścian quadu, kreatywny w dżinsach włożył całą swoją dyrektorską charyzmę: „Już nikt nigdy nie będzie musiał czuć się samotny!”.

Musiał zrobić dłuższą przerwę, bo gruchnął spontaniczny aplauz.

„Pomyślcie o tych milionach samotnych ludzi, którzy nie mają nikogo, nie mają się nawet do kogo odezwać!” – zadudniły w głośnikach słowa dyrektora.

„Pomyślcie o tych niezliczonych, którzy zostali zostawieni! O tych, którzy

nie mają odwagi spotkać się z drugim człowiekiem w niezręcznych, niełatwych sytuacjach w kolejkach do kasy, na randkach czy w restauracjach; o tych wszystkich, których odrzucenie boli bardziej niż innych i dlatego nie znieśliby już kolejnej porażki!

Mamy coś dla was!

Wreszcie mamy coś dla was!

Chcę wam coś powiedzieć! – wydarł się dyrektor, rozjuszony okrucieństwem tego świata i zarazem wzruszony szlachetnością własnej ewangelii.

Chcę wam coś powiedzieć!

Nie będziecie już nigdy pozostawieni sobie!”.

Joe nie rozumiał, jakim cudem urządzenie iAm może uratować samotnego człowieka, który został pozostawiony sobie, ale publiczność biła brawo jeszcze długo po tym, jak dyrektor kreatywny zakończył przemowę i zszedł ze sceny przy dźwiękach dudniącej z wielkich głośników triumfalnej muzyki.

Na wielkim ekranie pojawiały się zbliżenia publiczności; słuchacze kręcili głowami: a więc to jednak prawda, stało się. Kobieta w średnim wieku ocierała łzy z kącików oczu. Ludzie stali jak wmurowani. Na przemian z obrazami publiczności na ekranie pojawiały się na krótko opinie z mediów:

„Animacja komputerowa na kosmicznym poziomie” – „New York Times”

„Na horyzoncie neurotechnologii drugiej dekady XXI wieku nie widać ani jednego godnego rywala dla MInDesign” – „Time”

„Po nadejściu neuroXperience szybko zapomnimy o znanej nam dotychczas cyfrowej rzeczywistości” – „MSBNC”

Brawa nie milkły i drobny mężczyzna w dżinsach musiał w końcu wskoczyć z powrotem na scenę kilkoma sprężystymi susami, czym wywołał prawdziwą nawałnicę owacji i krzyków. Joemu przemknęło przez myśl, że ekstatyczna publiczność zawstydziłaby niejedno zgromadzenie przebudzeniowe skrajnych sekt chrześcijańskich.

Na scenę wniesiono bukiety i butelkę szampana dla dyrektora kreatywnego, ten jednak odtrącił je nerwowo; nazbyt był zły na ten bezduszny świat, by móc odbierać nagrody. Poza tym geniusz żyje wyłącznie dla swojej pracy i interesuje go wyłącznie zwycięstwo: oto dajemy wam to, co

najlepsze.

Publiczność ciągle klaskała.

Wieczorem na ogólnokrajowym kanale telewizyjnym pokazano ekstatycznie wiwatujące tłumy na kampusie uniwersytetu i wywiad z ekspertem od najnowszych technologii, który stwierdził, że dyrektor kreatywny MInDesign jest może trochę narwany, ale to Bill Gates nowego millennium, Gandhi nowego świata.

Joe stąpał ostrożnie, żeby parkiet nie skrzypiał; sprawdził jeszcze, czy drzwi gabinetu są zamknięte. Musiał działać po cichu. Pokój Rebekki był za ścianą, córka mogła jeszcze nie spać.

Wziął do ręki małpki.

Były małe i leciutkie, zupełnie niepozorne. Wpatrywał się w nie dłuższą chwilę. To za pomocą czegoś takiego można dziś kierować żywy obraz i naturalny głos bezpośrednio i precyzyjnie do sieci neuronowych? W telewizji pokazywano coraz częściej spoty reklamowe, które pojawiały się także w skrzynkach odbiorczych jako załączniki do maili. Kampania objęta też prasą drukowaną.

Czy wrażenie będzie naprawdę aż tak rzeczywiste, bez żadnego ekranu i słuchawek? Musiał przyznać, że producentom udało się stworzyć rzecz genialną w swojej prostocie: kształty urządzenia mówiły o czystej, doskonałej potrzebie poddania się użytkownikowi, zadośćuczynienia wszystkim jego pragnieniom.

Zamocowanie małpek bez instrukcji obsługi okazało się sporym wyzwaniem – nie chciały się trzymać owłosionej skóry głowy. Miejsce zamocowania musiało mieć znaczenie; ostrzeliwanie kory na ślepo impulsami elektromagnetycznymi z pewnością nie jest bezpieczne.

Urządzenie musiało mieć coś wspólnego z prehistoryczną techniką przezczaszkowej stymulacji magnetycznej, już dawno pogrzebanej wraz z epoką kamienia łupanego. Joe przypomniał sobie, że w starym laboratorium Chada jeden z uczestników badania dostał kiedyś napadu toniczno-klonicznego, chociaż teoretycznie nie miało prawa się to wydarzyć – i nigdy też się nie powtórzyło. Ale Joe wiedział, że nie można bezustannie stymulować mózgu prądem i liczyć po cichu, że nic się nie stanie. Teraz oczywiście komórki nerwowe pobudzano milion razy subtelniej i precyzyjniej, w sposób znacznie lepiej przemyślany. Przezczaszkowa stymulacja magnetyczna przypominała strzelanie do komara z armaty. To tak jakby robić operację oka nie laserem, tylko bombą jądrową, jak się wyraził dyrektor generalny MInDesign w wywiadzie dla „New York Timesa”; nie ten

nowy Gandhi, tylko ten dużo mniej znaczący, który odpowiadał wyłącznie za finanse koncernu. Oczywiście bombą atomową też można trafić w oko konkretnego człowieka, jeżeli znajduje się akurat we właściwym mieście, jednak precyzja i celowość takiego działania pozostawiają wiele do życzenia, dodał dyrektor.

Był to oczywiście czysty marketing.

Joe długo i bez powodzenia męczył się z małpkami, aż w końcu wymyślił, że spróbuje przymocować je tuż za uchem – tam, gdzie nie ma włosów. I zaraz sobie przypomniał, że widział, jak Rebecca właśnie tam je mocowała. Był więc chyba na dobrym tropie.

Potem równie długo szukał włącznika. Ukryty był tak zmyślnie, że Joe już prawie zrezygnował, gdy namacał palcem właściwy punkt. Z boku urządzenia zapaliła się małeńka zielona dioda i Joe poczuł bardzo delikatne mrowienie, kiedy siatka impulsów elektrycznych z małpki zaczęła przenikać przez skórę na skroniach i za uszami. Pospiesznie zamontował drugą małpkę za lewym uchem.

A więc to już potrafią: Joe był pod wrażeniem, już teraz. Jeszcze pięć lat temu nikt nie mógłby o czymś takim nawet pomarzyć. Zaledwie chwilę temu potrzebny był zakrywający całą głowę hełm z cewkami magnetycznymi, a i wtedy nie było nawet szans na taką precyzję.

Włączone urządzenie było tak ciche, że Joe bardziej czuł wibracje, niż je słyszał.

Czekał.

Z początku nic się nie działo. Wszystko wyglądało tak samo jak zawsze. Postanowił nacisnąć mały przycisk *TEST*. Nadal czuł lekkie mrowienie na skórze głowy, ale poza tym nic się nie działo. Westchnął głęboko. Może urządzenie trzeba jakoś skalibrować? Czy Rebecca nie wspominała kiedyś o tym? A może...

Wtedy niemal krzyknął.

Nagle tuż przed nim rozjarzył się duży biały ekran, który wyglądał, jakby unosił się w powietrzu.

Dobry Boże.

Serce podskoczyło Joemu do gardła. Na ekranie wyświetlił się tekst z nagłówkiem:

Pierwsze włączenie: kalibracja eksploratora przeżyć iAm

Instrukcja obsługi.

Joe gapił się w zawieszony przed nim ekran. A więc tak to działa?

Dziwnie czyta się instrukcje, które unoszą się w powietrzu. Dziwne było także to, że nie musiał ruszać gałkami ocznymi: tekst przesuwał się automatycznie, zgodnie z wolą użytkownika, i trzeba było do tego przywyknąć; Joe zauważył, że bezustannie rusza oczami, jak gdyby czytał tradycyjny, nieruchomy tekst, na co urządzenie odpowiadało irytującymi skokami całego ekranu.

Poza tym widział podwójnie, a niekiedy tekst urywał się w połowie zdania i ekran nagle znikał. Joe szybko poczuł narastający ból głowy w okolicy czoła. Najbardziej męczące było jednak to, że każda myśl wywoływała na ekran nowe zdjęcia, grafiki i dokumenty. Miał wrażenie, że urządzenie pisze w tempie jego myśli: tekst pojawiał się w okienku w górnym rogu białego ekranu i już w trakcie tego mimowolnego dyktanda iAm przeszukiwał własną chmurę i globalną sieć. Słowo „kalibrować” przypomniało mu zaraz nieużywany już dawno przez Daniellę stary stroik do skrzypiec. To znów wywołało lawinę nowych obrazów i Joe był już w internecie: urządzenie otwierało mu przed oczami kolejne okna z reklamami sklepów muzycznych, linkami do słynnych koncertów skrzypcowych – jeden już nawet zaczął się odtwarzać i zafascynowany Joe nie mógł oderwać wzroku od tańczących na delikatnej szyjce instrumentu niewiarygodnie sprawnych palców młodego skrzypka – i stroną ze słownika New Oxford American Dictionary otwartą na hasło „**kalibrować** *tech.* kontrolować skalę, podziałkę przez porównanie z wzorcem”.

Joe nie potrafił zatrzymać łańcucha skojarzeń i w powietrzu przed nim wirowały coraz szybciej nowe okna. Po chwili spanikowany, zdyszany zerwał małpki z głowy i dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że siedzi na krześle w mrocznym gabinecie.

Czuł się tak, jakby miał chorobę lokomocyjną. Jakim cudem Rebecca mogła siedzieć przyłączona do tego całymimi godzinami? I na dodatek uczestniczyć w tym, co się działo dookoła niej w rzeczywistym świecie – przynajmniej częściowo? Joe odsapnął trochę i zamknął urządzenie z powrotem w szufladzie biurka.

Jeszcze w łóżku czuł się podniecony i długo nie mógł zasnąć, a kiedy mu się to wreszcie udało, miał męczące, nierealne sny.

X

Obudziło go własne chrapanie – znowu się zdrzemnął.

Zdezorientowany rozejrzał się w ciemności. Zobaczył twarz znajomego neurofizjologa, który patrzył na niego krytycznie. Joe był niewyspany: w nocy znów czytał o terrorystach z ruchu obrońców praw zwierząt.

Zabójstwa, podpalenia, porwania.

Przetarł oczy i usiadł inaczej na krześle, żeby znów nie przysnąć. Z przodu sali dobiegał ten sam monotony głos, który go przed chwilą uśpił. Joe siedział w wielkiej auli uniwersytetu na obowiązkowym szkoleniu dla wszystkich etatowych pracowników badawczych i dydaktycznych.

Myśłami bezustannie wracał do tego, co przeczytał w nocy. Teraz już wiedział, że był naiwny i nie traktował aktywistów serio. Wyobrażał ich sobie raczej jako idealistów; chciał w nich widzieć małe dziewczynki, które szukają prostych odpowiedzi na zbyt skomplikowane pytania.

Choćby ta dziewczyna, Heather Miranda, którą ujęto w Kalifornii podczas próby zamontowania pod samochodem dyrektora dużego przedsiębiorstwa materiałów wybuchowych. Jak ją podsumował bodyguard z firmy ochroniarskiej: psychicznie chora sadystka, dla której życie psa ma większą wartość niż życie człowieka.

Autor artykułu o Mirandzie szczegółowo opisywał, jak dziewczyna długo karmiła w sobie nienawiść do ludzi, jak latami snuła plany zemsty na naukowcach prowadzących dopuszczone przez prawo eksperymenty na zwierzętach, aż w końcu pod wpływem ekstremistów ostatecznie sfiksowała.

Po przeczytaniu artykułu Joemu zaschło w gardle i tak go piekły błony śluzowe żołądka, że po prostu nie mógł zasnąć. Natychmiast wysłał mail do zawsze poważnego Franka Hacketta, ich specjalisty od zabezpieczenia domu, i zadał pytanie, o które nigdy by siebie nie podejrzewał: czy w ich sytuacji nabycie broni palnej – oczywiście trzymanej pod kluczem w absolutnie bezpiecznym miejscu z dala od dzieci – ciągle byłoby przekroczeniem granic obrony koniecznej? Rano nie mógł uwierzyć, że naprawdę wysłał coś takiego: *czyżby naprawdę zmienił się tak bardzo, że zupełnie na serio rozważa nabycie broni palnej i trzymanie jej w domu, w którym mieszkają dzieci?!*

Joe spojrzął przed siebie. Na podwyższeniu w głębi amfiteatralnej sali wykładowej gestykulowała była pani dyrektor korporacji, lat czterdzieści. Kobieta, która jednego dnia w życiu nie poświęciła pracy naukowej, już ponad godzinę prawiała im o zagadnieniach, wokół których w niedalekiej przyszłości będą się skupiały największe wyzwania dla badaczy. Elegancko skrojony kremowy żakiet, buty na wysokim obcasie, minimalistyczna platynowa biżuteria i wyraźne upodobanie do żargonu, który zamieniał szarych nieudaczników w optymistów nuących pod nosem piosenki

o świetlanej przyszłości. Kobieta udzielała się obecnie jako niezależna trenerka *mindfulness* dla menadżerów firm. Dziekan zaprosił ją jednak nie dla jej ezoterycznych wizualizacji, ale dlatego, że w poprzednim wcieleniu bezdusznej dyrektorki korporacji dorobiła się milionów. Główne przesłanie jej przemowy dałoby się streścić w krótkim zdaniu: to życie, które jeszcze pamiętacie, skończyło się już dawno.

Rozespany Joe patrzył na płynący przez gigantyczny ekran strumień obrazów, na których „wielkie cele, małe sukcesy” oraz „wyzwania przyszłości” przeplatały się ze „współpracą, dobrostanem” oraz „odpowiedzialnością”, tworząc wielką spiralę pojęć. W mroku rozjaśnionym tylko bladą poświatą projektora gestykułująca kobieta wyglądała jak upiór z nowoczesnego musicalu.

I choć nie zostało to nigdzie powiedziane wprost, szkolenie zorganizowano dlatego, że władze uniwersytetu martwiły się wysychającymi źródłami dofinansowania. Z roku na rok coraz większa część subwencji stanowych trafiała do rywalizujących z nimi uczelni i jeśli trend się utrzyma, perspektywy na przyszłość będą bardzo mizerne.

Joe zerknął na zegarek: za dziesięć. Przez głowę przemknęła mu myśl, czy odważyłby się otworzyć laptop. Trudno mu było słuchać beczynnemu tego pieprzenia, kiedy miał na głowie ważniejsze sprawy. Pałeczkę po pani trener przejmował dwudziestopięcioletni smarkacz z nastroszonymi, usztywnionymi żelem włosami. Miał poprowadzić Warsztaty Personalne, na których każdy będzie musiał stworzyć dla siebie optymalną „personę naukową”. Przed warsztatami każdy dostał kartkę z pytaniami do przemyślenia:

Czy jakiś bardzo zamożny celebryta (tj. miliarder) cierpi na chorobę, która ma jakikolwiek związek z prowadzonymi przeze mnie badaniami?

Czy w najbliższym kręgu znanego miliardera jest osoba, która choruje lub chorowała na taką chorobę? (Pamiętać o zmarłych! Matka, która straciła dziecko, jest na wagę złota!)

Czy znany miliarder ma jakiś własny „narcystyczny projekt” (podróże w czasie, kontakty z UFO, zamrażanie zwłok i wybudzanie ze śmierci za kilka tysięcy lat itp. Uwaga: warto poszukać w sieci!), który chciałby finansować? Jak mogłyby w tym pomóc moje własne badania? (Grupa, która wymyśli najwięcej niewiarygodnych powiązań z takim projektem – wygrywa!)

Czy jestem w dobrych stosunkach z osobą bardzo zamożną? Czy mógłbym się z nią naturalnie skontaktować? (Propozycja: lunch, teatr, zaproszenie na uniwersytet, wymyślić np. wspólne hobby dla dzieci – w grupach burza mózgów: wymyślanie jak największej liczby naturalnie wyglądających pretekstów do spotkania!)

Budżet na badania bezustannie obcinano. Dzisiejsi zwycięzcy zabezpieczali sobie finanse prywatnie u możnych tego świata. Twórca popularnego serwisu społecznościowego ofiarował niedawno miliard dolarów na program kosmonautyczny, bo chce polecieć na Marsa. Dyrektor dużego koncernu medialnego za dwa miliardy dolarów ufundował na uczelni w swoim rodzinnym mieście nowe centrum badania autyzmu. U jego syna rozpoznano zaburzenie ze spektrum autyzmu i miliarder *musiał* mieć nowe metody leczenia.

Na warsztatach każdy miał wymyślić imię dla swojej nowej „persony naukowej”, która będzie zamieszczać w sieci świeże, uczciwe wypowiedzi. Nowa persona naukowa ma przebić się przez mroki internetu niczym latarnia, by wabić osamotnionych filantropów, którzy mają ważne pytania bez odpowiedzi – i parę wolnych miliardów do wydania na swoje fanaberie.

Po południu miały się odbyć ćwiczenia nawiązywania naturalnej znajomości. Uniwersytet zatrudnił aktorów, którzy będą odgrywać role miliarderów, a pracownicy ćwiczyć opowiadanie o swoich badaniach. Zadanie polegało na tym, by miliarder nie poczuł się jak wykorzystywany frajer.

Ja pierdołę. Nie, beze mnie.

Joe chwycił swoją teczkę, przeprosił siedzącą obok osobę i wyszedł z audytorium. Skierował się do drzwi wyjściowych z Bloomberg Hall, budynku nazwanego tak na cześć miliardera i sponsora uniwersytetu.

Po wyjściu na zewnątrz musiał zmrużyć oczy od jaskrawego światła. Na boisku trenerka hokeja na trawie krzyczała na swoje podopieczne. I tak by nic nie wyniósł z tego szkolenia, bo byłby cały czas pochłonięty własnymi sprawami, uznał więc, że równie dobrze może pojechać do domu i tam spróbować zrobić coś pożytecznego.

Idąc na parking przez kampus, który z każdym dniem stawał się coraz bardziej zielony, był tak zatopiony w myślach, że długo nie zdawał sobie sprawy, że coś jest nie w porządku. W głowie kotłowały mu się Warsztaty Personalne i aktywiści, z których agresywnymi zapędami trzeba by coś zrobić.

Spotkanie grupy bojkotującej odbędzie się za kilka tygodni. Zbliżając się do auta, Joe myślał, czy zdoła na nie ściągnąć choćby połowę ludzi, których słowo będzie miało w tej sprawie największą wagę. Prawie cały poprzedni dzień stracił na informowanie uczestników o terminie. Na spotkaniu zamierzał omówić z nimi sytuację z punktu widzenia badaczy i całej społeczności naukowej oraz zastanović się nad praktycznymi sposobami zwiększenia skuteczności bojkotu.

Zgrzytnął centralny zamek. Jeszcze po otwarciu drzwi nie spostrzegł niczego niezwykłego. Dopiero gdy odłożył teczkę na tylne siedzenie i usiadł za kierownicą, zorientował się, że coś jest nie tak. Samochód stał za nisko. Chwilę trwało, nim wreszcie zrozumiał, co się stało. Wysiadł i obejrzał opony – sflaczałe jak samoocena fińskiego nastolatka.

Przebite koła.

Na boku karoserii ktoś mu wydrapał gwoździem napis, który przez chwilę wziął za odpowiedź Teda Browna na próby zbojkotowania Freedom Media:

zero kompromisu

I dopiero po dłuższej chwili, gdy stał tak, gapiąc się na zniszczony lakier, zrozumiał, że to odpowiedź na jego propozycję: Możemy pogadać?

Kiepski pomysł, który wcześniej przyszedł mu do głowy, wydał mu się teraz jedyną deską ratunku. Wcale nie musi się udać, ale mimo wszystko może warto spróbować.

Najpierw próbował przekonać do niego piarowców. Na uniwersytecie pracowało wielu ludzi, którzy mieli za zadanie przekazywać informacje o badaniach prowadzonych na ich uczelni i nagrodach oraz wyróżnieniach, jakie otrzymywali jej pracownicy. Dział promocji wydawał także własną gazetę, która prezentowała ich badania w formie czytelnej dla szerokiej publiczności. Oczywiście już za chwilę ich dział PR będzie także w iAmie: podobno już się zastanawiano, jak będzie działał, chociaż nikt z pracowników nie widział jeszcze urządzenia na oczy.

Jednak Michelle Sedaris z działu promocji odniosła się do jego propozycji z rezerwą. Była to sympatyczna, rozsądna kobieta. Kiedy Joe dostał nagrodę, robiła z nim wywiad do gazety uczelnianej.

Joe powiedział, że uniwersytet w zasadzie nie musi nic robić. Byle mogli się zgromadzić w jednej z sal wykładowych w Bloomberg Hall, a on zajmie się resztą. Wystarczy, że Michelle umieści jego zaproszenie w widocznym miejscu na stronie uczelni i roześle do mediów informację o spotkaniu. Jeśli

chce, to on sam napisze oba teksty.

– Hmm – mruknęła w odpowiedzi Michelle.

Po chwili dodała:

– To nie jest taka prosta sprawa. – I zaczęła się tłumaczyć: – Nie mamy... Uniwersytet nie ma jasnej strategii medialnej na taki wypadek. Leo pomyśli, co mógłby ci zaproponować. Mają zebranie za dwa tygodnie. I wtedy na pewno będziemy mądrzejsi.

– Nie możecie zorganizować jednej debaty? – zdziwił się Joe. – Chciałbym odnaleźć tych ludzi i móc z nimi porozmawiać.

Michelle westchnęła. Joe poczuł się jak osoba z demencją uspokajana przez personel apteki w oczekiwaniu na przyjazd policji.

– Leo nie jest pewny, czy warto iść na noże.

– Organizując jedną debatę? Ktoś mi właśnie przebił opony w aucie! W biały dzień!

– Słyszałam, Joe. Naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu. To przerażające. Ale wydaje mi się, że Leo proponuje na tym zebraniu, żeby na poziomie uniwersytetu absolutnie się z tym nie wychylać i nie wzbudzać w tej sytuacji zupełnie nam niepotrzebnej sensacji, bo...

– Leo? A co on ma do tego?

– Dziekan wydziału? Ma, i to sporo.

– Przecież nie jemu przebili opony. Jemu to łatwo się z niczym nie wychylać.

– Przykro mi, Joe. Naprawdę. Pomogłabym, gdybym tylko mogła. *I'd love to help.*

Joe odwołał lab meeting i w środku dnia wyszedł z uniwersytetu. Pojechał do Miriam do pracy, powiedział jej, że piarowcy uniwersytetu nie chcą mu pomóc, i spytał, co sądzi o jego pomysle, żeby zorganizować spotkanie na własną rękę.

Rozmawiali długo. Miriam podzielała jego zdanie: nie ma co siedzieć z założonymi rękami, trzeba coś robić. Chyba że już czas wynosić się z tego miasta.

– A może w ogóle z kraju? W innym mieście w Stanach na pewno nas znajdą.

– Może nie wybiegajmy jeszcze tak daleko w przód.

Joe westchnął i wyjął z kieszeni komórkę. Zadzwoił do biura numerów i poprosił o telefon do redakcji „Baltimore Sun”. Potem zatelefonował do Lisy, która od razu się zgodziła. Gazeta zareagowała zgodnie z jego oczekiwaniami – co prawda najpierw z pewną rezerwą, ale już po godzinie

wzięli się ostro do roboty.

Dopiero potem Joe uzmysłowił sobie, jaką krzywdę wyrządził Lisie. Zadzwoił do niej ponownie, ale nie zdołał jej już wyperswadować udziału w całej imprezie.

Na trawnik dolnego quadu kampusu wysypało się z dużego auta kilkunastu drabów w kamizelkach kuloodpornych i hełmach.

Joe patrzył na nich i czuł, jak narasta w nim bezsilny gniew. Teraz, tutaj? Po jaką cholere? Dlaczego nie strzegli laboratorium, kiedy jakaś banda wyłamywała łomem drzwi jego pokoju? Dlaczego nie pilnowali jego domu, kiedy jacyś wandy bazgrali po jego murach? Dlaczego pozwolili gigantycznej korporacji wciskać potajemnie dzieciom psychoaktywne środki chemiczne? To niby tutaj są najbardziej potrzebni, na imprezie publicznej, gdzie wszyscy będą się na pewno zachowywać bez zarzutu?

Wiosna przyszła już na dobre, słońce grzało z pogodnego nieba. I to też go gryzło – że uniwersytet nie chciał pomóc w zorganizowaniu debaty, ale gdy tylko zadzwonili do nich z gazety, dział promocji i uczelnia nagle zgodziły się na imprezę z największą przyjemnością. Joe patrzył na zawieszane na ścianach Stanton Hall transparenty i przez głowę przebiegła mu myśl, że popełnił błąd.

Ale co innego mógł zrobić?

DOŚWIADCZENIA NA ZWIERZĘTACH – NIEPOTRZEBNE OKRUCIEŃSTWO CZY POŻYTECZNA WIEDZA?

DEBATA: PROF. JOSEPH CHAYEFSKI VS. THE BLACK EARTH COLLECTIVE

Sipowitz z uniwersytetu UCLA po demonstracjach urządzanych na jego działce i po groźbach pozbawienia życia ostatecznie wywiesił białą flagę. Doszło do tego, że na schody domu Sipowitza rzucono butelkę z benzyną – a właściwie na schody domu sąsiada, przez pomyłkę. Naukowiec wyprowadził się z miasta i zmienił branżę. „Bardzo was proszę, zostawcie moją rodzinę w spokoju”. Czy Joe winien postąpić tak samo?

Gazeta ustaliła z władzami uniwersytetu, że debata odbędzie się w Stanton Hall na terenie kampusu. Oficjalnie była to impreza zorganizowana przez „Baltimore Sun”, ponieważ rektor nie potrafił określić własnego stanowiska

w tej sprawie – „trzeba unikać zbędnego rozgłosu” – teraz jednak zarówno Leo, jak i Michelle stali grzecznie pośrodku trawnika przed kamerą i mówili coś do mikrofonu trzymanego przez dziennikarza. Przed pastelowymi szeregowcami na Charles Street reporterzy działu wiadomości jednego z dwóch lokalnych kanałów telewizyjnych zaczepiali stojących na światłach przechodniów i robili, co mogli, żeby nakręcić skandal.

Joe stał przed wejściem do Stanton Hall i patrzył na młodzież gromadzącą się w małych grupkach po drugiej stronie quadu. Hipisi, punki, ludzie z czytelnymi hasłami politycznymi i ci trudniejsi do określenia. Paru krzyczało gniewnie przez megafon, roześmiani młodzi ludzie stawiali namiot i wydawali darmową zupę z soczewicy, w dużych głośnikach pośrodku placu podzwaniała samba i zaczęła się akcja „tańcz z nami przeciwko zmianom klimatycznym”. Kilka osób rozstawiało stragan z płytami kompaktowymi, kadzidełkami i ręcznie robionym mydłem.

Do Joego podeszła młoda kobieta, dwudziestolatka o szczerym wyrazie twarzy.

– *Praszam*, interesują pana może biopaliwa?

– Akurat w tej chwili bardzo.

Dziewczyna podała mu ulotkę. Ironia do niej nie dotarła. Joe najchętniej wróciłby do domu i poszedł spać, żeby obudzić się rano i ze spokojnym oddechem pójść znowu do pracy i wykonywać ją najlepiej, jak tylko potrafi. To jedynie umiał, do tego wyłącznie się nadawał – a teraz chcą mu to odebrać.

– Nie wiem, co pan myśli o tym wszystkim – zaczęła dziewczyna badawczo.

Joe wyczuwał w niej oszałamiający, wszechmogący optymizm.

– Jestem wyłącznie sfrustrowany – przyznał szczerze Joe.

– Ja długo miałam to samo. To bardzo trudny problem. Ale potem zrozumiałam, że po prostu trzeba działać – odpowiedziała dziewczyna. – Że muszę robić to, co mi dyktuje serce.

Nie ma jeszcze dwudziestu lat. Na pewno nie ma. Dziewczyna wcisnęła mu kolejną ulotkę.

– Zgadzą się z tym, że czasem, *bardzo* rzadko, w *naprawdę* wyjątkowych sytuacjach, doświadczenia na zwierzętach mogą być pozytywne.

– Czyżby? – zdziwił się Joe, nie mogąc ukryć rozgoryczenia, ale i nie potrafiąc z jakiegoś powodu przedstawić się dziewczynie. Czuł się tak, jakby miał zaraz zemdleć. Nie miał pojęcia, z kim przyjdzie mu rozmawiać. Naprzeciw niego nie stał żaden wyraźnie określony przeciwnik, ale przecież

nie mogło być inaczej – czego się spodziewał? Przecież nie było też jednej społeczności naukowej, tylko ludzie porzruceni po całym świecie, skupieni we własnych grupach mających własne zwyczaje, poglądy i przekonania religijne.

– My sądzymy – tu dziewczyna po raz drugi podała nazwę reprezentowanej przez siebie organizacji – że w przypadku, dajmy na to, bezpośredniego zagrożenia życia pacjenta, kiedy hodowle tkankowe czy komórkowe nie dają możliwości jasnego rozstrzygnięcia, która z dwóch możliwych terapii jest lepsza, można przeprowadzić eksperyment na zwierzętach.

– Aha.

– Na ulotce jest adres naszej strony w internecie. Poznaj nasze argumenty. Uważamy, że kiedy drugą metodą można uratować życie człowieka i wykorzystano już wszystkie hodowle komórkowe, co do jednej, to wtedy można zaakceptować badania na zwierzętach.

– Chociaż ten człowiek od dwudziestu lat będzie już martwy – powiedział Joe.

Dziewczyna nie zrozumiała, co miał na myśli. Joe pod wymyślonym pretekstem wszedł do budynku.

Rozmowa – czyżby rzeczywiście marzenie tak nieczyste?

W imieniu jednej organizacji przemawiał blady chłopak w długim czarnym płaszczu, z kapeluszem na głowie i zarożniętym, ironicznym uśmiechem na ustach. Kiedy odpowiadał na pytania, oglądał swoje czarne paznokcie; Joe miał wrażenie, że chłopak nie wyraża poglądów, tylko wygłasza wyuczone na pamięć formułki.

Wszystko było dla nich teoretyczne. Absolutne miłosierdzie kontra absolutne cierpienie. Bladeusz recytował monotonicznie opisy doświadczeń, w których stosuje się wyjątkowo okrutne metody badawcze, nie zająknąwszy się nawet o wynikach tych badań. Opowiadał o alternatywnych metodach, dzięki którym uzyskano te same wyniki, ale już nie wspominał, że dopiero po dwudziestu latach, kiedy naukowcy wiedzieli dokładnie, czego mają szukać.

Joe pomyślał, że gdyby ci ludzie mieli jakiegokolwiek pojęcie o nużącym dniu powszednim eksperymentatora, to nie mieliby najmniejszej ochoty na protesty. Sam wygłosił referat o badaniach podstawowych i starał się wyjaśnić, na jakie pytania próbują odpowiedzieć naukowcy prowadzący eksperymenty z udziałem zwierząt. Lisa wspierała go spojrzeniem, ale młodzieżowy aktyw tylko coś między sobą poszeptywał i popatrywał na niego drwiąco.

Po jego referacie drobna dziewczyna przez kwadrans mówiła ze złością o tym, że aby wyprodukować jeden kilogram wołowiny, trzeba zużyć sto tysięcy litrów wody. A teraz wszyscy słuchali, jak uśmiechający się z wyższością do czubków swoich butów bladeusz w kapeluszu skrzypi o tym, jak to w Kanadzie hodowcy bydła nielegalnie zabijają drapieżniki: podrzucają kawałki mięsa nafaszerowane pianką poliuretanową, która zapycha przewody pokarmowe na przykład wilków, wskutek czego zwierzęta dostają krwotoków wewnętrznych i zdychają w potwornych męczarniach.

– Posłuchajcie – Joe usłyszał nagle własny głos – chciałbym coś zaproponować.

Moderator debaty, redaktor działu naukowego „Baltimore Sun”, spojrział na niego ostrzegawczo. Do tej pory Joe zdołał się jakoś powstrzymać od komentarzy, ale teraz nie wytrzymał i wstał. Przed spotkaniem obiecał Miriam, że będzie trzymał nerwy na wodzy, nie będzie się unosił, tylko oddychał głęboko i pamiętał, że jego gniew to woda na młyn jego przeciwników. „Jesteś cudownym, empatycznym i wyrozumiałym mężem i ojcem, ale w niektórych sytuacjach zbyt łatwo dajesz się ponieść – powiedziała mu Miriam. – I boję się, że to właśnie jedna z takich sytuacji”.

Wziął głęboki wdech i zaczął od początku:

– Może ustalmy, że będziemy mówić o jednej sprawie naraz, dobrze?

Cała sala patrzyła teraz na niego.

– Nie rozumiem, co ma tu do rzeczy trucie wilków – dodał.

– To chyba nie jest, kurwa, jedyna rzecz, której nie rozumiesz! – krzyknął ktoś z młodych i dostał burzliwe oklaski.

Joe próbował skierować dyskusję z powrotem na to, co jego zdaniem stanowiło jej meritum: że wszystkich wątpliwości związanych z fizjologią i systemem nerwowym człowieka oraz ich chorobami i sposobami leczenia po prostu nie da się rozwiązać innymi metodami, a na pewno nie tak szybko.

– Czy to zadawanie zwierzętom niepotrzebnych cierpień? – spytał. – Nie, jeżeli doświadczenia przeprowadza się właściwie.

– Łże! – krzyknął ktoś z audytorium i zaraz zawtórował mu cały chór głosów: – Łże! Łże! Łże!

Moderator musiał ich uciszać, żeby Joe mógł mówić dalej.

– Do cholery, dajcie mi chociaż powiedzieć do końca! – krzyknął Joe. – Mówiłem właśnie, że oczywiście część eksperymentów powoduje cierpienia i zwierzęta w nich giną. Bez dwóch zdań. Zadaniem niektórych doświadczeń jest wręcz zadawanie cierpienia. Ale czy to są cierpienia *niepotrzebne*? Nie. Bo dzięki nim zdobywamy wiedzę.

Joe powiódł wzrokiem po gniewnych twarzach. Koszulę pod pachami miał mokłą od potu. Usiłował zachować spokój i przekonywał siebie, że ta debata jest świetną okazją, by powiedzieć w końcu młodym ludziom, na czym polega praca naukowca. Bo zazwyczaj wygłaszał kazania do takich samych jak on, już dawno nawróconych na jedynie słuszną wiarę.

– Czy cierpienie i śmierć zwierząt to zbyt wysoka cena za wiedzę? Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Jeżeli zastanowimy się nad tym wspólnie i dojdziemy do zgodnego wniosku, że tak właśnie jest, wtedy w porządku. Wtedy trzeba będzie z tym skończyć. Do czego oczywiście zmierzacie. Możecie mi nie wierzyć, ale doceniam to. Szanuję to, że chcecie zmienić świat, że chcecie, by był lepszy.

Patrzył na młodych ludzi, na ich pogardliwe twarze.

– Tylko czy wiecie na pewno, z czego wówczas będziecie musieli zrezygnować? Czy jesteście całkowicie pewni, że wiecie, o co prosicie? Czy jesteście całkowicie pewni, że nie zjecie przypadkiem tego ciastka, które tak bardzo chcecie zachować? Jesteście całkowicie pewni, że macie za sobą zdanie większości?

– Hitler też miał za sobą zdanie większości! – krzyknął ktoś, wywołując znów burzliwe oklaski. Moderator przyznał głos dziewczynie z drugiej grupy.

– Mówiąc ściśle, problem polega na tym, że eksperymenty na zwierzętach opierają się wyłącznie na ugruntowanej praktyce i nie dowiedziono, jakoby uzyskane tą drogą wyniki były wiarygodne – powiedziała dziewczyna pewnym głosem osoby przywykłej do przemawiania.

Że co?! – o mało nie wykrzyknął Joe.

– Większości eksperymentów na zwierzętach nigdy nie zwalidowano – ciągnęła dziewczyna.

Lubiano ją i miała tego świadomość. Była piękna i przyjmowała to jako przyrodzoną młodości oczywistość; ona niczego nie musiała, bo cała jej istota po prostu promieniała i było po niej widać pewność, że tak zostanie już na zawsze, że Bóg ją sobie wybrał tylko dlatego, że jest piękna i młoda.

Zwalidowano?! A to co?

– Innymi słowy, ich wiarygodności nigdy nie potwierdzono oficjalnie metodami przewidzianymi dla badań naukowych.

– *Co ty za głupoty pieprzysz?!* – wyrwało się Joemu głośniejszym głosem, niżby tego chciał. – „Eksperymentów nigdy nie zwalidowano”?

W sali zapadła cisza. Ludzie patrzyli na niego jak na wariata. Zdał sobie sprawę, że znowu wstał.

– Przepraszam, dziewczyno, ale co ty wygadujesz? – spytał. –

„Wiarygodności nigdy nie potwierdzono oficjalnie”? Co to ma niby oznaczać?
– Że ich wiarygodności nigdy nie potwierdzono oficjalnie? – odpowiedziała mu z narastającą intonacją pytającą.

Cała sala wybuchnęła teraz gromkim śmiechem i rozległy się burzliwe brawa dla pięknej prelegentki. Bo rzeczywiście była piękna i jeśli coś z niej będzie, to wszystkie gazety i kanały telewizyjne będą chciały ją mieć dla siebie. Nagle wszyscy zaczęli krzyżeć i mówić jednocześnie, ktoś walił pięścią w stół i krzychał z radości.

– Proście o głos! – wołał moderator.

Joe go oblał zimny pot. Był wściekły i bał się, że zaraz przywali komuś w mordę, jeśli nie pozwoli mu spokojnie i gruntownie wyjaśnić, jak to wszystko naprawdę wygląda. Robił, co mógł, ale cała ta sytuacja, skrzypiący bladeusz w kapeluszu i opromieniona Bożą łaską dziewczyna to było dla niego za dużo; debata okazała się meczem koszykówki, w którym nie ma żadnych reguł, sędzia nie odgwizduje fauli i nie wyrzuca nikogo z boiska, chociaż przeciwnicy walą już po rękach łopata. Tu nie rozstrzyga technika ani dryg, lecz pięści i kastety.

– Za mało mówi się o tym – powiedziała dziewczyna i zatrzepotała rękami, które i bez tuszu były po prostu idealne – że eksperymenty na zwierzętach można by często zastąpić alternatywnymi metodami. Gdyby tylko chciano bardziej wspierać ich rozwój.

Dziewczyna zaczęła recytować z pamięci dane procentowe grantów badawczych przyznawanych przez Narodowy Instytut Zdrowia – ile milionów dolarów przyznano laboratoriom prowadzącym eksperymenty na zwierzętach i jak śmieszne sumy zostały dla tych, które stosują metody alternatywne.

Joe prosił o głos, ale moderator wskazał znów na bladego w kapeluszu i czarnym płaszczu. Ten zaczął się rozwodzić o hodowlach tkankowych i komórkowych – że rozwijając te metody, można by zastąpić praktycznie wszystkie eksperymenty na zwierzętach, brakuje jednak woli politycznej, bo sprzeciwiają się temu wielkie korporacje i bogate prywatne uczelnie wspierane przez milionerów, którzy sami są właścicielami wielkich korporacji.

– Na nich się testuje wyroby kosmetyczne! – wykrzyknął Joe. – W badaniach dróg wzrokowych mielibyście z nich taki sam pożytek jak z Wielkiego Zderzacza Hadronów! Wy słowa nie rozumiecie z tego, co tu wygadujecie! Zdajecie sobie z tego sprawę?!

– Proszę mi nie przerywać – powiedział bladeusz w kapeluszu do swojego pulpitu. – Oprócz tego nadzwyczaj rzadko wykorzystywaną metodą jest

modelowanie komputerowe, które...

– *Fuck you!* – wykrzyknął Joe. – Żaden niedouczony osiemnastolatek nie będzie mi robił wykładów o metodach badawczych! Skąd ta pewność, że nie stosujemy modeli komputerowych?! Kurwa mać, modelujemy w pocie czoła wszystko, co tylko się da! Mam czterech doktorantów i postdoców, którzy się zajmują *wyłącznie* modelowaniem! Robimy wszystko, co możemy, *absolutnie wszystko*, bo rywalizacja jest tak zażarta, że gdybyśmy tego nie robili, to już dawno by nas wymazali z mapy tego świata!

– Proszę pozwolić mi dokończyć – zapiszczał bladeusz, patrząc na moderatora.

Redaktor zwrócił się do Joego:

– Przypominam profesorowi Chayefskiemu, że nie rozmawiamy o jego badaniach ani o żadnej konkretnej dyscyplinie badawczej, lecz o ogólnej problematyce eksperymentów na zwierzętach.

– *Ale nie ma czegoś takiego!* – wykrzyknął Joe. – Nie istnieje żadna *ogólna problematyka!* Wszystkie badania to konkretne badania z konkretnej dziedziny, które starają się rozwiązać konkretny problem za pomocą konkretnych metod, wszystkich, jakimi dysponujemy! Zrozumcie, że musicie poznać trochę szczegółów, jeżeli macie zamiar o czymś dyskutować!

Chłopak podjął swój wykład o metodach, o których przeczytał w książkach i którymi badano zagadnienia, o których on nie miał zielonego pojęcia. O modelu komputerowym, o którym przeczytał w najnowszym numerze specjalnym czasopisma „Journal of Neuroscience and Experimental Biology”.

Joe próbował znów coś powiedzieć, ale został wybuczany, zaczął więc powoli uciekać w myśli. Był tak wyczerpany, jakby cały dzień musiał biegać w smole.

Gniew, który odczuwał jeszcze chwilę temu, gdzieś się ulotnił, ustępując miejsca czemuś ciężkiemu i przygniatającemu. Dyskusja toczyła się płynnie gdzieś daleko, między ludźmi, których interesują wyuczone cyfry i znalezione na jakiejś stronie w internecie dane statystyczne, chwytliwe hasła, szlachetne zasady i nazwiska filozofów, bo dzięki nim mogą prowadzić rozmowy, w których szafuje się wyćwiczonymi wcześniej we własnym gronie celnymi porównaniami i w których *każdy* może się wypowiedzieć na *każdy temat*, bo każdy punkt widzenia jest *bardzo cenny*.

Każdy ma swoje zdanie.

Najważniejsze, że ludzie ze sobą *rozmawiają*.

Rozmowa jest wartością samą w sobie. Rozmowa pomaga *budować mosty*.

Kiedy moderator poprosił Joego o wypowiedź na temat hodowli zwierząt

futerkowych, ten wstał i spokojnie skierował się do drzwi, odprowadzany buczeniem do samego wyjścia. W domu zauważył, że płaszcz na plecach jest cały opluty.

Jedyna jako tako budująca wypowiedź wyszła z ust Lisy. Dziewczyna opowiedziała o własnych badaniach. Był to akt odwagi, bo wystawiła się tym samym na zmasowaną krytykę. Opisała szczegółowo pracę ze zwierzętami doświadczalnymi: że budzą w eksperymentatorze czułość i instynkt opiekuńczy, że człowiek nie chce im zadawać cierpień i dlatego ogranicza je do absolutnego minimum, jeżeli jednak chce poczynić jakiś postęp w swoich badaniach, zwierzęta trzeba trzymać w ściśle określonych warunkach na znacznie ograniczonej przestrzeni i ostatecznie poświęcić je dla nauki. Na koniec Lisa podała kilka dobrych, szybkich przykładów – i miała do tego prawo, bo rozumiała, że tutaj nie liczy się punktów za styl, tylko strzelone bramki – co zdołaliśmy osiągnąć dzięki eksperymentom na zwierzętach: które choroby pokonaliśmy, jakie leki opracowaliśmy i jak bez nich nie wiedzielibyśmy praktycznie nic o układzie nerwowym.

Dopiero na dworze, widząc u wszystkich młodych ludzi identyczne urządzenia, których kolejnym wcieleniem będzie iAm, widząc ich palce gładzące czule małe smartgadżety – dopiero wtedy Joe sobie uprzytomnił, co im należało powiedzieć.

Nalał whisky do szklanki. Obiecał sobie, że drugiej nie naleje, a tymczasem wypił właśnie trzecią. Patrzył przez okno w wiosenny zmierzch; na krzaku malin przed domem siedział kardynał i wabił gwizdem samicę.

Od debaty minęło już kilka dni, ale nadal czuł się jak obity kijem. Wciąż nie dawały mu spokoju słowa pięknej wybranki Boga, kiedy wyliczył już wszystkie choroby, które – inaczej niż dwadzieścia lat wcześniej – można dzisiaj leczyć między innymi dzięki jego własnym badaniom:

„Można to było ustalić także innymi metodami”.

Tak, na pewno jakaś dwudziestolatka wie to lepiej niż on! Ona lepiej zna jego własne badania, które sam projektował i przez osiem lat dumał nad przebiegiem każdego eksperymentu, dopracowywał je zgodnie z wynikami badań pilotażowych, testował różne warianty, popełniał po trzydzięci razy te same błędy, co wszyscy inni, łamał sobie z kolegami głowę i zaczynał od początku, gdy wszystko diabli wzięli. Aż w końcu rozwiązanie przyszło samo, jak młody człowiek z Utah ofiarujący na ulicy Księgę Mormona – ale tylko dlatego, że wcześniej tak bardzo próbował przez tyle długich lat. Sam był zaskoczony, choć po fakcie każdy jest mądry i wie, że inne rozwiązanie po

prostu nie było możliwe: kluczowy gen, który steruje ważnym peptydem, wpływa na funkcjonowanie określonych interneuronów GABA-ergicznym w drugorzędowej korze wzrokowej – co było oczywistością już piętnaście lat temu, tylko że w grę wchodziły zupełnie inne interneurony, niż to sobie wyobrażano.

Można to było ustalić także innymi metodami?

Przepraszam, dziewczę drogie, ale jakie by to miały być te inne metody?

I moja opinia o... *hodowli zwierząt futerkowych?*

Wszyscy chcieli rozmawiać, tylko nikt nie chciał słuchać.

Joe zadzwonił do skonsternowanej Barb Fleischmann, która była na konferencji w Barcelonie, i wylał do słuchawki całą swoją złość na młodzież, policję, media i cały świat. Barb mogła sobie w spokoju pracować i prezentować wyniki swoich badań na konferencjach, bo na nią nikt nie napadał, przynajmniej na razie. Z czego należy się oczywiście cieszyć, o czym Joe musiał sobie osobno przypominać.

Próbował się pocieszać także tym, że i tak nikt nie słucha referatu Barb: ludzie czytają maile i przygotowują swoje prezentacje. Ciekawe, jak będą wyglądały konferencje za parę lat, kiedy wyposażeni w iAmy uczestnicy nie będą nawet musieli wyciągać z teczek laptopów.

Barb mu powiedziała, że jakiś czas temu musiano zamknąć sklep z futrami w centrum miasta. W ciągu ostatniego roku zbierali się pod nim regularnie ludzie z megafonami – „Hańba! Hańba!” – pod oknami biegały nagie kobiety i rozbijano szyby, a gdy chuligani włączali syreny, pracownicy i klienci musieli się chować, żeby nie ogłuchnąć.

Joe o mało nie wpadł w furję. Sklep futrzarski?! Futra to produkt luksusowy i zbytek, futra mają zamienniki, zwierzęta futerkowe trzyma się bez żadnych regulacji na straszliwych, zatłoczonych fermach gdzieś na końcu świata, w Chinach albo w Finlandii, dręczy się i zabija prądem i pałką albo jeszcze żywe obdziera ze skóry!

Barb westchnęła.

– To fanatycy. To nie ma dla nich żadnego znaczenia. Słuchaj, to straszne, co mówisz, ale dosłownie za chwilę będzie moja kolej. Weź sobie może krótki urlop – powiedziała. – Pojedźcie gdzieś z Miriam. Na weekend do Martha's Vineyard, na przykład. Muszę teraz kończyć.

Dzień po tamtej publicznej debacie na uniwersytecie Rebecca powiedziała Joemu, że widziała jego wystąpienie. – Całe? – zdążył się już ucieszyć, ale nie, Becca widziała tylko krótki urywek opublikowany na stronie „Baltimore Sun”. Wyświetlił się bezpośrednio w jej iAmie, wtłoczono go jej prosto do

mózgu. Dziwne uczucie, powiedziała Rebecca: ledwo zdążyłam pomyśleć, że ciekawe, jak ci tam poszło – i zaraz jest! Bez pytania! Sekunda i już oglądam to wideo! Kiedy stoimy z mamą na światłach! Musisz spróbować, tato! Od tej technologii nie ma już odwrotu!

– Megadobra była ta laska – ciągnęła Rebecca. – Jak powiedziała, że nie trzeba by w ogóle robić eksperymentów na zwierzętach, tylko że nie daje się pieniędzy na alternatywne metody. Ale to twoje wystąpienie... – Rebecca wyglądała na zażenowaną. Uniosła spojrzenie. – Mogło być lepsze – dokończyła po chwili. W oczach córki Joe dostrzegł współczucie.

Na stronie gazety był półtoraminutowy klip z debaty, na którym zmieściły się dwie krótkie wypowiedzi Joego, wyrwane z kontekstu zdanie: „Czy to zadawanie zwierzętom niepotrzebnych cierpień? Nie” i okrzyk: „Co ty za głupoty pieprzysz?!”. Zaraz po tym pokazano zbliżenie przestraszonej twarzy jakiejś dziewczyny z widowni, która nie powiedziała ani jednego słowa przez całe spotkanie. Wyglądała na dwunastolatkę. Dalej była wypowiedź pięknej dziewczyny o metodach alternatywnych: spokojna, wyważona opinia bezstronnego eksperta.

Rebecca nie mogła się nachwalić swojego magicznego iAma. Nigdy by na to nie wpadła, żeby wyszukać w sieci akurat ten kawałek – a on sam pojawił się w jej myślach! A więc to prawda, co jej obiecywali, że urządzenie będzie bezustannie rejestrować i przysyłać do producenta wszystko, co ona przegląda, co ogląda i myśli, i na tej podstawie proponować jej nowe treści – już teraz! Po tak krótkim okresie użytkowania! – i to właśnie to, co ją najbardziej interesuje, prosto do jej mózgu! Oprócz tego wideo urządzenie wyświetliło jej mnóstwo komentarzy, tekstów i filmików, w których wiązano profesora Chayefskiego z producentami wyrobów kosmetycznych testowanych na zwierzętach, przemysłem futrzarskim i wielkimi koncernami robiącymi ogromną kasę na eksperymentach z udziałem zwierząt, oraz informację, ile kasy płacą Chayefskiemu producenci brojlerów za jakiś szemrany konsulting.

– Pokazali ci także mój list? – spytał Joe. – Który napisałem do działu opinii?

– Nie.

– Też można znaleźć w internecie. Mogę ci pokazać.

– Teraz?

– Tak, teraz! Chciałbym poznać twoje zdanie na ten temat.

– Wiesz, chyba już nie mam na to siły. Nie obraż się, ale przeczytałam już tyle artykułów, że mózg mi się zapchał. Czy to wpływa na mózg, że jestem do

tego podłączona od rana do wieczora?

– Od rana do wieczora?! Umówiliśmy się na *dwie godziny!*

– No fakt. Chyba tak było. Mama zapomniała mi zabrać po dwóch godzinach.

– Super.

– W końcu złapałam się na tym, że oglądam klip, na którym ktoś wygolił swojego psa na podobieństwo Britney Spears, która w dwa tysiące siódmym zgoliła się na zero. Przez chwilę myślałam, że ten pies jest w moim pokoju.

– No pięknie.

– Przepraszam cię, tato – powiedziała Rebecca – ale tak się składa, że w niektórych sprawach podzielam zdanie tych ludzi. To nie jest właściwe. Robić to zwierzętom.

I jeszcze to: Kocham cię, tato, ale uważam, że robisz źle.

Joe nie miał już sił. Nie był w stanie odpowiedzieć własnej córce.

Wcześniej dałby wszystko za możliwość gruntownego obgadania sprawy i najchętniej rozmawiałby o tym właśnie ze swoją inteligentną córką, lecz akurat w tamtej chwili miał wrażenie, że cała podłoga pokryła się gęstą siatką pęknięć, i bał się, że zapadnie się pod ziemię, jeżeli zacznie się teraz jeszcze komuś tłumaczyć.

Ironiczny dystans i rozbawienie, pomyślał Joe, z jakim bladeusz omijał pytania o legalność i nielegalność: z początku powiedział tylko coś takiego, że rozumie osoby, które są gotowe „zrobić bardzo dużo” na rzecz niezbędnych przemian. Mimo nacisków chłopak nie chciał bliżej wyjaśnić swoich słów, ale z drugiej strony nie odciął się wyraźnie od żadnych metod działania.

„Czy popieracie także metody nielegalne?” – spytał moderator.

„Organizacja, którą reprezentuję, i ja sam uważamy, że obecna sytuacja jest nie do zaakceptowania i nie może dłużej trwać” – odpowiedział chłopak swoim dłoniom. Joemu przywodził na myśl pierwszoklasistę, który chowa w kieszeni zakazane przez rodziców gumisie.

„A więc czy waszym zdaniem można zaakceptować, na przykład, włamanie do laboratorium cenionego profesora szacownego uniwersytetu i zniszczenie jego komputerów i sprzętu badawczego?”

„Gdybyśmy poparli coś takiego, zostalibyśmy oskarżeni o podżeganie do popełnienia przestępstwa”.

„Ale na waszej stronie internetowej znajduje się długa lista naukowców z naszego stanu, którzy prowadzą eksperymenty na zwierzętach. Są na niej także ich dokładne adresy” – powiedział moderator.

Po debacie Joe zajrzał na ich stronę i sprawdził listę. Znalazł na niej nie

tylko siebie i wszystkich członków grupy, ale także swoje zdjęcie, które opublikował „New York Times” po przyznaniu mu nagrody państwowej. Oprócz imion, nazwisk i adresów lista zawierała spis wykorzystywanych przez badaczy gatunków zwierząt i dokładne adresy instytutów badawczych. Niektóre dane były już nieaktualne, ale szczegółowość spisu budziła grozę.

Jego adres był aktualny, zgadzał się nawet numer domu.

Każdy obiekt na liście został oceniony w skali od jeden do pięć w zależności od stosowanych zabezpieczeń. Była też rubryka z uwagami („niewidoczne kamery przy wejściu!”) i wpisy z datami i skutkami wcześniejszych aktów wandalizmu („uderzenie 5.05.2004, uwolniono 24 szczury, zniszczono klatki, katalogi i sprzęt”).

Na dole strony Joe przeczytał: „UWAGA! Dane mogą być nieaktualne! Zawsze dobrze sprawdź ich aktualność!”.

„Nie uważa pan, że publikowanie takich informacji to w praktyce podżeganie do popełnienia przestępstwa?”.

„Informacje są całkowicie publiczne, źródłem są legalne rejestry Departamentu Rolnictwa oraz publikacje medialne”.

„Ale nie powiedziała by pan, że dajecie coś do zrozumienia między wierszami?”.

„Publikujemy na naszej stronie neutralne i bezstronne informacje dotyczące praw zwierząt. Nie możemy odpowiadać za postawy i motywy miliardów użytkowników internetu”.

Moderator spojrział na chłopaka przeciągle i powiedział:

„Moim zdaniem to, co robicie, to zwykłe podżeganie”.

Chłopak odwrócił się i uśmiechnął do swoich towarzyszy, jakby chciał im powiedzieć: a nie mówiłem? W głębi sali wstała dziewczyna i odczytała ze słownika:

„*Podżegać*: wzbudzać w kimś nienawiść do kogoś, namawiać kogoś do zrobienia czegoś złego, do popełnienia przestępstwa”.

„Proszę nam zatem udowodnić – zaskrzypiał chłopak – że na naszej stronie wzbudzamy w kimś nienawiść albo namawiamy do zrobienia czegoś złego”.

„Czy możecie powiedzieć publicznie, że nie popieracie przestępstw?”.

„Nie popieramy przestępstw”.

„Czy możecie zobowiązać się publicznie do usunięcia tej listy z waszej strony?”.

„Publikujemy na naszej stronie neutralne i bezstronne informacje dotyczące praw zwierząt”.

„Chyba zdajecie sobie sprawę ze sprzeczności między słownym

potępianiem przestępstw a publikowaniem na waszej stronie tej listy?”.

„W naszym kraju jest wolność słowa, gwarantująca każdemu zarejestrowanemu stowarzyszeniu prawo publikowania wszelkich informacji, które nie uwłaczają niczyjej godności, nie naruszają prywatności ani nie obrażają uczuć religijnych”.

Szklaneczka z whisky była znów pusta, choć dopiero ją napełnił. Za oknem panował mrok. Wszyscy domownicy już spali.

W gazecie – nie na pierwszej stronie – była krótka informacja o debacie obrońców praw zwierząt z badaczem zwierząt. *Badaczem zwierząt?* Joe powiedziałby o sobie raczej, że prowadzi badania ludzkiego układu wzrokowego. Niektórzy członkowie jego zespołu prowadzili eksperymenty z udziałem zdrowych osób – ludzi! – ale kogo to interesuje. O czterech jego podopiecznych zajmujących się modelowaniem komputerowym – w wyobrażeniach młodych aktywistów mającym być lekiem na całe zło tego świata – nie wspomniano ani słowem.

Najwyraźniej rzeczywisty stan rzeczy nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, co ludziom się wydaje.

I każdy może przedstawić sobie rzeczywistość tak, jak chce.

Jeżeli do tej pory Joe dostawał czasem anonimową karteczkę czy dwie, teraz jego skrzynka pocztowa została zalana mailami od widzów i czytelników gazet – teraz każdy ma własną opinię na każdy temat. Część z nich była zła, część wściekła; jedni opowiadali się po stronie zwierząt, drudzy po stronie młodych ludzi. Jeszcze inni mieli dużo ważnych rzeczy do powiedzenia, ale o sprawach zupełnie niezwiązanych z tematem debaty. Część chciała okazać wsparcie jemu albo właścicielom ferm futrzarskich, część się oburzała, że ktoś próbuje tłamsić wolną przedsiębiorczość.

Ktoś inny znów policzył, ile dziesiątków tysięcy zwierząt doświadczalnych trzeba było uśmiercić, żeby stworzyć optymalizatory VMPFC, i ile setek tysięcy jeszcze zginie, bo konkurencja zaczęła kopiować nowy specyfik i zabiega już o licencję marketingową na własne produkty. Joe nie był pewny, czy wiadomość była w założeniu głosem za eksperymentami ze zwierzętami, czy też przeciwko nim. Nie wszyscy odczuwali potrzebę zatajenia swojej tożsamości, ale liczba niepodpisanych, obelżywych maili znacznie wzrosła.

Dokładnie tydzień po debacie szyba okna w salonie roztrzaskała się na drobne kawałki i coś gruchnęło o podłogę, aż zadrzała sofa, na której Saara oglądała samotnie telewizję na dole. Dziewczyna wrzasnęła tak głośno, że Daniella się obudziła i zaczęła płakać. Było to chwilę po jedenastej.

Joe i Miriam zostali ściągnięci do domu z jubileuszu sześćdziesiątych urodzin Roddy'ego; alkohol zaczynał im właśnie wesoło uderzać do głowy. Do tamtej chwili życie znów wydawało się znośne. Kiedy wysiadali z taksówki przed domem, na ulicy stał już radiowóz i młoda policjantka spisywała relację Saary do czarnego notesu.

Cegła leżała na podłodze w salonie jak ucieleśnienie zapiekłej nienawiści. Dywan był pokryty odłamkami szkła, które lśniły nierealnym, przezroczystym błękitem.

Tamtej nocy spali w hotelu.

Nikt nie chciał wracać do domu. „Tato, jesteś pewny, że nikt już do nas nie przyjdzie?”.

Po powrocie z hotelu dzieci trzeba było długo uspokajać. Pierwszego wieczoru dziewczynki pod byle pretekstem przedłużały swoje zajęcia i marudziły na polecenia, z którymi do tej pory nie miały żadnych problemów. Kiedy w końcu udało się je zagnać do łóżek, Joe pomyślał, że powinien zostać na dole i mieć oko na rozwój sytuacji, choć sam nie był do końca pewny, czego się spodziewać.

Miriam życzyła mu dobrej nocy i nie patrząc nawet na niego, poszła na górę. Kiedy po kolacji wycierał naczynia i przytulił ją do siebie, wydawała się nieobecna i nie zareagowała na jego gest.

Joe siedział w salonie do późnej nocy, patrząc w mrok za oknem. Widział w nim tylko swoje odbicie o miękko rozmytych, rozdwojonych rysach. Miał wrażenie, że jest pusty w środku.

X

W Bloomberg Hall było zimno. Klimatyzację ustawiano tak agresywnie, że Joe najchętniej włożyłby płaszcz. Prawie jak w Edynburgu, pomyślał. Był raz we wrześniu na seminarium w Szkocji jako gość honorowy i przez trzy dni marzył tak, że aż drętwiały mu palce. W centrum konferencyjnym było dziesięć stopni.

Za oknem widział wyblakły od żaru trawnik górnego quada; zniknęli studenci, którzy zazwyczaj kopali tam piłkę albo leżeli i czytali podręczniki. Doktoranci pracowali w swoich pokojach, choć niektórzy też skradli sobie po cichu dzień czy dwa urlopu.

Osoba z zewnątrz nigdy by nie powiedziała, że nie tak dawno gabinet Joego został zdemolowany. Wszyscy już przywykli do nowych mebli i rutynowo obsługiwali nowiusieńkie komputery z zupełnie nowym systemem

operacyjnym. Przestali już nawet zauważać nieco ciemniejszy odcień nowej farby na ścianie.

Joe był zły, że nie można kupić farby w identycznym kolorze jak reszta pomieszczenia. Z zażenowaniem wspominał, jak zwymyślał szefa działu technicznego, kiedy ten próbował mu powiedzieć, że na rynku po prostu już nie ma akurat tego odcienia – bo jeżeli spojrzeć pod odpowiednim kątem, to ta nowa ściana odbija światło inaczej niż pozostałe. A Joe chciał mieć w swoim pokoju jednolity kolor.

Próbował skupić się na wstępnej wersji artykułu Raja, który właśnie poprawiał, ale nie było to łatwe. Przed południem zadzwonił do swojego prawnika Brada, bo tydzień po tamtej katastrofalnej debacie na uniwersytecie zatelefonowała do niego niemłoda już kobieta, opiekunka bezdomnych kotów, i zagroziła, że poda go do sądu za łamanie praw zwierząt.

Trudno było orzec, czy proces przerodzi się w farsę, czy raczej w horror. Wydawało się, że kobieta ma spore szanse wykręcić z tego jedno i drugie. Miriam go przekonała, że lepiej nie czekać na pozew, tylko od razu poradzić się adwokata, co najlepiej zrobić w takiej sytuacji.

– Procesu z tego nie będzie – orzekł Brad.

– Cieszę się – odpowiedział Joe.

– Ale dobrze, że z tym nie zwlekałeś i od razu zadzwoniłeś – dodał prawnik.

„Dobrze, że z tym nie zwlekałeś” – te słowa wystarczyły, by w umyśle Joego zaległa się obrzydliwa myśl, że pewnego dnia będzie musiał odpowiedzieć na bardzo nieprzyjemne, niesprawiedliwe i denerwujące zarzuty. Kobieta jednak już się nie odezwała i Joe nie dostał wezwania do sądu.

Coraz częściej wracał myślami do Miriam, którą incydent z cegłą wstrząsnął najmocniej z całej rodziny. Saara i dzieci, choć przerażone, szybko otrząsnęły się z szoku i wydawało się, że przeszły nad sprawą do porządku dziennego – na ile Joe mógł to ocenić, stojąc z boku. Miriam jednak po tamtym wieczorze stała się milcząca i jej oczy przesłonił niewidzialny woal.

Joe był sfrustrowany, bo przez całe lato czuł się osamotniony na pierwszej linii frontu. Zawsze, gdy chciał porozmawiać, Miriam mruzczała coś pod nosem, nie odrywając spojrzenia od smartfona. Widać w mediach społecznościowych nadal miała co oglądać i komentować i problemy Joego nie mąciły jej przyjemności surfowania po internecie. Właśnie teraz, kiedy chyba w końcu do niej dotarło, że problem dotyczy ich wszystkich i powinni wreszcie połączyć siły, Miriam zaczęła odgradzać się od niego niewidzialnym,

lecz wyczuwalnym murem.

Joe z trudem wrócił myślami do artykułu, kiedy z korytarza dobiegły go jakieś głosy – ktoś najwyraźniej miał gości. Starał się zignorować hałas. Obiecał przesłać komentarze jeszcze tego samego dnia. Na początku roku Raj zaczął mierzyć odpowiedzi z obszarów premotorycznych kory mózgowej kota i jego wyniki nasuwały rzeczywiście interesujące pytania. Miał nadzieję, że w odpowiedniej interpretacji staną się dowodem na istnienie nowego neuronowego systemu komunikacyjnego. Nie było to całkowicie wykluczone, lecz Joe wiedział, że im młodszy badacz, tym większe prawdopodobieństwo, że za dużo sobie obiecuje po swoich badaniach. Odkrycie Raja bez wątplenia zasługiwało na opublikowanie, na razie jednak trudno było orzec, czy materiału wystarczy na większą sensację. Zazwyczaj naukowcy podświadomie robią sobie zbyt duże nadzieje.

Z drugiej strony bywa i tak, że kiedy pod bramką jest kocioł, wystarczy nawet przypadkowe machnięcie kijem, jak by pewnie powiedzieli jego ukochani Finowie. Najważniejsze wcale nie są precyzja, szybkość, zmysł taktyczny ani siła – wystarczy się nauczyć dobrze młócić kijem we właściwym miejscu. I musi to zrozumieć każdy zawodnik w drużynie. Czasem nawet się nie wie, że krążek już wylądował w siatce. Joe sam przecież długo uważał swoje najważniejsze wyniki za artefakty. I rozumiał, dlaczego Rajowi tak się z tym spieszy. Jeśli artykuł się ukaże jeszcze jesienią, poprawi to znacznie jego szanse na rynku pracy.

Kiedy zdał sobie sprawę, że idący korytarzem ludzie zmierzają do jego pokoju, spodziewał się sprawy zawodowej. Ale gdy podniósł wzrok na mężczyznę, który stanął w drzwiach jego pokoju, od razu wiedział, że ta wizyta nie ma żadnego związku z jego pracą na uczelni.

Było ich dwóch, obaj w ciemnych garniturach. Wyglądali dokładnie tak, jak należało się spodziewać: wysocy, o kanciastych szczękach i rozbieganych spojrzeniach. W drzwiach za ich szerokimi barkami mignęła jeszcze Joemu zatroskana twarz Lisy, pewnie chciała mu jakoś pomóc.

Podeszli prosto do jego biurka, tak że musiał unieść głowę. Patrzyli na niego tak poważnie, jakby to on był tą osobą, z którą przyszli się spotkać, Joe jednak nadal nie rozumiał, co ktoś taki mógłby od niego chcieć: musieli pomylić pokoje.

Szukał w myślach najlepszego sposobu na szybkie i uprzejme pozbycie się dwóch masywnych gości, którzy właśnie wyciągnęli do niego ręce na powitanie. Musi zdążyć z tymi poprawkami, żeby Raj mógł pierwszy zatknąć flagę na niezdobytym dotąd szczycie. Był też umówiony na lab meeting, na

którym mieli omawiać mechanizmy hamujące komórek bipolarnych; na korytarzu pod laboratorium będzie stał pracownik prywatnej firmy ochroniarskiej, ponieważ dyskusja na uniwersytecie o komunikacji międzykomórkowej w układzie nerwowym przestała być bezpieczna dla niego. Bo dziesiątki tysięcy innych badaczy na świecie nadal robi to samo, co on – z radością, bo bez żadnych przeszkód z niczyjej strony.

– Profesor Chayefski?

– Słucham?

– Czy ma pan chwilę?

– O co chodzi?

Jeden z nich błysnął odznaką, identyczną jak na filmach. Kolejny element zachodniego dziedzictwa kulturowego, dostępny nawet tym, którzy nigdy w życiu nie spotkali agenta. Joe zdał sobie sprawę, że Raj i Lisa stoją przy wejściu do ich laboratoryjnej kafejki internetowej, jak gdyby chcieli podsłuchać, o czym będzie rozmawiał. Poszedł zamknąć drzwi, przywitał się z przybyszami i poprosił, by usiedli; zaproponował im też kawę, ale odmówili.

Pierwszy wymówił swoje imię i nazwisko i widniejący w legitymacji akronim, taki sam jak w filmach, krótki i szczekliwy. Joe aż się wzdrygnął. Do tamtej pory chyba do końca nie wierzył w istnienie tego całego FBI. I może właśnie przez to, że całe zdarzenie wyglądało dokładnie tak, jak się tego spodziewał, miało wyraźnie fałszywy posmak.

Nagle poczuł w brzuchu ukłucie. Federalna policja kryminalna! Wreszcie ktoś coś zrobi!

Jego radość jednak szybko prysła wobec milczącej wstrzemięźliwości agentów i szybkich, jednosylabowych odpowiedzi. Nie było wątpliwości, że mężczyźni nie mają ochoty w żaden sposób odnieść się do jego domysłów na temat prowadzonego przez nich dochodzenia. Włamanie do laboratorium i wrzucenie cegły do salonu przez szybę zbyli jako wątki nieistotne dla sprawy. Z początku szczerze się ucieszył, że ci ludzie są po jego stronie, ale po tamtym uczuciu został już tylko nieokreślony niepokój i Joe zrozumiał, że będzie musiał sam sobie z nim poradzić.

Agenci przyszli po odpowiedzi – każde jego pytanie zbywali profesjonalnym milczeniem. Chcieli wiedzieć wszystko, co on wiedział. Ale przecież on nic nie zrobił. Nie wyglądali na przekonanych tym zapewnieniem, chociaż powstrzymali się od wyrażenia na głos swoich wątpliwości. Joe był poirytowany i coraz bardziej niespokojny, bo na każde kolejne ich pytanie mógł odpowiedzieć jedynie: Nie wiem. Nie mam pojęcia.

Nie umiem powiedzieć.

Musiał sobie w duchu przypominać, że nie popełnił żadnego zabronionego prawem czynu. To na pewno sen, przemknęło mu przez myśl. Za dużo się naoglądałem filmów sensacyjnych.

A jednak sen trwał, choć drzwi Bloomberg Hall zamknęły się już za agentami. Sen trwał w spojrzeniu Lisy i w stonowanej atmosferze zakłopotania, która zapanowała w instytucie.

Później nie pamiętał dokładnie, o co go pytali, jakich słów używali, co sam dodał do tamtej rozmowy. Wielokrotnie wracał do niej myślami i czuł, że jego wyobrażenia o pytaniach agentów stopniowo przybierają taką formę, jaka najlepiej pasuje do jego własnych interpretacji i wyciągniętych wniosków.

Czy ma syna, który mieszka obecnie w innym kraju, w Skandynawii?

Czy ta osoba może żywić do niego jakąś urazę?

Czy wie, z kim się obecnie zadaje jego syn?

Czyżby naprawdę nie wiedział, co robi ostatnio jego syn?

Tak, ma syna. O ile mu wiadomo, nie ma żadnej urazy. Nie ma pojęcia – poza tym, że chłopak podobno przebywa aktualnie w Stanach. Naprawdę nie wie. Nawet go nie zna. Syn ma w Finlandii matkę i ojczyma i jest z nimi bardzo związany. Z ostatnich otrzymanych przez niego wiadomości wynika, że chłopak zdał maturę z kompletem najwyższych ocen i dostał się na biologię. Chyba się o coś pokłócił z matką, a może z ojczymem, ale on nie zna szczegółów. Powinni raczej zadzwonić do jego byłej żony do Finlandii, ona więcej im powie na ten temat.

Czy wie, o co jego syn mógłby żywić do niego urazę?

O nic, o ile mu wiadomo, o nic. Syn w ogóle nie interesował się swoim ojcem, o ile wie. Nie odpowiedział na próbę nawiązania kontaktu.

– Próbę nawiązania kontaktu?

Mężczyźni wyraźnie wzmogli czujność i spojrzeli szybko po sobie. Joe miał absurdalne poczucie, że popełnił kardynalny błąd. Wyjaśnił agentom, że zaprosił syna do grona znajomych na popularnym portalu społecznościowym, ale ten nawet nie odpowiedział.

– *Nie odpowiedział?*

Bruzdy na ich czołach jeszcze się pogłębiły. Joe poczuł, że zaczyna się pocić pod pachami. Im dłużej go przesłuchiowano, tym silniejsze miał wrażenie, że jest o coś podejrzany.

I im częściej agenci zadawali mu to pytanie, tym większy budził się w nim niepokój: Czy to możliwe, że ta osoba żywi do pana jakąś urazę?

Chyba nie. A przynajmniej nic poważnego. Przecież nie mieliśmy nawet ze sobą kontaktu.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek dostał od syna wiadomość, która nie byłaby zdecydowanie pozytywna w swojej wymowie. Syn prosił go o pomoc w napisaniu eseju, przesłał mu kopię świadectwa dojrzałości, najlepszego w całej klasie, a potem czasopismo, w którym opublikowano jego artykuł. Niestety, kontaktowali się bardzo rzadko, czego Joe bardzo żałował, ale mimo to był dumny, że jego syn radzi sobie tak dobrze. Dwa lata temu miał nawet zamiar jechać do Finlandii na przyjęcie z okazji zdania matury, kiedy chłopak skończył *high school*, ale na drodze stanęły sprawy zawodowe. Tego już im nie powiedział, że z esemesów od Aliny wyczytał między wierszami, że uroczystość rodzinna będzie skromna i niekoniecznie musi przyjeżdżać. Ulżyło mu, że nie będzie musiał odwoływać dawno zabukowanego referatu na Florydzie z powodu wyjazdu do Finlandii, choć oczywiście zrobiłby to dla Samuela, gdyby chcieli go w Finlandii widzieć.

Po wyjściu agentów jeszcze długo się nad tym zastanawiał – gdyby coś było nie tak, Alina na pewno dałaby mu znać.

Zadzwoił do Brada. Ze zdumieniem skonstatował, że jego prawnik jest zły. Z agentami federalnymi pod żadnym pozorem nie wolno rozmawiać bez adwokata! Joe powinien był bezwzględnie ściągnąć go na tę rozmowę. Poza tym agenci nie mają prawa przedstawiać mu żadnych pytań bez obecności jego adwokata.

– Ale ja przecież nie zrobiłem nic zabronionego – tłumaczył się Joe.

– Posłuchaj mnie uważnie – zaczął Brad surowym głosem, jakby mówił do dziecka, które przebiegło przez jezdnię na czerwonym świetle. – Nigdy, ale to *nigdy* nie mów nic agentom FBI. Zrozumiałeś?

– Ale oni są po naszej stronie.

– *Proszę cię.*

Joe czekał na ciąg dalszy, ale Brad w tym swoim „proszę cię” najwyraźniej zawarł już wszystko, co chciał mu powiedzieć.

– Jedno możesz im zawsze powiedzieć – dodał po chwili.

– Prawdę?

– Możesz im powiedzieć tylko i wyłącznie to jedno zdanie: *Przepraszam, zadzwonię teraz do mojego adwokata.*

Ale najgorsze dzieje się pod koniec kwietnia, kiedy wiśnie, derenie i magnolie stają w ogniu różowych i białych kwiatów, a wszędzie wciska się ich ciężki, słodki zapach. Słońce grzeje w plecy, na boisku do lacrosse biegają ociekający

testosteronem chłopacy z raketami, nad rabatami kwiatów w kampusie słyhać jednostajne brzęczenie trzmieli.

Joe stoi razem z innymi w wydziałowym salonie i je kawałek czekoladowego tortu na małym przyjęciu z okazji objęcia profesury przez Boba Lisha; w tym samym czasie Daniella jako pierwsza przychodzi do domu. Wzruszony Joe słyha właśnie krótkiego przemówienia Boba, w którym ten dziękuje mu za pomoc, współpracę i przyjaźń. Z bardzo osobistego tonu Joe wnioskuje, że oczekiwanie na *tenure* – stałą posadę na uniwersytecie – Bob znosił duzo gorzej, niż mu się zdawało. Bardzo się cieszył z profesury Boba i ich doskonale układającej się współpracy; stworzyli razem bardzo zgrany duet.

Może właśnie w tej samej chwili, kiedy Daniella otwiera skrzynkę pocztową, Joe myśli o ojcu Boba, który niedawno zmarł; o człowieku, u którego stwierdzono zaawansowanego parkinsona akurat w tym czasie, gdy Bob zaczynał w ich instytucie bardzo ciężką i stresującą, obfitującą w nadgodziny adiunkturę; musiał harować od rana do wieczora przez cały tydzień na okrągło, kiedy jego ojciec wymagał przecież stałej opieki. Gdy Daniella spostrzega paczkę w skrzynce, Joe myśli właśnie, jak ciężko musiało być Bobowi najpierw zostawić chorego ojca w starym i zrujnowanym domu gdzieś na Środkowym Wschodzie, a potem namówić go na przenosiny do domu opieki w zupełnie obcym dla niego mieście, setki mil od miejsca, w którym spędził całe swoje życie.

Kiedy Daniella uśmiecha się na widok paczki, Joe myśli może o swoim ojcu, jej dziadku, który doczekał śmierci we własnym domu; do końca życia zachował zadziwiająco dobrą formę i pozostał sobą – i gdy Joe odbierał telefon od niego, słyzał w słuchawce zawsze to samo burknięcie:

„Nie odzywałeś się”.

Ale ojciec już nie żyje, Joe był na jego pogrzebie i przemawiał z mieszanymi uczuciami, niepocieszony, z tęsknotą w głosie i sercem przepelnionym przebaczeniem; a teraz Daniella skończyła szkołę i wróciła do domu.

Jest piękny wiosenny dzień, słońce przygrzewa delikatnie i czule, w drzewach przy domu poszczekują indygowy łuszczaki. Daniella wyszła ze szkoły wcześniej niż zwykle, bo odwołano spotkanie grupy National History Day. Zazwyczaj to Saara wyjmuje pocztę ze skrzynki, lecz akurat pojechała z rzeczami do pralni.

Paczka czeka w skrzynce razem z rachunkami i cotygodniowymi niebieskimi ulotkami, na których zdjęcia i numery telefonów zaginionych

czterolatków pytają: „Widzieliście mnie?”.

Paczka jest duża. Zaadresowana do Danielli i Rebekki, owinięta w pomarańczowy papier prezentowy i przewiązana jasnoczerwoną wstążką.

Później Joe widzi w myślach przebieg całego zdarzenia: Daniella, jego mała córeczka z jasnymi anielskimi loczkami, przyciska paczkę do piersi i biegnie do drzwi, otwiera je, rzuca plecak na ziemię i już próbuje delikatnymi paluszkami zerwać taśmę z falistej tektury, co to może być, COTOMOŻEBYĆ?!

W końcu jednak musi się poddać, trzeba przynieść z kuchni nożyczki. No, czemu nie chce się otworzyć! Nawet nożyczki nie pomagają i dlatego musi odwrócić paczkę do góry nogami. Wydziera dolną część i to ratuje jej życie.

W środku jest drewniane, ręcznie wykonane pudełko.

Ponieważ pudełko leży do góry nogami, Daniella nie widzi pokrywy, którą mogłaby unieść. Przez chwilę się zastanawia i próbuje odgiąć wąski bok pudełka. W tym położeniu można rzeczywiście sądzić, że pudełko otwiera się z boku – na całe szczęście.

Danielli udaje się otworzyć bok pudełka.

Na stół wysypują się gwoździe. W padającym przez okno słońcu kłuje w oczy ich metaliczny grymas.

Musi ich być w tym pudełku cała masa.

Daniella robi krok w tył. Dzwoni do matki, ale nie zdąży powiedzieć do końca, bo Miriam krzyczy na całe gardło:

Boże święty, Daniella!!!

Dziewczynka jest tak przestraszona, że wypuszcza telefon z ręki i wybucha płaczem.

Nie dotykaj tego! Na Boga, Daniella, nie dotykaj tego! SŁYSZYSZ MNIE?!

Daniella nie rozumie, dlaczego mama tak się na nią zezłościła.

Natychmiast uciekaj z domu, zamknij drzwi za sobą i biegnij jak najdalej od domu! I nigdzie się stamtąd nie ruszaj! SŁYSZYSZ?!

Daniella?

Daniella!

Słyszysz?!

Jesteś tam jeszcze?!

Daniella?

DANIELLA!!!

Daniella ciągle siedzi na podłodze w kuchni i płacze, kiedy Miriam wjeżdża z impetem na podwórze, z trudem wychodzi z auta i biegnie do środka, krzycząc bez przerwy: *Boże święty, Daniella!*

Drzwi wejściowe są otwarte.

Paczka leży na stole obok zmiętego papieru w wesołym, pomarańczowym kolorze.

Serce Miriam wali tak mocno, aż ciemnieje jej w oczach – i tak, niemal po omacku, słaniając się, wbiega do środka i zagarnia płaczącą córkę w ramiona, ciągnie ją przed dom i ni to siada, ni to upada na trawnik, który pachnie glebą, nadchodzącym latem i świeżą trawą, przyciska Daniellę do piersi, ptaki ćwierkają w ogromnym klonie japońskim i przez chwilę Miriam nie jest pewna, czy ona i Dani ciągle tam są, czy jeszcze żyją, więc czeka na wybuch, lecz wybuchu nie ma, córka ciągle płacze i Miriam uprzytamnia sobie, że może trochę rozluźnić ramiona, i nagle ma wrażenie, że nie przeżyła w swoim życiu jeszcze ani jednego dnia.

Pieśń miłosna idących na śmierć Baltimore, MD, USA

Bombę podłożył amator. Nieporadna samoróbka, ale zdaniem policji prawdopodobnie by zadziałała. Jej piętą achillesową okazała się drewniana skrzynka, którą wykonano tak niestarannie, że można było sądzić, iż otwiera się z boku.

Wewnątrz znajdowała się zaślepiona z obu końców metalowa rurka z nadmanganianem potasu, cukrem i proszkiem aluminiowym. Do pokrywy zamocowano prymitywny, złożony z kilku części elektroniczny zapalnik na baterie.

Ponieważ skrzynkę wypełniono gwoździami, śledczy wysunęli przypuszczenie, że celem zamachowców nie było wyrządzenie szkód materialnych. Detonacja nie spowodowałaby też prawdopodobnie śmierci ofiar.

I dlatego stwierdzono, że celem zamachowców było zadanie jak największego cierpienia: okaleczyć i oślepić.

Na paczce widniały pięknie wykaligrafowane imiona Danielli i Rebekki.

Skończyły się kłótnie o sprzątanie i wynoszenie śmieci. Wprowadzono nowe zasady:

Dziewczynkom nie wolno otwierać paczek ani listów, nawet tych adresowanych do nich. Jeżeli w skrzynce jest jakaś poczta, trzeba poczekać na powrót do domu taty albo mamy. Jeżeli do domu przyjdzie kurier z paczką, nie wolno jej dotykać i trzeba *natychmiast* zadzwonić na policję. Jeżeli paczka zostanie dostarczona samochodem, należy zapisać numer rejestracyjny. Koniec z zakupami przez internet. Książki, płyty i ubrania będą kupowane wyłącznie w sklepie stacjonarnym.

Ani Rebecca, ani Daniella nie może wyjść sama na zewnątrz.

Jeżeli któraś będzie musiała wyjść, pojedzie za nią samochód z ochroniarzami.

To przykre, że koledzy i koleżanki Rebekki będą na domowych imprezach oglądać przez cały wieczór samochód z przyciemnionymi szybami i dwoma facetami w środku, ale trudno, nie ma na to rady.

Jeżeli ktoś zadzwoni do drzwi, nie wolno otwierać. Przyjaciół i znajomych trzeba uprzedzić, że mają się zapowiadać przez telefon.

Jeśli w pobliżu domu pojawi się nieznajoma osoba, należy zapamiętać jej rysopis. Jeżeli zostanie zauważona ponownie, należy zrobić jej zdjęcie komórką i pokazać panu Hackettowi, który raz w tygodniu będzie przyjeżdżał i pytał o rozwój wypadków.

W domu zostanie zainstalowany elektroniczny system przeciwwłamaniowy z czujnikami ruchu i kamerami obsługiwanymi przez firmę ochroniarską.

Pokój gościnny na parterze zostanie przerobiony na schron ze stalowymi drzwiami, których po zaryglowaniu od środka nie da się otworzyć z zewnątrz w żaden sposób.

Trzeba ćwiczyć jak najszybszą ucieczkę do schronu.

I nauczyć się otwierania zaryglowanych drzwi: każdy domownik, nawet Daniella, musi umieć to robić z zamkniętymi oczami, wyrwany ze snu w środku nocy.

Dziewczynki przyrzekną na wszystkie świętości, że nigdy, ale to nigdy nie będą wchodzić do schronu same bez żadnego powodu – nawet dla zabawy.

Trzeba zapomnieć o korzystaniu z mediów społecznościowych, nie mówiąc już o publikowaniu zdjęć czy ujawnianiu w sieci jakichkolwiek informacji o miejscu swojego pobytu.

– Nie wolno wam nawet oddychać w pomieszczeniu, w którym ktoś siedzi w internecie – powiedział pan Hackett. Obrzucił surowym spojrzeniem Rebecę i Daniellę. – To dotyczy was w szczególności.

Dziewczynki potaknęły głowami, patrząc na niego z szacunkiem i lękiem. Joe nigdy by nie uwierzył, że zobaczy jeszcze kiedyś małą, potulną i bezradną Rebecę.

– Chcecie, żebym mógł się troszczyć o wasze bezpieczeństwo? Świetnie. A więc rozumiecie, co wam przed chwilą powiedziałem.

Joe i Miriam rozważają zakup broni, ale rezygnują – z wielu dobrych powodów i paru takich, co do których można mieć dobrze uzasadnione inne zdanie.

Trzeba zapomnieć, że istnieje coś takiego jak życie prywatne, ambicje zawodowe i bojkot Freedom Media.

Trzeba się nauczyć wbijać palce w oczy napastnika z całej siły z zamiarem oślepienia go do końca życia.

Trzeba się przekonywać, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Trzeba płakać, samemu i razem.

Trzeba pracować, wychodzić z domu, walczyć ze strachem, trzeba spać, a przynajmniej próbować.

Trzeba przypominać dzieciom, że nie wolno im otwierać listów, *zwłaszcza*

tych adresowanych do nich.

Daniella i Rebecca nie dotykają poczty – *żadnej poczty.*

Trzeba próbować mówić o czymś normalnym, chociaż raz w tygodniu. To ważne i naprawdę trzeba o tym pamiętać.

Zróbcie coś wreszcie! Powiedzcie, że nie będziecie tego tolerować! Powiedzcie, że to się musi skończyć, że rozszarpiemy was gołymi rękami, że kupimy uzi i nie zawahamy się go użyć, jeżeli jeszcze raz się tutaj pojawicie! Powiedzcie mi, że jesteście po mojej stronie!

Joe dobija się do Barb Fleischmann. Wysyła maile do dziekana, w których krytykuje go ostro jako szefa wydziału i jako człowieka. Krzyczy na rektora w sekretariacie. Kolejne lab meetingi wykorzystuje na wylewanie żółci na studentów i doktorantów; wyniki egzaminów i projekty dysertacji schodzą na dalszy plan.

Studenci rozpaczają, wściekają się, zarywają noce, posyłają Joemu własnoręcznie robione kartki; ktoś rzuca doktorat na ostatniej prostej i wyjeżdża z rodzicami do Iowa. Jak to możliwe? I naprawdę *nikt* nie może na to *nic* poradzić?

Barb Fleischmann odchodzi od zmysłów ze wzburzenia, obiecuje jakieś działania. Roddy pyta, czy Joe nie chciałby nocować u niego, a on dopiero po pewnym czasie zadaje sobie pytanie, co by to niby miało zmienić.

Lisa obejmuje go i mocno przytula, kochana dziewczyna – i wtedy on też się łamie, pierwszy i ostatni raz, i sam nawet nie wie, dlaczego akurat wtedy.

Rektorowi jest bardzo przykro; pyta, czy Joe zgłosił sprawę na policję. Do sekretariatu wchodzi ogromny ochroniarz rektoratu z kaburą przy pasie i pyta, czy wszystko w porządku.

Na zewnątrz panuje duszący skwar. Nad miastem wiszą od dawna ciężkie szare chmury. Joe nie może się pozbyć wrażenia, że lada chwila przyjdzie burza, ta jednak nigdy nie przychodzi. Mimo że słońce nie chce wyrzeć nawet na chwilę, a upał jest tak męczący, że człowiek nie ma już ochoty na nic i najchętniej dałby sobie spokój ze wszystkim.

Joe się bał, że Saara zacznie pomstować na niego i Miriam, mówić im, że zasłużyli sobie na to, bo sami stworzyli to społeczeństwo bezdusznej rywalizacji, bo reprezentują naród, który sprzedaje colę dzieciom w krajach Trzeciego Świata, kradnie ropę Nigeryjczykom, zanieczyszcza im deltę i niszczy całą Ziemię, ale ona z płaczem rzuca im się na szyję i mówi, jak bardzo ich podziwia za to, że wciąż potrafią normalnie funkcjonować, nie wpadają w panikę i troszczą się o dzieci, chociaż żyją w bezustannym

zagrożeniu życia.

Saara mówi im, że się pakuje i wraca do Finlandii.

Rebecca nie chce chodzić do szkoły. Daniella nie rozumie, dlaczego ktoś chce im robić takie rzeczy, dlaczego niektórzy ludzie są tak źli i dlaczego takich ludzi nie zamyka się w więzieniu.

Czy do nich nie dociera, że dzięki eksperymentom jej taty można leczyć poważne choroby?

– To wszystko nie jest takie proste, Dani – mówi Joe i czuje, jak słowa więzną mu w gardle. Widzi, jakim wzrokiem patrzy na niego Rebecca.

Miriam nie może uwierzyć, że można być aż takim sadystą. Że ktoś mógłby *chcieć* zrobić coś takiego. Tak, oczywiście, codziennie na świecie dzieją się bardzo złe rzeczy, nawet w tym mieście, to jasne, ale one przydarzają się *innym* i to ze zrozumiałych powodów – bo handlują narkotykami albo nielegalną bronią. Dawniej Miriam nigdy by nie uwierzyła w to, że ktoś może być tak na wskroś, do szpiku kości, wyłącznie i absolutnie zły, ale teraz rozumie.

W końcu to do niej dociera – i zarazem zdaje sobie sprawę z tego, w jak wielu sprawach w życiu się pomyliła.

Wszystko to Miriam mówi w obecności Joego i jakby pomimo niej. Do kogoś innego, niewidzialnego.

W instytucie panuje atmosfera jak na pogrzebie. Wielu podchodzi do Joego w ich internetowej kafejce, żeby powiedzieć mu coś na pocieszenie, ścisnąć go za rękę czy położyć dłoń na ramieniu. Kafejka to nieduży pokój z ekspresem do kawy, sofą i dwoma komputerami, przy których doktoranci lubią planować eksperymenty i kwękać na ciężką sytuację na rynku pracy.

Teraz, myśli sobie Joe, teraz wreszcie rozumieją.

Tylko że z jakiegoś powodu ta późna satysfakcja wcale go nie pociesza, wręcz odwrotnie: ma wrażenie, że te drobne gesty bliźnich zamykają go coraz szczelniej w odmiennej rzeczywistości, w której już od dłuższego czasu żyje zupełnie sam.

Uniwersytet organizuje konferencję prasową, na której najpierw dziekan wydziału, a potem Roddy mówi grobowym tonem, że jeden z naszych najwybitniejszych kolegów padł niemal ofiarą groźnego zamachu. Ani uczelnia, ani żaden z jej pracowników nie może aprobować takich działań, które należy jednoznacznie potępić.

Joe Chayefski to nasz dobry przyjaciel i jesteśmy całym sercem po jego stronie i po stronie jego rodziny, która z powodu tego niewybaczalnego aktu

przemocy przeżywa straszne chwile w ogromnym stresie.

Joe siedzi i słucha tego przemówienia jak w malignie. Nie wie dlaczego, ale ma wrażenie, że słowa Roddy'ego w ogóle nie docierają do audytorium. Roddy porusza ustami i dzięki mu za to, ale z jego gardła nie wydobywa się żaden dźwięk. Dziekan wygląda poważnie, nadawałby się na katolickiego hierarchę, na kardynała, który kroczy pokornie za swoim papieżem.

Roddy wygląda jak małe, rozczochrane dziecko, zagubiony chłopiec w ubraniu po starszym bracie. Dlaczego na konferencji nie ma Barb Fleischmann, dziwi się Joe, przecież ona jest szefem wydziału, a nie George Roediger. Chociaż prawda, że mógłby nim być każdy, stanowisko szefa wydziału to administracyjne kukułcze jajo, które każdy z nich musi po kolei wysiadywać. Barb nie ma na tej konferencji – dociera nagle do Joego – bo jej własne badania są zbyt zbliżone do jego, i nawet gorzej: Barb robi eksperymenty na naczelnym. Roddy się łudzi, że jest bezpieczny, bo od dziesięciu lat nie używał zwierząt – nie dlatego, by uważał to za nieetyczne, tylko dlatego, że ma sześćdziesiąt lat, jego czwarte małżeństwo właśnie się rozpada, a on sam przeszedł już do tej grupy badaczy, którzy prowadzą wykłady o swoich wielkich osiągnięciach z odległych czasów młodości, zmieniają się w zarządach ogólnokrajowych programów popularyzujących naukę, piszą podręczniki i firmują publikacje swoim nazwiskiem chyba tylko po starej znajomości i/lub z litości – Roddy'ego nikt nie ruszy, uzmysławia sobie Joe, bo Roddy już dawno siedzi na ławce rezerwowych.

Z drugiej strony skąd ta pewność, że terroryści to rozumieją, myśli Joe. W ich świecie i Roddy byłby na pewno wybitnym uczonym, gdyby tylko jego zdjęcie pojawiło się w dziale naukowym gazety obok ryciny przedstawiającej korę mózgową makaka.

Może właśnie tego naukowiec powinien sobie życzyć najbardziej: aby nigdy nie odkrył niczego wielkiego, a już – Boże broń – nie dostał czasem jakiejś nagrody.

– Chciałbym zauważyć... – Roddy unosi spojrzenie i zawiesza głos, który nagle wybrzmiał mocniej niż do tej pory, i Joe natychmiast rozumie, że teraz nastąpi coś strasznego, wie to z góry, podpowiada mu to jakiś niepojęty instynkt.

Roddy chciałby zauważyć, że w instytucie neurobiologii pracują dziesiątki naukowców, którzy nie prowadzą eksperymentów na zwierzętach, którzy stosują w swoich badaniach inne metody: takie, takie i takie.

Odpierdoliło ci?! – O mało nie wykrzyknął Joe. – *Co ty pierdolisz?!*

Roddy podkreśla, że badania z udziałem zwierząt laboratoryjnych są w ich

instytucie stosunkowo rzadkie, a jeśli chodzi o naczelne, to na przykład na szympanсах nie robi eksperymentów ani jeden pracownik instytutu.

Odpierdoliło ci?!

Joe ma wrażenie, że jego krew wypełnia się nagle pęcherzykami powietrza, które za chwilę dotrą do prawej komory serca.

Dziekan dodaje, że eksperymenty na zwierzętach w ogóle nie są typowe na ich wydziale i błędem byłoby uważać ich uniwersytet za miejsce faworyzujące tego rodzaju eksperymenty. Na wielu innych uczelniach przeprowadza się znacznie więcej doświadczeń z udziałem zwierząt.

Dziekan wylicza wszystkie instytuty swojego wydziału i wszystkie wydziały uniwersytetu, gdzie nie prowadzi się doświadczeń z udziałem zwierząt: archeologia, antropologia kultury i antropologia społeczna, nauki poznawcze, kognitywistyka, komunikacja...

Równie dobrze mógłby wyliczyć wszystkich żołnierzy, którzy nigdy nie strzelili do żywego człowieka, wszystkich profesorów, którzy nigdy nie oblali na egzaminie żadnego studenta, wszystkie urządzenia na prąd, których nigdy się nie włącza, wszystkie zagraniczne auta, które nigdy nie zostały sprzedane, wszystkich lekarzy, którzy po katastrofie ekologicznej nie musieli amputować ani jednej kończyny, wszystkich dentystów, którzy nigdy nie wywiercili żadnej dziury w zębie, wszystkich chirurgów, którzy nigdy nie dotknęli skalpela, wszystkich śmieciarzy, którzy mają czyste ręce, wszystkie elektrownie wiatrowe, których wiatraki nie zabiły ani jednego ptaka, wszystkich rodziców, którzy nigdy nie nakrzyczeli na swoje dziecko.

Joe wstaje z miejsca i idzie do przejścia pośrodku audytorium. Staje na wmurowanym w posadzkę trójbarwnym godle uczelni z łacińskim mottem obiecującym światło i prawdę – studentom pierwszego roku wmawia się, że nie wolno po nim chodzić, bo nigdy nie skończy się studiów – i obraca głowę w stronę podwyższenia.

Dziekan milknie, patrzy na Joego i gdy go rozpoznaje, uśmiecha się zachęcająco, ale Roddy wygląda jak przyłapany na ściąganiu uczniak.

– Roddy, *what the fuck?* – mówi Joe.

Roddy, odpierdoliło ci?

Na dworze Joe przysiada na ławce i zaciąga się świeżym, wilgotnym powietrzem nocy; mroczny kampus jest smutny, ale piękny. Siedział w swoim pokoju przez cały wieczór i nic nie zrobił, bo nie mógł się zebrać, żeby wrócić do domu.

Ceglane budynki błyszczą w jaskrawych halogenach jak na planie

filmowym. Na tle ciemnego nieba góruje dumna czerwono-biała dzwonnica Whitton Hall.

Joe myśli o wszystkich swoich studentach, o doktorantach, którym pomagał się usamodzielnąć, których wyprowadził na szerokie wody i gratulował potem z okazji przyjęcia do pracy w UC San Diego, na Temple, w Rutgers czy Northwestern.

Z jakiegoś powodu myśli o dziewczynie, z którą spotykał się jeszcze na studiach i która chodziła z najlepszym zawodnikiem z drużyny lacrosse. Miała dużo większe doświadczenie niż on i kochali się dwa razy w tygodniu wieczorem, kiedy jej chłopak szedł na piwo z kolegami z drużyny, żeby omawiać strategię rozgrywek. Zawsze nosiła szary szydełkowany kapelusz i krawat, a oczy podkreślała przesadnie kajalem; była brunetką, miała ciemne, wyraziste brwi i drobną, szczerą, żarliwą twarz osoby w każdej chwili gotowej zaprotestować przeciw krzywdzie i niesprawiedliwości.

Nie byli sobie szczególnie bliscy, ale z niewiadomego powodu poczuł ukłucie w sercu – a więc jednak coś do niej czuł i uzmysłowił to sobie dopiero teraz, po tylu latach. Dziewczyna nauczyła go palić trawkę i robiła najlepszą na świecie laskę; posuwał ją od tyłu na stole w kuchni święcie przekonany, że za chwilę do domu wejdzie jej chłopak; po jakimś kursie leżeli nago w łóżku, popalając skręty, i pomstowali na Wittgensteina i Heideggera z przekonaniem, o jakim można tylko pomarzyć, gdy nie jest się młodym, niedoświadczonym smarkaczem. Powiedziała mu, że jej chłopak dałby sobie wmówić, że Heidegger to marka francuskiego piwa.

Joe mu zazdrościł – teraz, po trzydziestu latach, mógł się do tego przed sobą przyznać. Z taką dziewczyną chciałby się kochać i palić z nią trawkę częściej niż tylko dwa razy na tydzień.

Pewnego razu spytał ją, dlaczego nie zostawi swojego sportowca, skoro najwyraźniej nie łączy ich nic głębszego. Leżała obok niego w mroku, widział na tle okna zarys jej małego nosa, owal brody i sterczące sutki.

– Wiesz... – odpowiedziała rozleniwiona jeszcze po niedawnym seksie, wydmuchując słodki dym o zapachu mokrego siana – nie jestem pewna, czy byłabym gotowa pójść aż tak daleko. Mimo wszystko.

X

Deszcz przychodzi wieczorem i jak to zazwyczaj na Wschodnim Wybrzeżu – nagle obrywa się chmura: to gorące, tropikalne powietrze znad Zatoki Meksykańskiej zderżyło się na północy z zimnym powietrzem znad Atlantyku.

Joe leży na łóżku i słucha deszczu, który nie wybiera – pada na wszystko i na wszystkich. Po niecałej półgodzinie studzienki są zalane i trawniki przed domami zamieniają się w stawy; na chodnikach i ulicach tworzą się ogromne kałuże, z okapów leje się strumieniami woda.

Joe wstaje i podchodzi do okna, żeby popatrzeć na ulicę: wygląda teraz jak wzburzona rzeka. Pruje nią samotne auto zatopione niemal po maskę. Leje tak, że widoczność nie sięga drugiej strony ulicy. Niebo rozświetla błyskawica i dokładnie w tej samej chwili gdzieś blisko uderza piorun. Huk jest tak potężny, że w kilku samochodach włącza się alarm.

Przystał na propozycję Barb i wykłady zostawił asystentom, którzy zobowiązali się także planować dydaktykę i poprawiać testy. Jemu zostanie tylko podpisywanie dokumentów.

Nie było go w instytucie całe dwa tygodnie. Barb wysłała jego doktorantom wiadomość, w której prosiła o wyrozumiałość, bo sytuacja jest wyjątkowa, i apelowała, aby w sprawach zawodowych tymczasem wspierali się nawzajem.

To jasne, że życie musi się toczyć dalej tak jak do tej pory, do bólu normalnie. Tylko że normalne życie staje się nagle dużym wyzwaniem, kiedy człowiek nie ma pewności, czy może w ogóle wyjść na ulicę.

Tato, jak zamawiam pizzę w restauracji, to czy ktoś mógł do niej coś dodać?

No właśnie! Możemy skończyć jak bezpańskie psy! Przecież są tacy, co podrzucają na ulicy kawałki mięsa nafaszerowane...

Becca, przestań! Nie strasz siostry.

Joe, co byś powiedział, gdybym pojechała z dziećmi do matki i ojca?

Joe, powinniśmy jeszcze raz przejrzeć te papiery dla komisji etyki i złożyć je ponownie.

UWAGA! Dane mogą być nieaktualne! Zawsze dobrze sprawdź ich aktualność!

Optymalizatory VMPFC pomagają ci stać się pełniej sobą.

Joe, recenzenci chcą mieć te zmiany w ciągu dwóch tygodni. Myślisz, że...?

Tato, czy ktoś może jeszcze raz próbować przysłać nam bombę?

Nie popieramy przestępstw.

Osoby młode, które zażywają specjalne optymalizatory dendrytowe ALTIUS!®, czują się o 76 procent bardziej wolne i o 65 procent bardziej samodzielne od swoich rówieśników zażywających zwykłe optymalizatory.

Dostałam ten klip prosto do mojego iAma. Kiedy stałyśmy z mamą na

światłach.

Organizacja, którą reprezentuję, i ja sam uważamy, że obecna sytuacja jest nie do zaakceptowania i nie może dłużej trwać.

Eksperymenty na zwierzętach opierają się wyłącznie na ugruntowanej praktyce i nie dowiedziono, jakoby uzyskane tą drogą wyniki były wiarygodne.

Można to było ustalić także innymi metodami.

Czasem, *bardzo* rzadko, w *naprawdę* wyjątkowych sytuacjach doświadczenia na zwierzętach mogą być pożyteczne.

Tato, moim zdaniem źle postępujesz.

Rano, kiedy Miriam pakuje rzeczy dzieci do pięciu wielkich toreb hokejowych, są już wszędzie, na całym podwórzu. Deszcze zmiękczyły ziemię i pierwsze miliardy właśnie wydostały się na powierzchnię.

Joe już w środku słyszał ich świdrujący hałas, lecz z jakiegoś powodu nie skojarzył, że to one. Cykanie jest tak ostre i przenikliwe, że ręce automatycznie zakrywają uszy.

Idąc do garażu, stara się je omijać. Kiedy pomaga Miriam zanieść torby do samochodu, próbuje nie widzieć, jak bardzo zmęczona – zrezygnowana – wydaje się jego żona. Musi oddychać przez mocno ściągnięte wargi, bo latają chmarami bez ładu i składu, uderzając w twarze i więzząc we włosach. Joe przypomina sobie w myślach, że przez dwa tygodnie trzeba będzie pamiętać o zabieraniu parasola na dwór.

Przez ten hałas z początku nie słyszy telefonu. Kiedy w końcu odbiera, ciągle mu dzwonią w uszach. Skrzeczą i ćwierczą tak głośno, że dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że rozmawia z Hackettem.

Joe nie może się przez to skupić i nie rozumie, po co Hackett do niego dzwoni; chyba się nie umówili na spotkanie tego dnia?

Spadają mu z drzew na głowę i może dlatego z początku nie rozumie, co Hackett ma na myśli, mówiąc, że jakiś Simon Waters zdobył w końcu te informacje o jego synu. Próbują włożyć mu do oczu i ust i z tego powodu długo nie pojmuje, po co Hackett go pyta, czy ma syna, który mieszka obecnie w Skandynawii. Ponieważ są po prostu wszędzie i wszędzie jest ich absurdalnie dużo, Joe ma wrażenie, że musi skupiać na nich całą swoją uwagę i wydaje mu się, że Hackett się pomylił, bo mówi mu, że ktoś gdzieś wynalazł jakieś informacje o jego synu, który mieszka w Finlandii.

Mówi do Hacketta, że wrócimy do tej sprawy za chwilę.

Na każdym metrze kwadratowym są ich tysiące, dziesiątki tysięcy, a wszystkich razem dosłownie miliardy. W mgnieniu oka obsiadły wszystkie

drzewa, krzewy, domy i trawniki. Joe przypuszcza, że może jest ich jeszcze więcej niż ostatnio – a może tak jest za każdym razem; widok wydaje się nierealny, bo od ostatniego razu minęło tyle lat. Otwiera bagażnik i odgania je z twarzy i włosów. Jeszcze nie wszystkie mają skrzydła; larwy biegają po pniach, spadają na ziemię i szukają sobie partnera do rozmnażania, wszystkie te miliardy, w tej chwili, a każdy osobnik wydaje z siebie ten przerażająco wysoki skrzek, który świdruje człowiekowi w uszach.

Joe unosi spojrzenie, powietrze aż poczerniało. Spadają prosto z nieba setkami tysięcy. Są wszędzie: chmary cykad lądują na szybach samochodów, pokrywając je natychmiast kleistą mazią. Spanikowani kierowcy wrzeszczą wniebogłosy i zjeżdżają nagle na przeciwległy pas albo na krawężnik, wpadają na latarnie. Cykady cisną się do ust i nosa, odbierają człowiekowi oddech, ale wciąż z nieba spadają następne, a ich nieprzerwane, jednostajne dźwięki zatykają uszy. Brzmi to jak trąby Sądu Ostatecznego: miliardy zrozpaczonych owadów przeżywających swoją pierwszą i jedyną młodość, pozdrawiają szybko nadchodzącą śmierć w zbiorowej intonacji monstrialnej pieśni miłosnej.

No biggie Helsinki, Finlandia

Alina stała na parkingu szpitala z telefonem w rękę i próbowała uspokoić oddech. Powietrze falowało nad rozpalonym asfaltem, przed okolicznymi domami lśniły narcyzy i tulipany. Lato właśnie się zaczęło i szła do swojego ojca, jak każda inna czterdziestoletnia kobieta, której ojciec zakochał się w elektronicznej foczce.

Jeszcze nigdy nie słyszała u Joego takiego tonu.

Zauważyła, że dzwonił poprzedniego wieczoru, ale nie zdążyła oddzwonić. Na noc wyciszyła telefon i rano bardzo się zmartwiła, bo miała sześć nieodebranych połączeń, wszystkie od Joego. Ale kiedy w Helsinkach jest rano, na Wschodnim Wybrzeżu wybija właśnie północ, a po południu, gdy mogła już zadzwonić do Stanów, musiała z uśmiechem pozować pod srebrnymi parasolami w rozbłysku fleszy. Kilkakrotnie przychodziło jej do głowy pytanie, jaką też sprawę może mieć do niej Joe, ale dziennikarka zaraz ją pytała o nową książkę, o stosunek do własnego ciała i sposoby kontrolowania wagi, a na koniec chciała jeszcze wiedzieć, dlaczego Alina zdecydowała się mówić publicznie o tak ważnych kwestiach społecznych i czy już w dzieciństwie wiedziała, że jest wyjątkowa i po prostu wspaniała. Joe wydawał się wściekły już tylko dlatego, że nie oddzwoniła.

Ale musiał się mylić. Jego słowa po prostu nie mogły być prawdziwe. Połączył ze sobą zupełnie różne, niedające się powiązać sprawy, smutne i przerażające, i choć niektóre części tej dziwnej łamigłówki zdawały się układać aż za dobrze w spójny obraz, w prawdziwym życiu tak się nigdy nie dzieje.

Łzy były wynikiem bardziej agresywności Joego niż tego, co powiedział. W jego zachowaniu było coś przerażającego, wydał się jej nagle kimś zupełnie obcym.

Mimo wszystkich jego braków i problemów Alina zawsze uważała go za człowieka sprawiedliwego (choćaż próżnego i zbikowanego na punkcie kariery), który chce dobrze (choćaż najlepiej rozumie to, co jest dobre dla niego), a przede wszystkim – *dorośle*go. Gdy usłyszała o paczce, natychmiast stanęła po stronie jego rodziny – oczywiście, że tak! – i z całego serca im współczuła.

Ale teraz ta żądza zemsty, która bije z głosu Joego, te przerażająco pochopnie wyciągnięte wnioski, ta żądza skrzywdzenia, bo ktoś skrzywdził ich, żądza wyraźnie wymierzona także w nią, która nie miała z całym wydarzeniem nic wspólnego – tego Alina nie potrafiła pojąć.

Cały świat stał się nagle czarno-biały: kto nie jest po stronie rodziny Joego, ten jest przeciwko niemu.

Patrzyła nieruchomym wzrokiem na biały gmach, za którym zaczynał się zapuszczony zagajnik, patrzyła w dziesiątki niemych okien i wejście przypominające drzwi do urzędu. Tam powinna się teraz skierować i przez te urzędowe drzwi wejść do środka. Spotkać się z sapiącą, zachrypniętą oddziałową, która znów chce jej opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami, kogo ojciec w tym tygodniu szczypał w pupę albo zwymyślał od dziwek.

Joe miał oczywiście rację w tym, co jej powiedział.

Wszystko, co się wydarzyło w Ameryce, to jej wina.

Oczywiście, że była złą matką! Oczywiście, że tymi swoimi przecieranymi przez sitko marchewkami, tetrowymi pieluchami i przerwami na rozwojowe zabawy nie była w stanie zgromadzić tylu punktów za macierzyństwo, co te, które mają męża. Tylko czyja to wina, do jasnej cholery?!

O mały włos nie wybuchnęła znowu płaczem z samego poczucia doznanej niesprawiedliwości.

Weszła do szpitala przez duże rozsuwane drzwi. Musiała zebrać w sobie wszystkie siły, żeby zapomnieć na chwilę o synu i spotkać swojego ojca.

To prawda: jej syn i jego przyjaciele zachwiali pozycją międzynarodowej spółki giełdowej. Tak, doprowadzili na skraj bankructwa trzeci na świecie prywatny koncern badawczy specjalizujący się w eksperymentach na zwierzętach, ten sam, który w tajemnicy przed brytyjskimi obrońcami praw zwierząt próbował otworzyć swoją filię w Finlandii, co mu się zresztą udało. Jej syn i jego przyjaciele dokonali tego bez pieniędzy i szkoleń, na kilku komputerach, siedząc w domu i nie łamiąc prawa.

W oczekiwaniu na powolną szpitalną windę Alina zachodziła w głowę, jak to wszystko jest możliwe i dlaczego nie trąbi się o tym w wiadomościach. To chyba oczywiste, że o koncernie, który w ciągu roku truje, gazuje i ćwiartuje dziesiątki tysięcy zwierząt, można mieć rozmaite opinie. To chyba oczywiste, że można mieć słuszne wątpliwości, czy młodzi ludzie powinni marnować czas i energię na podkopywanie dla idei międzynarodowego koncernu doświadczalnego. Ale czy nie można było powiedzieć, że mimo tych wszystkich wątpliwości grupa młodych ludzi uznała, że tak właśnie trzeba postąpić? I że im się *udało*?

Próbowała wyjaśnić to Joemu. Oczywiście, tak, jest matką Samuela i wiadomo, że nie może być bezstronna! Oczywiście, że nie rozmawiała z ludźmi, którzy stracili pracę, którzy się bali o siebie, kiedy w Anglii urządzano burzliwe demonstracje.

Brzęknął dzwonek. Rozsunęły się drzwi windy i Alina weszła do środka. Oczywiście, że nie zna osobiście dyrektora generalnego Parkingfield Life Sciences International Incorporated, który nawet za te swoje milionowe przychody nie mógł sobie kupić spokoju i podobno zamierzał przenieść się z rodziną do Sri Lanki, żeby się uwolnić od trwających przez okrągłą dobę pikiet pod swoim domem, wiecznie dzwoniących telefonów i zapychających się codziennie faksów, nienadążających z drukowaniem powodzi czarnych kartek.

Do Sri Lanki też się idzie dodzwonić, odpowiedział jej Samuel na pytanie, co robią, kiedy dyrektor przeniesie się na drugi koniec świata.

Joe chlapnął też coś, co ciągle nie dawało jej spokoju. Nawet w pustej windzie nie potrafiła zrozumieć, o co mu chodziło. Nad drzwiami zmieniały się bladozielone cyferki, winda jechała na trzecie piętro.

Metalowe drzwi otwarły się bezgłośnie. W szpitalach zawsze zwraca się uwagę na zapach, lecz dla Aliny szpital to przede wszystkim światło: rozmyta szarość, za ciemna na czytanie, za jasna, żeby spać. Ależ to nie szpital, jak jej przypominano za każdym razem, tylko dom opieki. Nieróżniący się niczym od szpitala dom opieki jest dla pacjentów zwykłym szpitalem, pomyślała Alina. Oddziałowa, kobieta o strasznym głosie, wielkich dłoniach i szerokich barkach, nie lubiła jej – mówił o tym każdy jej gest i każdy wyraz twarzy.

Idąc korytarzem w stronę oddziału, przestała snuć niedowarzone domysły, co też powiedział jej Joe. Nie chciała, żeby pielęgniarki zobaczyły jej zapłakaną twarz. W samochodzie starta z policzków rozmazany tusz zwilżoną chusteczką, ale oczy miała ciągle czerwone i spuchnięte. Otworzyła szklane drzwi i zobaczyła ojca w salonie.

Postęp, to w każdym razie trzeba im oddać.

Podczas poprzednich wizyt zastawała ojca najczęściej w jego pokoju, gdzie leżał w łóżku i gapił się w sufit, ignorując zupełnie hiszpańskojęzyczną telenowelę, którą pielęgniarki włączały mu w każde popołudnie, choć Alina wielokrotnie prosiła, żeby mu raczej rozsuwały zasłony albo wiozły wózkami na zewnątrz, do innych.

Teraz ojciec siedział w najwygodniejszym fotelu, zgarbiony, osłaniając tułowiem kulące się na jego kolanach stworzonko; biała sierść unosiła się i opadała w spokojnym rytmie. Pierwsza myśl Aliny – to coś oddycha –

narzuciła się jako oczywistość, której nie sposób niemal zaprzeczyć. Ojciec obchodził się z pluszakiem jak z niemowlęciem.

Oddziałowa powiedziała, że teraz po podwieczorku ojciec idzie sam do swojego pokoju i nie życzy sobie, żeby „im przeszkadzano”. Chce być z tym czymś sam na sam. Wcześniej po podwieczorku zawsze krzyczał i kopał, kiedy pielęgniarki odwoziły go z powrotem do pokoju; jego wysuszone, starcze ręce są jeszcze zdumiewająco silne. Niejaką Pirjo ścisnął za ramię tak mocno, że wyskoczyły jej siniaki. Czasem kobiety musiały zawołać z parteru trzech roślących mężczyzn, inaczej nie dałoby się ojca odstawić do pokoju. Alina miała ciągle wrażenie, że oddziałowa obwinia za to wszystko ją osobiście; w końcu to jej ojciec.

Podobne myśli miała dzień w dzień, kiedy prowadziła Samuela do przedszkola: robi to, bo sama nie daje sobie z nim rady.

Stanęła w wejściu i czekała, aż ojciec ją dostrzeże. Salon szpitala, który nie był szpitalem – z regałami książek, staromodnym dywanem i kwiatami w doniczkach – można byłoby omyłkowo uznać za miejsce przytulne, gdyby nie unoszący się wszędzie odór samotności, wstydu, zaszczanych pieluch i poczucia, że człowiek został na starość zamieciony pod dywan. I to światło, pomyślała Alina. Dlaczego nie zainstalują tu zwyczajnych, mocnych lamp?

– Tato – odezwała się. – Co tam u ciebie?

Ojciec nie zareagował.

– To ja, Alina – dodała po chwili. Nie była pewna, czy łączy jej twarz z właściwą osobą.

Ojciec rzucił jej szybkie spojrzenie i powiedział:

– Cześć. – A potem przytknął nos do pyszczka białej foczki i spytał: – Nie chcesz jeszcze jeść?

Mój ojciec zakochał się w elektronicznym zwierzątku – przemknęło Alinie przez myśl – a mój syn próbuje ratować te prawdziwe.

– Byłeś dzisiaj w ogóle na dworze? – spytała i zaraz poczuła na sobie gniewne spojrzenia pielęgniarek: przecież została zapoznana z rozkładem tygodniowym i tłumaczono jej sto razy, dlaczego wyjścia na zewnątrz możliwe są tylko w piątki, przy dobrej pogodzie. Której w Finlandii praktycznie nigdy nie ma.

Położyła dłoń na okrągłych plecach ojca. Wyczuwała kościste pagórki jego łopatek i kręków. Za każdym razem, gdy go dotykała, miała wrażenie, że serce się jej kraje.

– Lubi, kiedy ją głaszczesz? – spytała ostrożnie.

– To jest *robot* – warknął ojciec.

Alina musiała powtórzyć sobie w myślach, że pod futerkiem ze sztucznego tworzywa mruczy napędzany słabym prądem silniczek, który porusza plastikowymi stawami i nieczułymi metalowymi kończynami. I że jeśli spełnią się marzenia szefów pewnej fińskiej firmy, niedługo takie foczki będą montowane na taśmie produkcyjnej w chińskiej fabryce.

Wszyscy się nimi zachwycali.

Nie cieszysz się, że stary człowiek wreszcie się czymś zainteresował?

Ma teraz przynajmniej jakieś towarzystwo.

Zobacz, jaki jest zadowolony.

Już pewnie taki zwierzak lepszy niż nic.

„Foczka terapeutyczna Henna” była prezentem od firmy, która miała ambicję umieszczenia swoich produktów we wszystkich oddziałach wszystkich domów opieki w Finlandii. Foką zachwycił się także główny dziennik kraju: w artykule wstępnym redaktor naczelny wyraził życzenie, by innowacje w rodzaju Henny stały się *lokomotywą* fińskiego przemysłu zaawansowanych technologii. Foczka terapeutyczna nieodmiennie wywoływała temat Upadłego Imperium Telefonii Komórkowej; czyżby naród się doczekał i może mieć nadzieję, że oto pojawił się nowy superproducent, który tym razem go nie zdradzi, nie zostawi na lodzie?

Dotychczas sprzedano co prawda zaledwie kilkaset Henn do amerykańskiego szpitala psychiatrycznego, Finowie jednak nie tracą dobrego humoru, bo wariaci w Stanach szybko się uspokajają przy ich empatycznych foczkach. Wkrótce roboty będą pocieszać emerytów po śmierci najbliższej im osoby, cieszył się redaktor naczelny największej fińskiej gazety. Elektroniczne foczki będą uczyły umiejętności społecznych dzieci z zaburzeniami zachowania i dawały poczucie bezpieczeństwa maluchom, którym brakuje w życiu osoby dorosłej.

Robot? – zdziwiła się Alina. *Robot* ma uczyć dzieci umiejętności społecznych?

To na pewno lepsze niż odurzanie środkami znieczulającymi, powiedziała do kamery w wiadomościach urzędniczka, którą wybrano na reprezentantkę opinii społecznej. Jej wypowiedź skłoniła pewnego fińskiego profesora do napisania listu do gazety, który ukazał się następnego dnia w dziale opinii⁴.

Elektroniczna foka nie robi na podłogę. Nie cierpi, jeśli zostanie źle potraktowana i rozzłoszczony opiekun wyrwie jej nogę. Nie umiera, kiedy właściciel zapomni ją nakarmić. Jest cierpliwa i może swojej pani słuchać bez końca i siedzieć na kolanach także takiej osobie, do której nikt inny nie chce się nawet zbliżyć. Elektroniczna foka nie obraża się o słowa, a kiedy się ją

głaszcząc, wydaje autentycznie brzmiące pomruki zadowolenia. Kiedy opiekun obchodzi się z nią brutalnie, zwierzątko pojękuje, ale w rzeczywistości nie można jej zranić.

Usta Aliny zawsze układają się w uśmiech, kiedy sobie przypomina, co powiedział raz jej dowcipny, inteligentny, dorosły już syn Samuel.

Cechy, jakich każdy randkowiec szuka w necie, pomyślała Alina, głaszcząc po plecach swojego ojca, z którym nikt nie potrafił żyć.

Alina spojrzała na białe kwiaty jarzębiny i nagle zrozumiała, co Joe miał na myśli. Zatrzymała się za rozsuwanymi drzwiami szpitala. Od tamtego dnia mijały właśnie równo dwa lata. Ta sama pora roku, ten sam subtelny, jasnozielony początek lata.

Impreza maturalna Samuela.

Święto, do którego przygotowywała się całe dwa miesiące. Wybrała serwetki, rozmroziła chłodziarkę, umyła okna, wypożyczyła parownicę, żeby wyprać sofę, zamówiła kwiaty i obowiązkowe rolady, których nikt nie lubił, ale musiały być; pojechała taksówką po śmietankę, truskawki i wino; przepociła nawet ramię od stanika, a włosy miała białe od pyłu. I musiała jeszcze pamiętać o specjalnej taksówce dla ojca, na ostatnią chwilę nie da się jej zamówić; do końca była pewna, że o tym zapomni.

To było dokładnie dwa lata temu. Brak łypatki do tortu, którą cudem zdążyła pożyczyć od sąsiadki w ostatnim momencie, szampan, który wylał się na dywan w przedpokoju, kieliszki, których po prostu musiało zabraknąć, a potem się okazało, że starczyło dla wszystkich, i góra brudnych naczyń w kuchni, gdzie pomagała jej wesoła siostrzenica Julii. Liście brzozy, wtedy ledwie wyściubiające nieśmiało z pąków miętowozielone fałdki, teraz prezentują się w południowym słońcu w pełni rozwinięte i mocne.

Ojciec sprawiał wrażenie strasznie starego i schorowanego, chociaż – patrząc z perspektywy czasu – był wtedy jeszcze w życiowej formie. Wstawał i chodził, z pomocą, ale jednak, zachowywał się całkiem przyzwoicie, mimo że nie pamiętał już wszystkich imion. I jak mu promieniała twarz, gdy wprowadzono go do mieszkania i stanął w drzwiach. Kiedy, jak Samuel zdołał nawiązać tak szczególną relację z dziadkiem? Na nią ojciec nigdy nie patrzył z taką czułością, nie witał jej z tak wielką, zapierającą dech radością; dlaczego nigdy nie miał tego *dla niej*, swojej córki? Jakby musiał jej w dzieciństwie wydzielać miłość w drobnych – a tu proszę: dla Samuela jest pełna akceptacja i bezgraniczne uwielbienie.

I długi radosny uścisk, jakim powitał dziadka Samuel, niczym odrębna

opowieść z mocnym początkiem, rozwinięciem i zakończeniem. Do tamtej pory chyba sobie nawet nie uzmysławiła, jak bardzo jej ojciec czekał na ten dzień.

Patrzyła nieruchomo w klinkierową ścianę szpitala i nagle poczuła, że grunt usuwa się jej spod stóp. Czy naprawdę mogło tak być?

To, co chwilę temu Joe powiedział jej przez telefon? Prawda, że już wczesną wiosną pytał w mailu, o jaką imprezę chodzi i czy będzie dużo gości. W lot zrozumiała, do czego pije: delikatnie sondował grunt, bo nie wiedział, czy się go w Finlandii spodziewają, a nie miał śmiałości zapytać wprost. I znów sobie przypomniała, że ta jego postawa doprowadzała ją niemal do szewskiej pasji. To emanujące z każdego słowa poczucie musu, ta niechęć do nieprzyjemnego spotkania po latach. Miał ich po prostu w dupie, a teraz chciał jeszcze dostać od niej w mailu potwierdzenie, że nie warto się było starać!

Ona ma go teraz rozgrzeszyć za ten moralny uwiąd!

Aż się wzdrygnęła, kiedy ktoś na parkingu uruchomił silnik i samochód przejechał wolno obok niej.

To nie była jego postawa, zazgrzytały na żwirze opony auta. Tylko twoja, wymruczał silnik, kiedy samochód wyjeżdżał na ulicę.

Czy to może być prawda?

A jeżeli Joe rzeczywiście mógł przyjechać, naprawdę chciał?

Nawet jej to wtedy nie przyszło do głowy i dopiero teraz, stojąc na parkingu jak słup soli, zdała sobie sprawę, że mogło tak być. Z gniewnych, rzuconych mimochodem słów Joego wyczytała nagle, że wszystko, co się przytrafiło jego rodzinie, to wyłącznie jej wina, czego dowodem była już impreza maturalna, chociaż Alina nie rozumiała, jak jedno łączy się z drugim.

Nie wiedziała wtedy, że Joe już napisał Samuelowi, że mógłby przylecieć do Finlandii. Tylko najbliżsi krewni, odpowiedziała. *No biggie.*

Nic wielkiego.

I Joe! Joe, który znał ją od lat, znał też te najmroczniejsze i najbardziej wstydlive zakamarki jej duszy, *oczywiście bezbłędnie odczytał aluzję.* W lot pojął, o co chodzi, zuch chłopak! Odpowiedział krótkim esemesem, w którym prosił o przekazanie Samuelowi serdecznych gratulacji.

Alina zacisnęła mocno powieki, po czym znów otworzyła oczy i wbiła spojrzenie w asfalt. Czy to mogła być prawda? Jedyna okazja dla ojca i syna – którą ona storpedowała?

Nie chciało jej się wierzyć, że mogła wtedy tak opacznie zinterpretować całą sytuację. Ale narastający w piersiach pałący ucisk mówił jej wyraźnie, że

właśnie tak było.

Gniew od razu podniósł łeb. To jaki z niego facet, kurwa, jaki?! Akurat wtedy, kiedy trzeba było machnąć ręką na te swoje zniewieściałe założenia i troski i pomyśleć szerzej i dalej, zachować się wreszcie, jak przystało na *faceta*, akurat wtedy on postanawia łapać ją za słówka i bierze sobie do serca każdą jej aluzję! Każdą, najbardziej kretyńską aluzję swojej byłej żony – czego *nigdy* nie robił, kiedy byli razem.

Nie trzeba jej było brać tak na serio!

Alina miała ochotę ryczeć ze złości. Na szczęście była już tak wyczerpana, że z oczu nie pociekła ani jedna łza.

Reszta pójdzie jak z płatka Baltimore, MD, USA

Joe pojmuje swój błąd, kiedy drzwi garażu podnoszą się do połowy. Całe pomieszczenie natychmiast wypełnia się świerszczącą czarną chmurą. Trzeba było najpierw wsiąść do auta, a dopiero potem otworzyć pilotem drzwi. Ale jest już spóźniony i dlatego na chwilę zapomniał o cykadach.

A więc w Maryland jest znowu lato, szare i okrutnie parne lato. Żeby je poczuć, wystarczy wejść do garażu, gdzie nie ma klimatyzacji. W domu musiał zainstalować nad schodami duży wentylator, bo chłodne powietrze za nic nie chciało płynąć do sypialni na piętrze. Na zewnątrz gęsta wilgoć skrapla się na skórze i trudno orzec, co jest powietrzem, a co potem i wodą: wszystko jest teraz jednym i tym samym.

Przez następne trzy miesiące całe miasto będzie się przemieszczać klimatyzowanymi autami z jednego klimatyzowanego pomieszczenia do drugiego. Ludzie będą podjeżdżać pod same drzwi budynków, najbliżej, jak się da, bo nawet najkrótszy kontakt ze światem zewnętrznym wydaje się za długi. W przerwach meczów baseballa widzowie znów będą mogli zgadywać, ile tym razem tablica pokaże wilgotności względnej: sto, sto czy może jednak sto?

Joe próbuje nie zamykać oczu i machając ramionami, przedziera się do samochodu, lecz buczące i huczące, wciskające się do oczu i nosa owady jednak wygrywają. Zaciska więc powieki i wstrzymuje oddech, starając się namacać klamkę drzwi. Czuje się jak idiota, bo przez chwilę szukał jej o dobre dziesięć centymetrów za daleko w prawo. W końcu wskakuje do środka i szybko zatrzaskuje drzwi.

Spóźni się na zebranie uczestników bojkotu Freedom Media. Przygotowywał je od dawna, poświęcił wiele niedzielnych wieczorów na tłumaczenie ludziom, dlaczego to takie ważne, zapraszał i namawiał. Ale teraz jest zły, bo i na to trzeba wykroić sobie czas, a w jego życiu nie ma teraz miejsca na takie zabawy: przed spotkaniem musi jeszcze złapać gościa z agencji ochrony cyfrowej.

Cofając samochód, wyciąga z kieszeni smartfon. Oczywiście podczas jazdy nie wolno rozmawiać przez telefon, ale zdaje się, że reszta świata też nic już sobie nie robi z żadnych zasad.

Największy spec agencji, Simon Waters, raczej nie zmieni tego, co się wydarzyło, myśli Joe, wybierając jego numer.

– Pan Waters? – pyta, wyjeżdżając na ulicę.

Z drzew po obu stronach drogi spadają na ziemię czerwonoookie owady niczym krople wody podczas deszczu. Jeszcze przed chwilą ich tam nie było, a teraz są już wszędzie – obsiadły każdy milimetr kwadratowy wszystkich pni i gałęzi.

Zarówno Hackett, jak i Brad po incydencie z paczką kazali Joemu natychmiast skontaktować się z którąś z agencji ochrony cyfrowej. Obaj też polecali Digi-Hound jako najlepszy wybór, choć oczywiście – niestety – nie najtańszy. Na stronie agencji Joe przeczytał, że normalne przeglądarki widzą niecałą setną część dostępnych w internecie danych, ale można wniknąć w sieć głębiej, pod powierzchnię, i zobaczyć więcej. Digi-Hound oferuje szeroki zakres usług dopasowanych do indywidualnych potrzeb: grupa naszych profesjonalistów wyposażonych w odpowiednie narzędzia jest najlepszą gwarancją, że w stogu internetowego siana znajdzie się także Twoja igła.

„Mogę panu niemal obiecać, że się pan mocno zdziwi – powiedział Waters na ich pierwszym spotkaniu. – Każdy laik przeżywa na początku wstrząs”.

Waters w jednym ze swoich wcześniejszych wcieleń był ekspertem bezpieczeństwa sieciowego w jednej z rządowych agencji i wiedział wszystko o dziurach i backdoorach, jakie od lat tworzy się celowo w systemach operacyjnych komputerów domowych, portalach społecznościowych, systemach poczty elektronicznej oraz przeglądarkach, kamerach i bankach internetowych.

„Czyli co, włamujecie się do prywatnych komputerów? – zdziwił się Joe. – Czy jak to robicie?”.

Waters się uśmiechnął. Joe nie miał pojęcia, że można mrugać zamkniętymi oczami, do tego tak szybko. Było widać, że facet przywykł już do nieporadnych sformułowań klientów i ich etycznych wątpliwości i nauczył się reagować na tę naiwność ciepłym uśmiechem. W Digi-Hound Inc. wierzymy, że człowiek ma prawo mieć oczy otwarte. W Digi-Hound Inc. wierzymy, że nie jest grzechem wiedzieć, jakie informacje krążą w świecie cyfrowym.

Nie chcieliby państwo wiedzieć, kiedy jakiś recydywista planuje napad na wasz dom?

Jeszcze pan pyta.

Na każdym innym etapie życia Joe by ich wyśmiał, obsmarował w gazecie

albo złożył doniesienie na policję, teraz jednak nie pragnie niczego bardziej niż tych ukrytych informacji. A jak ktoś zacznie mu pieprzyć o prawach obywatelskich, to z mety dostanie w mordę. Tak, Joe zawsze uważał się za ideowego lewicowca, za jednego z tych, co to chcieli ograniczać uprawnienia policji i rozpieszczać więźniów aż do zepsucia. Nadal się zresztą za takiego uważa, bo za wolną demokrację trzeba pewną cenę zapłacić. I jeszcze wróci do aktywnego wspierania tych idei, obiecuje to sobie – kiedy tylko wyjaśni się sytuacja, w jakiej znalazła się jego rodzina. Tymczasem jednak, na ten krótki czas, prawa obywatelskie i ochrona danych osobowych mają dla niego taki sam priorytet, jak ratowanie dżdżownic przed rozjechaniem.

Niechaj więc nastanie państwo policyjne, jeśli to ma uratować życie jego córek, ich anielskie loczki i brązowe oczy. Jak to lubi powtarzać pan Waters: żyjemy w społeczeństwie, które funkcjonuje tak, jak funkcjonuje, czy tego chcemy, czy nie. I dlatego wybieraj: też chcesz mieć dostęp do informacji, czy mają one pozostać tajemnicą nadawcy paczki z bombą?

– Przy telefonie.

Waters mówi zdecydowanie, akcent wskazuje na Nowy Jork. Joe przedstawia się i mówi:

– Obiecał mi pan na dzisiaj jakieś informacje.

– Chayefski? Tak... Dostał pan tę IED?

– Aj-e... co?

– Bombę samoróbkę – wyjaśnia Waters.

Cykady zalewają przednią szybę, Joe przypomina sobie teraz, że słyszał już ten skrót w wiadomościach. W relacjach z Iraku i Afganistanu. *Improvised explosive device*.

– Rozmawiałem już z pańską żoną – dodaje po chwili Waters.

– Wiem.

– Proszę o chwilę cierpliwości.

Z odgłosów w słuchawce Joe wioskuję, że Waters szuka w komputerze odpowiedniego katalogu. Klimatyzacja w aucie huczy na pełnych obrotach, na szczęście. Powietrze w środku chłodnieje prawie od razu.

Joe z początku podejrzewał, że obietnice firmy Digi-Hound to marketingowa ściema, ale zmienił zdanie, kiedy Waters pokazał mu w swoim biurze jego prywatne dane, do których dokopał się w sieci za jego zgodą. W ciągu dwudziestu minut zebrano się tego tyle, że starczyłoby na dzieło grubości książki telefonicznej: całe życie Joego ze szczegółami, od dioptrii szkieł jego okularów, przez panięńskie nazwisko matki, tytuły książek zamówionych przez internet i imiona psów przyjaciół, po całkowicie

prywatne, jak do tej pory mniemał, czaty ze znajomymi i specjalne klauzule w umowie ubezpieczeniowej.

Zaledwie dzień wcześniej wybuchł kolejny narodowy skandal. Okazało się, że agencja bezpieczeństwa od lat rejestruje prywatne rozmowy użytkowników portali społecznościowych i obrazy z domowych kamer internetowych, a w setkach tysięcy komputerów kazała montować nadajniki radiowe służące do śledzenia poczynań także tych użytkowników, którzy nawet nie łączą się z internetem. Jeszcze rok wcześniej za takie twierdzenia posłaliby człowieka do psychiatryka, a dziś – pisze o tym „New York Times”!

Joe był zaszokowany tymi rewelacjami – czy my naprawdę żyjemy w takim świecie? Kiedy wspomniał o tym na spotkaniu w Digi-Hound, Waters wybuchnął śmiechem.

– Czysta niewinność! Jakie to wszystko było jeszcze wtedy skromne!

Joe nie wie, na ile legalne jest to, co robi Simon Waters i jego ludzie. Tego też by się po sobie nie spodziewał: że tak chętnie przyłoży rękę do łamania czyichś praw obywatelskich. Tak, to nie jest właściwe, a może nawet jest bezprawne. Ale teraz liczy się tylko to, żeby nie złamać prawa i nie zostać za to pociągniętym do odpowiedzialności. Poza tym gdzieś w środku Joe uważa tę swoją nową postawę nie tylko za słuszną, ale nawet za *moralną*, choć coś w nim się buntuje i nie chce mieć z Watersem i jego firmą nic wspólnego. Jesteśmy w sytuacji wyjątkowej – Joe próbuje być rozjemcą ścierających się w jego myślach różnych punktów widzenia.

Kiedy prawo uznaje tę czy inną metodę działania za nielegalną, Digi-Hound Inc. już od dawna z niej nie korzysta, zapewnił go Simon Waters. Reguła to pięć lat. Kiedy legislacja rozwija się do tego stopnia, że potrafi zakazać używania konkretnego narzędzia, my już go nie używamy od pięciu lat. Choćby dlatego, że spada jego skuteczność.

Luki w zabezpieczeniach tworzą celowo dla służb bezpieczeństwa – a więc w tajemnicy przed społeczeństwem – i dlatego oficjalnie nie istnieją. Dlatego też nie ma na nie żadnych paragrafów i nie warto sobie zaprzętać głowy ewentualnymi następstwami prawnymi. Digi-Hound świadczy usługi tysiącom klientów i ich liczba rośnie wykładniczo. Przecież już w umowie Joe i Miriam wyraźnie stwierdzają, że zabraniają zleceniobiorcy stosowania metod nielegalnych, a zatem ryzyko sądowe zostało przerzucone całkowicie na barki Digi-Hound Inc., które to ryzyko Simon Waters i jego współpracownicy ponoszą z uśmiechem na ustach.

Inna rzecz, że za darmo tego nie robią. Cennik mówi za siebie.

Z zamyślenia wytrąca go głos Watersa w słuchawce.

- Ma pan syna w...
 - Tak, w Finlandii.
 - Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości.
- Syn w Finlandii.

Joe czuje, że zapada się w fotel. Wiadomo, że będą grzebać, w czym tylko się da, byle wyciągnąć od nich pieniądze. Grubość portfela Simona Watersa zależy od tego, czy uda mu się wykreować tę igłę, której będzie potem szukał w internetowym stogu siana. Nikt nie będzie płacił za szukanie bez naprawdę dobrego powodu, żeby je komuś zlecić.

A jeśli to prawda? To co wtedy?

I w tym momencie Joe przypomina sobie dwóch ubranych na czarno facetów o kwadratowych szczękach i czuje ostre ukłucie w żołądku. Czy ich pytania też nie krążyły wokół tego samego tematu – jego mieszkającego w Finlandii syna? Uspokój się, myśli Joe, bo widzi, że zaczyna wyprzedzać zbyt agresywnie. Wolałby, żeby odpowiedzi na te pytania nie musiała nigdy szukać akurat jego żona, śmiertelnie przestraszona matka, która za wszelką cenę usiłuje chronić swoje dzieci. Ze zdumieniem słuchał pozytywnych komentarzy Miriam o pewnym polityku republikańskim, który obiecuje politykę *tough on crime*, czyli że ostro weźmie się za przestępców. Wcześniej Miriam nawet by do głowy nie przyszło, by głosować na kogoś takiego, ale kiedyś musi być ten pierwszy raz. Człowiek zaczyna wierzyć, że tylko tak można zapewnić należyte funkcjonowanie choćby najbardziej prymitywnych zrębów społeczeństwa.

Ale to jest właśnie zwycięstwo terrorystów! – wyrwało się Joemu, kiedy wspomniała mu o tym polityku. Wszystko będzie stracone, jeśli poddamy się lękowi i zapomnimy o naszych wartościach, powiedział jej. Przecież nigdy wcześniej nie głosowałabyś na populistę!

Gwałtowna reakcja Miriam na jego komentarz przypominała mu pierwsze dni po urodzeniu Rebekki, które jego żona spędziła z głową w hormonalnej chmurze. Tak był wtedy zaszokowany jej wybuchami zupełnie bez powodu, że zaczął już podejrzewać, że w szpitalu podmieniono mu żonę.

Zapamiętaj sobie raz na zawsze: żadnych dyskusji o polityce z nikim, a już szczególnie z Miriam, dopóki dzieci nie będą znowu na sto procent bezpieczne.

Joe miał nadzieję, że wykupienie pakietu podstawowego firmy Digi-Hound obniży ciśnienie Miriam i poziom kortyzolu w jej krwi zejdzie z wartości krytycznych bliżej normy. Ale oto nagle zdaje sobie sprawę, że spuszczone ze smyczy cyfrowe ogary Watersa prędzej czy później podejmą trop

w najgłębszych zakamarkach sieci, a wtedy jego komputery połączą ślady specjalnym algorytmem i wyliczą, gdzie najprawdopodobniej, w której części sieci należy szukać obiektu – i że wszystko to tylko podnosi ciśnienie i tak już niebezpiecznie nakręconej Miriam.

Ale tego przecież chcieliście! – słyszy w myślach szyderczy głos. Sam wynająłeś trawler i sam się pchałeś do grzebania w wyoranym z dna mule.

Prędzej czy później Waters odkryje, że wandalę mieszkają w okolicy, próbuje uspokoić sam siebie Joe. Nie w ich kwartale, w sąsiednim. Oni tak podobno robią: własnych kiosków i sklepów z alkoholem nie ruszają, napadają na te trochę bardziej oddalone.

Ale okazuje się, że Waters już znalazł to, czego szukał.

– Nie wygląda to dobrze. Jeśli mam być z panem zupełnie szczery – mówi do Joego.

– Nie wygląda dobrze dla kogo?

– Dla nikogo.

Simon Waters podkreśla, że razem ze swoimi współpracownikami szukał szczególnie tych informacji, które pozwolą na stworzenie ogólnego obrazu sytuacji.

– Innymi słowy te materiały niekoniecznie się nadają na materiał dowodowy.

– Czyli...?

– Na przykład w sądzie.

– Rozumiem.

Waters wyjaśnia, że informacje mogą pomóc w dotarciu do mocniejszych materiałów dowodowych, dzięki którym można będzie wystąpić do sądu o nałożenie na Samuela zakazu zbliżania się albo o wydalenie go z kraju.

– Zakazu zbliżania się...? O czym my w ogóle rozmawiamy?

– Może chciałby pan do mnie przyjechać? Albo ma pan teraz chwilę?

– Dziś absolutnie nie dam rady. Proszę mówić.

– A więc: na razie mamy tyle – mówi Simon Waters i zaczyna zdawać mu relację.

Słuchając go, Joe czuje, że zaciśnięte mocno na kierownicy dłonie pokrywają się zimnym potem. Jadące z naprzeciwka samochody wydają się nierealne, jak w grze komputerowej. Ostatnio widział swojego syna, kiedy nie miał on jeszcze roku, ale Simon Waters mówi właśnie o nim. Rejestrując informacje odczytywane mocnym, rutynowym głosem, Joe zadaje sobie w duchu pytanie, na ile pewne są te wszystkie dane. Może część to nadinterpretacje? Ale to słaby szept człowieka, który już się w zasadzie

poddał. Bo jednocześnie słyszy w myślach inny głos – tak niski i przerażająco pewny, jak gdyby należał do kogoś innego – i ten głos mu mówi, że Simon Waters nie kłamie.

– To nie są tego rodzaju dowody, z którymi można pójść do sądu – skrzeczy w słuchawce Waters, jak wielka, nażarta ropucha. – Prawnik musi wszystko sprawdzać, występować o nakazy rewizji i w ogóle wszystko musi się toczyć oficjalnym torem.

Joe gnie się pod naporem tych słów jak trawa na wietrze. Odpowiada monosylabami na pytania Watersa, za szybko migają mu drogowskazy zjazdów z I-695. To zdążył już tu dojechać, na międzystanową? Nawet nie pamięta, jak się tutaj znalazł.

Chyba ciągle rozmawia z Watersem; próbuje się zmusić do skupienia na słowach rozmówcy, lecz jego głos brzmi dziwnie miętko i anemicznie. Słuchając go, zdołał jakimś cudem zjechać we właściwym miejscu, a potem, pochylając się do szyby i mrużąc oczy, odnaleźć właściwą ulicę, chociaż wszystko dokoła nagle się rozplywa falami na boki.

Po zaparkowaniu Joe otwiera drzwi i cisnące się do oczu i nosa owady przywracają go do rzeczywistości. No tak, ten odgłos to one, to jeszcze trwa. Jaja, przychodzi mu nagle na myśl, wkrótce cały kraj pokryją miliardy owadzich jaj. Balansuje na sztywnych nogach. Przez chwilę nie jest pewny, czy może zaufać swojemu błędnikowi, ziemia dziwnie umyka mu spod stóp.

Zebrania zupełnie nie rejestruje. Przygotowywał się do niego od tygodni, a w zasadzie od miesięcy, do tego zmierzał jako organizator bojkotu od początku roku, sam osobiście tych wszystkich ludzi tu ściągnął – profesorów, dziekanów i dyrektorów bibliotek – dzwonił do nich wieczorami do domów, namawiał i obiecywał złote góry, byle tylko stworzyli wystarczająco silną grupę. A teraz czuje się tak, jakby miał tripa po LSD.

Joe słucha ich wypowiedzi, ale ma wrażenie, że mówią w jakimś obcym języku, gapi się na niby-znajome twarze jak na zielone ludziki z Marsa. Przez cały ten czas kołacze mu w głowie tylko jedno pytanie. I tylko jedna rzecz ma w tej chwili sens, w niej ogniskuje się sens życia oraz wszystkie cele i pragnienia.

Zadzwoń do Aliny i dowiedzieć się, co jest grane.

Niechby odpowiedziała mu przynajmniej na kilka podstawowych pytań.

Tylko że Alina nie odbiera. Próbował już cztery razy w ciągu ostatniej półgodziny.

Jest przewodniczącym zebrania i nie odważy się ponownie wyjść z sali.

Wszyscy widzą, że zachowuje się jak pacjent po zawale mózgu; Joe Chayefski traci rozum, już stracił.

– Sprawa rodzinna – sili się na zduszony ton, kiedy znajoma bibliotekarka patrzy na niego przy powitaniu nieco zbyt ciepło i pyta, czy wszystko w porządku.

Wersja przedstawiona przez Alinę wydaje się teraz odrobinę wygładzona.

„Samuel ma trochę kłopotów z prawem”.

Zdaniem Watersa scenariusz zawsze jest taki sam: stroniący od ludzi młody człowiek, inteligentny, może nawet wybitnie uzdolniony, który jednak – czy to z powodu nieudolności, czy to przez problemy psychiczne – w godny pożalowania sposób marnuje swoje szanse, w końcu zostaje odtrącony przez dziewczynę i zraża się do całego świata, zaczyna go obwiniać za wszystkie swoje niepowodzenia i mścić się na społeczeństwie.

Samuel miał dobry okres po przygodzie z uniwersytetem – i o tym akurat Alina Joemu powiedziała. Przez jakiś czas pracował w firmie Laajakosken Biotieteet Oy i z początku nawet bardzo mu się tam podobało, ale nagle rzucił papiery na stół, wyszedł, trzaskając drzwiami. I się zradykalizował.

– Co to było z tym Laaja... Co to była za firma? – Joe przypomniał sobie w końcu, że miał spytać o to Watersa. Czuł się tak, jakby miał wysoką gorączkę. – Co tam się stało?

– Robili testy bezpieczeństwa. Dla dużych firm.

– Testy bezpie...

– Na zwierzętach.

Joemu zaczyna wirować przed oczami.

Jego syn *radykalnym obrońcą praw zwierząt*? Jednym z tych, którzy nazywają go Hitlerem i plują mu na plecy? Posyłają bomby do domu?

A on o tym nawet nie wiedział?

Przez zakurzone żaluzje do szarej sali wykładowej sączą się przymglone promienie słońca. Serce Joego wali jak szalone.

„A ty nic o tym nie wiesz – powiedziała Miriam drżącym głosem, kiedy przed zebraniem zadzwonił do niej z korytarza. – *Nic*”.

To jakieś nieporozumienie, niefortunny zbieg okoliczności, ktoś tu zbyt pochopnie wyciągnął wnioski. Joe nie może jednak tego węzła rozplątać, bo Alina nie odbiera. Kurwa, tak nie może być, żeby przez cały dzień nie odbierać telefonu!

Miriam z kolei nie ma żadnych wątpliwości. Powiedziała mu przez telefon, że od samego początku czuła, że chodzi właśnie o coś takiego. Ale to musi być tak, że nieznajoma była żona jej męża i jego wyrosły w obcej kulturze

syn stanowią dla niej wystarczająco egzotyczną kombinację, by wykarmić wszystkie jej lęki i najczarniejsze scenariusze.

Miriam nie widziała, jak pomarszczony Samuel wypadł na stół fińskiej porodówki, nie widziała jego sinego, śmierdzącego śluzem trzykilogramowego jestestwa i zakrwawionych smolistoczarnych włosów. Nie musiała nigdy otwierać zaczynających się od „Dear Joseph” maili – z prośbą o pomoc w napisaniu eseju i z kopią świadectwa ukończenia szkoły średniej.

Dear Joseph ma w sobie coś takiego, że Joe znowu odczuwa wzruszenie i musi spuścić głowę.

To nieporozumienie.

Dlaczego Alina nie odpowiada? Z reguły jest to pięć lat. Prawodawstwo nie istnieje. Zawsze dobrze sprawdzać aktualność danych. Czy ta osoba może żywić do pana jakąś urazę? Można to było ustalić także innymi metodami.

To prawda, że on nie wie nic o swoim synu, ale że Alina nic mu o tym nie pisała, nie mówiła? Kurwa, dlaczego go w ogóle nie informowała na bieżąco?! Joe jest nagle tak wściekły na swoją nieporadną eks, że najchętniej udusiłby siedzącą obok niego miłą bibliotekarkę, którą zawsze lubił. Musi się bardzo starać, żeby nie wybiec z sali; rozgląda się po laboratorium językowym, które udostępniono im grzecznościowo, nieodpłatnie, i niczego w tej chwili tak bardzo nie pragnie, jak rozpierdolić cały ten niepotrzebny sprzęt w pizdu, powyrywać te śmieszne mikrofony z mięsem i jebnąć nimi o podłogę, żeby im pokazać, jak żalosną pozycję zajmują we Wszechświecie, wypierdolić te wszystkie drewniane pulpity w stylu retro jeden po drugim przez okna, niech leżą, kurwa, w trawie połamane w chuj. Bo jakaś banda osiemnastoletnich ekspertów z wargami poprzebijanymi metalowymi ćwiekami i ramionami pokrytymi niby-japońskimi ideogramami uznała, że prawem nie trzeba się już przejmować, i przez prawie *dwa lata* planowała w mrocznych zaułkach sieci ataki na jego rodzinę – a Alinie nawet nie przyszło do głowy, żeby wspomnieć o tym *choćby jednym słowem*?!

Joe musi chwycić się krzesła, bo inaczej wybiegłby z sali i znów zadzwonił do Aliny.

Zamyka oczy. Pod powiekami biegają mu jak karaluchy wyimki z raportu końcowego Simona Watersa, pourywane, tchnące osobliwą niby-obiektywnością wyrażenia, które przejrzał pobieżnie w samochodzie na wyświetlaczu swojego smartfona. Traumatyczne, naznaczone werbalną przemocą rozstanie z dziewczyną. Kartoteka medyczna z informacją o chorobie afektywnej dwubiegunowej i bierno-agresywnym zaburzeniu

osobowości; leczenie przerwane z powodu negatywnej postawy pacjenta. Czynniki wskazujące na stosowanie przemocy i podżeganie. Hejt wymierzony między innymi w ojca obiektu, profesora Chayefskiego.

„Hejt?” – zdziwił się Joe.

„Nie było tego tyle, ile na tę dziewczynę, która od niego odeszła, ale i tak całkiem sporo o panu napisał”.

„Co napisał?”.

„No... Może powiem tak: to nie są teksty osoby zdrowej na umyśle”.

Joe czekał, aż Waters podejmie wątek. Po chwili rzeczywiście dodał:

„Że też ta jego matka nie dała go do żadnego... Już choćby te diagnozy lekarskie i w ogóle... To oczywiście daje do myślenia”.

„Co napisał?”.

„No... że Joe Chayefski to egocentryk, który ma gdzieś uczucia innych i... No, nie mam ochoty przekazywać panu tego wszystkiego słowo w słowo”.

Joe ścisnął mocno kierownicę, czuł pulsowanie w skroniach.

„Joe Chayefski to... no, powiedzmy, że typowy przykład człowieka, który myśli tylko o swojej karierze i nie ma czasu nawet dla najbliższych... coś w tym stylu. Możemy oczywiście przesłać panu te dokumenty, jeśli pan chce”.

Joe ciągle nie jest pewny, czy dobrze zrobił, że odpowiedział „tak”. Czuje, że zaschło mu w gardle.

W Finlandii kilka postępowań przygotowawczych związanych z zarzutami o ekoterroryzm. Niezdolny do współpracy, nie potrafi nawet wysłuchać opinii sprzecznych z jego poglądami. Zwerbowany do bojówek ruchu obrońców praw zwierząt ze Stanów Zjednoczonych, prawdopodobnie z Oregonu, później nawiązał kontakty z komórkami terrorystycznymi w Wielkiej Brytanii. Zatrzymany w Anglii dwukrotnie, zwolniony z braku dowodów. Zgromadzony materiał pozwala domniemywać, że jest prawą ręką anarchisty Tylera Burnhama.

„Gdybym więc mógł tu wtrącić swoje trzy grosze, to powiedziałbym, że to gość, od którego najlepiej trzymać się z daleka, dla własnego bezpieczeństwa”.

Joe miał wrażenie, że zaczyna spadać z dużej wysokości.

Ale chyba słyszałby coś o tym od Aliny? Chociaż coś!

„Może lepiej powiem to panu od razu, jasno i wyraźnie – usłyszał znów głos Watersa. – Z tymi ludźmi nie ma żartów. To są podpalenia, włamania, akty terroru”.

„Podpalenia?”.

„Profesorze Chayefski, słyszał pan o podpaleniu salonu samochodowego w Waszyngtonie w ubiegłym roku? To właśnie ci ludzie. Spłonęło czterdzieści SUV-ów, powybuchoły zbiorniki z paliwem, niektóre auta wyleciały w górę na kilkadziesiąt metrów. To cud, że nie było kilkudziesięciu ofiar śmiertelnych”.

„Czy Samuel też tam był?”

„Słucham?”

„Czy to Samuel podpalił ten salon?”

Joe słyszał, że Simon Waters nabiera głośno powietrza w płuca; może liczył w myślach do dziesięciu.

„Panie profesorze, coś panu powiem”.

„Joe”.

„Dobrze. Joe. Nie chcielibyście mieć z tymi ludźmi nigdy do czynienia, chyba że przymuszeni okolicznościami, w sali sądowej”.

Joe siedzi w półmroku i próbuje zaczerpnąć powietrza, ale płuca się nie napełniają. Przypomina sobie artykuł o Heather Mirandzie, samotnej właścicielce psa, którą aktywiści tak długo karmili nienawiścią do ludzi, aż podłożyła ładunki wybuchowe pod samochód dyrektora laboratorium, w którym prowadzono badania z udziałem zwierząt.

Według Watersa rozwój Samuela przebiegał identycznie. Najpierw zaczął szkodzić swojemu chlebodawcy w miejscu pracy, potem obrzydzał mu życie, aż w końcu otwarcie wystąpił z aktami przemocy wobec osób prowadzących eksperymenty na zwierzętach.

„Mimo to nadal nie rozumiem – powiedział Joe. – Dlaczego akurat my?”

„Gdybym miał obstawiać, to dlatego, że dobrze się wam powodzi”.

„To chyba za mało”.

„Macie wszystko, czego oni nie mają”.

„No, ale...”

„Jego zdaniem to niesprawiedliwe. Tym bardziej że stoicie po niewłaściwej stronie”.

„Ale...”

„Jego zdaniem zasługujecie na dokładnie to samo, co spotyka te zwierzęta”.

„Czy on tak gdzieś napisał?”

„No, możesz sam przeczytać, prześlemy ci te dokumenty. Ale my już znamy te organizacje ekstremistyczne. Ci ludzie tak tam myślą. Przykro mi”.

Joe wpatruje się w stojącego na katedrze mężczyznę w szarej kamizelce. To na pewno ten ekonomista z Marylandu, wyobcowany i zarozumiały

palant, którego Joe sam zaprosił. Wygląda jak przedstawiciel obcej formy życia. Właśnie uruchamia prezentację w Power Poincie. Joe nie ma pojęcia, o co w niej chodzi, i nie rozumie, po co komuś w ogóle coś takiego. Ale trzeba przyznać, że tabelki facet zebrał z podziwu godną sumiennością, to widać już po pierwszych przykładach. Joe najchętniej zerwałby się z miejsca i krzyknął: i na chuj się tak produkujesz, jebany błażnie w szarej kamizelce?! Idziemy na wojnę, a ty nam tu, kurwa, o tabelkach gędzisz!

Kiedy miła bibliotekarka o aparycji spaniela z kreskówki Disneya dotyka jego ramienia i pyta, czy dobrze się czuje, Joe musi w końcu przeprosić zebranych i wyjść z sali. Na korytarzu ponownie wybiera numer Aliny, który ciągle nie odpowiada. Mimo to raz za razem wciska zielony przycisk, jakby chciał siłą przebić się za ocean – kiedyś w końcu musi odebrać.

Telefon dzwoni przed południem.

Puls od razu mu skacze: kierunkowy Finlandii.

Wreszcie.

Próbował jeszcze wielokrotnie dodzwonić się do niej wieczorem po spotkaniu, ale od razu się włączała poczta głosowa.

– Dzwoniłeś – mówi Alina. Głos jest zniekształcony, jakby przedzierał się do niego przez długi tunel. Joe nie wie, czy to przez jego stan psychiczny, czy dzielącą ich odległość.

– Przepraszam, ale wczoraj nie dałam już rady zadzwonić – ciągnie Alina. – Bez przerwy mam jakieś wywiady i inne takie, pewnie przez tę nową książkę.

Alina mówi spokojnie, wydaje się nawet wesoła; zaczyna rozwodzić się nad denerwującymi pytaniami dziennikarki czasopisma dla kobiet, która rozmawiała z nią o książce. Joe z osobliwym zadowoleniem ucina potok słów Aliny gniewnym mruknięciem.

– Co się stało? – pyta Alina.

Joe zauważa, że trzęsą mu się ręce. Boi się, że głos mu się załamie. Udaje mu się wydusić z siebie tylko jedno słowo: Samuel.

Ale to wystarczy.

Wylewne przeprosiny Aliny od razu mówią Joemu, że urzeczywistniły się najgorsze lęki Miriam, że cyfrowe ogary Watersa podjęły właściwy trop.

Alina ubolewa, powinna mu była jednak powiedzieć. Ubolewa, bo nie wiedziała, jak ma mu to przekazać. No... tak, to prawda, Samuel prowadzi taką... działalność polityczną i akurat o tym rzeczywiście powinna była Joemu powiedzieć, po to zresztą dzwoniła, specjalnie w tym celu, Joe na pewno pamięta, wczesną wiosną.

Ale to było dwa miesiące temu! I nawet jej nie przyszło do głowy, żeby zadzwonić ponownie?! I ile to czasu Samuel pielęgnował w sobie tę nienawiść do niego, dwa lata? Przez cały poprzedni wieczór Joe przeglądał przysłane mu przez Watersa maile, posty na portalach społecznościowych, wpisy na blogu i dokumentację medyczną. Pakiet z Digi-Hound przypominał worek mąki zainfekowanej przez mole.

Czy Alina zaglądała na stronę prowadzoną przez Samuela?

Oczywiście, że zaglądała, i rzeczywiście, nie przebiera się tam w słowach, ale...

Ale co? Ale CO, ALINA?!

Nigdy nie słyszała o nocnych czatach Samuela z agitatorami amerykańskiej organizacji ekstremistycznej. O prowadzonych w sieci rozmowach, podczas których Samuel usłyszał, że Ziemia została doprowadzona na skraj katastrofy ekologicznej i dlatego oni mają prawo robić teraz wszystko. Nie chce wierzyć jego słowom, chociaż Joe ma to wszystko wypisane czarne na białym.

Daty z materiałów zebranych przez Watersa pozwalają śledzić rozwój tej kampanii nienawiści. Dobór słów i formułowane wnioski pokazują, jak łatwo rozdmuchać płomień z żarzącego się węgla – Alina z pewnością nie miała nawet pojęcia, u kogo jej syn szuka po nocach zrozumienia i odbudowuje poczucie własnej wartości na marginesie społeczeństwa. Ani o tym, jak dobrze poinformowani są agitatorzy, którzy doskonale się orientują w jego laboratorium i stosowanych przez niego metodach badawczych, znają na pamięć jego CV.

W procesie werbowania Samuela rozmowy z agitatorami są coraz rzadsze, wreszcie kończą się na dobre. Przychodzi pora na regularne, długie wizyty chłopaka na stronach międzynarodowych organizacji ekstremistycznych, potem Samuel kupuje przez internet bilety na obozy aktywistów w Wielkiej Brytanii i Stanach.

O niektórych rzeczach Alina nie wiedziała, w resztę nie chce wierzyć.

A założona przez Samuela strona internetowa, na której wzywa do atakowania badaczy i ich biznesowych partnerów? „Porządnie im dowalcie”, pisze jego syn na swojej stronie: *Hit 'em hard*.

„Trzeba obalić ten system – pisze jego syn – co się nie uda, dopóki ci ludzie są przy władzy. O władzę się nie prosi, władzę się przejmuje.

Hit 'em hard”.

Zero litości dla tych, co eksperymentują na zwierzętach.

I logiczne zakończenie. Internetowa rozmowa z byłą dziewczyną. Rozmowa zaszyfrowana w technice, z której bez przerwy, także w tej chwili,

korzystają przestępcy, żeby bez przeszkód handlować twardymi narkotykami i nieletnimi dziewczętami i zlecać zabójstwa. Rozmowa, do której doszło kilka dni po podłożeniu bomby w skrzynce Chayefskich. Rozmowa, którą Simon Waters – Bogu niech będą dzięki – wyłowił z mroków sieci sobie tylko znanymi sposobami.

„Boję się, że zrobiłem coś okropnego”.

„Co takiego?”.

„Coś...”.

[długa przerwa]

„...okropnego”.

„Komu?”.

„Mojemu...”.

[przerwa]

„No?”.

„...ojcu”.

„No ale on mieszka w Stanach?”.

„I ja tu właśnie jestem”.

I wreszcie się zmienia ten beztroski, swobodny głos Aliny; teraz już wyraźnie łyka łyzy, chaotycznie się tłumacząc.

Joe musi zapanować nad emocjami. Nie może sobie teraz pozwolić na utratę Aliny, być może jedynej osoby, która doprowadzi policję do jej syna. Ona musi pozostać po jego stronie, mimo że jest nieporadna i nic nie rozumie, czym tylko pogarsza sprawę – to właśnie przez jej nieudolność jego córki niemal straciły wzrok. Joe tłumaczy jej – takim tonem, jakim tłumaczy się oczywistości dziecku albo osobie upośledzonej – że sytuacja jest znacznie poważniejsza, niż jej się zdaje. Że Samuel przez prawie dwa lata szkolił się pod okiem ludzi, dla których prawo i życie ludzkie nie mają żadnego znaczenia, że Samuel stał się jednym z nich. A takich ludzi trzeba powstrzymać – choćby siłą, jeśli inne metody nie poskutkują. Dlatego Alina może ułatwić wszystkim życie i wyjawić policji miejsce pobytu syna. Taką osobę należy natychmiast wydalić ze Stanów Zjednoczonych albo zamknąć, żeby nie mogła już nikomu wyrządzić krzywdy. Alina jest przerażona tym, co słyszy. Trudno stwierdzić, jak mocno wierzy w te swoje urojenia; czy to możliwe, żeby matka była aż tak ślepa? Rozmowa trwa, Joemu coraz trudniej utrzymać nerwy na wodzy, Alina też jest coraz bardziej zdenerwowana. I strasznie mu jej szkoda, bo ona całą swoją energię psychiczną traci na

obronę swoich okopów, zamiast się skupić na stawieniu czoła faktom. Joe nie potrafi nawet udawać, że słucha, kiedy tonem oscylującym między rozpaczą a poczuciem winy Alina wygłasza osobliwą tyradę o tym, jakim to dobrym i moralnym człowiekiem jest jej syn; zaczyna sobie powoli uzmysławiać, jak bardzo spaczony może być obraz rzeczywistości w najbliższym otoczeniu psychopaty. A więc Miriam miała rację, jej lęki stały się ciałem: syn jej męża to jeden z tych, którzy za dnia głaszczą po głowie i patrzą z bezgraniczną miłością, a w nocy duszą człowieka poduszką. Alina nawet nie wie, jak bardzo dała się wyprowadzić w pole.

Kurwa mać, czy ty w ogóle rozumiesz, co tu się wydarzyło?!

Wyobraź sobie, że rozumiem! – wrzeszczy Alina. – I jest mi bardzo przykro! Ale co ja na to mogę ?!

Joe aż podskakuje – zapamiętał byłą żonę jako osobę ułożoną i grzeczną. Nigdy nie słyszał u niej takiego wybuchu. A ponieważ chyba nadal do niej nie dociera, co jest grane, Joe chętnie przedstawi jej obraz sytuacji. Alina jest matką chorego człowieka i od lat wiedziała, co się z nim dzieje, ale wolała niczego nie widzieć i niczego nie słyszeć, bo sama jest zaburzona i rzeczywistość byłaby dla niej nie do zniesienia. Joe nie chce już nawet *próbować* o cokolwiek ją pytać ani jej słuchać – teraz miałby już tylko ochotę zrobić jej coś złego, zadać jej ból. I nic mu nie lepiej od tego, że ona teraz płacze, choć przecież właśnie to go cieszy – wreszcie ktoś jeszcze cierpi – i odczuwa z tego powodu głęboką satysfakcję, która wypełnia jego serce czarną mazią, chociaż wydawać by się mogło, że jest jednak potrzebna i usprawiedliwiona.

Ja też nie wiem o nim wszystkiego! – krzyczy Alina. Też się martwi o syna, ale nawet ona nie wie nic oprócz tego, co jej o sobie mówi. Mimo to nie jest w stanie uwierzyć w coś takiego: Samuel nigdy, przenigdy, Samuel to zupełnie inny człowiek niż ci, co robią takie rzeczy.

Alina jest z niego dumna.

Dumna?!

Tak, wyobraź sobie!

Dumna ze swojego syna? Który według największego fińskiego dziennika kieruje najbardziej niebezpieczną organizacją ekstremistyczną w kraju? A może Joe coś źle zrozumiał i Samuel jednak nie namawiał publicznie do terroryzowania naukowców, którzy prowadzą dopuszczone prawem doświadczenia z udziałem zwierząt? Jest dumna ze swojego syna, który uważa, że należy podesłać Chayefskim bombę do domu?! Z takiego syna jest dumna?! Im dłużej Alina mówi, tym wyraźniej Joe słyszy, że sama jest coraz

bardziej przerażona – i tym bardziej karkołomne stają się jej próby bronienia Samuela. Joe ciska telefon o ścianę. Nie rozpryskuje się w drobny mak, tak jak powinien, tylko odbija i spada na podłogę z głuchym jękiem impotent. Nie trzeba było tak długo z nią rozmawiać, uprzytamnia sobie później Joe: Alina już dawno straciła kontakt z rzeczywistością, wiele miesięcy, a może nawet wiele lat temu. Z jej słów Joe nie potrafi odczytać, po czyjej jest stronie, ale ma wrażenie, że widziałyby najchętniej cały świat w anarchii, bo nie potrafi się wczuć w sytuację człowieka, który nie żyje w tym jej mikroskopijnym, pluszowym państewku, gdzie ludzie nie mają pojęcia o realiach.

„Boję się, że zrobiłem coś okropnego”.

Z Joego ulatuje niewzruszona wiara w celowość życia, którą zawsze w sobie nosił. W to miejsce wpycha się bezlitośnie coś zimnego jak stal.

Joe bezwiednie zwleka się po schodach na parter i otwiera drzwi wejściowe. Natychmiast czuje się jak w saunie, a cykady zgrzytają jak chór pilarek. Błękitne niebo jest bezchmurne, wreszcie.

Właśnie taka była zawsze Alina: łatwowierna i nieporadna, a przez to raz za razem robiona w konia, niezdolna do podejmowania trudnych decyzji. Może miałby teraz jakąś relację z synem, może nie wydarzyłoby się to wszystko, gdyby nie dała mu do zrozumienia, że nie będzie mile widziany w jej domu na spotkaniu rodzinnym po *graduation* Samuela. I choć od tamtej imprezy minęły już dwa lata, nagle Joe jest tak wściekły, że ma ochotę wrzeszczeć.

Stoi długo bez butów na rozżarzonej asfalcie. Zamyka oczy, bo białe słońce góruje wysoko ponad dachami domów i pali niemiłosiernie. Przypomina sobie, co mówiono po masakrze szkolnej w Connecticut: to się może wydarzyć wszędzie.

Następnego dnia – naprawdę dziwne – Joe nic nie czuje. Jest jak wyciśnięta cytryna. Nawet wściekłość na Alinę przez noc wyparowała. Pozostało jedynie odrętwienie, dziwnie lepkie i nużące.

Przysnął dopiero po piątej nad ranem. Wydarzenia poprzedniego wieczoru wydają się nierealne, jak na filmie.

Miriam odwróciła się od niego w sposób, który potrafi sobie wytłumaczyć jedynie częściowo. Słyszy w telefonie jej łzawe słowa, nie potrafi jednak zdobyć się na empatię, tak jak dotychczas. Rozmowa z Miriam jest trudna i Joe powoli sobie uzmysławia, że pocieszenie jej nic nie da, że jego zapewnienia nie odniosą żadnego skutku – jego żona stoi po drugiej stronie

betonowego psychicznego muru.

Rozmowa kończy się na obopólnym urażeniu; Joe nie pamięta, by tak im się kiedyś z Miriam zdarzyło. Kiedy żona się rozłącza, wraca myślami do Aliny i do tego, co Miriam powiedziała o niej przed chwilą. Wypowiadała się o niej bardzo krytycznie – czego nie robiła nigdy wcześniej – w sposób, który wydaje się Joemu bardzo obraźliwy.

Wieczorem próbuje oglądać telewizję. Jak nieważne wydaje mu się wszystko, co dziennikarze – nie bez racji zresztą – uważają za godne uwagi. Dobrze byłoby już zapomnieć o kłótni z Miriam, bo zafiksowanie się na niej tylko pogorszy sytuację, Joe spostrzega jednak, że broni w myślach Aliny przed zarzutami żony, tłumaczy się za nią: niemożliwością jest kontrolowanie wirtualnego życia dorosłego już syna. I w pewnym sensie Joe przez chwilę nawet rozumie swoją Alinę – w Newton też nikt nie wiedział, że dziewiętnastoletni morderca z Sandy Hook wykazywał chorobliwą fascynację bronią i sprawcami poprzednich masakr szkolnych.

Śledząc bezwiednie wiadomości z Bliskiego Wschodu, Joe nie widzi leżących przy drogach zmasakrowanych ciał, lecz myśli o Alinie i o tym, co oboje wiedzą. Potem realizator podaje na ekran harwardzkiego eksperta od placebo, który twierdzi, że dotarł do ukrywanych przez producenta wyników badań i na ich podstawie może powiedzieć, że długotrwałe stosowanie optymalizatorów VMPFC, które przepisano już milionowi dzieci w tym kraju, może wywoływać objawy zbliżone do demencji alkoholowej i prowadzić do uszkodzenia wątroby. Ekspert uważa, że koncern farmaceutyczny zataił ogromną liczbę wyników, które wskazują, że zażywanie optymalizatorów wcale nie poprawia umiejętności społecznych, lecz wręcz odwrotnie – pod ich wpływem młodzież staje się pasywna i podatna na zaburzenia osobowości.

Joego obchodzi to tyle co nic, podobnie jak komentarz dziennikarza, że nie udało mu się zaprosić do programu rzecznika producenta, by odpowiedział na przedstawione przez eksperta zarzuty zatajania niewygodnych wyników badań. Z informacji prasowej koncernu wynika, że praktyka pokazała, iż leki są skuteczne i bezpieczne. I choć w innych okolicznościach wszystko to szalenie by go zainteresowało, teraz gapi się w gładzącego na ekranie eksperta i nie może się nadziwić, że też mu się chce.

W fioletowo-czarnym jądrze nocy zrozumiał w końcu, dlaczego Alina nie chce uwierzyć w to, co się stało. Bo w głębi duszy wie, że to prawda.

Bo to ona to wszystko zapoczątkowała.

„Coś...

...okropnego”.

Tak to musiało być. Wszystko, co w przypiływie nienawiści ten chłopak nawypisywał o nim, swoim własnym ojcu – o jego egocentryzmie, pracoholizmie, amerykańskości, karierowiczostwie.

Alina.

Od Aliny jego syn usłyszał najpierw wszystko to, co teraz rozpowszechnia o nim w internecie. Oczywiście nie mówiła mu tego wprost, lecz podawała dożylnie, w postaci niezwykle skutecznego, bo aluzyjnego ekstraktu samotności, podawała mu go w mleku już od pierwszej ich wspólnej nocy na helsińskiej porodówce.

Nawet jeśli chłopak jest szurnięty – jak może i jego matka, do pewnego stopnia – to mimo wszystko trzeba go uważać za orędownika autentycznych, głęboko skrywanych uczuć matki. Samuel to rozgoryczenie Aliny, jej zemsta i odwieczna zazdrość, to jej ucieleśniona samotność sprzed dwudziestu lat.

Dlatego Alina musi wiedzieć – i dlatego nie może się do tego przyznać. Dlatego nic mu nie powiedziała.

Joe zdaje sobie nagle sprawę, że nikt tego nigdy nie zrozumie, nawet Samuel. Tylko on i Alina wiedzą, skąd się to wszystko wzięło. Tylko on i Alina, bo oni to wszystko sami stworzyli. W telewizji z Gazy i optymalizatorów przerzucają się na Syrię, a chwilę później mówią już o zastrzykach, które wypełniają wargi jeszcze lepiej niż botoks. Joe patrzy nieruchomo w zmieniające się szybko kolorowe obrazy i przypomina sobie, co mówiono w radiu o sprawcy masakry szkolnej w Connecticut: nawet cała prawda o tym, kim był ten człowiek, nie da odpowiedzi na pytanie, dlaczego do tego doszło.

Nie da jej wam. Tak to trzeba odczytywać: nie da jej wam.

X

W oknach błyszcząły grube kraty. Sklep był otwarty, ale i tak należało wcisnąć dzwonek przy wejściu.

Od samego rana po niebie pędziły ciężkie masy ciemnoszarych chmur, jak gdyby się gdzieś spieszyły. I choć wiatr łagodził dojmujący skwar, parność nie odpuszczała. Wszyscy czekali na deszcz, który za nic nie chciał spaść.

– Zapraszam, zapraszam!

Sprzedawca pochodził z Azji, był gruby i produkował tysiąc słów na sekundę, zupełnie jak agent nieruchomości na amfetaminie. I chciał tylko jednego: żeby jego Klient czuł się u niego swobodnie. Chciał wyłącznie tego: by jego Klient ucisnął sobie dłoń z Wybraną przez siebie Bronią. To, na co

się zdecyduje jego Klient, nie ma dla niego osobiście żadnego znaczenia, ponieważ to, co On wybierze – właśnie ta, a nie inna broń – będzie od tej pory Jego Wybraną Bronią. Sprzedawca nie może wybrać Klientowi Broni, ponieważ to nie ma być broń dla niego. Tu prostota, a tam odrzut, każda broń może się okazać właśnie tą Stworzoną Dla Klienta. Sprzedawca nie chciał, żeby jego Klient kupił broń; sprzedawca chciał, żeby jego Klient *pokochał* swoją Broń. Ponieważ Klient, który pokocha swoją Broń, wróci do jego sklepu.

Drewniane panele i jelenie łby na ścianach sprawiały wrażenie, że znaleźli się w celi więziennej stylizowanej na fiński domek letniskowy. Dziesiątki opatrzonych cenami strzelb i karabinów różnej długości i różnego kalibru stały obok siebie w zmyślnych uchwytach, z których można je było szybko wyjąć w razie potrzeby – gdyby na przykład w polu widzenia przystanęła nieoczekiwane sarna, albo jelen. Pod szklaną ladą leżały schludnie ułożone rozmaite akcesoria, jak w sklepie fotograficznym. W szklanej ramce obok kasy widniał przerobiony banknot jednodolarowy z wizerunkiem pistoletu zamiast prezydenta i krzykliwym napisem wzdłuż dolnej krawędzi: THE RIGHT TO BEAR ARMS.

Istnieją cztery rodzaje krótkiej broni palnej, które sprzedawca, z pianą w kącikach ust, zaczął im natychmiast objaśniać i pokazywać, biegnąc od ściany do ściany sklepu. Wybór zależy od tego, jak broń będzie najczęściej używana. Czy ma być chowana w odzieży? Czy trzymana na stoliku przy łóżku?

Najlepszym nauczycielem jest doświadczenie. Sprzedawca spuentował to makabryczną anegdotą o wyprawie łowieckiej, na której *wszystko* poszło nie tak, jak miało. Uznał, że w Ich Wypadku w grę wchodziłyby szczególnie dwa rodzaje broni. Od czasu do czasu sprzedawca mylił zaimki, winna była z pewnością porażająca prędkość wypowiedzi; akcent miał wyraźnie południowy. Może Arkansas. Albo Georgia. Sprzedawca pokaże Im, które modele zostały zaprojektowane specjalnie dla Niego z myślą o łatwości obsługi. Szczególnie te dwa, jeśli mógłbym prosić Was tutaj na chwilę, na tej ścianie widzicie coś dla Nich, oba rewolwery, ten dziewięćmilimetrowy i ta trzydziestka ósemka, jeśli Ich zainteresują, to zwłaszcza te dwa modele zostały tak pomyślane, żeby ich obsługa była dla Nich prosta jak drut. No i tu, oczywiście, legendarny glock, *baardzo* popularny.

– A w zasadzie to czemu właśnie glock został amerykańskim *The Handgun*?
– spytał Hackett.

– Z kilku dobrych powodów – odpowiedział sprzedawca.

Concealed carry – Joe nie może się nadziwić wyrażeniu, kiedy mężczyzna rozważa możliwe przyczyny popularności austriackiej marki. *Concealed carry*: a więc już nawet na noszenie broni w odzieży ukuto własne wyrażenie, takie zupełnie potoczne, które właściciel luźnej koszulki z krótkim rękawem może z uśmiechem rzucać zza lady. Joe ma wrażenie, że to jakaś dziecinada, trochę przerażająca i trochę chorobliwa jednocześnie.

Kiedy Hackett był u nich ostatnio, odciągnął Joego na chwilę na bok i spytał tak, żeby Miriam i dzieci go nie słyszały:

– *Listen*, wiem, jaki macie stosunek do tego, no...

Joe już wiedział, co Hackett zamierza powiedzieć.

– Broni palnej? – dokończył za niego.

– Właśnie. No więc nie radzę nikomu kupować broni, jeśli w domu są dzieci, i w ogóle trudno mnie zaliczyć do bezkrytycznych zwolenników broni, ale...

– Mnie też.

– Ale w waszej sytuacji, jeśli nie zdołamy w porę tego człowieka... – Hackett przez chwilę dobierał słowa. – Jeżeli nie uda się nam zatrzymać go w sposób kontrolowany, co z braku dowodów jest teraz całkiem możliwe, to warto może i to rozważyć, jako jedną z możliwości, gdybyście chcieli...

Joe nie miał najmniejszej ochoty pomóc mu skończyć to zdanie.

– ...czuć się pewnie i bezpiecznie – dokończył wreszcie Hackett.

Joe sam go o to spytał. I miał wrażenie, jakby z każdą chwilą, z każdym upływającym dniem umierało w nim coś ważnego.

O Samuelu nie było żadnych pewnych informacji. A nawet jeśli były, im ich nie przekazywano. Usłyszeli jedynie, że policja prowadzi niezbędne czynności. Podobno Alina przekazała Samuelowi prośbę, żeby natychmiast wrócił do Finlandii, nikt jednak nie wiedział, czy i jak wiadomość od matki wpłynęła na jego plany.

Wszyscy uważali, że najlepiej przygotować się na wszelkie scenariusze wydarzeń.

Mimo to Joe pokłócił się z Miriam o nowy, lepszy system monitoringu domu. On był zdania, że już te kamery, które są, wprowadziły niepotrzebnie atmosferę lęku. Miriam spojrzała na niego takim wzrokiem, że Joe od razu pomyślał: tak właśnie kończą się małżeństwa.

– Atmosferę lęku? – spytała. – W domu, w którym były policjant uczy jedenastolatkę, jak wdusić dorosłemu facetowi gałki oczne do mózgu?

I ta ostatnia dyskusja, w którą wdał się nieopatrznie na forum internetowym, gdzie ludzie wypisywali na aktywistów najgorsze rzeczy:

Wrzucił wam do domu *cegłę* przez okno, a wyście się nie zaopatrzyli w nic do obrony? Facet jest *na wolności*, a wy *nic* nie robicie?

Facet posłał ci *bombę*, a ty jeszcze nie poleciałeś kupić sobie pistoletu za dwieście dolców, żeby mieć czym obronić żonę i dzieci?

Po incydencie z paczką nawet mu przez myśl nie przeszło, żeby się sprzeciwić zainstalowaniu nowego monitoringu. O mało co nie popłakał się z wdzięczności, kiedy instalator z centrum zabezpieczeń domowych wspinał się na drabinę i montował nowiuteńkie kamery w strategicznych punktach wewnątrz i na zewnątrz domu, niwelując wszystkie dotychczasowe martwe pola. I umocowane na bzycających, obrotowych wysięgnikach szklane oczy dzień w dzień śledzą teraz każdy ich ruch: jak wchodzą do domu i wychodzą na zewnątrz, jak szykują kolację i kładą się do łóżek. Nie czuli się z tym komfortowo, ale te zmartwienia należały już do zupełnie innej rzeczywistości – pewnie do tej samej, w której można w wolnej chwili pomyśleć, czy tak naprawdę liczby w *ogóle* istnieją.

Broń palna to już jednak całkiem inna bajka.

Dla Joego – mimo że sam poruszył temat broni w mailu do Hacketta – właśnie w tym miejscu przebiega granica. I choć w ostatnich tygodniach musiał gruntownie zrewidować swój światopogląd, tej granicy nie zamierzał przekraczać, bo jeśli to robi, to już nie będzie umiał odpowiedzieć sobie na pytanie, kim tak naprawdę jest.

Jednak Hackett uznał, że krótki rekonesans – niezobowiązująca wizyta w sklepie z bronią – z pewnością nie zaszkodzi, a że na dodatek zdążył już wszystko zorganizować i był umówiony ze sprzedawcą, Joe nie potrafił na poczekaniu znaleźć właściwych słów, by grzecznie się wymówić. I ta rozczulająca wdzięczność, z jaką Miriam reagowała na zabiegi Hacketta – oczywiście, że przyjedziemy, jak cudownie, że już nas umówiłeś, dzięki wielkie, to o której w czwartek? – kazała Joemu mieć się na baczności. Ostatnio w domu ciągle dochodziło do spięć z Miriam praktycznie bez powodu. Dlatego gdy zaterkotał elektromagnes i Hackett popchnął zaopatrzone w trzy zamki i kraty drzwi polecanego przez siebie sklepu, Joe wszedł za żoną do środka z dużym ociąganiem.

– Tak jest – kontynuował sprzedawca – w tym drugim rzeczywiście nie ma dla Nich bezpiecznika. Ma pani słuszość, bez dwóch zdań. A wie pani, gdzie jest najważniejszy bezpiecznik? Najważniejszy bezpiecznik jest tutaj – odpowiedział sobie, przytknąwszy palec do skroni. Patrzył na nich po kolei i upewniał się, że rozumieją, jak blisko są teraz ważnego objawienia. – I nic go nigdy nie zastąpi.

Gość odbył tę rozmowę już tysiące razy, uprzytomnił sobie Joe. Może nauczyli go właściwie dobierać słowa na specjalnym kursie MBA dla sprzedawców broni albo na jednym z tych weekendowych seminariów organizowanych przez producentów broni, na których w przerwach serwuje się uczestnikom kanapki z dziczyzną, zupę z niedźwiedzia i piwo.

Joe spojrzał przelotnie na Miriam – jak nisko upadliśmy – ona jednak nawet na niego nie patrzyła; nie odrywała wzroku od ogromnego sprzedawcy – sto dwadzieścia kilo żywej wagi – słuchając go z lekko rozchyłonymi ustami i potakując głową. Każdy, najmniejszy mięsień twarzy, nad którym nie miała świadomej kontroli, wyrażał bezgraniczny podziw dla zwałistego Azjaty i pełną kobiecą akceptację każdego jego słowa. Joe poczuł ukłucie zazdrości. Może chciała się w ten sposób zemścić na nim za tamtą kłótnię przez telefon? Niewykluczone, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

Miriam konsekwentnie unikała jego wzroku od chwili, kiedy wysiadła ze swojego samochodu przed sklepem. Coś się w niej zmieniło, pomyślał Joe, patrząc na nią jak na nieznaną w okularach przeciwsłonecznych i w szpilkach. Wydała mu się twardsza, ostrzejsza niż dawniej.

A on miał nadzieję, że tego dnia dojdzie do pojednania.

– Mam dla pani prostą radę – odezwał się znów sprzedawca, kładąc się niemal na ładzie i patrząc na Miriam pożądlivym wzrokiem. – Nie naciskać spustu, jak się nie chce strzelić.

Zmarszczyła czoło i powoli skinęła głową, jakby otrzymała bardzo ważną życiową lekcję. Sprzedawca długo jeszcze nie odrywał od niej oczu: chciał się upewnić, że ziarno prawdy padło na podatny grunt. Potem wprawnie chwycił leżący na ładzie stalowoszary rewolwer z klasycznym bębenkiem.

– To szczególnie poleciłbym osobie, która nie miała do tej pory żadnych doświadczeń z bronią palną – powiedział, przenosząc spojrzenie z rewolweru na Miriam.

Joe właśnie uporał się z natrętną myślą, że gruby ma ochotę zerznąć jego żonę, gdy sprzedawca chwycił pistolet za lufę i wyciągnął w jego stronę. Joe się wzdrygnął. Rewolwer wyglądał jak prototyp colta.

To byłaby pierwsza rzecz, jaką on poleciłby Tym, którzy nie nabrali jeszcze swobody w posługiwaniu się bronią. Którzy nie wyrosli w otoczeniu strzelb i pistoletów. A polecał ją tak gorąco, że aż ślina tryskała mu z ust, kiedy wyciągał z szafki naboje. Polecał Im ten rewolwer dlatego, że jest *foolproof*, każdy głupi umie z niego strzelać.

Point and shoot – wycelować i strzelić.

Jak z aparatem cyfrowym. *Point and shoot*.

– *The rest will take care of itself* – dodał sprzedawca.

O resztę nie trzeba się martwić.

Joe miał wewnętrzne opory, jednak odruchowo chwycił kolbę rewolweru. Kątem oka dostrzegł, że obrażona Miriam spuściła wzrok.

Rewolwer był ciężki. Producent zatroszczył się jednak o to, by idealnie leżał w dłoni.

– Jaki to kaliber? – spytała Miriam najbardziej przekonującym tonem Świadomego Klienta.

Joe próbował jak najdyskretniej zetrzeć z twarzy kropelki śliny, bo sprzedawca wyraźnie się ucieszył i zaraz pospieszył z wyjaśnieniem, że Oni muszą zrozumieć, moja pani, że kaliber naboju nie jest najważniejszym gwarantem bezpieczeństwa.

– Aha, aha... – potakiwała Miriam, marszcząc brwi. – A więc co jest najważniejsze?

– *Placement* – padła odpowiedź.

Lokalizacja: które elementy układu krążenia napastnika zdoła się rozerwać strzałem, i jak skutecznie. To oczywiście nie znaczy, dodał szybko sprzedawca, że kaliber jest bez znaczenia. Wiadomo, czterdziestka czwórka zostawia trochę inne ślady niż dwudziestka dwójka – co mówiąc, sprzedawca spojrzął znacząco na Hacketta. Zgadza się – Hackett się ucieszył, że został wciągnięty do rozmowy: spokojna głowa, dwudziestką dwójką też da się zabić. Tylko to trochę trwa, do dwóch tygodni, che, che.

Sprzedawca wybuchnął konwulsyjnym śmiechem, w którym kojarzył się Joemu z duszącą się z podniecenia foką. Mężczyzna jednak szybko przypomniał sobie o swoich klientach, panienkach z uniwersytetu, i nagle spoważniał. Trzydzieści osiem, powiedział.

– Dobrze. – Miriam znów pokiwała głową z ważną miną i wysoko uniesionym podbródkiem, jak gdyby liczba coś jej mówiła. Wydała się Joemu taka mała, taka krucha.

Jeszcze w drodze na parking, gdzie czekał na niego gorący jak piekarnik samochód, Joe nie mógł się otrząsnąć ze zdziwienia, że wystarczy wziąć pistolet do ręki, nawet nienabity, by natychmiast zacząć postrzegać świat i swoje w nim miejsce zupełnie inaczej niż do tej pory. Nie potrafił powiedzieć dokładnie, w czym ta inność się wyraża, pamiętał jednak, że w uszach mu szumiało jeszcze dłuższą chwilę po oddaniu broni sprzedawcy.

Miriam upychała wszystko do dwóch dużych walizek. Przyjechała bez dzieci po nową partię rzeczy.

Joe siedział na łóżku w sypialni córki i patrzył na delikatne ręce żony, które bezbłędnie odnajdywały właściwe elementy odzieży w różnych przegrodach garderoby. Przejrzała wszystkie rzeczy Rebekki – bieliznę, spodnie, sukienki, koszule i swetry – i segregowała je szybko na dwie sterty: potrzebne do walizki, niepotrzebne z powrotem do szafy. Joe podziwiał systematyczność żony: najpierw rzeczy Danielli, potem Rebekki, w kolejności podstawowych działów.

Zauważył, że Miriam ma zmęczone oczy.

– Jak żyjesz? – spytała go cichym głosem, jak gdyby czuła na sobie spojrzenie męża i chciała odsunąć jego myśli od siebie. Spytała, nie przerywając pracy, ze wzrokiem utkwionym w walizce. Nie umiał stwierdzić, czy Miriam nadal unika jego spojrzenia.

– Całkiem znośnie.

– Noce przesypiasz?

– Jedne są lepsze, inne gorsze.

Skinęła głową. Nie podjęła już tematu, więc dodał jeszcze:

– Nic mi się nie chce.

– Znam to.

Znów zapadło milczenie.

Patrzył na nią i wiedział, że oboje myślą o tej ostatniej kłótni, która wybuchła na tle zakupu broni. A może o tamtej poprzedniej. I o poprzedzającym ją naprężeniu, które zaczęło narastać między nimi od tamtej rozmowy przez telefon. Odkręcenie tego wszystkiego wydawało się trudniejsze z każdym kolejnym dniem.

Przy okazji Joe chciałby uzgodnić z nią wspólną politykę korzystania z iAma. Bo podobno w grę wchodzi identyczne problemy z ochroną prywatności, jak w wypadku portali społecznościowych, na które cała rodzina ma kategoryczny szlaban. Joe miał wrażenie, że w ich sytuacji nie warto sobie zbytnio zawracać nimi głowy – co z tego, że jakaś agencja reklamowa próbuje mu wcisnąć towar? Bankrutowi parę groszy w tę czy w tamtą różnicę nie robi. Ale to właśnie problemy związane z ochroną prywatności i bezpieczeństwem pozwoliły Joemu przekonać Rebecce, że eksplorator przeżyć powinien zostać definitywnie zamknięty pod kluczem w szufladzie jego biurka. Nie mógł przecież zgodzić się na to, by jego córka łamała wyraźne zakazy Hacketta. Miriam powinna o tym wiedzieć, żeby trzymali wspólny front w razie nagłego kontrataku ich nastoletniej córki. Trudno mu było jednak o tym mówić, bo relacje z żoną ostatnio nie układały się najlepiej z powodu zakupu rewolweru.

Miriam nie wiedziała też tego, że ku ogromnemu zaskoczeniu i wielkiej radości całego zespołu Joego Raj zdołał wyzebrać do ich laboratorium trzy egzemplarze testowe iAma. A o takich wydarzeniach Joe zazwyczaj opowiadał żonie zaraz po powrocie do domu wieczorem. Raj wygłosił dla nerdów z MInDesign płomienną mowę o fundamentalnym znaczeniu *The Paper* profesora Joego Chayefskiego dla rozwoju technologii neuroXperience, której urządzenie iAm zawdzięcza praktycznie wszystko. I tak ich tą swoją przemową zdezorientował, że nerdzi z MInDesign uznali, iż najprostszym sposobem na pozbycie się gościa będzie przekazanie laboratorium uniwersytetu kilku egzemplarzy eksploratora przeżyć – w zamian za zgodę na podawanie w publikacjach MInDesign informacji, że cały zespół profesora Chayefskiego korzysta z urządzeń iAm. Raj przystał na ten deal bez wahania, za co Joe w innych okolicznościach zrobiłby mu awanturę, tym razem jednak machnął tylko ręką.

Podobno jego zespół może już powoli przenosić wszystkie swoje materiały badawcze, szkice artykułów i zdjęcia do chmury iAma. Widząc szaloną radość swoich podopiecznych, Joe nie miał serca się sprzeciwić. Teraz wszystko będzie się odbywać szybciej i łatwiej, będzie można zrezygnować z niepotrzebnych kabli, monitorów i biurek! I przede wszystkim: mają urządzenia *całe miesiące* przed innymi! Wszystko to pogłębiło podziw dla Joego i znacznie go odmłodziło w oczach zespołu, z czego chętnie by się pośmiał razem z Miriam.

Z zaskoczeniem stwierdził, że entuzjazm Raja i reszty udzielił się także jemu: tego samego dnia wieczorem postanowił raz jeszcze wypróbować eksplorator przeżyć Rebekki – w końcu nie będzie jej już potrzebny.

Patrzył na Miriam, która rzucała do walizki ostatnie majtki i skarpetki z szafy Rebekki. Za chwilę skończy, staszczy walizki na dół i pojedzie do swoich rodziców, którzy mieszkają po drugiej stronie granicy stanu. Przyszło mu do głowy, że mógłby ją spytać, czy nie chce drinka. Przed jej przyjazdem kupił w sklepie świeżą miętę, sam nie wiedział dlaczego. Zrobiłby jej drinka: miętą i limonką na wódcę z lodem. Mogliby przed jej wyjazdem usiąść na chwilę w salonie i odprężyć się jak przystało na dwoje dorosłych ludzi, którzy przeżyli tej wiosny trochę za dużo. Miriam wyciągnęłaby nogi na sofie, zrobiłby jej masaż stóp. Mogliby się trochę pośmiać z absurdu całej tej sytuacji.

– Zrobić ci drinka? – spytał.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała. Tak szybko, że nie było mowy, by zdążyła to przemyśleć.

Skąd się wziął ten cały problem? Żadne z nich nie chciało mieć broni, a tym bardziej z niej korzystać. Żadne z nich nie chciało też żyć w społeczeństwie, w którym nie można się bez broni obyć.

A jednak.

Podczas drugiej kłótni o rewolwer usłyszał, że Miriam nie zamierza pozostawić własnych dzieci bez możliwości obrony, w razie gdyby wbrew nadziejom na pokojowe zakończenie tej historii doszło do sytuacji krytycznej. Joe był jednak nieugięty. Powiedział, że się nie ugnie. I miał wrażenie, że kłótnia na tym się skończyła, że Miriam zrozumiała, że w tej sprawie jej mąż nie zamierza w ogóle negocjować. A jednak ta różnica poglądów utkwiała między nimi niewidzialnym klinem.

I Miriam uznała, że musi wziąć sprawy w swoje ręce, że to ona z nich dwojga musi mieć mocniejsze nerwy, musi być surowsza i silniejsza od niego, tłumaczył sobie później Joe. Jego żona zawsze musiała decydować za innych, uważała bowiem, że jeśli ona nie każe, to nikt niczego nie robi.

Joe poszedł za nią do ich sypialni. Miriam otworzyła swoją szafę; przyglądał się, jak składa starannie do walizki swetry i spódnice, jak zapycha kłębkiem pończoch dziury między rzeczami. Jej dłonie poruszały się pewnie, twarz była napięta. Joe zauważył bruzdy na jej czole już całe lata temu, kiedy tylko zaczęły się pojawiać – najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Wydawały mu się teraz głębsze niż wcześniej. Chciałby powiedzieć żonie, że po incydencie z paczką zaszła w niej wyraźna zmiana, która nie ma żadnego związku z tym wszystkim, co się zmieniło w życiu ich rodziny. Tylko że sam nie wiedział, jak tę zmianę opisać.

– Dyrektorka w końcu się zgodziła i mogą tam być – odezwała się.

– Doug i Mike?

– Tak.

W szkole z początku krzywiono się na wielkich ochroniarzy, którzy nie odstępowali teraz Rebekki i Danielli na krok. Kiedy miały lekcje, na rogu ulicy przed budynkiem stał czarny samochód z przyciemnionymi szybami.

Dziewczynkom nie wolno przejść samym na ulicy nawet metra, nigdy, pod żadnym pozorem. Ta, która pierwsza skończy lekcje – zazwyczaj jest to Daniella – musi czekać na siostrę w szkole. Miriam albo babcia lub dziadek odbiera je ze szkoły i zawozi do domu, a Doug albo Mike, w zależności od zmiany, jedzie za nimi swoim czarnym autem. Rodzice Miriam mieszkają po stronie Wirginii i droga w szczyt zajmuje dwie godziny. Dzieci Joego spędzają teraz codziennie cztery godziny w samochodzie, żeby móc się uczyć. Jeden z ochroniarzy dyżuruje także w nocy przed domem, w którym

dziewczynki śpią.

Wszyscy chcieli zapewnić im normalne życie.

– Dyrektorka powiedziała, że mieliście jakiś zatarg – zagaiła Miriam.

– Poszedłem ją tylko spytać, czy jej zdaniem wciskanie leków psychotropowych zdrowym dzieciom na terenie szkoły jest w porządku.

– I co powiedziała?

– Że jak najbardziej.

Miriam się roześmiała; niespodziewane światełko w tunelu. Joe uprzytomnił sobie nagle, że do tej pory z góry zakładał, że Miriam stanie automatycznie po przeciwnej stronie, także w tej kwestii.

– Masz ten guzik? – spytał, choć dobrze wiedział, że pytanie jest zbędne.

Miriam bez słowa wyjęła go z kieszeni.

Guzik miał jaskrawoczerwony kolor i znajdował się pośrodku niewielkiej kostki z jasnego plastiku. Wyglądał jak zabawka. Joe sprawdził po raz tysięczny, czy ma taki sam w swojej kieszeni. Gładkie, plastikowe ścianki działały na niego uspokajająco.

Czerwony guzik to był jego negocjacyjny sukces. Gdyby nie ten kompromis, mieliby teraz w domu jedno z dwóch rozwiązań, jakie gruby azjatycki sprzedawca polecał niedoświadczonym nabywcom broni – im, którzy nie czują się swobodnie z rewolwerem w ręku. Bez czerwonego guzika mieliby teraz w domu klasyczny model lśniącego, metalowego przedmiotu z krótką lufą, brązową rękojeścią i bębniem mieszczącym sześć nabojów, co do którego mylący zaimki Azjata nie miał żadnych wątpliwości: Oni go pokochają. Ten sam, którym wystarczyło jedynie wycelować i strzelić – a o resztę nie trzeba się martwić.

Czerwony guzik trzeba mieć zawsze przy sobie. W dzień i w nocy. Należy to także wbić do głowy dzieciom, tak żeby prędzej zapomniały, jak ma na imię siostra, niż gdzie jest mój czerwony guzik. Dostali go także dziadkowie, u których dzieci ostatnio przebywają – każdy ma swój.

Naciśnięcie czerwonego guzika skutkuje natychmiastowym przyjazdem na miejsce Douga albo Mike'a, o każdej porze dnia i nocy. Kostka nie umożliwia połączeń głosowych, ale też zaprojektowano ją z myślą o sytuacjach, w których nie ma czasu na wyjaśnienia. Zainstalowano w niej diodę, która zapala się po uruchomieniu guzikiem nadajnika. W razie nieprzyjęcia zgłoszenia alarmu po drugiej stronie dioda pozostaje włączona i urządzenie nadaje sygnał alarmowy aż do wyczerpania się baterii.

Najsłabszą stroną guzika alarmowego – Joe przez chwilę się obawiał, że doprowadzi ona do nieuchronnego pojawienia się w ich domu Rewolweru,

który Oni pokochają – był zasięg nadajnika. Rozwiązanie opracowano z myślą o szpitalach i biurach i sygnał docierał najdalej na parę mil. Z drugiej strony jednak ochroniarze pozostawali zawsze w zasięgu głosu dziewczynek; guzik miał stanowić jedynie dodatkowe zabezpieczenie w razie nieprawdopodobnego zdarzenia, gdyby ktoś zdołał wdrzeć się do środka niezauważony przez Mike'a lub Douga.

Joe nie mógł pojąć, co jeszcze robi tak prymitywny sprzęt w dzisiejszych czasach. Czy w erze sieci bezprzewodowych, wszczepianych pod skórę chipów i lokalizatorów GPS branża ochroniarska naprawdę nie doczekała się niczego lepszego niż śmieszny analogowy nadajnik o żalonym zasięgu, który nie ma nawet wbudowanej pamięci?

Jest dokładnie odwrotnie, odpowiedział mu Hackett. Ten nadajnik bije na głowę wszystkie nowoczesne zabawki. Komputery są zależne od sieci, zwalniają, zawieszają się i nie znoszą wilgoci, sieci komórkowe też potrafią wariować, sygnał cyfrowy można zakłócić. Kto chce mieć stuprocentową pewność, ten używa starego i sprawdzonego sprzętu, na którym policja i wojsko bazuje od kilkadziesiąt lat.

– Gdyby moje życie miało zależeć od jednego z tych urządzeń – powiedział Doug, trzymając w jednej dłoni kostkę z czerwonym guzikiem, a w drugiej telefon – smartfon by z miejsca poleciał na śmietnik.

Z zamyślenia wyrwał Joego trzask zamykanej walizki Miriam. Chciałby, żeby jeszcze trochę została, ale nie potrafił wymyślić na poczekaniu nic mądrego, więc spytał tylko, co tam u niej w pracy.

– No, łatwo nie jest – odpowiedziała.

Joe uzmysłowił sobie, że nie ma nawet pojęcia o tym, nad czym teraz pracuje Miriam. Dawniej mówiła mu, czym się akurat zajmuje, pokazywała mu często swoje artykuły, uzgadniała z nim szczegóły referatów.

Postawiła walizki na kółkach i przeniosła nad progiem sypialni.

– Pomogę ci.

– Dziękuję, poradzę sobie.

Spytał ją, kiedy mogłyby wrócić z dziewczynkami do domu. I zaraz odniósł wrażenie, że Miriam i to pytanie odbiera jako krytykę.

Oczywiście, nie możesz tego wiedzieć. Oczywiście, że nie możecie. Oczywiście, że nie żądam. Ależ tak, ja też chcę mieć pewność, że dzieci są bezpieczne.

Joe nie pozwolił sobie obrazić się na Miriam nawet w myślach. Sam tak przecież robił: mścił się na ludziach, którzy nie mieli żadnego wpływu na jego cierpienia. Na Barb, na Roddym, na studentach i na tym gościu z IRB,

który zadał mu niewinne pytanie o pozwolenia z Komisji Etycznej na nowe serie eksperymentów. Facet wykonywał tylko swoją robotę i w jego pytaniu nie było nic niestosownego. A mimo to Joe potraktował go jak natręta.

Powiedzieć ci, gdzie możecie sobie wsadzić te wasze pozwolenia?! – miał ochotę krzyknąć. Pytaj o etykę tych skurwysynów, którzy przysyłają moim córkom bomby z gwoździami!

Mścił się także na zwierzętach w laboratorium: zaczęli nową serię eksperymentów, które wcześniej wielokrotnie odrzucał jako zbyt bolesne dla kotów. Pytanie badawcze było logiczne i wyniki dałoby się pewnie przełożyć na niejedną publikację, lecz do tej pory Joe nie chciał się tych doświadczeń podjąć, zwłaszcza po wysłuchaniu opinii córek. Mimo to teraz, z zemsty na swoich prześladowcach, którzy o tych eksperymentach nigdy nie usłyszą, sam wyznaczył do ich przeprowadzenia najcichszą szarą myszkę ze swoich drugorocznych doktorantów, dziewczynę, która mówiła mu już wcześniej, że chciałyby robić coś innego, a teraz jej kariera przez całe lata, jeśli nie dziesięciolecia, będzie się kręcić właśnie wokół tej bolesnej metody tylko dlatego, że on ją do tych doświadczeń przypisał. Z pewnością nie było to dobre ani słuszne, Joe jednak zabronił sobie dłużej o tym myśleć, bo właśnie teraz najważniejsza dla niego była walka o niezależność nauki. Dlaczego o tę niezależność należało bezwzględnie zabiegać, i to takimi metodami, nie umiałby wyjaśnić, i właśnie dlatego nie miał nawet zamiaru próbować – po części również z tego powodu, że sam doskonale wiedział, że odpowiedź wcale nie przyniesie mu ulgi.

Zemścił się także na pracownicy agencji zarządzania wizerunkiem wirtualnym, do której poszedł na rozmowę z własnej nieprzymuszonej woli i która bardzo starała się mu pomóc. Nie omieszkał nasaczyć goryczą i pogardą każdego zdania, westchnięcia i znaczącego spojrzenia na nadgarstek, podczas gdy rzeczowa, uprzejma trzydziestolatka – pasemka w modnie nabłyszczonych włosach i lśniący designerski zegarek na ręku – wyjaśniała mu, jakimi dokładnie słowami nazwano go bezdusznym nazistowskim generałem, nieludzkim gnojem, który łamie ustawy o ochronie zwierząt i którego działania nie mają nic wspólnego z nauką, którego „pozycja w świecie naukowym” rzekomo już od dawna „stoi pod znakiem zapytania”. Potrzebował pomocy tej kobiety, bo ktoś najwyraźniej *odpowiedział* jednemu z tych bydlaków, którzy rozrzucają gnój w najciemniejszych dziurach internetu – *zareagował* na post. Być może jego student, najprawdopodobniej zresztą w dobrej wierze, ale ta odpowiedź na wymierzony w niego hejt dała początek rozwlekłym wątkom, a nawet całym

hejterskim forum poświęconym wyłącznie jego pracy, które już samą swoją objętością groziły tym, że lada chwila zaczną się pokazywać w wynikach wyszukiwarek.

Największym jego błędem była oczywiście owa nieszczęsna debata, ponieważ zauważyły ją media, które wyszukiwarki uważają za wiarygodne źródła informacji. Jeden z kanałów telewizyjnych Freedom Media manipulował materiałem z debaty tak bezczelnie, że aż się prosił o interwencję jakiejś komisji nadzoru etyki dziennikarskiej. Joe uważał, że nie powinien być zmuszany do płacenia czterech tysięcy dolarów agencji zarządzania wizerunkiem wirtualnym, skoro ktoś może spokojnie robić wszystko, by opinia społeczna opacznie rozumiała jego pracę i misję. Dopóki jednak na pierwszej stronie wyników wyszukiwania jego imienia i nazwiska pokazuje się link do wpisów o tytułach takich jak *Joseph Chayefski sodomita*, *Chayefski spreparował wyniki swoich badań* albo „*Nauka*” *Josepha Chayefskiego to zwykłe oszustwo*, ta kobieta jest mu bardzo potrzebna. Sam nie miał zielonego pojęcia o tym, jak założyć kaganiec tym spuszczonej z łańcucha cyfrowym bulterierom, a modna trzydziestolatka zapewniała go, że ich agencja ma swoje sposoby, żeby zepchnąć najgorsze świństwa na dalsze strony wyników wyszukiwania. Bo usunąć ich z sieci już się nigdy nie uda.

Jego nowe CV.

Bał się nawet pomyśleć, co w tej sytuacji będzie z jego doktorantami, z taką Lisą na przykład, dla której zderzenie z bezlitosnym rynkiem pracy i bez tego było prawdziwym szokiem.

Jego zdaniem świństwa należałoby zostawić tam, gdzie są – niech się same bronią. On ma *tenure* – profesurę na uczelni – i ludzie z branży potrafią odróżnić prawdę od fałszu. Pomylił się. Raz zadzwonił do niego Roddy i z wyraźnym zakłopotaniem zaczął:

„Mamy mały problem”.

I zanim Joe zdążył go zapytać, co to za problem, Roddy podjął:

„Zaglądałeś ostatnio do sieci, co wyskakuje pod twoim nazwiskiem?”.

Joe potrzebował pomocy tej uprzejmej kobiety, ponieważ stał się ciężarem dla swojej uczelni. Była to szanowana instytucja i nie mogła sobie pozwolić na coś takiego. Potrzebował pomocy tej kobiety i dlatego mścił się pogardą dla pracy, którą wykonywała dla niego, żeby mu pomóc.

Kobieta powiedziała, że najpierw spróbują poprosić właściciela przeglądarki o usunięcie kilku wyraźnie łamiących prawo wypowiedzi. To za wiele nie załatwi, ale potem agencja rozpocznie zmasowaną, zrobotyzowaną operację, która będzie polegać na wyszukiwaniu jego nazwiska tysiące razy

na dzień za pomocą takich wyrażeń jak „ceniony Joseph Chayefski”, „naukowiec Joseph Chayefski”, „Chayefski nagroda”, „Chayefski kandydat do Nobla”.

A więc już nikt nawet nie myślał o tym, żeby krzykaczy uciszyć – trzeba było krzyczeć głośniejsze od nich.

Miliony, dziesiątki milionów wyszukiwań. Powoli sytuacja zaczęła się poprawiać. Podobno wystarczy druga czy trzecia strona najczęściej używanej przeglądarki. Wszyscy używają tej samej, a dziewięćdziesiąt pięć procent kliknięć pochodzi ze strony pierwszej. Jeśli uda się usunąć najgorszy chłam z tej pierwszej strony, jest szansa, że administracja uczelni zapomni o jego sprawie.

I za to Joe zapłacił kobiecie cztery tysiące dolarów. Na dzień dobry. Plus pięćset dolarów tygodniowo tak długo, jak długo to będzie konieczne.

Simon Waters radził mu odciąć się od internetu, i to natychmiast, na wszystkich urządzeniach. Z kolei trzydziestoletnia modnisią z agencji zarządzania wizerunkiem wirtualnym – kolczyki z perłami, ciemne włosy z jasnymi pasemkami – chciała właśnie, żeby założył bloga i jak najczęściej na nim publikował. Najlepiej raz dziennie, a nawet parę razy na dzień, żeby jego blog trafił na pierwszą stronę przeglądarki. Im bardziej szalone tempo pisania, tym lepiej będzie stał w rankingu wyszukiwań.

Nie ma znaczenia, co będzie pisał – liczą się posty.

Kobieta zaproponowała, żeby, na przykład, informował krótko, gdzie jest i co robi. Co dwie, trzy godziny. Obecnie są dobre aplikacje, które automatycznie publikują te dane na blogu.

Równie dobrze mógłby pan podpisać na siebie wyrok śmierci: tak Waters podsumował propozycję kobiety.

Joe spytał Roddy'ego, czy uniwersytet nie mógłby wziąć na siebie usunięcia z sieci niestosownych twierdzeń na jego temat. Ma przecież na to środki. W odpowiedzi usłyszał, że już to zrobiono: uniwersytet zapłacił wielokrotnie więcej za usunięcie tych samych linków z wyników wyszukiwań związanych z uczelnią.

Czyli usunięcie jego, Joego Chayefskiego.

Do tej pory uniwersytetowi bardzo zależało, żeby jego nazwisko pojawiało się w przeglądarkach właśnie na pierwszej stronie.

Joe próbował szukać pomocy również u Brada: Freedom Media trzeba podać do sądu albo zagrozić koncernowi procesem. Z początku sam się śmiał z hipotezy, że duży koncern medialny miałby dyrygować atakiem na osobę prywatną. Ale w ostatnim tygodniu jeden z tabloidów Freedom Media

opublikował serię artykułów z opiniami „specjalisty”, który podawał w wątpliwość metody badawcze i pozycję profesora Chayefskiego w świecie naukowym. Oczywiście każdy szanujący się badacz roześmiałyby się takiemu „ekspertowi” w twarz, lecz w wyszukiwarkach linki do jego artykułów lokowały się irytująco wysoko, jako jedne z pierwszych. Rano Joe zadzwonił do redakcji czasopisma i spytał, jak to się stało, że tym „specjalistą” okazuje się człowiek, którego on nie przyjął na etat przed dziesięcioma laty i który od tamtej pory cel swojego życia widzi w pożałowania godnych próbach zdyskredytowania wszystkich jego osiągnięć naukowych, co czyni kompletnie nienaukowo, publikując w czasopismach o wątpliwej reputacji. Redakcja zachęciła go do napisania listu do działu opinii. Tak też zrobił, chociaż był pewny, że zostanie opublikowany w skróconej wersji, bez odnośników do literatury, pogrzebany na marnej szpalcie wewnątrz numeru. Już teraz mógł się założyć, że po przeczytaniu tak okrojonej wypowiedzi nikt zdania o nim nie zmieni. Ci, którzy dostrzegli niekompetencję wybranego przez redakcję specjalisty, nie potrzebowali argumentów Joego, natomiast ci, którzy uwierzyli w opinie „eksperta”, pomyślą tylko, że Chayefski rozpaczliwie broni swoich fałszywych poglądów.

Kiedy Joe uprzytomnił sobie, ile podobnych zbiegów okoliczności spostrzegł w ostatnim czasie, zaczął jednak nabierać podejrzeń, że Freedom Media w kontrolowanych przez siebie mediach oraz na powiązanych z nimi stronach internetowych i forach dyskusyjnych prowadzi kampanię, która ma zszargać mu opinię. Teoretycznie organizowany przez niego bojkot mógłby zagrozić publikacjom naukowym Freedom Media, a przynajmniej doprowadzić do powstania szczepionki na tego wirusa: przecież to oni, naukowcy, mają całą władzę; wydawcy w rzeczywistości nie są już nikomu do niczego potrzebni. I może ktoś w koncernie się połapał, że najgłośniej gardłuje przeciw nim właśnie Joe Chayefski.

Brad jednak nie wierzył w proces. Jego zdaniem dowiedzenie, że teoretycznie niezależne od siebie redakcje zmówiły się, by oczernić jednego naukowca, byłoby piekielnie trudne lub wręcz niemożliwe. On by takiej sprawy na siebie nie wziął i nie radził Joemu, by tego próbował, choćby nawet znalazł gdzieś prawnika na tyle szalonego, żeby się tego podjąć.

W jego głosie Joe wysłyszał, że Brad uważa go za paranoika. Na pewno nie bez powodu.

W ogóle jego prawnik sprawiał wrażenie poirytowanego. Chyba ostatnio Joe dzwonił do niego zbyt często, chociaż Brad nie mógł już nic więcej zrobić dla swojego klienta. Życie mu się zawaliło, trudno; to nie jego wina.

Nie był to jedyny powód do rozgoryczenia. W tym samym czasie najważniejsza twarz bojkotu Freedom Media, kolega Joego z *grad school*, a obecnie profesor z Princeton i redaktor naukowy najlepszego czasopisma z branży, wycofał się z przedsięwzięcia. Nie chciał mieć na głowie tej wielkości spółki giełdowej. Słyszał, że we Freedom Media mają czarną listę osób, które szczególnie założyły im za skórę.

Tak że to wcale nie musiała być paranoja: Joe przypomniał sobie, że na ostatnim spotkaniu uczestników bojkotu zobaczył w końcowym rzędzie nieznanego mężczyznę w eleganckim garniturze, który pilnie wszystko notował.

Oprócz tego kolega z Princeton powiedział mu, że gdyby zrezygnował z funkcji na własną prośbę, wziąłby ją po nim kto inny. Chętnych nie brakowało.

– To na razie – mówi Miriam zmęczonym głosem, schodząc po schodach na parter. Joe raz jeszcze ofiaruje się, że zniesie walizki, lecz Miriam znów odmawia.

– Na razie.

Stoi na piętrze i patrzy, jak drobna brunetka, od szesnastu lat jego żona, z trudem taszczy walizki po krętych schodach.

W połowie drogi Miriam się zatrzymuje i odwraca do niego, jakby chciała coś powiedzieć. Przez chwilę Joe dostrzega w jej twarzy tkliwość, może nawet zrozumienie. Przebiega mu przez myśl, że teraz przeprosi go za tamten ton głosu i powie, że przykro jej z powodu tamtej kłótni – *tamtych* kłótni.

„A tobie co się stało?” – zdziwił się Joe, kiedy po wyjściu ze sklepu z bronią Miriam ni stąd, ni zowąd zrobiła mu awanturę z powodu jego karygodnego zachowania. Że nie traktuje jej poważnie, jak dorosłej kobiety, która ma takie samo prawo do samoobrony jak mężczyzna. Nawet *nie przyszło mu do głowy*, żeby podać jej rewolwer; czy jego zdaniem ona naprawdę jest już takim zerem, że nie ma żadnych szans poradzić sobie sama, że można ją ignorować, że można mieć gdzieś jej bezpieczeństwo? Czy nie tak pomyślałeś, Joe, powiedz mi choć raz szczerze: nie tak właśnie?

Nie podobało mu się jej spojrzenie. Nie czuł się dobrze z tym, że szesnaście lat przeżył w małżeństwie z kobietą, która w trudnej sytuacji zaczyna się zachowywać w taki sposób.

„A! Że niby co *mnie* się stało?”

Powiedziała mu, że jest miękki jak flak. Że tu trzeba oddać dwukrotnie mocniej, walić po mordzie tych, którym się wydaje, że świat można przemocą

wtłoczyć w taką formę, jaka im się podoba. Ale nie Joe – on najchętniej schowałby się do swojej skorupy, poddał się terrorystom bez walki.

Bardziej niż jej złość Joego przeraziła własna reakcja. Jeszcze nigdy nie użył tego słowa w żadnej kłótni z Miriam. Ale co on, kurwa, może? Trzeba było, kurwa twoja mać, powiedzieć w sklepie, tobym ci podał ten jebany rewolwer, jeżeli to dla ciebie aż takie ważne! I może można by sobie parę spraw po prostu odpuścić, przyznać się, kurwa, że mamy gorszy okres, zdobyć się, kurwa jego mać, na krzytną uczciwość!

Na ten wybuch złożyło się wiele czynników: niesprawiedliwość losu, lęk o przyszłość, wyrzuty sumienia z powodu zaniedbanych spraw zawodowych i oczywiście nieokreślony niepokój spowodowany tym, że Miriam może mieć rację. Sam się przestraszył swoich słów, niemal żywcem wyjętych z leksykonu ich nastoletniej córki:

„Skończ już, kurwa, z tym kazaniem!”.

Po raz pierwszy poczuł, że chyba rozumie, jak się musi czuć nastolatek. Kiedy życie jest tak strasznie niepewne, akurat najbardziej mu trzeba umoralniających kazań. I dlaczego Miriam zachowywała się tak, jakby to jej życie i kariera były najbardziej zagrożone? Jakie miała prawo zgrywać się na męczennicę? Przecież to *jemu* ciągle grożono śmiercią albo procesem! To *jego* nienawidził ten obcy mu syn z Finlandii!

I kiedy powinien już sam zrozumieć, że lepiej ugryźć się w język, dodał jeszcze:

„Jeśli komuś w tej rodzinie się upiekło, to właśnie tobie”.

Miriam miała rację we wszystkim, co mu powiedziała po tych słowach. Potem Joe podzielał jej zdanie w każdej następnej kwestii. Zresztą przeprosił ją przez telefon. A ona powiedziała, że mu wybaczają. Mimo to Joemu pozostał posmak klęski i szkody, której nie da się już nigdy naprawić. I to coś w jej głosie, kiedy powiedziała cicho do słuchawki, że może lepiej będzie, jeśli wrócą do tej sprawy później; to coś w jej głosie powiedziało mu, że więcej do niej nie wrócą. Nie wrócili.

I próbować jeszcze spotkać się z Samuelem. Joe zaproponował to niedługo po tym, jak odebrali w biurze Douga i Mike'a swoje czerwone guziki. Sam miał mieszane uczucia wobec tego pomysłu, czuł jednak, że to rozsądna propozycja, i był z niej nawet dumny. Miriam jednak słuchała go ze zmarszczonym czołem, z wymuszonym grymasem niedowierzania na ustach. Chodzi tylko o to, żeby wszystko sobie wyjaśnić, próbował tłumaczyć Joe. Przełamać ten impas, bo sytuacja staje się coraz bardziej napięta.

W końcu spytała: „Ty mówisz poważnie?”.

Wbił w nią zdumione spojrzenie.

„Jak to?”

Stali na ulicy przed biurem prywatnej agencji ochrony. Przechodnie odwracali szybko spojrzenia, nikt nie chciał patrzeć na małżeńską kłótnię. Miriam wbiła wzrok w asfalt i mrugnęła szybko powiekami. „Muszę powiedzieć, że...”

Nie mogła czy nie chciała dokończyć, tego Joe nie wiedział. Pokręciła tylko głową.

„Co? Co mi musisz powiedzieć?”

Uniosła wzrok.

„Jak to sobie wyobrażałeś? Że tak po prostu zadzwonimy do niego? I zaprosimy do nas?”

„Tak!”

Miriam roześmiała się gorzko.

„Ty, widzę, ciągle próbujesz, jakby on nie był jednym z nich. Jakby wszystko było zupełnie okej”

„Właśnie, że nie! Nawet jeśli on jest jednym z nich, to... Czy po tym właśnie nie będzie mu trudniej traktować nas jak jakieś, nie wiem... *obiekty*? Jeśli nas pozna osobiście? Zobacz, jak wspaniałe mamy córki, jak... jak *zwyyczajni* jesteśmy!”

Ten sam nerwowy śmiech i tym razem Miriam pokręciła jeszcze głową, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że nie zamierza rozmawiać z człowiekiem niespełna rozumu.

„To psychopata, Joe. Osoba, która nie ma za grosz szacunku dla uczuć żadnej innej żywej istoty”

„Na pewno”

„Ty nic nie rozumiesz! On się nauczył całkowicie wypierać to, co może czuć cierpiąca żywa istota. I nawet nie chce zrozumieć, co znaczy zadawać komuś ból”

„Mimo wszystko – powiedział Joe. – Albo może właśnie dlatego. Będziemy wtedy chociaż wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi”

Czuł, że głos mu zadrżał, kiedy przypomniał sobie nagle duży reportaż o młodym Norwegu. O tym, który wszedł do sali rozpraw z ramieniem uniesionym w nazistowskim pozdrowieniu, który był w wieku jego obcego mu syna, który zastrzelił stu swoich rówieśników, bo chcieli zmienić świat. Podobno wcześniej ćwiczył spokój konieczny do takiego czynu: za pomocą medytacji buddyjskiej nauczył się wyciszać współczucie dla innych istot, którym przyjdzie oddać życie z powodu jego misji, do której zrozumienia

może pretendować tylko kilka osób na tym marnym świecie.

Wreszcie Miriam powiedziała łamiącym się głosem:

„To pomysł nie tylko niebezpieczny, ale także bezdennie głupi, absolutnie idiotyczny”.

Joe ją rozumiał – i nie rozumiał nic.

„Ale co nam może się stać? Przecież mamy w domu *ochroniarzy!*”.

„Joe, nie mogę pojąć, jak możesz...”.

„Dwóch zawodowych morderców! Którzy potrafią pozbawić człowieka życia gołymi rękami w pół minuty! Co on mógłby nam przy nich zrobić?”.

„Joe, muszę powiedzieć, że mnie przerażasz”.

„Naciśniesz czerwony guzik, to wpadną do środka i skręcą mu kark. On byłby z nas wszystkich najbardziej zagrożony!”.

„Joe, odnoszę wrażenie, że twoje zdrowie psychiczne zaczyna szwankować”.

„Moglibyśmy...”.

„Mówię zupełnie poważnie, Joe. Ja już nie rozumiem, co ty do mnie mówisz”.

Jej zdaniem do niego ciągle nie docierało, co się przydarzyło jego rodzinie. Nadal żył w tym swoim wydumanym Wszechświecie, gdzie jest jeszcze wszechmogącym władcą, który dzieli i rządzi – w zupełnie innym wymiarze niż jego żona i córki.

„Możemy się spotkać z nim w kawiarni, na oczach całego miasta. Może uda się to wszystko jeszcze jakoś *wyjaśnić!* A przynajmniej coś!”.

Ale Miriam nie chciała go więcej słuchać. Nie mogła słuchać, jak bardzo jej mężowi pomieszało się w głowie. Oddalała się już, stukając obcasami, zostawiła go samego w palącym słońcu przed biurem agencji ochrony. Po chwili namysłu Joe pobiegł za nią.

Kiedy ją dogonił, drżącą ręką szukała w torebce kluczyków.

„To ma być niby lepsze? – spytał. – Życ w ciągłym lęku i niepewności? Z każdym dniem stawać się coraz twardszym, popadać w coraz głębszą paranoję?”. Tak jak ty? – to miał na myśli. I gdy znieruchomiała, opuściła torebkę i obróciła się do niego, Joe zobaczył w jej oczach, że zrozumiała.

Hackett poparł Miriam, jakżeby mogło być inaczej. Płacono mu za to, żeby chronił ich przed światem zewnętrznym, żeby nikt obcy się do nich nie zbliżał. Propozycja Joego odbiła się od pleców żony, upadła między cykady świerszczące pod skwarnym, szarym niebem Marylandu. Simon Waters oczywiście także zgodził się z nimi. I policja – policja wprost zabroniła im kontaktować się z Samuelem; to oni prowadzą śledztwo i Joe w żadnym

wypadku nie może robić niczego na własną rękę.

Na ulicy przed biurem agencji ochrony w popołudniowym słońcu Joe nie dostrzegł w oczach Miriam błysku triumfu ani złośliwej satysfakcji, tylko zawód i wyczerpanie – wyglądały podobnie jak u niego, a jednak zupełnie inaczej; odniósł wrażenie, że zawód Miriam ma oczywisty związek z nim: przecież już próbowałeś z nimi rozmawiać, dlaczego ty nigdy niczego się nie uczysz?

Kiedy tego dnia wieczorem Joe położył się sam do łóżka w małżeńskiej sypialni i zgasił światło w pustym domu, poczuł, że po raz pierwszy w sprawie o kolosalnym znaczeniu dla rodziny jego żona zupełnie go nie rozumie i nawet nie chce zrozumieć. Poczuł zarazem, że nie będzie mu łatwo jej to wybaczyć – że nie zgodziła się w dyskusji ustąpić ani trochę, nie chciała mu nawet wytłumaczyć, co mogłoby się stać, czego konkretnie się boi. Był gotów zaakceptować jej prawo weta, ale to, że nie chciała pójść nawet *na to*, na tak drobne ustępstwo jak *powiedzenie* mu chociażby, co o tym wszystkim myśli – tego po prostu zaakceptować nie mógł i ta świadomość gnioła go i odbierała mu dech w piersiach. Słyszał wycie karetek i radiowozów i powtarzał sobie w myślach, że nigdy nie wybaczy żonie tej uzurpacji i storpedowania jego pomysłu, tego zlekceważenia jego przemyśleń i podeptania uczuć w sprawie, która dotyczyła także jego życia, jego spopielonego poprzedniego wcielenia.

Spojrzenia Joego i Miriam już się nie spotkają, gdy Miriam odwróci się na schodach i zniesie walizki na dół. Joe chciałby coś jeszcze powiedzieć, lecz chwila już minęła. Miriam zdążyła zejść z ostatniego stopnia na twarde parkiet – ten sam, który Joe kładł przez cały tydzień w lipcu siedem lat temu. Jeszcze pamięta, z jaką satysfakcją patrzył na idealnie pasujące do siebie klepki – może dlatego, że w głębi duszy podejrzewał, że coś mu nie wyjdzie. Miriam powiedziała już, co zamierza zrobić. Joe stara się jeszcze znaleźć jakieś słowa na pojednanie, na znak, że pragnie to wszystko naprawić. Ale ponieważ nie jest pewny, co ona myśli i czuje, i nie wie, czy jego pojednawczy gest nie pogorszyłby tylko sytuacji, nie potrafi na oczekaniu nic sensownego wymyślić. W końcu już ją przeprosił i jego przeprosiny zostały przyjęte. Miriam sprawdza swój czerwony guzik i przekręca gałkę. Kiedy drzwi zamykają się za nią, Joe rozważa jeszcze, czy nie zbiec ze schodów i czegoś nie powiedzieć, nie chwycić żony za ramię, nie poczuć pod palcami znajomego miękkiego ciepła i delikatnych kości. Chciałby ją pocałować, to byłoby chyba nawet ważne w tym momencie.

Stoi jednak bez ruchu. Miriam wyszła i po chwili z zewnątrz dobiega

pretensjonalnie zwawy odgłos zapuszczanego silnika hybrydowego accorda.

Zupełnie jakbyś kogoś za coś przepraszała Helsinki, Finlandia

Alina wsuwa klucz do zamka, lekko napiera ramieniem na drzwi i wchodzi do środka. Wszystko wygląda zupełnie zwyczajnie. Wita ją znajomy zapach własnego mieszkania, czuje w nim jednak obcą domieszka.

Po dzieci pójdzie dopiero za godzinę. Przedszkole i szkoła zorganizowały dyskusję panelową o rozwojowych zaburzeniach interakcji społecznych. Celem akcji jest uczulenie dzieci na problemy rówieśników, by można im było zapobiegać możliwie najwcześniej. W szkole uruchomiono punkt, w którym specjalista udziela dzieciom i rodzicom porad w zakresie leczenia zaburzeń interakcji społecznych. Alina bardzo się cieszy, że ktoś myśli o dzieciach, że chce im pomagać. Podobno w okresie kilku ostatnich miesięcy kilkadziesiąt chłopców i dziewczynek zakwalifikowano do terapii optymalizatorami VMPFC. Podobno można nimi bardzo precyzyjnie regulować funkcjonowanie komórek kory przedczołowej w mózgu. Kampania ma nawet nośne hasło: Dzieci to nasza przyszłość.

Alina odwiesza płaszcz w przedpokoju i łapie się na strachu, że lada chwila zadzwonią ze szpitala. Czuje się jak nastolatka, która urwała się z lekcji. Ale nie zadzwonią – pigułom jest wszystko jedno, czy ona przyjedzie, czy nie. W sumie to pewnie się ucieszą, że nie będą musiały jej oglądać na oczy, wiecznej malkontentki, kiedy one stają na głowie, żeby wszystko było jak najlepiej, chociaż sytuacja jest, jaka jest: ciągle brakuje środków. Jedyna osoba, która mogłaby za nią tam tęsknić, to właśnie ojciec, ale dla niego każdy dzień to wieczność, a wieczność to jeden dzień. Ojciec nie pamięta, że dzisiaj jest czwartek, i nie pamięta, że córka odwiedza go we wtorki, czwartki i niedziele. Ojciec nie ma kalendarza, a one mu na pewno o odwiedzinach córki nie przypominają. I za każdym razem słyszy od niego te same słowa: „Dobrze, że się chociaż czasem pokażesz”.

Ale teraz po prostu nie ma siły, nie dzisiaj. Ma wrażenie, że wszystko, co usłyszała przedwczoraj przez telefon od Joego, przesącza się do świadomości dopiero teraz, z dużym opóźnieniem.

Zdołała o tym nie myśleć przez całe dwie doby – taka była pewna, że to nie może być prawda.

„Są przekonani, że to prawda”.

– Wybacz – myśli Alina, lecz spostrzega, że powiedziała to na głos. Nie wie tylko do kogo.

– Co mówiłaś?

Kiedy w drzwiach sypialni pojawia się Henri, Alina aż upuszcza torebkę ze strachu. Czuje się tak, jakby ją przyłapał na czymś wstydlivym.

Wszystko w porządku, nic się nie stało.

– A, cześć – mówi do niego, nie może jednak spojrzeć mu w oczy. – Nie zauważyłam, że jesteś.

– Wypadła mi superwizja – wyjaśnia Henri.

– A.

Henri przygląda się jej badawczo. Trzyma w ręku książkę o psychoterapii, jedną z tych, w której autor ma właściwe odpowiedzi na wszystkie pytania i każdy przypadek ma dobry początek, przebieg i zakończenie; nikt się nie zabija, a nawet jeśli, to terapeuta natychmiast wyciąga z tego konstruktywne wnioski i rozwija się jako człowiek.

– Co przed chwilą powiedziałaś? – pyta Henri.

– A powiedziałam coś?

Alina czuje, że się czerwieni. Jest najgorszą kłamczuchą na świecie.

– Zupełnie jakbyś kogoś za coś przepraszała.

– Co ty mówisz?

– A nie przepraszałaś?

– O ile mi wiadomo, to nie.

– Dziwne.

Alina przechodzi do kuchni i przestawia naczynia, byle tylko nie musieć patrzeć Henriemu w oczy. Serce bije jej zbyt szybko, choć nie ma ku temu żadnych powodów, wszystko jest przecież w jak największym porządku. Henri mruczy coś pod nosem i wraca do sypialni, kładzie się z powrotem na łóżku, na złożonej na pół pod ścianą poduszce.

Rano tego dnia Alina słuchała w radiowej jedyńce rozmowy o masakrach szkolnych. Zdumiała się, bo przez chwilę sądziła, że to nie fińskie, lecz amerykańskie radio; dzień wcześniej rzeczywiście słuchała niemal identycznej dyskusji w NPR. Inne były tylko miejsca i nazwiska: Connecticut to Nurmijärvi, a Daniel Zyslewinski – Hannes Vihinen.

Nawet ton był identyczny. Zarówno Vihinen, doświadczony dziennikarz, który badał masakry szkolne i napisał o nich książkę, jak i prowadząca audycję pani redaktor rozmawiali spokojnie. Że też można o czymś takim mówić tak wyważonym tonem, tak starannie artykułując słowa w akustycznym studiu: proszę nam powiedzieć, co możemy zrobić, żeby nie

dopuścić więcej do podobnej tragedii. W tej wszechogarniającej powściągliwości, w tej pełnej kontroli nad emocjami było coś przerażającego. W studiu oprócz Vihinena byli także pani psycholog i psychiatra, który poważnym głosem wypowiedział to wszystko, co Alina spodziewała się od niego usłyszeć.

Dwudziestoletni chłopak, którego nikt nie podejrzewał o skłonności do przemocy, najpierw zabił matkę, a potem pojechał samochodem do swojej dawnej szkoły podstawowej, gdzie śmiertelnie postrzelił dwadzieścioro dzieci z pierwszej klasy i sześć osób dorosłych.

Jeśli już mają o tym dyskutować, to Alina wolałaby, żeby ci ludzie histerycznie wrzeszczeli. Alina wolałaby, żeby ten ekspert od książki, Hannes Vihinen, i ta ładnie się wypowiadająca kobieta biegali nago po ulicy, demolując auta i wystawy sklepowe. A jeśli już rzeczywiście muszą rozmawiać, to niechaj budzącym grozę głosem zagadują osoby, których nikt poza nimi nie widzi. Ten radiowy głos i te pytania – proszę nam powiedzieć, jak do tego doszło, kto powinien zareagować – to nagle coś tak przerażającego, że Alinie brak słów.

„Choćbyśmy wiedzieli wszystko o tym chłopaku, i tak nie zrozumiemy jego czynu”.

„Czy mógłby pan rozwinąć tę myśl?”.

„Myślę – tu Vihinen robi dramatyczną przerwę i zbiera całą swoją profesjonalną powagę – że czegoś takiego po prostu nie da się wytłumaczyć. Nie można powiedzieć o nim nic, co by nas przybliżyło do jego zrozumienia”.

– Nie poszłaś dziś do ojca? – słyszy nagle głos Henriego, który dobiega z sypialni jak z innego wymiaru.

Spojrzenie Aliny nieruchomieje w metalowym zlewie.

Oto, co postanowiliśmy w tej sprawie zrobić, myśli: porozmawiać o tym rzeczowo w radiu. *Porozwagać*, co moglibyśmy zrobić. Rok w rok na nowo *zapytywać* – proszę nam powiedzieć, pani doktor X, panie terapeuto Y – *co moglibyśmy zrobić*, żeby nie dopuścić więcej do podobnych tragedii.

Tak zamierzamy nie dopuścić więcej do podobnych tragedii, tym oto sposobem: będziemy pytać w radiu, telewizji i prasie, co moglibyśmy zrobić.

Alina unosi ze stołu brudny talerz. Wszystko w największym porządku.

„On powiedział, że to zrobił.

Sam tak powiedział”.

Komu niby?! – Alina krzyczy znowu w myślach, pewna, że Joe się pomylił, że wyciągnął pochopne wnioski, byle tylko znaleźć odpowiedni cel swojej żądzy zemsty. Nagle ogarnia ją taka wściekłość, że mogłaby cisnąć talerzem

o ścianę.

„Panie redaktorze – dziennikarka zwraca się do Vihinena-Zyslewskiego w fińsko-amerykańskiej audycji, której nikt nie nazywa już dziś audycją – rozmawiał pan z ojcem tego chłopca wielokrotnie. Jakie było, pana zdaniem, jego najważniejsze przesłanie dla czytelników pańskich wywiadów?”

„Ten człowiek chciał, żebyśmy wszyscy się bali”.

„Bali?”

„Ojciec tego chłopaka szczególnie to podkreślił. «Chcę, żeby ludzie zrozumieli, że powinni się bać. Bać się tego, że to się może przytrafić każdemu»”.

– Nie miałaś dzisiaj jechać do szpitala? – znów pyta Henri i musi chyba być gdzieś bliżej, bo słowa są głośniejsze i bardziej zrozumiałe.

Musisz tak wrzeszczeć?! – Alina słyszy w głowie swój rozgniewany głos.

„Niejaka Kerttu. Nazwisko Lamminsuo coś ci mówi?”

Normalnie Joe musiałyby przeliterować jej nazwisko, bo zniekształcone w jego amerykańskiej wymowie byłoby trudne do zrozumienia, a żadne z nich nie było w nastroju, w którym można spokojnie czytać litera po literze, ale od razu wiedziała, o kogo mu chodzi.

Doskonale pamięta Kerttu, jej faworytkę spośród wszystkich dziewczyn Samuela.

Samuel powiedział Kerttu, że to on nadał tę paczkę. Rozmowę ściągnięto z internetu jakimś programem szpiegowskim. Przez chwilę Alina widzi przed oczami obraz domu do rozbiórki, który wali się w gruzy od pierwszego strzału, ale to po prostu nieprawda, mówcie sobie, co chcecie.

Wpatruje się w brudny talerz i przypomina sobie tamten dzień burzliwej jesieni po maturze Samuela, kiedy jej powiedział, że przyjęli go do Laajakosken Bioteteet. Poczwała wtedy, że spadł jej z serca bardzo ciężki kamień. Jakby zostały wysłuchane jej modlitwy, które przez całą jesień wznosiła bezgłośnie. Samuel był bardzo zadowolony ze swojego pracodawcy i wydawało się jej, że czuje się bardzo dobrze w tamtym centrum badawczym. Na dodatek zadowolenie było chyba obustronne.

I to nie są jej własne interpretacje. Nie, wraca do tego wszystkiego raz za razem po zapętłonym myślowym torze, który przemierza tak często, że rozpoznaje już w nim dobrego przyjaciela: nie wymyśliła sobie entuzjazmu Samuela ani tonu jego głosu, który stawał się głębszy, kiedy opowiadał jej o wynikach badań i obróbce danych. Wyraz twarzy jej syna mówił o głębokiej satysfakcji, jakiej doświadcza pewien określony, znany jej typ człowieka – pewien znany mężczyzna, słyszy w myślach odpowiedź – gdy

może się skupić na czynności wymagającej sporej dozy precyzji i umiejętności: dzięcioł powielający w nieskończoność trajektorię uderzeń dzioba w drzewo.

Alina zdaje sobie sprawę, że gapi się w zalany wodą garnek po spaghetti. Zaczyna wkładać machinalnie do zmywarki talerze z przyschniętymi od wczorajszego wieczoru resztkami makaronu. Przypomina sobie, jak raz była w domu wyjątkowo w południe, przygotowywała się do dyskusji, na którą zaprosiła ją grupa imigrantek, gdy do domu wszedł Samuel. Zdumiał ją zgrzyt klucza w zamku, sądziła, że to Henri, i zaraz przez jej głowę przebiegła myśl, że jednemu z młodszych synów coś się stało.

Chwila, kiedy otworzyły się drzwi: to, jak wyglądało jej dziecko, jej stojący w przedpokoju dorosły syn. Nadal pamięta tamto uczucie ziemi usuwającej się spod stóp, wstrząs z powodu tego, co się musiało stać, choć mogła tylko przeczuwać, że to coś potwornego.

Samuel wszedł do salonu i powiedział, że rzucił pracę.

Dlaczego? – Alina była zdruzgotana. Wstała od stołu.

Samuel podszedł w butach do sofy i usiadł. Dlaczego? – powtórzyła. Głos Samuela drżał od zdławionych emocji: Musiałem.

Alina pamięta, że poczuła wtedy, jakby cały świat zaczął skrecać w złą stronę, a ona, dojrzała już kobieta, nie ma na to najmniejszego wpływu. Pamięta, że próbowała go wypytywać, co się stało, i namawiać, żeby przemyślał jeszcze swoją decyzję, choć nie do końca rozumiała, w jakiej sytuacji znalazł się jej syn – i z jakiego powodu.

Ale on był już dorosły, podjął decyzję i nie dał się przekonać do jej zmiany. I jeśli nawet miał czas do namysłu, to ten czas już minął.

W trakcie trudnej i zagmatwanej, niezrozumiałej dyskusji Samuel powiedział, że wie, co będzie teraz robił. Alina przypomniała sobie, że pomyślała wtedy: Na pewno wiesz? I że bardzo się bała, bo Samuel wyglądał dokładnie tak samo, jak zawsze, ale wydał się jej nagle kimś zupełnie innym. W jego ubiorze, twarzy, gestach i mimice nic się nie zmieniło – a w każdym razie ona nie umiałaby wskazać żadnych szczegółów, w których dokonała się zmiana – ale przemiana, jaka zaszła w jej synu w ciągu tamtego tygodnia, miała w sobie coś przerażającego, nienaturalnego.

W ciągu tamtego tygodnia jego oczy postarzały się o piętnaście lat. Alina nie może tego wybaczyć – sobie? światu? sama tego nie wie – że doszło do zniszczenia czegoś tak ważnego. I kiedy widziała potem Samuela, kiedy z nim rozmawiała, myślała o nim, zawsze przychodziło jej do głowy to samo pytanie: co się stało z jej synem?

I wkładając teraz talerze do zmywarki, uzmysławia sobie nagle, że nikt nie może zajrzeć do duszy drugiego człowieka. Jak można w ogóle żądać od kogokolwiek takiej umiejętności? Sama myśl o tym jest tak przytłaczająca i nieprawdopodobna, że Alina musi zdusić w sobie głos, który wbrew jej woli usiłuje się wydostać gdzieś z głębi trzewi.

Pamięta bezradność, jaką odczuwała, kiedy Samuel był tym małym, pyzaty brzdącem o kręconych włosach, niesamodzielnym maluchem, którego prowadziła do przedszkola w drodze do pracy i który nie miał nic do powiedzenia, gdy ważni dorośli podejmowali decyzje. Pamięta, jak się bała, że pod jej nieobecność zajmujący się nim nieodpowiedni, nietolerancyjni i nieczuli ludzie wypaczą mu psychikę, a ona niczego nie zauważy.

– Alina?

W kuchni zjawia się Henri. Dopiero teraz Alina zdaje sobie sprawę, że ten jęk przed chwilą to musiała być ona. I musiał być na tyle głośny, że usłyszał go także Henri w sypialni.

– Co się dzieje? – pyta Henri. Jego masywna, rozmazana obecność majaczy na obrzeżach pola widzenia.

Alina nie odrywa spojrzenia od zmywarki. Zdążyła już zapełnić wszystkie miejsca, zanim spostrzegła, że wyciskacz do cytryny coś za bardzo się świeci, za bardzo jest suchy i skrzypiący, żeby mógł być brudny. Patrzy na szary pojemnik na sztućce, nie sposób już odróżnić brudnego od czystego.

– Hej – odzywa się znów Henri. – *Hej!*

Alina czuje na plecach jego dotyk. Zgięła się już w pół. Henriego może to dziwi, ale to tylko brak powietrza. Dlaczego jeszcze nie otworzył okna? Serce wali jej tak szybko, że puls przekroczył niebezpieczną granicę i wydaje się nagle bardzo powolny. Trzeba by chociaż wyjąć te najbardziej czyste i włożyć do kredensu, tylko jak: nie da się już ich od siebie odróżnić. A nawet gdyby się dało, to co komu po jednym czystym nożu?

Były czyste, próbuje powiedzieć na głos, ale z gardła wydobywa się jej coś pomiędzy kaszlem a skrzekiem dławiącego się ptaka. Alina nie widzi już naczyń ani metalowej klapy otwartej zmywarki, lecz ześrodkowaną w nich elipsę, na której można by skupić całą swoją wolę, tylko że ona się kręci, ciągle się kręci, dlaczego?

– Oddychaj – słyszy głos Henriego. – Długie, głębokie wdechy i wydechy.

Było coś ważnego i powinna mu to teraz koniecznie powiedzieć, lecz nim odzyskuje głos, to coś ważnego jest już daleko, odpływa za daleko. Alina słyszy przerażenie w jego głosie i nadciągające szybko z odsieczą profesjonalne opanowanie. Od dłuższego czasu Alina usiłuje zatrzymać

drżący w dłoni wyciskacz, ale ten nie chce jej słuchać. Za chwilę trzeba będzie iść po dzieci. Proszę nam powiedzieć, co możemy zrobić, żeby nie dopuścić do podobnych tragedii w przyszłości? Im mocniej zaciska palce na wyciskaczu, tym szybsze zygzaki ten jej wycina, a te znów w jakiś niepojęty sposób łączą się z coraz szybszym dyszeniem – czy to naprawdę jej własny oddech? – ale już ktoś bierze ją w ramiona i gniecie w potężnym, niedźwiedzim uścisku. Uspokój się, szepcze Henri nazbyt spokojnie, ale musi się uwolnić, bo inaczej się udusi, brakuje jej tchu, po dzieci trzeba iść, zaraz zemdleje. I zniosłaby wszystko, ale wyciskacz jakimś cudem znalazł się na podłodze, więc z całych sił wyrywa się Henriemu, czemu on nie chce tego zrozumieć: czyste się pomieszały z brudnymi.

Ja już po prostu widzę tego gościa Baltimore, MD, USA

Kiedy przychodzi wiadomość o nalocie FBI, można powiedzieć, że to po prostu idealny dalszy ciąg wariackiej wiosny. Agenci zatrzymali w Eugene w stanie Oregon grupę znanych ekstremistów pod zarzutem ekoterroryzmu.

Nie wydaje się możliwe, żeby to się działo w prawdziwym życiu, przecież żadnego FBI nie ma. Wiadomość o zatrzymaniu jest jak cała ta wiosna: to nierealny sen, surrealistyczny film, który z komedii absurdów zmienił się w thriller.

Kiedy przychodzi wiadomość o nalocie FBI, opresyjny skwar wisi nad miastem jak gorący, wilgotny dywan. Jakiś czas temu Alina rozmawiała z Samuelem przez telefon. Prosiła go, żeby wrócił do Finlandii, ale się nie zgodził. Joe nie wie, czym Alina motywowała swoją prośbę, ale wierzy jej na słowo, że próbowała wszystkiego.

Kiedy przychodzi wiadomość o zatrzymaniu, Joe prosto z kampusu jedzie do domu, próbując powtarzać sobie w myślach, że jest już wreszcie po wszystkim. Informacja o zatrzymaniu całej grupy ekoterrorystów przynosi niesamowitą ulgę i dlatego to takie dziwne, że mimo to ani trochę nie jest mu lepiej. W samochodzie, mijając boisko pokryte plastikową trawą i obserwatorium astronomiczne okolone rozbuchanymi zielenią klonami japońskimi i prastarymi dębami, Joe zdaje sobie sprawę, że trawiący go od środka ogień wcale nie zgasł – pali go teraz jeszcze bardziej.

Kiedy przychodzi wiadomość, ktoś z policji stanowej albo biura prokuratora – później Joe już nie pamięta, skąd do niego zadzwonili – spokojnie i bez emocji niczym fiński spiker podający wyniki sportowe wylicza mu przez telefon zarzuty.

Włamanie.

Wyrządzenie znacznych szkód materialnych.

Działalność wywrotowa.

Przestępstwa teleinformatyczne.

Urządzenie niszczące.

Urządzenie niszczące? Co to takiego?

Urzędnik z urzędową obojętnością wobec jego myśli dalej wylicza przestępstwa oficjalnym głosem.

Nie jest pan do niczego zobowiązany, Joe słyszy w słuchawce odczytany z kartki tekst, ale na pana wniosek jako ofiary przestępstwa będzie pan mógł podać do wiadomości sądu okoliczności, które pana zdaniem sąd powinien wziąć pod rozwagę. Mężczyzna mówi jak człowiek bezgranicznie znudzony życiem.

Urządzenie niszczące: paczka, którą dostały dziewczynki i którą Daniella otworzyła.

Dlaczego to takie obojętne: wszystko skończone.

W grupie osób zatrzymanych przez policję jest także zagraniczny aktywista, Samuel Heinonen, któremu zostaną postawione zarzuty posiadania urządzenia niszczącego i próby jego wykorzystania.

„Boję się, że zrobiłem coś okropnego”.

Jego syn podesłał im bombę, a jemu to najzupełniej obojętne. Kiedy przychodzi wiadomość o zatrzymaniu dokonanym przez FBI, sedno sprawy sprowadza się do tego jednego stwierdzenia: to bez znaczenia, kto im wysłał bombę. Joe jest uosobieniem nienawiści, która nie skupia się na nikim i która nikomu nie przyniesie korzyści. Przestał już podsyłać Roddy’emu, Lisie, Sarah, Rajowi i Barb Fleischmann codzienną porcję linków do wiadomości o ekoterrorystach i najnowszych rewelacyjnych wynikach uzyskanych dzięki eksperymentom na zwierzętach; w końcu zrozumiał, że to się obraca przeciwko niemu. Nie da się przerzucić własnych emocji na inną osobę. Ich współczucie zwróci się w inną stronę, bo jego krzyk zaczął ich już męczyć. Joe wie, co myśli każda z tych osób: że poradziłyby sobie lepiej niż on. Każda z nich wyobraża sobie, że nie postradałaby zmysłów tak jak on, że prowadziłyby dalej swoje kursy, nie zamieniając swoich lab meetingów w płomienne wystąpienia polityczne. Widział zresztą reakcje studentów: złość, rozbawienie, czasem zaaferowanie lub skarga do dziekana. Od dawna śledził stronę grupy Stand Up!, która planuje uderzenia prewencyjne na gniazda najbardziej fanatycznych ekoterrorystów – trzeba się do nich wreszcie wybrać z kijami baseballowymi i karabinami, trzeba zapobiegać groźnym przestępstwom, nie siedzieć z założonymi rękami! Ale to zupełnie inna ekipa, to nie są naukowcy, tylko myśliwi i hodowcy zwierząt futerkowych, właściciele ubojni; Joe zazdrościł im tej możliwości działania, zrobienia czegokolwiek dla szybkiej poprawy samopoczucia, ale myśl o sprzymierzeniu się z miłośnikami broni i rzeźnikami tylko pogłębia poczucie alienacji. Joemu jest wstyd za siebie i żałuje teraz swojej młodej doktorantki, którą wrobił w serię bolesnych eksperymentów na kotach; chciałby odwołać tę dziecinną, sadystyczną decyzję, ale teraz już nie może

tego zrobić, mleko już się rozlało. Kiedy przychodzi wiadomość, oczy Miriam zachodzą łzami, lecz żona nie wtula się w jego ramiona, na co czekał przez całą wiosnę, nie rzuca mu się na szyję, tylko jakby jeszcze bardziej blednie, szarzeje i chudnie na twarzy: tak, już słyszałam.

Kiedy przychodzi wiadomość, Miriam wchodzi do domu ze zdecydowaną miną, nie patrząc na niego. Chociaż buty zostawia się u nich w przedpokoju, teraz Miriam wkracza do salonu z głośnym stukotem obcasów, jakby chciała zostawić na podłodze nieusuwalne ślady. Maszeruje do antycznego sekretarzyka z zamykaną na klucz szafką, który Joe odziedziczył po babce i w którym przechowywane są metryki urodzenia dziewczynek, umowy ubezpieczeniowe i wybierane według jakiejś osobliwej, konsekwentnie niekonsekwentnej logiki wycinki z prasy.

Dziewczynki są w szkole i Joe uświadamia sobie, że Miriam wybrała porę dnia celowo, żeby nie musieć im tłumaczyć, dlaczego nie zabierze ich ze sobą do ojca, skoro już się wybiera w tę dwugodzinną podróż. Miriam wprawnym ruchem otwiera torebkę i wyciąga z niej metaliczny, tępy przedmiot o brązowej rękojeści, który z jakiegoś powodu ma w nazwie słowo *specjalny*. Polecany osobom, które nie mają jeszcze doświadczenia i które nie muszą ukrywać go w ubraniu.

Joe nie zamierza jej w tym przeszkodzić, Miriam wyciąga więc z torebki także małe pudełko o wyglądzie opakowania kred do tablicy. Otwiera je i wyłuskuje ze środka sześć lśniących nabojów i po kolei je wsuwa do otwartego bębenka. Joe jest zdumiony sprawnością jej ruchów.

Drobna kobieta w dobrze skrojonej sukience i szpilkach stoi w salonie i szczupłymi, delikatnymi palcami nabija rewolwer; lśniące czarne pukle spływają jej pięknie na szyję. Przez ulotny moment Joe widzi swoją żonę w zupełnie nowym świetle i to połączenie Miriam z ładującą rewolwer obcą kobietą podnieca go tak, jak jego żona dawno temu, kiedy byli jeszcze młodzi.

Sam jest zdziwiony, jak bardzo jej teraz pragnie. Nie kochali się od wielu miesięcy. Ich bliskość już od lat była serdeczną, spokojną czułością równorzędnych partnerów, której już nie pociąga ryzyko namiętności. Palące pragnienia i potrzeby zostały jakby po stronie pierwszej trzydziestki życia. Sama myśl o seksie między młotem pracy i dzieci a kowadłem powszedniości była męcząca i mocno trąciła obowiązkiem małżeńskim – i to jeszcze przed tym nowym życiem, w którym człowiek kładzie się do łóżka napięty jak struna, każda rozmowa telefoniczna to kolejna trauma, a najcichszy nawet szmer oznacza mordercę.

W ułamku sekundy fala pożądania rozlewa się w smutek: czy to mi naprawdę potrzebne, patrzeć na swoją żonę w taki sposób? W tym samym ułamku sekundy Joe sobie uświadamia, że już nie wie, co musiałby zrobić, by żona na niego spojrziała. Olśnienie rezonuje poczuciem nieodwołalności, które znika tak szybko, że jego miejsce już zdążyła zająć mieszanina obrzydzenia do samego siebie, rozczarowania i wstydu za tę chwilę, gdy wyobrażał sobie całą tę sytuację jak jakąś grę.

I dopiero wtedy Joe pojmuje. Czuje to w trzewiach.

– Byłaś tam.

– *Yup.*

– Zanim się dowiedziałaś czy potem?

Joe słyszy, jak wymuszone jest to pytanie, jak ściśnięte ma gardło.

– Co za różnica? – odpowiada mu pytaniem.

Joe już nic nie mówi, słyszy ton jej głosu. Miriam za jego plecami zmówiła się z tym Azjatą ze sklepu z bronią. Może także z Hackettem, który do tej pory każde rozwiązanie konsultował z nim. Po chwili Miriam dodaje:

– Zaraz potem.

Odwraca się i patrzy mu prosto w oczy. Pomalowane ciemnofioletową szminką usta są lekko rozchylone. Joe ma wrażenie, że dobrze zinterpretował spojrzenie żony: jak coś ci się nie podoba, to spierdalaj.

Joe ma ochotę odpłacić pięknym za nadobne, ale w porę się powstrzymuje. Wyglądałabyś tak młodo, tak pięknie bez tego spojrzenia, przebiega mu przez myśl. Z drugiej strony pokoju patrzy, jak Miriam wkłada naładowany rewolwer do szafki sekretarzyka. Rozlega się ciężki, głuchy łomot, kiedy broń uderza w drewnianą półkę. Miriam zamyka drzwiczki, przekręca klucz, wyjmując go z dziurki i unosi demonstracyjnie, jak gdyby Joe nie wiedział, co to jest.

– Klucze są dwa – mówi do niego. – Jeden jest tutaj – co mówiąc, wsuwa klucz do małej kieszonki z suwakiem w swojej torebce – a drugi tutaj.

Przechodzi do kuchni i wkłada klucz do stojącego na lodówce niebieskiego wazonika Aalto, który Saara przywiozła im z Finlandii. Potem spojrzeniem upewnia się jeszcze, czy Joe dobrze zrozumiał, co mu powiedziała.

X

Trzeba to jakoś uczcić. Wszystko się wyjaśniło, ale do nikogo nie dotrze, że stało się coś ważnego, dopóki się czegoś nie zrobi.

Nic się nie wyjaśniło, ale chwila jest równie dobra na świętowanie jak

każda inna. Jeżeli będą czekać na zakończenie spraw sądowych, to mogą sobie poczekać – miesiące, może nawet lata. Wyjazdy na rozprawy, przesłuchania, jakieś *pre-trial motions* i apelacje, kafkowskie zwroty akcji, w których winni będą się nagle zmieniać w ofiary, a zwykłe formalności w rozstrzygające sentencje – i nic tak naprawdę nigdy się nie wyjaśni. Dlatego trzeba uznać, że wszystko się wyjaśniło właśnie dzisiaj.

Jest w tym tyle samo prawdy, ile w każdym innym stwierdzeniu.

Pomysł wydaje mu się po prostu świetny. Meksykańskie jedzenie! Dziewczynki na pewno ucieszą się bardziej, ale Joe pozwala sobie tylko na umiarkowany optymizm. Zamierza się postarać, bo bardzo się cieszy, że po długiej przerwie dziewczynki znowu do niego przyjadą. Wszystkie problemy już za nimi, terroryści zostali złapani i trafią do więzienia. W jego głowie kołacze myśl o naładowanym krótkolufowym rewolwerze w szafce antycznego sekretarzyka. Trzeba go szybko stamtąd wyciągnąć: dziewczynki nie mogą się nawet dowiedzieć, że mają coś takiego w domu. Ale o tym porozmawiają, kiedy Miriam już ochłonie i przestanie myśleć, że on znów chce się z nią pokłócić. Może z czasem, gdy wszystko wróci do normy, poprawią się także ich wzajemne stosunki.

Nie będzie lepszej okazji, żeby to uczcić.

Inna rzecz, że jeszcze nie myślał o tym, jak się będzie czuł, wznosząc toast za pomyślnie zakończenie sprawy, skoro pieczenie w żołądku wcale nie ustaje. Jak się będzie czuł, świętując koniec problemów, skoro nikt im nie obiecał, że cokolwiek się zmieni.

Jak się będzie czuł, siedząc obok Miriam przy tym samym stole.

– Jest tam jeszcze? – Miriam upewnia się przez telefon.

Joe wzdycha.

– Cześć, Miriam.

– Ja nie mogę tego sprawdzić na odległość! A dla ciebie nic prostszego niż po prostu powiedzieć, że jeszcze tam jest.

Nie ma sensu zaprzeczać. I jemu przyszło to do głowy. Gdyby mu zależało na ostrej walce o władzę, bez wahania wyjąłby broń z sekretarzyka i oddał ją z powrotem do sklepu. Albo pojechał nocą do portu i gdzieś między Bubba Gump Shrimp Company a World Trade Center Institute cisnął rewolwer do Zatoki Chesapeake, słuchając z radością plusku cuchnącej ropą wody.

Nie potrafi rozstrzygnąć, co go bardziej mierzi: to, że Miriam go o to podejrzewa, to, że jej podejrzenia są bezpodstawne, czy raczej to, że mogłyby być słuszne.

– Miriam, jest już po wszystkim – mówi. – Zatrzymali go. I wszystkich jego

kumpli.

– Jest tam czy nie?

– Doug i Mike będą siedzieć w aucie przed domem!

– Dla mnie to nie jest taka błahostka, Joe. – Drżący głos Miriam mówi Joemu, że jego żona nie wróciła jeszcze do rzeczywistości. Nagle czuje wyrzut sumienia: żeby własna żona musiała go o coś błagać. Do gry wkracza jednak tłumiona uraza, bo kupiła broń za jego plecami.

– Nie dotknąłem go nawet – przyznaje w końcu. – Jest tam, gdzie był, w sekretarzyku.

Miriam mówi, że terroryści mogą nigdy nie trafić do więzienia. W sądach dzieją się najróżniejsze rzeczy, nie ma dnia, żeby jakiegoś gwałciciela i mordercy nie wypuścili na wolność z przyczyn proceduralnych. Brad też mu o tym przypominał: nie mamy żadnej pewności, co się wydarzy na rozprawie. Ale on też uważał, że są powody do ostrożnego optymizmu i można uznać, że powoli odzyskują kontrolę nad sytuacją.

Miriam mówi, że próbowała nawet nakłonić policję, żeby od czasu do czasu podesłali patrol na West Chestnut Parkway.

– Przecież do tej pory nie kiwnęli nawet palcem – mówi Joe. – Myślisz, że nagle przyjadą na sygnale, i to teraz, kiedy ci ludzie zostali zatrzymani? Żyjemy w mieście, gdzie dzień w dzień gangi narkotykowe strzelają do siebie z broni maszynowej – ciągnie. – Podpalają swoich rywali koktajlami Mołotowa.

– Właśnie – mówi Miriam i Joe konstatuje, jak szybko i tę rozmowę zdołali zamienić w grę nerwów.

Chodzi mu o to, że policja ma może ważniejsze rzeczy na głowie niż patrolować dzielnicę, w której przestępstwa popełnia się bardzo rzadko. Jej z kolei chodzi o to, że tu właśnie po raz kolejny widać indolencję policji i polityków – kryminalistów należało wziąć ostro za kark już dawno temu. To znów budzi w nim chęć przypomnienia jej, do czego to wszystko w końcu doprowadzi: nie dalej jak w ubiegłym miesiącu zwykły obywatel tego miasta zastrzelił nieuzbrojonego nastolatka tylko dlatego, że tamten przeszedł skrótem przez jego trawnik przy domu. W gazetach długo jeszcze bito pianę – ubrany w bluzę chłopak miał kaptur na głowie i ręce w kieszeniach.

Małżonkowie nie muszą nawet wypowiadać tego na głos; w obojgu budzi się jednocześnie ta sama gorycz niezrozumienia, zupełnie samoistnie.

Ale w ten wieczór wszystko będzie dobrze.

Dziewczynki z Miriam wrócą do domu, a on zrobi im pyszną kolację i zadośćuczyni córkom za wszystko, co się stało, przypomni im i sobie

samemu, co w tym życiu jest najważniejsze: bliscy, poczucie wspólnoty i miłość – tego im nie odbierze żaden terrorysta.

Co prawda musiał przy okazji stłumić kielkującą irytację, że będzie zmuszony oderwać się od iAma na cały wieczór. Urządzenie natychmiast stało się hitem ich instytutu. Wszyscy, którym udało się załapać na darmowy egzemplarz testowy, zaczęli robić na nim analizy wyników i pisać artykuły. Z tempa, w jakim dokonał się przeskok, i z entuzjazmu swoich postdoców Joe wnioskuje, że zmiany nie da się już zatrzymać.

Z początku nawet próbował. Odmówił przyjęcia własnego egzemplarza, z czego ucieszyła się bardzo Sarah, która jako studentka Joego o najdłuższym stażu natychmiast położyła na nim łapę. Joe rzucił kiedyś luźną uwagę o żalostnej użyteczności urządzenia. Raj – który niecierpliwie czekał na pojawienie się iAma na rynku już od ubiegłej jesieni – odparł, że komfort użytkownika poprawia się wykładniczo po każdej sesji. I radził zdecydowanie powstrzymać się od wyciągania pochopnych wniosków przez pięć do dziesięciu pierwszych sesji: sto miliardów komórek mózgu tworzy skomplikowany, ale przede wszystkim niewiarygodnie plastyczny układ.

Raj był zdziwiony, gdy Joe mu powiedział o zdwajaniu i zanikaniu obrazu.

– Podobno takie rzeczy dzieją się tylko, kiedy używasz cudzego urządzenia.

– Naprawdę?

Tak rzeczywiście było: urządzenie przystosowało się już do układu nerwowego Rebekki.

– Czyli korzystałaś niedawno z iAma? – zainteresował się Raj. – Po kimś?

– Nie, nie – odpowiedział szybko Joe i odchrząknął.

Raj patrzył na niego z ciekawością.

– Słyszałem tylko... od jednego znajomego.

– Rozumiem.

Joe poczuł, że się czerwieni.

Raj dał mu też dobry link do strony, gdzie radzono, jak skalibrować iAma pod siebie.

– Może ten twój znajomy będzie zainteresowany.

– Przekażę mu, dzięki – powiedział Joe i zdecydowanie za szybko wyszedł z pokoju.

Część funkcji, takich jak automatyczne śledzenie ruchów sakkadowych, można było samemu wyłączyć. Do tego użytkownik mógł określić górną granicę liczby pojawiających się ekranów – które na blogach i w manualach nazywano wizjami – jeżeli czuł się przytłoczony nawałem bodźców.

Dzięki tym wskazówkom doświadczenie już za trzecim razem było

całkowicie odmienne niż za pierwszym. Joe wyłączył funkcję śledzenia ruchu oczu i od razu zaczął znacznie lepiej sobie radzić z nieprzerwanym strumieniem ekranów. I jeżeli udało mu się zachować zimną krew w obliczu pędzącej na niego lawiny informacji – dosłownie wskakiwał w strumień przelewających się ekranów – kierował wtedy wzrok spokojnie przed siebie i przez prądy znoszące płynął dokładnie tam, gdzie chciał. Im bardziej był przy tym rozluźniony, tym doświadczenie stawało się przyjemniejsze. Skupianie uwagi nie było proste, lecz Joe widział wyraźne postępy, kiedy korzystał z urządzenia codziennie – przeżycie balansowało na granicy rozkoszy.

Joe nie zamierza zostawać stałym użytkownikiem iAma, choćby z przyczyn bezpieczeństwa informatycznego; z czysto zawodowej ciekawości podpatruje tylko na osieroconym urządzeniu córki rozwój najnowszych technologii. Na przykład teraz, gdy sprząta dom przed przyjazdem dziewczynek, mógłby sobie przy okazji, nie odrywając się od pracy, sprawdzić pocztę. Chyba nie powinien paradować z małpkami przy córkach, w końcu sam zabronił tego Rebecce. Po powrocie dziewcząt do domu będzie mógł używać iAma chyba tylko w pracy.

I zaraz się dziwi: to już do tego doszło? Że ciężko mi się rozstać z urządzeniem nawet na jeden wieczór? Jednocześnie zdaje sobie sprawę, jak męcząca w niecały miesiąc stała się myśl o oddzielnych komputerach, telewizorach i telefonach. Wciskać jakieś guziczki – używać do tego *mięśni*?! – i *czekać* na wykonanie polecenia? Toż to epoka kamienia łupanego!

Obiecał sobie, że w życiu nie kupi żadnego modułu – kosztują setki dolarów i nie jest nimi zainteresowany. Jednej nocy dla złagodzenia stresu przez przypadek skorzystał z jednego z tych darmowych. Na nic więcej nie miałyby nawet czasu.

Jednak poprzedniego wieczoru odkrył, że totalnie odmóżdżony i nieekologiczny absurd Formuły 1 aż za dobrze się wpisuje w ten rozchwiany stan rezygnacji, w którym człowiek nie jest w stanie zabrać się porządnie do żadnej roboty. Z bojkotu Freedom Media wycofały się kolejne trzy ważne osoby: jednej niemal wprost powiedziano, że aktywność polityczna odbije się niekorzystnie na jej życiu zawodowym, dwie pozostałe powołały się na zwykły brak czasu. I może właśnie za sprawą tej wiadomości, którą dostał późnym wieczorem, głębokiej frustracji i zmęczenia, a może także dlatego, że urządzenie potrafiło podsunąć mu właściwą rzecz we właściwym momencie, na głupie kilka sekund zapatrzył się na przeraźliwie głośną i niesamowicie realistyczną prezentację modułu Grand Prix Formuły 1, która wyświetliła mu

się nagle na nowym ekranie. Patrząc na nią, miał wrażenie, że jego obecna sytuacja życiowa, czyli całkowicie niezасłużona porażka na wszystkich frontach, rozgrzesza go z kaprysów, które w normalnych okolicznościach odrzuciłby jako zwykłą stratę czasu. Odrzuciłby i teraz, gdyby przyjęcie oferty zależało od męczącego poruszenia mięśniem.

Urządzenie musiało być sterowane ruchami gałek ocznych czy może nawet ich przewidywaniem. Wystarczyłby najgłupszy ruch palcem: gdyby musiał go wykonać, nigdy by nie spróbował Formuły 1. Ale nie musiał robić nic, żaden mięsień nie drgnął, a on poczuł już na żebrach ucisk pasów bezpieczeństwa. Gdzieś urządzenie dostrzegło – aktywacja obwodów podkorowych? – że właśnie ten bolid sobie upatrzył i ukryty pod pokrywą z kompozytów węglowych turbodoładowany silnik scuderii ferrari F14 T wprowadził fotel kierowcy w tak potężne, tak atawistyczne – tak męskie! – wibracje, że przez ułamek sekundy Joe poczuł niemal rozkoszny strach o własne życie. Silnik ryczał ogłuszająco, w ciemności unosiło się menu z trzema wariantami toru. Adrenalina huczała i nic nie było bardziej prawdziwe niż to, a skoro można sobie przez pół godziny pojeździć bolidem za darmo, to Joe chyba nie będzie *aż takim* sztywniakiem i nie odtrąci takiego prezentu? Co *aż tak* ważnego czeka na niego o pierwszej w nocy, że nie mógłby chociaż spróbować? Skoro już złapali tych terrorystów? Był oszołomiony duszącym zapachem benzyny, widokiem tłustego, falującego w skwarze toru i piskiem palonych gum, a wypadając z toru i uderzając z prędkością trzystu mil na godzinę w barierę z opon, był naprawdę śmiertelnie przerażony. Wrażenia tak ogromnego pędu nie da się opisać, miażdżących przeciążeń na zakrętach też – trzeba to przeżyć samemu. Zaszokowany Joe zdał sobie nagle sprawę, że wyłuskuje kartę z portfela, żeby ukończyć eliminacje. Świat z dnia na dzień pogrąża się w coraz większym chaosie, a jego trawi poczucie winy z powodu tej szarej myszki, którą zmusił do wykonania bolesnych eksperymentów na kotach – i nigdy by mu nawet nie przyszło do głowy, że w takiej sytuacji życiowej mógłby spędzić noc na symulatorze Formuły 1. To bardzo dziwne, ale sprawa się miała dokładnie odwrotnie: co za ulga, co za poczucie wolności! Był ostatnim człowiekiem na świecie, który marnowałby swój czas na gry komputerowe, i to był ostatni moment w życiu człowieka, w którym ktokolwiek by to robił – ale skupiać się tak bez reszty, tak wyczerpująco na czymś tak doskonale jałowym w ogłuszającym pisku opon na szykanach – czuje, że znowu żyje! Po raz pierwszy od bardzo dawna chociaż na tę krótką chwilę może zapomnieć o całym tym obrzydliwym wysypisku, w jakie zmieniło się jego życie.

Kiedy skończył, czuł się tak, jakby był jednocześnie przejeżdżony i głodny, nadmysłowo czujny i niezdolny do skupienia się na czymkolwiek. Po każdym użyciu iAma miał przypominające migrenę mdłości. Każdy kolejny powrót do materialnej rzeczywistości wydawał się bardziej kłopotliwy od poprzedniego. Może dlatego, że każda kolejna sesja z iAmem była dłuższa od poprzedniej.

A nie o to chodziło.

I bez tego spał za krótko.

Ale warto było!

Wyszukiwanie artykułów na urządzeniu trwało mgnienie. Obsługa tradycyjnych metod komunikacji jest na iAmie tak dziecinnie prosta, że człowiek nawet maile chętnie na nim wysyła. To niesamowite – móc przeglądać media społecznościowe podczas joggingu, sprawdzać odsyłacze nad filetem z brojlera, podglądając jednocześnie wiadomości w małym okienku w dolnym rogu pola widzenia, gdzie samoistnie się pojawiają we właściwym momencie. Niewiarygodna oszczędność czasu. A ponieważ urządzenie bezzwłocznie i bez najmniejszych oporów materii spełnia każde życzenie człowieka, ten już nigdy nie musi gadać do własnych myśli. Także czytanie jest bajecznie proste. Każdy tytuł można zamówić z neuronowej biblioteki w tej samej sekundzie, kiedy przyjdzie człowiekowi na myśl. Możliwości samokształcenia są nieograniczone. Nic dziwnego, że Joe zamówił więcej tekstów, niż z początku zamierzał; znalazło się wśród nich nawet parę powieści.

I z tego jeszcze jest dumny: był tak mądry, tak dorosły – a może po prostu poziom testosteronu z wiekiem obniżył się już na tyle – że z góry wiedział, co należy zrobić. Dobrych kilka dni temu, zaraz po pierwszym ugrzęźnięciu w cyfrowym bagnie, w papierowej instrukcji obsługi wyczytał, w jaki sposób całkowicie wyłączyć funkcje rozrywkowe.

Po tamtym pierwszym swoim błędzie zatrzymał najbanalniejsze moduły neuroXperience, a w bibliotekach neuronowych wyłączył działy plotek i rozrywki dla dorosłych – robił tak podobno tylko jeden na dziesięciu użytkowników iAma. Dlatego zaoszczędził trochę moralnej waluty i mógł sobie pozwolić na jeden wirtualny wyścig Formuły 1, czyli stosunkowo niewinną formę eskapizmu.

Poprzedni moduł był potworną wpadką. Przed czymś takim powinni użytkowników zawczasu ostrzegać.

Pocieszał się tym, że przydarza się to podobno dziewięciu osobom na dziesięć podczas pierwszych sesji z eksploratorem przeżyć. Pisano o tym na

stronie poświęconej najnowszym technologiom w wywiadzie ze stoma testowymi użytkownikami iAma. Wielu z nich beznadziejnie się uzależniło od swojego urządzenia – inaczej niż on. Nowoczesny sprzęt wymaga od użytkownika pewnego przyzwyczajenia. To zupełnie naturalne. Dlatego nagłaśniane z niewiadomego powodu głosy zaniepokojenia są zdaniem producenta mocno przesadzone.

Zapoznawszy się trochę z zasadami korzystania z urządzenia, Joe przeglądał bogate menu narzędziowe. Były tam między innymi Internet, Wiadomości, Telefon, Filmy, Seriale, Rozrywka, Kalendarz, Przeżycia. Nic nowego. Urządzenie robiło to samo, co umiały już poprzednie gadżety, tylko szybciej, sprawniej i bez pomocy oddzielnych aparatów do każdej funkcji.

I to właśnie nastęcało kłopotów: po podłączeniu iAma do mózgu żadne skojarzenie nie było już takie samo jak dawniej. Już przez to tylko, że menu pojawia się człowiekowi automatycznie przed oczami, do głowy może mu przyjść naprawdę cokolwiek. Na przykład można nieopatrznie pomyśleć, że dział Rozrywka z pewnością nie zawiera nic, co mogłoby zainteresować wytrawnego konesera kultury. I że to musi być właśnie ten dział, do którego przeglądania nikt się nie przyznaje, chociaż od samego początku testów miał najwyższą liczbę użytkowników. Ten, do którego reklamodawcy pchali się na wyścigi, przez co na naukę, kulturę i dziennikarstwo śledcze będzie w tym dziale coraz mniej miejsca.

Uff.

Ledwie zdążył to wszystko pomyśleć – zanim w ogóle zaczął snuć tę myśl – w ciemności przed jego oczami ukazało się menu działu rozrywki niczym przezroczysta zjawia.

Menu, którego Joe nie chciał zobaczyć. Menu, przed którym bronił się w myślach, zanim w ogóle zdążył poznać jego zawartość. Nie wiedział, czy inni użytkownicy mieli podobne doświadczenia, ale wszystko wskazywało na to, że menu zostało już wybrane. Urządzenie już wiedziało – skąd? uaktywniły się sieci neuronowe przedniej części wyspy? – że ten opór kryje w sobie mały, obrzydliwy ślad ciekawości, że wolałby omijać to menu z daleka właśnie dlatego, że tak go do niego ciągnie.

Kiedy ekran otworzył mu się przed oczami i było już za późno, uzmysłowił sobie, że widzi ostatnią pozycję menu ostrzej niż inne. I tym razem wybór nie wymagał świadomej decyzji, żadnego kliknięcia, nawet jednej myśli.

Celebryci
Plotki

Dyskusje
Głupie, ale śmieszne
Dla dorosłych (18+)

Bardziej spojrział, niż wybrał. Miał po prostu wrażenie, że litery na dole świecą jaśniej i wyraźniej niż pozostałe; wzrok padł tam może z powodu nawiasu, a i cyfry pewnie zrobiły swoje.

Ale nie zdążył nawet sobie tego wszystkiego uświadomić, gdy menu Dla dorosłych już było otwarte.

Tyle razy mówił na wykładach dla pierwszego roku, że w korze przedruchowej już dawno odkryto komórki nerwowe, których wzorce aktywności pozwalają przewidzieć, gdzie spojrzy uczestnik badania. Widać to po neuronach tuż przed uświadomieniem sobie przez badanego swojej decyzji: komórki nerwowe reagują, zanim jeszcze człowiek świadomie stwierdzi, że zdecydował, w którą stronę przesunąć dłoń. Sama myśl o tym wzbudzała w nim sprzeczne uczucia. To populacje komórek nerwowych wiedzą niby przede mną, gdzie umieszczę swoją dłoń? Kiedy badanym pokazywano na ekranie kierunek przewidziany na podstawie zachowania neuronów, zaczęli się denerwować, odpowiadając, że jeszcze nie podjęli decyzji.

Czyżby właśnie te komórki iAm nauczył się śledzić? – zastanawiał się Joe. Czy te, od których pochodziły impulsy? Urządzenie widziało, że właśnie tego w głębi duszy chce – właśnie dlatego, że tak bardzo tego nie chce – i wypełniało jego rozkazy szybciej, niż on był w stanie je odwołać.

A to co?

Joe gapił się przed siebie z rozszalałym sercem. W mrocznym pokoju coś się pojawiło.

Może metr przed nim unosiła się dłoń. Kobięca dłoń, która porusza się w powietrzu. Coś pisze.

Palec kreślił estetyczne drukowane litery na wysokości lampy na biurku. Grafika była przerażająco realistyczna. Jasne początkowo litery automatycznie się zaczerniały na tle białych ścian.

Joe nie miał bladego pojęcia, jakim cudem zdołali to wszystko osiągnąć. Pod tekstem Dla dorosłych (18+) jarząca się w ciemności dłoń dopisała trzy kolejne linijki, które teraz falowały przed nim w nocnej ciszy:

Mężczyźni
Kobiety

Mężczyźni i kobiety, proszę!

Jego spojrzenie musiało się najwidoczniej zatrzymać na Kobietach, bo pozostałe dwie linijki zniknęły. Joe uzmysłowił sobie, że oddycha szybciej.

To nie tak miało być.

Ale tak to właśnie wyszło: o tym mówił Raj, gdy twierdził, że jakoś doświadczenia poprawia się *wykładniczo* z każdym kolejnym użyciem.

Był tak wstrząśnięty, że nie potrafił spojrzeć żadnej w oczy. Chociaż próbował patrzeć w inną stronę, ich twarze ciągle tam były, dokładnie przed nim. I miał wrażenie, że jego spojrzenie sprawia im przyjemność. Ale przecież one nie mogą *widzieć*? Przecież to muszą być obrazy, poddane obróbce komputerowej filmy wideo. Nie ma się co bać – to tylko strumienie bitów.

Tylko skąd on może wiedzieć, co oni dzisiaj potrafią. Tego już po prostu za wiele. Dłonie miał zimne i wilgotne.

I trudno było do tego przywyknąć. Urządzenie spełniało jego życzenia już tak szybko, że nie nadążał. Widocznie z jakiegoś powodu przez myśl musiała mu przebiec dziewczyna ze studiów magisterskich, mniej więcej w tym samym wieku co ta, która patrzyła mu teraz wyzywająco w oczy, w jego gabinecie.

Przez swoje profesorskie lata Joe nauczył się zbywać dziewczęta z pierwszych lat wzruszeniem ramion. Były tak młode, że same nie wiedziały, co robią. Joe był z siebie dumny, z tego, jak umiejętnie omija te sporadyczne, lecz nieuniknione gimnazjalne zauroczenia. Zdarzały mu się raz na pięć lat: określony typ kobiety, która jeszcze nie rozwinęła skrzydeł i szuka właśnie takiego jak on starszego mężczyzny. W podświadomym pragnieniu przeżycia pięknej i niespełnionej miłości na odległość. W najlepszych wypadkach w tej platonicznej relacji pojawiała się intelektualna ciekawość i na tę można już było odpowiedzieć uczciwie, oferując dziewczynie bezpieczny posmak osobistej relacji mistrza z uczniem. W tym właśnie się nie sprawdził przed laty, w Finlandii z Aleksandrą. Był jeszcze za młody i niedoświadczony, bezradny wobec frustracji z powodu nieudanego życia osobistego. Ale to właśnie Aleksandra i Finlandia go nauczyły. Świadome unikanie dołków, w które kiedyś tak beztrudnie się pakował, dawało mu dziwną satysfakcję.

Teraz jednak w ciemnym pokoju przemyka mu błyskawicznie przed oczami, napiera na niego strumień coraz to nowych okien wyboru w takim tempie, że wyłapuje z nich tylko pojedyncze słowa. Zmień, Ubranie, Elementy garderoby, Zaakceptuj. I teraz ta piękna filigranowa nieznajoma w sweterku – którą najwyraźniej za pomocą jakiegoś niepojętego, szybszego

od myśli mechanizmu zdążył już wybrać z pozostałych – była tuż przed nim w ciemnym pokoju, patrzyła na niego poważnie – i w jej oczach zobaczył chęć. Ciemne, niemal czarne proste włosy spływały miękko na nagie, delikatne ramiona. Bardziej od jej spojrzenia przeraziło go to uczucie: to się dzieje *naprawdę*.

I zanim zdążył z walącym sercem wyrazić świadomą zgodę, dziewczyna już rozpiniała guziki sweterka. I nie przestała, chociaż Joe próbował zmusić się do pomyślenia: Stop. Przestań. Odejdź. Jak się rozmawia z komputerem? Musi być jakaś możliwość zatrzymania tego – tylko jak to się robi? Pod sweterkiem pokazała się biała bluzeczka bez rękawów, przez cienki materiał przeświecały duże brązowe sutki. I Joe nie zdążył nawet uświadomić sobie, że przystał na wyrażone spojrzeniem pytanie dziewczyny, gdy ta już uniosła ramiona i ściągnęła bluzkę przez głowę. I na pewno nie zdążył pomyśleć nic poza tym, że musi jakoś natychmiast wyłączyć urządzenie – tylko jak?! – gdy ta już sięgnęła ręką za plecy i rozpięła stanik.

Była bezwstydnie młoda. Jej pozornie niewinne spojrzenie mówiło o sporym doświadczeniu, co dla mężczyzny w jego wieku było absolutnie porażające – tym bardziej że obiecał sobie, że nie posunie się do tego z żadną swoją studentką. Dziewczyna stała przed nim z rozpiętym biustonoszem, ale ramiona skrzyżowała przed sobą, zasłaniając mlecznobiałe piersi. Patrzyła na niego i czekała: wcale nie ze względu na niego, jak mogłoby się wydawać w takiej sytuacji, lecz – Joego olśniło dopiero później – z powodu oczywistego zamysłu projektantów: żeby zdążył zarejestrować i przetrwać to, co zobaczył, nim stanik upadnie na podłogę.

Kiedy dziewczyna wypowiedziała swoje pierwsze słowo, serce podskoczyło mu do gardła: nie o to mu wcale chodziło.

Był tykającą, rozpaloną wiązką neuronów.

Kim jest ta dziewczyna? I dlaczego nie miał najmniejszego poczucia sztuczności? Nic tu nie było naprawdę, a przecież serce waliło mu jak szalone i oczywiście to wszystko nie powinno się w ogóle dziać, ale program nie reagował na jego zbożne życzenia. Należało jednak przeczytać dostępną w sieci 436-stronicową instrukcję użytkownika eksploratora przeżyć; podobno całkiem zabawnie napisana, ze sporą dozą autoironii, która pozostawiała użytkownikowi duże pole manewru w przestrzeni własnych spostrzeżeń i odkryć – stanowiąc zdaniem fachowców także w tym względzie pożądaną nowinkę w zatechłej kulturze cyfrowej technokracji. Ale dziewczyna *była* prawdziwa, bo jeśli nie, to nic innego na tym świecie nie mogło być prawdziwe – usta miała lekko rozchylone i ułamek sekundy

wcześniej niż Joe zdążył sobie tego zażyczyć czy w jakikolwiek sposób wybrać to na urządzeniu, powoli odwróciła się do niego plecami. Jedynym rozwiązaniem było już chyba tylko ruszyć ręką i wyłączyć urządzenie, wydawało się to jednak fizyczną niemożliwością, przecież on już nie ma kończyn? Kiedy dziewczyna oparła się dłońmi o ścianę i pochyliła, krótka spódniczka zakrywająca jej okrągłe pośladki lekko się uniosła. Spojrzała na niego przez ramię.

Chodź.

Miała spódniczkę i sięgające do połowy uda czarne pończochy, ale majtek już nie – i to nie było właściwe pod wieloma względami, pod *żadnym* względem, i kim ona w ogóle jest, ma już chyba osiemnaście lat, ale czy ktoś jej za to zapłacił, czy na pewno wyraziła na to zgodę, żeby stać się obiektem jego spojrzenia, czyjegokolwiek spojrzenia? I skąd to wszystko się tu wzięło, to chyba jakiś ekstrakt odwiecznych fantazji z portali dla mężczyzn?

Ale dotyk – z jakiegoś powodu wyobrażał sobie, że właśnie on będzie tym ostatnim bastionem, niemożliwą do sforsowania linią oporu. Dotyk to ostatnia instancja, to nieomyślne lustro człowieczeństwa, w którym może się przejrzeć tylko prawda. I tylko dlatego, najzwyczajniej po to, żeby sobie dowieść, że tego jednak jeszcze nie umieją – tego jeszcze nikt nie może umieć – tylko dlatego wyciągnął powoli rękę i ostrożnie, jakby się bał oparzyć, dotknął opuszkami pleców dziewczyny.

Dotyk, wiadomo, jest tylko jednym ze zmysłów. I oczywiście, stymulując korę mózgową, można wywołać u człowieka rozmaite odczucia zmysłowe, wystarczy do tego zwykły prąd, tu nie ma żadnych czarów. Tylko że do tej pory nikt nie potrafił tego zrobić z zadowalającą precyzją.

Ale żeby dotyk kłamał...

Wcale nie kłamał!

I zarazem nic z tego nie było prawdziwe; doświadczenie było fałszywe – to tylko sen skonstruowany przez psychicznie chorego uczzonego na podstawie podręcznika filozofii.

Przestraszył się jej westchnięcia, lecz dziewczyna miękko przyjęła jego dotyk. Teraz cała jego dłoń spoczywała na jej wąskiej talii; dziewczyna skórę miała ciepłą i jedwabistą. To wszystko było prawdziwe. Jej bok unosił się w rytm coraz szybszego oddechu. Pod palcami czuł szybkie i mocne uderzenia jej serca – to było prawdziwe, wewnątrz tego ciepłego ciała *musiała* krążyć krew. Zamknął oczy, lecz nic to nie pomogło, dziewczyna nadal stała przed nim.

Dopiero wtedy wpadł na pomysł, żeby poruszyć kończynami. Nie wiedział,

skąd mu przyszło do głowy, żeby zacząć od nóg; okazały się łatwiejsze od rąk. Poczucie ruchu we własnej – rzeczywistej – kończynie natychmiast wyłączyło doznania płynące z iAma i przywróciło mu poczucie pewnej kontroli. Musiał wyteńczyć całą wolę, żeby odzyskać ręce, bo nadal miał wrażenie, że straciły kontakt z resztą ciała – przecież jego prawdziwe ręce były *tam*, przed nim, na ciepłych piersiach dziewczyny – lecz kiedy w końcu mu się udało, cała rzeczywistość iAma w mgnieniu oka została zredukowana do nieprzekonującego, przezroczystego obrazu.

Było w tym coś śmiesznego, wręcz żenującego. To w tym roztrzęsionym snopie światła widziałem jeszcze przed chwilą żywego człowieka?

Namacał w mroku urządzenie. Leżało na stole przed nim – tam, gdzie je zostawił – i gdy wcisnął włącznik i dłużej przytrzymał, obraz drgnął i wreszcie na dobre zniknął.

Ale jazda.

To jest chore, to jest jakiś absurd.

Szczyt ludzkiego szaleństwa.

A więc i to już potrafimy, do tego już doszło.

Nagle przypomniał sobie imprezę, którą producent iAma zorganizował wiosną w kampusie, i program telewizyjny, w którym rozmawiano z kandydatami na modele. Dowiedział się wtedy, że projektanci iAma zbierają zdjęcia tysięcy modeli: twarzy i części ciała kobiet i mężczyzn w każdym wieku. A więc do tego właśnie się ci ludzie pchali, to takie doświadczenia chcieli współtworzyć.

Z części ciała nielicznej grupy wybrańców stworzono swoisty bank prototypów, który za pomocą algorytmów komputerowych uszeregowano ze średnich obliczeniowych w kontinua określonych cech – każdy użytkownik mógł już z nich tworzyć własne wyobrażenia wzrokowe, będące idealnym odwzorowaniem życzeń. To właśnie przytrafiło się przed chwilą jemu, niczego niepodejrzewającemu Joemu Chayefskiemu – urządzenie reagowało tak szybko, że nie było mowy o podejmowaniu świadomych decyzji.

„Technika ta ma jeszcze pewne ograniczenia – przeczytał później Joe w internecie we wpisie znanego technoblogera. – Kodowanie wszystkich pożądanых cech do jednej postaci wirtualnej stoi jeszcze na stosunkowo niskim poziomie. Ale już za dziesięć lat cyfrowe wyobrażenia będą praktycznie nieodróżnialne od tych rzeczywistych” – pisał bloger.

W telewizji pokazano rozmowy z kilkoma z owych tysięcy młodych ludzi o roziskrzonych oczach, którzy zżarcie rywalizowali o miejsce w banku obrazów iAma: MInDesign wybierze tylko najlepszych. Rywalizacja nie była

uczciwa, nikt nawet nie próbował tego ukrywać. Ale czego się nie robi, by spełnić marzenia. Przecież w tych postaciach będziemy żyć wiecznie – tłumaczyli młodzi – ludzkie spojrzenia nas unieśmiertelnia.

– Chcę, żeby moje życie miało jakiś sens – powiedział ktoś.

– Nie rozumiem, dlaczego miałabym się godzić w życiu na gorsze – mówiła jakaś dziewczyna. – To właśnie ja chcę być wybrana z tysięcy kandydatek.

Najmłodszy kandydaci byli w wieku Danielli. Zwłaszcza nastolatkom, które nie ukończyły jeszcze piętnastego roku życia, bardzo zależało na robieniu kariery w domu. Z powodu szkoły i dodatkowych zajęć nie każdemu rodzice pozwalali na wyjazdy na sesje zdjęciowe i krążenie po agencjach. A teraz wystarczy wejść w ustawienia i kliknąć „akceptuję”.

– Musisz się skoncentrować tylko na tym, żeby być naturalnie sobą – mówiła Cindy Markinson, 16, Bloomington, IN. – I za-pier-da-lać jak reks.

– To właśnie o to chodzi, że iAm nie kłamie – powiedział chłopak, który, gdyby sądzić po wyglądzie, w dzieciństwie musiał wpaść do miski z żelazem. – Jak zobaczysz, że ludzie lajkują twój profil, to od razu wiesz, że naprawdę cię wybrali. Albo jakąś część twojego ciała. Na ajku twój mózg wybiera to, czego *naprawdę* chcesz.

– Powiem wprost – powiedziała kobieta w średnim wieku, która według komentującego materiał dziennikarza przeszła operacje plastyczne nosa, powiek, policzków, wygładzenia czoła, powiększenia piersi i korekty strun głosowych, żeby sprostać wymogom stawianym modelom. – Tak, pragnę akceptacji. I nie rozumiem, co w tym złego.

Wiadomo, że modele iAma śpią na pieniądzach – mówili o tym wszyscy rozmówcy dziennikarza – i wiadomo, że status modela iAma wiąże się z określoną pozycją, nieosiągalną w żaden inny sposób; ten identyfikator otwiera drzwi do właściwych kręgów. A jednak to wszystko tylko sprawy przyziemne, powierzchowne. To szczęścia nie daje, powtarzają ludzie.

– Dlaczego ty się tutaj znalazłaś?

Reporter idzie kawałek wzdłuż kilometrowej kolejki i z nadzieją podsuwa mikrofon korpulentnej mieszkance Środkowego Wschodu. Nietrudno sprowokować człowieka do tego, żeby zrobił z siebie idiotę, ale od najlepszych dziennikarzy w branży wymaga się znalezienia w grupie stu osób tej jednej, która się ośmiesz po prostu genialnie.

– No, z wielu względów – odpowiada kobieta i jej poważny głos od razu mówi, że reporter trafił w dziesiątkę. Po rozjaśnionych zbyt żółtą farbą kręconych włosach i wystających zębach widać, że kobieta nie ma co liczyć na miejsce w banku iAma ani w żadnej innej bazie modeli; po prostu

wymarzone pośmiewisko. Bez chwili zastanowienia kobieta klepie wyuczoną formułkę i Joe uzmysławia sobie, że na pewno przygotowała ją na taką właśnie okazję: – Przede wszystkim zgłosiłam się dlatego, że to taka przepustka do nieśmiertelności.

Może dobrze byłoby oderwać się od urządzenia chociażby wieczorami, mimo że po tamtym pierwszym błędzie Joe korzysta z niego wyłącznie w zbożnych celach. Może nawet czytanie lepiej by mu szło z prawdziwej kartki? Poza bezekranowym ekranem, gdzie w każdej sekundzie dobijają się do niego samoczynnie tysiące cyfrowych skojarzeń i modułów Formuły 1? Czy to dobrze, że w czytaniu ciągle przeszkadzają kolejne wydania wiadomości, maile i reklamy modułów rozrywkowych?

Z powieści, które Joe zakupił na urządzenie – jako „neuronarracyjne przeżycia w formie prozy” – żadnej jeszcze nie przeczytał. Jedną zaczął, potem nawet do niej wrócił, ale najdalej na drugiej stronie zawsze trafia mu się jakiś kłasek: iAm potrafi podsuwać mu raz za razem idealnie trafione, z diaboliczną precyzją dopasowane do niego treści z najróżniejszych dziedzin. Zwłaszcza artykuły o przestępstwach popełnianych przez ekoterrorystów z ekstremistycznych ugrupowań obrońców praw zwierząt, które urządzenie nauczyło się wybierać z docierających do niego wiadomości, pojawiają się ostatnio chyba coraz częściej na jego bezekranowym ekranie. I czy mu się tylko wydaje, czy rzeczywiście ostatnio brzmią coraz bardziej sensacyjnie? Oczywiście jest cała masa innych, normalnych i pożytecznych funkcji, do których urządzenie zapewnia równie szybki i wnikliwy dostęp: naukowe, społecznościowe, emocjonalne, wstrząsające, dramatyczne, informacyjne, kulturalne.

Czekając na Miriam i dziewczynki, czuje, że urządzenie naigrawa się z niego przez całe popołudnie niczym złośliwa mała czarownica. Po tylu dniach użytkowania zaskakująco trudno przyzwyczaić się do chodzenia po domu bez niego. Co kilka sekund przypomina ono o swoim istnieniu za pośrednictwem jakiegoś zdalnego mechanizmu: Joe ciągle łapie się na myśli, że nic wielkiego by się nie stało, gdyby jednak założył małpki. Chociaż na chwilę, póki ma jeszcze trochę czasu dla siebie. Odkurzając, mógłby sprawdzić, o jakie przestępstwa oskarżyli złapanych ekstremistów, i przeczytać szybko maile. Albo zerknąć, co znów wczoraj nabroiła niegdysiejsza gwiazda baseballa, a obecnie alkoholik, który jest na ustach całej Ameryki. A przy grillu mógłby obejrzeć na przykład pierwszą część legendarnej londyńskiej inscenizacji *Króla Leara*. Grillowanie kury zabierze

mu ładnych parę minut, przecież tego nie da się wytrzymać!

Ten bezustanny wewnętrzny monolog dudni mu w głowie aż do wieczora, z kulminacją podczas posiedzenia w toalecie, które swoją powolnością i bezcelowością doprowadza go do szału. Każdą myśl i każde wyobrażenie trzeba stworzyć od początku do końca samemu. Żmudna robota. I to najgorsze: poczucie, że żadna myśl ani emocja do niczego nie prowadzi bez świadomego wysiłku. Nigdzie nie ma żadnego menu, nie ma żadnej reakcji na wyrażone myślą życzenie, skupianie się na przedmiotach nie ożywia ich, nie rozbija na coraz bardziej szczegółowe opcje.

Na chwilę wpada nawet w małą panikę. Jak on zdoła tak przeżyć *cały wieczór*?! Kiedy nawet własne, zwyczajne myśli zaczynają przypominać hałaśliwą demonstrację wandalii? Czy człowiek nie może się już nawet w spokoju wysrać?

Najwidoczniej już kwadrans odwyku od urzędu czyni prawdziwe cuda.

Joe wyładowuje pogardę dla siebie w wielkim sprzątanii; szoruje kuchnię i łazienkę i obiecuje sobie poprawę, przyrzeka, że nie będzie już więcej błędził po manowcach, na które nieopatrznie zboczył. Jest tak zły na siebie za to uzależnienie od zwykłego gadżetu, że przez kilka minut sapie z czystej frustracji i w tym czasie udaje mu się zapomnieć o przysłanej dziewczynkom paczce, o obcym mu synu psychopacie i o nalocie FBI.

Może też z tego powodu tak bardzo chciałby przygotować dla córek pożywną kolację ze starannie wybranych i przygotowanych składników – żeby im udowodnić, że potrafi jeszcze funkcjonować w rzeczywistości fizycznej.

A co najważniejsze – jest już po wszystkim!

Winowajców ujęto!

Co tam cykady, Joe rozstawi grilla na dworze, zanim dziewczęta przyjadą, żeby zdążyć w porę z mięsem. I nie, nie sprawdzi przy okazji poczty, choć byłoby to bardzo poręczne. Rebecca od dziecka uwielbiała grilla. Zawczasu kupił awokado, żeby trochę zmiękły, i nawet guacamole robi sam, a co tam. Rebecca zawsze narzeka, że kupne pasty to sama chemia i dodatki do żywności. I nie, nie pójdzie rzucić tylko okiem na nagłówki najnowszych wiadomości.

Przynosi jeszcze z piwnicy dwie butelki sola i wstawia do lodówki. Ustalił to już ze sobą, że da Rebecce pół szklanki piwa z plasterkiem limonki z okazji zakończenia całej sprawy. Przez tych parę tygodni w pustym domu tęsknił do dzieci tak bardzo, że aż go kłuło w sercu. I choć na szczęście, dzięki Bogu, nikt nie zdołał skrzywdzić dziewczynek ani Miriam, nagle Joe zdaje sobie

sprawę, jak bardzo ostatnio oddalił się od dzieci. W samotne noce zaczął już widzieć – nawet w tych najbardziej optymistycznych scenariuszach – że zwłaszcza jego piętnastolatka za chwilę będzie dorosła i w ciągu paru najbliższych lat zupełnie mu zniknie z pola widzenia. To olśnienie budzi w nim uczucie, jakiego chyba w życiu nie zaznał – uczucie własnej kruchości, którą chciałby jej okazać, biorąc ją jeszcze raz w ramiona. A ponieważ nie odważy się na taki gest wobec nieobliczalnej nastolatki, pierwsza myśl o nowej, liberalnej polityce alkoholowej wydaje mu się słuszna. Wie na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że Miriam sprzeciwi się podaniu alkoholu piętnastolatce. Ale dziewczęta niedawno próbowano *oślepić*, a w ich domu pojawił się *naładowany rewolwer*, który trzymają *w salonie*. Czy wobec tego wszystkiego szklaneczka słabego piwa to rzeczywiście największe zagrożenie w życiu Rebekki?

Tego zresztą najbardziej i najgłośniej domaga się zaprojektowany dla niedoświadczonych użytkowników metalowy przedmiot z tępą lufą: żeby nie pytał wcześniej Miriam o zdanie w tej kwestii. Żona powinna już powoli szukać z nim zgody i słuchać także jego opinii w różnych sprawach. Miriam jednak do tej pory nie wykonała żadnego, najbłahszego nawet pojednawczego gestu, by dać mu do zrozumienia, że wie, przez jakie piekło ostatnio przechodził.

Joe sam nie do końca rozumie, w jaki sposób poczęstowanie nieletniej córki piwem bez pytania o zgodę Miriam miałyby wpłynąć na poprawę sytuacji. Ale już sobie wyobraża, jak kompletnie zaskoczona Rebecca z radością przyjmuje jego propozycję. Może wtedy oboje będą patrzyli na siebie trochę inaczej niż do tej pory, doroślej, bardziej jak równorzędni partnerzy. I wprowadzając się z powrotem do niego, Miriam będzie musiała oswoić się z myślą, że w tym domu mieszka jeszcze jedna osoba dorosła, której poglądów i uczuć nie można tak codziennie deptać.

Ale Miriam staje pod drzwiami bez walizek. Na dywanie w przedpokoju stawia tylko podręczne torby z rzeczami dla dziewczynek na weekend. Reszta jest w samochodzie, domyśla się Joe; w goście pojednania pójdzie je sam przynieść.

– Cześć – mówi i całuje żonę w policzek.

Miriam odwraca głowę z wyraźną niechęcią. Joe odbiera ten gest jako demonstracyjną nieuprzejmość w kontekście jego dojrzałego spokoju, z jakim przyjął jej jawną deklarację wojenną: umieszczenie ciężkiego metalowego przedmiotu w antycznym sekretarzyku babki.

– Co ci się stało z oczami? – pyta Daniella.

– Z oczami?

– Są mocno zaczerwienione – włącza się Miriam i patrzy na niego badawczo.

– To na pewno... pewnie ta alergia – odpowiada Joe.

Żona i córki patrzą na niego z niedowierzaniem

– Do tej pory nie miałeś alergii – mówi Miriam.

Prawda jest taka, że dopiero o trzeciej w nocy wyjął z za uszu małpki; kretynstwem byłoby rezygnować z wyścigu po pierwszym, niezasłużonym i frustrującym wypadnięciu z toru na eliminacjach w Monako, skoro już zapłacił za cały moduł.

– Co tu tak cuchnie? – krzywi się Rebecca.

Ton jej głosu jest dokładnym przeciwieństwem powitania córki z ojcem, które Joe wyobrażał sobie przed ich przyjściem. Mowa ciała Rebekki jest doskonale czytelna: dziewczyna zмага się ze sobą, żeby przekroczyć w ogóle próg domu. Dopiero teraz Joe uprzytamnia sobie, że jego pogląd o ulubionych potrawach córki opiera się na danych sprzed wielu miesięcy, jeśli nie paru lat. Co ona teraz najchętniej jada? Nagle Joe czuje się bezradny – nie ma pojęcia. W ciągu roku piętnastolatka dziesięć razy zmienia uczesanie, kolor włosów, garderobę, gusty muzyczne, słownictwo, zainteresowania, przyjaciół, poglądy etyczne i stan cywilny.

I wtedy do Joego dociera, że jest bezgranicznie, totalnie wyczerpany. Przez brak snu, przez zmartwienia, lęk, stres, konflikt z Miriam, walkę z pokusami iAma, gotowanie, wielkie sprzątanie.

– Jest tu jeszcze mój ajek? – pyta Rebecca, ledwo zdjęła buty; wyglądają na zupełnie nowe.

– Co takiego?

– Ktoś mi zhakował konto.

– Ktoś ci co zrobił? Jakie znowu konto?

Rebecca przewraca oczami.

– *Mój eksplorator przeżyć, panie profesorze* – mówi, wymawiając słowa z przesadną starannością, jakby zwracała się do osoby niedorozwiniętej umysłowo. – Czy jest może jeszcze przechowywany w tym domu?

– No... jest, oczywiście. W szufladzie na górze.

– Jesteś pewny? – pyta Miriam i patrzy mu prosto w oczy.

– O ile mi wiadomo, nikt go nie dotykał – mówi Joe i odchrząkuje.

Pod wpływem spojrzeń żony i córki idzie szybko do przedpokoju poprawić buty, chociaż stoją w doskonałym porządku.

– Jasne – odzywa się Rebecca głosem wszystkowiedzącej wróżki. – No więc

ktoś go zhakował.

Dziewczynka wyciąga telefon i zaczyna wystukiwać na nim wiadomość.

– Powiedziałam ci coś, Becky – mówi Miriam, która stoi jeszcze w przedpokoju w butach, jakby się zastanawiała, czy w ogóle wchodzić do środka.

– Już, już.

– Musisz być ostrożniejsza ze swoimi hasłami. Skoro *nawet* ja odgaduję dwa z trzech, to...

– No już, już.

– Są przecież instrukcje, pokazywałam ci dawno temu. Pamiętasz taką stronę...

– No już, *JUŻ!*

Po wejściu w życie zakazu używania iAma i udzielania się na portalach społecznościowych wściekła Rebecca chcąc nie chcąc wróciła do poprzedniej nieprzerwanej łączności esemesowej ze wszystkimi znajomymi. Joe się boi, że prędzej czy później dziewczyna wpadnie na latarnię albo nabawi się skoliozy, bo całe życie chodzi pochylona, z twarzą wlepioną w wyświetlacz. Poza tym urządzeń trzeba ciągle pilnować; Miriam powiedziała, że znowu przyłapała Rebecę na jej profilu, gdzie trąbiła na cały świat, do kogo się wybiera w sobotę na imprezę, jakby Hackett jej nigdy przed niczym nie ostrzegął.

Miriam ściąga buty i zamyślona przechodzi do salonu. Rozgląda się jak po obcym mieszkaniu.

– Czyli co zostało zhakowane? – pyta ją Joe.

Zamiast Miriam odpowiada Rebecca, która wzdycha i odrywa niechętnie wzrok od wyświetlacza; *dżizaz*, życie z kretynami to jednak udręka.

– Z mojego iAma ściągnięto kilkadziesiąt godzin jakichś usług informacyjnych, połączeń mailowych i nie wiadomo czego jeszcze. I jakiejś *formuły*. Za prawie tysiąc dolców.

– Co? – Joe nie potrafi ukryć zdumienia.

Miriam potwierdza kiwnięciem głowy.

– Tej nocy znowu ktoś z niego korzystał – mówi. – Becky sprawdziła rano.

Plop, plop, Rebecca już zdążyła rozwalić się na sofie i znowu stuka w skupieniu w mały wyświetlacz.

– I do tego jeszcze jakieś pieprzone *porno*.

– Naprawdę? – Teraz Miriam jest zdziwiona. Przerywa inspekcję storczyków na parapecie salonu: Joe dostał wyraźne instrukcje pielęgnacji, które konsekwentnie zaniedbał. – Tego mi nie mówiłaś.

– No. Jakiejś seksmoduły.

Joe poczuł pieczenie policzków, ledwo Rebecca spytała o urządzenie, ale teraz czerwieni się po uszy. To nie może być prawda. Przecież zapłacił za te moduły własną kartą kredytową.

Nagle sobie przypomina, co gdzieś kiedyś słyszał: że urządzenie automatycznie wysyła do producenta i projektantów programów informacje o lokalizacji użytkownika, reakcji jego układu somatycznego, wybranych skojarzeniach, aktywacji dużych populacji komórek nerwowych, a nawet o impulsach pojedynczych neuronów. I że podobno nawet fachowcy z branży nie wiedzą, do kogo te wszystkie dane mogą w końcu trafić.

– Czy on... – Joe przełyka ślinę, nakrywając do stołu w kuchni. – Jeśli ktoś kupi te ich... no... czy to nie tak, że sam musi za to zapłacić, kartą kredytową... czy jak to jest? Jak to wszystko trafia do ciebie? Te informacje? – pyta i szybko dodaje: – Nie mam zielonego pojęcia, jak to wszystko działa.

– Na te moduły są stawki, *minutowe*.

– A... czyli...

– Tak. Oprócz tego, co ściągają z karty.

– Aha. – Joe znów przełyka ślinę.

Czuje na karku badawcze spojrzenie Rebekki. Ustało stukanie w wyświetlacz i z tego Joe wnioskuje, że córka nawet odłożyła na chwilę telefon. Trzeba było jednak wziąć swój egzemplarz, kiedy mu go wtykali, przemyka mu przez głowę.

– Ściągają to z twojego konta – mówi Rebecca. – Opłata zależy od tego, ile minut masz w pakiecie.

Joemu się zdaje, że milczenie skupia się na nim osobiście. Nie wie, co ze sobą zrobić. Nie, myśli, nawet nie w instytucie. Koniec z urządzeniem, definitywnie.

Nagle przypomina sobie o torbach dziewczynek.

– Przyniosę może walizki z samochodu? – zwraca się do Miriam, która stoi przy oknie ze skrzyżowanymi ramionami.

– Tylko że... – Miriam waha się chwilę. – Nie mamy nic więcej.

Joe wbija w nią spojrzenie.

– Co takiego?

– Porozmawiamy o tym później – mówi Miriam, bo Daniella wyszła właśnie z łazienki i najwyraźniej też chce usłyszeć, co się stało.

– Na moim raporcie z konta widać dokładnie *wszystko* – mówi Rebecca, tonem głosu dając do zrozumienia, że to *wszystko* jest po prostu obrzydliwe.

– Co dokładnie wszystko? – dopytuje się Daniella i klonuje na sofie pozycję siostry z dokładnością do jednej komórki.

- No to, co ten gość robił. Co dokładnie i z jaką kobietą – mówi Rebecca.
- Jak to może być widać? – mówi Joe, zanim zdążył ugryźć się w język. Przerazenie w jego głosie zbija na chwilę Rebecce z tropu.
- Zmysły mają różne stawki.
- Aha – mówi Joe, bojąc się, że jego rozszalałe serce będzie słycać w każdym wypowiedzianym słowie.
- Głosy są na pewno w pakietach podstawowych. Tak samo niektóre postaci bazowe.
- Jakie postaci bazowe? – pyta Daniella.
- Nie musisz wszystkiego od razu wiedzieć – mówi Joe, otwierając słoiczek z salsą i ściągając folię z guacamole.
- „Nikt nie wie, gdzie i do kogo trafiają wszystkie dane użytkowników” – słyszy w głowie belferski ton Hacketta. „Nie ma na razie żadnej legislacji, prawo jeszcze nie reguluje, w jaki sposób aplikacje komercyjne mogą ingerować w funkcjonowanie waszego mózgu ani komu można sprzedawać informacje o waszych reakcjach nerwowych”.
- „Przecież to jasne, że oni to wszystko zapisują” – powiedział Hackett. „Śledzą i zapisują wasze impulsy nerwowe, emocje i myśli, reakcje waszych organizmów, wszystko – do późniejszego wykorzystania”.
- Urządzenie wpatruje się w Joego z szuflady na górze, przez strop i parkiet.
- „Kaźda bezpośrednia, mimowolna odpowiedź neuronowa, pomierzona u źródeł, w centralnym układzie nerwowym – ktoś zbija na tym kiedyś nieziemski majątek. Tylko jeszcze nikt nie wie, jak to zrobić.
- Albo na ile sposobów można sterować waszymi myślami: przecież o to tylko tu chodzi.
- To są twoje reakcje.
- Warto się zastanowić, komu oni będą chcieli te dane udostępnić.
- Chcecie znać moje zdanie? Powiem szczerze: ja nawet nie trzymałbym tego główna w swoich czterech ścianach”.
- Joe czuje palenie na głowie w miejscach, gdzie przyczepia się do skóry małpki.
- Ale jaka *kobieta*? – Daniella nie ustępuje. – Mówiłaś coś o jakiejś kobiecie.
- Rebecca patrzy na siostrę jak stary polityczny wyga na posła pierwszej kadencji i wyraźnie wymawiając każde słowo, odpowiada:
- Ten oblech uprawia sexting z jakąś panienką.
- Aaa.
- Becca – mówi Joe, ale w jego głosie brakuje pewności autorytetu.

Zaczęła go boleć głowa. One nie są prawdziwe, tłucze mu się po głowie, kiedy wyciąga talerze i sztucce z szuflad i wkłada łyżki do półmisek. Dziewczyna nie była prawdziwa, to był model stworzony w banku prototypów.

Powtarza tę mantrę w myślach, wyciągając potrawy z lodówki i stawiając je na stole; stara się zachowywać chociaż z grubsza normalnie.

Nikogo nie wykorzystałem, to tylko zwykłe przeżycie wirtualne.

It's just a gadget.

To tylko gadżet, nic więcej.

– Nie rozumiem tych ludzi – mówi Miriam, kręcąc głową i przechodząc do kuchni. Patrzy nieobecny wzrokiem na sztucce, które Joe ciągle kompletuje. – Połowa świata głoduje, a ci sobie grają w Formułę Jeden.

Kiedy Joe zaprasza Miriam i dziewczynki do stołu, czuje się jak rozedrgany wrak człowieka. Nawet trzewia ma rozpalone i spocone; wypisana na czole skrajna perwersja świszczy mu też w oddechu.

Daniella siada, ale Rebecca stoi za oparciem krzesła, jakby zamierzała wygłosić referat. Joe włącza radio, byle coś ze sobą zrobić. Każda sekunda bez kontaktu wzrokowego z członkami rodziny to ogromna ulga.

– Ja już po prostu *widzę* tego gościa – mówi Rebecca, stukając paznokciami w drewno.

– Becky, wystarczy na ten temat – odzywa się Miriam.

– No, i jak wygląda? – pyta zaraz Daniella.

– I ty też, Dani. Becky, siadaj.

– Cały dzień gnije w łóżku, a w nocy siedzi w sieci, bo w realu nie ma odwagi do nikogo się odezwać – kontynuuje Rebecca. – Wszystkie sesje były od wieczora do trzeciej, czwartej nad ranem.

– Jakiś niedorozwinięty nieszczęśliwiec – kwituje sprawę Miriam.

Wszyscy usiedli na swoich zwyczajowych miejscach, ale Joe ma wrażenie, że stół zmienił kształt. Głowa boli go coraz mocniej. Może te sesje były jednak za długie? Czy to przez to, że bezustannie musi mówić do siebie w duchu: Nie, nie wstaniesz teraz od stołu i nie pójdziesz sprawdzić, czy w ciągu ostatniej godziny ktoś z twoich nieznanym znajomym nie zamieścił czasem na swoim profilu zdjęcia obejmujących się kotów.

– Ale przecież go złapią – mówi Daniella.

– No jasne. Możemy poprosić choćby o enefpe – wtóruje jej Rebecca. – Niby trzeba złożyć pisemny wniosek i trochę to kosztuje, wiadomo, ale...

– Enef...co?

– Enefpe. *Neural fingerprint*. To trochę jak odcisk palca, tylko z centralnego

układu nerwowego.

– Jak... – pyta Joe, choć nie zamierzał podejmować tego tematu. – Przecież... to nie na twoje nazwisko jest zarejestrowany ten twój iAm?

– Tak, ale każdy układ nerwowy ma swój odcisk.

– Naprawdę?

– Ajek pobiera go przy pierwszym użyciu i zapisuje w ustawieniach. Może ich tam zapisać dwieście czy jakoś tak.

– Aha.

Serce Joego bije bardzo szybko. Jak dobrze być neurobiologiem, światowej klasy specjalistą w swojej dziedzinie, do którego wszyscy zwracają się o pomoc w sprawach związanych z mózgiem.

– Tato, mogę dostać mojego ajka? – pyta Daniella marudnym głosem, jak zawsze, kiedy wie, że jej prośba nie przejdzie.

– Nie.

– Eeee... *dłaczego?*

Joe chciałby zacząć już jeść, lecz każdy ma ciągle coś bardzo ważnego do przetarcia na wyświetlaczu swojego smartfona.

– Wyślę jeszcze tylko szybko wiadomość do pracy, że już mnie dzisiaj nie będzie – mówi Miriam, stukając w wyświetlacz.

Dziwne, ale nawet palące pragnienie nie przenosi automatycznie butelki sola z lodówki do ręki Joego; obiecał sobie, że nie otworzy piwa, dopóki wszyscy nie będą gotowi do jedzenia. Poza tym odwleka ten moment, bo chce go celebrować, w końcu to początek jego nowej relacji z Rebecą, dorosłej relacji ojca z córką. Ale teraz nawet Daniella wyciągnęła komórkę. Za każdym razem, kiedy pozostali są gotowi do jedzenia, kto inny, znudzony oczekiwaniem, pochyła się nad swoim smartfonem.

– Czy moglibyśmy wreszcie zacząć jeść? – pyta Joe z oczami utkwionymi w surówce z sałaty lodowej, którą niesie do stołu. – Przepraszam, Miriam, mogłabyś mi podać śmietanę?

Miriam marszczy w skupieniu czoło do swojego smartfona, przeciera wyświetlacz i uśmiecha się do kogoś gdzieś daleko. Odchyła trochę telefon, kiedy zaczyna wystukiwać odpowiedź, i po kolorach Joe poznaje, że Miriam nie wysłała wcale wiadomości do pracy, lecz czatuje z kimś w popularnym komunikatorze. Słysząc cykady uderzające o szyby salonu.

– Jak na tym urządzeniu można uprawiać seks?

– Dani, weź przestań! Nie powiem ci nic więcej. Masz dopiero jedenaście lat.

Joe musi powtórzyć pytanie i dopiero wtedy Miriam się wzdryga i odrywa

spojrzenie od smartfona.

– Przepraszam – mówi, zamyka etui i wrzuca smartfon do torebki. – Jemy! Wasz tata przygotował dla nas wspaniałą kolację.

– Przepraszam – powtarza jeszcze, zwracając się do Joego, gdy Daniella już zgarnia sobie mięso na talerz. – Obiecałam Jill komentarz do naszych materiałów na kolokwium „natura czy kultura” w przyszłym tygodniu.

Joe kiwa głową i patrzy na Miriam tak długo, że żona z zakłopotaniem odwraca wzrok i odchrząkuje.

– Nakładajcie sobie, zapraszam! Smacznego, kochane moje. Tak się cieszę, że wreszcie znów was tu widzę.

– To jakiś PEDOFIL – odzywa się Daniella. – Trzeba go zgłosić do Neighborhood Sex Offender Watch!

– *Bingo!* – mówi Rebecca i patrzy na siostrę z nagłym ożywieniem. – Już normalnie widzę, jak go łapią.

– *Możecie wreszcie zostawić ten temat?!*

Miriam i dziewczynki prawie podskakują. Nie da się ukryć, że wybuch Joego zupełnie nie pasuje do ich nastroju.

Rozmowa przenosi się na chwilę na inne sprawy, na pływanie Danielli, na ubrania, które Rebecca chciałaby sobie kupić. Joe zauważył, że jego starsza córka jeszcze nic nie zjadła.

– Jedyna dobra rzecz, że gość ma hopla na punkcie praw zwierząt – mówi Rebecca do swojego smartfona.

– Co? – wrywa się Joemu.

– Czyta wszystkie strony obrońców praw zwierząt – wyjaśnia Rebecca. – Noc w noc. Żaden normalny człowiek nie robi czegoś takiego.

– Myślisz, że on jest...

Daniella urywa w pół zdania, bo właśnie sobie uzmysłowiła, co zamierzała powiedzieć.

Nagle robi się cicho jak makiem zasiał. Wszyscy dopowiedzieli sobie resztę w myślach.

Joe dostrzega lęk w twarzy Rebekki.

– Normalnie zaraz dzwonię na policję – mówi Rebecca.

– Czy to konieczne? – pyta Joe.

Miriam i dziewczynki wbijają w niego nieruchome spojrzenia.

– Co takiego? – wyrzuca zdumiona Miriam.

Narastający w tle ból głowy jest już tak silny, że Joe ma wrażenie, że za chwilę czaszka rozpadnie mu się na kawałki. Oby to nie była migrena, bo będzie musiał pójść się położyć do ciemnego pokoju i straci cały wieczór. Co

z drugiej strony nie wydaje się wcale najgorszym rozwiązaniem.

– Jak to: *czy to konieczne?* – Rebecca marszczy brwi.

– Noo... moglibyśmy może wyjaśnić tę sprawę... jakoś inaczej – bąka Joe i sam nie wie, co chce przez to powiedzieć.

Rebecca znów wbija w niego wzrok.

– *Inaczej?* Haloo, ktoś mi *zhakował konto*.

– Tak, wiem, już to słyszałem, ale... chodzi mi o to, że... że trzeba to jeszcze przemyśleć.

– *Przemyśleć?*

Rebecca wpatruje się w niego z rozdziawionymi ustami.

– Ja się naprawdę zacznam o ciebie martwić – mówi Miriam.

Joe modli się do Boga, żeby ten ból głowy jednak był migreną; prosi o zawał serca, najlepiej śmiertelny, o wylew krwi do mózgu, o cokolwiek, byle tylko jak najszybciej i bezboleśnie zejść z tego świata.

Miriam znów bierze do ręki telefon, który chwilę wcześniej brzęknął w torebce. Odpowiedź od osoby, do której się wcześniej uśmiechała.

Teraz, uprzytamnia sobie Joe i widzi światełko w tunelu – jest załóżnie słabe, lecz może właśnie teraz uratuje mu życie: *piwo*. Joe podchodzi do lodówki i wyciąga z niej butelki. Szron na szkle moczy mu palce.

Ale na jego starannie wyreżyserowaną propozycję Rebecca odpowiada niedbale i nawet na niego nie patrząc:

– Ja nie chcę.

Joe jest tak zdumiony, że nieruchomieje przy stole ze zmarszczonym czołem. Rebecca nie mogła widzieć, co wyciąga z lodówki, bo nawet nie zerknęła w jego stronę.

– Nie chcesz piwa? – dziwi się. – Meksykańskie.

Miriam opuszcza telefon na kolana – w trakcie pisania wiadomości! – i odkłada tortillę na talerz. Obraca się w jego stronę i patrzy na niego. Joe wie teraz, jak się muszą czuć młodszy pracownicy dydaktyczni instytutu psycholingwistyki, kiedy zdarzy im się jej podpaść. I jednocześnie zdaje sobie sprawę, że w ciągu szesnastu lat małżeństwa jeszcze nigdy nie znalazł się ze swoją żoną w podobnej sytuacji.

– Przepraszam, że co? – pyta go Miriam.

Rebecca też patrzy teraz na niego z typowym dla nastolatki dramatycznym wytrzeszczem i ustami rozchylonymi w grymasie niedowierzania.

– Możesz sobie dodać plasterek limonki – mówi Joe. – Już nakroiłem.

Jedyna metoda to brnąć dalej po obranym kursie. Ojciec w roli wychowawczej musi być przede wszystkim konsekwentny.

– *Nie chcę!* Głuchy jesteś czy co?

Joe odwraca się do nich plecami. Duszkiem wypija połowę zawartości butelki przeznaczonej dla Rebekki i czuje wściekłość pulsującą teraz razem z bólem głowy. Kiedy zamyka oczy, w górnej ćwiartce pola widzenia, gdzie podaje się komendy na bezekranowym ekranie iAma, tańczą mu świetliste zielone plamy.

– Przepraszam, *że co?* – powtarza Miriam. – Czy przed chwilą zamierzałeś poczęstować naszą piętnastoletnią córkę *piwem*?

– Mogłabyś odłożyć ten telefon na czas posiłku, *Rebecca?* – Joe odpowiada jej pytaniem. – Mieliliśmy tu chyba taką umowę.

– W dupie mam twoją umowę – mruczy Rebecca, nie wiedząc, o co chodzi.

– Tak, zamierzałem – odpowiada Joe, zwracając się do Miriam, która nadal się w niego wpatruje. – Podaj mnie do sądu.

Jak dobrze znów was widzieć! Cudownie was tu gościć, kochane moje! Filety drobiowe, które grillowałem dla was na dworze, ociekając potem – temperatura na zewnątrz wzrosła dziś do trzydziestu ośmiu stopni przy wilgotności względnej sto procent – ciągle leżą na półmisku. Ale dla Danielli są za mocno przypieczone; w szkole mówili właśnie o karcynogenach.

Jeśli wcześniej unikali czerwonego mięsa i jedli coraz częściej warzywa, to po incydencie z bombą w paczce nie musieli tego nawet omawiać: nie ma posiłku bez mięsa. Cielecina, której kiedyś Joe nie ruszał z powodu oporów natury etycznej, dziś stanowi podstawę ich kuchni.

Rebecca przesuwając kawałki mięsa na talerzu i co pewien czas rozkręca któryś na pół. Joe dobrze wie, jak to się skończy: po kolacji wszystko wylądowuje w koszu na śmieci. Rebecca nikogo tą zabawą w krojenie nie oszuka, ale z drugiej strony sami ją przecież zmusili do nałożenia sobie czegoś na talerz. Może właśnie do tej postaci ewoluują naturalnie wszystkie zasady wychowawcze i mimo wszystkich argumentów właśnie do tego muszą zostać ostatecznie zredukowane: do przypadkowo ukształtowanego rytuału, którego żadne z nich świadomie by nie wybrało i nie potrafiłoby sensownie obronić, ale który ma tę niezaprzeczalną zaletę, że pozwala uniknąć najostrzejszych spięć.

– Bardzo dobre. – Miriam uśmiecha się heroicznie, łamiąc serce Joego.

Odchodzi ode mnie – domyślił się od razu, gdy tylko zobaczył ją w przedpokoju bez walizek.

Skrobiąc i krojąc mięso, Joe zbiera kilka prawie białych kawałków dla Danielli. A ponieważ jego młodsza córka nie ma poza tym żadnych innych zasad żywieniowych, udaje mu się skomponować dla niej całkiem pożywną,

zróżnicowane danie.

Rebecca za to ma problem nie tylko z mięsem. Śmietana nie jest zero-procentowa, awokado to praktycznie sam tłuszcz, fasola nieszczególnie dobrze się trawi, podobnie jak cebula, a ponieważ Joe grillował papryki i cukinie w oleju, Rebecca mówi wielkie dzięki, ale może innym razem, jak nie będziesz tego oleju lał do wszystkiego po dziesięć litrów na sztukę.

W końcu Rebecca przestaje się odzywać i nakłada sobie na tortillę tylko listek sałaty lodowej. Joe przygląda się temu bez słowa, starając się zapanować nad palącą potrzebą skomentowania tego w jakiś sposób, którą przyćmiewa jeszcze koszmarny obraz neuronowego odcisku palca w publicznym rejestrze pedofilów. Miriam niby poszła do łazienki, w rzeczywistości jednak zatrzymała się w korytarzu, by tam niepostrzeżenie wyciągnąć z torebki smartfon i postukać w wyświetlacz: widocznie ciągle dostaje od kogoś zniewalająco czarujące i zabawne wiadomości.

I wtedy Joe zauważa słoiczek z salsą, i niczego nie przeczuwając, pyta Rebecę, czy tego też nie zamierza ruszyć. A ponieważ nawet na sos dziewczyna kręci nosem, Joe – zmęczony już i poirytowany migreną, którą piwo złagodziło na tyle, że otworzył od razu drugie, wypił i właśnie zmaga się z przemożnym pragnieniem otwarcia trzeciego – warczy na nią tak nieprzyjemnie, że przerażona Daniella aż wczepia się rękoma w krawędź stołu.

– A co w *tym* ci nie odpowiada, do jasnej cholery?!

A potem wystarczy już tylko kilka dobrze dobranych komentarzy, by sprowokować poświęconą wyłącznie pomidorowej salsie dwugodzinną kłótnię, do której z niewielkim opóźnieniem przyłącza się także Miriam i która prawdopodobnie zapisze się całej czwórce w pamięci tak głęboko i trwale, jak żadne inne przeżycie konstytuujące ich rodzinę. Nawet Daniella, która zazwyczaj bez przerwy gada coś do siebie i nie przejęłaby się nawet totalną wojną atomową, teraz wpatruje się szeroko rozwartymi oczami w swój talerz, by w końcu wymknąć się cicho do swojego pokoju.

Joe najpierw odmawia ponownego pójścia do sklepu tylko dlatego, że salsa, którą w pośpiechu zgarnął z półki w Wholefoods, zawiera cukier. Miriam uważa jednak, że piętnastolatka nie tylko może, ale nawet powinna zacząć zważać na wartość odżywczą składników pokarmowych.

– I ile tego cukru tam jest? – warczy Joe.

– Przeczytaj etykietę, to będziesz, kurwa, wiedział! – wydziera się Rebecca.

– Przecież to tylko pomidory i ocet!

– Joe, nie jestem pewna, czy to najbardziej konstruktywny sposób

podejścia do problemu – komentuje Miriam; udaje jej się nawet odłożyć na chwilę na bok swój telefon.

– Tam jest MASAKRYCZNIE DUŻO CUKRU!

– Jedz! Ma cukier czy nie ma, masz zjeść!

Joe jednak szybko się przekonuje o niemożliwości zmuszenia niemal pełnoletniej kobiety do zjedzenia czegośkolwiek, jeżeli ta postanowiła inaczej. I już z czysto teoretycznej możliwości użycia przymusu bezpośredniego – ewentualności, która nawet przez moment nie przyszła Joemu do głowy – Rebecca rozkręca decybele do poziomu reality show i urządza scenę, w której oprócz dramatycznej mimiki i napadów histerycznego płaczu nie może oczywiście zabraknąć rzucania przedmiotami, trzaskania drzwiami, a na koniec całkowitej odmowy jakiejkolwiek formy interakcji.

Teraz do żołądka Rebekki nie da się wtłoczyć nawet kęsa pełnoziarnistej tortilli.

Brawo, Joe, świetnie to załatwiłeś! Joe nie ma nawet odwagi spojrzeć na Miriam. Chociaż tyle, że przed tym wszystkim dziewczyna zgodziła się skubnąć trochę pszenego placka. Przyda jej się trochę kalorii, bo jeszcze bardziej schudła od ostatniego widzenia.

– Z terrorystami nie negocjujemy – mruczy Joe, wstając od stołu; ściąga gniewnie kluczyki z kredensu w przedpokoju i wychodzi z domu.

Cykady pokryły drzewa, trawniki i dachy domów równą, czerwonoocną warstwą, która stała się naturalną częścią krajobrazu. Człowiek trątuje ją podszwami, ale nie wywołuje to już w nikim jakichkolwiek emocji; idzie się po prostu po chrzęszczącym żwirze. Joe kiwa głową kierowcy zaparkowanego na rogu samochodu, którego twarzy nie widzi przez przyciemnione szyby, ale to jeden z tych dwóch, którzy na zmianę pilnują bezpieczeństwa jego córek.

Za każdym razem, kiedy widzi to auto, przypomina sobie, żeby sprawdzić, czy ma w kieszeni swój czerwony guzik. Przez kilka dni nie miał go przy sobie, został w kieszeni innych spodni.

Może powinien już z niego zrezygnować?

Przecież wszystko się wyjaśniło. Poza tym w antycznym sekretarzyku babki leży naładowany rewolwer, wystarczy, by zabić każdego.

Point and shoot – o resztę nie musisz się martwić.

Może właśnie dlatego nie wolno mu zrezygnować z czerwonego guzika.

Odpędza namolne, cisnące się do oczu owady, pilotem uruchamia jęczący centralny zamek i wskakuje do środka. Rusza agresywnie i zdecydowanie za szybko pędzi z powrotem do Wholefoods, gdzie stawia samochód w poprzek chodnika z czystej żądzy zemsty. W sklepie całe piętnaście minut traci na

sylabizowanie wydrukowanych maleńką czcionką etykiet na słóiczkach salsy. Płaci właśnie w umieszczonym za nisko automacie samoobsługowym za jedyny znaleziony egzemplarz z nadrukiem NO ADDED SUGAR, kiedy dzwoni jego komórka.

Domyśla się, że to Brad, zanim jeszcze spogląda na wyświetlacz. Złapani ekoterrorysty mieli jakiś czas temu pierwszą rozprawę. *Appearance*, tak to się chyba nazywa; mieli stawić się w sądzie. A może było to już wysłuchanie stron? Joe nie jest pewny. Tych różnych rozpraw może być bardzo dużo. Przed samą rozprawą w ruch poszła jeszcze broń o nazwie *pre-trial motion*, lecz mimo zapierających dech w piersiach wyjaśnień Brada Joe nadal nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. W każdym razie tego dnia zebrał się sąd, chyba już po raz drugi, ale i tym razem dla czystej formalności. Brad dzwoni na pewno w tej sprawie.

Głos prawnika jest do bólu rzeczowy, *all business*.

– Siedzisz?

– Co takiego?

– Lepiej, żebyś usiadł.

– Noo... jestem w sklepie.

Joe nieporadnie dociska telefon barkiem do ucha, wstukując jednocześnie PIN swojej karty do terminala. Przypomina sobie, co mu mówił Raj: iAma można przeprogramować tak, żeby kontaktował się z terminalami płatniczymi wyłącznie za pomocą NFP.

– Jak żyjecie?

Głos Brada brzmi nagle zaskakująco poufale.

– Wszystko w porządku – odpowiada Joe. – No, stosunkowo... – dodaje po chwili, bo nagle gryzie go sumienie z powodu tego wierutnego kłamstwa.

– Super – mówi Brad. – Posłuchaj. Sprawa wygląda tak, że...

Joe już myśli, że zerwało się połączenie, bo dłuższą chwilę nie słyszy w ogóle głosu prawnika.

– Że co?

– On zniknął.

– Co takiego?

– No... To prawie pewne, że jest na wolności. Mógł już nawet przekroczyć granice stanu. Nie chcę przez to powiedzieć, że jedzie akurat w waszą stronę, ale...

– Chwila, moment, nie tak szybko. O kim mówimy? O *nim*?

– Tak.

Serce Joego uderza dwa razy mocno, ciężko.

– *Na wolności?*

– Nie chcę was niepotrzebnie martwić – mówi Brad trochę za szybko – i naprawdę nie ma sensu wpadać w jakąś panikę, ale...

– Czyli co się stało?

– Nie stawił się dziś w sądzie.

Joe nie jest w stanie nic powiedzieć.

– Bardzo możliwe, że po prostu nie dotarła do niego wiadomość o nowym terminie rozprawy. Bo został przesunięty, pierwotnie rozprawa miała być później.

– Ale jak to jest możliwe? To on nie siedzi w więzieniu?

Narastające milczenie jest jak wielka łapa, która chwyta Joego za serce i zaciska się w pięść.

– Susan nie dzwoniła do ciebie? – pyta Brad.

– Co? Kto? Nie.

– Naprawdę? Susan, moja asystentka.

– Nie.

– To dziwne. Obiecała zadzwonić do ciebie od razu tego samego dnia. Nie miałeś połączeń z nieznanego numeru?

Joe się wzdryga. Miał, pewnie, że miał. Ale z takich numerów dzwonią zawsze wciskacze nowych smartfonów. Nigdy nie oddzwania na próby połączenia z nieznanym numerem.

– Susan na pewno próbowała się dodzwonić wielokrotnie – mówi Brad. – Byłeś cały czas normalnie pod telefonem?

Teraz Joe czuje ścisnięcie w żołądku. Mogło się zdarzyć, że parę razy nie odebrał telefonu, bo w domu był cały czas podłączony do iAma. W trakcie sesji człowiek nie ma ochoty przerywać, jeśli naprawdę nie musi.

Uzmysławia sobie, że blokuje maszynę, więc wsuwa kartę z powrotem do portfela, chwyta słóiczek salsy i wychodzi z supermarketu. Ma wrażenie, że zanurkował w gorącej zupie.

– Pomyślałem, że zadzwonię do ciebie osobiście dopiero teraz – mówi Brad. – Kiedy już się skończy ta dzisiejsza rozprawa i będę lepiej wiedział, jak się rozwija sytuacja. Ale okazuje się, że nie...

– Ale co ona miała mi powiedzieć? – przerywa mu Joe. – Ta Susan?

– Że został zwolniony.

– *Co takiego?* Już na pierwszej rozprawie?

– To nie była rozprawa. W mocy pozostają oskarżenia o przestępstwa telekomunikacyjne i działalność wywrotową.

– Aha – mówi Joe. Nie ma pojęcia, co z tego wynika albo nie wynika. Co to

w ogóle jest działalność wywrotowa?

– I jak już wcześniej wspominałem – Brad mówi pospiesznie, jakby się bał, że Joe się wścieknie – jest bardzo wiele rzeczy, które możemy teraz zrobić.

– Ale nie mówiłeś, że może z użycia tego urządzenia niszczącego... że mógłbyś spróbować...

– Ten zarzut został oddalony. Susan miała ci to powiedzieć już wtedy, na samym początku. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że cię nie złapała.

– Oddalony?

– Brak dowodów.

Destructive device: w dążeniu do precyzji określenia termin ciągle brzmi śmiesznie. Urządzenie niszczące... Dlaczego telewizora nie uważa się za coś takiego?

– Wiele innych zarzutów zostało oddalonych – mówi Brad – także przeciwko innym ekoterrorystom, których zatrzymano w tym samym czasie.

– Ale czy to nie miała być zwykła rutyna? Tak jak dzisiaj?

– No, to nigdy nie jest taka zwykła...

– Tak powiedziałeś! Powiedziałeś, że nie spodziewasz się żadnych niespodzianek!

– No, tym razem zdarzyło się jednak trochę inaczej, niż nie tylko ja, ale także całkiem spora grupa ludzi...

– To on tego nie zrobił? – pyta Joe. Nie ma ochoty czekać, aż Brad skończy to swoje owijanie w bawełnę.

– Posłuchaj mnie, Joe. To, co się wydarzyło, a to, co zdecyduje sąd...

– Tak, tak, wiem, to są dwie różne sprawy. Ale chyba coś o tym mówiono?

Jednak Brad jest zbyt dobrze wykształcony, zbyt doświadczony; tutaj przebiega granica, której nie przekroczyłby nawet w najśmielszych marzeniach. Zaczyna tłumaczyć Joemu z prawniczą precyzją, że sąd uznał w tej sytuacji to i to, i on jako prawnik częściowo to stanowisko podziela; że w tej sytuacji z technicznego punktu widzenia najbardziej naturalnym rozstrzygnięciem dla sądu było to i to, co jednak w żaden sposób nie wpływa na to i na to; że trzeba po prostu dalej twierdzić, że sprawa wygląda tak i tak.

Jak swobodnie Brad używa słowa *feds* – agenci federalni.

I mówi jeszcze:

– W zasadzie to nie miałem teraz dzwonić, ale... ponieważ nie stawił się dzisiaj w sądzie, to... Ale na pewno nie ma powodów, żeby się niepotrzebnie martwić.

Ton jego głosu wstrząsa Joem i uruchamia czarną lawinę, która zakrywa całe jego ciało. Niewidzącym wzrokiem patrzy na masywną kobietę

w eleganckim kostiumie, która świecąc wymyślną biżuterią, żegluje dumnie niczym bogini przez parking sklepu do swojego wielkiego auta.

Musi wrócić do domu i powiedzieć żonie, która zamierza od niego odejść, że *on* jest na wolności, i to już od pewnego czasu.

Na niszczące urządzenie nie ma dowodów.

Jest zwyczajne popołudnie na Wschodnim Wybrzeżu, ludzie załatwiają swoje sprawy, a człowiek, który wysłał ich córkom, lat jedenaście i piętnaście, bombę z gwoździami, przebywa na wolności i nie stawił się dzisiaj w sądzie. Gdzieś w tle, jak przez szum wodospadu, Joe słyszy cichy, paralizujący głos Brada, który mówi o posunięciach prawnych, jakimi należy zareagować na dzisiejsze wydarzenia.

– Czyli nie ma co upadać na duchu – ciągnie prawnik. – Mamy jeszcze w rękawie niejednego asa.

Joe gapi się przed siebie jak oniemiały. Nie dociera do niego, co Brad przed chwilą powiedział.

– To od jak dawna jest na wolności?

– Od tygodnia.

– *Od tygodnia?!*

– Nie sądziłem, że gdzieś wyjedzie, bo przecież dzisiaj miał się stawić w sądzie. I myślałem, że o tym wiesz. Bardzo mi przykro, Joe. Lepiej zaraz sprawdź, czy z twoim telefonem wszystko w porządku. W każdym razie z tą rozmową nie było na szczęście chyba żadnych problemów. I nie przejmujcie się na wyrost. Po prostu nie wiedział o nowym terminie.

– No.

Brad grzecznie czeka jeszcze chwilę, ale gdy Joe najwyraźniej nie ma już nic więcej do powiedzenia, dodaje:

– Trzymaj się, Joe. Jeszcze raz przepraszam za Susan. Wyjaśnię to z nią.

– Okej, nie trzeba.

– Do usłyszenia. Zadzwoń od razu, jak się o nim coś dowiesz.

– *Yup.*

– Gdyby się z tobą skontaktował, postaraj się nagrać rozmowę. I jeszcze jedno, Joe – mówi Brad, ścisząc głos, który brzmi teraz poufnie i bardziej osobiście.

– Tak?

– Ale macie w domu jakiś odstraszacz?

– Co takiego?

– Coś do obrony. Tak na wszelki wypadek.

Rozsuwane drzwi sklepu z winami po drugiej stronie parkingu ciągle się

otwierają i zamykają. Joego ogarnia nagła ochota, żeby się upić do nieprzytomności. Szybko i systematycznie pogrążyć całe sto miliardów neuronów w doskonałej anestezji.

Musi o tym zaraz powiedzieć Miriam w domu.

W domu.

Nagle czuje w piersiach ból.

Oh, fuck.

Dzieci!

Miriam!

Osobie postronnej trudno byłoby uwierzyć, jak szybko mężczyzna w jego wieku, z jego posturą i kondycją potrafi popędzić do samochodu, by z piskiem opon wyjechać na ulicę jak szaleniec. Zostawia auto częściowo na chodniku, w głowie słyszy tylko: dzieci, dzieci, dzieci są z Miriam same w domu.

Szarpie drzwi zewnętrzne z taką siłą, że gałka z hukiem wali o ścianę.

Rebecca mierzy go wzrokiem z salonu, gdzie ogląda telewizję. Zdumiona Miriam staje w drzwiach kuchni; właśnie wkładała naczynia do zmywarki.

– Wszystko... w porządku? – Joemu udaje się w końcu wydusić coś z siebie.

Spojrzenie córki mówi wyraźnie: zupełnie ci już odpierdoliło.

– Co?

– No, że ten... dałyście sobie tu same radę?

– Dlaczego nie miałybyśmy sobie dać rady?

Rebecca przewraca oczami: znowu się zaczyna. Mlaszcze demonstracyjnie i odwraca zmarszczone czoło z powrotem do telewizora, gdzie uczestnicy programu prezentują swoje innowacyjne pomysły grupie aniołów biznesu, tym bardziej chamskim, im większym fuksem udało im się dorobić swoich milionów.

– Gdzie Dani?

– Gównu mnie to obchodzi.

– Proszę tak nie mówić.

– Mówca się znalazł.

Mówca się znalazł.

Joe czuje w środku lodowaty chłód. Staje przed telewizorem.

– Co to miało znaczyć? – pyta cicho.

– Skończ już, kurwa, to kazanie.

Wystarczy jedno ostre, krótkie spojrzenie na Miriam, która nie zdążyła zamaskować swojego wyrazu twarzy: dobrze zrozumiał.

Mówca się znalazł, skończ już, kurwa, to kazanie: Rebecca odtwarza mu jego rozmowę z Miriam.

Joe robi głęboki wdech.

Patrzy na żonę, która odwraca wzrok.

Miriam opowiedziała Rebecce własną wersję tamtej rozmowy, za jego plecami. Z jakiegoś powodu Joe odbiera to jako jeszcze większą zdradę niż zakup broni; może dlatego, że rewolwer zawsze można oddać, ale zszarganego wizerunku ojca w oczach nastolatki nie da się już naprawić.

Joe ma ochotę wydrzeć się na żonę i córki, czy wy tego, kurwa, nie rozumiecie, że grozi nam wszystkim śmiertelne niebezpieczeństwo?! Mamy wojnę! A wy zmaciacie się przeciwko mnie za moimi plecami, kiedy powinniśmy się wszyscy wspierać! Już otworzył usta, żeby krzyknąć na Rebecce i wymierzyć jej jakąś absolutnie niesprawiedliwą karę, dla której usprawiedliwienie wymyśli później, po fakcie.

Ale wtedy wszyscy widzą to samo: Miriam krzyczy, Joe czuje, że krew tężeje mu w żyłach. W drzwiach, na tle fioletowej zorzy zachodzącego słońca, ktoś stoi.

Rosły mężczyzna w czarnym ubraniu.

Joe już ma się rzucić, żeby osłonić córkę – później będzie miał osobliwy kłopot, próbując odpowiedzieć sobie na pytanie, w jaki właściwie sposób zamierzał zostać jej tarczą – gdy rozpoznaje Douga. Jednego z dwóch ochroniarzy, którzy siedzą w samochodzie pod domem. Doug i Mike, dwie ludzkie szafy, które mogą pozbawić człowieka życia gołymi rękami w niecałe trzydzieści sekund – Joe ma to zagwarantowane na piśmie w umowie – i które pilnują dziewcząt siedem dni w tygodniu na okrągło, przez całą dobę.

– Wszystko w porządku?

Doug przygląda się im badawczo z progu domu. Na widok tej wielkiej, niewzruszonej i nienaturalnie rozdętej anabolikami postaci Joe natychmiast oddycha z ulgą.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Wpadł pan do domu tak szybko, że pomyślałem sobie...

– A, tak tylko... śpieszyłem się – wyjaśnia Joe i odchrząkuje.

– Okej. Ale pomyślałem sobie, że lepiej sprawdzę.

– Dzięki – mówi Joe, lecz nie ma odwagi spojrzeć Dougowi w oczy; tamten przejrzałby go od razu.

Bo co on sobie ubzdurał? Że jakiś terrorysta zdoła wtargnąć do jego domu, omijając Douga, ale on – 65-kilogramowy okularnik o wzroście 173

centymetrów – uratuje przed nim swoje córki?

Przy Wholefoods całkowicie zapomniał o tym, że Doug jest na miejscu, choć teraz przypomina sobie wyraźnie, że kiwał głową w stronę auta, kiedy wyszedł z domu.

– *Cool* – kwituje człowiek szafa i rozgląda się jeszcze szybko, po czym rotuje powoli na pięcie swój muskularny korpus i wychodzi.

Joe patrzy na zamykające się za nim drzwi.

Na pierwszym spotkaniu Doug pokazał mu wnętrze swojej dłoni. Pośrodku widniała jasna okrągła blizna. Podobno ślad po interwencji z czasów, kiedy był ochroniarzem kontrowersyjnego reżysera, którego ktoś próbował zabić na premierze szpikulcem do lodu. Ta sama okrągła, symetryczna blizna widniała również na grzbiecie dłoni – tam, gdzie szpikulec wyszedł z drugiej strony.

„Reżyser żyje”, powiedział Doug i uśmiechnął się.

Joe patrzy na córkę. Siedząca na sofie Rebecca wygląda jak przycupnięty na gałęzi mały ptaszek, drobne łopatki potęgują wrażenie podobieństwa. Joe w końcu zdaje sobie sprawę, że ciągle trzyma w dłoni słoiczek bezcukrowej salsy, więc stawia go na stole. Teraz przez następne pół godziny będzie musiał błagać starszą córkę, żeby usiadła z powrotem do jedzenia, ale nie ma już na to siły. Rebecca jednak zaskakuje go, bo wstaje i bez słowa podchodzi do stołu. Joe w przelocie przyciska ją do siebie, ramię do piersi – na tyle mu pozwala.

Patrzy, jak córka z grzeczności wytrząsa mililitr bezcukrowego sosu do swojej sałatki. NO ADDED SUGAR! Dziewczyna umrze z niedożywienia, tak jak krewni jej dziadków w niemieckim obozie koncentracyjnym w Polsce, ale do walki z tym problemem potrzebny jest całkowicie inny ojciec, w zupełnie innej sytuacji życiowej.

– Przepraszam – mówi Joe.

Rebecca patrzy na niego przelotnie, w jej twarzy Joe widzi buzię dziecka.

– Za to, że się wściekłem – ciągnie Joe. – Jestem ostatnio zestresowany.

Córka nie podnosi wzroku znad jedzenia i nie odpowiada, ale rzęsy trzepoczą. Joe czeka cierpliwie i rzeczywiście, po chwili drobne barki zaczynają drżeć. Nieznacznie, lecz nie ma wątpliwości. Joe kładzie dłoń na ramieniu córki; nie strząsa jej.

Przyciąga ją do siebie. Ciepłe łyzy nastolatki kapią mu na skórę. Przytulona do niego Rebecca chlipie długo, a przecież tak bardzo krótko. Joe jest szczęśliwy, że może trzymać ją w ramionach.

– Wszystko będzie dobrze, Becca.

– Wiem.

Dziewczynka wyciera tusz w rękaw i nie patrząc na ojca, wstaje i idzie na piętro. Zjadła niecałą połowę tortilli z surówką.

Kiedy zostają we dwoje, Miriam przysiada ostrożnie w fotelu, jakby nie była u siebie. Jak gdyby musiała zebrać w sobie całą siłę woli, żeby spojrzeć mu w oczy i zacząć mówić.

Homicide, BCPD Baltimore, MD, USA

Kiedy Samuel pojawił się tamtego wieczoru, niezatrzymywany przez nikogo wszedł na teren posesji i nacisnął dzwonek.

Na posterunku policji nikt nie potrafił później powiedzieć, co było bardziej zaskakujące: to, że Samuel skręcił w West Chestnut Parkway akurat w chwili, kiedy Miriam wyszła z domu, czy to, że nikt go nie rozpoznał. Przecież już parę tygodni wcześniej wszyscy dostali jego maturalne zdjęcie. I zakarbowali sobie w pamięci jego rysy twarzy.

Przed domem znajdowało się w tym czasie dwóch uzbrojonych ochroniarzy, których jedynym zadaniem było nie dopuścić do takiej właśnie sytuacji. Na samą myśl o tym najstarszy stopniem oficer wydziału zabójstw Baltimore PD, rosły i gruby detektyw, odkłada na chwilę długopis na zawalone biurko i przyciska palcami powieki. Dwóch wynajętych ochroniarzy, matka i młodsza córka przed domem – wszyscy wiedzą o zwolnieniu chłopaka, a ten jak gdyby nigdy nic wchodzi na teren posesji.

Podczas przesłuchania Miriam wyklucza, że mogła widzieć Samuela. Policjanci obliczają, że stała niecałe sto metrów od niego.

Nieco po dziewiątej wieczorem w sobotę Miriam z córkami wychodzi na podwórze i wsiada do swojego samochodu; ma zawieźć Rebeccę na imprezę. Było późno, lecz ulica była dobrze oświetlona. Gruby detektyw, który rekonstruuje przebieg zdarzenia, dochodzi do wniosku, że kiedy Samuel szedł po łagodnym spadku terenu od strony restauracji wegetariańskiej One World i sklepu Ben's Deli, Miriam stała najprawdopodobniej przed garażem, z którego widać ulicę. Sprzedawca z wieczornej zmiany w Ben's Deli zapamiętał Samuela, bo chłopak wszedł do środka, żeby kupić butelkę wina. Na paragonie widać godzinę, 9.09 PM, Have a nice day!

Wniosek oficerów wydziału: Miriam zobaczyła Samuela, lecz ten nie wzbudził w niej żadnych podejrzeń. Niedaleko znajduje się kampus uniwersytetu Homewood i w okolicach kręcą się bezustannie studenci w jego wieku. Chłopak niczym się nie wyróżnia.

Miriam absolutnie nie wierzy w tę teorię. Gruby detektyw doskonale to rozumie.

Większą tajemnicą dla niego jest jednak to, że także Michael Badecker,

jeden z dwóch ochroniarzy wynajętych przez rodzinę Chayefskich, nie zobaczył nikogo ze swojego auta. Nieuważność niewyszkolonej, niemłodej już kobiety grubego detektywa potrafi zrozumieć, ale przypadek Badeckera musi zastanawiać. Kiedy tego wieczoru Samuel zmierzał w stronę domu Chayefskich – wszystko wskazuje na to, że kilkumilowy odcinek z dworca autobusowego linii Greyhound na Haines Street przebył na piechotę – i przez nikogo niezatrzymywany wszedł na teren ich posesji, uzbrojony, doświadczony i dobrze wyszkolony Mike Badecker siedział w swoim samochodzie. Zwróconym przodem w tę stronę, z której Samuel musiał przyjść.

Pracownik agencji ochrony Mike Badecker także powątpiewa w scenariusz przedstawiony przez detektywa. Badecker zobaczyłby obiekt na sto procent. Nie ma takiej możliwości, żeby w opisywanym czasie obiekt szedł ulicą West Chestnut Parkway. Robię w tym fachu od piętnastu lat, kumasz?

Jasne.

Gruby detektyw kuma. Dobrze zna historię Mike'a, bo kiedyś pracowali razem w BPD. Ich ścieżki nadal się przecinają na gruncie zawodowym, od czasu do czasu.

W takiej robocie – wyjaśnia Mike grubemu detektywowi, już trochę zły – u zawodowca wykształca się „wewnętrzny radar”. Zawodowiec bezustannie skanuje otoczenie, nawet wtedy, gdy nie jest tego świadomy.

Może to i prawda. Gruby detektyw nie chce tymczasem niepotrzebnie zaostrzać nieoficjalnej wymiany zdań.

Odpowiedzi na pytanie, dlaczego ochroniarz nie widział Samuela, dostarcza dziennik zdarzeń telefonu Mike'a. Gruby detektyw odbiera nagrodę za przenikliwość w piątkowy wieczór w pubie O'Shaunnessy. Kiedy kapitan Stanley Harper z wydziału zabójstw słyszy, jakie informacje grubego detektywa wyłuskał z pamięci smartfona Mike'a, stawia mu żytnią whisky i kolejkę Natty Boh na popitkę.

Kiedy Samuel zmierzał w stronę domu Chayefskich – który za pierwszym razem najprawdopodobniej minął – pracownik agencji ochrony Mike Badecker był zapatrzony w wyświetlacz swojej komórki. Z pamięci urządzenia, na której zbadanie sąd wydaje zgodę, grubego detektywa odczytuje, że Mike Badecker najpierw przez cztery minuty przeglądał na swoim smartfonie informacje o przebiegu meczu Oriolesów z Red Sox, potem przez następne trzy próbował zarezerwować bilety na kolejny mecz Oriolesów, a kiedy mu się to nie udało, przez siedem minut szukał jeszcze biletu na portalu aukcyjnym. Czas ten ze sporym marginesem błędu pokrywa się

z czasem przybycia Samuela na miejsce.

Doug natomiast widział Samuela dobrze. Douglas Krapotkin mówi grubemu detektywowi podczas przesłuchania na East Fayette Street, że pamięta, jak uniósł spojrzenie znad gazety i zobaczył człapiącego swobodnie ulicą drągala o kręconych włosach; chłopak wyglądał najzupełniej zwyczajnie, ale Doug zapamiętał, co wtedy pomyślał: świetnie zbudowany, wysportowany gość. Miał już jednak włączony silnik, bo właśnie wyjeżdżali, a instrukcje były jasne: czekać, aż accord pani Goldberg-Chayefski ruszy, i pojechać za nią. Dougowi nawet przez myśl nie przeszło, że idący ulicą młody mężczyzna mógłby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie; pamięta natomiast refleksję, że trzeba by przed końcem zmiany pojechać umyć samochód.

Jakość usług Mike'a Badeckera i Douga Krapotkina, ochroniarzy wynajętych do zapewnienia bezpieczeństwa rodzinie Chayefskich, budzi wesołość oficerów wydziału zabójstw. W piątkowy wieczór przy barze w O'Shaunnesseyu podliczają z grubsza, jak ciężką kasę Chayefscy musieli zapłacić za to, że zawodowcy z agencji ochrony, Douglas Krapotkin i Michael Badecker, przepierdzieli w swoim aucie całą wiosnę, żeby w decydującym momencie przeglądać wyniki baseballa i myśleć o woskowaniu fury.

Krapotkina i Badeckera zna cały wydział zabójstw. To dawni policjanci z BPD. I wszyscy znają to lekkie ukłucie zazdrości, kiedy ktoś z kolegów odchodzi ze służby do prywatnej firmy. Są przekonani, że ich byli kumple będą tam zarabiali kokosy, co zresztą wcale nie jest prawdą. Z tej płodnej gleby domysłów wyrasta jednak mały, lecz niezniszczalny kiełek złośliwej satysfakcji. Każdy z nich, starych gliniarzy bez jaj i ambicji, którzy trzymają się kurczowo słabo płatnych etatów, zawsze się w duchu cieszy, kiedy tym, co to nie smakowała nudna robota w policji, udało się oszczać w prywatnej firmie swoje wypastowane, drogie trzewiki.

Ale zdecydowanie najgłośniejszym wybuchem irlandzko-polsko-baltimorskiego śmiechu w O'Shaunnesseyu nagradza się spostrzeżenie, że chociaż Doug i Mike zazwyczaj się zmieniali, w tamten rozstrzygający wieczór na służbie byli obaj. Kiedy pojawił się Samuel, obaj byli na miejscu – i żaden nie rozpoznał chłopaka, chociaż był sto metrów od nich. Na to nawet powściągliwy kapitan Harper z wydziału zabójstw PD w Baltimore, który zawsze wychodzi pierwszy, bo nigdy nie pije więcej niż jednego, nie może się powstrzymać od lekkiego grymasu.

Tuż przed północą, kiedy trzy strzały – dwa jeden po drugim i chwilę później trzeci – rozległy się zwielokrotnione echem kamiennych ścian przy

505 West Chestnut Parkway, gdzie stoi dom Chayefskich, wynajęty do pilnowania bezpieczeństwa rodziny zawodowy ochroniarz Douglas Krapotkin siedział w swoim samochodzie na drugim końcu miasta. W tym właśnie czasie, gdy rozległy się strzały – o 23:35 (przypuszczalnie) – specjalista Douglas Krapotkin, jak sam zeznał, jadł hamburgera z kurczakiem przed prywatnym domem, w którym córka państwa Chayefskich Rebecca raczyła się produktami otrzymanymi z konopi (niewielkie ilości) i winem musującym (spore ilości). Z zeznania Rebekki Chayefski wynika, że najbardziej dramatycznym wydarzeniem wieczoru na posesji pilnowanej przez Douga była kłótnia dotycząca muzyki popularnej, do jakiej doszło między nią a jej najlepszą przyjaciółką Amandą Greenwald.

Jak zauważa ktoś w O'Shaunnesseyu, zamawiając sprzed szafy grającej kufel bassa, drogi zawodowiec z agencji ochrony Krapotkin byłby chyba bardziej potrzebny gdzie indziej.

Co dwudziestojednoletni posiadacz fińskiego paszportu Samuel Haynonen robił przez piętnaście minut, jakie upłynęło od zauważenia go przez Douga i sprzedawcę w sklepie Ben's Deli na West Chestnut Parkway do chwili, gdy wcisnął przycisk dzwonka przy drzwiach domu – o tym w raporcie grubego detektywa nie ma ani słowa. Może chłopak nie był pewny adresu i z początku minął dom. Może w ostatniej chwili się zawahał i został na ulicy, nie wiedząc, co zrobić. Może chciał poczekać, aż wyjeżdżający z podwórza samochód, za którym ruszyły dwa większe auta osobowe z przyciemnionymi szybami, zniknie z pola widzenia. Może Haynonen przez ten czas obserwował dom.

Ale to są tylko spekulacje, a gruby detektyw z wydziału zabójstw Baltimore PD nie lubi wpisywać do raportów niepopartych faktami domysłów.

I nie mówi tego nikomu z zainteresowanych, bo nie chce pogłębiać ich poczucia winy, lecz i on jest zdania, że wszystko skończyłoby się inaczej, gdyby w krytycznym momencie Mike Badecker i Doug Krapotkin lepiej pilnowali domu państwa Chayefskich przy 505 West Chestnut Parkway.

Special price just for you Baltimore, MD, USA

Zanim rozległ się dzwonek, Joe przez cały wieczór miał wrażenie, że wszystko jest nie tak. Trudno było powiedzieć, z czego to wynikało – w ciągu ostatnich kilku tygodni każdy wieczór spędzał tak samo: w domu, bez żony i dzieci.

Z początku wyjaśnienia szukał w iAmie, w tym, że nie umie już żyć bez zawieszonych przed oczami dziesiątków ekranów i mediów. Z jakiegoś powodu jednak było jasne, że to nie tłumaczy jego nastroju, mimo że mogło częściowo spotęgować to osobliwe poczucie nierealności.

I nieraz przychodziło mu to do głowy: w pewnym sensie to śmieszne, że tylko dziewczęta mają ochroniarzy. On i Miriam byliby równie bezbronni, gdyby się coś wydarzyło. Ale zatrudnianie czterech bodyguardów to już byłby absurd. I nie daliby rady finansowo. Poza tym Doug i Mike przesiedzieli te tygodnie zupełnie na próżno.

Jeszcze kiedy Miriam wychodziła z dziewczynkami, wszystko było normalnie i pod kontrolą. Nie musieli nawet o tym rozmawiać – i tak było jasne, że Miriam pójdzie; Rebecce trzeba było zawieźć na imprezę, a kiedy Daniella postanowiła zabrać się z nimi, zarówno Miriam, jak i obie córki musiały mieć kogoś do ochrony.

Rebecca wypowiadała się o imprezie z demonstracyjnym lekceważeniem, ale Joe słyszał szeptane komentarze na ten temat już od kilku tygodni. Chłopak, u którego miała się odbyć impreza, był kilka lat starszy od Rebekki i wywoływał bardzo dramatyczne reakcje dziewcząt. Oczywiście Joemu nie zdradzono żadnych szczegółów, zauważył jednak, że każde wypowiedzenie imienia Ważnego Chłopaka ma ten skutek, że Rebecca i jej przyjaciółki albo zaczynają mówić o oktawę wyżej, albo ścisząją głos do szeptu.

Rebecca usiłowała zachowywać się tak, jakby nic się nie działo: pławiła się na parterze w słodkiej chmurze perfum pół godziny po czasie wyjazdu, który sama ustaliła. Impreza zaczęła się już dwie godziny wcześniej, ale propozycję, żeby stawić się o określonej w zaproszeniu porze Rebecca odrzuciła ze złością; przecież trzeba pokazać, że wcale nie przywiązuje się do imprezy aż takiej wagi, nawet jeśli rzeczywistość jest zupełnie inna.

Rebecca starannie podkreśliła oczy, a swoje długie, piękne włosy ułożyła

z pomocą lakieru w lepki kok. Twarz miała bladą. Joe czytał na sofie, ale serce mu się ścisnęło. Ależ ona się stara! I jak beznadziejne są te wszystkie próby przypodobania się komuś. Rebecca nawet nie ma pojęcia, jak łatwe będzie wszystko z ludźmi, z którymi ma się polubić. Nagle chciałby jej to powiedzieć. O tych wszystkich wykalkulowanych, fałszywych uczuciach, które ją czekają, i o tych prawdziwych, ratujących sens życia.

Miriam stała w przedpokoju, otworzyła już drzwi domu. Córki wkładały buty i Joe patrzył na nie ze wzruszeniem – wyobrażał sobie radości i rozczarowania, o których jego dziewczynki nie mogły na razie nic wiedzieć. Ile jeszcze razy w nadchodzących latach ktoś będzie im łamał serce!

I jaka wszechstronnie uzdolniona i inteligentna jest Rebecca; nagle Joe miał ochotę powiedzieć na głos także to. Dzień powszedni z nastolatką to bezustanna walka o władzę, a w najlepszym razie – ostre pyskówki. Ale z drugiej strony było jasne, że zostali zmuszeni do odgrywania tych niewygodnych ról tylko na pewien czas, może po to, by historia mogła zatoczyć jakiś wielki, dramatyczny krąg. Pod powierzchnią cały czas kryło się coś prawdziwego, trwałego i głębokiego. Wszystkie ich kłótnie, także ta obecna, na wielkiej karcie miłości ojca i córki okażą się błahymi marginaliami, które za kilka lat zupełnie wyblakną i pójdą w zapomnienie. Za kilka lat Rebecca będzie musiała sama walczyć z całym światem, i wtedy Joe bez renegeacji umowy wróci do pierwotnej roli strategicznego sprzymierzeńca. Bezpośrednia, roztargniona i prostolinijna Dani przejdzie przez to wszystko dużo łatwiej – nie wiedzieć czemu było to dla wszystkich z góry oczywiste. Joe nie do końca rozumiał, dlaczego w tej rodzinie najstarsze dzieci zawsze mają pod górkę, także poza domem, a młodsze mają łatwiej, ale tak to już było. Rebecca każdą walkę będzie traktować śmiertelnie poważnie, każde wyzwanie będzie dla niej jak życiowa misja; dzięki temu daleko zajdzie, lecz z tego samego powodu nic nie przyjdzie jej łatwo. Daniella z kolei będzie się co rusz potykać i łamać sobie serce, bo nie umie bronić się przed niczym. Joe chciałby, żeby to wszystko stało się jak najszybciej, chciałby je do tego już teraz nakłonić, a zarazem chciałby je przed tym wszystkim ochronić – a wszystko to odczuwał fizycznie, cieleśnie. Swoje pewnie zrobiło też to, że w salonie grał *New York* Lou Reeda, o którym sobie przypomniał po długiej przerwie i który włączył.

Szurając pantoflami, podreptał właśnie do przedpokoju i szukał słów, w których mógłby zawrzeć swoje uczucia, nie wzbudzając w dziewczynkach zakłopotania. Nie zdążył jednak otworzyć ust, bo Rebecca powiedziała:

– Co za smęty.

– *Masakra* – przyznała Daniella i zaczęła udawać torsje.

Joe uśmiechnął się, mimo oporów Rebekki przytulił dziewczynki i pomyślał, że on i Miriam to niejedyne małżeństwo na świecie, które się rozwodzi. I nie straci przecież córek.

Mogło być znacznie gorzej. Rozmawiał z Miriam spokojnie, jak dorosły człowiek. Może po rozwodzie znów będą się traktować normalnie. Nie wiedział, jak to wytłumaczyć, ale kiedy tak patrzył na swoją rodzinę w przedpokoju, nagle poczuł całkowitą pewność, że wszystko się jeszcze ułoży. Wypuszczą kogoś czy nie wypuszczą, to bez znaczenia – oni to przeżyją, już przeżyli.

Ale potem drzwi się zamknęły, Miriam i dziewczynki poszły.

Ledwo został sam, skądś zaczął się sączyć ten dziwny nastrój.

Joe nie wierzył w zdolności paranormalne ani w przeczucia, ale zaraz po wyjściu Miriam i córek poczuł niezachwianą pewność, że coś jest nie tak. Nie potrafił jednak bliżej tego uczucia sprecyzować. W końcu doszedł do wniosku, że to stres i zmęczenie. I wczorajsza wieczorna rozmowa z Miriam, decyzja o separacji; chyba nic dziwnego, że czuje się nieswojo.

Miriam nie miała nikogo innego. Chciała tylko wszystko sobie przemyśleć. No, dobra, jest ktoś, przyznała w końcu, ale podobno Joe go nie zna. On jednak od razu wiedział, że mówi o swoim koledze z pracy. Przedstawiła ich sobie raz na jakimś spotkaniu; zapamiętał go, bo rozmawiał z Miriam w szczególny sposób. To do niego uśmiechała się jego żona przez wyświetlacz telefonu wczoraj przy stole.

Ten mężczyzna jednak nie miał żadnego wpływu na moją decyzję, podkreśliła Miriam. Nic ich nie łączy, ani stosunki seksualne, ani żadne inne, i Miriam nie ma najmniejszego zamiaru się w nic angażować. W każdym razie nie w tej chwili.

Ale dzięki niemu spostrzegła, ile może ludzi ze sobą łączyć – może tyle, ile kiedyś także ich łączyło, ją i Joego, dawno temu, ale ona już nie wie, czy coś jeszcze z tego zostało. Dzięki tamtemu mężczyźnie zainteresowała się działalnością publiczną. A w każdym razie zaczęła o tym poważnie myśleć. Podobno ma wszelkie cechy potrzebne w polityce: umiejętność analitycznego myślenia, wystarczające doświadczenie życiowe, graniczącą z żarliwością zaraźliwą pasję. I świetną, wiarygodną prezencję.

Ale jak już powiedziała, nie warto z tego wszystkiego wyciągać pochopnych wniosków. Ona chce mieć po prostu czas do namysłu. I własną przestrzeń.

Separacja wydawała się tak naturalnym rozwiązaniem, że Joe nie potrafił

nawet poczuć się urażony tą propozycją. Może jeszcze do niego nie dotarło, co się wydarzyło. Uprzytomni to sobie później, nagle, kiedy zobaczy Miriam pierwszy raz pod rękę z tamtym.

Coś jednak było nie tak. Coś innego. Jadł właśnie w kuchni kanapki z sałatą i tuńczykiem, gdy nagle poczuł absurdalną potrzebę opuszczenia domu. Nad wejściem na schody szumił głośno wentylator, wilgotny mrok za oknami emanował jakąś nieodwracalnością.

Nie trzeba było w ogóle dopuszczać tej myśli.

To, że w szybach widział jedynie własne odbicie, nie oznaczało oczywiście, że na zewnątrz nie może stać ktoś w ciemnym ubraniu i go obserwować.

Joe zmusił się do przeżucia ostatnich kęsów chleba i przejrzania wstępniaka „New York Timesa”. Zastanawiał się, czy nie pogasić świateł, żeby z zewnątrz nie było go widać, perspektywa siedzenia samemu po ciemku nie wydawała się jednak szczególnie kusząca.

Wrzucił właśnie pustą puszkę po tuńczyku do kubła i wstawiał tubkę majonezu do lodówki, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Znieruchomiał. Było już późno, nie umawiał się z nikim na spotkanie w domu.

Łomotanie serca czuł w całym ciele.

Był sam w domu, bez ochroniarzy, jego córki próbowano oślepić, a sprawcy byli na wolności, ale pod drzwiami stoi na pewno ktoś zupełnie normalny. Sąsiad, który przyszedł pożyczyć trochę cukru. Skautka sprzedająca ciastka czekoladowe.

Dłonie miał wilgotne. Myślami pobiegł do drzwi – czy na pewno przekręcił zamek? Dziewczynki wychodziły ostatnie, on został w środku. Górny zamek przekręcali z reguły dopiero na noc. Zatrzask dolnego zamka doświadczony włamywacz sforsuje w parę sekund.

Żaden sąsiad nie pożyczał od nich cukru od trzech lat.

Nigdy nie przyszła do nich ani jedna skautka.

To *on* czekał na dworze w ciemności, aż Joe zostanie w domu sam; zadzwonił do drzwi dopiero teraz, kiedy Miriam i dziewczynki zdążyły odjechać. Joe poczuł, że serce przeszywa mu zimna stal: wyobraził sobie, co się teraz stanie.

Co on mu teraz zrobi.

Tego ci ludzie chcieli: zmusić go do zażycia własnego leku. Przypomniał sobie nagle, co przeczytał na forum Fight For Freedom!: w jednej z komórek terrorystycznych podobno przegłosowano, że główną metodą eliminacji jemu podobnych badaczy będzie ekssangwinacja. Spokojnie, z pełgającym na ustach uśmiechem obłąkanego jego syn będzie się przyglądał, jak on

wykrwawia się na śmierć. Ekssangwinacja – uśmiercenie zwierzęcia doświadczalnego przez utoczenie krwi. Zalecane w przypadkach, gdy badacz chce uniknąć skażenia tkanek zwierzęcia pozostałościami po substancjach chemicznych stosowanych do jego zabicia.

O niego tu cały czas chodziło. Także paczka była wymierzona w niego, bo zranienie córek ugodziłoby go bardziej niż cokolwiek, co mogliby zrobić jemu. Ale teraz przyszła kolej na niego.

Znów dzwonek.

Joe nacisnął czerwony guzik w kieszeni już trzykrotnie – ale to wszystko na nic, Mike i Doug są już kilka dobrych mil poza zasięgiem urządzenia – gdy przez głowę przebiegły mu niemal jednocześnie trzy myśli. Przez całe ciało biegła niczym prąd statystyka przeżycia: drzwi piwnicy. Telefon.

I przede wszystkim: sekretarzyk.

W ułamku sekundy ocenił wszystkie trzy ewentualności. Z piwnicy można było wydostać się tylnymi drzwiami na zewnątrz i wymknąć niepostrzeżenie na ulicę. Musiałby biec ile sił w nogach i mieć nadzieję, że będzie szybszy od mordercy. Największy minus tej opcji stanowiła furtka. Drzwi piwnicy wychodzą na tył domu, ale na ulicę nie można wydostać się inaczej niż przez furtkę, którą stojący pod drzwiami widzi po prawej stronie. W praktyce dotarcie do furtki niepostrzeżenie jest czystą niemożliwością.

Joe nie miał ochoty stawać do zawodów z dwudziestolatkiem, którego rozsadza żywiona przez całe życie nienawiść do ojca.

Dzwonek znów zadzwonił, dwa razy, natarczywie.

Ruszył powoli w stronę sekretarzyka. Najpierw trzeba go otworzyć. A potem – czy naprawdę mógłby strzelić w człowieka? Mógłby. Bez dwóch zdań. Ale tylko w ostateczności. Tylko wtedy, gdyby napastnik sforsował drzwi albo wdarł się do środka przez okno. Telefon: trzeba będzie zadzwonić na numer alarmowy, zaczekać na patrol i mieć nadzieję, że chłopak nie zdąży w tym czasie wtargnąć do domu przez drzwi albo okno.

Serce waliło mu jak szalone; miał wrażenie, że cały pokój wiruje mu w oczach. Gdzie jest ten cholerny telefon?! Drżącymi dłońmi wodził po kredensie w przedpokoju, ale między wypisanymi długopisami, niepotrzebnymi paragonami i monetami nie było jego smartfona. A więc tak się skończy jego życie – właśnie dlatego, że w demencji starczej zapomniał, gdzie odłożył komórkę.

Stół w kuchni.

Rzucił się z przedpokoju do kuchni. Koszulę miał mokrą od potu, chociaż w domu było chłodno z powodu włączonej klimatyzacji. Nawet nie przyszło

mu do głowy, że za chwilę i ta szansa na przeżycie zostanie mu odebrana. Już zobaczył telefon i wyciągnął po niego rękę – i niemal krzyknął, gdy nagle się rozdzwonił. Smartfon zaczął się obracać wokół własnej osi, w pudle rezonansowym stworzonym przez blat, ścianę i dno wiszących szafek dzwonek rozbrzmiewał bardzo głośno. Wibrator warczał w tle jak doberman.

Joe gapił się na telefon. Nieźle to wykombinował: zablokował mu linię, dzwoniąc do niego.

Została mu tylko jedna opcja. I sięgając po kluczyk do niebieskiego szklanego wazonika na lodówce, Joe już się targował. Telefon jeszcze nie przestał dzwonić, a on już zaproponował śmierci wszystko, co ma: jeśli go oszczędzi, on zrezygnuje z pracy. Zrezygnuje ze związku, także z tych ewentualnych, przyszłych. Zwróci Miriam jej życie, da jej nowego, uśmiechniętego mężczyznę i zaskakującą, niewłaściwą karierę polityczną. Odda cały swój majątek, jeśli zostanie przy życiu. Zacznie rozmawiać z kolegami o prawach zwierząt, poświęci życie na roztrząsanie tego, na które pytania badawcze można odpowiedzieć bez poświęcania nawet jednej żywej istoty. I to jest dobra oferta, bardzo dobra – czy pani tego nie widzi, pani Kostucho? Nie ma na świecie drugiego takiego jak on, nie ma naukowca bardziej doświadczonego, wiarygodnego i uznanego od niego, by mówić na ten temat; nikt nie będzie lepszym od niego neofitą, a to oferta wyjątkowa i już się nie powtórzy! *Special price, just for you!*

Jak wiele człowiek potrafi obiecać, jak gruntowne negocjacje odbyć w ciągu kilku sekund.

Tylko na jedno się nie zgodzi.

Tylko jedno musi zostać poza zasięgiem zimnych łap Kostuchy.

I ledwo jej odmówił – od początku wiedział, że przyjdzie ta ostateczna oferta, wiedział, że wszystko, co było przedtem, stanowiło zaledwie rozgrzewkę, *small talk*, herbatkę na bazarze śmierci – wiedział, że przegrał tę partię. Bo po to właśnie przyszła Kostucha. Od początku chciała tylko tego jednego.

Tylko Rebecca i Daniella mogły zaspokoić jej głód.

Nie wymalował drzwi krwią i nie miał syna pierworodnego, więc musiał jej oddać swoje córki. Aby stało się zadość wymogom szatańskiej symetrii, Kostucha posłała po nie pierworodnego syna, którego nie miał.

Telefon umilkł.

Joe się nie przestraszył, bo wiedział, że za chwilę znowu zacznie dzwonić. Tak się rzeczywiście stało – gdy tylko podszedł do sekretarzyka i wsunął klucz do dziurki. Atak paniki minął, ręce mu nie drżały. Twardy mechanizm

z początku się opierał i naderwał się jeden zawias drzwiczek. Komórka zaczęła dzwonić kolejny raz akurat w chwili, gdy Joe wyjął z szuflady ciężki, naładowany rewolwer. Leżał mu w dłoni nawet lepiej, niż zapamiętał z pierwszej przymiarki.

Trzymając rewolwer, poszedł z powrotem do kuchni i uniósł z blatu warczący wciąż telefon.

Negocjacje się zakończyły. Równie dobrze może odebrać.

Słodki zapach świeżej ziemi, sączący się przez uchylone okno z wieczornego mroku, wieścił mu jedną, do bólu oczywistą prawdę: choćby tym razem ci się udało, na tym się nie skończy. Chłopak wyjdzie z cienia z nożem w rękę, gdy pójdziesz wyrzucić śmieci, zaciśnie ci na szyi opięte czarnymi rękawiczkami dłonie, kiedy wieczorem wrócisz do domu z pracy. Nie dziś, to jutro. A więc trzeba tę sprawę w końcu rozstrzygnąć.

Wciskając zieloną ikonkę słuchawki, Joe zobaczył ze zdumiewającą jasnością, ile w tych pozostałych mu latach mógłby jeszcze zrobić, gdyby dane mu było dożyć naturalnej śmierci. Dlaczego całe życie przesiedział w posępnym pokoiku, strawił w ciasnych korytarzach instytutu? Mógł przecież robić tyle innych rzeczy, a zmarnował swój czas przed komputerem, pisząc artykuły, które utonęły w morzu identycznych wycopin. Jeden ośrodek badawczy nie ma praktycznie żadnego znaczenia. Oszacowanie wariancji za pomocą testu F dla p niższego od 0,05 – kontra siedząca na kolanach córka.

– Halo?

Po drugiej stronie panowała cisza. Joe czuł się teraz całkowicie spokojny: zniknęło przerażenie, zniknęło poczucie, że to już koniec, nie zostało w nim nic. Był tylko rozczarowany, że tak to się wszystko musiało skończyć.

Wtedy usłyszał w słuchawce niski męski głos:

– Halo?

Scenariusz zaczynał wyraźnie odbiegać od tego, który miał w głowie.

– Joseph Chayefski?

– Tak, przy telefonie.

– *Hello*. Mówi...

Wtedy jeszcze nie zrozumiał nazwiska – przez ten osobliwy akcent, ten dziwny skandynawski sposób oddzielnego wymawiania samogłosek, starannie po kolei, jakby w poszanowaniu ich indywidualnego bytu. Ile się nabiedzili z Aliną, żeby wymyślić imię, które będzie pasować do obu języków! Wspomnienie zdziwiło go chwilę później, kiedy w końcu zrozumiał, kto do niego dzwoni. Podobnie jak to, że nie rozpoznał głosu właśnie tej osoby, którą się spodziewał w słuchawce usłyszeć. Ale ta refleksja przyjdzie też

dopiero za moment; wtedy był tylko ten dziwny początek rozmowy – imię i nazwisko, których nie zrozumiał.

– Słucham?

Serce waliło mu jak młot; na tym to się skończy. Tym razem zrozumiał, kiedy tamten powtórzył swoje imię i nazwisko. Samuel Heinonen – głos mężczyzny zafalował niepewnie, gdy uznając widocznie, że potrzebne jest wyjaśnienie, powiedział jeszcze:

– Alina Heinonen to moja matka.

Było zupełnie inaczej, niż Joe sobie wyobrażał. Ten głos i wrażenie, jakie sprawiał: pewny siebie, rośli mężczyzna, przyzwyczajony do brania świata w swoje posiadanie.

– Mógłbyś mi otworzyć, *please*?

– Co takiego? – wydusił z siebie Joe.

– Stoję pod twoimi drzwiami.

Głos emanował tak oczywistym autorytetem i prostolinijną szczerością, że Joe musiał go posłuchać. Z rewolwerem w ręku podszedł do drzwi i jak w transie wyciągnął lewą dłoń, przekręcił gałkę i otworzył synowi, którego kiedyś porzucił i który teraz przyjechał, żeby go zabić.

This is Bawlmer, hon Baltimore, MD, USA

Tego się człowiek nie spodziewa: że po otwarciu drzwi przyjdzie mu spojrzeć prosto w lufę odbezpieczonego gnatu.

Serce Samuelowi biło jak szalone już od popołudnia, kiedy autokar wjechał na przybrudzony dworzec z białego betonu przy Haines Street w Baltimore. Nagle poczuł, że dałby wszystko, by nie musieć wychodzić z przepoconych objęć greyhouna. Po tylu dniach w autobusie człowiekowi odechciewa się wychodzić na zewnątrz, niewygodne siedzenie zamienia się w ciepłe, bezpieczne gniazdko. Najchętniej pojechałby dalej na południe i z powrotem na zachód, do Kalifornii, gdziekolwiek.

Baltimore jest jednak punktem końcowym rejsu. Trzeba było stanąć zdrętwiałymi nogami na asfalcie, przełamać strach i wejść do niewielkiego budynku dworca cuchnącego społeczną krzywdą i rozwianymi marzeniami. Amerykańska bieda wygląda inaczej niż fińska: jest w niej coś głębszego, bardziej niezasłużonego, bardziej ostatecznego. Ona również zdawała mu się mówić w to pochmurne popołudnie na brudnym dworcu, że nie powinien był tu przyjeżdżać.

Rozprawa sądowa okazała się dziwną mieszanką skrajnego formalizmu i swobody. Sędzia i prawnicy znali się, było widać, że regularnie się spotykają w podobnych sytuacjach, zmieniają się tylko nazwiska i szczegóły spraw. Samuel czuł się jak u dentysty, gdzie mimo przerażenia nie tracisz świadomości, że dla tych ludzi to chleb powszedni. Było w tym coś pocieszającego – oni tu na pewno wiedzą, co robią – ale stres pozostał. Tutaj nikt się na ciebie nie obrazi, choćbyś miał przypadek paskudnej próchnicy. I nikt nie opuści lunchu, nawet gdyby nie dało się w twojej sprawie już nic zrobić.

Zwłaszcza sędzia wydała się Samuelowi zdumiewająco luźna i przyjazna. Wiadoma rzecz: styka się z przestępcami na co dzień, więc może przestało to już robić na niej jakiegokolwiek wrażenie. Była to kobieta inteligentna i kompetentna, ale zmęczona przestępczością; znała na pamięć wszystkie paragrafy i nie musiała przed nikim niczego udawać. Zdawała się czerpać przyjemność z przyprawiania każdego zdania sarkazmem.

Kiedy stanęła sprawa *destructive device*, sędzia spojrzała na oskarżyciela jak

matka piątki dzieci, którą jej pociecha zdołała jednak czymś zaskoczyć. Samuel poczuł na plecach dreszcz: wypuszczą mnie z aresztu.

– *You must be kidding me.* Chyba sobie jaja robisz – powiedziała do oskarżyciela.

Samuel czuł swoją winę wymalowaną na czole fosforyzującym sprayem. Oskarżyciel też na niego spojrzął: wiem, że to ty. Zanim jeszcze sędzia skończyła mówić – kończąc orzeczenie słowami *and that sort of thing*, i tak dalej, i tak dalej – prawnicy zaczęli zbierać swoje papiery. Wszyscy obecni byli już myślami przy kolejnej sprawie, następnym mężu katującym żonę, następnym nastolatku, który strzelał do ludzi.

Wbrew obawom Samuela w przelotnym spojrzeniu, jakie rzucił mu z drzwi sali oskarżyciel, nie było żądy zemsty upokorzonego chuligana z dziedzińca szkolnego: zobaczymy się jeszcze, jak nauczyciel nie będzie patrzył. Wręcz przeciwnie: uśmiechnięty mężczyzna rozmawiał z kolegami i obejrzał się już tylko z roztargnieniem.

Na szczęście aktywistów ruchu obrońców praw zwierząt niemal zawsze zwalniano za poręczeniem własnym, *released OR*. Nawet najmniejsza kaucja byłaby katastrofą. Od trzech miesięcy żył ze skromnego spadku Tylera i to też zaczynało powoli ciążyć na ich przyjaźni. Cały czas musiał się zastanawiać, czy jest im rzeczywiście aż tak bardzo potrzebny, czy to jest jeszcze uczciwy układ. Pamięta, jak w Portland poszedł rano do hotelowej restauracji i nawet nie przyszło mu na myśl, że śniadanie niekoniecznie jest wliczone w cenę pokoju. Pieniądzy nie wystarczyłoby mu nawet na najtańszą pozycję z menu, płatki kukurydziane. Gdyby był w stanie choć przez chwilę myśleć o czym innym niż rozsadzające go od środka pytanie – dobry Boże, co ja narobiłem? – na pewno byłoby mu głupio, że musiał przeprosić, odłożyć listę dań w skórzanej oprawie na jedwabście miękkim białym obrus i wyjść, wprawiając w zdumienie kelnerkę w czarnym kostiumie pod białym fartuszkiem.

Już jedna noc w prawdziwym więzieniu pozwoliła mu nabrać zdrowego dystansu do rzeczywistości. Kasa to tylko kasa.

W sąsiedniej celi jakiś facet jęczał tak, że Samuel był pewny, że gość zejdzie. Zainfekowane rany klute na przedramionach leżącego po drugiej stronie celi grubego czarnoskórego mężczyzny i paskudnie spuchnięte stopy, opowieści o wrzucanych do cel kartonikach po mleku pełnych gówna, rutynowych gwałtach i strażnikach, którzy szmuglowali do więzienia narkotyki i broń dla szefów gangów – wszystko to szybko mu uświadomiło, że nigdy nie poświęcił nawet jednej myśli warunkom, w jakich przyszło żyć osadzonym, a może należało, także z punktu widzenia dobrze pojętego

interesu własnego.

Po tym wszystkim, co zobaczył w celi, rozprawa sądowa wydała mu się wręcz nierealna; swoje zrobiły też brak snu i buzująca w żyłach adrenalina. Mdłości, które pojawiły się w nocy i pogorszyły jeszcze na sali sądowej, nie minęły nawet w greyhoundzie, choć mimo nierówności drogi i niewygodnej pozycji przez pierwsze dwanaście godzin podróży spał jak zabity.

Po zwolnieniu z aresztu sprawdził szybko w kafejce internetowej, co się pisze o sprawie w Finlandii. W zasadzie nic. Za granicą fiński ekoterrorysta już mediów nie interesował. Chyba żeby – przyszło mu na myśl – ktoś go zabił. Wrócił myślami do rzeczy, które wypisywano o nim w Finlandii, kiedy do prokuratury wpłynęło kolejne zawiadomienie, tym razem w sprawie popełnienia przestępstwa giełdowego – za wpis na jego blogu, że akcje Parkingfielda lecą na łeb na szyję i spółka upadnie.

Próba manipulacji kursami giełdowymi, podano w uzasadnieniu wniosku.

Prasa pisała, że Tyler go wykorzystał: Boszsz, jak on uwielbiał dziennikarzy największych gazet, tych wszystkowiedzących geniuszy, których bystre spojrzenie wyciąga na światło dzienne najbardziej ukryte motywy, których interwencje doprowadzają w końcu do naprawienia wszystkich społecznych krzywd.

Na szczęście może coś zrobić, myślał po raz tysięczny w swoim życiu; inaczej by zwariował. Czytając *Wojnę i pokój* – kupił sobie pierwszą część angielskiego wydania kieszonkowego z myślą o lekturze na długą podróż autobusem – utożsamiał się głęboko z jednym z głównych bohaterów i nagle uświadomił sobie, kim tak naprawdę i jaki jest: tam też jeden książkę był tak znudzony socjetą i balami, że wyjazd na wojnę przyjął z wielką ulgą.

Na to mu przyszło, robić takie rzeczy; ciągle jeszcze potrafiło go to czasem zdumieć. Jakie to zaskakująco naturalne. Nierealne wydawało się raczej życie jego dawnych przyjaciół w kraju i to, co sam tam robił. Ale wina była po jego stronie, nie ich: to on był nienormalny, to on przeskoczył w naturalnym biegu życia o kilkadziesiąt lat w przyszłość. Matka mówiła, że patrzy mu z oczu pięćdziesięciolatek.

Kiedy szedł w stronę wyjścia z dworca autobusowego w Baltimore, miał wrażenie, że w brzuchu rośnie mu trujący kaktus. Zaraz za drzwiami dostał w twarz mokrą szmatą szklarniowego powietrza. Haines Street znajdowała się na obrzeżach centrum. I choć nawet sami mieszkańcy nie uważali okolicy za szczególnie niebezpieczną, to jednak pod wieczornym pomrukiem pulsującego w oddali miasta wyczuwało się jakąś dojmującą rozpacz. Wkrótce zapadnie zmierzch.

Patrząc na żółty krąg taksówek wokół pustego placu, przypomniał sobie zmiętą dziesięciodolarówkę w kieszeni spodni: schował ją tam, żeby nie wydać jej przypadkiem na jedzenie. Pokusa wzięcia taksówki była zaskakująco silna. Ale bilet do Baltimore, kupione w podróży batoniki zbożowe, owoce i sporadyczne kanapki pochłonęły jego ostatnie zasoby. Poza tym dyszka i tak by na pewno nie wystarczyła na kurs.

Ile spraw byłoby prostszych, gdyby się miało trochę kasy, chociaż czasem.

Nie mógł nie myśleć o tym, co go tutaj czeka. Im bliżej był końca kilkudniowej, trzyetapowej podróży z przesiadkami, tym mocniej napierały na niego związane z ojcem wspomnienia. Trzęsący się autobus niósł go w niewygodnej pozycji przez aleję tornad Środkowego Zachodu i wzdłuż srebrzących się wiekich jezior, a ucisk przenosił się stopniowo z brzucha i piersi coraz wyżej, im bliżej byli Wschodniego Wybrzeża.

I kiedy w końcu z zeszywniałym karkiem oddalał się na ścierpniętych, bolących nogach od autobusu, by rozpocząć ostatni etap podróży, wyraźnie już czuł kluchę w gardle. Przypomniał sobie rysunki dżungli, lwów i lampartów, które rysował ojcu jako czterolatek i które znalazł już jako dorosły chłopak na górnej półce w szafie, gdzie ukryła je matka. Nie zachowały mu się żadne związane z nimi wspomnienia, niemniej ten sam jaszczurczy instynkt, dzięki któremu łączył ze sobą odległe sprawy, podpowiedział mu, kto je narysował i dlaczego. Starannie zarysowane arkusze tworzyły w szafie gruby plik. I potrafił już nawet napisać u góry każdej kartki DAD, chociaż ostatnia litera była odwrócona jak w lustrze.

To, że matka nauczyła go liter, ale nigdy nie wysłała jego rysunków ojcu, z początku wydało mu się zaskakujące i smutne, potem zrozumiałe, a wreszcie niepojęte – i na sam koniec odczuwał te wszystkie emocje jednocześnie.

Na pokładzie kolejnego autokaru, który opuszczał niesamowity, niepojęty Nowy Jork i pędził New Jersey Turnpikiem przez wyrastające z brudnych pól tereny przemysłowe na południe w stronę Pensylwanii, poczuł wyraźnie, że wyjazd do Baltimore był błędem.

Pod koniec podróży udało mu się zamaskować uczucie kwestiami praktycznymi – skąd wezmę plan miasta? gdzie zatrzymuje się autobus? – ale na brudnym placu dworca w Baltimore uczucie uderzyło ze wzmożoną siłą. To się źle skończy.

Skwarne popołudnie rozpląwało się w wieczór; herbaciane promienie słońca rzucały na asfalt długie cienie.

Co chciał przez to osiągnąć?

Zamknął na chwilę oczy.

Ale drogi odwrotu także już nie ma.

Pamiętaj o oddechu. Teraz musisz to po prostu zrobić. Ledwo podjął w myślach to postanowienie, zauważył, że odwraca się na pięcie, wraca do budynku i wlecze się do męskiej toalety tylko po to, żeby odwlec nieuchronne.

Ten przyjazd to błąd, myślał z coraz większym przekonaniem, stojąc na ciemnych kafelkach w śmierdzącej moczem i chlorem toalecie. Nie trzeba było tego w ogóle ruszać. Ciężar wrócił gdzieś na chybottliwych północnych obrzeżach Delaware. Uciskało mu brzuch, kiedy mijali węzły w Filadelfii, gdy nad autostradą wyrastały nagle ogromne granatowe tablice, od których zależała cała dalsza podróż, a w gąszczu pasów nie sposób było się w porę zorientować, na którą rampę wjechać. Z podziwem przyglądał się kierowcy, który bezbłędnie prowadził ogromny pojazd przez ten labirynt.

Gapił się na pisuar i przypomniał sobie, że już się kiedyś tak czuł. To, że nagle całe życie zdawało się zupełnie pozbawione wartości, podobnie jak to, co się w nim osiąga i jakimi środkami, teraz nie miało żadnego znaczenia. Uczucie pojawiało się zawsze wtedy, kiedy wreszcie spełniało się coś dużego, do czego długo się przygotowywał.

Miał to samo uczucie zapadania się w próżnię przed spotkaniem z dyrektorem banku Steveson, Briar & Gates. Po jaką cholere wziąłem to na siebie, po co tak długo się tym zajmowałem? Naprawdę na coś takiego zmarnowałem swoje życie, może nawet pójdę za to siedzieć, po co? Wtedy też, gdy w świeżo kupionym garniturze szedł do szklanego pałacu na Manhattanie, po takiej ilości researchu i tylu próbach generalnych, nagle sobie uzmysłowił z całkowitą jasnością, że to wszystko na nic.

Nikt nie wierzył, że wygrają.

Możliwość zwycięstwa nie przysła Samuelowi do głowy nawet wtedy, kiedy Steveson, Briar & Gates wysłał im prośbę o spotkanie. Reguły gry zmieniano już tyle razy, że pozostało im tylko jedno: ta jedyna realna rzecz, ta ostateczna, w którą wszyscy ostatecznie wierzymy.

Rano w dniu spotkania niebo nad Nowym Jorkiem było czyste, porażająco błękitne. Spomiędzy drapaczy chmur przezierало jaskrawe słońce; daleko na horyzoncie zobaczył samolot zbliżający się do La Guardii. Myjąc ręce w toalecie na dworcu autobusowym w Baltimore, Samuel wciąż pamiętał, że z jakiegoś powodu pomyślał wtedy o czerwonej tablicy świetlnej zainstalowanej na dachu biurowca w centrum Helsinek – tej, przez którą

przebiegały kursy giełdowe. Może już ją nawet zdjęto, ale jej przeznaczenie nadal go zastanawiało. Chyba inwestorzy nie będą biegać na plac przed dworcem, żeby sprawdzać kursy? Po co zainstalowano ją w miejscu publicznym, wysoko nad ulicą? Trudno nawet odczytać te ciągi cyfr, zadzierając głowę do góry.

Dopiero gdy wysiadał z Tylerem z taksówki na Manhattanie, nagle go olśniło: tablica spełniała tę samą funkcję co krzyż na wieży kościoła. Tyler poklepał go po ramieniu i życzył powodzenia – pokaż im! Sam miał zostać na ulicy i czekać na jego powrót.

Było dla wszystkich zupełnie jasne, że na spotkanie pójdzie właśnie Samuel. Wszystko zaczęło się przecież od jego zdjęć beagli, a poza tym z wiadomości, jaką otrzymali z banku, można było wywnioskować, że czekają tam właśnie na niego. Na tym etapie Samuel znał już na wyrywki schemat organizacji banku Steveson, Briar & Gates, ale z zakupem garnituru w second-handzie musiał się spieszyć. Później przyszło mu do głowy, że gdyby wtedy wiedział, że wygrali, poszedłby w bluzie z kapturem.

Wychodząc z windy na najwyższym piętrze szklanego pałacu w ciemnym, wygniecionym garniturze, zbierał w myślach najważniejsze punkty listy żądań, na którą przystali podczas naprędce zwołanej, całonocnej narady. Jeszcze błyskawicznie powtórzył sobie po raz ostatni swoją pierwszą kwestię i reguły gry, które ustalili wspólnie z dyrektorami banku. Przypomniał sobie też o opcji zerowej – o absolutnie minimalnym wyniku spotkania, co do którego uzgodnili wspólnie, że nie będzie podlegać żadnym negocjacom.

Wziął głęboki oddech ze świadomością, że zrobił już wszystko, co było w jego mocy. Więcej nikt nie mógłby od niego wymagać. I jak ktoś powiedział: już sam fakt, że zaprosili ich na spotkanie, to ogromny sukces.

Serce waliło mu jak młotem, kiedy dwaj ochroniarze doprowadzili go pod drzwi z pancernego szkła i postawili przed dyrektorem banku, którego nigdy nie spotkał osobiście, ale którego wtedy umiałby już rozpoznać nawet wyrwany z głębokiego snu. Był to czterdziestoletni mężczyzna o gęstej czuprynie, wcale nie taki wysoki, jak można by sądzić na podstawie zdjęć. Miał w sobie coś z ciepłej kluchy i Samuelowi przebiegła przez głowę myśl, że jego pszeniczna cera spaliłaby się na słońcu w ciągu paru minut.

Wszystkie atuty miała strona przeciwna. Ściskając mocną, wyciągniętą na powitanie dłoń dyrektora, Samuel nadal był jeszcze potulnym nastolatkiem. Skończył tylko liceum i kilka lat wcześniej nie miał zielonego pojęcia o bankach komercyjnych i przedsiębiorczości. Był w zdartych tenisówkach, a na koncie nie miał nawet tyle pieniędzy, żeby sobie kupić bilet do Finlandii.

Uznał, że będzie robił dobrą minę do złej gry i podążając za nobliwym skrzypieniem skórzanych butów dyrektora, wszedł do gabinetu, gdzie jednym naciśnięciem guzika wprawiano w ruch miliardy dolarów i gdzie zaraz dostanie praktyczny wykład o tym, do kogo należy władza w zachodniej demokracji.

Ale kiedy miękki, pszeniczny i pachnący wodą po goleniu dyrektor banku złożył złączone dłonie na stole ze szlachetnego drewna i nabrawszy powietrza w płuca, wykrzywił usta w niepewnym uśmiechu, Samuel nagle zrozumiał, że wygrał, że już wygrali.

„Z naszego punktu widzenia sytuacja wygląda z grubsza tak”, zaczął dyrektor.

Bank nie chciał negocjować, oceniać, targować się ani niczego uzasadniać – bank po prostu chciał mieć wreszcie święty spokój.

Samuel wciąż pamiętał tamtą chwilę jako jedną z najbardziej satysfakcjonujących w swoim życiu. Spinki mankietów dyrektora mieniły się w ciepłym świetle porannego słońca, które lało się do środka z przeszklonej ściany. Całe ciało Samuela wypełniło się jakąś wielką mocą. Ich szala przeważała i już się nie podniesie. Z tym nowym spokojem i uprzejmym uśmiechem na ustach Samuel wysłuchał do końca pokrętnej wypowiedzi dyrektora.

Jeszcze dwa miesiące wcześniej bank Steveson, Briar & Gates ignorował każdy ich list.

„Na to, czego dokonali ci ekoterrorysty, jest jedno dobre słowo – powiedział dyrektor generalny spółki Parkingfield Life Sciences International w wieczornych wiadomościach – zło absolutne”.

„Zło absolutne – powtórzył za nim Tyler, kiedy oglądali telewizję, siedząc na rozwalonych fotelach w salonie jego drewnianego domu. – Czy to czasem nie dwa słowa?”.

Jeszcze tego samego popołudnia rozdzwoniły się komórki całej ekipy: dzwoniли ludzie z Oregonu, z Waszyngtonu, ze Środkowego Zachodu, z Zachodniego Wybrzeża, z Europy, z Brazylii. Mimo że oni nie zdążyli jeszcze podać informacji na stronie Grupy w necie, wszyscy już wiedzieli. Wiadomość rozeszła się szybciej niż informacja o sukcesie którejkolwiek z ich wcześniejszych akcji. Wszyscy chcieli powiedzieć, że słyszeli, i czy to prawda, *no za-je-biś-cie, ludziska: daliście radę! Daliśmy wszyscy! Daliśmy radę, no kurwa mać!*

I dopiero wtedy sam w to w końcu uwierzył.

W tych niezaplanowanych owacjach i okrzykach radości, w tym, że ludzie zaczęli przychodzić do domu Tylera, że nic nie mówili, tylko po prostu rzucali się im na szyję, w tym, jak Kaitlin przy wtórze hucznych wiwatów na jego cześć wylała Samuelowi na głowę całą butelkę szampana od razu w sieni, wytrząsała ją na niego do ostatniej kropli – coś w tym wszystkim mówiło mu, że takiego poczucia sukcesu i wspólnoty z innymi człowiek może doświadczyć tylko raz w życiu. Samuel pojął to, kiedy tylko zobaczył kilkudziesięcioosobowy niecierpliwy tłum przed domem: ludzie czekali na nich z wypisaną na twarzach niepewnością – czy to może być prawda? Serce ciągle chciało mu wyskoczyć z piersi na samą myśl o tamtej chwili. Nigdy nie przeżył niczego podobnego – i już chyba nigdy więcej nie przeżyje.

Jest nas tylu, przemknęło mu także przez myśl. Nie mogliby nas nawet wszystkich zamknąć do więzienia. Nadal jeszcze zostało mnóstwo roboty, którą trzeba fizycznie zrobić, ale po tamtym każdy telefon, każde spotkanie i każdy mail tylko dodawały im sił. Parkingfield nie dostał więcej kredytu. Nawet tacy giganci jak Steveson, Briar & Gates chcieli mieć czyste przedpole i byli gotowi zostawić Parkingfield w zamian za obietnicę, że Samuel i Tyler dadzą im wreszcie spokój.

To jest władza, tak się ją przejmuje.

Od tamtej pory mieli już z górki. Stevenson, Briar & Gates był największy. W najbardziej krytycznej fazie żadne z całej trójki – Samuel, Tyler, Kaitlin – przez dwa tygodnie nie odrywało się od laptopa i nie wychodziło z domu na dłużej niż pół godziny. W soboty, kiedy cały świat się bawił i większość Grupy wrzucała na luz – no przecież zwyciężyliśmy! – oni we trójkę aktualizowali informacje na stronie, koordynowali akcje telefoniczne wymierzone w następnych sponsorów i domy maklerskie, w *Pink sheets* i OTCBB; nie było żadnego powodu, żeby na tym poprzestać. Przygotowywali akcje na kolejny miesiąc w Waszyngtonie, Kalifornii, Nowym Jorku, Pensylwanii, Wielkiej Brytanii, Finlandii. Roboty był jeszcze cały łądolód wielkości Antarktydy, który kruszyli łyżeczkami, wykałaczkami i zdartymi do kości palcami, a wszystko na dziś albo na ten tydzień – żeby zdążyć uderzyć w kolejny punkt, zanim ktoś wyprowadzi kontrę, która ich powali. Trzeba było zachować zimną krew i pamiętać, żeby nie patrzeć w dół; wystarczyła jedna myśl o ogromie pracy czy potędzie przeciwnika, a ręce natychmiast opadały bezsilnie.

Samuel wiedział, że nigdy nie zapomni tamtej nocy na ostatnich, najgorszych metrach kampanii – po kolejnym ciężkim dniu, kiedy mieli czas już tylko na przegryzienie kanapki na lunch i marchewki na kolację, kiedy

robili tylko krótkie przerwy na wyjście do łazienki i po drugiej w nocy Kaitlin nagle trzasnęła klapą swojego laptopa, opadła na plecy na łóżko i wybuchnęła nieoczekiwanie płaczem. Przestraszyli się, że coś się stało, ktoś zginął, zachorował, coś jest nie halo.

W końcu się wyjaśniło, że to ze zmęczenia.

„I co to za życie?! Kurwa!”.

„Nic mi nie mów”.

„Już nie mogę! Po prostu już nie mogę!”.

„Prześpij się”.

„Ale ja muszę skończyć tę stronę, bo od samego rana zaczną się pytania, gdzie to wszystko...”.

„Kaitlin! Masz się przespać!”.

„Niedługo będzie koniec. Jeszcze tylko parę tygodni”.

„Dokładnie. Potrzebujemy cię. Żywą. Idź spać”.

W tej najgorszej, ostatniej fazie wojny nikt nie musiał nawet nic mówić, żeby sprowokować wybuch, bezsenność doprowadzała każdego na skraj hysterii, nie było ludzi, myśli, emocji – tylko kampania, tylko cel, tylko minuta po minucie, którą można było albo z pożytkiem wykorzystać, albo stracić i dać tamtym wygrać.

Żeby tak ktoś im za to chociaż płacił. Chociaż połowę płacy minimalnej: starczyłoby na makaron.

Kaitlin to powiedziała: nigdy im nie wybaczą, że ta kampania im wyszła. Samuel sądził już, że Kaitlin ma paranoję. Mówił Tylerowi: przecież nie zatrzymają kampanii, musieliby wsadzić do więzienia tysiące aktywistów z całych Stanów. Ale Tyler spojrzał na niego i powiedział:

„Nie muszą tego robić”.

„Jak to?”.

„Kilku wystarczy”.

Samuel przypomniał to sobie dopiero w tamto popołudnie, kiedy na werandzie zadudniły buciory żołnierzy z oddziału specjalnego i ich zapakowane do kartonów komputery, gazety i książki zaczęto przenosić do samochodów. Dopiero wtedy Samuel zrozumiał, co Kaitlin chciała powiedzieć. Nie wybaczą tego im, ich trójce.

Aktywista szybko się uczy, że ciągle zmienia się reguły gry.

Z początku jesteś tak zdumiony, że nie rozumiesz nawet, co się stało. Wpadasz we wściekłość, potem w przygnębienie, na końcu próbujesz się targować.

Takie same fazy jak w żałobie.

Władza oznacza również to: prawo do stanowienia reguł gry. Człowiek jest zaskoczony, bo to prawo niepisane.

A reguły zmienia się tak: najpierw wolno demonstrować w sposób pokojowy. Z początku przed centrum badawczym firmy Laajakosken Biotieteet można było za ogrodzeniem swobodnie rozdawać ulotki – a nawet mówić, co się dzieje w budynku. Legalnie eksponować transparenty, od rana do wieczora. Dni jednak mijały i nakręcone przez Samuela filmy krążyły po internecie. Do demonstracji dołączali kolejni młodzi ludzie: jedni byli hałaśliwi, drudzy wściekli, trzeci przynosili ze sobą bimber w kankach. Ale wszyscy byli zdziwieni: jeszcze nie dociera?

A reguły gry zmienia się tak: policja nie może stosować gazu produkowanego z papryczek chili przeciwko spokojnie demonstrującym obywatelom. Policja próbowała więc zapewnić porządek publiczny, stosując rady, wyjaśnienia i namowy. I rzeczywiście – im także policjanci radzili i wyjaśniali, próbowali namawiać. Żeby demonstranci, dla zapewnienia porządku publicznego, opuścili zajmowany teren.

Ale dlaczego?

Dla zapewnienia porządku publicznego? Z miejsca publicznego, gdzie mają pełne prawo przebywać? Nie znajdują się przecież na terenie prywatnym i w żaden sposób nie zakłócają porządku. Samuel chętnie to powtarzał raz za razem zarówno policjantom, jak i przedstawicielom mediów, którzy w drugim tygodniu protestu zjawili się na miejscu.

Tutaj ludzie przychodzą pracować! Tu są prawdziwe miejsca pracy! Tu są cenne zagraniczne inwestycje! Próbowano demonstrantom ciągle tłumaczyć.

Chociaż to akurat doskonale rozumieli.

Sytuacja stawała się dla dyrektora i całej firmy Laajakosken Biotieteet Oy coraz bardziej kłopotliwa. Dlaczego rady i wyjaśnienia policji nie przełożyły się na zrozumienie, że trzeba się rozejść? Dziennikarze dzwonili do dyrektora: to ten cyrk pod pana firmą *jeszcze* stoi? No i ten wypasiony transparent – „Laajakosken Biościema Oy”. Ten sam, który trafił do insertu wiadomości telewizyjnych w necie. Dyrektor musiał więc coraz częściej telefonować do tych polityków partii rządzącej, których wspierał przed wyborami – całkowicie legalnie i otwarcie. Finansowanie kampanii nie jest nielegalne, powtarzał dziennikarzom z coraz większą irytacją.

A reguły gry zmienia się tak: dyrektor zaczyna się martwić. Przede wszystkim o bezpieczeństwo tych młodych ludzi. Sytuacja może się przecież wymknąć spod kontroli. Niedługo dojdzie tam do bardzo poważnych

wykroczeń. I wtedy zdrowie tej młodzieży będzie narażone na szwank. Większość z nich to osoby inteligentne i rozsądne, ale niektórzy sprawiają wrażenie agresywnych. A dziennikarze uwielbiają zdjęcia stojących nieruchomo policjantów w pełnym rynsztunku: wielkie, upokorzone roboty przed frontem wrzeszczącej młodzieży.

Chyba budżet policji nie jest z gumy? Jak długo każą swoim ludziom tam stać – dwa miesiące?

Może z tych powodów, jak oceniał Samuel, a może po części również z przyczyn, których oficjalnie nigdy nie podano, policja musiała się w końcu odwołać do przysługującego jej prawa i „wykonując obowiązki służbowe, zastosować w określonych sytuacjach niezbędne środki przymusu bezpośredniego”. Jak przypominał na konferencji prasowej komendant główny policji, zadanie jego resortu polega na zapewnieniu porządku publicznego i zapobieganiu przestępstwom. Dlatego też policja przystąpiła do usuwania z miejsca demonstracji osób, które stanowią najbardziej rażące zagrożenie dla porządku publicznego.

Mimo tych wszystkich wyjaśnień Samuel nadal nie miał pewności, czy pan komendant, który z kamienną twarzą wziął na siebie odpowiedzialność za wydarzenia, wiedział, w jaki sposób aspiranci Korhonen i Virtanen postanowili działać wieczorem w tamtą ostatnią niedzielę, która już od samego rana zapowiadała się bardzo niespokojnie. Oprócz trudności w porozumieniu się z demonstrantami władze policji podkreślały, że część demonstrantów była pod wpływem alkoholu. Zagrożenie wybuchem zamieszek i wystąpienia nieszczęśliwych wypadków oraz uszczerbku na zdrowiu obywateli było realne i dlatego władze policji nie mogły ryzykować. I – co wielokrotnie podkreślał komendant – większość demonstrantów zachowała się rozsądnie i posłuchała nakazu policji, by się rozejść; problemy były jedynie z tymi trzema osobami, które go zignorowały.

Demonstracja jest legalna, powtarzał Samuel policjantom, którzy szarpali go za ramię, żeby nie zdążył się przykuć kajdankami do stojaka na rowery. To miejsce publiczne.

Ani wtedy, ani później nikt nie próbował temu zaprzeczać.

Gaz pieprzowy produkuje się z kapsaicyny pozyskiwanej z papryczek chili. Stojąc w toalecie na dworcu w Baltimore, Samuel się zastanawiał, czy któryś z jego kolegów z klasy, przypięty kajdankami do stojaka, utrzymałby się na nogach po usłyszeniu wściekłego syku gazu na wysokości oczu. Pamiętał brutalny chwyt za podbródek i to, że ktoś mu na siłę rozszerzył powieki.

Przed wszystkim jednak zapamiętał ogromne białe cumulusy na

błękitnym niebie nad centrum badawczym Laajakosken Biotieteet, bo zdążył je zobaczyć, zanim znów zamknął oczy. Widział je w myślach jeszcze długo potem i wyobrażał sobie, że to ogromne, niedosiężne czapy śniegu.

Czym jest ból? To tylko ruch międzykomórkowy w określonych obwodach centralnego układu nerwowego. Też można go obserwować jak chmury na niebie, niespiesznie, bezosobowo.

No, ale oni musieli to tak zrobić, uprzytomnił sobie, gdy poczuł, jak chłodna ciecz wciska się pod powieki, jak zimna substancja pełznie powoli ku tęczęwce po pozbawionej czucia białkówce. Czekał na palenie, które się zacznie za sekundę, uzmysłowił sobie, że tak to właśnie musieli zrobić, musieli być twardzi, by móc wykonywać swoją pracę.

Jesteśmy wszyscy identyczni. Robimy wszyscy to samo, tylko z wykluczających się powodów, pomyślał i skupił się na niebotycznych górach białych chmur.

Ponad rok później na dworcu autobusowym w Baltimore nadal chciałby usłyszeć, jakie to przestępstwo zamierzał popełnić na parkingu przed centrum badawczym Laajakosken Biotieteet Oy, któremu trzeba było zapobiec, spryskując mu oczy gazem pieprzowym. Pewnie, że na terenie obozu byli jacyś pijani i może nawet najarani – czego innego się spodziewaliście po półtorej setki nastolatków siedzących w namiotach przez... ile to tygodni? – ale on sam był trzeźwy jak noworodek. Tak jak się wcześniej umówili, nie blokowali nikomu przejścia, tylko stali we troje na skraju chodnika – mieli do tego pełne prawo. Kiedy stało się jasne, że policja zamierza zepchnąć ich tarczami na bok, wyjęli specjalnie na tę okoliczność zakupione kajdanki i przykuli się do stojaka na rowery, który znajdował się poza terenem należącym do firmy. Zamierzali tam zostać, aż dyrektor generalny spółki Laajakosken Biotieteet Oy zrozumie, że dwa miliony burzących się w mediach społecznościowych Finów *nie zgadza się* na eksperymenty prowadzone przez jego przedsiębiorstwo. Zamierzali tam pozostać, aż dyrektor spółki zrozumie, że dzięki Samuelowi opinia publiczna dowiedziała się już, jakiego rodzaju są to eksperymenty, i to musi mieć jakieś skutki. Samuel pozostanie tam, aż dostanie odpowiedź na swoje pierwsze i jedyne pytanie: jeśli ludzie już *nie akceptują* eksperymentów, bo zobaczyli, na czym one polegają, to czy nie powinno się ich zaprzestać?

Samuel chciałby usłyszeć, jakiemu przestępstwu policja chciała zapobiec, spryskując mu oczy zmieszonym z etanolem ekstraktem z papryczek chili, którego jedynym celem jest spowodowanie maksymalnego bólu bez

okaleczenia.

Wciąż pamiętał brzemiennej odpowiedzialnością głos komendanta. Komendant przyznał, że zarzuty są poważne. Zostanie bezwzględnie zbadane, czy doszło do zarzucanego funkcjonariuszom przekroczenia uprawnień.

W tej chwili najważniejsze jednak jest to – podkreślił komendant – żeby nie popadać w jakąś przesadę. Chodzi o kilku ekstremistów. Ostatecznie zdecydowana większość młodzieży zachowała się bardzo rozsądnie.

Jednego funkcjonariusza uwolniono od zarzutów, drugi dostał niewielką grzywnę. Użycie siły uznano za uzasadnione, lecz niedostosowane do sytuacji.

Jedna z osób, wobec której zastosowano środki przymusu bezpośredniego, jest podejrzana o poważne przestępstwa. Komendant policji przypominał o tym w telewizji z surowo zmarszczonym czołem, a kilka sekund później świat zapomniał już o całym wydarzeniu i przerzucił się na inny kanał, żeby oglądać młode kobiety w bikini, które na wyścigi wyciągają z wrzaskiem pająki ze słoików.

Samuel wyszedł z toalety i znów stanął w holu dworca, gdzie na wózku inwalidzkim siedział bezwładnie chłopak w jego wieku. Trzymał na kolanach kawałek kartonu z nabazgranym napisem. Karton trzymał odwrócony tekstem do siebie, żeby nie było widać napisu – zebranie wewnątrz budynku było zabronione – ale gdy poprawił się na siedzeniu, Samuelowi mignął przez chwilę przed oczami:

*Jestem weteranem z Iraku
jestem głodny
bardzo proszę o pomoc*

Gapiąc się na karton, Samuel pomyślał o policjantach – o tym, który otworzył mu na siłę oczy, i tym, który pryskał mu w oczy sprayem. Pomyślał o setkach użytkowników różnych forów dyskusyjnych, którzy nigdy nie wzięli udziału w żadnej demonstracji, doskonale jednak wiedzieli, że w Finlandii nikt nie używa gazu pieprzowego bez powodu. O tych setkach sieciowych ekspertów, którzy nawet go nie znali, lecz wiedzieli na mur-beton, że pod Laajakosken Bioteteet w Helsinkach nie użyto gazu pieprzowego – więc dlaczego Samuel Heinonen kłamie?

Chłopak na wózku miał obie nogi amputowane do kolan i odwróconą daszkiem do tyłu czerwoną czapkę organizacji weteranów. Na jej widok Samuel przypomniał sobie nagle swoją myśliwską czapkę, którą też tak nosił,

z daszkiem na karku. Nie miał pojęcia, gdzie się podziała, i było to trochę przygnębiające.

Chwilę trwało, zanim zdołał ustalić, jak daleko od dworca jest West Chestnut Parkway i jak się tam najtaniej dostać.

A więc taki szmat drogi przebył z Oregonu.

Przejechał trzy tysiące kilometrów trzema autobusami przez więcej niż dziesięć stanów, by wreszcie spotkać człowieka, którego spotkać nie chciał, i wyjaśnić sprawę, którą wyjaśnić musiał.

Usiadł na obciążonej sztucznej skórą ławie obok zmęczonych afroamerykańskich rodzin, które ze swoimi walizkami, torbami i kiepsko związanymi tobołkami udawały się do Wirginii, do obu Karolin, do Georgii czy Tennessee. Przyglądał się im i zazdrościł tych zwyczajnych, nużąco powszednich podróży.

Uzmysłowił sobie, że gapi się nietaktownie, przeniósł więc spojrzenie na przymocowany pod sufitem poczekalni, ściszony telewizor. Na ekranie prezenterka w jaskrawożółtym kostiumie rozmawiała z poważnie wyglądającym brodaczem w średnim wieku, który tłumaczył coś długo i rozwlekle. W dolnej części obrazu na niebieskim pasku biegł powoli tekst:

PROFESOR HARVARDU: OPTYMALIZATORY VMPFC POWODUJĄ
UZALEŻNIENIE I DEMENCJĘ

KONCERN FARMACEUTYCZNY PRYZNAJE: OPTYMALIZATORY VMPFC
TO POCHODNA ALKOHOLU

Samuel patrzył w telewizor niewidzącymi oczami, które w końcu zamknął.

Stąd do Oregonu jest taka sama odległość jak z Helsinek do Rzymu.

Za kogo ty się masz? – usłyszał nagle w myślach złośliwy szept. – Co chcesz przez to osiągnąć?

Przygotowywał się do tego przez całe życie, lecz doprowadzenie sprawy do końca niczego nie zmieni. To nie ma żadnego sensu, powiedział sobie w duchu.

Nic, co zrobiłem w życiu, nie miało nigdy sensu.

Z nastaniem zmierzchu Baltimore zmieniało się w zranionego, zaczepnego psa – jeszcze nie niebezpiecznego, lecz nieobliczalnego. Zimne światła reklamowały w ciemności alkohol i *bail bonds*. Idąc ulicami obcego miasta,

Samuel patrzył na schludne rzędy pastelowych szeregowców, które w sąsiednim kwartale zamieniały się w slumsy, i na banery elitarnego uniwersytetu, który szukał chętnych na bezpłatną eksperymentalną terapię narkomanii. Poplątane kable wiszące nad złuszczonymi zaułkami, zardzewiałe pojemniki na odpady i rzucone na chodnik worki ze śmieciami mówiły o szczerości zamiarów miejscowej ludności, wyglądało jednak na to, że po zachodzie słońca nikt nie ma odwagi schodzić z głównej ulicy. Nie sposób było zgadnąć, co w tym parnym wieczornym powietrzu chodzi po głowie ludziom siedzącym na schodach przed wejściami do kamienic, patrzącym na sunące powoli jezdnią błyszczące auta wielkości czołgu, których przyciemnione szyby pulsowały od dudniącej niespiesznym rytmem basowej muzyki.

Kiedy wszedł w West Chestnut Parkway, zdał sobie sprawę, że o czymś zapomniał. Na szczęście z przeciwka szła kobieta z psem, miał więc kogo spytać. Znała mały sklep w pobliżu, tuż obok takiej ładnej restauracji wegetariańskiej. Po wyjściu ze sklepiku musiał się jeszcze na chwilę zatrzymać – zastanowić, czy jest naprawdę na to gotowy.

Szedł spokojną ulicą pod emanującymi godnością szlachetnymi drzewami i mijał ogromne, bogate domy. Słońce już zaszło; mrok zaległ nad miastem jak gruby, mokry koc. Oświetlenie uliczne było słabe. Szedł powoli, próbując wypatrzeć w mroku właściwy numer.

Kiedy wreszcie odnalazł szukany dom, serce zamarło mu na chwilę. Kremowy budynek wyglądał na nowy, okazał się jednak bardziej zwyczajny i skromniejszy, niż go sobie wyobrażał. Po obu stronach werandy rosły rododendrony, ich czarne liście wyglądały w ciemności, jakby były sztuczne.

W oknie paliło się światło.

Zorientował się, że od dłuższej chwili stoi w jednym miejscu, zmusił się więc do wejścia na werandę domu swojego amerykańskiego ojca i od razu wcisnął guzik dzwonka, szybko i długo, żeby nie zostawiać sobie czasu na niepotrzebne myśli.

Najpierw uznał, że w środku nikogo nie ma.

Wcisnął już dzwonek kilka razy. Żeliwne cyfry na ścianie wskazywały właściwy numer, na miedzianej tabliczce na drzwiach przeczytał nazwisko: Chayefski. W parnym wieczornym powietrzu unosił się ciężki zapach zgnilizny. Ciemne, podbite ołowiem chmury wisiały tuż nad domami, ale deszcz nadal nie chciał spaść. Zza ściany znów dobiegła go dźwięczna plastikowa melodyjka dzwonka – odgłos był przytłumiony, lecz słyszał go wyraźnie.

Przecież w środku pali się światło.

W końcu zmusił się do wyjęcia komórki z kieszeni. Na koncie amerykańskiego startera pozostało już niewiele, ale przecież oszczędzał te ostatnie grosze właśnie na tę ewentualność. I teraz trzeba jeszcze wybrać po raz pierwszy w życiu numer telefonu swojego ojca – co wydało mu się nagle trudniejsze niż załatwienie międzynarodowej spółki giełdowej, bardziej skomplikowane niż wciśnięcie dzwonka u drzwi jego domu.

Telefon dzwonił długo. Samuel przestał się spodziewać, że ojciec odbierze, kiedy włączyła się poczta głosowa. Machinalnie ponowił wybieranie, jakby chciał przekonać siebie, że zrobił wszystko, co mógł. Tym razem jednak poczta się nie włączyła; kiedy usłyszał nagle w słuchawce amerykańskie *hello*, był tak zszokowany, że nie mógł wydusić z siebie słowa.

A więc jest, przy telefonie, wreszcie.

Z trudem łapał oddech i przedstawienie się wyszło bardzo nieporadnie. Angielski wydał mu się nagle przeszkodą nie do pokonania, choć jeszcze niedawno mówił w tym języku do trzystu osób. Zrobił wszystkie błędy, jakie tylko można zrobić w paru zaledwie zdaniach. I znów cały ten pomysł z przyjazdem do Baltimore wydał mu się tak beznadziejny i żałosny, że najchętniej wszystko by odwołał, gdyby tylko mógł. Gdzieś podprogowo zarejestrował, że ojciec ma dziwny głos, lecz przecież nie wiedział, jak zazwyczaj mówi przez telefon.

Ale co to? Nagle zdał sobie sprawę, że wyraźnie słyszy głos ojca przez drzwi.

Ojciec musiał być w domu.

Jego ojciec *jest w domu i nie otwiera drzwi?* Tak był tym zdumiony, że ponownie zaczął się plątać z angielskim. W końcu zdołał wyjąkać, że stoi pod drzwiami. A więc teraz – teraz to się stanie.

Wyłączył telefon i czekał na otwarcie drzwi. Mijały sekundy i w tym rozgorączkowaniu Samuel zaczął już się zastanawiać, czy ojciec na pewno powiedział, że mu otworzy, czy tylko on tak to opacznie zrozumiał. Nie potrafił sobie przypomnieć dokładnej treści rozmowy ani kończących ją słów.

Przez wszystkie te lata wyobrażał sobie tę scenę tysiące razy: jak to będzie, kiedy drzwi domu przy 505 West Chestnut Parkway otworzą się i w końcu to się stanie. Motyw miał niezliczone wariacje. Zmieniał się w zależności od pory roku, jego wieku i sytuacji życiowej. Najczęściej ojciec otwierał mu drzwi starej, piętrowej rudery – takiej samej, w jakiej mieszkały w jednym serialu czarujące dziewczęta, które odziedziczyły po matce czarodziejskie moce. Czasem ojciec był starcem na łożu śmierci, który z trudem podnosił

zasuszoną rękę i charczał niezrozumiałe słowa. Niekiedy znów stał w pysznym fraku na pedantycznie przystrzyżonym trawniku i wznosił uroczysty toast na wielkim balu pod gołym niebem, który wydał na swoją cześć dla setki gości – z jakiegoś powodu na dziedzińcu starego zamku gdzieś w Europie Środkowej, w duchu epoki.

Jeden element pozostawał jednak niezmienny: za każdym razem Samuel, kiedy dzwonił do drzwi, był człowiekiem, który dokonał czegoś wielkiego – zazwyczaj był autorem ratującego świat wynalazku. I to idealnie pasuje do scenariusza, uzmysłowił sobie nagle: przecież właśnie wygrali, wypchnęli Parkingfield z nowojorskiej giełdy.

Jednak w żadnej z tych spontanicznych wariacji nie było tego: po otwarciu drzwi domu ojca niezbyt wysoki, starzejący się już mężczyzna w okularach celuje mu z pistoletu prosto w twarz.

Już pierwszy rzut oka przekonał Samuela, że stojący przed nim jegomość nie może być tą osobą, z którą toczył w myślach nieskończone bitwy – to musi być ktoś zupełnie inny. Co prawda słyszał od matki, że ojciec ma teraz w domu jakiś armagedon, i pamiętał jej coraz bardziej histeryczne błagania, żeby wrócił do Finlandii, wyglądało jednak na to, że matka też nie miała pełnego obrazu sytuacji.

Wrócił właśnie z Portland do Eugene, kiedy zadzwoniła. Była przerażona i płakała, bo nagle nabrała pewności, że wszystko, co się o nim mówi, to prawda.

Najgorsze w tym wszystkim było oczywiście to, że tak rzeczywiście było. Wspomnienie tego, co zrobił, przeszywało mu serce jak wstrząs elektryczny. Matkę jednak musiał chronić, nie mógł tego na nią zrzucić, nie udźwignęłaby tego. Całe dwadzieścia minut musiał ją uspokajać: to wszystko kłamstwa, przecież ci obiecałem, nie pamiętasz już, żadnych nielegalnych działań. Nigdy. Chyba nie zaczniemy się nagle o to targować, jeszcze nie na tym etapie.

Tym ją uspokoił. Po skończonej rozmowie czuł się tak, jakby miał za chwilę spalić się ze wstydu. Matka wyobrażała sobie, że jest moralny, dobry; ta myśl łamała mu serce.

Co ja narobiłem. Dobry Boże, co ja narobiłem.

I co najgorsze: jak łatwo mu to przyszło.

Obaj stali bez ruchu, żaden nie odważył się drgnąć.

To był jego ojciec.

Ptak, jeszcze chwilę temu ćwierkający radośnie na obcą, północnoamerykańską nutę w koronie pobliskiego drzewa, nagle ucichł.

Samuel wpatrywał się w stojącego przed nim mężczyznę, który mrużył oczy, jakby nie wierzył w to, co widzi.

To był jego ojciec.

To był jego ojciec.

To był jego ojciec.

– Yyy... cześć – powiedział Samuel i od razu poczuł się jak idiota. – Zły moment?

– Ani kroku, bo strzelam.

Mężczyzna ścisnął rewolwer niewprawnie, lecz mocno, i Samuelowi wcale się to nie podobało.

– Mówię serio – powiedział mężczyzna słabym głosem. – Strzełę, jeśli będę musiał.

Samuel był gotów uwierzyć, że nie żartuje. Niech mi ktoś powie, że to nieprawda. I to ma być jego ojciec? Samuel uniósł powoli ręce w nadziei, że to mężczyznę uspokoi.

– Tylko... spokojnie?

Tamten wyglądał tak, że z czystej wściekłości mógłby wpakować w niego cały magazynek albo – równie dobrze – paść na ziemię i zalać się łzami.

Czego się spodziewał? Tego nie potrafił powiedzieć. Ale nie tego, uzmysłowił sobie, patrząc na stojącego w progu mężczyznę. Wstydził się drżenia rąk, gdy słysząc bicie swojego rozszalałego serca, celował z rewolweru Miriam do stojącego w drzwiach wysokiego i wyraźnie oszołomionego młodego mężczyzny o kręconych włosach.

Przeżycie było tak porażające, że część z tego, co mówił Samuel, zupełnie do niego nie docierała. Na to nie był przygotowany.

Syn powoli uniósł ramiona. Zdawał się zdumiewająco spokojny.

– Nie zbliżaj się.

– Okej, nie będę.

– Strzełę – powtórzył Joe i sam się zdziwił, że to powiedział; to takim człowiekiem teraz jestem?

Syn – mężczyzna – nawet nie drgnął, ale Joe poczuł, że tamten psychicznie się wycofuje. Uzmysłowił sobie, że tak samo boi się nieznanego, dorosłego syna-terrorysty i tego, że mógłby nagle pociągnąć za spust, chociaż wcale tego nie chce – że strzeli tylko dlatego, że to takie proste. Żeby zobaczyć, czy byłby do tego zdolny; żeby sobie udowodnić, że właśnie byłby.

To takie nieludzkie – musieć odebrać człowiekowi życie. Oczywiście byłaby to obrona własna, ale jednak.

Mężczyzna czekał z rękoma w górze, wydawał się zaniepokojony.

Teraz trzeba coś zrobić. Czy mógłby jeszcze zadzwonić na policję? Tylko że wszystkie jego siły szły teraz na podtrzymywanie jego nowej, kruchej konstrukcji psychicznej. Ciemnowłosy brodac – którego Joe cały czas wyobrażał sobie jako małego chłopca – musiał mieć teraz... ile? Trochę ponad dwadzieścia lat. Na pewno nie dwadzieścia trzy. Wydawał się starszy, nieokreślony względem wieku, mógł plasować się wszędzie w przedziale między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia.

Zamiast niespełna dwuletniego berbecia, który wyrósł na niepewnego siebie, niezrozumianego i ostatecznie psychicznie nie zrównoważonego nastolatka, którego bał się od początku wiosny, w drzwiach jego domu stał rosły mężczyzna, charyzmatyczny dowódca drużyny komandosów. Mężczyzna, który wieczorem robi czterdzieści podciągnięć na drążku i rzuca się na prycze, żeby dać odsapnąć swoim potężnym plecami; mężczyzna, który na stadionie unosi w górę ramiona i sto tysięcy osób robi to, co on chce. Jedno spojrzenie w jego budzące zaufanie oczy wystarczyło, by odrzucić myśl o telefonie na policję jako niedorzeczną.

I właśnie dlatego syn mógł dokonać tego wszystkiego, czego dokonał. Tego, co zrobił jemu. I tego, co zrobił innym – sterroryzował legalnie działającą, miliardową spółkę i zmusił ją do opuszczenia giełdy. Nawet inwestorzy nie mieli podobno odwagi narażać się tym gnojkom.

– Czy jest jakaś szansa, żeby to odłożyć?

Mężczyzna z zatroskaną miną wskazał brodą metalicznie lśniący przedmiot, który wydawał się Joemu coraz cięższy i mniej poręczny. Syn nie wyglądał na człowieka przeżartego złem do szpiku kości, tylko jak właściwie wygląda taki człowiek? Przecież nikomu nie urosną rogi, choćby nawet zaprzedał duszę diabłu.

Joe wpatrywał się w niego.

Najchętniej cisnęłoby rewolwer na ziemię i wrzasnął na chłopaka, żeby wypierdalał tam, skąd przyszedł. Coś mu jednak w tym wszystkim nie pasowało, tylko co? Skąd to surrealistyczne wrażenie, że to już było, że ktoś go próbuje zrobić w konia? W końcu go olśniło.

Zejde.

Musiałby zastrzelić własnego dziadka. Syn wyglądał kropka w kropkę jak jego pradziadek w młodości. Pradziadek z twarzą brata Joego, Davida, młody Bruce Springsteen w wełnianej czapce – taki ktoś na nich napadł. A wszystko to w oprawie, która osobliwie przypominała mu błękitnooką i jasnowłosą Alinę. Tak więc wygląda jego rodzina w czerwcową noc w fińskim

brzeźniaku, gdzie sprzed sauny widać połyskującą taflę jeziora; stojący przed nim mężczyzna z niego jest, z niego i Aliny.

I może właśnie to osobliwe poczucie znajomości i obcości, ta zaskakująca obecność jego rodziny w tym człowieku zaowocowała tym, że w końcu – ku własnemu przerażeniu – zrobił to, o co znów poprosił go mocnym głosem stojący w progu psychopata: powoli opuścił rękę z krótkolufowym rewolwerem.

Czuł się jak zahipnotyzowany, jednak zgoda na to, co musi nastąpić, przyniosła mu ulgę. Może w głębi duszy naprawdę chce umrzeć, pomyślał znużony.

– Dzięki. Super. Rewelacja – powtarzał tamten spokojnie, jakby mówił do szaleńca. – A gdybyś tak jeszcze... położył go na ziemi?

Mężczyzna przerastał go więcej niż o głowę. Joe miał wrażenie, że cała weranda wypełniona jest jego szerokimi barkami i miazdzącą przewagą fizyczną. Ten młody człowiek – jego nieznajomy syn, kryminalista – miał w sobie coś, co nakazywało Joemu bezwarunkowy szacunek. A więc coś takiego można czuć do człowieka, który chciał okaleczyć jego córki, a jego zabić; życie nigdy nie przestaje zaskakiwać. I ten jego głos – te obce i zarazem dziwnie znajome rozfalowania i meandry strumienia fonemów. Przez mgnienie oka Joemu się zdawało, że z ust mężczyzny płynie jego własny głos, tylko z kanciastym fińskim akcentem, wrażenie jednak przysło: daleko mu było do tak niskich tonów i z jego postury nigdy nie emanowała tak wielka siła sprawcza – stał przed nim obcy, dorosły mężczyzna, którego nigdy w życiu nie spotkał, a który nosił w sobie pięćdziesiąt procent jego genów.

Za sprawą tego mężczyzny chwila zdawała się jakby wypełniona światłem. Nie można się było mu oprzeć, przyciągał do siebie jak magnes. Joe nie potrafił sobie nawet wyobrazić, żeby stanąć po przeciwnej stronie barykady, mimo że tamten chciał zniszczyć wszystko, w co on wierzył.

Anarchista: kogoś takiego się spodziewał – uzmysłowił sobie nagle – kogoś *bardziej napastliwego*. Wyrzutka z punkowej kapeli, agresywnie poprzekłuwanego, w rozmyślnie podartej czerwono-czarnej odzieży zdobionej szpetnymi łańcuchami – kogoś takiego, jak tamci młodzi, którzy pluli mu na plecy na debacie zorganizowanej przez „Baltimore Sun”. I przede wszystkim: kogoś *mniej*, bardziej przypominającego tamtego wątego bladeusza. A w tym mężczyźnie, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie wyczuwał nienawiści ani agresywnego nihilizmu, którym emanowały tamte rozgorzone, niewyrośnięte pętały na debacie w kampusie. Nie było w nim także cienia skruchy, żadnego śladu owej nieszkodliwej bylejakości, jaka

cehuje drugą połowę aktywistów – tych grzecznych, szeregowych naśladowców, którzy chcieliby być dla wszystkich uprzejmi.

Miriam nigdy tego nie zrozumie, pomyślał apatycznie Joe, wykonując jak w transie polecenia syna. Ale właśnie zrozumiał, że nie byłby w stanie strzelić do człowieka. I jakaś pokretna logika podpowiadała mu, że zasłużył sobie na to, co go teraz czeka. Czymże innym było to jego ojcostwo dla każdego z jego trojga dzieci, jeśli nie survivaliem, krzywdą mimo dobrych chęci, rozpaczliwym wybieraniem wody z tonącej łodzi i beznadziejnymi próbami wezwania na pomoc helikoptera?

Schylił się powoli i położył rewolwer na ziemi. Gruby czerwony dywan w przedpokoju wygłuszył odgłos ciężkiego metalu. Joe zapatrzył się we wzór. Nawet nie wiedział, że nad wielkim, uśmiechniętym krabem z wyciągniętymi szczypcami wcale nie widnieje napis *Welcome*, jak zawsze sądził, lecz *This is Bawlmer, hon.*

– Może ja to wezmę – odezwał się Samuel, spoglądając na ojca pytająco.

Joe poczuł przebiegający po plecach dreszcz, gdy zobaczył, jak Samuel schyla się i podnosi rewolwer z dywanu. Mam gorączkę? – przebiegło mu przez głowę. Ze zdumieniem skonstatował, że dopiero po wypuszczeniu broni z ręki zaczął normalnie oddychać.

Samuel patrzył na trzymany w ręku rewolwer. Stał tak długo bez ruchu, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Joe był przez chwilę pewny, że się pomylił. Jego syn to nie psychopata, który lubi się bawić w kotka i myszkę. Może to wszystko naprawdę jest serią skomplikowanych zbiegów okoliczności, pomyślał – i w tej samej chwili serce mu zamarło.

Nieruchoma lufa rewolweru celowała prosto między jego oczy. A więc dał się podejść jak dziecko. W ułamku sekundy przypomniał sobie, co mówiono na kursie *Lab Animals Keep Us Safe and Healthy*: psychopaci właśnie umieją się przyjaźnie uśmiechać i dlatego łatwo ich polubić, a nawet pokochać, zaufać im. Psychopaci właśnie nie są głupi, lecz ponadprzeciętnie inteligentni i dlatego nigdy nie wpadają w szal, przeciwnie, potrafią świetnie odgrywać przyjaźń, miłość, potrafią się przytulać – i dopiero po wejściu do mieszkania wprawnym ruchem podrzynają człowiekowi gardło.

Syn patrzył mu prosto w oczy tak zmęczonym wzrokiem, tak gorzkim, że Joe nie mógł mieć już żadnych wątpliwości.

Pamiętał dobrze tamten deszczowy, ponury ranek, kiedy odebrał telefon, tydzień przed Wielkanocą. Miało się wrażenie, że wciąż trwa listopad, który

zaczął się zaraz na początku jesieni, i już wtedy wyglądało, że nigdy się nie skończy; chociaż dni były już długie, niebo wciąż wyglądało jak jednolity szary kłęb, nad mokrymi ulicami na czarnych pniach trzęsły się bezbarwne, gołe gałęzie. Helsinki zdawały się na zawsze zatrzymane w czarno-białym kadrze.

Była to oczywiście kumulacja zbiegów okoliczności: że kurier dostarczył paczkę na niewłaściwe piętro i że to właśnie on odebrał telefon. Najdziwniejsze w tym wszystkim było jednak to, że olśniło go dopiero wtedy. A przecież pracował tam już od miesiący.

Kiedy telefon zadzwonił, poranny deszcz ze śniegiem zdążył już przejść w standardową helsińską mżawkę. Za oknami wiatr szarpał ludzi gniewnie za płaszcze i wywracał im parasole na lewą stronę, kiedy mocno pochyleni brnęli uparcie przez kałuże. Samuel siedział w swoim pokoju tak skupiony na pracy, że nie miał nawet ochoty odbierać; warczący na biurku telefon oznaczał niepotrzebną dekoncentrację. W końcu jednak podniósł słuchawkę i mruknął roztargnione „halo”; w głowie wirowały mu jeszcze parametry, które od piętnastu minut usiłował zgrać w swoim modelu. Ktoś z drugiej strony powiedział, żeby jakiś Tomppa przyniósł karton ze sprzętem na ka dwa.

Samuel nie słyszał nigdy o żadnym Tomppie, kartonie ani o ka dwa.

– Poczekaj, rozejrzę się.

Otworzył drzwi i zerknął na korytarz.

To musi być to. Pod drzwiami stał spory jasnobrązowy karton oklejony starannie taśmą pakową. Tego dnia już ze trzy razy musiał obok niego przejść i nawet go nie zauważył.

– To taki z napisem „Degerström. Sprzęt laboratoryjny”?

– Uff! Tak, to ten. Już się przestraszyłem.

Po krótkiej przerwie usłyszał w słuchawce:

– A nie chciałoby ci się czasem...

– Jasne – odpowiedział Samuel. – Mogę ci go przynieść.

Uniósł karton i gwizdząc, ruszył do windy; cieszył się, że może zrobić komuś przysługę. Będzie miał pięciominutową przerwę.

W piwnicy powietrze było wilgotne, chłodniejsze niż w części biurowej. Nigdy nie schodził do podziemnej części budynku, którego dwa poziomy oznaczono kombinacją litery i cyfry. Później już nie pamiętał, o czym myślał, wciskając dzwonek i chwytając zimną metalową klamkę ogniotrwałych drzwi z dwiema tabliczkami: „Laboratoria 2K” i NIEBEZPIECZEŃSTWO ZAKAŻENIA – WSTĘP SUROWO WZBRONIONY. Po otwarciu drzwi ukazywał się widok na

ceglany korytarz ze sprzętem laboratoryjnym i pustymi metalowymi klatkami, używanymi na pewno do transportu zwierząt.

Rozmówca Samuela prosił, żeby przyszedł pod K202 i zapukał. Wszystko, co działo się za drzwiami tego pokoju, musiało być już dla niego tak powszednie, tak normalne, że nie przyszło mu nawet do głowy, by przygotować Samuela na to, co zobaczy w środku.

I było dokładnie tak, jak się o tym mówi. Dlaczego wszystko zmienia się dopiero wtedy, gdy człowiek zobaczy to na własne oczy – diabelnie trudno odpowiedzieć sobie na to kłopotliwe pytanie.

Z wielu względów żałował, że musi zrezygnować z tej pracy.

Stanowisko młodszego asystenta w Laajakosken Biotietet Oy było jakby stworzone dla niego. Już w pierwszym tygodniu pracy w stonowanym, budzącym zaufanie wnętrzu biurowca Samuel zdał sobie sprawę, jak wiele można się w życiu nauczyć, gdy warunki są sprzyjające. To było jak olśnienie – tak nagłe i porażające, że prawie zapomniał oddychać. Z wściekłej polarnej śnieżycy trafił nagle do pięciogwiazdkowego hotelu, w którym – co za przypadek, gratulacje! – okazał się milionowym klientem i dlatego dostał dożywotni apartament oraz helikopter do wyłącznej dyspozycji, kucharza, tancerki, masażystkę i darmowe drinki.

Praca sama w sobie była ciekawsza, niż oczekiwał, a im sumienniej pracował, tym bardziej odpowiedzialne zadania mu zlecano. Miękką wykładzina i światło sączące się przez żaluzje zdawały się z każdym dniem coraz wyraźniej podkreślać czarno-biało-chromową dojrzałość pomieszczeń.

Jesienią po maturze życie wydawało się nieodwołalnie przegrane. Dopiero z perspektywy czasu wyraźnie dostrzegał, jak głęboko zraniło go rozstanie z Kerttu. Za jednym zamachem stracił dziewczynę, krąg przyjaciół i miejsce na uniwerku – a nie można się przecież spodziewać, że chłopak w jego wieku wyliże się z tak poważnych obrażeń w jeden dzień. Nie miał już szesnastu lat, kiedy złamane serce zrasta się przez noc. Dopiero po szkodzie mądrzejesz i dopiero wtedy docierają do ciebie rzeczy oczywiste: że sporo czasu musi upłynąć, nim staniesz z powrotem na nogi, znajdziesz sobie miejsce w świecie, zaczniesz interesować się innymi kobietami i znów poczujesz, że jesteś kimś ważnym. Ale kiedy ten proces ciągnie się w nieskończoność – ile to tygodni? – trudno to znieść.

Wszystkie te problemy rozwiązały się za jednym zamachem – wystarczył telefon. Kiedy zaproponowano mu stanowisko młodszego asystenta w centrum badawczym Laajakosken Biotietet Oy, miał dziwne wrażenie, że

błyskawicznie wraca do zdrowia psychicznego – stało się to dosłownie w czasie tej krótkiej rozmowy telefonicznej. Słyszał wręcz radosny szum ożywających synaps centralnego układu nerwowego. A już najskuteczniejszym balsamem na poranione serce okazała się informacja, że z grona sześćdziesięciu spełniających wymogi kandydatów właśnie jemu pierwszemu złożono propozycję. W myślach był już przygotowany na to, że spuszczą go do kibla, że dostanie mail ze zwyczajową sentencją „niestety, tym razem nasz wybór nie padł na Pana” i niepotrzebnie rozbudowaną informacją na końcu listu, jak świetnie wykształconą, doświadczoną, błyskotliwą gwiazdę przyjęto zamiast niego. A tu już na samym początku usłyszał, że jego artykuł w „Suomen Kuvalehti” zrobił wrażenie na całym personelu ich centrum badawczego. Po owej pomaturalnej tułaczce przez mroczny las miał wrażenie, że ta rozmowa jest najlepszym dowodem na to, że wszystko samo się ułoży jak trzeba. I rzeczywiście tak się stało.

W Laajakosken Biotietet potrafili skłonić go do skupiania się na tym, co trzeba – co zaraz przypomniało mu rok, w którym wygrali z klubem mistrzostwa okręgu w piłce nożnej. Z jakiegoś dziwnego powodu, który potrafiłby wyjaśnić chyba tylko neuropsychiatra z dobrą znajomością genetyki, po jego powakacyjnej depresji nie został nawet ślad. To, że nie studiował ekonomii – tak tylko przeglądałeś sobie Stiglitz, co, dla zabawy? – zostało mu nagle poczytane za plus, chociaż bał się, że to właśnie będzie jego piętą Achillesa. Zwłaszcza babki z firmy od razu wciągnęły go w swoje dyskusje przy sushi i zaczęły wypytywać o zdanie na tematy, nad którymi codziennie łamią sobie głowy dorośli, dojrzały ludzie.

Tego mu brakowało.

I ci wszyscy trzydziestolatkowie, którzy nosili okulary i ubierali się jak przystało dorosłym: jakże wydawali mu się *zdrowi*, jak zrównoważeni, jak świetnie potrafiący przyporządkować każdą sprawę właściwemu szczeblowi hierarchii ważności. Patrząc na nich, odczuwał wstyd. Ci rozsądni i spokojni ludzie nie olewają po pijaku na plaży swoich świadectw maturalnych, tylko bez wytchnienia pracują dla dobra nauki, wykonując pożyteczną i ambitną robotę. W tym czasie, gdy co poniektórzy pławili się w ściekach internetu, podzegli do nienawiści na szemranych forach i gapili się w telewizor na bambelosy jakiejś laski, oni przeprowadzali eksperymenty naukowe i rozważali znaczenie uzyskanych wyników. Kiedy on gnił na chacie, udając psychicznego, dyrektor tej firmy z kolegami publikował książkę o endokrynologii i toksykologii, o której on nawet nie słyszał, ale kupił ją sobie w internecie na kartę matki zaraz pierwszego dnia.

Najdziwniejsze w tej całej sytuacji było to – co Samuel uzmysłowił sobie podczas przerwy na kawę na fali ogólnej wesołości po tym, jak dyrektor opowiedział jakąś żeglarską anegdotę – że kiełkujące myśli o przejściu na ciemną stronę gdzieś prysły, i to bez żadnego wysiłku z jego strony: ciemna strona mocy, za którą dopiero co nieodwołalnie się opowiedział, nagle przestała istnieć. Już same krzesła w biurach były tak przyjemnie miękkie i pięknie zaprojektowane, cały budynek tak jasny, czysty i dorosły, że nie było najmniejszej potrzeby, by martwić się o świat. To oczywiście ciekawe, bo przecież przyjęcie Samuela do pracy na stanowisko młodszego asystenta nijak nie mogło powstrzymać postępujących zmian klimatu. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Przez Pacyfik nadal dryfowała ogromna wyspa śmieci i na pewno nikt nie opracował nowej infrastruktury bezpieczeństwa morskiego dla Bałtyku. Okazało się jednak, że od tych wszystkich drobnych niedociągnięć większe znaczenie dla środowiska miało to, że Samuel może teraz siedzieć sobie tutaj i przeklejać cyferki do tabelki w Excelu na nowiusieńkim, wypasionym kompie, na który żaden licealista nie mógłby sobie pozwolić, że jego obecność bardzo cieszy pewną piękną kobietę po studiach i że zaproponowano mu tu pracę – i to dlatego, że jest po prostu wyjątkowy. Znow mógł być częścią większej całości i robić coś pożytecznego – może nie z punktu widzenia ochrony środowiska, ale dla nauki, co w dłuższej perspektywie wychodzi na to samo, a w każdym razie zasługuje na nie mniejszy szacunek.

I jak to: planeta jest skazana na zagładę? Przecież wszystko można jeszcze odkręcić, trzeba się tylko zabrać do roboty. Jeszcze tego samego dnia wieczorem Samuel zapisze się do ochotniczej grupy oczyszczania brzegów z ropy naftowej, żeby potem nie było, że to przez niego nie dało się nic zrobić z kolejną katastrofą ekologiczną!

Samuel z podziwem patrzył na swoją przełożoną, docent Veerę Hakkarainen, która przenosiła swój mózg między komputerami w niepozornej, przypominającej ciało człowieka konstrukcji, do której odnosiła się z uprzejmym, obojętnym dystansem, i ten widok budził w Samuelu żarliwą nadzieję, że on też upodobni się do tych ludzi i wyrośnie na okularnika o sytym uśmiechu, który niedługo będzie oczekiwał od życia już tylko udanego in vitro, kolejek w Lidlu i samochodu kombi, golden retrievera i nawracających zapaleń ucha środkowego u dziecka. Ci ludzie nie mieli pojęcia, jak łatwo wypaść poza te wszystkie piękne biurowce i przerwy na kawę. Ci szczęśliwcy nie wiedzieli, jak okrutny jest świat i jak bezpieczne są te ich salki konferencyjne. Już rano na samą myśl o wyjściu do pracy

Samuel czuł, jakby mu w środku tajał mały lodowiec.

Zima mijała i Samuel nabierał coraz większej pewności, że żaden dziewiętnastolatek nie będzie myślał o wyciąganiu fiuta na plaży i laniu ciepłym siurem na cały rodzaj ludzki, jeśli tylko otoczą go dowcipne kobiety, w których towarzystwie można zostawić kulę ziemską samej sobie i zająć się czymś ciekawszym. Żaden dziewiętnastolatek nie będzie szalał w internecie, jeśli czterdziestoletni dyrektor badawczy – poważny, łysiejący już naukowiec w czystej białej koszuli – będzie mu zadawał pytania w rodzaju, co on, jako krytycznie myślący młody człowiek, sądzi o kolorach nowego layoutu firmowej strony; nawet nie będzie miał na to czasu.

Praca młodszego asystenta polegała na przenoszeniu cyferek z formularzy do komputera i mechanicznym czyszczeniu baz zgodnie z instrukcjami; prosta zabawa w Excelu.

Traktował jednak tę zabawę z sumiennością, na jaką potrafi się zdobyć jedynie człowiek owładnięty lękiem, który przychodzi po okresie załamania i rozpacz. Postawił sobie za punkt honoru, żeby być zawsze pierwszy w pracy. Będzie tym, który zawsze pamięta o uzupełnianiu zapasów kawy w szafce nad ekspresem, choć nie należy to do jego obowiązków; będzie wykonywał zlecone mu zadania staranniej, szybciej i gruntowniej, niż się od niego wymaga. Ilek satysfakcji czerpał z wykonywania prostych czynności, przy których po prostu nie można się pomylić, a ma się świadomość, że przykładą się rękę do bardzo ważnych badań naukowych. Paliło go w piersi, kiedy na przerwie śmiał się z żalonych żartów trzydziestolatków. Wiedział, że bez tej katastrofalnej jesieni nie umiałby teraz tak na to wszystko patrzeć, lecz przeżycie graniczyło z uczuciem, które mógł chyba ostrożnie zacząć nazywać szczęściem.

Samuel postanowił pokazać swojej szefowej, czterdziestoletniej babci strojącej się w sweterki barwy niemowlęcej kupy, pani docent toksykolog Veerze Hakkarainen, że ma więcej pożytecznych umiejętności i talentów, niż jest gwiazd na niebie. To, że rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej, uważał za przejściowy, krótkotrwały problem: przez zimę, gdy na dworze za oknem jego pokoju deszcz będzie siekł helsiński mrok na plasterki, on sam, przez nikogo nieprzymuszany, gruntownie wyjaśni, co robi jego przełożona, w jaki sposób uzasadnia swoje badania społeczności naukowej i jak on mógłby jej w tym pomagać.

Wrażenie robiła też na nim suma, jaka pojawiała się w ostatni dzień miesiąca na jego koncie. Wiedział oczywiście, że w rozmowach towarzyskich wypada się skarżyć na mizerność pensji, lecz po jesiennym głodowaniu była

to dla niego kwota całkiem pokaźna. Zarabiał własne pieniądze! Potrafił robić coś pożytecznego!

Poza tym dumna piękność z kiosku, która nosiła wysoko zawiązaną kitkę i nie miała nigdy czasu oderwać wzroku od swoich paznokci i spojrzeć na niego, nawet kiedy sprzedawała mu bilet na autobus, nagle zaczęła zwracać na niego uwagę. Zainteresowanie przerodziło się szybko w nadzwyczaj ukierunkowany flirt i niedługo potem Samuel był już w domu dumnej brunetki na zakrapianym cydrem wieczorku erotycznym. W pachnącej dziewczyną sypialni urządzonej z fantazją fanki łyżwiarstwa figurowego wyszło na jaw, że Viivi, jak miała na imię, myślała, że jest wiele lat od niej starszy, co wyrzuconemu z uniwerku nieudacznikowi osobliwie dodało animuszu – nie mniej od jej nagich piersi, które pozwoliła mu obmacywać w atmosferze jak najbardziej useksualniającej i dalekiej od równouprawnienia płci. I wtedy dopiero do Samuela zaczęło powoli docierać, dlaczego Viivi do tamtej pory tak konsekwentnie go zbywała i zawsze, gdy ładowała mu kartę miejską, odwracała swój piękny nos w przeciwną stronę. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby interpretować jej wyniosłość jako puchową otulinę, w której grzała swoje serce po zbyt wielu zawodach miłosnych. Nie mógł nawet przypuszczać, że dziewczyna ciągle czeka, aż wysoki i ciemny, po cudzoziemsku przystojny i wyraźnie starszy od niej chłopak zrobi pierwszy krok, jeśli tylko będzie nią choć trochę zainteresowany. I kiedy zdradziła mu to wszystko na swoim obstawionym pluszakami łóżku, Samuel zdał sobie nagle sprawę, że nawet twarda, miążdżąca wyniosłość wyjątkowo pięknej kobiety może być w rzeczywistości fasadą, za którą kryje się totalna niepewność.

I w tamten wieczór po pierwszej wypłacie, kiedy całował jedwabiste podbrzusze i żrebięco kruchą miednicę rozebranej do majtek Viivi, już nigdzie nie było mu spieszo i nie wyznaczał sobie w myślach żadnego celu. Wszystko, co miał do stracenia, postawił na wiosenne egzaminy wstępne, z których powodu wyciągnął nawet podręczniki – kilka miesięcy przed resztą konkurencji. Nawet bez wspomnienia lodowatego jesiennego usamodzielnienia Kerttu trudno mu było nie cieszyć się miękkim językiem Viivi, kiedy po rozpuszczeniu włosów zaczęła powolną i zaskakująco profesjonalną inspekcję najdrobniejszych szczegółów jego anatomii. Nie umiałby już wskazać, co należałoby zmienić lub naprawić na świecie, gdy pieścił jej nabrzmiałe sutki, gdy drobne ciało kołysało się rytmicznie w jego ramionach. Na dole grał telewizor i rozmawiali spokojnie jej rodzice, drzwi sypialni nie były nawet zamknięte na klucz.

Można by sobie wyobrażać, że wybór, który już na zawsze określa przyszłe życie człowieka, musi być skomplikowany i trudny. Sprawa okazała się jednak prosta i łatwa: nie było żadnego wyboru.

Uczestniczył kiedyś w jednej z helsińskich bibliotek w spotkaniu z mnichem. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak mówił zakonnik.

Samuel był zdumiony.

Że też musiały to być akurat beagle'e: najmiłsze, najsympatyczniejsze stworzenia na świecie.

Kiedy w tamto przedpołudnie odebrał telefon w sprawie przesyłki kurierskiej, zdążył już sobie w Laajakosken Biotieteet Oy wypożyczyć własną niszę ekologiczną.

Bardzo leżała mu matematyka, stosowana do analizy danych i modelowania wyników. I to, co jemu przychodziło bez większych problemów, wielu innym, nawet doskonałym badaczom, zdawało się przysparzać sporych problemów. To go zaskoczyło. Do tej pory miał okazję porównywać się jedynie z rówieśnikami i nigdy by mu nawet nie przyszło na myśl, że mógłby wygrać w matematyce z prawdziwymi, dorosłymi naukowcami. Wszystko na to jednak wskazywało – w każdym razie w centrum badawczym Laajakosken Biotieteet, czasami, w pewnych określonych sytuacjach. Z którymi Samuel zapoznawał się coraz lepiej na cotygodniowych zebraniach, bo pani docent Hakkarainen zaczęła go na nie ciągać jak ulubionego pudelka.

Kiedy po usilnych namowach docent zgodziła się w końcu dać mu na próbę pierwsze prawdziwe problemy badawcze, Samuel poczuł, że na czoło występuje mu pot. Patrzył na rozłożone na jej biurku arkusze z wynikami badań, z których kazała mu stworzyć model; tak się chwalił tym swoim profilem matematycznym i kanonicznym dziełem autorstwa pani docent, które – głupek jeden – przeczytał z własnej inicjatywy, no to teraz ma za swoje. Gdyby rozwiązał to zadanie, awansowałby z młodszego asystenta od parzenia kawy na młodszego asystenta od podawania piłek, lecz kiedy zobaczył cyfry, z przerażeniem stwierdził, że stopiły mu się obwody i mózg nie pracuje. Do tej katastrofy musiało dojść jakoś niepostrzeżenie po wakacjach, zapewne przez ubogą dietę i umysłowe lenistwo; za dużo czasu spędzał z matką, a to rozmiękcza mózg nawet młodocianym geniuszom. W szkole stopień obwodów było zupełnie niegroźne, bo wystarczyło unikać tematów zbyt trudnych na stopień rozwoju nauczycieli. Widząc jednak poważne, dorosłe spojrzenie pani docent, Samuel zdał sobie sprawę, że

jeszcze nigdy nie pragnął niczego tak bardzo, tak głęboko i z całego serca, jak tego, żeby ta dorosła kobieta go zaakceptowała, żeby ulitowała się nad znalezionym w wilczej watasze człowieczym dzieckiem i przyjęła je do swojej rodziny, nauczyła, jak być człowiekiem. Byłby jednym z tych, o których trenerzy mówią: dopiero na prawdziwym boisku widać, kto ma smykałkę do gry; rozszerzona matma to jednak zwykła lipa, jak się nie wie, co z nią potem zrobić.

Może ktoś umie to rozwiązać, ale nie ja.

Mimo to – ku wielkiemu zaskoczeniu pani docent Hakkarainen i samego Samuela – wszystkie te obawy okazały się płonne.

Nie przeszedł żadnych szkoleń ani nie miał doświadczenia jak prawdziwi badacze, najwyraźniej jednak jego mózg ciągle sobie radził zupełnie przyzwoicie. Kiedy Samuel otrząsnął się z pierwszego szoku, natychmiast poczuł, że jego szare komórki już budzą się do życia z rozkosznym pomrukiem; nie musiał się nawet wysilać – jego mózg budził się sam w obliczu odpowiednio trudnego problemu. I teraz, gdy dane mu było rozkręcić je na pełne obroty i zobaczyć, do czego są zdolne, uzmysłowił sobie zarazem, że będzie z nim tak samo, jak ze wszystkimi innymi: za dziesięć lat ta żyłeta się stępi. I choć może nawet nikt poza nim tego nie dostrzeże, to tak właśnie będzie, i Samuel przeczuł to po raz pierwszy w życiu.

Dlatego w sumie się cieszył, że może od razu wejść na kort, pomijając uniwersytet – będzie mógł zaserwować najmocniej, jak potrafi, na maksa.

No i wykroił dla siebie tę swoją działkę: obróbka danych, analiza i modelowanie matematyczne dla pani docent. Trochę trwało, zanim się połapał w regułał tej gry, powoli jednak zaczął odbierać najprostsze zagrywki i odpowiadać na nie w imieniu szefowej z pewną dozą autonomii. Zauważył, że ciężka praca, ciekawość i zwyczajna nieustępliwość procentują: zaczyna sobie radzić także z takimi zagadnieniami statystyki matematycznej, jakie teoretycznie powinny być jeszcze, na tym etapie, poza jego zasięgiem.

Zachęcany przez panią docent szlifował technikę i na przełomie zimy i wiosny władał już swoją lekką, lecz bardzo szybką rakieta matematyczną tak sprawnie, że nawet w bardzo trudnych pozycjach wkręcał mocne topspiny, wbijał precyzyjne returny backhandem z linii końcowej i ścinał spod siatki wolejem tak potężnie, że sędziowie w redakcjach czasopism naukowych mogli sobie mruścić i marudzić, ale nie mieli wyjścia: musieli mu przyznać punkt. Coraz częściej też trafiał piłkę dokładnie środkiem rakiety, a wtedy już sam odgłos uderzenia był tak satysfakcjonujący, a drzenie w ramieniu tak miękkie, że nie musiał się już sobie z niczego tłumaczyć.

Chociaż pracował lepiej i więcej, niż od niego oczekiwano, zaproponowana wiosną przez dyrektora badawczego zmiana stanowiska i podwyżka zaskoczyły go całkowicie. Było coś nie fair już w tym, że może wykonywać tak interesującą pracę; to, że jeszcze mu za to płacą, odbierał wręcz jako rażącą niesprawiedliwość. W tamten piątkowy wieczór przy kolacji dyrektor wziął go w ramiona i trzymał w objęciach trochę za długo, a potem wielkopańskim gestem wręczył mu whisky za trzysta euro, którą sam zresztą pił, a na koniec wylał na podłogę, zanim sześciu pracowników firmy zatańczyło go do taksówki, posapując z wysiłku. Wracając w stanie całkowitego oszołomienia nocnymi ulicami miasta, Samuel myślał, że Laajakosken Biotieteet Oy to najlepsze i najbardziej mu pasujące miejsce pracy, jakie mógł sobie wymarzyć, po prostu główna wygrana na loterii, podana jeszcze na złotej tacy.

Kiedy odbierał telefon w sprawie przesyłki, którą kurier dostarczył na niewłaściwe piętro, już zdecydował, że odpuści sobie uniwersytet i zostanie w Laajakosken Biotieteet na stałe. Wkręcił się na krzywy ryj na kort akademicki, gdzie właśnie zaczynał się dobry turniej, i dlatego nieszczególnie się palił, żeby rzucić wszystko tylko po to, by móc chodzić na obowiązkowy kurs podstawowy („Czym są badania naukowe”, 4 pkt) i żłopać piwo w idiotycznym kombinezonie. Pani docent Veera Hakkarainen zdołała łagodną perswazją skłonić go do zmiany zdania: przecież można jednocześnie studiować i pracować, co dla chłopaka tak zdolnego jak on nie będzie stanowić najmniejszego problemu.

W weekend poprzedzający telefon i pytanie o Tomppę oraz brakującą huśtawkę dla psów matka przy obiedzie spytała go ze zdziwieniem, czy znowu zaczął rosnać. Poczucie własnej wartości pęczniało mu też od tego, że nawet Henri się zainteresował jego pracą – i poległ już w przedbiegach, przy wprowadzeniu do tego, na czym polega robota Samuela. Zaraz też Henri, którego Samuel starał się traktować z należną wyrozumiałością, facet, który nie potrafił nawet wywiercić głupiej dziury w ścianie bez uprzedniego przepracowania sprawy ze swoim superwizorem – nawet on wydał mu się przy stole dorosłym mężczyzną, który wie coś o życiu i ma własne poglądy na orbitowanie we Wszechświecie dorosłych.

I kiedy Samuel opowiadał tak Henriemu i matce o swojej pracy, uzmysłowił sobie, że w ciągu tych paru miesięcy nauczył się więcej niż przez całe liceum. Jego dawne horyzonty poszerzały się w pracy tak szybko, że słyszał już, jak pękają w szwach. Każdy dzień wydawał się niepowtarzalny i o czymś decydujący; Samuel czuł, że może dojść do wszystkiego,

wszystkiego się nauczyć.

Kiedy wyjaśniał to w domu, matka stłumiła jęk i odwróciła wzrok.

– Co?

Zrobiła głęboki wdech, a potem spojrzała na niego.

– Nic. Tylko czasem tak bardzo mi przypominasz swojego ojca, że aż się boję.

Później, kiedy wracał myślami do tamtej chwili, wyobrażał sobie nieodmiennie, że ugięły się pod nim kolana. Prawda była jednak taka, że stał prosto i zachowywał się pod każdym względem normalnie. Mężczyzna, który otworzył mu ogniotrwałe drzwi pomieszczenia K202 na poziomie K2 centrum badawczego Laajakosken Biotieteet Oy, na pewno nie zauważył, że coś jest mocno nie tak.

I gdy tamten mu dziękował, Samuel nadal czuł tylko leciutkie poruszenie w miejscu, gdzie nigdy wcześniej nic się nie działo. Podając karton mężczyźnie, miał wrażenie, że nagle wybił tam szemrzący strumyczek – uczucie było wyraźne, choć jeszcze nie absorbujące.

Nie wiedział – i oczywiście *wiedział*, cały czas.

Mimo że nie od razu umiał zareagować na to, co zobaczył, to jednak, podając mężczyźnie paczkę, nagle zdał sobie sprawę, co jest w środku i do czego to służy.

Były za szybą, wyraźnie widoczne w głębi pomieszczenia, po lewej stronie za tamtym. Zasłony, pewnie zazwyczaj przesłaniającej widok, z jakiegoś powodu nie zaciągnięto. Przeżycie przypominało jego wyobrażenie o chwili rozdarcia na dwoje zasłony w świątyni, chociaż obyło się bez grzmotu.

A więc *to* przyniósł.

Do tego, co się robi za tą szybą.

Mężczyzna odebrał karton, a on dalej stał oszołomiony, co tamtemu z pewnością wydało się dziwne.

Oczywiście, że wiedział, tylko nie... No właśnie: tylko co?

Wiedział, ale nie wiedział.

Po zamknięciu się drzwi nagle usłyszał, jak głośno pracuje klimatyzator. Musiał tak huczeć przez cały czas. Przez głowę przemknął Samuelowi model matematyczny, konstruowany właśnie przez niego z wyników badań zebranych przez jego przełożoną – jakby chciał się przekonać, czy ma jeszcze po co wracać.

W tym dobrowolnie uczestniczył przez ostatnie miesiące.

Za tą szybą znajdował się surowiec jego pracy. Który do tej pory stanowił

dla niego wyłącznie ciąg interesujących łamigłówek logicznych, czystą matematykę, cyfry i symbole. Liczby, abstrakcje; tylko z nimi miał do tej pory do czynienia. Oczywiście łączył je zawsze w myślach z neuronową sztafetą w układzie hormonalnym żywych istot. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, żeby zastanowić się do końca, w jaki sposób się te cyfry pozyskuje.

Właśnie tak.

Tutaj.

Zawrócił i próbował podjąć w myślach przerwane obliczenia, ale czuł się tak, jakby od wyjścia z pokoju upłynęło dziesięć mrocznych, ciężkich lat. Chwiejnym krokiem dotarł do końca korytarza i nacisnął guzik elektromagnesu w drzwiach. Kręciło mu się w głowie.

Przez resztę dnia trwał w stanie nieokreślonej obojętności, która przypominała odrętwienie. Każda osoba i każdy przedmiot, każde myśl, pytanie czy emocja, na których usiłował się w myślach skupić, niknęły za dziwną siatką. Później był zdumiony, że nikt niczego nie zauważył. A w każdym razie nikt go o nic nie pytał.

Oczywiście, wieczorem w domu w głowie huczała mu tylko jedna myśl, kiedy przebrani za lamparta i lwa młodszy bracia skakali mu po plecach i wśliznęli na głowę.

Samuel, bawimy się w sklep ze zwierzętami, dalej!

Ej, to ja byłem małym gepardem, a ty przyszedłeś go kupić, dobra? I on nie umiał mówić, dobra? dobra?

Samuel!

Samuel!

Samuel!!

Bawił się z nimi w sklep, lecz czuł się jak po urazie mózgu: machinalnie rozmówił się z sześćioletnim sprzedawcą, który był zarazem jednym ze zwierząt do kupienia, zapłacił na niby kartą za oba dzikie koty cztery euro i zaniósł śpiące zwierzaki na rękach do pokoju zabaw jak żywy trup.

Do tego jesteśmy zdolni – ta myśl huczała mu w głowie.

Do tego dążymy, to jest dla nas ważne: tego chcemy.

Tylko ciałem był z Ukko i Taisto, ale próbował nadążyć za natłokiem spraw, a każda taka ważna, że chłopcy musieli o nich krzyczeć, i to na wyścigi. W przedszkolu czytali taką książkę, w której były przekleństwa, i wiesz co, wiesz co, wiesz co, Dakwejda ma czarny hełm z takimi kratami na buzi i dlatego tak dziwnie dyszy, i wiesz co, wiesz co, Helli poprosiła mnie i Arttu, żebyśmy się z nią ożenili, ale ja myślę, że ona się może jeszcze potem rozmyślić, jak będzie dorosła, i wiesz co, wiesz co, nigdy nie zgadniesz, co my

budujemy w przedszkolu – *wehikoło czasu!*

Samuel nie do końca zdawał sobie sprawę, gdzie jest; niewidzącym wzrokiem patrzył na matkę: uszykowała braciom kolację, uspokajała Taisto, który wrzeszczał i tarzał się po podłodze, bo jego plasterek szynki miał niewłaściwy kształt, przyprowadziła łagodnie Ukko do stołu, choć on nie mógł nic jeść, bo jego auta oglądały właśnie Księżyc.

– Jak tam dzisiaj w pracy? – spytał Henri z drugiej strony stołu, gdy nałożył sobie surówkę i wziął do ręki butelkę oliwy.

Henri – zawsze gotowy, żeby słuchać, potakiwać marchewkową głową z poważną miną i wspierać swojego rozmówcę w tych zadaniach rozwojowych i wyzwaniach terapeutycznych, które ten chciałby przerabiać akurat tego dnia.

– Spoko.

Henri na szczęście więcej nie pytał, tylko zaczął mówić o prowadzonym przez siebie szkoleniu, z czego Samuel nie zarejestrował już ani słowa.

Było to dla niego wstrząsające przeżycie – czuć się tak paskudnie i silić się zarazem na fałszywą normalność. Zasłona się rozdarła, lecz nikt poza nim tego nie widział. To było niepojęte. Świat dalej trwał w niezmienionej postaci, u Henriego kobiety w apaszkach ciągle lepiły w grupach rzeźby, które miały pokazać, jak niebezpiecznie jest podejmować decyzje w afekcie.

Każda myśl przypominała niemy obraz; czegoś w tym wszystkim wyraźnie brakowało, w nim.

Teraz Henri zaczął opowiadać synom o pogrzebie swojego byłego superwizora, na który wybierali się całą rodziną. Ważne, żeby w kościele siedzieć spokojnie w ławce, nawet jeśli zaczyna się wam nudzić, pamiętacie o tym, chłopcy?

– Pamiętamy – odpowiedział Ukko.

– O czym trzeba tam pamiętać? Przypomnij jeszcze tacie.

– Trzeba uszanować tego zmarłego.

– Jakiś zgaszony jesteś? – spytała matka Samuela.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo Ukko od razu się ożywił:

– Chce ci się wymiotować?

– Nie.

– Może będziesz chory! – ucieszył się Ukko.

– Nie będę.

– To się nie zawsze samemu wie – zauważył Taisto.

– Ja bym wiedział.

– Nie wiedziałbyś – odrzekł Taisto głosem fachowca. – Kaapo mi mówił.

Kaapo Laamanen, lat pięć, był w przedszkolu największym autorytetem od chorób, bo dostał na urodziny książkę pod tytułem *Bakterie i wirusy*. Z jego orzeczeniami zwykłym śmiertelnikom nie wypadało polemizować.

– Jakbyś był, nie wiem, nieobecny myślami – powiedziała matka.

– Zmęczony jestem – odparł Samuel.

Musiał się bardzo skupić, żeby udawać, że słucha.

Sądził, że to szok, ale wrażenie nierzeczywistości nie mijało mimo upływu dni. Czuł, że z dawnego siebie ma jeszcze tylko zarysy ciała.

Nie mógł przestać myśleć o tym, jak zaplanowane było to wszystko, co się działo za przeszkloną ścianą: każdy pasek, każdy plastikowy detal, każdy wspornik i każdą rurkę zaprojektowano genialnie, z inżynierską precyzją.

Tego chcieliśmy.

Ale przecież musiał wiedzieć.

I wiedział.

W pewnym sensie.

Następny tydzień przesiedział w swoim pokoju przed komputerem w zupełnym odrętwieniu. Całą energię psychiczną i wszystkie siły fizyczne tracił na próbach przekonania się do myśli, że taki właśnie jest ten świat, że takim właśnie chcieliśmy go stworzyć.

Że to nasze wspólne dobro, że tak jest najlepiej dla wszystkich.

A przede wszystkim, że na to się właśnie umówiliśmy w naszym demokratycznym ładzie, że wszystko to jest zgodne z naszymi normami.

Że znowu chodzi o to, o czym matka mówiła mu już na jesieni: że przyszedł czas, by w końcu wydorosnąć.

Że zawsze to wiedział, że nic się nie zmieniło, że po prostu na własne oczy zobaczył to, co było jasne od samego początku.

Że świat już taki jest i trzeba się z tym pogodzić.

Próbował z całych sił.

Może właśnie o to chodziło.

Wszechogarniająca ociężałość przyszła później, dopiero gdy po raz pierwszy powiedział na głos, co tam zobaczył.

– Halo? – usłyszał w słuchawce po długim oczekiwaniu.

– Tu Samuel – powiedział. – Zły moment?

Nie wiedział, czy wypada mu dzwonić. Zdawał sobie sprawę, jak zwyczajnie na tle koszmarnego łomotu serca brzmi jego głos, może nawet beztrosko. To była ich pierwsza rozmowa telefoniczna po rozstaniu.

Poczuł, że kamień spadł mu z serca i po ciele rozszedł się przyjemny chłód:

w głosie Kerttu usłyszał szczere uczucie. Przeprosił ją za to, co wydarzyło się jesienią, i jak to wszystko się skończyło, jak wyglądało.

Kerttu jednak nawigowała miłosiernie z dala od szkieł jesiennych zaszłości, rezygnując z windykcji odsetek. A więc w międzyczasie wydarzył się cud, jakby czeremcha obsypała się kwiatem pod koniec zimy: dziewczyna mu wybaczyła.

Czuł się głupio, był wtedy taki młody.

– Co u ciebie? – spytała i na to nigdy nie miał żadnej obrony. Nie mógł teraz widzieć jej cierpliwych, rozumiejących oczu, ale wiedział, że Kerttu czeka. Wysłyszała w jego głosie, że coś jest nie halo.

– Jakiś czas temu zobaczyłem coś w pracy – odezwał się, choć słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. – Coś takiego, że chyba nigdy tego nie zapomnę.

Mimo wszystko ta klucha w gardle całkiem go zaskoczyła. To w końcu nic takiego, przecież zawsze o tym wiedział, w pewnym sensie.

W pewnym sensie: właśnie dlatego drzwi piwnicy miały trzy różne zamki i do środka wchodzić mogły tylko osoby uprawnione. I dlatego o tym, co się za tymi drzwiami dzieje, mówiono w taki, a nie inny sposób; dlatego wszystkie artykuły naukowe pisano tak, a nie inaczej. I to zawsze wiedział, w pewnym sensie, a jednak nie rozumiał, że słowa od zawsze mają także inny cel: ukrywać.

Z tego samego powodu zdjęcia w folderach laboratoryjnych były zawsze jasne i czyste, a beagle'e wyglądały na zdrowe i szczęśliwe. Z tego samego powodu każde zwierzę sprawiało wrażenie oddanego partnera gotowego służyć nauce, poszerzać zasięg jej twardego gruntu. Na inne fotografie nie zgodziłyby się zresztą żadne organizacje: trzeba oszczędzać wstrząsów opinii publicznej.

On też w tym wszystkim uczestniczył. To z tym wiązały się wszystkie równania w jego modelach. Przecież cały czas o tym wiedział – czy dlatego płacze teraz Kerttu do słuchawki, kiedy jej o tym opowiada? Czy może dlatego, że to musiały być akurat beagle'e?

Wpatrując się w naładowany rewolwer w rękach swojego syna, Joe zdał sobie sprawę, że popełnił kardynalny błąd – nie o wszystkim jednak można dyskutować. Najwyraźniej był w błędzie, w pewnych sprawach po prostu nie można dojść do porozumienia. Jego sposób patrzenia na świat z pewnością nie był jedynym słusznym – co jakiś czas stwierdzał, że mylił się w kolejnej sprawie, którą do tej pory uważał za oczywistą – ale nie przypuszczał, że nie

wolno mu mieć w ogóle własnego punktu widzenia.

Patrząc na rewolwer, czuł, że przewracają mu się wnętrzności. Nagle zrozumiał, co Miriam próbowała mu powiedzieć przez ten cały czas. Że ktoś może być tak rozgoryczony, tak fanatyczny, tak rozczarowany własnym życiem, tak bezkompromisowy, tak przekonany o słuszności swoich poglądów, że czuje się w prawie terroryzować, dręczyć, zabijać. Ale tego Joe nigdy nie zaakceptuje. Nie ma takiej możliwości, by syn zmusił go do przejścia na swoją stronę. To uświadomienie, wywołany nim gniew i związana z tym wszystkim świadomość nadchodzącej śmierci napełniły go pewnością silniejszą od lęku.

– Na pewno masz swoje przemyślenia i doświadczenia, które są dla ciebie ważne – powiedział, patrząc synowi w oczy.

Wiedział, że także w uszach tamtego jego głos musiał wydać się mocny, i przez głowę przebiegła mu myśl, czy zdołałby wyszarpnąć mu broń z ręki, gdyby zrobił to wystarczająco szybko i pewnie, wykorzystując element zaskoczenia.

– Na pewno ci się wydaje, że wszystko jest dokładnie tak, jak ty myślisz. I na pewno masz ku temu powody, które dla ciebie są ważne. Może warto jednak wziąć pod uwagę, że twój punkt widzenia nie staje się przez to jedynym słusznym.

Syn zrobił zdziwioną minę, oczy zwięziły mu się w szparki. Otworzył powoli usta i powiedział:

– I vice versa.

Joe ukrył twarz w dłoniach. *I vice versa*. Dlatego właśnie *on* musi teraz zginąć: dlatego, że uważają go za fanatyka. Przez całą wiosnę miał nadzieję, że ktoś z nich zechce porozmawiać. Tak się nie stało.

– Z czego się śmiejesz? – spytał Samuel.

– Nie śmieję się.

– Roześmiałeś się.

– Tak?

– Trochę.

– Aha. No, możliwe – powiedział Joe.

Miał ochotę usiąść. Czy syn go zastrzeli, jeśli usiądzie? Próbował się przygotować na to, co go czeka – czy będzie bolało, czy też pójdzie łatwiej, niż mu się zdaje?

– Co cię tak śmieszy?

Syn wyglądał na zainteresowanego – może miał ochotę się z nim jeszcze pokłócić, a może szukał ostatecznego pretekstu do pociągnięcia za spust. Joe

zastanowił się chwilę.

– No... – zaczął. – Na wiosnę brałem udział w pewnej debacie.

Zerknął na syna. Wciąż mierzył do niego z rewolweru. Przez głowę przemknęła mu myśl, że łatwiej byłoby rozmawiać, gdyby jeden z rozmówców nie celował drugiemu z rewolweru w głowę.

– No i?

– I odniosłem wrażenie, że nikogo tam nie interesowało, jak to wszystko naprawdę wygląda.

– Takie odniosłeś wrażenie.

Słowa Samuela zabrzmiały gorzko.

– Może trudno w to uwierzyć – powiedział powoli Joe – ale od samego powtarzania czegoś w kółko w prasie jeszcze nic nie stało się prawdziwsze, niż jest. Wszyscy ci fanatycy mieli już tak ugruntowane poglądy na wszystko, że nie można było z nimi dyskutować. Żaden z nich nie chciał słyszeć niczego, co kłóci się z jego poglądami. Żadnego nie interesowało, jak to wszystko wygląda naprawdę.

Joe odniósł wrażenie, że w jego synu coś się zakotłowało. Trzymająca rewolwer dłoń drgnęła i Samuel niewyraźnym, bulgotliwym głosem powiedział:

– I vice versa.

Joe znów się roześmiał.

– Nie mieli pojęcia, o czym mówią! Mieszali sto różnych zagadnień i wydawało mi się, że robią to rozmyślnie.

– Tak ci się wydawało.

– Dużo mówili – powiedział Joe zmęczonym głosem – ale nie miało to żadnego związku z tym, czym ja się zajmuję.

Samuel patrzył na niego.

– Dlaczego myślisz, że wszystko musi mieć jakiś związek z tobą?

Joe był zdumiony.

– Co?

– Mówię o tej dyskusji – powiedział Samuel. – Widziałem ją w necie.

– Ten pięciominutowy klip to naprawdę nie jest cała prawda o tamtej debacie. No, ale was to przecież nic nie obchodzi.

– Was?

– No, ciebie i tych twoich przyjaciół.

– Po pierwsze – powiedział powoli Samuel – nie masz pojęcia, co interesuje moich przyjaciół. Nawet nie wiesz, kim są. Po drugie, obejrzałem tę debatę w necie.

– Mógłbyś słuchać, co do ciebie mówię, drogi przyjacielu. Powiedziałem, że ten pięciominutowy klip...

– Całość.

Joe był zaskoczony. Syn patrzył mu prosto w oczy.

– Całość trwała półtorej godziny – powiedział Joe. W jego pewności siebie pojawiła się niewidzialna rysa.

Samuel skinął głową.

– Godzina dwadzieścia sześć. Obejrzałem od początku do końca.

Joe poczuł ukłucie wstydu. No tak, nigdy nie zakładaj niczego z góry, jeśli nie wiesz na pewno. To przecież oczywiste, oni tak działają: niezmordowanie wężą za szczegółami, które pomagają im potem w podżeganiu.

– No – odezwał się w końcu. – Na pewno miałeś z tego sporo radości.

– To był lincz – powiedział Samuel.

Joe uniósł wzrok. Nie umiał zinterpretować wyrazu twarzy syna.

– Byłeś sam przeciw wszystkim – ciągnął Samuel. – Zjechali się tam kupą, żeby cię publicznie zlinczować.

Joe był zaskoczony, bo poczuł, że w środku coś się w nim podnosi, coś mocnego, ciepłego. Postawił to coś do pionu i kiedy był już prawie pewny, że do jego syna w końcu zaczyna coś docierać, kąciki ust Samuela opadły.

– W niczym nie miałeś racji – powiedział.

– Co?

– W niczym, o czym tam mówiłeś.

Joe westchnął.

– Wy to akurat najlepiej wiecie.

– Mówiłeś o sprawach – ciągnął Samuel – o których nie wiesz nic. I mógłbyś przestać używać ciągle tego *you people, wy*, kiedy mówisz tylko do mnie.

Joe poczuł, że budzi się w nim znajomy gniew.

– A, że ja niby nic nie wiem? Nie wiem nic o mojej pracy?

– To jest to słowo klucz – powiedział Samuel i skinął głową. – *Moja praca*.

Samuel wydawał się zaskakująco spokojny. I to, co właśnie powiedział, zabrzmiało jak puenta, chociaż Joe nie wiedział, o co w niej chodzi: że niby postrzega wszystko przez pryzmat swojej pracy i dlatego nie dostrzega nieodwracalnych szkód, jakie wyrządza swoimi słowami i czynami?

Samuel powiedział mu, że nie wie, co robi.

– No, ale przecież dlatego właśnie tu jesteś! – rozżłościł się Joe. Nie potrafił już dłużej odsuwać od siebie gniewu, frustracji i poczucia wielkiej niesprawiedliwości. – Bo niestety to właśnie o moją pracę cały czas tu chodzi!

Wyście to, kurwa, wszystko zaczęli i o to właśnie teraz toczy się ta walka!

Samuel gapił się na niego z pobladłą nagle twarzą. Joe pomyślał, że teraz pociągnie za spust.

– Co ty za głupoty wygadujesz?! – wykrzyknął chłopak. – Myślisz, że przyjechałem tu z powodu twoich eksperymentów?!

– A z jakiego niby innego?! – Teraz i Joe podniósł głos. – Włamujecie się do mojego laboratorium, wybijacie szyby w moim salonie, wydzieracie się przez megafon na moim trawniku i grozicie mi śmiercią! Kurwa mać! A niby z jakiego innego powodu trzymam w domu ten pierdolony rewolwer, co?! Broń, której nikt w tym domu nigdy nie chciał?! Co mi tu pierdolisz jakieś głupoty?! Strzelaj wreszcie, do kurwy nędzy! Albo odłóż tego gnata, bo już dłużej tego nie zniosę! Zrób to już wreszcie, po toś tu przyjechał!

Samuel wyglądał tak, jakby ktoś go zdzielił łopataą po głowie.

– Co ty gadasz? Że ja niby przyjechałem tu po to, żeby cię zastrzelić?

Joe przez chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa.

– No, w tej sytuacji... można chyba odnieść takie wrażenie – powiedział w końcu.

Nie zdołał powstrzymać szybkiego spojrzenia na rewolwer, z którego Samuel do niego mierzył. Chłopak to dostrzegł i też zerknął na niego szybko – i jakby się zdziwił, że ciągle trzyma go w rękach. Z jakiegoś powodu Joe nie był zaskoczony, gdy Samuel powoli opuścił broń.

– I vice versa – powiedział cicho Samuel.

Joe przełknął.

Miał rację. Chwilę temu to on mierzył do syna z tego samego rewolweru. Ale to była inna sprawa.

– Bo... ja tu mieszkam – powiedział na głos.

Bąknął jeszcze, że chciał tylko bronić swojej rodziny.

– Może wyjaśnimy sobie jedną sprawę, zanim zaczniemy mówić o czym innym – powiedział Samuel słabym głosem po długiej chwili milczenia. – Nie mam nic wspólnego z ludźmi, którzy cię dręczyli. Z wyjątkiem jednej informacji.

Joe wpatrywał się w dywan w przedpokoju. Zerknął na broń, która już się nie podniosła. Kiedy nie widział twarzy Samuela i nie zwracał uwagi na jego kanciasty, fiński akcent, w jego głosie słyszał wyraźnie baryton swojego brata Davida.

– Ani z tymi – mówił dalej Samuel – którzy próbowali ci powiedzieć podczas tamtej dyskusji, co ich interesuje, a do których ty krzyczałeś, że twoja praca, twoja kariera, twoje doświadczenia i twoje metody są

ważniejsze od tego, o czym oni chcieliby porozmawiać, bo dobrze się w to wgryźli. Krzyczałeś na nich, że nic nie rozumieją, chociaż próbowali ci powiedzieć, że ich zdaniem pewne rzeczy w życiu są ważniejsze od naszych potrzeb i zachcianek. Krzyczałeś na nich, że najpierw muszą zrozumieć wszystkie najdrobniejsze szczegóły twojej pracy, by móc się wypowiedzieć o jednej z tych tysięcy spraw, o których myślą dzień w dzień i o których ty nie wiesz absolutnie nic. Ale ja nie mam z nimi nic wspólnego.

Z niezrozumiałego powodu Joe czuł się tak, jakby całe jego ciało zaczęło płonąć. Samuel powiedział, że kiedy tyle razy widzisz, jak ktoś obraża to, co ty uważasz za święte, to coraz trudniej ci pojąć, skąd ten brak szacunku, dlaczego ktoś nawet nie próbuje cię zrozumieć.

Jeśli masz ważną sprawę, o której bardzo chcesz mówić, ale druga strona raz za razem odmawia ci wysłuchania, to w końcu możesz się poczuć tak, jakby twoje człowieczeństwo zostało anulowane, ciągnął Samuel. Pierwszy krok musi zrobić ten, kto ma władzę. Większy powinien wysłuchać mniejszego, a nie odwrotnie.

Joe nie miał ochoty słuchać wykładu o moralności, lecz stał w miejscu jak sparaliżowany. Z jego rąk i nóg odpłynęły wszystkie siły. Został potraktowany niesprawiedliwie i choćby nawet nie była to prawda obiektywna, to jednak jakaś prawda – może tylko jego własna, ale zawsze prawda. Nie wiedział dlaczego, lecz im mocniej sprzeciwiał się w duchu twierdzeniom syna, tym bardziej paliły go wewnętrzności.

– Mów, co chcesz – powiedział Joe. Czuł, że ugną się pod nim nogi i upadnie, jeśli zaraz nie usiądzie. – Ludzie, którzy przysyłają dzieciom bomby z gwoździami, by komuś udowodnić prawdziwość swoich lewych argumentów, są chorzy. Żli do szpiku kości. Możesz sobie mówić, co ci się podoba, ale w tej sprawie prawda jest tylko jedna, i jest to prawda absolutna. Nic mnie nie obchodzi, co oni mówią: dopóki żyję, będę robił wszystko, żeby ani jeden człowiek, który w taki sposób broni praw zwierząt, nie mógł się tu przebić ze swoją ewangelią nienawiści. Będę robił wszystko, by każdy obywatel tego kraju mógł wykonywać legalny zawód bez obawy o swoje zdrowie i życie.

Samuel na te słowa jakby zaczął tracić panowanie nad sobą. Pole widzenia Joego skurczyło się w szarą elipsę, w piersiach poczuł ukłucie.

– *Are you kidding me?* – wydusił z siebie chłopak.

I powtórzył to wielokrotnie: czy Joe naprawdę myśli, że *ludzie broniący praw zwierząt* mogli wysłać bombę jego córkom?

Był tak szczerze zdumiony, że Joe już nie miał pojęcia, o czym jest ta

rozmowa.

To było po prostu cholernie niesprawiedliwe. Żeby ktoś go powitał, celując w niego z rewolweru: *kim* jest ten człowiek? Przez cały czas podróży autobusem przez Stany świadomie odpychał od siebie ten kotłujący się wir, lecz kiedy zobaczył broń w ręku ojca, nie potrafił już dłużej od tego uciekać: poczuł smak żelaza w ustach i tamtą gorącą jak lany ołów falę, której pozwolił się w końcu porwać – dwa lata temu, pewnej nocy po maturze. I znów, nie wiedzieć czemu, pod powiekami zobaczył serię zdjęć ojca w najważniejszych gazetach świata: nieodmiennie beztroskiego, uśmiechniętego, cenionego naukowca, który opowiada całemu światu, jak to eksperymenty na zwierzętach ratują świat.

W drzwiach poczuł tylko, że wzburzyła mu się krew. Widząc broń na podłodze, najpierw wziął ją do ręki, żeby odłożyć gdzieś na bok. Wtedy jednak w jednym przeblysku pojął, co to takiego – jaki jest jedyny cel produkowania podobnych rzeczy i co jego nieznajomy ojciec zamierzał mu przed chwilą zrobić. Widział to w jego twarzy: on naprawdę był gotów to zrobić. I zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, co musiał znosić przez tego człowieka i z czym musiał sobie sam radzić bez żadnej pomocy z jego strony – po tym wszystkim chyba mógł mieć, kurwa, pewne poczucie krzywdy, kiedy gość wita go wycelowanym prosto w twarz naładowanym gnatem. Opanowała go wtedy neodparta chęć, żeby dać mu posmakować tego samego uczucia: przyjemnie, jak ktoś ci mierzy z rewolweru między oczy?

Tłumacząc mu to teraz na głos, dostrzegł niedowierzanie na twarzy ojca, zrozumiałą niepewność, która mu raczej za szybko nie minie.

Mówiąc to, zdał sobie sprawę, że nie kierowały nim żądza zemsty ani czysty strach, jak z początku sądził. Przemknęło mu przez myśl, czy nie było to czasem co innego: czy nie poczuł mimowolnej pokusy, by w ten sposób wyrównać rachunki z tamtym policjantem, który mu spryskał oczy gazem pieprzowym.

Może właściwe słowo to „władza”, uprzytomnił sobie, szukając angielskiego wyrażenia, które najtrafniej opisałoby tamtą nagłą chęć. Zaskoczyła go wtedy całkowicie; nie spodziewał się, że buzują w nim jeszcze tak potężne emocje.

Zrobić drugiemu człowiekowi coś takiego wyłącznie dlatego, że nagle to możliwe? Zrobiło mu się wstyd.

Ojciec ciągle siedział na podłodze. Z nosa mu ciekło, a jego łysiejąca czaszka wyglądała jak krucha, nieosłonięta skorupa. Z jakiegoś powodu

widok go zabolął i musiał odwrócić wzrok. Nie wiedział, czy jego amerykański ojciec będzie chciał słuchać tego, co zamierza mu teraz niedokładnie i niezdarnie powiedzieć w obcym sobie języku, zrozumiał jednak, że nadarza się właśnie jedyna okazja w życiu, żeby komuś wyjaśnić, co takiego zrobił. Nie miał na to najmniejszej ochoty, czuł jednak, że musi spróbować.

Nigdy nie doświadczył niczego takiego jak w tamten wieczór po powrocie z plaży na Hietaniemi. Tamtej nocy, kiedy na przyjemnym chmielu zniszczył ciepłym siurem swoje świadectwo maturalne w indywidualnym, przez nikogo niezauważonym proteście, doznał olśnienia. Do tamtej pory nie zdawał sobie sprawy, że życiem i jego najważniejszymi wymiarami można się rozczarować tak dogłębnie, tak ostatecznie. Po powrocie do domu, kiedy przestał się już bronić i tłące się od dawna zarzewie buchnęło w końcu żywym płomieniem, uzmysłowił sobie, że to, na co czekał, nigdy się nie ziści.

I wtedy nagle ostatnie kawałki puzzli – rzeczy, o które Kerttu go taktownie czasem podpytywała, a które on nieodmiennie zbywał wzruszeniem ramion – wskoczyły na swoje miejsce. Z tej nowej perspektywy oczywistością stało się nagle także to, co matka komunikowała mu zatroskanymi spojrzeniami i długimi westchnięciami, a czego on nie potrafił zrozumieć. Nagle skumulowało się w nim to, co reszta świata wiedziała od zawsze, a w co on po prostu nie chciał uwierzyć, i po przejściu czerwonej pożogi poczuł wielkie znużenie. To, czego wszędzie zawsze szukał – nadzieja, która pozwoliła mu osiągnąć wszystko w dotychczasowym życiu – okazało się irracjonalnym absurdem.

Ta nadzieja żyła tylko w jego głowie. Ojciec nigdy się do niego nie odezwie, nigdy nie zechce się zainteresować tym, kim jest, nie będzie chciał o nim nic wiedzieć; nigdy go nie przyjmie z otwartymi ramionami. Ta sama jaszczurcza intuicja, dzięki której zawsze bezbłędnie łączył pozornie odległe sprawy, podpowiedziała mu tamtej nocy również to, że nic już nie zdoła zrobić dla ginącej planety – w żaden sposób nie wpłynie na klimat, nie powstrzyma fali wymierania gatunków, nie zaradzi żadnemu z miliona innych problemów, które z dnia na dzień tylko się pogłębiają.

Jeszcze rano czuł się tak, jakby wykrwawił się na śmierć. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, i nie chcąc spotkać się z Henrim ani matką, wyszedł z domu i wałęsał się bez celu po mieście. Na dworze było zimno, a niebo przypominało asfalt; o każdej porze doby po ulicach hulało to samo świszczące, granitowe światło. Jeździł trójką jak w stuporze, szwendał się po

placu Targowym i po Eirze, przy dworcu głównym wsiadł do autobusu, nie patrząc nawet na numer. Wieczorem był tak wyczerpany, że musiał usiąść na przystanku przy osiedlu domków jednorodzinnych, które przez cały dzień dziwnie go przyciągało, choć oczywiście nikt tam na niego nie czekał, tam też nie.

Było już po zmierzchu i zaczęło padać. Siedział i oglądał znajome miejsca, za każdym razem jednak zderzał się wciąż na nowo z konstatacją, że wszystkie jego nadzieje, oczekiwania i tęsknoty są nierealne.

Zdażył właśnie pomyśleć, że na świecie nie ma ani jednej istoty, dla której cokolwiek by znaczył, że nie ma nikogo, kto widzi i rozumie, co mu się przytrafiło, kiedy uzmysłowił sobie, że leniwie przemierzające się czerwone kalosze po drugiej stronie ulicy wydają mu się skądś znajome. I zużyta smycz, która przy blokowaniu ostro skrzypi, i cztery włochate łapy, i zamiatający ziemię ogon. Gdy dotarło do niego, że czubki kaloszy już od pewnego czasu są zwrócone w jego stronę, z trudem uniósł głowę – i napotkał spojrzenie matki Kerttu.

Matka Kerttu z pewnością miała rację we wszystkim, co sobie o nim myślała. Przecież złamała serce jej córce. I sam nawet nie bardzo wtedy wiedział, co robi. Kobieta miała pełne prawo żyć do niego niechęć i uważać, że wszyscy mężczyźni to świnie, a już zwłaszcza ci w wieku Samuela – bo tak rzeczywiście jest.

Z całego serca pragnął, żeby zniknęła, żeby już poszła do domu, do ojczyzna Kerttu, który o tej porze zaczynał już zazwyczaj osuwać się pod stół z butelką w dłoni i bredzić o swojej młodości i głodzie życia, który nawet kiedy facet ma pięćdziesiąt lat, to nie znika – słyszycie? – *nie znika!*

Lecz matka Kerttu przeszła przez jezdnię. Samuel usłyszał stukanie mokrych kaloszy o chodnik i zobaczył tężejące cienie, które sunęły na niego w żółtawym świetle latarni. Głowę miał spuszczonej, nie zdołał jednak uniknąć spotkania z przemoczonym psem, który wcisnął mu głowę między kolana, zastrzygł uszami i apatycznie machnął ogonem na powitanie.

– Co się dzieje? – spytała kobieta. Samuel zdażył zobaczyć zatroskanie na jej twarzy, chociaż przezornie unikał kontaktu wzrokowego. Jeśli wcześniej widział w jej oczach krytykę, to nie został po niej żaden ślad.

Nie wiedział, czy pokręcił głową na znak, że nic, czy to może dlatego, że nie chciał jej tego tłumaczyć. Spytała:

– Wszystko dobrze?

Pokręcił głową.

Matka Kerttu jeszcze raz, innymi słowami, spytała go o to samo. Nie chciał

być nieuprzejmy, nie zdołałby jednak wydusić z siebie słowa, nie parszkając zarazem całą resztą. Z niczym nie można już było nic zrobić i dlatego nie warto o niczym rozmawiać – byłby zdolny jedynie do wyrzygania z siebie całego tego rozgoryczenia, wszystkich doznanych krzywd, nienawiści do samego siebie, gniewu i wstydu na głowę tej kobiety, która niczym sobie nie zasłużyła na coś takiego.

Ale pies – ucieszył się na jego widok. Stał przy nim spokojnie, tak po prostu. Ogon uderzał rytmicznie w słupek wiaty. Po całym dniu bez jedzenia poziom cukru we krwi obniżył się Samuelowi tak bardzo, że nie był pewny, czy zdoła się podnieść z zimnej ławeczki. Ale pies – jego smutnego spojrzenia spomiędzy zwieszonych uszu nie mógł w tej pozycji uniknąć, bo zwierzę wpychało pysk coraz bliżej jego twarzy.

I chociaż postanowił, że już nigdy nie będzie o tej sprawie myślał, pamięć przypomniawszy mu sytuację, która prześladowała go przez piętnaście lat: kiedy matka go spytała, czy chce polecieć sam na dwa tygodnie do Stanów Zjednoczonych, żeby spotkać się z ojcem. Pamiętał, że był tak oszołomiony słowami matki i propozycją, dla sześciolatka absolutnie porażającą, że z początku nawet nie wierzył, że ona mówi serio. Samodzielny lot samolotem to była najlepsza rzecz, jaką mu w życiu zaproponowano. Poza tym Stany Zjednoczone oznaczały tę stronę w książce o zwierzętach, na której był bielik amerykański, i dlatego Samuel bardzo chciał polecieć, pragnął tego z całego serca.

Decyzja należała do niego: matka naprawdę pozwoli mu lecieć.

Przypomniał sobie swoje zdziwienie, kiedy zaczęła mu mówić, że podczas takiej długiej samotnej podróży może ogarnąć go strach, może płakać i żałować, że się zdecydował lecieć – tego ostatniego matka raczej na pewno nie powiedziała na głos, lecz minę miała taką, że w jego pamięci zapisały się właśnie takie słowa. On by miał żałować? Że leci samolotem?

Jak się z tym czujesz, Samuel?

Samuel? Chcesz lecieć do ojca?

Czy nie?

Ale tam będziesz musiał mówić po angielsku.

Samuel? Może byś mi wreszcie powiedział, co tak naprawdę o tym myślisz? Które rozwiązanie jest najlepsze twoim zdaniem?

Z pytań matki Samuel wywnioskował, że lot samolotem to także konieczność spotkania się z ojcem: poczuł wtedy kluchę w gardle i serce mu załomotało. Próbował przywołać z pamięci obraz zarośniętego, ciemnego mężczyzny, o którym mówi matka, lecz wszystkie wspomnienia wyglądały

jak nieostre, wyblakłe zdjęcia. Stał z walącym sercem i spuszczoną głową, jakby patrzył na czarną, połyskującą wodę, nie widząc, co kryje się pod powierzchnią. I wtedy uzmysłowił sobie konsekwencje swojej decyzji: mama zostanie sama na cały ten czas, gdy on będzie w samolocie. I zrozumiał, że nie może polecieć. Przecież ona nie ma żadnych przyjaciół, nie poradzi sobie przez dwa tygodnie sama, bez niego. Najtrudniejsze w tym wszystkim były jednak dalekosiężne skutki tej decyzji, jej ostateczny charakter, o którym nie miał wtedy pojęcia i którego ciągle nie mógł pojąć do końca; nie rozumiał, że – jak się później okazało – zdecydował się zarazem na to, że już nigdy w życiu nie spotka ojca, że już niczym nie zapełni ziejącej bólem dziury w piersi – w tym miejscu, gdzie wszyscy inni kogoś mieli: czasem tylko poszarpaną postać bijącego po pijaku, żalostnego, bezwartościowego alkoholika, ale zawsze kogoś. A on wybrał nie tylko pozostanie w domu, lecz także trwałą i ostateczną separację od ojca, i to wybrał ją sam – co prawda jako nieświadomy sześciolatek, ale jednak – a gdyby postanowił inaczej, całe jego życie mogłoby teraz wyglądać zupełnie inaczej, czego nigdy sobie nie daruje. I choć znał beagle'a dobrze, był zaskoczony, że tak to się odbyło. Pies był ciepły i przez gładką, biało-brązową sierść Samuel czuł bicie jego serca. Wiedział, że nie powinien, ale gdy głaskał miękkiego, śmierdzącego błotem i deszczem psa, wspierające się na jego kolanach zwierzę wydało mu się nagle tak naturalnie ciężkie, tak nieporadnie brązowe i ufne, jego białe łapy tak ciepłe, a pysk tak obwisły – i jakże on patrzył na niego tymi swoimi psimi oczami, jak godził się na wszystko, jak nie potrzebował żadnych wyjaśnień, nazw ani rozwiązań, jakże nic nie było dla niego ani znaczące, ani szczególne, sprawy ludzkie to sprawy ludzkie – ale teraz jest tylko ten pysk, i pies, któremu nie przyjdzie nawet do głowy, żeby coś powiedzieć i wszystko tym zepsuć, i te jego jedwabiste, zwieszane uszy, skąd u niego nagle taka czarna mordka, wilgotna, taka mordkowata. No i matka Kerttu, której twarzy na szczęście nie widzi, stoi z boku w kaloszach i z parasolem w ręku i widzi, że teraz to się stało, i potem już nic nie można było na to poradzić, i wtedy w końcu to wszystko na niego spadło. Psu także to nie przeszkadzało, patrzył tylko na niego tymi swoimi rozumiejącymi oczami i trącał ciepłym pyskiem w pierś.

Nie potrafił ocenić, ile nocy, weekendów i miesięcy swojego nastoletniego życia poświęcił na szukanie informacji o ojcu. Zrobiła się z tego po cichu praca na pół etatu, która skończyła się właśnie wtedy, w deszczowy wieczór na przystanku z matką Kerttu i psem. Wtedy przestał się po ojcu spodziewać

czegokolwiek.

W ciągu kolejnych tygodni przejrzał w pamięci wszystkie okruchy wiedzy o nim, które zebrał na przestrzeni lat z opowieści matki i z globalnej sieci, oplakując każdą po kolei. Rozproszone anegdoty, zdjęcia, adres domowy, numer telefonu, zdjęcia dzieci – uprzętnął to wszystko z pamięci, wyrzucił do kosza, także te najmniejsze drobiazgi znalezione w necie przez całkowity przypadek, niektóre zupełnie niezrozumiałe (*ANNOUNCEMENT: Neuroscience undergraduates only allowed 2.5 credits during Intersession will be able to earn 3 credits per Dr. Chayefski's adjustment at the end of Intersession!*). Wszystkie te bezcenne kawałki układanki, które zachował w sercu i które wieczorami badał w swoim pokoju za zamkniętymi drzwiami, żeby zrozumieć, jakim człowiekiem był jego ojciec – każdy w myślach w ciągu kilku następnych dni i tygodni najpierw pochwartował, a potem zniszczył. Czy naprawdę postawił aż tyle na zupełnie obcego sobie człowieka, na kogoś, kto prawie zapomniał o jego istnieniu?

Matka przyglądała mu się niepewnie z dystansu, nie mając pojęcia, co się w nim kotłuje, nie chcąc pogarszać sprawy, nie wiedząc, jak mogłaby pomóc. Samuel widział, że jest zmartwiona, i z pewnością mógł sprawić wrażenie młodego człowieka, który wpadł w depresję, który zamiast serca ma czarną ziejącą dziurę i wkrótce targnie się na swoje życie.

Jakie to niepojęte, w *chuj* frustrujące i *kurewsko* niesprawiedliwe – pamiętał, jak się dziwił sobie w tamtych tygodniach: żeby jak jakiś pojeb oplakiwać człowieka, którego nigdy nie spotkał i który żyje sobie dobrze i beztrąsko gdzieś tam w swoim świecie. Zdumiała go regularna żałoba, w jaką zapadł się po zakończeniu tej wewnętrznej czystki; dla dziesiętnastolatka było to zupełnie nowe przeżycie. Kubeł zimnej wody, antyteza tamtego palącego uczucia, jakiego doświadczył na plaży na Hietaniemi.

Niesprawiedliwe było to, że spadło to na niego i nikt go nie pytał o zdanie. A wszystko przez egoizm poprzednich pokoleń i bałagan, jaki po sobie zostawiły, przy którym jego uczucia i potrzeby przestawały istnieć.

Po czymś takim po prostu musiał mieć trwałe blizny.

Kto by nie miał.

Bez tego doświadczenia wszystko zrobiłby źle. Co do tego nie miał później żadnych wątpliwości. Bez tego gruntownego, wewnętrznego sprzątnięcia, bez tych tygodni wylewania sobie kubłów zimnej wody na głowę nie potrafiłby później zachować się właściwie wobec beagli. Nie wiedział, co by się stało

albo w co by się wpakował, lecz motyw byłby całkowicie inny, niż być powinien.

O tym właśnie mówił tamten mnich na spotkaniu w bibliotece: że miłość poznaje się po tym, że nie daje alternatyw, nie stawia żądań, nie kalkuluje kosztów. Że miłość poznaje się po tym, że skupia uwagę na czymś innym niż moje ja i to, czego ja chcę. Że miłość od razu wie, jak należy postąpić.

Samuel pamiętał, że zastanawiał się wtedy, co też mogą znaczyć słowa zakonnika.

Czy mówił jak katecheta w szkole? Czy serwował im miks wyuczonych na pamięć frazesów, niespełnionych nadziei, źle uzasadnionych, nienaukowych przekonań, skrzywionego wychowania, niechęci do dyskusji?

Czy może jednak wiedział coś, o czym nie wiedzieli ani Samuel, ani katecheta?

Zrozumiał to dopiero podczas rozmowy z Kerttu. Dopiero w jej współczujących potaknięciach zaczął powoli słyszeć, co mu się przydarzyło tamtego dnia, kiedy zapukał do drzwi na poziomie K2 centrum badawczego Laajakosken Biotieteet Oy i otworzył mu wysoki i wysportowany, z wyglądu jak najbardziej spoko gość z szerokim uśmiechem na twarzy. Dopiero po tamtej rozmowie z Kerttu i po rozważeniu wszystkich opcji zrozumiał, że to jest jego *kairos*, jedna z tych bardzo rzadkich chwil w życiu człowieka, która rozstrzyga o jego dalszym losie.

Przeżycie było tak zasadniczo odmienne od żaru, który wypalił mu wnętrze w tamtą noc po powrocie z plaży na Hietaniemi, że doznał olśnienia: bez obu doświadczeń nie byłoby go teraz tutaj, przynajmniej nie tak. I nie byłby tą osobą, którą jest, bez każdego szczegółu, który musiał w myślach przekwalifikować z ważnego na nieważny, bez każdej nadziei, którą musiał pogrzebać, bez tych tygodni, które przeżył jak we wnętrzu ołowianej chmury, bez tej dziury, która została mu po tamtym przeżyciu, bez otwartej rany, która nadal paliła, gdy ktoś tykał ją paluchem – i już zawsze będzie go palić. Bez matki Kerttu i bez psa, i bez głosu Kerttu w telefonie nie potrafiłby odróżnić miłości od nienawiści.

Bez tego wszystkiego zrobiłby dla tamtych beagli coś takiego, jak podczas tamtej nocy po powrocie z plaży, czyli coś dokładnie przeciwnego od tego, co należało zrobić; coś, czego by żałował do końca życia.

Z wyjątkiem tej jednej nocy i tego czegoś, co musiał przeżyć po powrocie z plaży, wszystko poszło dokładnie tak, jak miało pójść.

Za to, co zrobił w centrum badawczym firmy Laajakosken Biotieteet Oy z powodu tamtych beagli, być może trafi do więzienia, chyba nawet na

pewno, ale taka jest cena jego decyzji. Musiał to zrobić. Zło zaczyna się wtedy, kiedy dobrzy ludzie siedzą z założonymi rękami.

Tamtej nocy po powrocie z plaży na Hietaniemi Samuel zrobił jednak coś, za co teraz jego ojciec oskarża ich wszystkich – nawet tych, których nigdy w życiu nie widział.

Samuel patrzył, jak Joe z trudem podnosi się z dywanu w przedpokoju, gdzie na wieszakach i szafce z butami wisiały i leżały w beładzie rzeczy nastolatek. Wstyd mu było, że wtargnął w życie swojego nieznanego ojca i że dał się nastraszyć, z czego wynikł ten niewybaczalny wybuch wściekłości. Przecież to oczywiste, że wszyscy w tym domu muszą mieć zszargane nerwy. Biorąc pod uwagę, co ostatnio przeżyli... halo, trzeba było się wykazać trochę większą empatią.

Jak trudno się postawić w cudzym położeniu, pomyślał. Po tym wszystkim, co przeżyłem.

– Przepraszam – powiedział do ojca.

Dopiero gdy usłyszał swój drżący głos, zdał sobie sprawę, jak szczerą są jego przeprosiny. Joe nie odpowiedział. Zmartwiony Samuel postąpił krok za ojcem w stronę salonu. Nie był pewny, czy mógłby teraz tak po prostu wyjść.

– Przepraszam. To było karygodne z mojej strony. Po prostu bardzo się przestraszyłem – powiedział i podał rewolwer Joemu, który spojrzał na niego, jakby nie wiedział, co to jest, i zamknął oczy; machnął ręką i przeszedł do salonu na sofę. Samuel patrzył na lśniący przedmiot w swojej dłoni. Zrobiło mu się niedobrze na myśl, co przed chwilą zrobił.

– Może lepiej go gdzieś odłożyć na bok? – spytał ojca.

Joe gładził się ręką po głowie i nie odpowiadał. Był blady, czoło miał sperlone potem. Samuel się zmartwił, czy czasem nie przeholował. Faceci w tym wieku lubią dostawać zawału serca.

Położył broń na dywanie w przedpokoju, między szczypcami wyszczerzonego kraba. *This is Bawlmer, hon.*

– Dobrze się czujesz?

Joe machnął ręką niecierpliwie, dwa razy. To chyba miało znaczyć, że jest OK. Albo – idź już sobie.

Samuel stał bezradnie w przedpokoju. Gdzieś wewnątrz domu huczał wentylator. I co on ma teraz zrobić? Nie chciał, żeby ich jedyne i ostatnie w życiu spotkanie tak się zakończyło.

– Ojczy?

Na dźwięk tego słowa Joe jakby się wzdrygnął. Spojrzał na Samuela

lśniącymi oczami, jakby nagle sobie przypomniał, kim dla siebie są.

– Przepraszam, że zjawiam się tak bez zapowiedzi. Widzę, że to zdecydowanie zły moment.

Joe bez słowa wpatrywał się w podłogę przed sobą. Samuel zinterpretował to tak, że może mówić dalej.

– Mogę wejść? Chociaż na chwilę. Chciałbym jeszcze porozmawiać.

Joe nadal patrzył w podłogę. W końcu skinął głową swoim stopom: niech będzie.

Angielski Samuela był naturalny i swobodny, ale brzmiał obco; do Joego dotarło, że chłopak musiał się uczyć języka w fińskiej szkole, tak jak wszyscy jego rówieśnicy. A więc to jest Samuel, najwyraźniej, wszystko na to wskazuje: uśmiechnięty drągał, czarne pałające oczy, czarny zarost i czarna kaskada loków wylewających się spod za dużej wełnianej czapki. Młodzi ludzie są dziwni, tak chętnie ryzykują życie: wełniana czapka, latem w Baltimore.

Ze ściśniętym sercem Joe słuchał Samuela, który rozglądał się teraz ciekawie po wnętrzu i wypowiadał uprzejme uwagi o jego domu. I kiedy syn usiadł na sofie w salonie z taką swobodą, jakby robił to codziennie, Joe pojał, dlaczego ten mężczyzna nie przyjechał tutaj go zabić, dlaczego nie było to w ogóle możliwe.

Nie było w nim tego czegoś, co cechuje ludzi, którzy dopuścili się takiej czy innej przerażającej zbrodni – i stało się to dla Joego jasne jak słońce – nie było w nim tego poczucia ostatecznego, nieodwracalnego braku zrozumienia, tego pójścia na noże z całym światem. Poczucie to wydawało się tak niemożliwe u tego człowieka, że już pierwszy rzut oka wystarczał, by nabrać całkowitej pewności, że nie mógłby zabić ani ich, ani nikogo innego. Zbyt dobrze czuł się w swojej skórze, w jego oczach było za dużo ciekawości: była z niego aura odniesionych zwycięstw, emanowała pewność, że uda mu się wszystko, do czego się tylko weźmie.

To, co się wydarzyło przed chwilą, rzeczywiście musiało być skutkiem zwykłego przestרחu. Co prawda Joemu nie za bardzo chciało się w to wierzyć, ale wtedy zdał sobie sprawę, że sam się zachował dokładnie tak samo.

Samuel przyglądał mu się z troską, może nawet ze współczuciem. Nic dziwnego – Joe siedział na sofie jak paralytyk, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

– Czyli... przyjechałeś.

Tyle zdołał w końcu z siebie wydusić. Niby pytanie, a wyszło jak zarzut: Dlaczego teraz? Gorzej nie mogłeś wybrać.

– Przepraszam, że się nie zapowiedziałem – odrzekł Samuel. – W sumie to dzwoniłem, dwa razy, ale nikt nie odbierał.

Żeby coś powiedzieć, Joe zaczął składać słowa w nieporadny *small talk*:

– Skąd jedziesz?

– No... z więzienia stanowego. Prosto stamtąd. Skoro już pytasz.

Joe przełknął ślinę. Samuel musiał spostrzec, że ojciec się wzdrygnął, bo zaraz się poprawił:

– To jest z Oregonu. Z Eugene. Z Portland.

Eugene, Oregon – Joe zdołał jakoś uruchomić obolałe szare komórki: stolica amerykańskich anarchistów. To stamtąd koordynowano brutalne antykapitalistyczne demonstracje, które zwróciły powszechną uwagę mediów, to tam miały swoją siedzibę wszelkiej maści ekstremistyczne organizacje ekologiczne. Każdy ekoterrorysta w taki czy inny sposób miał powiązania z Eugene, napisał ktoś na forum dyskusyjnym Stand Up For Your Research Rights!

– Z Oregonu? – zdziwił się Joe i przez głowę przemknęła mu myśl, czy zdołałby rozpoznać objawy ataku serca, gdyby go nagle dostał. – Masz tam przyjaciół?

– *Yup*. Zaproszono mnie do zabrania głosu na jednym spotkaniu – odpowiedział Samuel. – Na takim seminarium w Portland.

Society for the Ethical Treatment of Animals – wyjaśnił Samuel. Z racji prowadzonych już od kilku miesięcy intensywnych poszukiwań igły w cyfrowym stogu siana Joe wiedział i to: chodziło o bojówkarskie ugrupowanie, do którego należą osoby uważające, że tacy jak on są w błędzie, i o spotkanie, na którym rozważano, w jaki sposób złamać mu karierę i zniszczyć jego pracę.

Z postawy tego nieznanego młodego zejdego – jego syna – emanowała taka pewność siebie, jakby od zawsze było jasne, że przyjedzie do niego właśnie dzisiaj, niezapowiedziany, prosto z Oregonu. Ale młody zejde wyglądał też na zmartwionego: coś go gnębiło. Joe rejestrował to wszystko tylko mimochodem, półowicznie. Cała jego energia psychiczna wciąż szła na obsługę pytania, czy naprawdę nie musi się bać tego człowieka.

– Cieszę się, że się spotykamy – powiedział Samuel. Wtedy jego wyraz twarzy się zmienił i chłopak nagle poderwał się z sofy. Przeszedł do przedpokoju i pochylił się nad swoją wymiętą torbą z naturalnej, niebarwionej bawełny.

– Coś ci przyniosłem – powiedział.

Przez ułamek sekundy Joe poczuł znów paniczny lęk – kiedy Samuel wyciągnął z torby ciężki, ciemny przedmiot – lecz zamrugał oczami i poznał: butelka wina.

– Mam nadzieję, że ci zasmakuje. Nie miałem pieniędzy na nic lepszego. Kupiłem w sklepie na twojej ulicy.

Bez swojego doświadczenia – prób zorganizowania bojkotu Freedom Media – Joe chyba nie byłby skłonny wierzyć we wszystko, co mu powiedział Samuel, ale w logice głuchego telefonu było coś znajomego.

To podobno fakt, że w tamtą trudną jesień po maturze Samuel napisał w sieci to, co akurat myślał. To fakt, że pisząc o swoich uczuciach i emocjach, nie wykazał się wielkim talentem dyplomatycznym. Fakt, że upublicznił na portalu społecznościowym swoje opinie o byłej dziewczynie i o swoim ojcu, i fakt, że ten wpis – który powstał w jego najgorszych chwilach i miał być prywatną wiadomością do dziewczyny – można było odczytać jako hejt.

I oczywiście lekarz musiał wypisać Samuelowi jakąś diagnozę po jego piętnastominutowej wizycie w przychodni – nie wolno było podejmować leczenia bez rozpoznania. W pośpiechu wstukał do systemu zbitkę słów najbardziej pasujących do opisu przypadku. Przecież to i tak nie ma żadnego znaczenia, myślał sobie może, jeśli diagnoza jest niewłaściwa, zostanie poprawiona, kiedy Samuel przyjdzie na kontrolę. Poza tym włamanie się do zabezpieczonego systemu nie powinno być możliwe, ale widocznie Simon Waters naprawdę znał się na swojej robocie.

Samuel rzeczywiście przystał do organizacji aktywisty Tylera Burnhama, ale znacznie później, kiedy już zobaczył beagle'e i stwierdził, że poza przyciągnięciem na chwilę uwagi mediów demonstracje pod siedzibą centrum badawczego Laajakosken Bioteteet miały tylko ten skutek, że on dostał po oczach gazem pieprzowym, a firma zaostrzyła przepisy bezpieczeństwa – chociaż cały kraj uważał, że to, co się tam dzieje, a co ujawnił Samuel, to prawdziwe barbarzyństwo.

Samuel twierdził, że Tyler to najbardziej empatyczny, rozważny i inteligentny człowiek, jakiego zna. Tylko że, dodał po chwili, za dobrze mu poszło. Słuchając tego, Joe znów poczuł wzbierającą w nim falę niezrozumienia i goryczy.

– Co ty powiesz – mruknął. – Kiedy ktoś zaczyna stosować przemoc, inni zaczynają nazywać go terrorystą.

Samuel chwilę się zastanowił i powiedział:

– Spróbuj zacząć kampanię przeciwko naprawdę dużej korporacji. Jednej z tych, co mają więcej pieniędzy niż Pan Bóg.

Joe poczuł nieprzyjemne ukłucie pod sercem. Samuel ciągnął dalej:

– Zrób to tak dobrze, żeby twoje działania zaczęły naprawdę wpływać na ich porcję rynkowego tortu. Spróbuj, na przykład, wyprzeć ich z giełdy. I pamiętaj, żeby w internecie było bardzo łatwo znaleźć informację, że za tym wszystkim stoisz właśnie ty i dwójka twoich najlepszych przyjaciół. Zobaczysz, co się wtedy stanie.

Joe próbował przełknąć nieprzyjemny smak w ustach. Nie podobało mu się to, syn zrozumiał wszystko opacznie. Społeczeństwo nie jest takie, on nie żyje w takim kraju, w takim świecie; zachodnie demokracje nie są takie, chłopak nie wie, co mówi. Mimo to, z jakiegoś powodu, nie mógł nie zapytać:

– No, co się stanie?

Samuel spojrzał na niego.

– Zmienią ci reguły gry.

A więc to także Joe dobrze rozumiał: Samuel z paroma znajomymi rzeczywiście doprowadził do upadku dużej spółki giełdowej, obezwładnił ją terrorem. I choć przypomniał sobie natychmiast zadbaną, uprzejmą kobietę z agencji zarządzania wizerunkiem wirtualnym, której nadal musiał płacić raz w tygodniu za pracę tych jej robotów internetowych, i przypomniał sobie także swojego kolegę, który cofnął poparcie dla bojkotu, kiedy usłyszał, że Freedom Media będą oczerniać wszystkich, którzy spróbują stanąć im na drodze, to i tak nigdy nie zgodziłby się na coś takiego. Znów poczuł w żołądku to samo obrzydliwe palenie i wiedział, że chłopak nie ma racji, że do świata nie wolno mieć takiego stosunku.

– Poczekaj.

Samuel poszedł po swoją komórkę, chwilę przy niej majstrował i podał mu. Joe zobaczył zdjęcie pierwszej strony drukowanej na różowym papierze cenionej gazety finansowej. Średniej wielkości tekst głosił:

Parkingfield LS Suspended from NYSE

Wskazującym palcem i kciukiem Samuel powiększył zdjęcie, nabrał powietrza w płuca i zaczął czytać na głos:

– *According to bla, bla, bla from the bla, bla, bla... – Zaczął szybko, by po chwili zwolnić: – The Parkingfield Life Sciences Group Inc. no longer meets the NYSE's continuing listing criteria. Market capitalization bla, bla... fallen below \$50 million.*

Wyglądał, jakby był z siebie dumny. Joe nie miał już siły wściekać się ani tłumaczyć mu, dlaczego postąpił źle. To właśnie jest takie dziwne w dzisiejszym świecie. Że można zdemonizować legalnie działającą spółkę giełdową. Nawet jeśli nie wszystkie jej praktyki były czyste, to sama działalność pozostawała jednak prawnie bez zarzutu. Nie wolno nikomu grozić, nie wolno niszczyć cudzego mienia.

– Te wasze środki... – zaczął Joe, ale poczuł się, jakby miał sto pięćdziesiąt lat. A więc jednak nie znajdują wspólnego języka w żadnej sprawie. – Cegły, kije baseballowe, bomby...

Samuel spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się. – Ile razy będziemy musieli powtarzać tę samą dyskusję?

– No to czym ich zastraszyliście?

– Telefonem.

– Co?

– I wcale ich nie zastraszyliśmy. I nie dzwoniliśmy do nich.

– Dzwoniliście, ale *nie do nich*?

– Tak. Szybko się zorientowaliśmy, że to nie ma sensu.

Było widać, że Samuel tłumaczył to już komuś wcześniej. Podobno taką samą strategię zastosowano w walce z rządem Republiki Południowej Afryki za czasów apartheidu: dzwoni się do ich partnerów biznesowych i uprzejmie pyta, czy nie powinni jednak rozważyć zmiany kontrahenta dla zachowania dobrego imienia na arenie międzynarodowej. A trudno prowadzić eksperymenty na zwierzętach, jeśli nikt nie chce ci sprzedać sprzętu, nikt nie chce ci przywieźć zwierząt z lotniska, kurierzy z pizzerii odmawiają dowozu, nie można już zamówić pocztą brakującej śrubki.

Kiedy dziesięć tysięcy młodych ludzi z całego świata dzwoni codziennie do jednego dyrektora banku z grzecznym pytaniem, czy ten jest pewny, że właśnie jego bank zamierza kredytować właśnie tę spółkę, to choćby każdy z nich zadzwonił tylko raz na godzinę, dyrektor odbiera w sumie osiemdziesiąt tysięcy telefonów na dzień! Taka strategia w końcu musi zacząć przynosić efekty.

– Z naszego doświadczenia wynika, że już po dwóch miesiącach bank zaczyna się rozglądać za lepszymi inwestycjami. Czyli takimi, przez które nikt im nie blokuje linii. Nie zastraszaliśmy nikogo, nikomu nie groziliśmy i nikogo nie terroryzowaliśmy.

Joe wpatruje się uważnie w Samuela. Z informacji prasowych spółki i komunikatów policji wynikało jednoznacznie, że niezidentyfikowani

sprawcy uzbrojeni w kije baseballowe napadali na kluczowe osoby spółki i podkładali im bomby. A Samuel twierdzi, że cała operacja została przeprowadzona na kilku laptopach bez wychodzenia z domu. I Joe nagle zdał sobie sprawę, że całą swoją wiedzę czerpał z tego, co mu podsuwał iAm. Poczul palący wstyd. Dlaczego niby taki krytyczny, niezależny myśliciel jak on nie wpadł na to, że należałoby się zapoznać także z wersją drugiej strony i poszukać informacji w obiektywnych źródłach?

Wywiedli go w pole – może niezamierzenie, a może celowo.

Joe musiał zaczerpnąć powietrza. To wyglądało na ogromny sukces: jego syn z garstką przyjaciół wypchnął miliardową spółkę z nowojorskiej giełdy bez uciekania się do przemocy i bez łamania prawa.

– Zauważyłem w necie, że próbujesz czegoś podobnego, chociaż w trochę innym sektorze – powiedział Samuel. – Możecie śmiało korzystać z naszej strategii, jeśli chcielibyście pójść naszym śladem. Nie pobieramy prowizji.

Kącik ust chłopaka mimowolnie się uniósł, lecz Samuel szybko zrozumiał, że sprawa nie jest zabawna.

– Widziałem po prostu, że już się na was rzucili, chociaż nic im jeszcze nie zrobiliście – dopowiedział.

Joe poczuł, że narasta w nim gniew. Nie potrafił zdławić pączkującego w nim mimowolnie podziwu dla ich osiągnięcia. Nie mógł nic na to poradzić, nie potrafił nie docenić ich pomysłowości, determinacji, zrozumienia mechanizmów obracania pieniędzmi. (I nawet ten nieuczciwy, niepoprawny triumf: chłopak nie wyrósł na Fina, tylko na *Amerykanina!*). A jednocześnie ten skryty podziw denerwował go tak bardzo, że musiał zacisnąć zęby.

Temu się sprzeciwiał, właśnie temu. Potrafiłby podać milion wytłumaczeń, dlaczego to, co zrobili ci młodzi, było niewłaściwe. Czuł to w sercu i nie zmieni zdania, choćby byli nie wiadomo jak przebiegli i konsekwentni. Joe zrozumiał, dlaczego Parkingfield Life Sciences International – właściciel spółki Laajakosken Bioteteet Oy – pozwał ich do sądu za koordynowanie tej kampanii. I bardzo dobrze zrobił. Było oczywiście rażącą niesprawiedliwością, jeżeli Parkingfield LS rzeczywiście, jak twierdzi chłopak, nie żałował grosza, żeby prasa i blogi internetowe przedstawiały Samuela i jego przyjaciół jako terrorystów. Natychmiast przypomniało mu się to wszystko, co wypisywano o nim i wygadywano w tabloidach, kanałach telewizyjnych i na stronach internetowych należących do Freedom Media, ale te wspomnienia zaraz przygniótł gniew na niesprawiedliwość: na to, że niektórym ludziom się zdaje, że wolno im napadać na innych, bo tak im się podoba.

„Nikogo nie terroryzowaliśmy”. Chłopak nie zdaje sobie sprawy, co to znaczy być obiektem bezustannego nękania.

– Ale to przecież właśnie był terror! – warknął Joe i poczuł się straszliwie stary i chory; w oczach zapiekły go łzy i zupełnie nie wiedział, skąd się nagle wzięły. – Terror telefoniczny! Sto tysięcy telefonów na dzień do człowieka, który próbuje wykonywać legalną pracę, żeby utrzymać rodzinę.

– Noo... my nazywamy to lobbingiem – powiedział Samuel. – Naszym zdaniem terroryzm to narażanie drugiego człowieka na utratę zdrowia i życia. Albo grożenie mu tym. Ale nie dzielimy włosa na czworo. To nieposłuszeństwo obywatelskie i oczywiście jesteśmy gotowi ponieść za nie wszelkie przewidziane prawem kary.

– Nie macie pojęcia o tym, co to jest lobbing.

– A może mamy? – odparł Samuel. – My też byśmy chętnie kupili sobie wystarczającą liczbę parlamentarzystów za wyborczą kasę. Tylko że jej nie mieliśmy.

– Niektórzy z was nie cofną się przed niczym.

Na wspomnienie słynnej ekoterrorystki Heather Mirandy na ustach Samuela pojawił się zmęczony uśmiech. Chłopak pokręcił głową. Sponsorowany przez agencję ochrony artykuł opublikowano w różnych wersjach w co najmniej dwudziestu tytułach prasowych i potem, opatrzony wykrzyknikami i przerażonymi komentarzami, krążył po rozmaitych forach badaczy wykonujących eksperymenty na zwierzętach.

Według Samuela prawdziwa historia Heather Mirandy była taka: dwóch pracowników prywatnej agencji ochrony przeniknęło do grupy obrońców praw zwierząt i przez dwa lata próbowało namówić dziesiątki osób do zamachu. Ponieważ nikt się nie zgodził, została im Miranda, która od lat zażywała heroinę, siedziała w więzieniu za przestępstwa z użyciem przemocy i chyba przez przypadek podpisała kiedyś jakiś apel w obronie zwierząt. Z początku nawet ona nie chciała się zgodzić na ich pomysł, mimo że z całego serca nienawidziła systemu, ludzi i korporacji. Obrabiali ją przez rok, aż w końcu im uległa. Ochroniarze zdobyli materiały wybuchowe, skonstruowali z nich bombę, przewieźli ją własnym samochodem na parking spółki i ukryli w umówionym miejscu, a potem pojechali po Mirandę, zawieźli ją na miejsce zamachu i zostawili tam samą – żeby inni pracownicy tej samej agencji mogli przyłapać ją na gorącym uczynku i przekazać policji jako podejrzaną o ekoterroryzm. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności!

To oczywiście prawda, że Heather Miranda ustnie zgodziła się dokonać zamachu i pozwoliła ochroniarzom zawieźć się na ten parking. Zadania

jednak nie wykonała. Możliwe, że by to zrobiła, bo ustnie się do tego zobowiązała, w rzeczywistości jednak do zamachu nie doszło.

Miranda dostała za to dziesięć lat więzienia. Natomiast pracownicy agencji są dzisiaj rozchwytywaniymi trenerami i prowadzą szkolenia z zapobiegania ekoterroryzmowi. Zarobili już dziesiątki tysięcy euro na uczeniu pracowników policji, prywatnych agencji ochrony i firm, jak przenikać do ekoterrorystów.

– Z pewnością nie ma żadnych szans na to, żebyście uwierzyli, że wśród was są także osoby naprawdę niebezpieczne – powiedział Joe.

– Boskie jest to twoje *wśród was*.

– Wstaw sobie co innego, jeśli chcesz – warknął Joe. – Niech będzie, że wśród aktywistów ruchu obrony praw zwierząt albo obrońców środowiska.

Męczące było to dzielenie włosa na czworo. Ale Samuel przedstawił mu kilka – z pewnością starannie wyselekcjonowanych – przykładów publicznych wypowiedzi i metod badawczych jego kolegów i koleżanek po fachu i Joe poczuł, że robi mu się głupio. Może w słowach Samuela rzeczywiście był jakiś sens, w każdym stadzie zdarzają się czarne owce.

I Joe nie miał wątpliwości – mimo że chłopak sprzeciwiał się także jego pracy i uważał, że miliony wykorzystywane przez nich na badania powinny być raczej jak najszybciej przekazane na przykład na ratowanie dzieci umierających z niedożywienia, zapewnienie wszystkim Amerykanom opieki zdrowotnej, zatrzymanie zmian klimatu i tak dalej, to jednak inaczej odnosił się do niego niż do tych, których postanowił powstrzymać z grupką przyjaciół. Podobno Parkingfield Life Sciences za odpowiednie pieniądze robił wszystko i na każdym gatunku zwierzęcia. Samuel twierdził, że większość eksperymentów spółka wykonywała po to, by zleceniodawca mógł spełnić szczególne wymogi prawne czy ukryć rzeczywiste wyniki badań, a w najlepszym wypadku wprowadzić na rynek kolejną sztuczną substancję słodzącą, chociaż w sprzedaży jest ich już co najmniej trzydzieści. Miliony zwierząt rocznie dręczonych i zabijanych w nikomu niepotrzebnych doświadczeniach.

W to Joe nie wierzył, system nie mógł funkcjonować tak źle. Co prawda chłopak od razu skontrolował go pytaniami i Joe musiał przyznać, że systemu w zasadzie nie zna i nie wie, jak wielką część wyników badań firma może ukrywać, nigdzie ich nie publikując i zasłaniając się tajemnicą handlową.

– A nie byłoby dobrze, żeby ludzie tacy jak ty wiedzieli o tym? Nie byłoby dobrze, żebyś sam postarał się to wyjaśnić? – spytał Samuel. – Masz znacznie lepsze możliwości wpływania na opinię publiczną niż my.

Chłopak przykładął dużą wagę do tego, że Joe mógł w swojej pracy – przynajmniej teoretycznie – rozważać zagadnienia i metody badawcze za każdym razem indywidualnie. Joe poczuł wyrzut sumienia; rzeczywistość była taka, że zasadniczo gnało się z robotą do przodu bez zastanowienia, starając się rozpaczliwie utrzymać dotychczasowy poziom.

Ale najważniejsze zdaniem Samuela było to, co uzmysłowił sobie dopiero wtedy, kiedy wraz z przyjaciółmi włamał się do archiwów spółki Laajakosken Bioteteet.

– Jeśli cię to interesuje, to...

Chłopak nie dokończył zdania, bo znów poszedł po coś do swojej torby. Szara, z wyglądu ciężka skrzynka. Twardy dysk.

– Są tu wyniki kilku badań. Zajrzyj sobie w wolnej chwili.

Joe spojrzął na syna. Musiał przyznać w duchu, że chłopak rzeczywiście może wiedzieć więcej niż on. Samuel wyciągnął rękę z dyskiem i Joe zdał sobie sprawę, że jeżeli go weźmie, wstąpi nieodwołalnie na pochyłą ścieżkę, która prowadzi o wiele dalej, niż byłby gotowy pójść.

– To jest to, co im skradliście?

Samuel skinął głową.

– Kiedy do nas dotarło, co tu jest, poprosiliśmy znajomków o pomoc.

– Jakiego rodzaju?

Samuel wyjaśnił, że istnieją programy, które kursują po zadanych ścieżkach numerycznych jak mrówki. I zbierają wszystko, na co natrafią na swojej drodze.

– Tajemnice handlowe? – spytał Joe.

– Tak.

– Przecież to przestępstwo.

– To prawda.

– To chyba oczywiste, że nawet tego nie tknę.

Samuel spojrzął na niego i na trzymany w ręku dysk i zadumał się na dłuższą chwilę.

– Sądzę, że są tu takie rzeczy, które wszyscy powinni zobaczyć. I mówię w jak najszerszym znaczeniu tego słowa: dosłownie wszyscy.

Joe wpatrywał się w niego nieruchomo. Czuł, że stanął na rozstajnych drogach i nie ma pojęcia, gdzie może nimi dojść.

– Tego właśnie broniłeś na tej publicznej debacie – powiedział Samuel i potrząsnął dłonią z twardym dyskiem. – Także tego. I to przede wszystkim ja i Tyler chcieliśmy powstrzymać.

– Żyjemy w zachodniej demokracji, w której nie rządzą spółki giełdowe,

lecz wybrani w wolnych wyborach politycy – odparł Joe. – Jeśli w naszym systemie jest jakiś błąd, zostanie naprawiony za pomocą mechanizmów demokratycznych. A wy żyjecie w jakiejś dystopii, która istnieje tylko w waszych głowach.

Samuelowi nawet nie drgnęła powieka. Skinął głową na trzymany w ręku dysk.

– Jeśli otworzysz te katalogi, zobaczysz, jak działają te nasze mechanizmy demokratyczne. Sądzę, że są tu rzeczy, o których nie wiedziałeś. I podejrzewam, że się przestraszysz, kiedy się o nich dowiesz.

Samuel powiedział, że gdyby spotkał gościa, który by mu opowiadał takie rzeczy, pierwszy by go uznał za wariata. Ale on już widział, co jest w tych katalogach.

– To są informacje zdobyte nielegalnie – powiedział Joe.

Samuel podsunął mu dysk jeszcze bliżej.

– Czy to, co jest nielegalne, zawsze jest moralnie naganne? – spytał. – Najpierw tu zajrzyj, a potem mi powiesz, czy czasem nie zmieniłeś zdania.

Ale kiedy Joe był już bliski rozstrzygnięcia dylematu – przyłożyć rękę do przestępstwa czy sprawić synowi zawód – Samuel spojrzał na niego nagle zupełnie inaczej. Nad jego głową pojawiła się czarna chmura i na jej tle cała dotychczasowa dyskusja wydała się Joemu zupełnie jałowa. Chłopak przycisnął twardy dysk do piersi, jak gdyby pogodził się z tym, że Joe już go nie weźmie. Zdawało się, że szuka słów.

W końcu zaczął mówić i przychodziło mu to najwyraźniej z dużym trudem. Joe nie wiedział, czego się teraz po nim spodziewać.

Kiedy słowa padły pierwszy raz, Joe był przekonany, że musiał źle usłyszeć.

– Co takiego?

– Tamta paczka.

Joe wbił wzrok w Samuela.

– Którą dostały twoje córki – powiedział Samuel.

– I?

– To ja.

To było niechcący. Tak to zobaczył, gdy w końcu wyłowił z pamięci dość szczegółów i właściwie je uszeregował: to był drobny kiks.

Udało mu się nie myśleć o tym przez niemal dwa lata. Sprawa czasem wracała i trochę go gryzła, by znowu odejść w zapomnienie. Wiele nocy strawił na tłumaczeniu sobie, że to nie będzie chyba miało żadnych

konsekwencji.

Kiedy jednak usłyszał o paczce, zrozumiał, że musi wziąć odpowiedzialność za swój czyn. I choć powodem odbycia podróży do Baltimore była także ciekawość, chęć spotkania wreszcie profesora Chayefskiego, a może nawet poproszenia go o pomoc z tym twardym dyskiem, to przecież zasadniczym motywem przyjazdu była tamta paczka.

Zobaczył ją w gazecie w Eugene, w kuchni u Tylera.

Poranne słońce grzało przez szyby, a w krzewach pod oknami kuchni ćwierkały lasówki, kiedy zszedł z piętra na dół na śniadanie. Poprzedniego wieczoru bał się o Los Angeles. Bał się, że nie będzie mógł pojechać, w końcu jednak obiecali mu opłacić podróż. Czuł się zmęczony, ale zregenerowany. Podróż minęła dobrze, miał wrażenie, że do słuchaczy dotarło, co miał im do powiedzenia. Całe zło i niesprawiedliwość zostały na chwilę oddalone, wróciła równowaga, ludzie zdawali się znowu otwarci na głosy rozsądku.

Ale zanim jeszcze Tyler podsunął mu tablet i spytał: „Słyszałeś o tym? Jakiś badacz ze Wschodniego Wybrzeża”, zanim jeszcze zdążył zarejestrować te słowa i zobaczyć na tablecie nagłówek internetowej gazety „Resist!”, zanim jeszcze Tyler odczytał na głos imię i nazwisko jego ojca – zanim to wszystko się stało, Samuel już wiedział: z tonu głosu Tylera i z Baltimore, o którym nawet nie było jeszcze mowy. Nie wiedział skąd, ale już wiedział, jakie były skutki jego postępuku.

Zacisnął powieki i zaczął głęboko oddychać. Kiedy na oceanie jest sztorm, fale kotłują się tylko na powierzchni – pod nią woda jest spokojna. To nie fakty nas druzgoczą, tylko to, jak na nie reagujemy.

Nie nakręcaj się, bo to nie zmieni faktów: skup się na ciele i na tym, co w tej chwili czujesz. Zamknij oczy, zrób myślowy skan całego ciała, każdej części po kolei. Skieruj na nie uwagę, rozluźnij się.

Lecz palenie w żołądku nie ustawało. Tego samego dnia miał jechać na konferencję do Portland. Mimo wiosennego słońca trząsał się z zimna, a najgorzej było w czterogwiazdkowym hotelu, gdzie go zakwaterowali – jego, który nie miał pieniędzy nawet na taksówkę z lotniska.

Uspokój się, rozkazywał sobie przez całą konferencję, chociaż dobrze wiedział, że nic to nie pomoże. Z czasem miażdżenie przestało być odczuwalne w ciele i stało się kamienną częścią jego ja. Nosił to w sobie jak narząd wewnętrzny – i będzie nosił po wsze czasy.

Przed wystąpieniem nieśmiała dziewczyna o wyglądzie hipiski poprosiła go o autograf. Kiedy go zobaczyła, oczy jej zapłonęły: „To ty jesteś ten...?”. Samuel grzecznie odegrał przypisaną mu rolę, gdy dziewczyna trzęsącymi się

dłońmi wyjęła notatnik z długopisem i podsunęła mu je pokornie niczym służebnica Pańska. Pamiętał, że zdołał nawet posłać jej coś w rodzaju bolesciwego uśmiechu. Lecz ciśnienie w środku nie odpuszczało nawet wtedy, gdy o nim zapominał.

„Dla Sandy”, napisał. Potem dodał jeszcze cytat z Martina Luthera Kinga, jeden ze swoich ulubionych, który wciąż powtarzał, a który teraz w jego wykonaniu trącił tak haniebną hipokryzją, że najchętniej podarłby notes, ledwo skończył pisać.

Na szczęście, gdy stanął na podwyższeniu sali wykładowej, którą czterystu słuchaczy rozpychało do granic możliwości, w sukurs przyszła rutyna. Mówił już to samo w tylu różnych miejscach, że ze swobodą założył maskę, w której przywykł reprezentować Sprawę. Podczas pierwszych prezentacji bał się, że nie będzie umiał wybrać właściwych słów, że zaplącze się w zawiłościach i szczegółach, których jest po prostu za dużo.

„Nie musisz nic robić – powiedział mu Tyler na samym początku. – Po prostu masz ten dar”.

„Nic nie rób – dodał jeszcze. – Po prostu nie stawaj sobie na drodze, a wszystko pójdzie jak z płatka”.

I tego się nauczył. I także wtedy, w Portland, słowa popłynęły samoistnie, częściowo z pamięci, częściowo w nowych, świeżych złożeniach, które czasem zaskakiwały nawet jego: przecież ja nie umiałbym tego tak celnie podsumować. Czy to rzeczywiście *ja* na to wpadłem? Kiedy?

Mówił o tym, że w rządowych statystykach zagrożenie ekoterroryzmem i aktami wandalizmu dokonywanymi rzekomo przez obrońców środowiska wzrosło wykładniczo. Pokazał swoim słuchaczom w Portland na kilku slajdach, że jeśli weźmie się te statystyki pod lupę i dojdzie do tego, co się kryje pod tymi wszystkimi cyframi, to okaże się, że w worku o nazwie „poważne akty wandalizmu i ich próby” są prawie wyłącznie legalne demonstracje. Władze zaliczały do nich marsze uliczne, rysowanie kredą po chodnikach oraz incydenty z obrzucaniem prezenterów tortami podczas transmisji na żywo. O tym mówił: że władza oznacza, iż w tabelkach w Excelu można wpisywać, co się chce, bo nikt nie pociągnie cię za to do odpowiedzialności. O tym mówił: że aktywiści, którzy podejmują działania ze współczucia dla żywych istot, raczej na pewno nie będą narażać niczyjego zdrowia ani życia.

Kiedy to mówił, czuł się przegniły do szpiku kości. Później słyszał, jak ludzie mówili, że to było jego najlepsze wystąpienie. Równomierny, ciężki ucisk nie zelżał nawet podczas burzliwych oklasków. Po wystąpieniu, kiedy

wymiotował w męskiej toalecie, słyszał zza ściany, jak drobna hipiska w damskiej ubikacji z przejęciem odczytuje komuś jego cytat z Martina Luthera Kinga i mówi, *od kogo go dostała, przez zupełny przypadek, na drugim piętrze: on tam był, i to zupełnie sam!* Myślałam, że zemdleję, *oh my God!* Kiedy zgięty wpół pochylał się nad muszlą na niepewnych kolanach i słyszał, jak dziewczęta przeglądają jego profile na portalach społecznościowych, żeby zobaczyć, czy ma dziewczynę, a jeśli tak, to jak wygląda, nagle zrozumiał to, co powinien był pojąć już dawno: że ktoś taki jak on nie ma prawa mówić nikomu o współczuciu i moralności.

I potem już nigdy o nich nie mówił.

Dopuścił się w swoim życiu jednego aktu terroru – aktu, którego motywem była wyłącznie czysta nienawiść, chęć zrobienia krzywdy drugiemu człowiekowi, innej żywej istocie. Jakże długo udawało mu się unikać tej świadomości, jemu, który bawił się w pełnoetatowego kaznodzieję.

Kiedy usłyszał o tej paczce, od razu wiedział, co się stało. Swoją pierwszą chwilę *kairos* miał na poziomie piwnicznym K2 centrum badawczego Laajakosken Biotieteet Oy, druga przyszła teraz. I w czerwcu, kiedy na werandzie domu Tylera w końcu zadudniły buciory brygady antyterrorystycznej z policji stanowej, przez głowę przebiegła mu tylko ta jedna myśl: *zasłużyłem sobie na to. Słyszał pomruki niedowierzania reszty ekipy, widział ich oszołomienie i rozbawienie, i krzyki przestraszonej Zai: pistolety maszynowe i kamizelki kuloodporne?! Bo mamy stronę internetową, na której namawiamy ludzi, żeby chwycili za telefon?! To nie może być prawda, jęknął ktoś i dopiero po chwili Samuel uprzytomnił sobie, że huk, który wziął już za wystrzał, tak naprawdę był odgłosem upuszczonego przez Zaię kubka z kawą. W tym czasie policjanci, którzy wtargnęli do środka w pełnym rynsztunku, prezentowali swoją dopracowaną w najdrobniejszych szczegółach choreografię z karabinami MP5 i starannym podziałem na role – istny balet! – i Samuel zdał sobie sprawę, że dobiegający z zewnątrz od pewnego czasu rytmiczny odgłos to helikopter. Czy im już zupełnie odbiło? Bali się, że im uciekną w podartych dżinsach i boso – *na skrzydłach?**

Tyler wielokrotnie powtarzał, że wcześniej czy później oni się zjawią. Że międzynarodowej spółki nie można tak sobie bez żadnych konsekwencji wywalić z giełdy, że coś się musi zdarzyć. Reguły gry znów zostaną zmienione, to zupełnie normalne. Jak poranna rosa, która pokrywa wszystko równo, bez kapryśnienia. Trzeba się z tym pogodzić, skoro się wybrało takie, a nie inne życie. To nie fakty rujnują nam szczęście, tylko to, jak się do nich odnosimy. Tyler od początku nie miał żadnych złudzeń: cokolwiek zdołają

osiągnąć, reguły gry zostaną zmienione. A zostaną zmienione po to, żeby to ich osiągnięcie już się nie powtórzyło. Bo są na świecie rzeczy święte.

Samuel nigdy się z tym nie pogodził. Jego zdaniem reguły gry zmienia tylko słaby zawodnik, który wie, że przegrywa. Lecz gdy tamtego ranka leżał na parkiecie z rozszerzonymi nogami, gdy żołnierz w czarnych rękawiczkach obmacywał go rutynowo w poszukiwaniu broni, spokojnie przyjął swój los, czuł bowiem, że na niego zasłużył. Członkowie brygady antyterrorystycznej sprawnie załadowali do dużych kartonów książki, gazety i komputer Tylera i zanieśli do aut, a on przyglądał się swoim emocjom jak przepływającym po niebie chmurom: od dawna wiedział, że ten dzień musi kiedyś nadejść, że wreszcie dostanie za swoje. Miał niejasne przeczucie, że gdyby nie tamten jeden czyn, teraz ta scena wydawałaby mu się po prostu absurdalna – co oni sobie myśleli, że po tej całej hecy *dadzą sobie spokój?* – i że w innych okolicznościach najchętniej siłą wyrwałby się im z tych kajdanek, bo to wszystko nie miało w ogóle sensu. Przecież oni tylko prowadzą *stronę w internecie!* I właśnie dlatego antyterrorysty wtargnęli do domu Tylera z tymi swoimi pistoletami maszynowymi? Ale kiedy ubrany na wojskową modłę urzędnik, chłopak w jego wieku z surową miną sportowca, wpychał go do samochodu, Samuel nie potrafił myśleć o niczym poza tym, że choć dla pozostałych nalot był szyderstwem z prawa, on sobie na coś takiego w pełni zapracował.

Ledwie Samuel zaczął mówić, Joe wiedział, że nie chce tego słuchać. Jego wykrzywiona twarz mówiła mu, że nie kłamie; najwidoczniej rzeczywiście to zrobił, choć z pozoru trudno było w to uwierzyć.

Chciał go poprosić, żeby mu tego oszczędził, miał jednak wrażenie, że to dla chłopaka bardzo ważne, że musi to wszystko z siebie wyrzucić.

Kiedy otworzył oczy w swoim pokoju tamtej nocy dwa lata temu, po powrocie z plaży na Hietaniemi, z początku nie wiedział, czy jest dzień, czy noc. Leżał na łóżku tak długo, że musiał w końcu przysnąć.

Po nocnym akcie samospalenia czuł się nierealnie czysty. Jak gdyby przez całe życie lunatykował i dopiero teraz się obudził. W ustach czuł jeszcze smak żelaza i cieszył się, że nie musi już z tym uczuciem walczyć.

Z tym, że człowiek godzi się na to, czego nie może zmienić.

Świat jest, jaki jest.

Wszyscy jesteśmy za niego odpowiedzialni.

Zakrywać garnek, kiedy gotujemy wodę.

Usiadł na łóżku i opuścił na podłogę zeszywniałe nogi. Dom był pogrążony

w ciemności. Matka i Henri spali na dole. Na zewnątrz jesienny wiatr kołysał nagimi brzoźami, ich gałęzie skrobały po szybach niczym kościste, zakrzywione palce.

Usiadł na krześle przy stole i włączył komputer. Maszyna posłusznie zaszumiała. Chińskie podzespoły zaczęły stękać w nagrzewającej się metalowej skorupie, uruchomił się wentylator. Mimochodem uprzytomnił sobie, że z oparcia spadła na ziemię czerwona czapka myśliwska, którą Kerttu kupiła mu na pchlim targu. Kopnął ją w kąt, skąd matka wyciągnie ją dwa miesiące później i schowa do szafy w przedpokoju, gdzie by mu nie przyszło do głowy jej szukać.

Kiedy zobaczył, że ładuje się właściwa strona, coś przelało się przez niego jak zimna ciecz.

Wiedział, że upubliczniają na niej listę laboratoriów i badaczy przeprowadzających eksperymenty na zwierzętach, oraz ich adresy. Widział też zdjęcie administratorów strony. Ubrani na czarno młodzi mężczyźni w dramatycznych, mocnych pozach na zamglonej trawie tuż przed wschodem słońca.

Już dawno sobie obiecał, że nigdy tam nie wróci; wiedział, że to, co robi, nie będzie wynikać ze współczucia, lecz z siły, której nie powinien oddawać władzy nad sobą.

Mimo to strona młodych ludzi w czarnych strojach przychodziła mu do głowy zawsze, kiedy myślał o ojcu. Przypominała o sobie zawsze, gdy zastanawiał się nad tym wszystkim, co na świecie jest nie tak, jak trzeba.

Jak łatwo byłoby mu coś zrobić w tej jednej, pomijalnie małej kwestii.

I tamtej nocy dwa lata temu, gdy wyczerpany i upokorzony przyszedł z pustej, chłostanej wiatrem plaży na Hietaniemi i zobaczył triumfalny uśmiech ojca na stronie internetowej dużej amerykańskiej gazety – tamtej nocy wrócił.

Oczywiście jego ojciec także figurował na liście na stronie młodych mężczyzn w czerni.

Tylko adres był niewłaściwy.

Zaskoczyło go to, że informacje dotyczące ojca były błędne, nieaktualne od wielu lat.

Palce mu drżały, gdy sięgał po myszkę.

Artykuły prasowe, w których jego ojciec z uśmiechem opowiadał, że eksperymenty na zwierzętach ratują świat, przedstawiały historię doskonałą. Zawsze spójną i logiczną, od pierwszego pytania po coraz trudniejsze wyzwania, które zawsze w końcu znajdowały idealne rozwiązanie. Żadnych

wątpliwości, nic się nie psuło, nikt nie miał innego zdania w żadnej sprawie, był tylko bohater i jego nagroda. W tej historii – jedynej, jaką prezentowała prasa – Joseph Chayefski był wybitną jednostką, która ratuje dzieci na całym świecie. I robi to w pojedynkę, dzięki swojemu geniuszowi oraz nadludzkiemu męstwu i nieustępliwości, a cała opowieść ma wyłącznie pozytywny wydźwięk. O tych, dzięki którym jego ojciec dokonywał tych heroicznych wyczynów, artykuły nie wspominały słowem, bo to już zupełnie inna historia.

Jak bardzo inaczej wyglądałyby osiągnięcia triumfatora, gdyby zestawić je z kosztami jego zwycięstw, z tym, co poszło straszliwie nie tak. Gdyby mówić mogły te, które nie znały słów i których nawet o nic nie pytano, gdyby wszystkiego nie opisywano językiem wybranym przez Wybitną Jednostkę i z jej punktu widzenia. Jak bardzo inną historię usłyszałyby świat, gdyby opowiedziały ją te, o których życie tu chodziło, za które podejmowano wszystkie decyzje – z powodów, które nie miały z nimi żadnego związku i których one w ogóle by nie pojęły.

Tej historii nigdy nie opowiedziano.

Dlatego to zrobił, tamtej nocy.

Sporo się napracował, żeby znaleźć jeszcze dwóch innych badaczy, których dane były nieaktualne. To byłoby zbyt oczywiste, gdyby zgłosił czarnej ekipie tylko własnego ojca. Znalazłszy w końcu tych dwóch innych, zupełnie nieznanymi, w których mógł zawinąć profesora Chayefskiego, nawiązał kontakt z administratorami za pośrednictwem sieci informacyjnej, która funkcjonuje poza oficjalnym internetem i uniemożliwia namierzenie nadawcy.

Coś mu podszeptowało, że to zdecydowanie niewłaściwy ruch, ale postanowił, że nie będzie słuchał żadnych wewnętrznych głosów. Kiedy tylko wpadł na tamten pomysł, od razu wiedział, że nie będzie musiał rzucać monetą, by podjąć decyzję.

„cze – zauważyłem, że lista jest częściowo nieaktualna. sprawdźcie tych trzech, poniżej dane, moim zdaniem aktualne”.

Nikt mu nie odpowiedział, co trudno mu było przełknąć. Zaprzedał duszę diabłu, żeby naprowadzić czarne kurtki na ślad znanego na całym świecie wybitnego naukowca, może nawet przyszłego noblisty. A ci – ludzie nic nieznaczący, którzy w ogóle nie zasłużyli na jego pomoc i których cała działalność była zupełnie niejasna – mieli czelność nie odpowiadać na maile.

Przez kilka następnych dni zdecydowaną większość czasu spędził na snuciu skomplikowanych planów zemsty, które nauczą anarchistów CZYTAĆ KURWA MAILE I ODPOWIADAĆ NA NIE. Jak już się chce działać w podziemiu, to chyba wypada trochę się przyłożyć.

Lecz kiedy po tygodniu zajrzał na ich stronę, poczuł nagły przypływ adrenaliny.

Informacje zostały zaktualizowane.

Serce zabiło mu szybciej, gdy zobaczył, co czarni przy okazji zrobili. Wszystkie zaktualizowane nazwiska i dane zostały wyróżnione czerwonym kolorem, a na dole strony pojawiła się jeszcze osobna informacja o niedawnej aktualizacji. Administratorzy strony przypominali: „UWAGA! Dane mogą być nieaktualne! Zawsze dobrze sprawdź ich aktualność!”.

Poczuł, że dłonie ma mokre od potu.

Co dobrego narobił?

To nie ma żadnego znaczenia, zapewnił siebie pospiesznie w duchu, to niczego nie zmieni. Na takie strony nikt nie zagląda, bo zamieszczone na nich informacje nie mają żadnego znaczenia, cała ta ekipa to jedna wielka ściema.

To samo powtarzał sobie, kiedy kładł się spać; palce miał wilgotne, po plecach ściekał pot. Ta aktualizacja danych do niczego nie doprowadzi. Poza tym prędzej czy później sami by te informacje zaktualizowali. To była tylko kwestia czasu. No i czy jakiś wariat będzie szukał swoich ofiar na chybił trafił w internecie? Zaatakuj kogoś tylko dlatego, że na jakiejś stronie jego imię, nazwisko i adres zostały wyróżnione czerwonym kolorem? Akurat. Te nerwy to histeria – ta sama, w którą wpadał we wszystkich sprawach związanych z ojcem. Było dokładnie tak, jak mówiła Kerttu: w stosunku do ojca tracił całkowicie dystans i wyczucie proporcji.

Lecz kiedy tamtej nocy leżał w łóżku, czuł, jak niespokojnie krąży mu krew w żyłach. Z głębi nocy dobiegł go wrzask, może to był kruk, a może wrona, i zarówno ten ptasi krzyk, jak i pora nocy wydały mu się tak nienaturalne – i nagle także mrok nocy, jej kolory, wszystko stało się nagle tak niewłaściwe – że musiał wstać z łóżka i zejść na dół, chociaż już przy pierwszym kroku wiedział, że nic to nie pomoże.

I on wyobrażał sobie, że to jest aktywizm! Wyobrażał sobie, że mimo gnębiącego go poczucia winy tym właśnie przysłuży się sprawie, choćby w mikroskali. Później nie mógł tego sobie wybaczyć.

Dopiero kiedy poznał już Tylera, wymusnęło mu się coś o tamtej stronie.

Tyler się zdenerwował.

Jego zdaniem cały ten portal i jego administratorzy to po prostu żenada. Co próbowali osiągnąć zastraszaniem ludzi? Chcieli ich rozgoryczyć, skłonić do kupienia broni? Poza tym uderzanie w wybranych badaczy jest nieskuteczne; to trochę tak, jakby próbować obalić apartheid w Południowej Afryce, wybijając okna jakiemuś gościowi z Johannesburga. I jeszcze to podżeganie do przemocy wobec naukowców legalnie prowadzących badania – ciągnął Tyler. Czym to się różni od ekoterroryzmu? Bardzo trudno byłoby przekonać kogokolwiek, że takie działania wypływają ze współczucia. Flirty z przemocą prowadzą wyłącznie do jej eskalacji.

Samuel nie spuszczał z niego wzroku, sparaliżowany ze strachu.

Do niektórych młodych ludzi to przemawia, takie wymachiwanie kijem baseballowym – kontynuował Tyler. Może ich wyobrażenia o sobie i o życiu na pewien czas stają się piękniejsze, mogą sobie myśleć, że są bohaterami. Ale to nie ma nic wspólnego ze zmianą społeczną.

Tyler znał kilku z tych młodych ludzi ubierających się na czarno. Wszystko w ich wystudiowanych gestach, demonstracyjnym sposobie ubierania się i metalowych piercingach mówiło aż nadto wyraźnie, że nie mają pojęcia, na czym polega aktywizm polityczny – i nigdy mieć go nie będą. Później, gdy Samuel też się zaangażował, spotykał czasem ludzi tego pokroju. Rzeczywiście: w tym ich demonstracyjnym radykalizmie było coś takiego, że Samuel powątpiewał, czy oni sami wiedzą, co próbują zwojować. Tyler powiedział, że najdalej za parę lat każdy z nich się obudzi i ze zdumieniem odkryje, że za chwilę zamknie się droga do akademii ekonomicznej i wytyczonej przez biznesowych znajomych tatusia świetlanej przyszłości. Za parę lat wszyscy po cichu usuną swoje tatuaże ELF, wyniosą się z komun wegańskich do studenckich kwater, żeby wypełnić sobie życie dobrymi serialami na HBO i Netfliksie oraz samotnymi sesjami z pornosami z sieci, zakuwać do egzaminów na Adderallu i Concertanie tak jak wszyscy inni, pękać z dumy na koniec semestru, pokazując indeks tacie bankierowi i mamie konsultantce tak jak wszyscy inni, odczuwać rozczarowanie i pustkę, gdy to wciąż okaże się niewystarczające, i cierpieć, bo nie dostali od życia tego, co im kiedyś obiecywało. Albo któryś z nich – jeden z nielicznych – zrobi coś głupiego i trafi do więzienia, zostanie pobity.

Samuel pamiętał, że zaparło mu dech w piersiach. Było mu tak wstyd, że nie potrafił wydusić z siebie słowa.

I nigdy nie zdobył się na to, żeby przyznać się przed Tylerem do tego, co zrobił.

Długo go gnębiło dławiące poczucie winy. Ale sam adres nie miał przecież

żadnego znaczenia. Po tamtej rozmowie codziennie sprawdzał stronę aktywistów, próbując sobie udowodnić, że nie zrobił nic złego. I na szczęście z Baltimore nigdy nie przyszły żadne niepokojące informacje.

Aż do kwietnia.

Wspomnienie tego, co zrobił, powróciło do niego jak uderzenie pioruna, kiedy w Eugene, w tajemnicy przed innymi, obejrzał w internecie lincz na swoim ojcu, jaki urządzili tamci młodzi w czerni na publicznej debacie w kampusie uniwersytetu. Przyszli go tam zaszlachtować, tysiąc na jednego. To wszystko wina Samuela, nawet jeśli ojciec mylił się we wszystkim, bo nic nie rozumiał, miał klapki na oczach. Wszystko odnosił do siebie i swojej pracy, nie zdawał sobie sprawy, jakiego rodzaju zorganizowaną przestępczość wspiera nieświadomie swoimi słowami i jak dziecinnie, jak bezlitośnie brzmią jego argumenty w uszach osoby, która widziała beagle'e. Po obejrzeniu materiału z debaty Samuel oczywiście sprawdził, czy ktoś nie rozpoczął kampanii przeciw ojcu. Natychmiast znalazł parę komunikatów o włamaniu do laboratorium, o cegle i demonstracji pod domem Chayefskich.

Do tego wszystkiego wcale by nie doszło, uprzytomnił sobie z przerażeniem Samuel, gdy późnym popołudniem siedział sam w pokoju gościnnym na piętrze skrzypiącego domu Tylera i wpatrywał się w swój laptop. Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby on nie zrobił tego, co zrobił.

Próbował tłumaczyć się przed swoimi wewnętrznymi oskarżycielami tym, że bardzo długo i mężnie walczył z pokusą. Ale te próby były żałosne.

Być może wytłumaczenie czynu ani trochę nie zbliża do jego zrozumienia. Po prostu tamtej nocy Samuel miał chwilę słabości. I może to właśnie jest uczciwe wyjaśnienie: że nosi w sobie także nasiona zła.

Łzy chłopaka zaskoczyły go. Samuel wsparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

Joe wpatrywał się w niebieską sofę z Ikei pod przeciwległą ścianą oraz w siedzącego na niej Samuela – i nie mógł wydusić z siebie słowa. Wzdrygnął się, kiedy jaskrawa jarzeniówka nad zlewem w kuchni mrugnęła trzykrotnie, dając mu jakby jakiś nadnaturalny znak. Samuel wyciągnął z kieszeni pogniecioną chusteczkę i wydmuchał nos. Joe chciał coś powiedzieć, lecz tyle razy musiał już diametralnie zmieniać zdanie i wyobrażenie o swoim synu, o świecie i w ogóle o wszystkim, że mógł tylko słuchać mieszających się ze sobą szumów klimatyzatora i dodatkowego wentylatora. Nie umiał ich nawet od siebie odróżnić.

Przez opary oszołomienia usłyszał zniekształcony przez emocje głos

Samuela, mówiącego, że nie spodziewa się wcale wybaczenia. Że on to rozumie i że nie przyjechał tu po przebaczenie, tylko po to, by się przyznać i odzyskać wreszcie wewnętrzny spokój.

I to wszystko?

Joe zaniemówił. A więc *to* zrobił jego syn? Wysłał komuś mailem ich adres? I *to* miał być ten jego przerażający czyn? To przez coś takiego chłopak dwa lata zmagął się z miażdżącym poczuciem winy – bo wysłał komuś ich adres? Adres, który każdy może znaleźć w sieci paroma kliknięciami myszki?

W końcu musiał spytać Samuela, czy go dobrze zrozumiał. Kolejne łzy go przekonały.

Joe wpatrywał się w swojego obcego syna. Miał wrażenie, że dopiero teraz zaczyna powoli rozumieć, kim ten chłopak naprawdę jest.

Na dworze zaczął siąpić deszcz. Krople uderzały w dach. Jakby drobne paluszki bębniły w dachówki. Za oknami salonu jarzyła się w mroku nocy samotna latarnia. Statua dewocji, pomyślał Joe.

X

Samuel nie był w listopadzie na ogłoszeniu wyroku swoich przyjaciół, Tylera Burnhama i Kaitlin O'Shea, których skazano za przestępstwa telekomunikacyjne i działalność wywrotową na karę bezwzględnego pozbawienia wolności. Sąd nie uznał legalności strony internetowej, za której pośrednictwem skazani nakłonili tysiące młodych ludzi w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Europie i Ameryce Południowej do telefonowania do dyrektorów banków, maklerów papierów wartościowych, przedsiębiorstw lotniczych oraz producentów sprzętu laboratoryjnego w celu doprowadzenia do upadku prywatnej spółki giełdowej.

Samuel nie słyszał ogłoszonego dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia wyroku na dwóch aktywistów grupy występującej pod nazwą Fight Back za włamanie do laboratorium profesora Josepha Chayefskiego, chuligaństwo i zakłócanie miru domowego.

Samuel nie słyszał, jak oddalono wszystkie postawione mu zarzuty współuczestnictwa w przestępstwach przeciwko rodzinie Chayefskich.

Dwa tygodnie po pojawieniu się Samuela w domu jego ojca w Baltimore policja stanowa, działając na podstawie poufnych informacji, ujęła mężczyznę, który wysłał bombę w paczce zaadresowanej do Danielli i Rebekki Chayefskich. Jego sąsiad zwrócił uwagę na duże ilości materiałów rolniczych, które mężczyzna przechowywał w piwnicy, chociaż mieszkał

w centrum miasta i pracował na poczcie.

W jego mieszkaniu policja znalazła broń palną, nawozy mogące służyć do produkcji materiałów wybuchowych oraz niezbędne elementy pozwalające na wyprodukowanie do dziesięciu bomb gwoździowych – takich samych jak ta, którą wysłano rodzinie Chayefskich. Część z nich była już zmontowana.

Policji pozostało jedynie wyjaśnić motyw. Mężczyzna wyjawiał go bez nakłaniania. Bardzo chciał to komuś powiedzieć, od dwudziestu lat.

Administracja uniwersytetu Columbii w Nowym Jorku potwierdziła, iż rzeczony mężczyzna studiował przez rok z ówczesną Miriam Goldberg w tej samej grupie w *graduate school*. Z rejestrów wynikało, że po pierwszym roku programu doktoranckiego mężczyzna zrezygnował z dalszych studiów. Na przesłuchaniu podejrzany przyznał, że nie wiedział wtedy, czego chce od życia. Z materiałów zabezpieczonych w jego mieszkaniu wynikało, że pisał sztukę, której nigdy nie dokończył; mężczyzna izolował się od ludzi i prawie nie wychodził z domu.

Opublikowany przez niego w internecie 557-stronicowy skrajnie prawicowy manifest określono jako mizoginistyczny. Mężczyzna podkreślał, że popiera eksperymenty na zwierzętach i w żadnym wypadku nie chce, by jego czyn motywowano sprzeciwem wobec pracy Josepha Chayefskiego. Doświadczenia z udziałem zwierząt ratują miliony ludzi na całym świecie, powiedział później na sali sądowej.

Na przesłuchaniu zeznał, że wysłał paczkę, bo chciał, by Miriam w końcu go zauważyła, po tylu latach celowego unikania wszelkich z nim kontaktów.

Miriam nie była pewna, czy w ogóle pamięta tego mężczyznę.

X

Deszcz ustał, kiedy wyszli przed dom. Ciemna, popękana kora lipy amerykańskiej na podwórzu lśniła od wilgoci. Padające z werandy światło odbijało się od mokrych liści maliny.

Samuel zszedł po wilgotnych stopniach na podwórze; czekał na Joego, który cofnął się jeszcze po kluczyki. Rododendron, którego czarne liście wydały mu się takie agresywne, kiedy tu przyszedł, teraz sprawiał wrażenie, jakby się skurczył.

Samuel czuł się tak jak wtedy, kiedy jako nastolatek rzucił kamieniem w wagon metra i matka musiała przyjść po niego na policję. Słyszał, jak jeden z policjantów wspomniał mimochodem drugiemu, że chłopak nie ma ojca. Z tonu głosu tamtego wywnioskował, że przez to jego młodociany pociąg do

przestępczości jest bardziej zrozumiała, lecz także bardziej obciążający. Przez cały długi wieczór na policji w sumie martwił się tylko o jedno, wobec czego możliwy mandat, pouczenia policji czy wpis do kartoteczki stanowiły zaledwie drobne przypisy: co matka powie na to wszystko.

Dopiero kiedy wzięła go w ramiona, zrozumiał, że wszystko będzie dobrze, także tym razem. Tamtego wieczoru, gdy szli do domu z przystanku autobusowego, czuł, że matka trzyma go za rękę, że zawsze będzie, bez względu na wszystko.

Stojąc teraz ze swoim obcym ojcem przed jego domem w Baltimore w wilgotnej, ciepłej nocy, czuł się jak nowo narodzony. Każdą część swojego ciała odczuwał wyraźniej niż przedtem, każdy mięsień i każdy krąg mówił mu: oto jestem ja. W powietrzu unosił się zapach nocy letniej po deszczu, oddychało się lekko i głęboko; znowu wszystko było możliwe. Wróci do Finlandii i pójdzie do więzienia za zdjęcia, których nie należało robić, i informacje, których nie powinien nikomu przekazywać, ponieważ ludzi trzeba chronić przed prawdą. Ale, o dziwo, nic już nie było tak strasznie ważne jak wcześniej. Nabrał pełne płuca świeżego, pachnącego wilgotną trawą powietrza.

Na werandzie pojawił się Joe.

– Samochód jest w garażu – powiedział.

– Mógłbym spokojnie się przejść.

– Nie ma mowy.

Joe obiecał zawieźć go na noc do hotelu. Przy kampusie był podobno jeden całkiem przyzwoity. Joe chciał się z synem zobaczyć jeszcze rano, będą mieli więcej czasu dla siebie. Jadąc do Baltimore, Samuel nawet sobie nie wyobrażał, że tak się to może skończyć.

– Wiedziałaś? – spytał Joe i spojrzał na niego. – Że mieszkamy w najbardziej niebezpiecznej dzielnicy Baltimore?

Samuel wyglądał na zdumionego. Chyba najbardziej bezpiecznej?

– Naprawdę?

– Nazywa się Baltimore.

Samuel zrozumiał żart, dopiero kiedy spojrzał na ojca. Joe obrócił się jeszcze, żeby zamknąć drzwi na klucz, i zszedł po stopniach przed dom. Samuel zatrzymał się na żwirze przed garażem i przyszło mu do głowy pytanie, czy potrafiłby przewidzieć komentarz ojca, czy znałby jego poczucie humoru do znudzenia, gdyby się z nim wychowywał. Dzielnica domów jednorodzinnych wyglądała na spokojną i senną: przestępczość i przemoc, którymi nasiąkło to miasto, skutecznie wyparto poza jej obręb. Szerokie ulice

wysadzane bukami i klonami cukrowymi oraz domy otoczone zadbanymi trawnikami wyglądały idyllicznie.

– Na pewno przyjemnie się tu mieszka.

– Wybraliśmy tę okolicę z powodu szkół dziewczynek – powiedział Joe. Podobno do wielu szkół w mieście rodzice baliby się posyłać swoje dzieci. – Chcieliśmy też mieszkać w miejscu, gdzie ulice mają chodniki.

Samuelowi dopiero teraz przyszło do głowy, że wszystko mogło być inaczej. Rozglądając się, uprzytomnił sobie, że to właśnie tu by wtedy przyjechał, do Stanów, kiedy miał sześć lat. Nie do tego domu, ale do innego, podobnego, w innym mieście.

Joe przekręcił klucz w zamku; od razu zabuczał silnik i drzwi garażu zaczęły się unosić. Samuel poczuł jakby wewnętrzny prąd i pojął, że coś się właśnie skończyło. Przemknęło to przez niego jak wiatr: nagle jest wolny i może robić, co tylko chce. Ścieżka, którą kroczył przez ostatnie dwa lata, nie musi wcale określać go do końca życia.

Było w tym coś niesamowitego. Co tylko chce.

– Wszystko w porządku? – spytał Joe, widząc, że Samuel zapatrzył się w żwir pod nogami.

– Tak – odpowiedział chłopak. I unosząc wzrok, dostrzegł brązowe oczy ojca i po raz pierwszy pomyślał, że fajnie byłoby się dowiedzieć, kim jest jego ojciec, jakim jest człowiekiem.

Drzwi garażu były już w połowie drogi do góry, kiedy Joe o czymś sobie przypomniał.

– Zaczekaj chwilę – powiedział. – Zaraz wracam.

Dodał, że musi jeszcze załatwić jedną ważną rzecz, i zdumiewająco szybko jak na swój wiek wrócił na werandę i wszedł do domu.

Samuel odprowadził go spojrzeniem. Przez ulotny moment czuł niemal wdzięczność dla nieznanego sadysty, który wysłał paczkę jego przyrodnim siostrom. Gdyby nie ta sprawa, nigdy by tu nie przyjechał, nie miałby odwagi ojcu przeszkadzać.

No i na szczęście jego siostrom nic się nie stało. Może jutro je także spotka? Na samą myśl serce zabiło mu mocniej. Może się nawet zaprzyjaźnią? Zza ogrodzenia dobiegł go melodyjny pogwizd, jakby ktoś dmuchnął we flet. Brzmi jak kos, pomyślał Samuel, ale może to być jakiś inny ptak, amerykański. To przypomniało mu nagle ten rok, to lato i tamte tygodnie: coś mu nagle o nich przypomniało, kiedy zapowiedział ogólnikowo w Eugene, że przed powrotem do Finlandii chce jeszcze pojechać na Wschodnie Wybrzeże.

„Cykady – ktoś powiedział od razu. – No tak, to właśnie najlepsza pora”.

„Zgadza się – przyznał inny. – Na pewno jeszcze je zobaczysz”.

Zdążył się zdziwić, gdzie one są, czy jest za ciemno, czy może po prostu nie wiedział, gdzie spojrzeć, gdy z zamyślenia wytrącił go odgłos dziwnie szybko zbliżającego się samochodu. Ryczący na wysokich obrotach silnik zupełnie nie pasował do tego spokojnego miejsca. Pewnie dopiero dostał prawo jazdy, pomyślał Samuel i przypomniał sobie kolegę z klasy, Matiasa, który latem w Finlandii jeździł w ciepłe noce jak wariat.

W tym samym czasie, gdy Samuel usłyszał w Baltimore nadjeżdżające auto, Alinę obudził w Helsinkach cyfrowy alarm z telefonu. Szybko wyciszyła sygnał, żeby nie budzić Henriego i chłopców. Rozsunąwszy zasłony i wpuściwszy do kuchni letnie słońce, przypomniała sobie zaraz swojego starego, chorego ojca i przemknęło jej przez myśl, że nie potrafiła wystarczająco mocno zaistnieć w jego życiu. Zaraz potem pomyślała o swoim synu, którego zatrzymało FBI i którego nie zdołała odwieść od pomysłu wyjazdu na drugi koniec Stanów, żeby zobaczyć się z ojcem, jej amerykańskim byłym mężem, po raz pierwszy w życiu – w najgorszym czasie, jaki można sobie wyobrazić.

Kiedy Samuel stał przed otwartym garażem i słyszał zbliżający się szybko samochód, a Alina rozsuwała zasłony w swojej kuchni w Helsinkach, Joe otworzył sekretarzyk w salonie i wyjął kartonik z nabojami.

Opróżnił magazynek rewolweru. Ciemny, ciężki odgłos, jaki wydawały upadające na stół zaostrzone naboje w metalowych łuskach, budził zaufanie. Wsunął broń i naboje do beżowego płóciennego worka, który kupił dziesięć lat temu w muzeum sztuki w Waszyngtonie. Ten rewolwer nie zostanie w jego domu ani sekundy dłużej, niech sobie Miriam mówi, co chce. Odniesie broń na posterunek policji, wrzuci choćby do Zatoki Chesapeake, jeśli będzie trzeba, pozbędzie się jej jeszcze tej nocy.

W tej samej chwili poczuł jakby wstrząs elektryczny: czerwony guzik! Zapomniał o nim na śmierć. Wcisnął go wieczorem – całe życie ludzkie temu. Szybko wyjął telefon z kieszeni i wybrał numer Douga. Trzeba im powiedzieć, że to był fałszywy alarm. W przeciwnym razie, jak tylko znajdą się w zasięgu urzędnika, dostaną informację, że Joe jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Czekając, aż Doug odbierze, Joe myślał o synu, który stał teraz na zewnątrz w żółtym świetle latarni, ziewając i rozprostowując długie nogi. Przed ich domem, pomyślał jeszcze Joe i poczuł, jak pierś rozpiera mu duma.

Na szczęście Doug odebrał szybko.

– Yeah?

Joe szybko wyjaśnił, że nacisnął guzik, ale nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Doug wysłuchał go spokojnie do końca. Potem odparł, że w sumie to siedzi w swoim aucie przed domem wielkości zamczyska; w jego komnatach Rebecca tańczy wolniaki i na próżno próbuje zwrócić na siebie uwagę Ważnego Chłopaka. Mike z kolei pojechał za samochodem Miriam i Danielli i na pewno niedługo wróci pod dom Chayefskich. Podobno pojechali jeszcze gdzieś na szybką kolację.

Doug obiecał jednak zadzwonić do Mike'a i przekazać mu wiadomość od Joego.

– Dzięki – odpowiedział Joe. – Możesz zadzwonić od razu? Żeby nie było żadnych wątpliwości.

– Jasne, nie ma sprawy.

Jego niski głos uspokoił Joego, który natychmiast poczuł, że tętno wraca mu do normy. Właśnie zarzucił sobie torbę na ramię i ruszył w stronę przedpokoju, gdy usłyszał ryk silnika nadjeżdżającego szybko samochodu i osobliwy wizg, gdy koła nieoczekiwanie zamieliły na miękkim trawniku.

Samuel wodził roztargnionym wzrokiem po ścianie domu i właśnie pomyślał, że zamocowane na niej kamery wyglądają na zupełnie nowe, gdy padł na nią snop światła z auta, które z przykłękiem wpadło na West Chestnut Parkway. W dół ulicy pędziła miejska terenówka z przyciemnionymi szybami. Naćpany jakiś, zdążył pomyśleć Samuel. Kiedy wóz znalazł się na wysokości domu, kierowca nagle skręcił, auto uderzyło kołami w krawężnik i wjechało na podwórze, prawie go rozjeżdżając. Samuel przez chwilę był już pewny, że wpadnie pod koła. To jest *Baltimore*, zdał sobie nagle sprawę, miasto, w którym ośmiolatki regulują narkotykowe długi za pomocą uzi. Żart ojca był śmieszny, bo prawdziwy.

Kiedy Samuel zobaczył pędzący na niego samochód, Alina zdejmowała szlafrok, który włożyła zaledwie chwilę wcześniej. Poranne słońce prażyło już z bezchmurnego nieba; mieszkanie nie zdążyło się wychłodzić. Odmierzając sobie na talerz płatki owsiane, Alina myślała o FBI i o tym, że gdyby ktoś jej powiedział, że jej syn zostanie kiedyś zatrzymany przez amerykańskich agentów, nie uwierzyłaby.

Przypomniała sobie ostatni raz, kiedy Samuel był w domu, gdy wdychała jego zapach i myślała, że nie zmieniałaby ani sekundy w swoim życiu, gdyby miało to oznaczać utratę tej chwili. Samuel sprawiał wrażenie beztroskiego, lecz na twarzy Aliny malował się niepokój. Czuła go w swoim oddechu, w postawie i w sercu, które podchodziło jej do gardła za każdym razem, kiedy dzwonił telefon. Nie miała na to wpływu, trwała w bezustannej

czujności. Alina wiedziała, że Samuel musi odgrywać przed matką swobodę i beztroskę, niezależność i nieustraszoną, żeby jej nie martwić.

Nagle poczuła wstyd, że nigdy nie potrafiła stanąć całkowicie po stronie syna. Żenujące było to, że ciągle wracała myślami do tych samych pytań: co jest legalne, jak to wszystko się skończy, czy to właściwe tak obrzydzać życie innym ludziom. I przypomniała sobie pytanie, którym syn zaskoczył ją tamtego lata, kiedy nie zostali w domku letniskowym dziadka. To było przed jego dojrzewaniem, Samuel był delikatnym chłopcem i nie dało się w nim jeszcze dostrzec zarysów niezdarnego, przygarbionego nastolatka ani wysokiego, barczystego mężczyzny, którzy gdzieś tam w nim czekali na swój czas. Mieli jechać nad jezioro z dziadkiem co najmniej na tydzień, wyjątkowo całą trójką, lecz sinice podeszły w tamtym tygodniu akurat do ich zatoczki. To było przykre, utrudniało życie: nie dało się zmywać, chodzić do sauny ani się myć. Alina pamiętała, jak stała z synem i wówczas jeszcze całkiem sprawnym ojcem na brzegu jeziora i patrzyła na zielony kożuch, który pokrywał wodę po kres horyzontu. Musieli wrócić do miasta. Nie zdarzyło się to nigdy wcześniej.

Kiedy siedzieli na promie i patrzyli na bryzgające spod dziobu fale, Samuel nagle spojrzął na nią.

– Mamo?

– No.

– Co twoim zdaniem jest święte?

Nie umiała mu wtedy odpowiedzieć.

I nadal nie umiała. A może nie masz *odwagi*? – zakrakał złym głosem zbudzony wcześniej ptak na prześwieconej słońcem brzozie przed domem. *Nie ma nic świętego*, naigrawało się z niej ptaszysko, *tylko lajki się liczą*. Alina potrafiła jedynie odczuwać wyrzuty sumienia, bo wychowała swoje dziecko w świecie, w którym nawet jeśli coś jeszcze rzeczywiście jest święte, ona nie potrafiła tego chronić – ani nawet powiedzieć, co na to miano zasługuje.

Nalewając po cichu wodę do płatków, Alina posmutniała na myśl o tych wszystkich sprzecznościach, o tym, że w żadnej sprawie – nawet dotyczącej jej syna i jego wielkiego zwycięstwa, załamania się kursu spółki Parkingfield – nie potrafiła być jednoznacznie, tylko i wyłącznie zadowolona i szczęśliwa.

Włączyła kuchenkę mikrofalową. Nie chciała zasłaniać okien, chociaż musiała mrużyć oczy w porannym słońcu. Nasypując kawy do filtra w ekspresie, zdała sobie sprawę, że trzy czwarte życia strawiła na zamartwianie się. Które w niczym nie pomagało, jedynie pogarszało sprawy.

Czekała, aż ekspres skończy charczeć. Patrzyła na skapującą z filtra kawę

i nagle z pełną jasnością i klarownością zrozumiała, że powinna była lepiej wspierać swojego syna i jego przyjaciół. Oni jednak próbowali coś zrobić, oddali się przynajmniej jednej sprawie, którą uznali za ważną dla świata. Inaczej niż ty – zaćwierkała za oknem zięba czystym, dźwięcznym sopranem – nie zrobiłaś nic, nic, nic, dla nikogo – *i dlatego te dzieciaki musiały się poświęcić*. Słuchając ptaka, Alina poczuła nieodpartą chęć, by nagle choć przez chwilę być całkowicie po stronie swojego najstarszego syna. I teraz, w ten czerwcowy poranek tuż przed przebudzeniem się Ukko i Taisto, wreszcie poczuła, że jest.

Nalała do kubka świeżej kawy. Ciemny aromat był tak mocny i tak rozkoszny, że Alina obiecała sobie, że już nie będzie się niczym martwić i nauczy się żyć chwilą. Odważniej wypowiadać swoje opinie. Wszystko będzie dobrze. Trzeba się nauczyć robić głęboki wdech i pamiętać, że życie jest tu i teraz. Dobrze się poczuła z tą nową decyzją.

Spuściła na chwilę powieki i z kubkiem kawy w ręku grzała zamknięte oczy w porannym słońcu; będzie miała jeszcze odrobinę spokoju, zanim obudzą się chłopcy i Henri i zacznie się dzień.

Samuel zaczął biec, kiedy usłyszał za sobą ostry, męski krzyk. W głosie pobrzmiwała niejasna złość i zdążył pomyśleć, że może facet zawałił jakąś ważną sprawę. I choć wszystko trwało niecałą sekundę, Samuelowi przemknęło przez myśl, by zerknąć przez ramię i zobaczyć, jak wygląda gangster, żeby móc go potem opisać policji. Odrzucił jednak ten pomysł, najlepiej jednak szybko schować się za krzakami. Ale ojciec! – nie może go zostawić na łasce jakiegoś dilerka narkotyków, ojciec jest niskim, słabym facetem, który już prawie zszedł na zawał serca; trzeba się zatrzymać. Samuel nie zdążył jednak tego zrobić, gdy usłyszał dwa wystrzały. Nastąpiły tak szybko po sobie, że stopiły się niemal w jeden odgłos. Samuel odwrócił się i zdziwił: zaraz się przewróci. I jeszcze zdał sobie sprawę, że za chwilę kość ogonowa zaryje w piasek. Trzeci wystrzał odbił się echem od ścian domów kilka sekund później. Z jakiegoś powodu dopiero teraz to poczuł. Uzmysłowił sobie, że dostał. W bok. Ale te poprzednie – gdzie? Nad sobą zobaczył fioletowo-czarne niebo, było wysoko – jak mogło być tak wysoko? – i poczuł noc, miękką jak aksamit.

Skądś narastał odgłos kroków, masywny mężczyzna biegł w jego stronę z pistoletem; trzymał półautomat wytrenowanym sposobem oburącz, z wyciągniętymi ramionami, ale opuścił je do prawego boku, jakby celował teraz w starannie wybrany punkt na ziemi przy swoich stopach. Słysząc było silnik pracujący na jałowym biegu, najwidoczniej tamten nie zdążył go

zgasić. Gdzieś odezwał się telefon komórkowy. Samuel wsunął rękę pod plecy i poczuł wilgoć. Dłoń natrafiła na coś mokrego, lepkiego. Miękką amerykańską noc pieściła jego skórę niczym ciepła woda. I jakby widział niebo po raz pierwszy w życiu: ależ ono jest wysokie, ależ niedosięgłe. I ten wiatr, niezmordowany wiatr, ledwo odczuwalny na skórze, a hulający przez cały Atlantyk, ze Wschodniego Wybrzeża aż po Zatokę Fińską i Helsinki.

Wybiegając z domu na podwórze, Joe zobaczył w mroku samochód z włączonym silnikiem i rosłą postać Mike'a stojącego w postawie zawodowca. Z zakamarków jego ubrania słychać było stłumiony odgłos dzwoniącej komórki. Agent z poważną, zatroskaną miną postąpił ostrożnie krok w stronę leżącej na ziemi ciemnej postaci, aby butem odtrącić daleko broń, która musiała leżeć przy napastniku – żeby mieć pewność, że krytyczna sytuacja została zażegnana. Na jego twarzy nie było widać nic z tego, o czym mówił później: Jeśli gość nie miał złych zamiarów, to dlaczego uciekał? Dlaczego zasłaniał twarz czapką? Dlaczego się gapił w kamery na ścianie domu?

Samuel poczuł na policzku wilgotną, pachnącą trawę i usłyszał metaliczny, melodyjny śpiew. Pomyślał, że został powalony i teraz gangster może się rzucić na ojca, ale o dziwo ten stoi w drzwiach domu zupełnie spokojny. No, najważniejsze, że nic mu nie grozi. Samuel wczepił się dłońmi w piasek, żeby wstać, ale w tej samej sekundzie poczuł najpierw, że to niemożliwe, a zaraz potem, że to niepotrzebne, całkiem fajnie tak sobie leżeć na gołej ziemi. Dłonie natrafiły na coś szorstkiego, jakby kłosa jęczmienia. Ojciec wydawał się taki zatroskany, nic się nie martw, człowieku, chciał mu powiedzieć, wszystko będzie dobrze. Ni stąd, ni zowąd do głowy przyszły mu słowa jego młodszego brata sprzed roku czy dwóch: trzeba uszanować tego zmarłego. Spojrzał na swoje dłonie i zrozumiał, że to nie kłosa czuł pod palcami, tylko zdechłe owady, świerszcze? Coś takiego, ich powłoki. Opuścił dłonie z powrotem na ziemię, niech tam sobie leżą – nad nim było tylko nocne, wysokie niebo, niepojęte niebo.

Do tamtego wieczoru Joe wracał w myślach wciąż na nowo.

Zanim zawrócił sprzed domu do środka, żeby otworzyć antyczny sekretarzyk babki, zdążył jeszcze pomyśleć, że o to mu właśnie chodziło, kiedy wypisywał na karteczkach swój adres i pytanie, czy możemy porozmawiać. O to mu chodziło, gdy proponował „Baltimore Sun” publiczną debatę. W obu przedsięwzięciach poniósł spektakularną klęskę, lecz teraz znowu był przekonany, że nigdy nie zwątpił w ostateczny sukces. Wracając

spod garażu do domu po broń i naboje, zdążył poczuć dumę z tego, co się stało, i z tego, że nie stracił wiary w możliwość i sens rozmowy. Był szczęśliwy, że zawierzył intuicji, nade wszystko jednak był szczęśliwy dlatego, że to właśnie jego syn dał mu tę możliwość. Zdążył też się zastanowić, co Samuel pomyśli o jego córkach, których nigdy wcześniej nie widział.

Z werandy zerknął jeszcze na swojego dorosłego syna, młodego, zdrowego, wysokiego mężczyznę przed garażem. Noc w Baltimore była ciepła i wilgotna, powietrze czyste po deszczu.

Tego w Finlandii nie miał i także o tym jego syn nieoczekiwanie mu przypomniawszy: fińska letnia noc była jasna, idealnie piękna, lecz przy tym jakby dumna i wyniosła, nieprzystępna. Joe pamiętał, jak w swoim pierwszym roku w Finlandii już od maja czekał, kiedy zacznie się ocieplać, czekał, kiedy wreszcie zacznie się to lato. A już na początku sierpnia od morza powiewał zimny wiatr; prawdziwego lata – amerykańskiego lata – nigdy tam nie było. Ani chóru świerszczy, ciepłych, ciemnych wieczorów, fajerwerków na Czwartego Lipca, ciemnofioletowej, jedwabistej i pachnącej nocy. Nie było amerykańskiego lata.

Wtedy przyszły mu na myśl świerszcze, dlaczego nie słychać ich miękkiego, znajomego cykania, tak jak zwykle w letnie wieczory. I zaraz uświadomił sobie niesamowity spokój, który nagle zapanował na werandzie, pełniejszy i doskonalszy niż przedtem. Wtedy przypomniawszy sobie o nich – kiedy pomyślał, że może jest jeszcze na nie za wcześnie, ale już niedługo letnie noce w Baltimore będą wypełnione ich miękkim cykaniem. Dopiero wtedy, nieoczekiwanie, przypomniawszy sobie o nich, o cykadach.

To dlatego przez cały wieczór czuł się tak dziwnie. To dlatego wyobrażał sobie, że przeczuwa, iż wydarzy się coś osobliwego: cykady nagle zamilkły.

I chociaż wyszedł z domu już chwilę temu, dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co wiedział już od pierwszego kroku – coś mu zgrzytnęło pod butem i Joe się zdziwił, że mrok tak dobrze je zamaskował, niepojęte. Cała weranda i ulica były pokryte grubą warstwą odwłoków. Trawniki zaścielały puste, porzucone powłoki. Cykady odleciały.

Zaciągnął się głęboko wilgotnym, orzeźwiającym powietrzem. Wszystko na świecie było nie tak, jak trzeba, ale stać tutaj i widzieć swojego syna przed własnym domem: na moment pojąć, że to jedyna chwila, jedyny wieczór, jedyne lato. Popatrzył na rododendrony i lśniące w świetle latarni krople rosy na liściach, na ocieniające ulicę derenie, które na wiosnę ginęły w różowych chmurach kwiecia.

Nim wszedł do domu, zdążył jeszcze pomyśleć, że tak właśnie powinno się pokazywać lato w Baltimore: nocą, kiedy na dworze jest cicho i łatwo się oddycha. Ogarnęło go nieoczekiwane poczucie szczęścia. Właśnie to chciał pokazać swojemu fińskiemu synowi, kiedy już wreszcie do nich przyjedzie.

Podziękowania

Mam ogromny dług wdzięczności wobec moich amerykańskich przyjaciół, którzy okazali mi nieocenioną pomoc podczas pisania tej powieści. Za czas, pomoc, rozmowy i przede wszystkim za przyjaźń chcę szczególnie podziękować Joshowi Connorowi, Lisie Davidson i Davidowi Goldbergowi. Kieruję podziękowania także do Lili Corwin Berman z Temple University, której przedstawiła mnie Lisa.

Ogromne podziękowania dla Selji Ahavy, Jukki Appelqvista, Hanne Appelqvist, Laury Arpalahti, Anny Heinämaa, Jussiego Hermunena, Eliny Hirvonen, Tuomasa Juntunena, Inderjit Kaur Khalsy, Very Kiiskinen, Juhany Kokkonena, Lassego Koskeli, Pekki Lunda, Pii Posti i Jannego Sarvikiviego za staranne zapoznanie się z maszynopisem, pożyteczne komentarze, dyskusje i przyjaźń. Zwłaszcza Tuomas i Anna przeczytali mnóstwo wersji tej książki, a niejeden straciłby rozum od znacznie mniejszej dawki. I szczególnie precyzyjne, szczegółowe komentarze Pii były bardzo dla mnie pomocne.

Ogromne podziękowania dla Hannu Harju i szczególnie wielkie dzięki dla mojej redaktorki Petry Mainonen. Podziwiam jej cierpliwość i profesjonalizm: Petra umie czytać, komentować i redagować kolejne, niekończące się wersje tekstu oraz ustępować szaleńcowi. Ogromne podziękowania za staranną lekturę kieruję także do Heiniego Kantali.

Wielkie dzięki dla Marianne Connor, Andy'ego Walkera i Colina Muira, którzy zasiali w moim umyśle pożyteczny i pouczający ferment. Dziękuję Benowi Norrisowi za dyskusje o literaturze, doskonałe wskazówki, co czytać, i wsparcie; za to samo dziękuję też Anttiemu Ritvanenowi, Tuuve Aro, Ninie Gimishanovie i wszystkim członkom naszego klubu noblistów.

Dziękuję następującym osobom za książki popularnonaukowe i artykuły prasowe, które miały wpływ na treść mojej powieści: Marcia Angell, Ben Goldacre, David Healy, Irving Kirsch, Ingrid Newkirk i Robert Whitaker. Jedna z moich fikcyjnych postaci szczególnie uważnie przeczytała książkę Daniela Golemana *Ecological Intelligence* i aktywnie wykorzystuje zawarte w niej informacje o uprawie bawełny, produkcji szkła i problemach ochrony środowiska. Metafory o pieśni miłosnej i maszynie czasu pochodzą z artykułu Ivera Petersona z „New York Timesa”. Pewne idee zaczerpnąłem także z tekstu Douglasa Rushkoffa *Life Inc.* oraz *Alone Together* Sherry Turkle, która interesująco rozważa wzajemną relację ludzi i robotów. Szczególnie wiele

zawdzięczam Willowi Potterowi i jego bardzo pouczającemu dziełu o aktywizmie ekologicznym pt. *Green Is the New Red*, które w rozstrzygający sposób zaważyło na treści mojej książki. Wszystkie wyżej wymienione pozycje gorąco polecam także czytelnikom.

Mimo tak wszechstronnej pomocy i tylu rad każdy błąd rzeczowy, niewiarygodny fragment czy niekonsekwencja w powieści jest wyłącznie moją winą. Cytaty z Lou Reeda pochodzą z utworu *Dirty Blvd*, tekst i muzyka Lou Reed.

Ogromne, wyjątkowe podziękowania kieruję do Aarniego i Anny, Laury i Mattiego, do ojca i matki.

A największe – do Emilii, za wszystko.

¹ Wiadomość w wątku 1/1

„Co jest prawdziwe?”

Jeruzalem woda życia

(1) Chrystus wyprowadził nas z niewoli na wolność. Trwajcie więc w niej i nie pozwólcie ponownie nałożyć sobie jarzma niewoli.

(2) Oto ja, Paweł, mówię wam: jeśli teraz pozwolicie się obrzezać, Chrystus nic wam nie pomoże.

(3) Ponownie oświadczam każdemu człowiekowi, który pozwala się obrzezać: Jest on zobowiązany zachowywać wszystkie przepisy Prawa.

(4) Nie macie nic wspólnego z Chrystusem, wy wszyscy, którzy usiłujecie szukać usprawiedliwienia w Prawie. Utraciliście łaskę.

(5) My bowiem dzięki Duchowi przez wiarę wyczekujemy spodziewanego usprawiedliwienia.

(6) W Chrystusie Jezusie bowiem nie ma znaczenia ani obrzezanie, ani jego brak, lecz liczy się wiara ujawniająca swą moc dzięki miłości.

(7) Biegliście pięknie! Któż wam przeszkodził trwać w posłuszeństwie wobec prawdy?

(8) Wpływ ten nie pochodzi od Tego, który was wzywa.

(9) Mała ilość kwasu zakwasza całe ciasto.

(10) Ja ufam w Panu, że wy wcale inaczej nie myślicie. Ten zaś, kto rozsiewa zamęt wśród was – kimkolwiek on jest – poniesie zasłużoną karę.

(11) Ja natomiast, bracia, jeżeli rzekomo głoszę obrzezanie, to dlaczego jestem jeszcze prześladowany? Przecież ustałoby wówczas zgorszenie płynące z krzyża.

(12) Oby już całkowicie okaleczyli się ci, którzy was podburzają!

(13) Wy bowiem, bracia, do wolności zostaliście powołani, ale nie do tej wolności, która służy naturalnym skłonnościom ludzkim, lecz która – ożywiona miłością – każe wzajemnie sobie usługiwać.

(14) Całe bowiem Prawo wypełnia się w tym jednym nakazie: „Będiesz miłował bliźniego twego jak siebie samego”.

(15) Jeśli bowiem wzajemnie się kásacie i pożeracie, to uważajcie, abyście się nawzajem nie zjedli.

(16) I powiadam: Postępujcie zgodnie z duchem i nie schlebajcie pragnieniom ciała.

(17) Ciało bowiem żywi pragnienia przeciwne duchowi, duch natomiast pragnie czego innego niż ciało – tak bardzo są sobie przeciwstawne – i dlatego czynicie to, czego nie chcecie.

(18) Jeżeli jednak Duch wami kieruje, nie jesteście pod panowaniem Prawa.

(19) Czyny wywodzące się z ciała są znane: cudzołóstwo, nieczystość, rozpusta,

(20) bałwochwalstwo, magia, nienawiść, kłótnia, zawiść, gniewy, ambicje, niezgody, rozłamy,

(21) zazdrości, pijaństwo, hulanki i tym podobne. Zapowiadam wam, jak to już dawniej czyniłem, że ci, którzy takie czyny popełniają, królestwa Bożego nie odziedziczą.

(22) Owoc zaś wywodzący się z ducha to: miłość, radość, pokój, cierpliwość, dobroć, zyczliwość, wierność,

(23) łagodność, opanowanie. Dla tych, którzy to wszystko czynią, Prawo nie istnieje.

(24) Ci zaś, którzy stanowią jedność z Chrystusem Jezusem, ukrzyżowali ciało razem z namiętnościami i pożądaniem.

(25) Jeśli żyjemy dzięki Duchowi, postępujemy również zgodnie ze wskazaniem Ducha.

(26) Nie ubiegajmy się o próżną chwałę, wzajemnie się zwalczając i wzajemnie sobie zazdroszcząc.

² Za Biblią Warszawską.

³ Biblia Warszawsko-Praska, Rdz 1,31.

⁴ ZABAWKA NIE DAJE LUDZKIEGO CIEPŁA

W wydaniu telewizyjnych *Wiadomości* (12.06) pokazano sztuczną fokę, która ma być nadzieją dla osób dotkniętych chorobą psychiczną czy samotnością. W audycji pojawiły się pewne nieścisłości, które należałoby sprostować w celu uniknięcia nieporozumień. Jestem największym w tym kraju specjalistą od optymalizatorów obszaru brzusznorodkowej kory przedczołowej (VMPFC) i wydaje mi się, że krytyczny komentarz pani Nelli Neuvonen był aluzją do nowoczesnych terapii optymalizacyjnych, o których pisałem w kilku moich popularnonaukowych bestsellerach. Należy oczywiście dyskutować zarówno o lekach, jak i o fokach leczniczych, i nie wahać się przedstawiać także opinii krytycznych. Ubolewam jednak, że redakcja pierwszego programu państwowej telewizji rozpoczęła tę dyskusję w tak kiepskim stylu.

Choć tu i ówdzie na świecie rzeczywiście używa się już pluszowych foczek do wspomagania zasadniczej optymalizacji dendrytowej, nieodpowiedzialnością jest mówienie o „odurzaniu środkami znieczulającymi” osób starszych i porównywanie zabawek z terapiami o solidnych naukowych podstawach. Niestety, nikt nie zdoła pluszową zabawką trwale poprawić relacji międzyludzkich osób zaburzonych, zapobiec przemocy domowej ani dać komukolwiek odrobiny ludzkiego ciepła.

Krytyka wyrażona przez panią Neuvonen nie była konstruktywna. Należy unikać niepotrzebnego nikomu przeciwstawiania sobie fok leczniczych i optymalizatorów dendrytowych. Pacjenci potrzebują przede wszystkim serdecznego towarzysza, który rozumie ich potrzeby, a nie kampanii oszczerstw i oskarżeń.

Prof. Hannes Meriläinen

Zakład Optymalizacji Dendrytowej, Turku

* Za Biblią Warszawską.

Przekład: Sebastian Musielak
Redakcja: Jan Koźbiel
Korekta: Katarzyna Pawłowska, Katarzyna Skwark

Projekt okładki: Przemek Dębowski, Wojtek Kwiecień-Janikowski
Grafika wykorzystana na I stronie okładki: © 2016 Andrew O'Dowd (info@aodowd.co.uk)

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4302-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo